PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO
Ps. 143

ROK TRZYDZIESTY. — TOM CXIX.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ.

1913.

KRAKÓW.
DRUK EUGENIUSZA i Dra KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH.
1913.

Edykt Medyolański.

W 1600-letnią rocznicę.

Półtrzecia wieku przeszło trwała walka wiary Chrystusowej z dawnym porządkiem rzeczy, z imperyum rzymskiem i bogami starożytnego świata, przed którymi się ono kłoniło, walka jedyna w swoim rodzaju, gdyż po jednej stronie stanęło do niej olbrzymie państwo z całą potęgą swej władzy, poparte nadto fanatyzmem i nienawiścią tłumów, niewzdrygające się przed użyciem najbardziej srogich i okrutnych środków celem wytępienia nowej wiary, po drugiej garść wiernych, która nikogo nie prześladowała ani mordowała ni spisków ni zamachów nie urządzała, lecz cierpiąc, czekała zmiłowania Bożego, ufna w moc prawd Ewangelii. A jednak siła i odwaga przekonania chrześcijan, ich wiara w prawdę, ich cierpienie i męczeństwo ciche i bez skargi, rozbiły zmurszały gmach pogaństwa i podbiły państwo rzymskie, zmuszając dumnych Bogów-cezarów do ukorzenia się przed znakiem krzyża. Data zaś roku 313, data Edyktu Medyolańskiego, jest właśnie ową świetlaną datą tego niezwykłego zwycięstwa, które świat na nowe pchnęło tory i do nowego pobudziło życia, wskazując mu nowe boskie ideały i nową siejąc kulturę.

Dobrze to znane dzieje i tej walki, z którą rozpoczął się upadek starożytnego świata i tego wielkiego zwycięstwa Kościoła, lecz dziś w 1600 letnią rocznicę owej pamiętnej daty przypomnieć je i na nowo rozważyć warto.

* * *

Rychło bardzo po śmierci Chrystusa przekroczyło chrześcijaństwo granice Palestyny, dążąc jako religia powszechna do objęcia wszystkich ziem i narodów. Rzym, stolica cesarstwa, ujrzał w swych murach już w czasach cesarza Klaudyusza (41—54) gminę chrześcijańską a niebawem, bo w r. 64 rozpoczął Nero szereg prześladowań. Świat rzymski jeszcze wówczas nie zdawał sobie sprawy z tej nowej wiary, poczytywał ją za sektę żydowską, a polegając na różnych oszczerstwach, zwłaszcza przez żydów szerzonych, prześladował chrześcijan, jako zwykłych zbrodniarzy, którzy Rzym podpalić mieli, a na swych zebraniach dopuszczali się wstrętnych praktyk i orgii. Prześladowania jednak nie tylko nie ustały, lecz owszem wzmogły się jeszcze, chociaż władza państwowa rzymska o bezpodstawności tych oskarżeń się przekonała, chrześcijaństwo bowiem stanęło w sprzeczności z ówczesnem państwem i jako religia i Kościół, pomimo, że chrześcijanie nigdzie przeciwko państwu i jego władzy wrogo nie występowali idąc za słowami Chrystusa, który nakazał oddawać cesarzowi co jest cesarskiego i za nauką jego wielkiego apostoła Pawła, że „niema zwierzchności tylko od Boga“ i że „kto się zwierzchności sprzeciwia, Bożemu się postanowieniu sprzeciwia“. W Rzymie, jeszcze wedle postanowień ustawy XII tablic, wzbronione były wszelkie kulty prywatne bogów nowych i obcych przez władzę publiczną nie uznanych, a chociaż Rzym w przyjmowaniu bóstw obcych ludów i narodów podbitych, nie był wcale wybrednym, to przecież religia chrześcijańska na uznanie ze strony państwa liczyć nie mogła, nie dla swego monoteizmu, który leżał na dnie również niejednego współczesnego systemu filozoficznego, lecz dla swej powszechności i wyłączności, niedopuszczającej wobec swego Boga żadnych bóstw innych. Religia, która urzędowych bogów mianem złych demonów określała, która nie dozwalała oddawać czci boskiej posągom cesarskim, która nie była ani państwową ani narodową, lecz kosmopolityczną, poczytującą wszystkich ludzi za braci, nie mogła się żadną miarą pomieścić w ramach ówczesnych wyobrażeń i urządzeń państwowych. Jej wyznawców okrzyczano odrazu jako ateistów, bezbożnych wrogów państwa i ścigano

jako winnych bluźnierstwa i zbrodni majestatu, srogim zaś wyrokom władzy towarzyszyły namiętne okrzyki pospólstwa „*Christiani non sint*“ domagające się zupełnej zagłady wyznawców tej nowej wiary, obwiniano ich bowiem zarazem o wszystkie klęski, jakie spadały na państwo wskutek gniewu obrażonych bogów.

Wprawdzie obok religii chrześcijańskiej istniała w państwie rzymskiem inna jeszcze religia również monoteistyczna i sprzeczna z kultem cezarów, a przecież przez władzę uznana i cierpiana — religia żydowska — lecz religię tę pozostawiło państwo żydom tylko jako ich religię narodową, a to się do chrześcijaństwa odnosić nie mogło. Przytem wskutek wielkiego upadku obyczajów i szerzenia się niewiary ku końcowi rzeczypospolitej, wzmaga się od czasów Augusta, który, budując państwo na nowych podstawach, starał się opierać je przecież na dawnych tradycyach, stałe dążenie do przywrócenia dawnej czci i kultu bogów. Wówczas to właśnie, kiedy pamięć rządów Augusta zbyt jeszcze była żywą, pojawiła się nauka Chrystusa zupełnie odmienna od tych wierzeń, na których gmach państwa się wspierał, tak że o pogodzeniu ich wzajemnem mowy być nie mogło. To były powody, dla których religia chrześcijańska przez władze jako niedozwolona „*religio illicita*“ została potępioną, to były przyczyny, pod wpływem których nawet cesarze osobiście szlachetni i sprawiedliwi jak Trajan lub Marek Aureliusz, nie cofnęli się przed prześladowaniem chrześcijan, chociaż zabraniali ich śledzić lub wyszukiwać i nie wchodząc w ich wewnętrzne przekonania, zadowalali się z ich strony zewnętrznymi objawami uznania kultu państwowego, zapewniając tym, którzy ofiary bogom złożyli, zupełną bezkarność za dawniejsze należenie do chrześcijaństwa. Lecz jak Trajan tak i Marek Aureliusz uważał ich w państwie za żywioł niepożądany i szkodliwy, a pomimo swego głębokiego umysłu i wykształcenia filozoficznego, zbliżony pojęciami do nauki Epikteta, nie miał zrozumienia dla całej głębi wiary chrześcijańskiej i widział w ochotnem garnięciu się chrześcijan do śmierci męczeńskiej tylko upór i teatralność. Podobnie nie rozumiała i nienawidziła chrześcijaństwa filozofia ówczesna,

z której kół wyszedł nauczyciel tegoż cesarza retor Fronto, tudzież inny współczesny nieprzyjaciel wiary Chrystusowej filozof platoński Celsus, autor zjadliwego przeciw chrześcijanom pisma. Apologie wybitnych pisarzy chrześcijańskich jak Justyna, Minucyusza Feliksa, Tertuliana niewiele pomagały, bo rzeczywiście ta nowa religia dążąca do zupełnego przeobrażenia życia przez ujarzmienie zmysłów, religia miłości bliźniego, miłosierdzia i przebaczenia, wyrównywująca różnice społeczne i narodowe, ze swą czcią dla niedostatku, bolu i cierpienia, która w śmierci męczeńskiej widziała drogę do Boga i zbawienia, tak była różną od religii i pojęć pogańskiego świata, że się musiała tam spotkać naprzód z niedowierzaniem i niechęcią a potem z prześladowaniem.

Wskutek nieuznania religii chrześcijańskiej, nie mógł też w państwie rzymskiem uzyskać żadnych praw Kościół ani też poszczególne gminy i związki, jakie obejmował. Prawo stowarzyszania się w cesarstwie było bardzo ograniczone i to jeszcze od czasów Juliusza Cezara i Augusta, zniesione bowiem zostały wszystkie stowarzyszenia z wyjątkiem dawnych dopuszczalnych na mocy ustaw stowarzyszeń kapłanów, urzędników i rzemieślników, a każde nowopowstające mogły się utworzyć jedynie na podstawie zezwolenia senatu. Przepisom tym nie ulegały tylko stowarzyszenia najbiedniejszej ludności, tworzone dla wzajemnej pomocy różne stowarzyszenia pogrzebowe, one też jako dozwolone były wyposażone osobowością prawną, wskutek czego posiadały prawo nabywania majątku, a do ich zawiązania wystarczyło tylko zgłoszenie u władzy. Pod osłoną takich stowarzyszeń mogły się chwilowo kryć również i gminy chrześcijańskie i w ten sposób korzystać z przyznanych związkom podobnym praw, lecz w czasie sroższych prześladowań ta forma zewnętrzna wcale gmin tych nie chroniła, a jeśli je wykryto, stowarzyszenie rozwiązywano a majątek ulegał konfiskacie.

Początkowe prześladowania jednak, aż po czasy cesarza Decyusza, nie posiadały charakteru systematycznej i planowej walki z chrześcijaństwem, potężne państwo lekceważyło niebezpieczeństwo, jakie mogło grozić jego bogom ze strony wyznaw-

ców Chrystusowej wiary, najczęściej niewolników lub ubogich i bez znaczenia ludzi, którzy zresztą prowadzili życie spokojne i cnotliwe, nie grozili żadną rewolucyą i ze swemi wierzeniami się nie narzucali, odprawiając swą służbę bożą po domach prywatnych zamożniejszych wiernych lub w mroku katakumb przy grobach męczenników. Ale nowa ta wiara oparta o swą siłę moralną zaczęła pomimo tego szybko obejmować co raz to większe kręgi ludności i pociągać je ku sobie, w tych czasach ogólnego zwątpienia, potrzebą zaspokojenia religijnego, zaczęła co raz to silniej oddziaływać na wszystkie natury głębsze, wrażliwsze i bardziej uczuciowe, nie brakło niebawem chrześcijan ani wśród urzędników i wojska ani nawet na dworze cesarskim, a już bardzo rychło (około r. 111—113) zauważył wielkorządca Bitynii Pliniusz młodszy w swym liście do Trajana, że z powodu szerzenia się chrześcijaństwa świątynie stoją pustką, zaprzestano obchodów świątecznych, a nikt nie kupuje mięsa ofiarnego. Okazało się też wkrótce, że prześladowania, jak to zazwyczaj bywa, stały się najlepszą propagandą tych nowych idei pełnych treści i na wskróś żywotnych, co więcej, gdy się z niemi co raz lepiej świat ówczesny zapoznawał, znalazły one pewne przychylne usposobienie nawet na wyżynie tronu cezarów. Życzliwie do chrześcijaństwa odnosił się zwłaszcza Aleksander Sewerus, tak samo jak i jego matka Julia Mammaea, która chcąc bliżej poznać naukę chrześcijańską, Oryginesa na dwór cesarski zaprosiła i pewno wówczas ów wielki pisarz i apologeta chrześcijański miał sposobność nietylko do obrony prawd Ewangelii, lecz także do zjednania im nowych zwolenników wśród dworzan. Cesarz sam otaczał się chętnie chrześcijanami i pono w swem lararium miał nawet wizerunek Chrystusa obok wizerunków Apolloniusza z Tyany, Abrahama i Orfeusza. Wzniosłą zasadę Pisma św., czego nie chcesz, aby tobie czyniono, nie czyń drugiemu, cenił wysoko i słowa te miały być nawet wyryte w pałacu cesarskim. Znanym jest także wyrok jego wydany na korzyść chrześcijan w ich sporze z szynkarzami o grunt, uzasadniony przez cesarza względem, że lepiej będzie, aby na miejscu tem zamiast zakładania gospody oddawano cześć Bogu. Mogli więc już wte-

dy chrześcijanie i publicznie wiarę swą wyznawać, mogły widocznie powstawać osobne domy boże, gdzie otwarcie odprawiano nabożeństwa i odbywano zebrania.[1] Wprawdzie po Aleksandrze jego zabójca i następca Maksymin rozpoczął z nienawiści ku niemu nowe prześladowanie chrześcijan, jako stronników dawnego panowania, to jednak w kilka lat później zasiadł na tronie znowu cesarz (Filip Arab), którego tradycya i nie bez pewnej podstawy wprost jako chrześcijanina poczytuje. Były to już nieomylne wskazówki zwycięskiego pochodu chrześcijaństwa ku owładnięciu cesarstwa rzymskiego. Zwycięstwo ostateczne jednak okupiły jeszcze męczeństwem liczne ofiary, bo przedtem musiała się rozegrać walka stanowcza w nowych prześladowaniach, które srogością i okrucieństwem prześcignęły wszystkie dawniejsze. Rozpoczął je Decyusz (250), a po nim ponowił Waleryan (258), najsroższe zaś i najdłuższe było prześladowanie ostatnie (303—311) za Dyoklecyana i jego współcezarów i następców zwłaszcza Galeryusza i Maksymina Daji, dążących do zapewnienia jedności religijnej rozkładającemu się powoli dawnemu państwu. Decyusz chciał odrazu wyśledzić i wytracić wszystkich chrześcijan wraz z kobietami i dziećmi, żądając od całej ludności składania ofiar na ołtarzach bogów. Waleryan zaś najbardziej srożył się przeciw biskupom i kapłanom, aby pozbawić Kościół jego przewodników. Z prześladowań tych wyszło chrześcijaństwo wprawdzie osłabione, ale niezgnębione i korzystając z dłuższego spokoju, jaki zapanował od czasów Galliena syna Waleryana (260—268), który nakazał zwrócić chrześcijanom zabrane kościoły i grunta, rozwinęło się jeszcze świetniej niż dotąd. Tak jak prześladowania dotychczasowe, nie zaszkodził także Kościołowi popierany i szerzony ze strony cesarzy w interesie kultu cezarów kult Mitrasa, pełny tajemnych praktyk, nieraz powierzchownie biorąc, podobnych nawet do niektórych chrześcijańskich obrzędów. Kult ten, jak stwierdzono,[2] nie oddziałał niemal wcale na najbardziej kulturalne zie-

[1] Najstarsza pewna wiadomość źródłowa o świątyni chrześcijańskiej dotyczy kościoła w Edessie zniszczonego w r. 202 przez powódź.

[2] Cumont. *Les Mystères de Mithra*, Bruxelles 1900. Zob. dołączoną kartę.

mie cesarstwa, na cały świat heleński, tam właśnie, gdzie chrześcijaństwo najwięcej liczyło zwolenników, na zachodzie zaś szerzył się on głównie wśród wojska i pochodu chrześcijaństwa nie tamował. Owszem w czasie pokoju w drugiej połowie trzeciego wieku garnie się do chrześcijaństwa coraz więcej członków stanów wyższych, którym ani religia Mitrasa, ani rozwijająca się właśnie filozofia neoplatońska, potrzeby prawdziwej wiary zastąpić nie mogła, powstają coraz liczniejsze gminy chrześcijańskie, wznoszą się nowe wspaniałe świątynie, nawet w rezydencyi cesarstwa na Wschodzie w Nikomedyi. I właśnie od zburzenia tej świątyni rozpoczęło się ostatnie prześladowanie Dyoklecyana, tak samo bezskuteczne jak wszystkie poprzednie, pomimo wylania mnóstwa krwi niewinnej, pomimo wszelkich mąk i tortur chrześcijanom zadawanych, pomimo wszelkich wysiłków obłudy, fałszu i złości, czem zwłaszcza prześladowanie Maksymina Daji się odznaczało.

Tym zaś złym duchem, który Dyoklecyana do podjęcia rozstrzygającej walki z chrześcijaństwem zachęcał, był cezar Galeryusz. I zaiste dziwne są zrządzenia opatrzności, że właśnie ten barbarzyńca z pochodzenia a nieokrzesany tyran i okrutnik, zacięty prześladowca imienia Chrystusa, miał pierwszy położyć kamień węgielny pod pomnik zwycięstwa krzyża. On bowiem widząc bezskuteczność prześladowań, sam targany ciężką chorobą, przeląkł się Boga chrześcijan, a zabobonny jak wszyscy ówcześni poganie, którym zabobon pozbawioną treści religię dawną zastępował, chciał przebłagać obrażonego i prześladowanego Chrystusa, uznając Jego religię za dozwoloną w cesarstwie. Stało się to w r. 311 na krótko przed śmiercią cesarza, ów zaś edykt tolerancyjny, wówczas przez tak strasznego do niedawna wroga chrześcijan dla całego państwa wydany, to najwyższy tryumf Kościoła, to zapowiedź jego bliskiego zwycięstwa.

Najdawniejsi pisarze kościelni wymieniają jeszcze przed Galeryuszem różne reskrypty cesarskie na korzyść chrześcijan ogłaszane, jak Hadryana, Antonina Piusa i Galliena, reskrypta te jednak co do doniosłości swej nie mogą się równać wcale z edyktem z r. 311. W żadnym z nich bowiem o uznaniu religii chrześci-

jańskiej niema mowy, Hadryan i Antoninus Pius mieli na celu uchronić chrześcijan tylko przed dowolnem postępowaniem władz i ograniczyć donosicielstwo, a oba reskrypty Galliena dążyły jedynie do przywrócenia chrześcijanom tego stanu milczącej tolerancyi, jaki istniał przed prześladowaniem Decyusza, religia chrześcijańska zaś, tak samo po tych reskryptach jak i przed tem, pozostała nadal niedozwoloną. Dopiero edykt Galeryusza zmienił z gruntu dotychczasowy stan prawny, gdyż dopiero od niego począwszy chrześcijaństwo jako „*religio licita*" prawnie dopuszczanem do życia zostało. On więc pierwszy stworzył podstawę prawną dla istnienia chrześcijaństwa w państwie i pierwszy tem samem stwierdził ów olbrzymi przewrót pojęć, jaki się w ciągu ostatnich wieków dokonał.

Szczególną była i jakby z umysłu ciemną i w wielu wyrażeniach dość zagadkową stylizacya tego niezmiernie w dziejach chrześcijaństwa i w historyi kultury ludzkości doniosłego aktu. Państwo nie chciało uznać jeszcze otwarcie swej klęski i uzasadniało ustępstwa dla chrześcijan troską o cześć bóstwa. Gdy bowiem chrześcijanie, jak opowiada edykt, pod wpływem bezrozumnego dążenia zarzucili obyczaj swych przodków i nowe sobie prawa ustanowili, a w różny sposób co raz to więcej ludów do siebie przyciągali, było staraniem władców dbałych o dobro publiczne skłonić ich do powrotu do dawnych urządzeń. Lecz pomimo, że wielu z nich owładnęła groza niebezpieczeństwa, podczas gdy innych gnębiono, wytrwali oni przy swoich wierzeniach, ale ani dawnych bogów nie czcili ani czci Bogu chrześcijan nie oddawali, więc zezwala się im teraz w poczuciu najłagodniejszej łaskawości, aby znowu mogli być chrześcijanami i odbywać swoje zebrania „*ut denuo sint Christiani et conventicula sua componant*", byle tylko nic przeciwko porządkowi państwowemu nie przedsiębrali. Niechże więc za to modlą się do swego Boga za zdrowie cesarza i powodzenie państwa, aby ono było zachowane i oni żyć mogli w spokoju.[1] Poza uznaniem religii chrześcijań-

[1] W tem streszczeniu brzmienia edyktu, którego interpretacya jest bardzo sporną, staraliśmy się oddać ile możności wiernie jego myśl przewodnią, przyczem korzystaliśmy również z wyników badań nowszej nauki. (Zob. zwłaszcza Bihlmeyer: *Das Toleranzedikt des Galerius*, Theologische Quartalschrift, B. 94 Tübingen 1912, str. 411—427).

skiej, skąpe to jednak były prawa w edykcie tym chrześcijanom przyznane. Wiara tylko chrześcijańska nie mogła już być odtąd za zbrodnię poczytywaną i jej wyznawcy mogli swobodnie i bez przeszkód gromadzić się na swe nabożeństwa i nawet, jak wnosić należy, budować świątynie (*ut conventicula sua componant*), ale brak w tym akcie jakichkolwiek postanowień o możliwości porzucenia kultu państwowego dla przyjęcia chrześcijaństwa ze strony tych, którzy dotąd chrześcijanami nie byli, brak także wzmianki o zarządzeniach zmierzających do oddania chrześcijanom zabranych im w czasie prześladowań kościołów i majątków. A wątpić można, aby odpowiednie postanowienia lub zarządzenia mieściły się, jak się niektórzy domyślają, w zapowiedzianem w edykcie rozporządzeniu do władz państwowych, bo przecież byłby się jakiś ślad tego gdziekolwiek zachował, wszak były to sprawy pierwszorzędnej wagi. Widocznie edykt ów stosunkami wymuszony, dawał tylko to, co było koniecznem i zdradzał wyraźną jeszcze niechęć dla chrześcijaństwa, świadczy o tem i klauzula edyktu, o nienaruszaniu porządku w państwie, która mogła dać powód do różnych nadużyć ze strony źle dla chrześcijan usposobionych urzędników. Niemniej przeto pomimo tych braków, edykt Galeryusza nie traci na znaczeniu, bo z chwilą jego wydania nie można już było wątpić, że dalsze pełniejsze uprawnienie chrześcijaństwa niebawem nastąpić musi. I rzeczywiście niedługo już na to trzeba było czekać, bo już w dwa lata po edykcie Galeryusza ukazał się edykt Medyolański, który był jego uzupełnieniem a równocześnie znakiem ostatecznego przeobrażania się cesarstwa rzymskiego w państwo chrześcijańskie, edykt, który zapisał w dziejach Kościoła promiennemi głoskami imię Konstantyna W.

* * *

Gdy Dyoklecyan dla lepszego zarządu i lepszej obrony imperyum podzielił je, przybierając drugiego współcesarza w osobie Maksymiana, umyślił zarazem dla oszczędzenia państwu wstrząśnień gwałtownych i walk o tron zapewnić cesarzom następców przez dodanie osobnych dla każdego z nich cezarów. Jego wybór padł na Galeryusza, którego mógł uważać za wygodne

dla siebie narzędzie, cezarem Maksymiana zaś został Flavius Constantius Chlorus, człowiek odmiennego od nich wszystkich charakteru. Wyszedł on wprawdzie, jak oni wszyscy, współcześni mu władcy imperyum rzymskiego z warstw bardzo niskich i wybił się sam, jak oni, o własnych siłach drogą zasług wojskowych, lecz nie posiadał zbyt wielkiej i nieprzebierającej w środkach ambicyi osobistej, czemu może swe wyniesienie zawdzięczał a poświęcał się natomiast w zupełności pełnieniu swych obowiązków. O ile sądzić możemy, był to umysł o wyższym podkładzie etycznym, nie pozbawiony rysów pewnej szlachetności, a podobną mu była usposobieniem i charakterem jego towarzyszka życia, później prawa małżonka Helena matka Konstantyna W. O jej niepospolitym umyśle świadczy wymownie to wybitne stanowisko, jakie później na dworze cesarskim swego syna zajęła, gdy za jego wpływem stała się chrześcijanką, oraz jej życie ówczesne pełne dzieł prawdziwej pobożności i chrześcijańskiego miłosierdzia. A kiedy po ustąpieniu Dyoklecyana i Maksymiana rozpoczęte w r. 303 prześladowanie srożyło się gwałtownie w ziemiach Galeryusza i innych nowych cezarów, w dzielnicy Konstancyusza w Gallii, Hiszpanii i Brytanii panował spokój zupełny. Musiał on wprawdzie, ulegając edyktom Dyoklecyana, i w swych terytoryach nakazać zburzenie świątyń chrześcijańskich, nie burzył jednak i nie naruszał, jak się ładnie wyraził Laktancyusz, „prawdziwej świątyni Bożej w sercach ludzi". W takim domu i wśród takiej atmosfery wzrósł przyszły jedynowładca cesarstwa Konstantyn W. a tych zasad, które mu wszczepiło wychowanie i przykład rodziców, nie spaczyły lata spędzone na dworze cesarskim na Wschodzie, dokąd go sprowadził Dyoklecyan, a skąd on usilnie wydostać się pragnął. Pobyt ów w ognisku życia państwowego, gdzie się skupiały wszystkie różnorodne nici polityki ówczesnej, dobrą jednak dla niego był szkołą, miał on tam bowiem sposobność poznać dokładnie ducha tej polityki, jak i zasady i środki administracyi państwowej, a zarazem ocenić dobrze charaktery i plany ówczesnych władców cesarstwa, ówczesnych aktorów dramatu dziejowego, lecz wstrętem raczej, jak późniejsze jego czyny wskazują, musiało go napoić to, co

tam widział, zwłaszcza owo rozszalałe znęcanie się nad chrześcijanami obrzydzenie w nim tylko wywołać mogło. Walka z chrześcijaństwem była wówczas niewątpliwie na ustach wszystkich, wszak rozgrywało się w niej najżywotniejsze zagadnienie polityki wewnętrznej państwa, sprzeczne zdania o wyniku walki i o jej potrzebie ścierały się ciągle, mógł więc młody następca tronu wyrobić sobie o niej sąd samoistny. Jakim on był, okazało się rychło, gdyż objąwszy w r. 306 po śmierci ojca rządy, nietylko nie zmienił na niekorzyść chrześcijan ich kierunku, lecz stał się żarliwym obrońcą Chrystusowej wiary i na przymierzu z nią roztaczał wszystkie swe ambitne plany, prowadzące do usunięcia innych współcesarzy i do skupienia rządów całego państwa w swem ręku. I nie zawiodło go to przymierze, a znak Chrystusa, objawiony mu we śnie czy widzeniu, którym ozdobił swe legiony przed walką z Maksencyuszem u bram Rzymu, prowadził go odtąd stale od zwycięstwa do zwycięstwa. Konstantyn wierzył, że znak ten powodzenie i szczęście mu przynósi, że w jego imię zawładnie państwem, aby je odrodzić i wskrzesić dawną jego świetność. A owo pierwsze wielkie, o losach dalszych państwa rozstrzygające zwycięstwo, nad synem Maksymiana, który kiedyś z Dyoklecyanem rządy cesarstwa dzielił, miał upamiętnić w Rzymie, w tej głównej stolicy kultu pogańskiego posąg zwycięzcy o krzyż opartego, na którem widniał wiele mówiący o przyszłości napis: „Przez ów znak zbawienia, dowód prawdziwego męstwa, uwolniłem miasto wasze od jarzma tyrana i przywróciłem dawny blask senatowi i ludowi rzymskiemu".

To niesłychanie śmiałe wystąpienie Konstantyna, to tak dziwne przerzucenie się na stronę tych, których państwo dotąd jako swych wrogów i wyrzutków społeczeństwa niszczyło, różne a bardzo sprzeczne wywoływało i wywołuje sądy. Jestto jednak zwykłym udziałem ludzi wielkich i niepospolitych postaci, że ich postępowanie bardzo różnorodnie i często namiętnie bywa oceniane. Konstantyn więc nie stanowi wyjątku. Tak jak dawniej i dziś mniemania są podzielone, czy ów związek jego z chrześcijaństwem był wypływem potrzeby jego ducha, czy była to tylko zimna rachuba polityczna natury na wskróś egoistycznej. Nie-

brak zarzutów, że na ustach tylko miał słowa chrześcijańskie a w głębi ducha był takim samym poganinem jak ci, których trony obalał, on, co zabić kazał własnego syna i swą żonę, swego szwagra cesarza Liciniusza, którego zachować przy życiu przyrzekał i jego potomka, on, co zwlekał z przyjęciem chrztu do samej śmierci, aby od razu uzyskać przebaczenie wszystkich grzechów, jakie popełnił. Pewnie, że te mordy, spowodowane porywczością, albo wyroki śmierci wywołane lub podyktowane racyą stanu, trudno usprawiedliwiać lub pochwalać, ale na nich sądu o Konstantynie, czy z przekonania przyjął wiarę chrześcijańską chyba opierać nie należy, gdyż w takim razie wielu z panujących chrześcijańskich możnaby od chrześcijaństwa odsądzić. A ów powód zwlekania z chrztem, gdyby był prawdziwym, świadczyćby musiał właśnie o jego wierze w chrześcijańskie win odpuszczenie. W duszę tego rodzaju postaci, jaką był Konstantyn nie łatwo było wniknąć nawet współczesnym, chociaż mieli sposobność bezpośrednich spostrzeżeń, tem mniej później zwłaszcza z oddalenia tylu wieków. Relacye współczesnych, nieraz stronniczo a w każdym razie subjektywnie zabarwione, lub na niezbyt bystrem i trafnem spostrzeganiu polegające, również zawodne często być mogą. Pozostają wprawdzie czyny, lecz niestety nie wszystkie, bo nie wszystkie zapisała historya.

Że charakter Konstantyna nie był codziennej i przeciętnej miary, że był to umysł orlego lotu, nie ulega wątpliwości, zwykłej też miary do jego ocenienia stosować nie wolno, a sprzeczności w czynach wielkością zamysłów, na które się ważył, tłumaczyć trzeba. Wódz bohaterski pełen stanowczości i osobistej odwagi a nieraz lekkomyślnej niemal śmiałości, jak w swej wyprawie na Rzym Maksencyusza, był zarazem despotą, jak to wypływało z istoty władzy cesarskiej i jakim musiał być cesarz rzymski, aby państwo w karbach utrzymać. Chociaż z natury łagodny i przystępny miewał jednak chwile wybuchów gwałtowności i w swem życiu religijnem nie mógł się przeobrazić w ascetę lub świętego, za wiele bowiem tkwiło w nim zdawna pierwiastków pogańskiego świata, które się w jego duszy z chrześcijaństwem łamały. Ale chrześcijaninem był z przekonania, bo nie mogły być

kłamstwem jego akty ustawodawcze przejęte duchem chrześcijaństwa, budowa licznych wspaniałych świątyń chrześcijańskich, nie mogło być obłudą chrześcijańskie wychowanie dzieci, i powołanie na nauczyciela najstarszego syna, tak wybitnego wśród chrześcijan męża, jakim był Laktancyusz. Zasad chrześcijańskich Konstantyn z domu nie wyniósł, co najwyżej chyba pewne przekonania monoteistyczne z modnej filozofii nowoplatońskiej zaczerpnięte, ale, jak już zaznaczyliśmy, mógł wynieść pewne przychylne dla wiary chrześcijańskiej usposobienie i z czasem coraz więcej ku chrześcijaństwu zaczął się skłaniać. W jaki sposób odbywał się w jego umyśle ów proces duchowy i gdzie był jego początek, dziś dociec trudno. Może jeszcze w czasie pobytu na dworze Dyoklecyana odwracając się ze zgrozą od mąk i katuszy chrześcijanom zadawanych, przejął się naprzód podziwem i poszanowaniem dla stałości wyznawców wiary Chrystusowej i zapragnął poznać bliżej te zasady i tę religię, dla której tylu tak ochoczo do śmierci się garnęło. A sposobności po temu nie brakło, bo tam na Wschodzie mógł licznych a niepospolitych znaleźć nauczycieli. Może równocześnie i chrześcijanie umieli trafić do młodego księcia, o którego ojcu w gminach chrześcijańskich dobrze mówiono, a który może nie taił się z tem, że ów dwór wschodni, tak różny od dworu jego ojca w Galii, nie był po jego myśli. Tak więc powoli umacniał się Konstantyn w swej przychylności do wiary Chrystusowej, a gdy mógł stanąć samoistnie, wystąpił wprost jako jej zwolennik z tą energią i stanowczością, którą dać może tylko siła przekonania.

Jako bystry polityk jednak oceniał on zarazem dobrze, i w tem tkwi rys genialny jego umysłu, jakie znaczenie może mieć ta wiara dla przyszłości państwa. Wierzył on niewątpliwie, tak samo jak wszyscy jego poprzednicy, że istnienie i potęga państwa na religii również opierać się musi, chciał więc tak samo zapewnić swemu państwu silną religijną podstawę. Podstawą tą nie mogło być już ani pogaństwo, które w starciu z chrześcijaństwem wykazało swoją bezsilność, ani nieokreślony i nieuchwytny filozoficzny deizm, który wszystkich warstw ludności przeniknąć nie był w stanie ani ich potrzeb religijnych zaspokoić,

mogła zaś nią być religia chrześcijańska. Wykazała ona bowiem w swych dotychczasowych dziejach i w swym rozwoju tak dziwną i cudowną żywotność i dowiodła, że może stać się wiarą powszechną, potrzebną dla jednolitości państwa. Więc na niej postanowił oprzeć się Konstantyn tem bardziej, że sam o jej wielkiej duchowej wartości i o jej prawdziwości był silnie przekonanym. Zwlekał zaś z przyjęciem chrztu do końca życia z tej prostej przyczyny, że większość jego poddanych nie była jeszcze chrześcijańską, z tem musiał się liczyć i musiał zachować sobie wpływ na tę ludność. Wobec jej liczebnej przewagi nie mógł też wystąpić wprost z zabronieniem dawnego kultu państwowego, nie mógł owego kultu usunąć odrazu poza ramy porządku państwowego, lecz starał się przygotować i urządzić wszystko tak, aby to najrychlej nastąpiło. A pierwszym krokiem do tego celu był właśnie **Edykt medyolański,** który obejmował zarazem program rządów Konstantyna i jego polityki kościelnej.

Kiedy w umyśle Konstantyna powstał i dojrzał określony zamiar zjednoczenia cesarstwa, oznaczyć dokładnie nie można, znane zdarzenia dziejowe sprawiaćby nawet mogły wrażenie, że wypadki ówczesne same ku temu celowi go niosły, wszak w walce z Maksencyuszem on był stroną wyzwaną, bo Maksencyusz mszcząc się rzekomo śmierci swego ojca, który może nawet w porozumieniu z synem bunt przeciw Konstantynowi w jego ziemiach rozniecić usiłował, poobalał w Rzymie posągi Konstantyna i tem samem wojnę mu wypowiedział. Tak samo później Liciniusz ciągle go niepokoił, aż przez swój sprzeczny z poręczonemi prawami ucisk chrześcijan nadużył jego cierpliwości i wyprowadził ze spokoju.

Błędem jednak byłoby oceniając dążenia Konstantyna, oprzeć się na tych dwóch faktach wyłącznie. Nie znamy wprawdzie wielu tajemnic ówczesnej gry dyplomatycznej a zapewne także wielu ważnych wydarzeń, któreby postępowanie Konstantyna, odkąd po swym nastąpił ojcu, bliżej wyjaśnić i wytłumaczyć mogły, wiemy jednak, że już w walce z Maksencyuszem uciekł się do pomocy Boga chrześcijan, a ta okoliczność zniewala do wniosku, że już wtedy nosił się z daleko sięgającymi planami, jakie

go do zjednoczenia rządów całego państwa w swym ręku prowadzić miały.

Maksencyusz, który po zwyciężeniu zamianowanego przez Galeryusza cezara Sewera zajął Rzym i gotował się do wystąpienia przeciw tegoż następcy Liciniuszowi, chociaż jako niesłusznie od tronu odsunięty syn cesarski mógł się czuć pokrzywdzonym, uchodził w oczach ówczesnych władców cesarstwa za uzurpatora, był on także srogim tyranem i ciemiężcą swoich poddanych, ale prześladowcą wiary chrześcijan nie był właściwie nigdy, owszem natychmiast po zajęciu Rzymu wstrzymał ówczesne prześladowanie i dał chrześcijanom więcej, niż im dawał Galeryusz, gdyż zwrócił im zabrane przez Dyoklecyana sprzęty kościelne, podniesienie więc przeciwko niemu przez Konstantyna hasła walki pod znakiem krzyża nie mogło mieć znaczenia lokalnego, lecz tylko ogólno państwowe. W Rzymie i we Włoszech hasło to niewielu zjednać mu mogło stronników, ale na Wschodzie, gdzie Kościół liczebnie był najsilniejszym, głośnem musiało odbić się echem. Widocznie więc już wtedy rachuby polityczne Konstantyna daleko poza Rzym i Włochy sięgały. Konstantyn tedy odrazu stanął w obliczu całego państwa jako szermierz nowych idei i odtąd też wszystkie jego walki do zjednoczenia państwa zmierzające nosiły na sobie nawet na zewnątrz wszelkie oznaki walki o sprawę chrześcijaństwa.

Po pokonaniu Maksencyusza dwóch jeszcze obok Konstantyna pozostało cesarzy, Liciniusz, którego dzielnica graniczyła z jego ziemiami i Maksymin Daja władca prowincyi wschodnich poza Europą, jeden z największych wrogów chrześcijaństwa. On to właśnie po śmierci Galeryusza osnuł plany, aby w przymierzu z Maksencyuszem pozbyć się i Konstantyna i Liciniusza i z nim tylko podzielić rządy cesarstwa, lecz świetne zwycięstwo przy moście milwijskim na Tybrze udaremniło te zamysły. Wspólne zaś niebezpieczeństwo połączyło wówczas chwilowo Konstantyna z Liciniuszem, a wzajemne ich porozumienie utwierdziły nawet związki rodzinne, gdyż Konstantyn oddał swą siostrę Konstancyę Liciniuszowi w małżeństwo. Związek ów został uroczyście w początku r. 313 w Medyolanie zawarty i tam

też odbyli równocześnie obaj cesarze wyczerpujące narady na temat spraw politycznych na porządku dziennym stojących, a wśród nich poruszono także sprawę stanowiska chrześcijaństwa w państwie. Dążenia Konstantyna przychylne dla Kościoła oporu u szwagra nie napotkały, wynikiem zaś ich narad nad tą sprawą były pamiętne postanowienia znane pod nazwą edyktu medyolańskiego. O treści tych postanowień i ich brzmieniu posiadamy tylko pośrednie wiadomości, bo nie dochował się żaden akt sprawy chrześcijan dotyczący, któryby nosił datę medyolańską. Znanym jest tylko ów tekst, jaki te postanowienia posiadają w reskrypcie wydanym przez Liciniusza dnia 13 czerwca 313 r. w Nikomedyi, gdy po zwycięstwie nad Maksyminem Dają zajął jego stolicę. Nie można jednak z tego powodu podawać w wątpliwość istnienia w ogóle jakiegokolwiek edyktu medyolańskiego, któryby się sprawą chrześcijan zajmował, gdyż ów reskrypt Liciniusza wyraźnie o wspólnych z Konstantynem powziętych w Medyolanie postanowieniach wspomina i ich brzmienie podaje, są to więc bezsprzecznie postanowienia medyolańskie, które tak samo jak w Nikomedyi przez Liciniusza, również i przez obu cesarzy przedtem jeszcze w ich dzielnicach musiały być ogłoszone, a tak samo obaj cesarze musieli wydać i bliższe przepisy zmierzające do przeprowadzenia tego, co w Medyolanie uchwalono. Przepisy takie mieszczą się w dalszym ciągu nikomedyjskiego reskryptu Liciniusza, podobne zaś zupełnie, lecz odrębnie sformułowane postanowienia obejmuje także osobny reskrypt Konstantyna w r. 313 na ręce Anulina prokonsula prowincyi Afryki wydany. Wobec tego tem bardziej jest prawdopodobnem, że w Medyolanie ogłoszono równocześnie jedynie zasady ogólne, które na razie tylko w państwach Konstantyna i Liciniusza obowiązywały, gdy zaś Liciniusz rozpoczął podbój państwa Maksymina ogłoszono je także w Nikomedyi dla Wschodu, uzupełniając przepisami dodatkowymi w stylizacyi do nowych warunków przystosowanej, podobnej zresztą zupełnie do tej, jaką posiadały reskrypty wykonawcze obu cesarzy do postanowień medyolańskich w ich terytoryach się odnoszące i z niemi właściwie jedną stanowiące całość. Dochował się tylko tekst reskryptu Liciniusza,

ponieważ ci dwaj pisarze Laktancyusz i Euzebiusz, którzy nam przekazali jego brzmienie, pisali swe dzieła na Wschodzie, gdzie właśnie owe źródła Wschodu dotyczące mieli pod ręką, nie szukali zaś innych dlatego, bo się ich treść wobec zasady jednolitości ustawodawstwa w czasach podziału rządów państwa wzajemnie pokrywała. Przypuszczenie też, jakoby uchwały medyolańskie dopiero po raz pierwszy w Nikomedyi były ogłoszone, w braku może uprzedniej zgody Maksymina, nie wydaje się prawdopodobnem. Zwłoka taka, zwłaszcza przy sprawie ważnej i piekącej, trudną byłaby wogóle do wytłumaczenia, tem bardziej, że już w Medyolanie doszła obu cesarzy wieść o rozpoczęciu przez Maksymina kroków nieprzyjacielskich przeciw Liciniuszowi, więc się na niego dłużej oglądać nie było potrzeba. Wobec jedności cesarstwa pomimo wielu władców, zasady prawne chrześcijan dotyczące a w Medyolanie omówione, musiały być w całem państwie te same a reskrypt Liciniusza oddał je z pewnością wiernie, gdy chodziło o wprowadzenie ich w wykonanie także w ziemiach Maksymina, który po zgonie Galeryusza, pomimo jego edyktu tolerancyjnego, utrudniał chrześcijanom swobodne wyznawanie wiary Chrystusowej i rozpoczął niebawem nowe prześladowania, wywołując przeciwko nim petycye miast swego państwa, wstrzymał zaś je dopiero po klęsce poniesionej w walce z Liciniuszem, ogłaszając w r. 313 edykt do jego reskryptu podobny. Owe szczególne stosunki na wschodzie cesarstwa panujące znalazły też swój wyraz we wstępie do reskryptu Liciniusza, jak go nam przechował współczesny Euzebiusz z Cezarei w swej historyi Kościoła, poprzedzając nim ustęp obejmujący treść postanowień medyolańskich. W tym ustępie zaś wyraźnie zaznaczono, że chrześcijan, chociaż im wolność wyznania przez państwo przyznaną została, tylu różnorodnymi warunkami skrępowano, że ich to od wykonywania przepisów religijnych odstraszało, dlatego obecnie stosownie do powziętych w Medyolanie uchwał, wydano odpowiednie normy. Zapominać przytem nie można, że ogłoszenie postanowień Medyolańskich przez Liciniusza nie było z pewnością wypływem wyłącznej jego woli i inicyatywy. Liciniusz, natura na wskróś barbarzyńska i najzupełniej

zabobonom pogańskim oddana, chociaż naśladując Konstantyna posługiwał się wezwaniem pomocy Boga chrześcijan w walce z Maksyminem, nigdy do wiary chrześcijańskiej się nie skłaniał, i później nawet gnębić ją począł, a wobec tego byłoby co najmniej dziwnem, gdyby on pierwszy w Nikomedyi uchwały Medyolańskie ogłosił. Widocznie ogłoszenie ich dla Wschodu było naprzód z Konstantynem omówione, kiedy dla Zachodu cesarstwa były już zapewne z datą medyolańską ogłoszone. Historya może więc w każdym razie mówić o edykcie medyolańskim chociaż znanym jest tylko reskrypt z Nikomedyi.

* * *

Jeżeli o formę i chwilę ogłoszenia postanowień medyolańskich możnaby się spierać, to treść ich natomist nie ulega żadnej wątpliwości. Ujął ją Liciniusz w swem urzędowem ogłoszeniu w następujące wyrazy: „Gdyśmy się szczęśliwie ja cesarz Konstantyn jak również ja cesarz Liciniusz w Medyolanie zjechali i o wszystkiem co dotyczy dobra i bezpieczeństwa publicznego rozprawiali, sądziliśmy, że te sprawy między innymi, co dla wielu poczytywaliśmy za korzystne, przedewszystkiem winny być urządzone, które odnoszą się do czci bóstwa, abyśmy dali i chrześcijanom i wszystkim zupełną wolność wyznawania religii, jaką każdy zechce, przez coby bóstwo na tronie niebieskim, dla nas i wszystkich, którzy naszej podlegają władzy, mogło być zjednane i łaskawe. Ze zbawiennych więc i słusznych powodów postanowiliśmy uchwalić, że nikomu nie można zabronić swobody, kto albo myśl swą skłoni do wyznania chrześcijańskiej albo do tej religii, którą sam dla siebie jako najodpowiedniejszą uzna, aby najwyższe bóstwo, którego czci wolnym oddajemy się umysłem, darzyło nas we wszystkiem zwykłą względnością i przychylnością“. Słowa te stanowią główną i zasadniczą część reskryptu Liciniusza, a do nich dopiero nawiązano w dalszym ciągu tego aktu przepisy szczegółowe, w pierwszym rzędzie do namiestników prowincyi skierowane, i mające na celu wykonanie tych postanowień i odpowiednie zastosowanie ich do chrześcijan. Nakazano więc zarazem, uchylając wszystkie dawniejsze

ustawy w sprawie chrześcijan wydane, że mają ustać wszelkie, utrudnienia i przeszkody wyznawaniu ich wiary stawiane, gdyż im w tym względzie zupełna wolność została przyznaną, tak samo jak przyznano „dla spokoju tych czasów" podobną wolność i swobodę innym także religiom i wyznaniom. W szczególności zaś chrześcijanom mają być zwrócone te miejsca ich zebrań (t. j. kościoły i cmentarze), które im w czasach dawniejszych zostały zabrane na skarb państwa lub komukolwiek sprzedane albo darowane. Zwrot ma być dokonany natychmiast i to bezpłatnie przyczem zapewniono wynagrodzenie z funduszów publicznych tym, którzy obecnie to, co z posiadłości chrześcijan mieli, oddadzą. Ponieważ chrześcijanie nadto i inne miejsca dawniej posiadali, należące nie do osób prywatnych, lecz do ich korporacyi t. j. kościołów, przeto i te w ten sposób jak tamte ich korporacyi i ich zebraniom oddać należy.[1]

Niezwykłej rzeczywiście treści były medyolańskie uchwały, ich brzmienie bowiem zdaje się zrywać nietylko z całą tradycyą rzymskiego państwa, lecz także z temi głównemi zasadami, na jakich się państwo wogóle w świecie starożytnym opierało, wiążąc się ściśle z pewną oznaczoną religią. Tu natomiast proklamowano zasady wprost z temi pojęciami sprzeczne, uchylające ów związek stanowczo, zasady zupełnej wolności sumienia, zupełnej swobody dla wszystkich wyznań i religii. Odtąd miało być wolno każdemu przechodzić z jednego wyznania na drugie bez żadnego ograniczenia, a wszystkie wyznania i religie zostały ze sobą zrównane. Tylko cześć bóstwa ogólnie miała być na przyszłość zapewnioną, ale bóstwa tego nie określono ani nazwano,

[1] Tekst reskryptu Liciniusza, pomijając ów wstęp podany tylko przez Euzebiusza, da się mniej więcej dość dokładnie ustalić. Za podstawę przyjąć należy stylizacyę w brzmieniu przechowanem w języku łacińskim u Laktancyusza (De mortibus persecutorum c. 48), bo to był niewątpliwie tekst oryginalny, drobne zaś różnice, jakie zachodzą między tą stylizacyą a stylizacyą w tłumaczeniu greckiem u Euzebiusza (ks. X. rozd. 5), są częścią następstwem pewnej swobody przekładu, częścią zaś pochodzą prawdopodobnie stąd, że Euzebiusz, korzystał z jakiejś odrębnej późniejszej redakcyi reskryptu dla Palestyny. Różnice te jednak nie wpływają w sposób donioślejszy na zrozumienie treści samego reskryptu. (Zob. Hülle: *Die Toleranzerlasse römischer Kaiser für das Christentum bis zum Jahre 313.* Berlin 1895 str. 88—92).

owszem uchwała medyolańska z całą świadomością używa wyrażeń ogólnikowych (*divinitas*), które możnaby zastosować do każdej religii. I na łuku tryumfalnym Konstantyna, postawionym w Rzymie w r. 315 z mocy uchwały pogańskiego na wskróś senatu znalazły się również podobne słowa o natchnieniu bóstwa (*Instinctu divinitatis*), które wszystkim wyznaniom odpowiadać mogły.

Zdawałoby się więc, że w dalszem następstwie było dążeniem uchwał w Medyolanie, aby usunąć równocześnie sprawę religijnych różnic z dziedziny polityki wewnętrznej państwa i zapewnić mu przez to spokój pożądany. Takby się na pozór wydawało, a jednak poza zewnętrznem brzmieniem słów medyolańskich postanowień kryje się myśl inna i inny cel ściśle określony. Postanowienia te w rzeczywistości nie zrywały z dawnemi zasadami, lecz godziły tylko wprost w dotychczasowy kult panujący, który odtąd przestawał być religią państwową wyłączną, a tem samem tracił wyjątkowe uprzywilejowane w państwie stanowisko, inne religie miały obok niego zająć podobne miejsce, jakie on sam dotąd zajmował, a wobec tego nie mogło już ulegać wątpliwości, jaką koleją potoczą się dalsze wypadki dziejowe. W Medyolanie uznano wprawdzie wolność wszystkich wyznań i kultów, lecz nie należy brać tego postanowienia dosłownie, bo i nadal nie mogłyby być dopuszczone kulty, któreby wykraczały wogóle przeciw ustawom państwowym a zwłaszcza przyjętym w nich prawidłom moralnym. Wszak Konstantyn sam pomimo swej głoszonej tolerancyi wystąpił przeciwko rozwiązłemu kultowi Afrodyty w Aphaka na Libanie lub oszukańczym kultom Asklepiosa w Egei i kapłanów w Heliopolis, owa wolność wyznania zaś odnosiła się głównie do religii chrześcijańskiej, która na razie miała się stać obok dawnego urzędowego kultu drugą religią państwową. W całym tekście reskryptu Liciniusza, ona jedna tylko wyraźnie została wymienioną i była w treści uchwał medyolańskich jak i w dalszych postanowieniach reskryptu na pierwszy plan wysuniętą, innych religii ani nie nazwano, ani nie określano, widocznie więc o nią głównie, jeżeli nie wyłącznie, chodziło. Kiedy zaś zyskała wszelką swobodę i zrównanie z dawną państwo-

wą religią, było już tylko kwestyą czasu, kiedy zostanie sama wyłącznie religią panującą. Wszak kult państwowy cofał się dotąd przed nią stale, pomimo prześladowań i wszelkich wysiłków władzy państwowej, pozbawiony zaś tej pomocy musiał jej uledz i zniknąć stopniowo zupełnie. A w miarę jak chrześcijaństwo co raz to więcej zdobywało gruntu, musiały te prawa i przywileje, jakiemi się dotąd cieszyła religia państwowa, przejść na ową nową religię, gdyż ówczesne państwo nie mogło być bezwyznaniowem, bo takie zasady były wprost niezgodne z jego istotą i ówczesnemi pojęciami. Uchwała medyolańska, odbierając dotychczasowe znaczenie dawnemu kultowi państwowemu, stworzyła podstawę dla tej ewolucyi. W jej następstwie zwrócono zaraz chrześcijanom wszelkie zabrane im majątki, lecz co więcej uznano osobowość prawną Kościoła na wzór dawnych *collegia templorum*, kładąc temsamem podwaliny pod jego przyszłą potęgę materyalną, której mu dotąd przy potędze moralnej nie dostawało. Odpadły również wszelkie ograniczenia w dopuszczeniu chrześcijan do urzędów państwowych i godności tak cywilnych jak wojskowych, a tem samem otwartą została Kościołowi droga do wywierania stanowczego wpływu na stosunki społeczne i polityczne w państwie. Niebawem dalsze nastąpiły przywileje, że wymienimy tylko ważniejsze. Kościół zyskuje zdolność dziedziczenia na podstawie rozporządzeń ostatniej woli, ulgi od podatków i ciężarów państwowych, duchowni podobnie jak kapłani dawnego kultu państwowego zostają uwolnieni od uciążliwych bardzo urzędów municypalnych w miastach, a państwo wspomaga Kościół swoimi funduszami. Nadto w uznaniu działalności Kościoła jako opiekuna biednych i uciśnionych dozwolono biskupom odwiedzać więzienia i nieść tam pociechy religijne, osobną także ustawą przyznano Kościołowi prawo wyzwalania niewolników w kościele przed zgromadzoną gminą z pominięciem formalności dotychczasowych, wreszcie uznał Konstantyn (r. 321 i 330) sądownictwo polubowne biskupów nawet gdyby jedna strona do sądu biskupiego się odwołała i polecił wykonywać ich wyroki władzom państwowym. W całem też ustawodawstwie cesarza, w jego licznych różnorodnych przepisach, czy to z dziedziny

prawa prywatnego, czy procesu, prawa karnego czy administracyi przebija się wszędzie bardzo daleko sięgający wpływ etyki chrześcijańskiej i chrześcijańskich poglądów na świat i ludzkie sprawy, chociażby to nie odpowiadało ani tradycyi ani nawet potrzebom polityki ustawodawczej państwowej. Znamiennem zwłaszcza tego przykładem było ograniczenie, jakiego doznała *Lex Julia et Papia Poppaea* od 300 lat od czasów Augusta (r. 12) obowiązująca ustawa, wywołana koniecznością poprawy stosunków spowodowanych rozwiązłością życia i upadkiem moralności w ówczesnym Rzymie, gdy się szerzył wstręt do zawierania małżeństw i gdy związki małżeńskie najczęściej z umysłu były bezdzietnymi. Ustawa ta, która dla przeciwdziałania temu tak dla państwa szkodliwemu i opłakanemu stanowi rzeczy zagrażała całym szeregiem ujemnych skutków dla bezżennych i bezdzietnych, znalazła się jednak w sprzeczności z głoszonym przez Kościół poglądem na ideał dziewiczego i czystego życia, więc pomimo, że może i w państwie Konstantyna stosunki nie o wiele się poprawiły, została odpowiednio zmienioną, zapewne w przypuszczeniu, że gdy zasady chrześcijańskie o sakramencie małżeństwa przeniknął do ogółu ludności, będą owe jej przepisy już zbyteczne i niepotrzebne. Nie mogło więc już dla nikogo być tajnem, że owo nieokreślone bóstwo w uchwałach medyolańskich, o którem odtąd w aktach państwowych coraz częściej się czyta lub w publicznych wystąpieniach cesarza słyszy, począwszy od odezwy do synodu w Arles z r. 314, to Bóg chrześcijan, a tej powolnej przemianie państwa rzymskiego w państwo chrześcijańskie towarzyszyły także zewnętrzne oznaki. Na miejscach życia i męki Pańskiej i na grobach książąt apostołów Piotra i Pawła w Rzymie stanęły z hojnej fundacyi cesarskiej wspaniałe bazyliki, wojsko otrzymało jako ozdoby monogram Chrystusa, dzień Pański niedziela zostaje uznany jako dzień świąteczny (r. 321), w którym urzędowanie publiczne władz miejskich winno być zawieszone i na monetach cesarskich zjawiają się coraz liczniej symbole chrześcijańskie. A na jednej z nich widnieje „*Labarum*“ owa chorągiew z monogramem Chrystusa, która prowadziła cesarza do pierwszego wielkiego zwycięstwa, otwierają-

cego mu drogę do przyszłego zjednoczenia państwa, wbita dolnym swym końcem w ciało węża, był to wymowny symbol zwycięstwa Boga chrześcijańskiego nad pogaństwem.

Zwycięstwo to coraz szybszym zbliżało się krokiem, gdyż równolegle z owem uprzywilejowaniem Kościoła, mnożą się przepisy cesarskie wymierzone przeciw kultowi dawnemu, mnożą się one zwłaszcza od czasu, gdy wojsko i urzędy w państwie zapełniły się chrześcijanami i gdy z upadkiem i śmiercią Liciniusza, (r. 324) runęła ostatnia zapora w skupieniu rządów całego państwa w ręku Konstantyna.

Wprawdzie cesarz, jak do końca życia z przyjęciem chrztu się ociągał, tak też do śmierci zatrzymał tytuł najwyższego kapłana dawnego kultu i jako *pontifex maximus* pozostał jego głową, pono przy poświęceniu nowej stolicy cesarstwa nad Bosforem miały się odbywać także ceremonie na cześć dawnych bogów, aby nowemu miastu ich przychylność zapewnić, a w tych pogańskich obrzędach miał mieć udział także blisko bardzo osoby cesarza stojący i jego do zgonu zaufany nowoplatończyk Sopater, to jednak fakty te nie świadczyły ani o zamiarze podtrzymania czy zachowania dawnych wierzeń, ani o możliwem jakiemś wahaniu się lub niezdecydowaniu ze strony cesarza, ani wreszcie nawet o chęci dotrzymania przyrzeczonej wszystkim wyznaniom w państwie tolerancyi, lub równouprawnienia albo co więcej, jak z różnych stron twierdzono o zamiarach zjednoczenia wszystkich religii w państwie w jedną wspólną religię państwową. Konstantyn nie wahał się wcale, gdyż dawno już, wyprawiając się na zdobycie Rzymu, dokonał wyboru bóstwa, którego opiece i łasce miał się poświęcić, a przytoczone fakty dowodzą tylko jego wielkiej zręczności politycznej, że przed czasem nie zrywał wszelkich stosunków państwa z dawnym kultem urzędowym i zachował jego naczelne kierownictwo, aby mieć ciągłe z nim czucie i ciągłą nad nim kontrolę, tak by z tej strony nie obawiać się żadnego niebezpieczeństwa dla swych planów gruntownego przeobrażenia podstaw religijnych państwa. Równocześnie bowiem we wszystkich swoich wystąpieniach publicznych, w okazywaniu czci kierownikom Kościoła oświadczał się

wyraźnie tak, jakgdyby do Kościoła należał, a chociaż go po śmierci pogański senat Rzymu podobnie jak i jego poprzedników między bogi zamieścił, za życia nie dopuszczał do tego, aby jego posągom boską cześć oddawano, gdy zaś raz jedno prowincyonalne miasto w Umbryi Hispellum (Spello) prosiło go o pozwolenie postawienia świątyni dla rodu Flawiuszów, zastrzegł stanowczo, aby w przybytku jego imieniowi poświęconemu nie odbywały się żadne zabobonne praktyki. W miarę jak cesarz wznosił świątynie chrześcijańskie, zabronił odnawiać chylące się do ruiny świątynie pogańskie, niektóre z nich kazał zamknąć, zabierając ich skarby i majątki na skarb publiczny, pojawił się także zakaz stawiania nowych bogom posągów. Już w r. 319 zniesiono prywatne *haruspicia*, a niebawem w r. 324 wzbronione zostały zapytywania wróżb przez funkcyonaryuszy państwowych, a w ślad za tem nastąpiło zasystowanie wyroczni i pojawił się zakaz sprawowania ofiar przez urzędników. Państwo zerwało więc w ten sposób swą łączność z dawnym kultem państwowym, a jakkolwiek nie da się stwierdzić dokładnie, aby Konstantyn, jak często się czyta, zabronił wogóle składania ofiar na ołtarzach bogów, to jednak jego owe postanowienia drogę do podobnego zakazu zupełnie utorowały. W ten sposób nie odrazu lecz zwolna dążył Konstantyn do osłabienia dawnego kultu i do usunięcia mu gruntu, tak, aby jego upadek był niewątpliwy, a tem oględnem i przezornem postępowaniem tłumaczyć należy, że się ow przewrót odbył bez gwałtownych wstrząśnień i rewolucyi, pomimo, że większa część cesarstwa była jeszcze ciągle pogańską. Ale kult dawny pozbawiony treści i znajdujący się w zupełnym rozkładzie nie był zdolnym do jakiegoś energiczniejszego odporu, brakło mu na jednolitości i ściślejszej organizacyi, któraby jakąś celową akcyą pokierować mogła, brakło mu także już teraz i poparcia tłumów, gdyż dzięki potężnej osobistości Konstantyna, która i na tłumy oddziaływać umiała, dzięki również sile Kościoła, religia chrześciańska, jak przedtem była niepopularną, tak teraz zyskała taką popularność, że się przychylność szerokich mas ludności, zwłaszcza na greckim wschodzie w ziemiach o wyższej kulturze ku niej odrazu zwróciła. Konstantyn umiał

tę siłę Kościoła ocenić i w sposób genialny z niej skorzystać dla odrodzenia państwa, przewidział, że Kościół, który dał świetne dowody, jak pomimo największych trudności umie skupiać dla wspólnego idealnego celu najróżnorodniejsze żywioły i utrzymywać je w tej łączności wskutek swej silnej organizacyi i głębokiego przekonania religijnego, może być dla państwa z nim związanego najsilniejszą podporą, że może na długie czasy uchronić je od rozstroju i upadku. I nie omylił się w swoich przewidywaniach, bo ów związek z Kościołem zapewnił byt państwu rzymskiemu na Wschodzie, gdzie sobie Konstantyn nową założył stolicę i dokąd powoli przenosił się punkt ciężkości całego państwa, na lat z górą tysiąc. Upadło ono dopiero w zetknięciu z fanatyzmem innej religii, której, gdy własna przez schizmę skostniała, oporu skutecznego przeciwstawić nie zdołało. Na zachodzie zaś, gdzie postęp chrześcijaństwa był znacznie powolniejszy, gdzie silny napływ barbarzyńców z północy wprowadził za wiele żywiołów do przejęcia się chrześcijaństwem kulturalnie nieprzygotowanych, nastąpił też rychło upadek rzymskiego państwa, ale wskrzeszonem zostało ono znowu dzięki Kościołowi i jego ideałom w monarchii Karola W., która miała być wcieleniem idei uniwersalnego państwa w związku z uniwersalnym kościołem.

Zawiązek zaś tych wszystkich wydarzeń dziejowych tkwił w uchwałach medyolańskich, których celem, pomimo ich brzmienia, nie było ani równouprawnienie czy złączenie wyznań ani indyferentyzm religijny, ale zapewnienie Kościołowi stanowiska religii wyłącznej, na której państwo po usunięciu dawnych bezwartościowych wierzeń mogłoby się skutecznie oprzeć.

Uchwały te nie zrywały więc wcale z zasadami i tradycyą państwa rzymskiego, państwo bowiem i nadal miało mieć swój własny kult państwowy służący jego celom. Pozbyło się tylko najgorszego a wybrało najlepszy. A kiedy te nowe i ożywcze prądy, jakie z sobą przyniosło chrześcijaństwo, zaczęły przenikać ogół ówczesny, kończyło się już tem samem istnienie starożytnego świata, bo nowe przed nim otwarło się życie.

* * *

Jeden z najwybitniejszych historyków niedawnej doby, Ranke, oceniając działalność Konstantyna w dziejach, tak się wyraził: „On pogodził ze sobą obie siły świata, które się nawzajem zwalczały, potęgę rzymskiego imperyum i nową religię światową, chrześcijaństwo. Przez to pierwsze stało się raz jeszcze zdolnem do życia, drugiemu otwartą została droga do wewnętrznego wyrobienia się i najszerszego na zewnątrz rozprzestrzenienia. Jestto to jedno z najznamienitszych wydarzeń w całej historyi".[1] Sąd na ogół bardzo trafny, ale w określeniu znaczenia dla dziejów Kościoła tego wielkiego momentu, kiedy ogłoszono uchwały medyolańskie, wymaga pewnego uzupełnienia i odpowiedniego oświetlenia. Wiadomo, jak starożytne państwo, które widziało w sobie samem ostateczny i najwyższy cel życia ludzkości, jego najwyższą doskonałość, nie cierpiało żadnej innej obok siebie władzy, dlatego ten węzeł Kościoła z państwem, jaki zadzierżgnął Konstantyn, mógł dla Kościoła fatalne bardzo i zgubne pociągnąć następstwa. Konstantyn nie miał wcale zamiaru pozostawić tej potęgi duchowej, jaką przedstawiał Kościół, poza ustrojem państwa, lecz owszem w całej swej polityce kościelnej dążył do wciągnięcia go w organizacyę państwową i do zużytkowania go dla celów państwowych. Inaczej też wobec ówczesnych wyobrażeń być nawet nie mogło. Cesarz chociaż odnosił się z najwyższym szacunkiem do tej nowej wiary, do której się skłonił, nie myślał wcale zrzekać się władzy, jaką dawny imperator wobec kultu państwowego posiadał, prawda, że w stosunku do Kościoła musiało wykonywanie jej być w wielu kierunkach odmienne, ale Konstantyn i wobec niego jako władca występował, zwołując synody i przewodnicząc im nieraz, zabierając głos w sprawach dogmatycznych i regulując własnem ustawodawstwem sprawy kościelne.

Nie można też żadną miarą sądzić,[2] jakoby Kościół sam wyzbył się wówczas swej samodzielności na rzecz władzy cesarskiej

---

[1] *Weltgeschichte*, 3 wyd. T. III. 1. str. 502.

[2] Jak n. p. Seeck: *Geschichte des Untergangs der Antiken Welt* B. I. Berlin 1897, str. 64, lub Schwartz: *Kaiser Constantin und die christliche Kirche*, Leipzig—Berlin 1913, str. 82.

dlatego, że potrzebował jej pomocy w walkach partyjnych toczących się wewnątrz Kościoła na tle sporów dogmatycznych, lub z powodu, że obawiał się utracić prawa do korzystania z dobrodziejstw cesarza, względy takie, gdyby nawet rzeczywiście istniały, odgrywałyby tylko drugorzędną rolę, Kościół ówczesny bowiem nie mógł żadną miarą ani żądać ani przeprowadzić tego, aby odrazu cały system rządowy był od podstaw przeobrażonym, lecz musiał wejść do państwa w taki stosunek, jaki wtedy wobec jego wiekami ustalonego ustroju był możliwym. A ten stosunek między Kościołem a państwem, właściwy państwu rzymskiemu, który w bizantynizmie znalazł swój najjaskrawszy wyraz, zainaugurowały uchwały medyolańskie, bo były one wstępem do jego ukształtowania się. Że jednak Kościół cały nie poszedł, tak jak się to stało we wschodniej części państwa rzymskiego, w służbę państwa, że zachował swój byt odrębny tak, jak odrębne i nieskończenie wyżej sięgające miał cele, nie było to zasługą ani Konstantyna ani skutkiem uchwał medyolańskich.

Kościół żyjąc blisko trzy stulecia życiem własnem i organizując się o własnych siłach, nietylko przez państwo nie popierany, lecz owszem jak najsilniej zwalczany, stworzył pojęcie organizmu społecznego od bytu, istnienia i granic państwa czy narodowości niezawisłego. Organizm ten stał się już tak silnym, że despotyzm państwowy zniszczyć go ani przeobrazić nie zdołał. Główna siła Kościoła tkwi przedewszystkiem w pierwszym rzędzie w jego wierze i etyce, w drugim w jego organizacyi a w chwili uznania chrześcijaństwa przez państwo nauka Kościoła była już dostatecznie skrystalizowaną i organizacya jego na trwałych spoczywała podstawach, tak, że się w tej mierze pomimo związku z despotycznem państwem nic zmienić nie mogło. Chociaż cesarze mieszali się w spory dogmatyczne, wpływ ten nie był rozstrzygającym, tak samo jak wszelkie usiłowania władzy świeckiej nieraz później podejmowane a zmierzające do zmiany kierunku rozwoju organizacyi kościelnej celu nie osiągały. W organizacyi tej od jej początków widocznem było dążenie do ciągłego skupiania się, do centralizacyi władzy w poszczególnych organach rządu kościelnego, a już w czasach prześladowań

stanowisko organów tych wyraźnie się zarysowało i określiło, począwszy od władzy biskupiej i synodów, aż do stolicy papieskiej. Czynnik synodalny, który się już od drugiego wieku rozwijać poczyna, łącząc episkopat różnych prowincyi państwa pod przewodnictwem metropolitów był już w czasach wystąpienia Konstantyna na widownię dziejową tak silny, że prześladowca Kościoła Maksymin Daja starał się go naśladować dla odrodzenia kultu pogańskiego, ustanawiając w każdej prowincyi arcykapłana jakgdyby metropolitę przełożonego reszty kapłanów. Za Konstantyna pojawia się wprawdzie poraz pierwszy jako organ centralny rządu kościelnego sobór powszechny, zwołany przez cesarza w r. 325 do Nicei, lecz do wytworzenia się tego organu istniały już dostateczne dawniejsze przesłanki w owych synodach biskupich. Nie była też to żadna zmiana organizacyi tylko dalszy jej logiczny rozwój, tem baidziej, że już przedtem w sprawach Kościół cały obchodzących biskupi wszyscy nawzajem się ze sobą porozumiewali, nie mogąc zjechać się razem z powodu przeszkód zewnętrznych przez prześladujące Kościół państwo stawianych. Uchwały zaś takich synodów, które nieraz więcej prowincyi obejmowały, jak świadczy historyk Euzebiusz, były niemal zawsze udzielane do wiadomości stolicy rzymskiej, o którą się stale najważniejsze opierały sprawy, a której poważne i naczelne stanowisko powszechnie było uznawane. A kiedy raz, jeszcze w czasach pogańskiego cesarstwa za Aureliana, powstał spór o kościół w Antyochii, od którego synod odsądził heretyckiego biskupa i chcąc go usunąć uciekł się w czasie chwilowej faktycznej tolerancyi chrześcijan do pomocy cesarza, wówczas przekazał Aurelian prawo do owej katedry tej części gminy antyocheńskiej, która pozostaje we wspólności wiary z biskupami Włoch i biskupem Rzymu. I z tej więc nawet strony, owo pierwsze w świecie chrześcijańskim miejsce, jakie zajęła stolica rzymska, jeszcze przed Konstantynem zostało stwierdzone. W tym zaś prymacie owej stolicy, około którego cała organizacya Kościoła się grupuje, tkwiła odtąd idea jego wolności i niezawisłości od jakiejkolwiek innej ziemskiej władzy. Dzięki zaś tej spoistości organizacyi nie stracił Kościół swego samodzielnego bytu,

pomimo, że Konstantyn wplótł go w organizm państwowy, pomimo, że Kościół, podnosząc poziom etyczny państwa, sam równocześnie na tym związku wiele ucierpiał, gdyż to tak ścisłe połączenie z państwem starło niejedną idealną cechę z dawnego życia kościelnego, bo sprawy świeckie odtąd zbyt często i zbyt silnie na nie oddziaływać poczęły. Dzięki też nauce Kościoła i jego organizacyi upadek państwa rzymskiego nie pociągnął za sobą jego upadku, a tak samo, jak żył on i rozwijał się w czasach prześladowań, nie byłby on zginął, chociażby tego związku z państwem nie było, prędzej czy później doczekałby się niewątpliwie oswobodzenia, chociażby na gruzach państwa rzymskiego. Uchwały medyolańskie przyspieszyły wprawdzie ową godzinę wolności, ale były kwestyą bytu dla państwa nie dla Kościoła, nie ratowały one Kościoła od zguby lecz państwo.

Przekazany zaś Kościołowi przez Konstantyna i świat starożytny związek z państwem przyniósł mu wprawdzie na długi szereg stuleci nową formę życiową, lecz forma ta, przybierając później w dziejach najrozmaitsze kształty, nie zawsze ułatwiała mu spełnienie jego zadania. Związek ów nie wypływa też wcale z istoty Kościoła, ani nie jest warunkiem jego istnienia lub działalności, może on być koniecznością dla państwa, ale nie jest nią dla Kościoła.

Wszystko to jednak nie zmniejsza wcale doniosłości postanowień medyolańskich dla dziejów Kościoła, bo w każdym razie ten akt wysoce polityczny dał mu zarazem swobodę życia, zapewnił możność jak najsilniejszego i najskuteczniejszego oddziaływania na społeczeństwo i stworzył warunki odpowiedniego wydoskonalenia jego ustroju tudzież jak największego rozrostu. O tyle więc uchwały medyolańskie, chociaż ani nie zmieniły kierunku rozwoju Kościoła, jego nauki lub organizacyi, ani nie wskazały mu jakichś nowych horyzontów zadań lub celów, posiadają przecież w jego historyi a temsamem w historyi świata cywilizowanego, która z historyą Kościoła tak ściśle jest zespoloną, wagę zdarzenia epokowego.

Współcześni naturalnie nie mogli zdawać sobie jasno sprawy z tego ogólno dziejowego znaczenia wystąpienia Konstantyna,

pozostawali oni jednak pod silnem wrażeniem tej wielkiej chwili i oceniali jej doniosłość wedle bezpośrednich jej następstw.

Wśród pogan zapanowało wielkie rozgoryczenie. Łączono nawrócenie się Konstantyna z tymi tragicznymi wypadkami, jakie zaszły w jego rodzinie. On był ich sprawcą, jak mówiono dlatego, bo już w jego naturze leżała wrodzona skłonność do złego, a przez przyjęcie nowej wiary spodziewał się zmazania tych zbrodni, których odpuszczenia napróżno od kapłanów pogańskich wyglądał. Składano nadto winę, tak jak dawniej, wszystkich niepowodzeń i klęsk, jakie później spotykały cesarstwo, na przyjęcie chrześcijaństwa i porzucenie dawnych bogów rodzimych.

Chrześcijanie natomiast mieli wrażenie wielkiej ulgi i wyzwolenia i była wśród nich ogólna radość i wesele, a na ich ustach było błogosławieństwo dla cesarza. Współczesny historyk chrześcijaństwa a zarazem biograf Konstantyna, pod wpływem tych uczuć, nazywa go dwukrotnie w swych dziełach drugim Mojżeszem, który wyswobodził naród wybrany. Tak samo, jak Mojżesz, spędził on swą młodość w domu tego, z którego niewoli lud boży wyprowadził, a podobnie, jak za czasów Mojżesza Bóg wóz Faraona i jego całą potęgę pogrążył w falach Czerwonego morza, tak samo zrządzeniem bożem zapadł Maksencyusz pobity przez Konstantyna w nurty Tybru i tam utonął. Porównania podobne musiały wtedy krążyć powszechnie, skoro znalazły wyraźny oddźwięk i w sztuce ówczesnej. Subtelna symbolika starochrześcijańska lubiła nieraz wyrażać obrzędy lub uczucia chrześcijańskie scenami zaczerpniętemi ze Starego Testamentu i właśnie na sarkofagach z wieku czwartego pojawia się dość często scena biblijna owego zatopienia Faraona w morzu Czerwonem.[1] W czasach wcześniejszych motywu tego nie używano wcale, jego zaś pojawienie się właśnie wtedy tłumaczy wymownie owo porównanie przytoczone przez Euzebiusza, które niewątpliwie w kołach kościelnych było wówczas często powtarzane. I nawet na jednym z takich sarkofagów, gdzie po stronie szerszej powyższa scena jest przedstawioną, zamieścił rzeźbiarz po stronie bocznej węższej

[1] Zob. Becker: *Konstantin der Grosse, der neue Moses.* (Zeitschrift für Kirchengeschichte B. XXXI. 1910, str. 161—171).

znak z chorągwi Konstantyna *Labarum*. Sarkofagów z wyobrażeniem owego cudownego ocalenia Izraelitów dochowało się około dwadzieścia, świadczy to więc bezsprzecznie, że temat ten był w modzie, bo odpowiadał uczuciom ogółu. Znajdowano je w różnych miejscowościach i w Rzymie i gdzieindziej w ziemiach cesarstwa, najliczniej zaś w Gallii a w szczególności w Arles. Okazy stamtąd właśnie pochodzące stoją pod względem artystycznego wykonania najwyżej, Arles zaś zdawna, jeszcze od czasu, kiedy tylko Konstantyn nastąpił po swym ojcu, było jego właściwą rezydencyą, a następnie za jego rządów stało się stolicą Gallii i dzięki niemu bardzo się rozwinęło, tam też głośno sławiono wielkiego cesarza, drugiego Mojżesza.

Lecz zmieniają się czasy.

Dziś na tej ziemi, która była kolebką Konstantyna i przez długie wieki „arcychrześcijańskich" miała władców, inne zapanowały stosunki. W imię nowych radykalnych teoryi i haseł tysiącsześćsetletnie dzieje związku Kościoła z państwem zostały tam przekreślone, dzieło cesarskie zniszczone, a Kościół podobnie jak przed Konstantynem znowu własną swą siłą żyć i rozwijać się będzie, tak jak żyje i rozwija się świetnie tam, gdzie już dawniej Kościół od państwa odłączono i gdzie jak w Świecie Nowym w Ameryce tradycyi cesarstwa rzymskiego nigdy nie było.

Prof. Dr. Władysław Abraham.

Ruch ludowy w Królestwie Polskiem.

I.

Przez półwiecze.

W każdym wysiłku o zachowanie bytu narodowego w ciągu naszych dziejów porozbiorowych, uwydatniał się zawsze jak w wielkiej symfonii jeden zasadniczy *leit motiv*. To przeświadczenie, że: „Ogrom leży a bez czucia“ — i że według wskazań wieszcza archanielskiego:

„Jeszcze trzeba iskry z Nieba,
A nie z ziemi, do rozkucia
Marzącego w śnie olbrzyma“.

Bo smutni dziedzice „spadłej z głów naszych korony“ musieli rozpamiętywać i te prorocze słowa wiekopomnego Skargi z kazania: „O prawach niesprawiedliwych“.

„Dotknę i owego złego prawa, którem kmiecie, wolny lud polski, niewolnikami się czyni. Jeśli nie kupni, ani pojmańcy, nie Turcy, ani Tatary, ale Polacy i tejże krwi i chrześcijanie, czemu w niewoli stękają? Jakże się z takiem prawem nie wstydzić wszystkiego chrześcijaństwa? Jak się z taką krzywdą na oczy Boskie ukazać? Jak się nie bać, aby za to na pomstę od Boga nad nami, poganie takiej mocy nie użyli?“

I niewątpliwie na schyłku państwowości Rzeczypospolitej jednostanowej, były piękne i celowe zapoczątkowania, aby ją przeobrazić we wszechstanową, powołać stopniowo do praw

i obowiązków obywatelskich „marzącego w śnie olbrzyma" czyli włościaństwo polskie. Zaborcze państwa z łatwo zrozumiałych względów politycznych, ruch ten odrodzeniowy stanowczo zahamowały. Na odbywający się później proces emancypacyi włościan w różnym czasie i odmiennych warunkach w każdym z trzech zaborów nie mieliśmy już możności tak oddziaływać, jak tego wymagał polski interes narodowy. Owszem, rzecz to powszechnie wiadoma, że wszelki akt prawodawczy każdego z rządów rozbiorowych, tyczący się włościaństwa polskiego miał prawie zawsze na widoku cele państwowe, zazwyczaj zmierzające do osłabienia polskiej spoistości narodowej. Jeżeli zaś te zapędy germanizacyjne czy rusyfikacyjne nie osiągały zamierzonego skutku, jeżeli, mimo chwilowych tu i ówdzie odstrychnięć się ludu w pewnych momentach od ruchu narodowego, zbiorowa dusza tego ludu pozostawała wciąż rdzennie polską — zawdzięczać to należy dwom czynnikom. Pierwszy to: niepożyta religijność katolicka mas ludowych — drugi zaś: stałe przenikanie patryotycznych warstw oświeconych do wsi polskich. Zanim bowiem najrozmaitsze organizacye społeczne czy polityczne poczęły z pobudek bezinteresownego patryotyzmu narodowego, czy też dla zamierzeń czysto stronniczych, zajmować się intenzywnie sprawą ludową, dwa posterunki zawsze pilnie czuwały, aby „śpiący olbrzym" nie ocknął się poza nawiasem narodowości polskiej. To dwór i plebania. Byłoby niesmacznym panegirykiem utrzymywać, że każdy dwór i każda plebania, zarówno w epoce pańszczyźnianej, jak i po uwłaszczeniu, oczynszowaniu i wogóle prawnej emancypacyi włościan jednako dodatnio oddziaływały na uobywatelnienie i unarodowienie warstw ludowych. Zdarzały się niewątpliwie fakty zupełnej obojętności, lub co gorsza haniebnego wyzysku ciemnoty i niezaradności prostactwa. Bezstronnie jednak patrząc w minioną przeszłość całego z górą stulecia, ważąc na szali wszystkie z a i p r z e c i w, każdy, nie podlegający jakiejś ciasnej formule partyjnej, badacz dziejów oświaty ludowej musi dwór i plebanię postawić na pierwszem miejscu ważkich w tym kierunku czynników. Każdy zabór w różnych warunkach i oko-

licznościach silniej zagrożonego bytu narodowego może się pochlubić ogromnym zastępem inteligencyi wiejskiej w pałacach, a częściej dworach szlacheckich, lub dworkach oficyalistów wiejskich, zamieszkującej, oraz plebanów i wikarych parafialnych — których praca nad ludem i dla ludu była wcielaniem w czyn przykazania wieszcza:

Ciałom wszystkim rozdać chleba,
Duszom wszystkim — myśli z Nieba.

Ta inwokacya wskróś przenikała serca i umysły działaczy narodowych, którzy się zbliżali do ludu w początkach drugiej połowy zeszłego wieku. Mam tu na myśli wyłącznie Królestwo Polskie, które w tym okresie czasu znalazło się w pomyślniejszych warunkach bytu politycznego, niż pozostałe dzielnice. Zanim bowiem nastąpił ukaz o uwłaszczeniu włościan, stosowany później przez biurokracyę dla celów polityki rusyfikacyjnej pod starem hasłem: *divide et impera* — ujawnił się w całem społeczeństwie nadzwyczaj ożywiony ruch w kierunku oświecania mas ludowych. Najpierwszym skutkiem udzielonych przez Aleksandra II pewnych swobód narodowych był iście żywiołowy rozwój szkolnictwa ludowego. Dość powiedzieć, że w ciągu dwóch lat (1860—1861) otworzono do tysiąca szkół początkowych po wsiach i miasteczkach, wyłącznie kosztem ofiarności publicznej. Zresztą każdy dwór ziemiański zamieniał się w prowizoryczną szkołę, w której urządzano, jak się dziś mówi, „kursa dla analfabetów". Nietylko dzieci, ale i dorośli, nawet posiwiali wieśniacy schodzili się gromadami całemi na te „kursy", które prowadzili zarówno dziedzic jak i dziedziczka, a częściej jeszcze panicz lub panienka, przejęci rozlewnem hasłem patryotycznem: „nieść przed narodem oświaty kaganiec". Tłocznie warszawskie puszczały w obieg setki tysięcy elementarzy i najrozmaitszej treści wydawnictw ludowych. Dwa czasopisma: *Kmiotek* i *Czytelnia Niedzielna* rozchodziły się w wielu tysiącach egzemplarzy. Biskupi w „listach pasterskich", jakie w tej epoce były wydawane, zalecali usilnie duchowieństwu wiejskiemu brać czynny udział w ruchu oświatowo-ludowym. Za przykładem dworów i po plebaniach urzą-

dzane były różne pogadanki parafialne. A gdzie pod wpływem bardziej gorliwych duszpasterzy wytworzyły się gromadniejsze bractwa wstrzemięźliwości, zamykane dość często karczmy zamieniano w t. zw. gospody chrześcijańskie, w których się prowadziła praca oświatowa i uspołeczniająca. I w tym ogólnym impulsywnym ruchu była jednomyślna dążność narodowa bez żadnych ubocznych planów i pobudek. Każdy, kto przykładał się wówczas w większym lub mniejszym stopniu wedle sił i możności do pracy oświatowej nad ludem, czynił to niewątpliwie z poczucia miłości ojczyzny, z najgłębszego przekonania, że należy skorzystać z każdej sposobności, aby się wytwarzał coraz większy zastęp uświadomionych narodowo w całej pełni Polaków.

Uczyniłem ten przydłuższy wstęp przed zobrazowaniem współczesnego ruchu ludowego w obrębie Kongresówki, aby z jednej strony zaprzeczyć fałszom modernistycznych ludowców, jakoby nikt przed nimi nie krzątał się w tej kapitalnej sprawie bytu i przyszłości narodu — powtóre zaś dla stwierdzenia zasadniczej różnicy, jaka zachodzi między ruchem tamtej epoki a obecnym, który wystąpił na widownię przed ośmiu laty w t. zw. „dobie wolnościowej". Jużcić nie wystrzelił on odrazu jak mytologiczna Minerwa z głowy Jowisza. Przez lat bowiem 40 kształtował się i urabiał za kulisami wszelkiej jawności i kontroli opinii społecznej. Nie mogło być przecie inaczej. Po zlikwidowaniu wszelkich swobód narodowych, jako skutku powstania styczniowego, musiała ustać i jawna praca w zakresie oświaty ludowej. Wszelka działalność społeczna w rzeczonym kierunku została najzupełniej zahamowaną. Zmienione warunki agrarne wytwarzały moc sztucznych kolizyi między dworem a chatą. Specyalnie utworzone po 1863 r. urzędy komisarzy włościańskich miały za cel w tajnych instrukcyach podsycać niechęć i podejrzliwość gromad włościańskich względem obszarników, ku czemu wybornie się nadawały spory serwitutowe. Że w tych warunkach nie doszło do większych rozterek i rozdźwięków między dworem a chatą, jak tego oczekiwali Milutyn i Czerkaski, twórcy instytutu komisarzy włościańskich — to w prze-

ważnej mierze zawdzięczać należy tyle dziś przez współczesnych ludowców lekceważonej, a nawet znienawidzonej plebanii. Bo chociaż nad duchowieństwem, wogóle, wiejskiem zaś w szczególności, rozciągnięto misterną sieć dozoru policyjnego, tamując wszelką akcyę społeczno-oświatową poza obrębem kościoła i zakrystyi, niemniej wpływ duszpasterzy, zwłaszcza tych, którzy gorliwość religijną i obywatelską umieli łączyć z biblijną „roztropnością wężową" — był zawsze potężny i uodporniał lud przeciw wszelkim syrenim głosom opiekuńczej biurokracyi lub szkoły rusyfikacyjnej.

Istnieje zresztą dokument, który stanowi najchlubniejsze świadectwo dla ówczesnej plebanii wiejskiej. To obszerny memoryał kuratora warszawskiego okręgu naukowego, osławionego rusyfikatora Apuchtina, złożony w 1886 r. ministrowi oświaty Delianowowi w sprawie niedopuszczania duchowieństwa katolickiego do szkół początkowych wiejskich. Generał-gubernator Hurko, chociaż także był zdecydowanym zwolennikiem polityki rusyfikacyjnej, domagał się moralno-religijnej ingerencyi duchowieństwa w szkolnictwie początkowem. Apuchtin sprzeciwił się temu jak najbardziej stanowczo, a w proteście swym charakteryzował kler katolicki, jako zaciętych wrogów państwowości rosyjskiej. „Jakikolwiek udział księży w szkołach wiejskich — nadmieniono w tym memoryale — jest niedopuszczalny z powodu ich nieprzejednanego antyrosyjskiego i antyprawosławnego widzenia rzeczy. Są liczne dowody, jak duchowieństwo parafialne potajemnie oddziaływa na wielu nauczycieli w sensie przeciwpaństwowym. Cóżby się dopiero działo, gdyby im otworzono prawny dostęp dla wywierania wpływów w obrębie izb szkolnych?" — Nieinaczej i całe społeczeństwo nasze oceniało w tym okresie czasu rolę plebanii w środowisku ludowem. Wszak w ogłoszonym programie pozytywistów t. zw. „pracy organicznej" mimo gromów rzucanych na obskurantyzm klerykalny i wstecznictwo ultramontańskie, zaznaczono dobitnie, że najważniejszymi czynnikami w ruchu odrodzeniowym czyli w „pracy u podstaw społeczeństwa" są: pleban i nauczyciel. Jawne publiczne wykonywanie tego programu, było rzeczą niemożliwą.

ważnej mierze zawdzięczać należy tyle dziś przez współczesnych ludowców lekceważonej, a nawet znienawidzonej plebanii. Bo chociaż nad duchowieństwem, wogóle, wiejskiem zaś w szczególności, rozciągnięto misterną sieć dozoru policyjnego, tamując wszelką akcyę społeczno-oświatową poza obrębem kościoła i zakrystyi, niemniej wpływ duszpasterzy, zwłaszcza tych, którzy gorliwość religijną i obywatelską umieli łączyć z biblijną „roztropnością wężową" — był zawsze potężny i uodporniał lud przeciw wszelkim syrenim głosom opiekuńczej biurokracyi lub szkoły rusyfikacyjnej.

Istnieje zresztą dokument, który stanowi najchlubniejsze świadectwo dla ówczesnej plebanii wiejskiej. To obszerny memoryał kuratora warszawskiego okręgu naukowego, osławionego rusyfikatora Apuchtina, złożony w 1886 r. ministrowi oświaty Delianowowi w sprawie niedopuszczania duchowieństwa katolickiego do szkół początkowych wiejskich. Generał-gubernator Hurko, chociaż także był zdecydowanym zwolennikiem polityki rusyfikacyjnej, domagał się moralno-religijnej ingerencyi duchowieństwa w szkolnictwie początkowem. Apuchtin sprzeciwił się temu jak najbardziej stanowczo, a w proteście swym charakteryzował kler katolicki, jako zaciętych wrogów państwowości rosyjskiej. „Jakikolwiek udział księży w szkołach wiejskich — nadmieniono w tym memoryale — jest niedopuszczalny z powodu ich nieprzejednanego antyrosyjskiego i antyprawosławnego widzenia rzeczy. Są liczne dowody, jak duchowieństwo parafialne potajemnie oddziaływa na wielu nauczycieli w sensie przeciwpaństwowym. Cóżby się dopiero działo, gdyby im otworzono prawny dostęp dla wywierania wpływów w obrębie izb szkolnych?" — Nieinaczej i całe społeczeństwo nasze oceniało w tym okresie czasu rolę plebanii w środowisku ludowem. Wszak w ogłoszonym programie pozytywistów t. zw. „pracy organicznej" mimo gromów rzucanych na obskurantyzm klerykalny i wstecznictwo ultramontańskie, zaznaczono dobitnie, że najważniejszymi czynnikami w ruchu odrodzeniowym czyli w „pracy u podstaw społeczeństwa" są: pleban i nauczyciel. Jawne publiczne wykonywanie tego programu, było rzeczą niemożliwą.

Wszelka bowiem działalność społeczna, mająca znamiona pracy oświatowej nad ludem, spotykała się z najbardziej stanowczemi represyami. Uprzytomniam tylko jeden fakt, znamiennie uwydatniający nieprzyjazną postawę biurokracyi wobec najniewinniejszej próby w zakresie oświecicielstwa ludowego. Właściciel folwarku Wiązowna pod Warszawą skasowawszy obyczaj częstowania żniwiarzy i kosiarzy wódką, przeznaczył cały, zaoszczędzony w ten sposób fundusz na kupno popularnych książeczek ludowych, które były robotnikom rolnym rozdawane przy każdej wypłacie tygodniowej. Inowacya dziedzica Wiązowny znalazła chętnych naśladowców wśród wielu ziemian okolicznych. Jakże byli oni zdumieni, gdy ich wezwał ówczesny gubernator warszawski Andrejew, kategorycznie żądając zaniechania rozdawnictwa książeczek, chociaż były one wydane legalnie i noszące stempel cenzury.

Wolno panom rozdawać jakie wam się żywnie podoba podarunki — prawił gubernator — prócz książek, to bowiem zakrawa na propagandę polityczną, której rząd ścierpieć nie może.

I zagroził Andrejew w razie niezastosowania się do jego wskazań, surowemi represyami, aż do zesłania administracyjnego włącznie. Oczywiście, że w podobnych warunkach praca oświatowo-społeczna dla ludu mogła być prowadzoną tylko tajnie, podziemnie, wymagając dużej ostrożności i... ofiarności. Na tej ostatniej nigdy nie zbywało. Zamożniejsi, a nawet i mniej zamożni chętnie się składali na fundusz potrzebny, aby okupić milczenie organów policyjnych, obowiązanych śledzić tak dobrze tajny ruch oświatowy, jak i tajny wyszynk wódki. Większą jeszcze ofiarność okazywali ci działacze narodowi, rekrutujący się głównie z młodzieży uniwersyteckiej, a nierzadko inteligentnych ziemian i oficyalistów rolnych, którzy osobiście przenikali do środowisk wiejskich, tworząc, gdzie tylko można było, placówki oświatowe. Zrazu były to tylko organizacye prowizoryczne, często lokalne, nie mające z sobą żadnego bliższego kontaktu. Z czasem jednak wytworzyła się w Warszawie jedna większa organizacya, która opracowała planowo później pro-

wadzoną akcyę oświatową w wielu okolicach kraju. To byli naprawdę pierwsi w Kongresówce t. zw. „ludowcy", występujący z konkretnym programem społecznictwa ludowego. Czynne wcielanie tego programu musiało być naturalnie tajnem, jak i sama organizacya, która przez długi stosunkowo przeciąg czasu potrafiła zapewnić sobie pewną swobodę ruchu, uchodząc w oczach biurokracyi tylko za grupę teoretyków publicystycznych, skupioną w redakcyi tygodnika społeczno-literackiego „Głos". Ze szpalt „Głosu" padło hasło dość wyraźne mimo niedomówień z racyi cenzury prewencyjnej, określające stanowisko tych pierwszych „ludowców" w Królestwie Polskiem. Powiedziano tam dobitnie: „Należy podporządkować interesy warstw odrębnych interesom ludu. Powołać ten lud, nie do takich form życia narodowego, jakie wytworzyła, dogorywająca już w całej Europie, a z duchem dziejów nowożytnych niezgodna cywilizacya „stanowa", lecz do takich, do jakich dojść on może drogą przynoszonego rozwoju, zadatku własnej kultury, drogą uświadomienia sobie własnych swych dążeń i kształcenia własnych ideałów".

Pisał to przed laty 28 ś. p. Jan Popławski, późniejszy redaktor „Przeglądu Wszechpolskiego" we Lwowie, a następnie faktyczny twórca stronnictwa politycznego p. n. narodowej demokracyi, które odegrało tak wybitną rolę w kształtowaniu się wielu naszych stosunków, a więc i w interesującej nas w tej chwili, sprawie ludowej. Jak się z powyżej zacytowanego hasła pierwszych „ludowców" na terenie Kongresówki okazuje, dźwięczała tam silna nuta krzykliwego demagogizmu, no i... radykalizmu. Bo też ci młodzi ludowcy grupujący się w redakcyi „Głosu" hołdowali wówczas dwojakiej krańcowej ideologii. Z jednej strony byli pod wrażeniem potężniejącego wówczas ruchu ludowego w Galicyi pod wodzą ks. Stojałowskiego, z drugiej zaś — chłonęli chciwie upowszechniane równocześnie tak rozlewnie po całej Polsce „nowinki" czerwonego marksizmu. Ze stojałowszczyzny poczerpnęli demagogiczne wprost, bałwochwalcze ubóstwianie ludu, z marksizmu zaś przyswolii sobie radykalizm pod postacią jakiejś walki klasowej. Te dwie krań-

oświatowo-narodowy, przed laty 40-tu zahamowany, lecz zawsze gdzieś tam z pod ziemi wąziutkim strumykiem się sączący. Dawniejsi „ludowcy" z „Głosu", późniejsi wszechpolacy za kordonem, a w ostatniej ewolucyi narodowi-demokraci, prawie z dnia na dzień po październikowym manifeście konstytucyjnym wyszli na szeroką widownię jawnej już roboty polityczno-społecznej. O ile w środowisku robotniczo-miejskiem endecya musiała wciąż ponosić niejedną porażkę w starciu z partyami skrajnemi, o tyle na terenie wiejskim zapanowała zwycięsko i niepodzielnie. Cały ten ruch ludowy, jaki się ujawnił tak impulsywnie w 1905 r. był zrazu prawie zmonopolizowany przez endecyę, która się nie obawiała jakiejkolwiek konkurencyi, ze strony innych partyi politycznych. Sprzyjali i czynną pomoc stronnictwu w akcyi ludowej nieśli nawet ci, którzy się zasadniczo z wielu postulatami endecyi rozmijali. Szczególniej okazało się to, podczas krótkiego niestety! istnienia Polskiej Macierzy Szkolnej, którą endecya powołała do życia i mimo bezpartyjnego charakteru instytucyi, zawsze w niej wodze kierownicze dzierżyła.

Nie może podlegać wątpliwości, że Macierz przy stanowczym nawrocie polityki państwowej ku reakcyi, byłaby i tak zdławioną. Można jednak przypuszczać, że gdyby nie miała jaskrawego piętna stronnictwa politycznego, istnienie jej przeciągnęłoby się jeszcze o rok, a chociaż o pół roku. Bo każdy miesiąc, nieomal dzień trwania tej instytucyi dawał nieocenione korzyści w zakresie narodowej oświaty ludu. To była największa nasza zdobycz realna w t. zw. „dobie wolnościowej". Raz dlatego, że dawała możność podnoszenia w szybszem tempie ciemnych mas ludowych wzwyż, a powtóre paraliżowała myszkowanie w środowiskach wiejskich przeróżnych macherów partyjnych, występujących w roli oświecicieli włościaństwa. Bo intenzywna działalność endecyi w ruchu ludowym pobudzała nietylko partye skrajne, ale i stronnictwo polityczne, zowiące się postępową demokracyą, przez skrócenie pedecyą, do rozwinięcia samodzielnej akcyi ludowej. Wiadomo, jaki był program społeczny pedecyi. Stronnictwo wytworzone przez inteligencyę

żydowską i polskich bezwyznaniowców, sympatyzujące dość wyraźnie z różnoimiennemi partyami i frakcyami „czerwonemi", jawnie wypowiedziało walkę pod maską postępu doktrynie chrześcijańskiej wogóle, szczególniej zaś katolicyzmowi. Więc przystępując do akcyi ludowej, nie mogła pedecya w myśl zasadniczego swego programu, pozostawić w spokoju sprawy religijnej. Ale menerzy stronnictwa, oryentujący się dobrze w położeniu rzeczy w lot zrozumieli, że pójść między lud z hasłem: „precz z księżmi" i „precz z Kościołem", jak to się głosiło w środowiskach miejskich, byłoby złym interesem, z góry skazanym na zupełne bankructwo. Obmyślono więc zgoła inną taktykę, a mianowicie: wywołania jakoby nowego samodzielnego ruchu ludowego poza stronnictwem. Rzecz była nadzwyczaj sprytnie ułożona i jeszcze sprytniej przeprowadzona, skoro przez lat kilka ogromna większość naszego społeczeństwa nie oryentowała się należycie, skąd się wyłonił ten najnowszej formacyi radykalny ruch ludowy, kto nim za kulisami kieruje i do czego on zmierza.

Pierwsze pisemko, które zaczęło bardzo ostrożnie popularyzować hasła „nowego ładu" w sprawie ludowej, ukazało się pod koniec 1905 r. i nosiło tytuł „Zagon". Był tam artykuł p. t. „Chłopska dola", który z wielkiem majsterstwem podsycał stanową megalomanię, w połączeniu z budzeniem zawiści względem tych warstw oświeconych, które jakoby wszystkie siły wytężają dla utrwalenia duchowej „niewoli pańszczyźnianej" włościaństwa. Anegdoty o jakichś złych dziedzicach i proboszczu derusie wymyślającym swoim parafianom od chamów — wieńczyły tę pierwszą próbę posiewu nienawiści klasowej i odstrychnięcia ludu od duszpasterzy. Ale „Zagon" krótko istniał, po jakimś bowiem artykuliku zachęcającym do organizowania strejków rolnych, został przez komitet prasowy zawieszony. Z kolei ukazała się „Siejba", której narodziny były w prasie warszawskiej zwłaszcza postępowej hałaśliwie reklamowane. Bo, jak głoszono z wielkim podziwem, tygodnik ten mieli wydawać, redagować i pisać w nim sami chłopi. Wnet się jednak okazało, że poza dekoracyjnym chłopem-redaktorem z pod Radzymina (o godzinę drogi od Warszawy) „Siejbą" kierowali

i pod różnymi włościańskimi pseudonimami w niej pisali młodzi warszawscy adwokaci i lekarze, członkowie stronnictwa postępowo-demokratycznego. Po ujawnieniu tej maskarady nikt się już „Siejbą" nie interesował, a w dodatku przyłapano redakcyę na brzydkim fałszu, jakoby biskup-sufragan warszawski ks. Ruszkiewicz pochwalił jej kierunek, gdy się rzecz miała wprost przeciwnie. Po tej kompromitacyi, stronnictwo udzielające wydawnictwu zapomogi uznało „Siejbę" za interes zepsuty. W chwili zamykania tygodnika liczył on nie więcej jak pół tysiąca przedpłatników.

Równocześnie z tą nieudałą imprezą prasową, pedecya powołała do życia instytucyę społeczno-oświatową, p. n. „Światło". Była to druga próba wytworzenia własnego posterunku w akcyi ludowej. Ponieważ „Światło" zalegalizowano w momencie największego rozkwitu Polskiej Macierzy Szkolnej, a na jej ustawie wzorowano statut konkurencyjnej instytucyi — więc i to przedsięwzięcie także zrobiło sromotne *fiasco*. Lepiej się poszczęściło pedecyi z jedną jeszcze imprezą pod szumną etykietą „Tow. kultury polskiej". Ale ta instytucya na akcyę ludową w środowiskach wiejskich miała tylko wpływ pośredni, co będzie poniżej zaznaczone.

Ruch ludowy wszczęty przez żydowsko-bezwyznaniowe stronnictwo nie miałby z pewnością żadnych realnych wyników, gdyby się nie udało tej grupie radykalnych działaczy pozyskać dla swoich zamierzeń i planów odpowiedniego pod każdym względem, że się tak wyrazimy, fachowca. Wszak, ci wszyscy teoretyczni ludowcy pedecko-burżuazyjnego typu nie mieli właściwie pojęcia, jak się do tej roboty zabrać, w jaki sposób przenikać do duszy ludu wiejskiego, czem go sobie zjednać i w krąg swoich działań pociągnąć. Jak słabo oryentowali się w istotnem położeniu rzeczy, dowiódł, między innemi, ich ścisły, przez pewien przeciąg czasu, kontakt z sekciarstwem maryawickiem. Mimo, że maryawityzm miał wszystkie znamiona ruchu wybitnie wstecznego i obskuranckiego, pedecya rozciągnęła nad nim bardzo czułą opiekę, bo widziała w nim najpożądańszy czynnik krzewienia wśród ludu hasła: *los von Rom*. Dla ścisłości

historycznej należy nadmienić, że i w stronnictwie narodowo-demokratycznem byli zrazu zwolennicy wykorzystania ruchu sekciarskiego na rzecz jakiegoś ...kościoła narodowego. Ale sztab endecki wnet się zoryentował w sytuacyi, skoro w kwietniu 1906 r. zaraz po odłączeniu przez Rzym kapłanów maryawickich i uznaniu ich nauki za herezyę — stronnictwo wydało odezwę piętnującą sekciarstwo, jako ruch wysoce szkodliwy żywotnym interesom narodowym. Inaczej uczyniła pedecya, która zarówno w swej prasie jak i w instrukcyach dla członków agitujących zalecała udzielenie wszechstronnego poparcia propagandzie maryawickiej, zwłaszcza po wsiach. Nawet wówczas, gdy to już było publiczną tajemnicą, że maryawityzm stał się benjaminkiem sfer oficyalnych i Synodu petersburskiego, postępowi szli ręka w rękę z duchownikami maryawickimi. Odwiódł stronnictwo od tego kompromitującego w sensie narodowym zespołu ów, jak wspomnieliśmy, „fachowiec ludowy", który zaofiarował swe usługi pedecyi, a ta ofertę nowego działacza radośnie przyjęła.

Był nim popularny od lat z górą 20-tu dobrze znany „pisarz *Zorzy*" p. Miłguj-Malinowski.

(Dok. nast.).

Antoni Werytus-Skrzynecki.

Niemieckie czytelnictwo ludowe na Górnym Śląsku.

W roku 1897 z inicyatywy rządu pruskiego powstała na Górnym Śląsku w Katowicach pierwsza biblioteka ludowa, w sześć lat później pierwsze biblioteki wędrowne w Opolu i w Tarnowskich Górach.

Obecnie na Górnym Śląsku jest 163 publicznych bibliotek ludowych, z których każda po kilka tysięcy częstokroć liczy dzieł, a bibliotek wędrownych jest 1031. Każde miasto, każde ognisko pracy przemysłowej ma swoją biblioteczkę, każdy powiat pokrył się siecią bibliotek wędrownych. Niemieckie czytelnictwo ludowe rozrosło się w ciągu lat ostatnich w drzewo olbrzymie, które konary swoje rozpostarło nad każdem większem ogniskiem życia i pracy ludu naszego i rzuca plamy i cienie na jego umysłowość, jeszcze spowitą w mroku i niedołęstwie duchowem.

Oto kilka cyfr, które dają nam poznać siłę finansową i rozmiary potężnej tej organizacyi.

Fundusze, jakimi rozporządzał Związek w roku 1911 wynosiły 256.143 mk., z tych połowa pochodzi z zasiłków rządowych (143.960), reszta od przemysłu wielkiego (44.533), gmin (38.6000), prywatnych (19.095) i zarządów powiatowych (8.386).

Zrazu w pracy tej nie było ani systemu, ani metody. Ka-

żda biblioteka szła luzem, cała praca oświatowa zależała od chwilowej energii kierowników, opierała się na większej lub mniejszej rzutkości i gorliwości jednostek. Marnowały się zapał i siły robocze, a owoce mimo wielkich nakładów grosza były nikłe.

Ażeby więc usunąć te niedomagania, właściwe każdej pracy niezorganizowanej i prowadzonej bez metody i jednolitego planu, stworzono w roku 1903 związek okręgowy z płatnym bibliotekarzem związkowym, aby, jak mówi statut „zogniskować doświadczenia w tym kierunku poczynione, w celu korzystania z nich przy zakładaniu nowych bibliotek i ujednostajnienia pracy oświatowej w sprawach zasadniczych z uwzględnieniem potrzeb i stosunków miejscowych".

I odtąd duszą niemieckiej pracy oświatowej i kulturalnej nad ludem naszym na Górnym Śląsku stał się bibliotekarz związkowy, były nauczyciel ludowy, władający językiem polskim, p. Kaisig w Gliwicach.

On kolejno zwiedza wszystkie czytelnie ludowe i zakłada nowe i organizuje biblioteki wędrowne stosownie do potrzeb i stosunków miejscowych.

On formuje biblioteki z książek stosownie do potrzeb i wymagań ludności i wyszukuje bibliotekarzy rzutkich i inteligentnych, którzy umieją pokierować lekturą mas. W każdej bibliotece znajdzie tam czytelnik obok bajek, powieści i czytanek ludowych nadto rzeczy pouczające i poważne z dziedziny techniki i wszystkich prawie działów wiedzy ludzkiej. Pod względem polityki i religii książki niemieckich bibliotek ludowych na Górnym Śląsku, jak zapewnia bibliotekarz związkowy, są podobno bez zarzutu.

On wreszcie opracowuje umiejętnie i metodycznie czytelniane wykazy statystyczne, dostarczane mu według jego wskazówek przez kierowników poszczególnych bibliotek, pisze sprawozdania dla rządu i kieruje całą pedagogią społeczną naszego ludu górnośląskiego, żeby metodycznie zgermanizować duszę jego i podnieść jego życie kulturalne.

„Szkoła, mówi on, dokonywa dzieła olbrzymiego, lecz cóż z niego pozostaje? Idzie o to, aby kapitał uformowany przez

szkołę procenta przynosił. Między szkołą a życiem istnieje przepaść. Tylko biblioteki ludowe zdołają ją wypełnić. Szkoła rządzi się przymusem — w życiu idzie o to, aby ludzie dobrowolnie uczestniczyli w niemieckiem życiu kulturalnem".

Ale w jaki sposób dobrać się do serc i umysłów ludu, w jaki sposób zachęcić go do czytania i popchnąć w objęcia kultury obcej mu i niezrozumiałej?

Bibliotekarz Związku górnośląskich wypożyczalni ludowych wytworzył sobie w tej mierze takie rozumowanie:

Lud polski,[1] który stanowi główny kontynget czytelników (prawie $^2/_3$ według sprawozdań) niemieckich bibliotek ludowych na Górnym Śląsku, znajduje się na najniższym poziomie umysłowości. On rozporządza małym tylko zasobem wyrazów i pojęć i w całem jego życiu duchowem, jak u dziecka, dominuje przedewszystkiem fantazya.

Potrzebę czytania trzeba w nim dopiero rozbudzić. W jaki sposób? Przez środki zewnętrzne, rzucające się w oczy, jak n. p. jaskrawe i kolorowe okładki książek lub obrazki. Przez opowiadania jasne i krótkie, przypadające do miary jego wyobrażeń i opowieści fantastycznych, wolne od wyrazów obcych i niezwykłych, odznaczające się prostotą stylu. Lud górnośląski lubi bajki i rzeczy fantastyczne i przejmuje się niemi do żywego. Odnosi się to przedewszystkiem do ludu wiejskiego, bo robotnik, który się już otarł o życie wielkomiejskie, który pracuje w ogniskach przemysłowych, inne zwyczajnie okazuje upodobania.

Że lud górnośląski lubi czytać bajki, nic w tem dziwnego. To cecha charakterystyczna każdego ludu, który się jeszcze nie otarł o dzisiejszą cywilizacyę materyalistyczną. Bajki, baśnie, proste opowieści epiczne mamią i pociągają świeżą jego fantazyę i przypadają do surowej umysłowości jego, bo one są utworem twórczej jego fantazyi i poezyą i marzeniem prostej jego duszy, bo one przypadają do miary jego pojęć i wyrazów i nieuświadomionego bogatszego życia wewnętrznego.

---

[1] Pogląd swój na lud górno-śląski rozwinął p. Kaisig w czasopiśmie *Oberschlesien* w zeszycie marcowym 1905 r.

Ale p. Kaisig, który zamiłowanie do bajek utożsamia z niemowlęctwem umysłowem, zbudował na tem spostrzeżeniu specyalną pedagogię czytelnianą dla ludu polskiego, która stosowana w praktyce, choć razi śmiesznym mechanizmem pedagogicznym, stopniowo i niepostrzeżenie popycha lud nasz w objęcia germanizmu.

Jak ta pedagogia czytelniana wygląda w praktyce, możemy się przekonać na oko z przykładu typowego, jaki nam podaje p. Kaisig w tej mierze.

„Czytelnik mój — mówi on — z pochodzenia Polak, żył w otoczeniu nieprzychylnem Niemcom. Pierwszą książkę musiałem mu narzucić. Rzucił na nią okiem i wziął. Było to dziełko religijne, bez tekstu, złożone z samych obrazków. Cała rodzina zainteresowała się książką, wszyscy chętnie przeglądali obrazki. Po kilku dniach zwrócił książkę i poprosił o inną. „Jaką"? — Z obrazkami, odpowiedział. Dałem mu więc książeczkę z obrazkami z życia Pana Jezusa przez Hammera. Obrazki, nie bardzo artystyczne, rzucają się w oczy jaskrawością kolorów. Pod każdym z nich trzy wierszyki objaśniającego tekstu. Tekst ten, objaśniający sceny mniej znane, budził ciekawość i zapraszał do czytania. Chłopiec więc musiał czytać i objaśniać starszym ilustracye.

Następną książką, którą otrzymał, były piękne ilustracye ze świata zwierzęcego z wierszykami i bajki bogato ilustrowane. Powoli w wypożyczanych książkach było coraz mniej obrazków a coraz więcej tekstu, aż wreszcie czytelnik mój dobił do bajek dziecięcych Grimma, któremi się zajmował dłuższy czas, nie mogąc się nasycić czytaniem. Ostrożne pytania przekonały mnie, że cała rodzina żywy bierze udział w czytaniu tych bajek. Odbywało się to w ten sposób, że ktoś z rodziny czytał po cichu, dla siebie, a potem tłumaczył innym. Nieraz atoli, gdy bajka się spodobała, czytano głośno i tłumaczono.

Poczem przyszły dłuższe bajki Andersena i legendy o pięknej Meluzynie i opowiadania dziecięce Schmida i tu straciłem czytelnika mego z oczu, gdyż się wyprowadził do innej miejscowości. Lecz dowiedziałem się, że przywykł do czytania. Od Schmi-

da przeszedł do opowiadań patryotycznych o wojnach, potem zaczął czytać powieści Herchenbacha i opowiadania indyjskie, opisy podróży i przygód na lądzie i morzu. Obecnie czyta powieści Karola Maya. Nie ulega wątpliwości, że gdy się awanturniczemi opowiadaniami przesyci, zabierze się do poważniejszej lektury. Przygotował się do niej stopniowo przez metodyczną lekturę".

Ale nie na tem się kończy praca bibliotekarza ludowego. Czytelnik otarł się już z niemowlęctwa duchowego i teraz dopiero rozpoczyna się praca nad rozwojem i ubogaceniem umysłu jego w kierunku życia praktycznego i zawodowego. Kolej więc przychodzi na literaturę naukową, techniczną, pedagogiczną, estetyczną i na czasopisma.

O pracy tej wychowawczej i kulturalnej wypożyczalni przynosi nam organ Związku[1] górnośląskich bibliotek interesujące niekiedy korespondencye i szczegóły.

Tak pisze n. p. jeden z korespondentów z Nowych Hajduków:

„Czytelnicy polskiego pochodzenia, którzy po opuszczeniu szkoły regularnie korzystali z wypożyczalni, wszyscy odznaczyli się w swoim zawodzie". Pawłowski n. p. formiarz z zawodu przez czytanie książek rozszerzył i pogłębił swoje fachowe wykształcenie i obecnie zdobył sobie na zachodzie stanowisko mistrza formiarskiego. Inny prosty górnik Skamel, korzystając pilnie z wypożyczalni został dozorcą w kopalni rządowej i przeszedł jako sztygar do kopalni prywatnej . . . inny znowu, przed którym otworzono skarbnicę czytelnianą, uchronił się od pijaństwa . . .

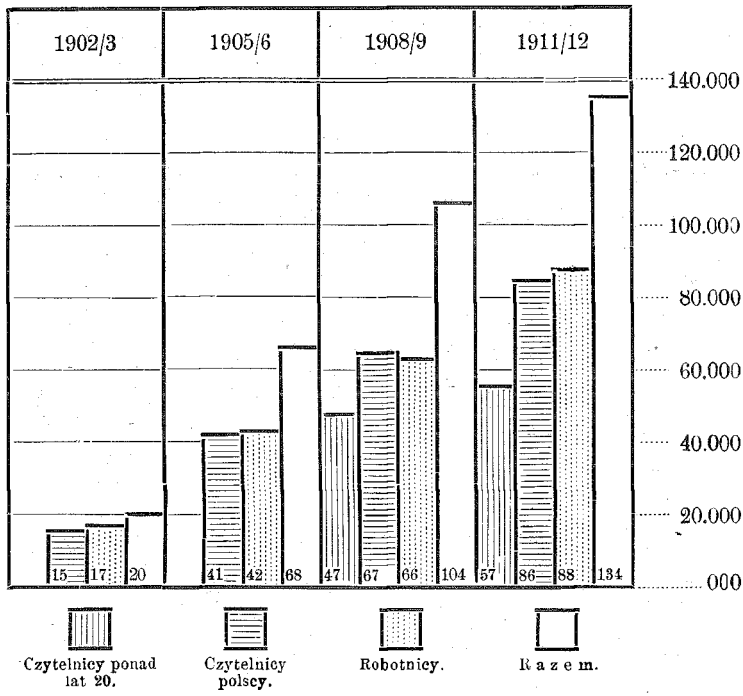
„Skutkiem dziewięcioletniej działalności wypożyczalni ludowej w miejscowości, w której pracowałem, zmieniły się zupełnie stosunki". Dawniej synowie górników lub robotników, idąc śladem ojców, pomnażali z reguły szeregi robotnicze. Stosunkowo rzadko tylko zawód górniczy, jako lepiej płatny, odrywał robotników rolnych od ziemi. „To się obecnie zmieniło. Znam

[1] *Die Volksbücherei in Oberschlesien*, 4 Jahrg. Nr. 1/2.

10 młodych ludzi, którzy po skończeniu szkoły ludowej uzupełnili swoje wykształcenie, korzystając z wypożyczalni i dziś pracują po biurach w sąsiednich kopalniach lub w przemyśle. Jeden z nich uczęszcza obecnie do szkoły budowlanej, dwaj inni byli zrazu górnikami, ale brudne bluzy górnicze nie bardzo im się podobały i dlatego postarali się o pracę biurową. W krótkim czasie nauczyli się stenografii i pisać na maszynie i wznieśli się na stanowisko dobrze uposażone, o jakiem jako prości robotnicy nawet marzyć nie mogli. W niemieckiem otoczeniu nauczyli się wkrótce dobrze po niemiecku, tak, że językiem tym lepiej władają niż swym ojczystym. Obecnie nawet z usposobienia są Niemcami . . . Nie ulega wątpliwości, że skutki te należy przypisać wypożyczalni książek, bo wszyscy ci młodzi uczęszczali do niej gorliwie już wówczas, gdy chodzili do szkoły i po skończeniu nauki. Ongi w braku niemieckiej pracy kulturalnej czytali oni dużo gazet polskich, których wszędzie pełno i stykali się z polską agitacyą, która ich zwolna opanowywała. Dziś oni właśnie są najzawziętszymi przeciwnikami polskich usiłowań. Ale bo też „dobrze zorganizowana wypożyczalnia książek, jak czytamy w jednem z sprawozdań, jest nie tylko jasnem ogniskiem pracy oświatowej, ale nadto potężnym i kulturalnym czynnikiem germanizacyjnym przez to właśnie, że nie czyni wstrętów, ale pociąga do dobrowolnego uczestnictwa w niemieckiem życiu umysłowem“ (r. 1908/9).

Liczba i rodzaj czytelników w ciągu ostatniego dziesięciolecia działalności Związku wypożyczalni i czytelni przedstawia się następująco:

„Liczba czytelników wzrosła w roku bieżącym (1911/12) o 13.126 i wynosiła 1 kwietnia 1912 r. 133.951 (1910: 120.825; 1909: 113.505; 1908: 103.999). Z liczby tej 88.400 czytelników czyli 65·2% należy do klasy robotniczej albo drobnych włościan lub ich domowników. Co do języka według nowego spisu prawie $^2/_3$ naszych czytelników — liczba dokładna 86,129 — polskim posługuje się językiem. Drobna tylko część w powiatach głupczyckim i raciborskim mówi po morawsku“.



Wewnętrzną łączność pomiędzy wypożyczalniami i czytelniami podtrzymują organ Związku i zebrania kierowników wypożyczalni.

Od czasu do czasu ogłasza Związek świeże katalogi książek, których wydawnictwem zajmuje się stała komisya, składająca się z 40 członków pod kierunkiem związkowego bibliotekarza.

W ciągu roku ubiegłego miał się odbyć specyalny kurs bibliotekarski 3—4 tygodniowy dla kierowników wypożyczalni wędrownych.

Ażeby wśród ludu szerzyć zamiłowanie do książki, zajął się Związek gorliwie urządzaniem wystaw tanich książek ludowych. Wystawy te rozwijają się pomyślnie. „Zaraz po pierwszych

Powyższe przedstawienie graficzne zaczerpnięte jest z ostatniego sprawozdania p. t.: „Der Verband oberschlesischer Volksbüchereien im Rechnungsjahre 1911 vom Karl Kaisig, Verbandsbibliothekar. Kommissionsverlag von Gebrüder Böhm, Kattowitz 1912.

próbach, mówi sprawozdanie, pokazało się, że na razie można liczyć na zbyt tanich tylko książeczek w cenie najwyżej 1 marki".

Trzeba więc było przygotować i stworzyć odpowiednie piśmiennictwo ludowe t. zw. literaturę 10 fenigową. Następnie przyszła kolej na reklamę i organizowanie wystaw. W tym celu rozrzucił Związek w roku 1908 i 1909 masami katalogi ulotne p. t. „100 dobrych książek" i „104 dobre książki" i 40 szaf wystawowych przygotował.

Również wypożyczalnie i zarządy szkolne poczęły nabywać szafy z tanimi drukami i zajęły się gorliwie reklamą i ich rozsprzedażą po wypożyczalniach i miejscach publicznych.

Tak w ciągu roku 1911/12 urządzono po wypożyczalniach 61 a przy bibliotekach wędrownych 606 wystaw taniego piśmiennictwa ludowego, stacyi zaś zbytu powstało 500. Nadto na gwiazdkę corocznie urządza się po większych ogniskach przemysłowych wystawy gwiazdkowe tanich pism.

Obok zorganizowanej reklamy i zbytu zajęto się gorliwie zakładaniem kółek czytelnianych. Kółek takich powstało w ciągu lat ostatnich 166. Kółka jednak mniej pomyślnie się rozwijały. Połowa niebawem rozpadła się, niektóre atoli okazały dużą żywotność. „Na początku zbywało nam na doświadczeniu i wzorach w tym kierunku i niejedno kółko czytelniane upadło z powodu nieodpowiedniej i nierozumnej organizacyi. Kółka czasopismowe, które funkcyonować muszą ściśle i prawidłowo i wymagają znacznej pracy, wogóle mniej pomyślniej się rozwijają niż inne kółka czytelniane". Wogóle kółka czytelniane w pracy oświatowej nad ludem duże mają znaczenie i stać się mogą doniosłym czynnikiem kulturalnym.

Równocześnie z rozszerzeniem taniego piśmiennictwa, „podjął Związek jak wszędzie w Niemczech" walkę z wzbierającą falą literatury rynsztokowej „*Schundliteratur*". „W okręgu opolskim, mówi sprawozdanie, walka ta o tyle jest trudniejsza, o ile tu w kraju obok pism niemieckich rozległe istnieje polskie piśmiennictwo rynsztokowe (*Schundliteratur*), a z łatwo zrozumiałych powodów tu takie tylko środki obronne wchodzić mogą w rachubę, któreby w równej mierze jedno i drugie piśmiennictwo

dotknęły. W walce tej, prowadzonej na dwa fronty, bronią nader praktyczną okazały się liczne i tanie wydawnictwa jak „*Deutsche Jugendbücherei, Bunte Jugendbücher*“ i t. d. oraz druki, naśladujące co do szaty zewnętrznej śmiecie wydawnicze jak *Des Volkes Lieblingsbücher* . . .

„Skoro w handlu księgarskim pojawiła się dostateczna ilość tej nowej literatury, rozpoczęła Regencya królewska w Opolu razem ze Związkiem w celu jej rozszerzenia działalność reklamową we wielkim stylu“. Rozrzucono w ten sposób i rozsprzedano druków takich setki tysięcy. „We wielu szkołach tanie te pisma służyły za lekturę klasową, w niektórych szkołach, jak n. p. w Ligocie (Ellguth, Rybnik) rozdawano je dzieciom jako podarki szkolne na koszt gmin, w innych szkołach, jak n. p. w powiecie bytomskim i w Zabrzu, obok plakatu wystawione są szafy wystawowe z tanimi drukami, aby dzieci mogły je nabywać. Od czasu do czasu szafy te miejscowi księgarze wypełniają nowymi drukami. Jedna księgarnia (Orzegów w powiecie bytomskim) zorganizowała regularny zbyt kolportażowy tych wydawnictw. Również zarządy przemysłowe (n. p. Charlottengrube w Czernicach) zakupują w większych ilościach wydawnictwa te, aby je rozdać jako premie uczniom ze szkół uzupełniających“.

Wobec tej pracy systematycznie podmywającej podstawy naszego gmachu narodowego godzi się zapytać, jaka nasza akcya obronna i praca pozytywna na polu oświaty narodowej w tamtej dzielnicy, w Poznańskiem, w Prusiech i na Śląsku? W Poznańskiem na ogół praca ta przedstawia się skromnie bardzo. „Pracy oświatowej w naszej dzielnicy, mówi jeden z wybitnych na tem polu działaczy, Bernard Chrzanowski — brak jednolitości i systematyczności. Jest ona rozrzucona i rozproszona“. W ostatnim dopiero czasie Towarzystwo czytelni ludowych rozszerza swą działalność i myśli o przeprowadzeniu żywotniejszej i sprężystszej organizacyi.

Gorzej praca ta przedstawia się w Prusiech Królewskich i Książęcych. Warmia i Prusy Książęce posiadają wprawdzie nieliczne wypożyczalnie książek, ale żadnej prawie organizacyi. Dużo lepiej rozwija się akcya oświatowa w niektórych powiatach

Prus Królewskich jak w powiecie toruńskim, świeckim, chełmińskim i kościerskim.

Najgorzej atoli przedstawia się nasza praca oświatowa na Górnym Śląsku. „Tam trzeba rozpocząć organizacyę prawie na nowo, woła ks. A. L. na ostatnim wiecu oświatowym w Poznaniu, i w inny może sposób niż w Księstwie i w Prusiech".

Nie zbywa nam na pieniądzach i ludziach, ale brak w pracy naszej umiejętnej metody i systematyczności i brak ten paraliżuje naszą akcyę obronną i przyprawia nas rok rocznie o straty niepowetowane, które są dużo groźniejsze, niż kurczenie się ziemi. Bo stokroć gorszem od kurczenia się podstawy naszego bytu narodowego jest kurczenie się duszy narodowej.

Ks. Leonard Lipke.

Główne zasady etyki Kanta a etyka chrześcijańska.

(Dokończenie.)

b) Motyw działania w etyce Kanta.

Zdaniem Kanta, by czyn był etycznym, nie dość, żeby był autonomicznym, trzeba jeszcze, by motywem działania nie było nic postronnego, zewnętrznego. Jedynie działanie z poczucia obowiązku stanowi czyn moralny, wszelki inny motyw odbiera czynowi wartość moralną. A więc działanie z pobudki miłości Boga lub bliźniego, w nadziei nagrody, z obawy kary i t. p. jest co najwyżej czynem obojętnym dla moralności, jeśli zgoła nie złem. Zdaniem bowiem Kanta wszelki motyw poza poczuciem obowiązku jest egoistycznym, a wszelki egoizm niszczy moralność. Szczególnie działanie z pobudki nagrody lub kary ma być wprost czemś niemoralnem.

Liberalni epigonowie Kanta są niewyczerpanymi w potępianiu etyki katolickiej właśnie dlatego, że nie zabrania kierować się w działaniu nadzieją nagrody lub bojaźnią kary. Powiadają, iż w katolickim systemie moralność stała się spekulacyą na nagrodę, że moralność chrześcijańska jest dobrze obrachowanym interesem, pozbywającym się przyjemności doczesnej, by mieć wieczną, jest zwykłą geszefciarską lichwą, jest więc „poniżeniem godności etyki chrześcijańskiej". Nie wzgląd na

samo dobro moralne, ale na interes własny ma popychać katolika do czynu; jestto czystej wody eudajmonizm z tą tylko różnicą, że nie doczesne ale wieczne dobra ma na oku. Shaftesbury nazywa cnotę dla nagrody „korzystną zamianą", „prostym żydowskim handlem",[1] inny pisarz zowie ją dobrze obrachowanem samolubstwem, dowodem jeszcze nie rozwiniętego zmysłu moralnego, duchem niewolnictwa.[2]

Z tych wynurzeń każdy już zrozumie, w jak rażącej sprzeczności zostaje etyka Kanta i jego zwolenników z nauką Chrystusa i Apostołów! Wzgląd ten winien, przynajmniej dla wierzących zaważyć przy ocenie etyki nowoczesnej.

Nie potrzeba chyba dużo słów tracić na udowodnienie, że miłość Boga i bliźniego i posłuszeństwo Bogu — a więc pobudki potępione przez etykę Kanta — są motywami najczęściej przez Boga zalecanymi ludziom w ich działaniu. Sam Syn Boży temi pobudkami się kierował, podejmując się dzieła odkupienia. „Chrystus umiłował i wydał samego siebie za nas" (Ephes. 5. 2). Z posłuszeństwa dla woli Ojca idzie Chrystus na krzyż: „Sam się poniżył stawszy się posłusznym aż do śmierci a śmierci krzyżowej" (Philip. 2—8.). Miłość, która jest „związką doskonałości" (Coloss. 3. 14) nadaje wszystkim naszym czynom najwyższej wartości. Bez niej wszystkie nasze czyny, choćby były męczeństwami są niczem: „I choćbym wszystkie majętności moje rozdał na żywność ubogich i choćbym wydał ciało moje tak, iżbym gorzał, a miłościbym nie miał, nic mi to nie pomoże" (1. Cor. 13. 3.). W listach św. Pawła pełno napomnień do posłuszeństwa dzieci rodzicom, sług panom, poddanych zwierzchności (Ephes. 6, 1—8; Tit. 3. 1.). Pełne poświęceń życie Apostołów i ich śmierć męczeńska, bohaterskie ofiary, jakie ze siebie czyniło miliony świętych, to wszystko wyraz apostolskiego płomiennego okrzyku „miłość Chrystusowa przyciska nas" (2 Cor. 5. 14.). Cóżby na to Kant powiedział, gdyby chciał te czyny oceniać według swego systemu? Pewnie wzru-

[1] Kneib l. c. str. 113.

[2] Steudel. *Der religiöse Jugendunterricht II.* Stuttgart 1900, str. 193.

szyłby ramionami z politowaniem, bo to wszystko w jego systemie etycznym nie były uczynki moralne, gdyż motywem ich była miłość Boga lub posłuszeństwo Jego woli. Dość posłyszeć taką konkluzyę, by sobie wyrobić pojęcie o wartości systemu, z którego ona logicznie wypływa.

Szerzej musimy omówić twierdzenie Kanta i kantystów, iż nadzieja nagrody lub obawa kary psują wartość uczynku moralnego. Słyszeliśmy bowiem niedawno, jakim kamieniem obrazy jest ta pobudka dla zwolenników Kanta. Zacznijmy od słów Chrystusa i Apostołów.

Pan Jezus każe odciąć rękę i nogę gorszącą, oko wyłupić, bo „lepiej jest tobie wnijść do żywota ułomnym, niż mając obie ręce iść do piekła w ogień nieugaszony" (Marc. 9. 42). Nie każe się lękać tych, którzy zabijają ciało „lecz bójcie się, powiada, onego, który, gdy zabije, ma moc wrzucić do piekła" (Luc. 12. 5). Obiecuje temu „który opuścił dom, braci, siostry, ojca, matkę, żonę, syny dla imienia jego, żywot wieczny" (Mat. 19. 29). Każe Chrystus dawać jałmużnę, modlić się, pościć nie dla chwały ludzkiej, bo kto dla tego czyni „nie będzie miał zapłaty u Ojca, który jest w niebiesiech" (Mat. 6. 1—8). Wszędzie, w cytowanych miejscach, za motyw cnoty podaje Chrystus nagrodę lub karę wieczną. A przecie Chrystus i w kołach liberalnych bywa sławiony jako ideał moralności! Nadzieja nagrody wiecznej dodawała też św. Pawłowi siły w jego pracy apostolskiej: „Potykaniem dobrem potykałem się, zawodum dokonał, wiarem zachował, naostatek odłożony mi jest wieniec sprawiedliwy w on dzień, a nie tylko mnie, ale tym, którzy miłują przyjście jego" (2 Tim. 4. 7.). Dla nadziei zmartwychwstania i nagrody wiecznej był „każdej godziny w niebezpieczeństwie", „każdy dzień umierał", „potykał się ze zwierzętami w Efezie". Bo „jeśli umarli nie powstają, cóż mi za pożytek? Jedzmy i pijmy, bo jutro pomrzemy" (1 Cor. 15. 32.). Gorszy się Jodl[1] tem ostatniem powiedzeniem Apostoła, nazywa je obrazą ludzkości w jej najszlachetniejszych uczuciach,

[1] Kneib l. c. 114.

ale dla chrześcijanina bezpieczniejszą jest w każdym razie rzeczą trzymać się etyki św. Pawła niż p. Jodla.

Etyka Kanta uznająca czyny ludzkie za etyczne tylko wtedy, gdy pochodzą z poczucia czystego obowiązku, bez przymieszki własnego interesu, jest etyką nie dla ludzi. Gdyby była prawdziwą, musielibyśmy czynom ogromnej większości ludzi odmówić moralnej wartości, a nawet nasuwałaby się wątpliwość czy wogóle na świecie znajdują się moralnie dobre uczynki. Sam Kant przyznaje, że w pewnych chwilach przychodziła mu wątpliwość, „czy wogóle na świecie można spotkać prawdziwą cnotę".[1]

Taka przesada potępia sam system! Ludzie nawet najcnotliwsi powszechnie nie robią sobie skrupułów, gdy z innych pobudek, byle dobrych, a nie z samego tylko poczucia obowiązku, spełniają dobre uczynki. Matka ani na chwilę nie wątpi, że spełnia uczynek etycznie dobry, gdy dziecko pielęgnuje, żywi, odziewa, pracuje dla niego, idąc za popędem macierzyńskiej miłości. Gdyby etyka Kanta była słuszną, to inne motywy poza poczuciem obowiązku, byłyby poważną przeszkodą moralności. „Wielcy ludzie, których się musi czcić jako bohaterów cnoty, nie trapili się takiemi poważnemi przeszkodami. Robili olbrzymie wysiłki, by żyć cnotliwie z najczystszych pobudek, ale zatapiali się także z radością i trwogą zarazem w myślach o rzeczach ostatecznych, by być uzbrojonymi na godzinę pokusy".[2]

Etyka Kanta sprzeciwia się naturze ludzkiej. Natura wlała w serce ludzkie nie samo poczucie obowiązku, ale wiele innych dobrych i szlachetnych uczuć jak współczucie z nędzą ludzką, miłość macierzyńską, a przedewszystkiem nienasycone pragnienie szczęścia. To ostatnie uczucie jest powszechne, budzi się od dzieciństwa, zamiera dopiero z ostatniem uderzeniem serca, jest pobudką wielkich wysiłków, zabiegów i prac ludzkich. Czy natura te wszystkie uczucia a zwłaszcza pragnienie szczęścia

---

[1] *Grundlegung zur Metaphisik der Sitten* 28. [2] Zimmermann. *Das Gottesbedürfnis* 1910, str. 136.

włożyła w serce jako przeszkodę moralności? A wszakże takby było, gdyby tylko z poczucia obowiązku spełniony czyn był moralnym. W takim razie pragnienie szczęścia, które się w nas mięsza do każdego czynu, niemal do każdej myśli, byłoby pokusą, z którą musiałby człowiek ustawicznie walczyć, by mu uczynku prawdziwie moralnego nie popsuła, a przynajmniej nie obniżyła jego wartości. Czy podobna przypuścić, by natura tak sprzeczne, jak chce hipoteza Kanta, uczucia umieściła w jednej i tej samej osobie? Zaznaczyliśmy już wyżej, że w człowieku wszystkie władze, rozum i wola, sumienie i uczucie wstydu służą moralnemu ideałowi, odczuwają jego piękno, naglą człowieka do pogoni za nim, karcą go, gdy nie jest mu posłuszny — miałożby tylko najgłębsze z uczuć, pragnienie szczęścia nie iść w służbę moralności, być jej zawadą, obniżać jej wartość — to chyba niepodobieństwem! Prawda, że nieraz niezgodne z rozumem pragnienie szczęścia może być przeszkodą moralności, ale my mówimy o pragnieniu trzymanem w granicach rozumnych. Również przyznajemy, że to pragnienie nigdy tu na ziemi całkowicie nie bywa zaspokojone i to nieraz właśnie gwoli zadość uczynienia poczuciu moralności, ale to tylko dowodzi, że ta dysharmonia tu na ziemi między dwoma przez naturę wlanymi uczuciami, pragnieniem szczęścia i poczuciem etycznem, musi znaleść w drugiem życiu skojarzenie i wyrównanie. Etyka, która, jak etyka Kanta, nie uwzględnia wszystkich władz w człowieku i nie czyni im zadość, ale jedną władzę kosztem drugiej wynosi, jak Kant wywyższa rozum kosztem uczucia, musi być fałszywą, bo nieodpowiadającą potrzebom natury ludzkiej. Odczuwał sam Kant, iż ów rozdźwięk, jaki zachodzi tu na ziemi między pragnieniem szczęścia a cnotą, musi być kiedyś wyrównany. I tem dowodzi swych postulatów praktycznego rozumu i istnienia Boga, nieśmiertelności duszy i wolności woli, bo rozumie, że tylko wtedy owa harmonia może być sprowadzoną. A więc ostatecznie szczęście i najwyższy nawet stan moralnej doskonałości nie sprzeciwiają się sobie, dlaczegóżby pobudka szczęścia miała być dla moralności szkodliwą?

Kant twierdzi, że wszelki motyw poza poczuciem obo-

wiązku jest egoizmem a egoizm jest czemś nieetycznem. Pierwsza część twierdzenia jest z gruntu fałszywą, druga wymaga rozróżnienia. Ktoś może miłować Boga nadewszystko bez oglądania się na własny interes, tak samo bliźniego. Chrystus, gdy z miłości ku nam poświęcił swe życie, nie uczynił tego dla własnego interesu. Tak samo kiedy tysiące świętych z czystej miłości Boga poświęciło wolność, mienie, sławę i życie samo, to według Kanta tego rodzaju czyny byłyby dla moralności obojętne, bo na egoizmie oparte. Matka dla dziecka ponosi nieraz heroiczne ofiary bez oglądania się na własny interes, często nawet przewidując, że ją spotka niewdzięczność ze strony dziecka.

Pobudka egoistyczna jest nieetyczną, powiada Kant, dlatego pragnienie nagrody za spełnienie dobrego uczynku jest niemoralnem.

Wiele tutaj jest pomięszania pojęć, które będziemy się starali rozwikłać. Ktoś może pragnąć dla siebie nagrody z wykluczeniem wszelkich innych motywów, tak, że tylko jedynie wzgląd na nagrodę wstrzymuje go od występku. On w rzeczywistości występek całą duszą miłuje, przenosi go nad cnotę, wolą swoją go pochwala, ale obawa kary lub wzgląd na nagrodę wstrzymuje go od występku, gdyby nie to, bez skrupułu oddałby się występkowi.

Oczywiście, że tego rodzaju usposobienie jest niewolnicze i o moralności wtedy nie może być mowy. Taki stan duszy jest egoizmem w najwyższym stopniu. Człowiek wtedy czyni siebie i swe szczęście osią, około której winno się wszystko obracać: Bóg, bliźni i moralność sama, byle on tylko doznawał przyjemności. Własne nieszczęście, w naszym wypadku potępienie wieczne, uważa taki człowiek za największe złe, większe niż obraza Boga, niż zło moralne, tak, że obraza Boga, cnota, są u niego taką drobnostką, że nie wartoby było nimi się krępować, gdy idzie o dogodzenie sobie, gdyby nie potępienie własne. Taki egoizm jest czemś wstrętnem, bezbożnem, niemoralnem. Gdyby Kant taki tylko miał na oku, gdy twierdził, że egoizm jest czemś nieetycznem, zgodzilibyśmy się z nim jak najchętniej.

Ale czy każdy egoizm jest takim i musi być takim? czy każde pragnienie własnego szczęścia, czy zawsze bojaźń kary wyklucza inne wyższe motywy? Bynajmniej. Można przecie miłować ojca i aby go nie zmartwić nie przekroczyć jego rozkazu, ale równocześnie nie uczynić tego także i z obawy przed karą, jakąby ojciec mógł wymierzyć. Można miłować cnotę dla jej moralnej wartości i dlatego ją pełnić i w niczem jej nie uchybić, ale czuć się zarazem jeszcze więcej przez nią pociągniętym tem, że łączy się ze szczęściem mojem lub chroni mnie od nieszczęścia, jakiem jest w naszym wypadku wieczne potępienie. Motyw tedy nagrody lub kary nie wyklucza z natury swej innych wyższych motywów jak miłość Boga, ludzi, miłość dobra moralnego, piękno cnoty, poczucie obowiązku i t. p. Nagroda w pojęciu katolickiem nie stanowi o moralnej wartości cnoty, ale jest jej następstwem, jakby jej dopełnieniem. Uczynek musi być już sam w sobie dobry, aby mógł rościć pretensye do nagrody. Prawda, że nagroda jest nierozdzielnie złączoną z dobrym uczynkiem, że tylko dobry czyn a nie inny bywa wynagrodzony i to koniecznie. Dlatego można powiedzieć, że to, co do szczęścia wiecznego prowadzi, jest dobrem moralnie i odwrotnie, ale przez to nie chce się powiedzieć, że nagroda daje czynowi wartość moralną. Przeciwnie, dobroć moralna czynu jest racyą i warunkiem nagrody. Kto tedy pragnie nagrody za czyn dobry już tem samem wprzód musi miłować samą cnotę, bo to *conditio sine qua non* nagrody. Miłuje cnotę uczuciem aktualnem i może bardziej intenzywnem za to, że daje szczęście, ale równocześnie przynajmniej habitualnem uczuciem za to, że cnota jest sama w sobie czemś dobrem, pięknem, miłości godnem. Kiedy jakaś rzecz lub osoba ma wiele przymiotów, dla których godna jest miłości, to kto ją miłuje przedewszystkiem dla jednego z tych przymiotów może ją jeszcze miłować i dla reszty pozostałych przymiotów. Tak się rzecz ma i z cnotą. I ona ma rozliczne przymioty: piękność moralna odpowiada rozumowi, łączy nas z Bogiem, przynosi nam szczęście i t. p. Można ją tedy cenić i miłować da każdego z tych przymiotów, nie wykluczając innych i dla wszystkich razem. Oczywistą jest rzeczą, że im

pobudki naszej miłości cnoty będą wyższe, tem i uczynek nasz będzie miał wyższą wartość moralną, będzie szlachetniejszy, i dostojniejszy, ale z tego nie wynika, że uczynek z pobudki niższej, w sobie dobrej, bo zgodnej z naszą rozumną naturą jest złym, niemoralnym lub dla moralności obojętnym. Niepodobna znowu, by miłość rozumna siebie była czemś z natury swej złem. Miłować bliźniego każdy powie jest czemś dobrem — czemu? Bo bliźni wart naszej miłości. Już z punktu widzenia czysto naturalnego człowiek posiada takie przymioty, że dla nich godzien jest miłości. Cóż dopiero, gdy się go zważy w świetle wiary, w świetle wieczności! A przecież każdy człowiek posiada dla siebie przynajmniej równie taką wartość jak jego bliźni, czemużby tedy miłować siebie rozumnie było czemś złem, a miłować bliźniego czemś dobrem? Natura też sama zniewala nas do miłości siebie, kiedy budzi w nas wstręt do wszystkiego co naszemu szczęściu grozi, a pociąga nas ku temu co to szczęście pomnaża. Czy może natura tak postępuje, bo jest w nas sfałszowaną lub z gruntu niemoralną? Któż to na seryo będzie utrzymywał? To też Bóg postawił rozumny egoizm jako normę miłości bliźniego, mówiąc: Będziesz miłował bliźniego swego jak siebie samego!

Kant tedy nie rozróżnia między miłością siebie nieporządną, nierozumną, bezwzględnem sobkostwem a miłością uprawnioną, trzymaną w granicach rozumu, nie wykluczającą wyższych motywów ale z nimi zgodnie sharmonizowaną. Dla Kanta nie ma wogóle miłości własnej porządnej, nie ma uprawnionych własnych interesów.

Już wyżej napomknęliśmy, że moralna Kanta nie jest dla ludzi. Ona tylko jednę stronę uwzględnia w człowieku, mianowicie rozum, a nie bierze w rachubę tych rozlicznych innych potrzeb duszy ludzkiej, z których najgłębszą jest pragnienie szczęścia. Moralna katolicka obejmuje całego człowieka. Przez obietnicę nagrody kojarzy dwa podstawowe uczucia woli ludzkiej: uczucie moralności i szczęścia. Moralna katolicka nie czyni człowieka sztucznym, nienaturalnym, nie każe mu dusić uczuć w sobie, nie zapomina o potrzebach człowieka, jego interesach,

a przez podporządkowanie tych interesów — nie przez tłumienie ich — wyższym celom, wyższym motywom, jakimi są miłość Boga i ludzi, te interesa uszlachetnia, ogranicza, w mierze właściwej trzyma. Moralna katolicka rozwija człowieka wszechstronnie. Żaden dobry popęd, żadna władza w nim nie marnieje, ale wszystkie, niższe i wyższe rozwijają się jak kwiaty różnorodne pod wpływem ciepła słonecznego i na najwyższych swych szczytach, do jakich dochodzili święci, przedziwny urok sprawują, gdzie obok seraficznej miłości Boga, błyszczą i swą prostotą, naturalnością wabią oko drobne kwiatki miłości także tego co ziemskie: ojczyzny, bliskich nam sercu, sztuk, nauk i t. p. Kanta etyka, spadkobierczyni etyki stoickiej, ze swoim zimnym imperatywem kategorycznym, ze swą sztywną obowiązkowością, zawsze na szczudłach chodząca, może chwilowo imponować, ale serca nie pociągnie, życia nie umili, siły w trudach życia człowiekowi nie doda, może dobra dla nadludzi, ale nie dla nas śmiertelników. Ta wszechstronność etyki katolickiej, z jaką całego człowieka obejmuje, to dostosowanie się jej do natury człowieka, nie do jej przywar, ale do tego co w niej dobre i może być uszlachetnione, ta jej naturalność, to wyzyskanie przez nią i wciągnięcie w swe jarzmo wszystkich zasobów duszy ludzkiej, to stanowi między innymi niesłychaną jej wyższość ponad wszystkie inne, zawsze jednostronne, systemy etyczne, to także jeden z dowodów jej prawdziwości.

3. Sankcya w etyce Kanta.

Sankcyę prawa stanowią nagrody lub kary wyznaczone przez prawodawcę na zachowujących prawo, względnie na jego przestępców. Sankcya może być dostateczną lub niedostateczną stosownie do tego, czy nagroda lub kara jest w takiej wielkości wymierzona i tego rodzaju, że zdolna jest odwieść wolę od złego a skłonić ją do dobrego, czy też przeciwnie.

Prawa moralne potrzebują koniecznie sankcyi. Etyka, która tej potrzeby nie bierze w rachubę, jest conajmniej niezupełną. Już widzieliśmy powyżej, że nadzieja nagrody lub obawa kary nie stanowią przeszkody dla moralności, ale mogą

być jednym z motywów czynu etycznego. Potrzebę sankcyi przyjmie każdy, kto się zastanowi nad wymogami praw etycznych, a z drugiej strony nad naturą ludzką.

Natura człowieka skłonną jest do złego. Przyjemność grzeszna pociąga ją więcej od piękna cnoty. Namiętności mają demoniczną siłę. Pokusa często taka silna, taka nęcąca, długotrwała, uporczywa, pozorną słusznością się zasłaniająca. Zakorzenione nałogi krępują wolę jakby mocnymi więzami. Chcąc pokonać namiętności trzeba całego wysiłku woli. Muszą ją tedy silne podeprzeć motywy, działające w równej mierze lub w większej jeszcze na nią niż działa przyjemność, obiecywana przez namiętność.

Z drugiej strony ofiary, jakich się nieraz domagają od nas prawa etyczne, są nadzwyczaj ciężkie. Spełnienie obowiązku bywa nieraz połączone z utratą majątku, z wygnaniem, z nędzą, utratą zdrowia, z wyzuciem się z wszelkich przyjemności, podczas gdy występek przyniósłby nam dostatek, przyjemność, sławę, uratowałby życie nam i naszym najbliższym. Samo nałożenie obowiązku przez prawo nie wystarczy. Trzeba motywu silnego, działającego nietylko na rozum, ale na wolę, serce i fantazyę, trzeba przeciwwagi tej przyjemności, jaką daje lub obiecuje namiętność. Sam nakaz prawa, samo poczucie obowiązku tego dać nie może. Jedynie może to dać sankcya stanowiąca odpowiednie kary za przestępstwo prawa a nagradzająca za jego zachowanie. Potrzebę takiej sankcyi uznają wszyscy ludzcy prawodawcy. Prawa państwowe bywają obwarowane taką sankcyą. Wszyscy też ludzie przyznają słuszność tego rodzaju sankcyi dla praw państwowych. Prawa moralne tem więcej jeszcze niż prawa państwowe potrzebują odpowiedniej sankcyi. Prawa państwowe dotyczą tylko zewnętrznej strony czynu ludzkiego: *de internis non iudicat praetor*. Prawo moralne dosięga głębi duszy, rozciąga się na najskrytsze myśli ludzkie, pragnienia, poruszenia serca, gdzie niema żadnego ludzkiego świadka, gdzie ani opinia publiczna, ani złe następstwa grzechu nie są hamulcem dla namiętności.

A teraz pytamy, jaką sankcyę ma etyka Kanta? Ża-

dnej, owszem jak widzieliśmy jest zasadniczo przeciwna wszelkiej sankcyi, bo ta rzekomo ma podcinać w korzeniu wszelką moralność. Czy kategoryczny imperatyw potrafi w ryzach utrzymać namiętności, gdy te z całą gwałtownością wybuchną? Musiałby ktoś być bardzo naiwny, by sobie wiele robił z rozkazu, o którym nikt nie wie, skąd się bierze, jaki ma ostateczny cel, a nieposłuszeństwo rozkazowi nie pociągnie za sobą żadnych szkodliwych dla przestępcy następstw. W każdym razie to motyw słabiuchny dla przeciętnego człowieka, z biedą może wystarczyć w chwilach wewnętrznego pokoju, wyższego nastroju duchowego, dla pewnych z natury już dobrych temperamentów, w wygodnych warunkach życia, przy ograniczeniu obowiązków do minimum. Wprawdzie mówi Kant o sharmonizowaniu kiedyś w przyszłem życiu moralności ze szczęściem jednostki, ale się zaraz zastrzega, by tego szczęścia nie uważać za sankcyę moralności lub za motyw, ale tylko za jej następstwo. Zresztą dostąpią tego szczęścia wszyscy bez względu na to, czy żyli tu na ziemi jak epikurejczycy czy jak asceci chrześcijańscy. W życiu przyszłem będzie, według etyki Kanta, dalsze doskonalenie się dusz ukoronowane szczęściem zupełnem, nie jako nagrodą, ale jako jego koniecznem następstwem. A gdyby ktoś w życiu przyszłem nie chciał postępować po drodze cnoty, to mu i tak za to włos z głowy nie spadnie, najwyżej nie zazna owego bliżej nieokreślonego szczęścia, o którem Kant mówi, a którego brak może sobie każdy bezkarnie tu na ziemi i w przyszłem życiu powetować przyjemnościami, jakie występek daje.

* * *

Wielu przypuszcza, że etyka Kanta nie grozi niebezpieczeństwem etyce chrześcijańskiej. Wszak Kant, mówią, na swej etyce gruntował przekonanie w istnienie Boga, duszy nieśmiertelnej, wolnej woli, a więc w same fundamenta etyki chrześcijańskiej. Widzieliśmy, jak błędnem jest to zapatrywanie. Etyka Kanta burzy podwaliny same, na których się wspiera etyka chrześcijańska. Prawo, obowiązek moralny nie mają w etyce Kanta swego ostatecznego źródła w Bogu, jak to uczy etyka

chrześcijańska lecz w rozumie ludzkiem. Najszlachetniejsze według pojęć chrześcijańskich motywy etycznego działania, jak miłość Boga i bliźniego, winny być zdaniem Kanta z etyki wyrugowane. Motyw nagrody i kary wiecznej, który tyle miejsca zajmuje w etyce chrześcijańskiej, jest zdaniem kantystów czystą egoistyczną spekulacyą. Sankcya wszelka zniesiona, a nagroda w niebie i kara w piekle jako sankcya moralności zasadniczo przez Kanta potępiona, jako sprzeczna z samą istotą moralnego działania. Pytamy się wobec tego, czy choć jeden fundament chrześcijańskiej etyki pozostał w etyce Kanta?

Kant, jak zauważyliśmy we wstępie, jest nadwornym filozofem dość dziś rozszerzonego ruchu etycznego bez Boga i bez religii. Inicyatorom i zwolennikom tego ruchu nie zawsze można odmówić dobrej wiary i woli. Ruch tego przynajmniej dowodzi, że ludzkość bez jakiejś etyki, choćby etyki bez dogmatu, nie może się obejść. Ale etyka bez Boga, bez religii to dom na piasku budowany. Lada silniejszy podmuch namiętności ludzkich zburzy ją doszczętnie w sercu ludzkiem. Że tego rodzaju etyka nie ostoi się wobec krytyki zdrowego rozumu, wykazaliśmy na etyce Kanta.

X. dr. M. Sieniatycki.

Polityka bałkańska Austro-Węgier.

Na wypadek wojny z Rosyą Austrya będzie mogła tem mniej wojska przeciw niej wystawić, im więcej będzie zmuszona zużyć dla ochrony swych granic południowych. Obliczają rzeczoznawcy, że Serbia i Czarnogóra dzięki nowym zaborom w sandżaku i w Macedonii będą mogły przeciwstawić Austryi blisko ½ miliona ludzi. Przed wojną bałkańską Serbia była mniej groźna, bo mniejsza, bo częściowo skrępowana w swej swobodzie działania antagonizmem bułgarsko-serbskim i dobrymi stosunkami Austryi z Bułgaryą. Serbia wówczas na wypadek walki z Austryą musiała się liczyć z możliwością równoczesnej wojny z Bułgaryą.

Związek bałkański, z którego miało się począć w wojnie z Turcyą państwo bałkańskie, spodziewano się, że wykluczy raz na zawsze tę ewentualność. Bułgarya przestanie być kulą u nogi Serbii, rwącej się do wojny z Austryą. Odda Rosyi może ważniejszą przysługę przez unicestwienie współdziałania Austryi z Rumunią, która jeszcze nie przebolała utraty Besarabii, na której tronie zasiadają Hohenzollernowie, usposobieni nieprzyjaźnie dla Rosyi. Na wypadek wojny austryacko-rosyjskiej, Rumunia prawdopodobnie wystąpiłaby czynnie przeciw Rosyi. Jedynie obawa równoczesnej walki z Bułgarami mogłaby ją od tego powstrzymać. Kto wie jednak, czy po utworzeniu związku bałkańskiego zajdzie jeszcze potrzeba powstrzymywania Rumunii? Kto wie, czy wówczas Rumunia nie zerwie z trójprzy-

mierzem, czy nie zbliży się do trójporozumienia? Zagrożona przez Rosyę i Bułgaryę, wzięta we dwa ognie, prawdopodobnie wyrzeknie się marzeń o odzyskaniu Besarabii wzamian za obietnicę przyłączenia w razie podziału Austryi Bukowiny i Siedmiogrodu, krajów częściowo zamieszkałych przez Rumunów. Podobnego zwrotu dokona prawdopodobnie także Turcya. Przegrana w wojnie ze związkiem bałkańskim przekona ją namacalnie, że pomoc trójprzymierza jest w rozstrzygających chwilach bezpłodną. Zmusi ją do zaciągnięcia nowych długów. Tylko Francuzi i Anglicy będą mogli udzielić pożyczki. Uczynią zadosyć jej prośbom, jeżeli Turcya zobowiąże się przyznać dostawy rządowe Francuzom i Anglikom, zerwać z trójprzymierzem. Rosya postanowiła poprzeć związek bałkański w nadziei, że po wojnie z Turcyą państwa związkowe zawrą trwałe przymierze. Europie przybędzie siódme wielkie mocarstwo wojskowe. Trójprzymierze będzie miało na przyszłość do czynienia zamiast z trójporozumieniem z poczwórnem porozumieniem Rosyi, Anglii, Francyi i związku bałkańskiego, do którego ciążyć będzie Rumunia i okrojona Turcya. Pierwszym skutkiem nowej kombinacyi politycznej będzie pozbawienie trójprzymierza wpływu na Bałkanach i w Turcyi. Niepodobna odmówić tej myśli wielkości. Jej choćby tylko częściowe urzeczywistnienie rokowało trójporozumieniu znaczne korzyści. Nic dziwnego, że znalazła silne poparcie we Francyi, a nawet w Anglii.

Z powodu wielkiego przyrostu ludności w Niemczech, a niemal żadnego we Francyi, stosunek ilościowy Niemców do Francuzów zmienia się ciągle na korzyść Niemców. Rośnie przewaga wojskowa Niemiec. Gwoli jej zrównoważenia Francya ciągle stara się pozyskiwać nowych sprzymierzeńców. Zatarg o Marokko spotęgował chęć działania w tym kierunku. Społeczeństwo francuskie odczuło jako obrazę zawinięcie niemieckiej kanonierki „Panter“ do Agadir z początkiem lipca 1911 roku. Francya uniknęła wojny, ale odstąpiła Niemcom kawałek Konga, niedawno zdobytego wysiłkami francuskich podróżników i żołnierzy.

W zaborczych zamiarach związku bałkańskiego wobec

Turcyi, dojrzeli jej władcy dobrą sposobność poszukania odwetu i wzmocnienia swego stanowiska wobec Niemiec przez włączenie związku bałkańskiego do trójporozumienia i zacieśnienie związku Francyi z Rosyą. Stosunek do Rosyi nie był całkiem zadawalniającym. W Rosyi rozpowszechnione było mniemanie, że podczas sporu o aneksyę Bośnii i Hercegowiny, Francya nie poparła dostatecznie Rosyi. Po Izwolskim, który parł do zacieśnienia przymierza z Francyą, objął kierownictwo ministerstwa spraw zewnętrznych Sazonow, bardziej sprzyjający Niemcom. Jedną z jego pierwszych czynności była podróż wraz z carem do Potsdamu (listopad 1909 r.). Podczas zjazdu doszedł do skutku układ w sprawie połączenia kolei bagdadzkiej z kolejami rosyjskiemi w północnej Persyi. W Potsdamie nastąpiło zatarcie nieporozumienia wywołanego aneksyą i wzajemne zbliżenie, dokonane przez nowych kierowników polityki zagranicznej, niemieckiej i rosyjskiej. Sazonow rokował z Bethman-Hollwegiem, z następcą ks. Bülowa, który w czasie aneksyi pełnił obowiązki kanclerza Rzeszy. Pokojowe usposobienie Rosyi wobec Niemiec objawiło się zmianą w rozmieszczeniu wojsk rosyjskich na pograniczu niemieckiem, a więc przedewszystkiem w Królestwie, która wielce zaniepokoiła Francyę. Rosya, nie przewidując wojny zaczepnej, nie odczuwając żywo potrzeby szybkiego niesienia pomocy Francyi, postanowiła oprzeć rozkład załóg pogranicznych na zamiarze prowadzenia, przynajmniej na początku, wojny odpornej. Wycofała część wojsk za Bug, skutkiem czego zdaniem Francuzów, wartość przymierza z Rosyą zmalała. Jego korzyści tkwią w tem, że zmusza Niemcy zaraz w pierwszych chwilach wojny z Francyą do zwrócenia znacznej części swych zastępów przeciw Rosyi. W miarę odsuwania się załóg rosyjskich od granic niemieckich, Niemcy zyskują możność najścia Francyi liczniejszą armią. Francuscy mężowie stanu postanowili poprzeć całą siłą Rosyę i związek bałkański przeciw trójprzymierzu, żądając wzamian nagromadzenia większych ilości wojska rosyjskiego w Królestwie.

Anglia współdziałała z Francyą i Rosyą w poparciu związku

bałkańskiego. Dogadzało jej osłabienie Turcyi, a zwłaszcza wpływu Niemiec w Turcyi, wzmożenie Bułgaryi, a jeszcze więcej Grecyi, która, kto wie, czy z biegiem czasu nie stanie się choć w małej mierze przeciwwagą rosnącej potęgi morskiej Włoch, ale nie chciała dopuścić do zmiany obowiązujących umów o przejazd przez Dardanele i do podziału Turcyi azyatyckiej, przewidywała bowiem, że wówczas trudno będzie pogodzić jej interesa z francuskimi (Syrya) i rosyjskimi (Armenia). Ten przebieg wypadków byłby sprzecznym z jej dążeniem do dalszego umocnienia trójporozumienia. Francya i Rosya uwzględniły życzenia Anglii, wzamian za co Anglia udzieliła poparcia związkowi bałkańskiemu, również w nadziei, że się utrwali i że w całości stanie po stronie trójporozumienia przeciw trójprzymierzu. W angielskiej izbie gmin poseł Noel Buxton, przewodniczący wybitnie anti-tureckiego komitetu bałkańskiego, złożonego z posłów konserwatywnych i liberalnych, już od dawna czynnego w walce o reformy w Turcyi europejskiej na korzyść chrześcijan, a po wybuchu wojny usilnie popierającego wszelkie żądania związku bałkańskiego, krytykował udział Anglii w nacisku, wywartym na Czarnogórę celem wycofania jej wojska ze Skutari. Odpowiadał mu imieniem rządu w zastępstwie nieobecnego sir Greya podsekretarz stanu Acland (8 maja 1913 r.). Utracie Skutari przeciwstawiał znaczne korzyści, które przypadły w udziale związkowi bałkańskiemu, popieranemu przez trójporozumienie. Skutari — to szczegół. Rzecz główna w tem, ażeby nowy układ polityczny na Bałkanie przestał być dawnem równoważeniem się przeciwległych sił (miał oczywiście na myśli Serbię i Bułgaryę), ażeby nadal polegał na trwałem współdziałaniu państw związkowych. W tej nadziei Anglia popierała od początku związek bałkański ale w sposób bardziej powściągliwy, niż Francya i Rosya, chodziło jej bowiem o uniknięcie zawikłań wojennych między sześciu wielkiemi mocarstwami, w których, kto wie, czy nie musiałaby wziąć czynnego udziału? Nie czuła się bezpośrednio zagrożoną. Tak daleko posunąć się nie chciała.

Rosya, a wraz z nią całe trójporozumienie roztoczyło swe opiekuńcze skrzydła nad związkiem bałkańskim. Serbia i Buł-

garya zobowiązały się w umowach zawartych przed wybuchem wojny, że poddadzą się orzecznictwu polubownemu cara w razie, gdyby między nimi doszło do zatargów o podział zdobytych obszarów. Król Ferdynand w swej krótkiej odezwie wojennej do „Bułgarów" dwukrotnie wymienia Rosyę. Przypomina konieczność ukończenia „świętego dzieła, podjętego przez cara oswobodziciela". Zaklina, by byli równie mężni, jak rosyjscy oswobodziciele. Depesza o upadku Adryanopola nadeszła do Petersburga w chwili, gdy się odbywało posiedzenie dumy. Posłowie wśród okrzyków na cześć zwycięzców przerwali posiedzenie. Natychmiast pospieszyli na nabożeństwo dziękczynne. Równocześnie w Sofii ludność pod oknami poselstwa rosyjskiego wznosiła okrzyki na cześć Rosyi.

Dopiero z początkiem sierpnia 1912 roku dyplomaci wiedeńscy dowiedzieli się o istnieniu związku bałkańskiego i o jego zaborczych zamiarach. Hr. Berchtold w delegacyach z wielkim naciskiem zwraca uwagę na niebezpieczeństwo wojny i rozpoczyna starania o zapobieżenie wybuchowi. Przedkłada mocarstwom plan daleko sięgających reform w Macedonii i Albanii. Oba kraje otrzymać miały niemal zupełną autonomię pod zwierzchnictwem więcej nominalnem sułtana i pod nadzorem wielkich mocarstw europejskich, a więc ustrój zbliżony do kreteńskiego. Ówczesny minister spraw zagranicznych i prezydent gabinetu, a dzisiejszy prezydent rzeczypospolitej, R. Poincaré obejmuje ster akcyi dyplomatycznej. Nie można było odmówić wprost żądaniu Austryi. Byłoby to równoznaczne z jawnem przyznaniem się do chęci wywołania zawikłań wojennych, na co trudno odważyć się w czasach, gdy wojny zaczepne są mało popularne w szerokich warstwach ludności, wywierających obecnie znaczny wpływ na przebieg wypadków. Dyplomaci francuscy, nie odrzucając projektu austryackiego, w zasadzie, projektowali poprawki, uzupełnienia, słowem przewlekali sprawę. Związek bałkański, zaniepokojony usiłowaniami przeciwdziałania wojnie, przyspieszył bieg wypadków. Ostatni z sześciu układów serbsko-bułgarskich o współdziałanie wojskowe i podział zdobyczy doszedł do skutku 15-go września

1912 r. Manewry bułgarskie, do których powołani zostali w znacznej mierze rezerwiści, skończyły się 30-go września. Rezerwiści nie powrócili do domów. Wielu już nigdy nie ujrzy chaty ojczystej. Tego samego dnia rząd bułgarski ogłosił mobilizacyę. Nowe zastępy stanęły pod bronią i ruszyły ku granicom tureckim. Dyplomacya austryacka zdobyła się na jeszcze jeden bezskuteczny wysiłek, celem zapobieżenia wojnie. Posłowie rosyjscy i austryaccy wręczyli sprzymierzeńcom bałkańskim 8-go października pismo, w którem Austrya i Rosya imieniem wszystkich sześciu wielkich mocarstw zapowiedziały przeprowadzenie reform w Macedonii, „potępiły energicznie wszelkie kroki zdolne doprowadzić do zerwania pokoju". Gdyby jednak mimo tego do wojny przyszło, mocarstwa nie dopuszczą do żadnych zmian terytoryalnego status quo. W Zofii wręczyli to pismo poseł rosyjski i austryacki hr. Adam Tarnowski.

Dnia 10-go grudnia 1909 roku kanclerz Rzeszy Bethman-Hollweg w parlamencie niemieckim zaznajomił posłów z wynikami listopadowego zjazdu w Potsdamie. Stwierdzili wówczas kierujący mężowie stanu, że „Rosya i Niemcy mają jednakowy interes w utrzymaniu status quo na Bałkanie i na całym Wschodzie, że żadne z tych państw nie poprze polityki skierowanej do jego naruszenia, skądkolwiek pojawiłyby się podobne usiłowania". Rosya popierała utworzenie związku bałkańskiego, zapewniając urzędownie nietylko przy tej sposobności, że wojna związku z Turcyą jest wykluczoną. Czuła się związaną swemi uroczystemi zapewnieniami, w które trójprzymierze zbyt długo wierzyło, to też, gdy Austrya zażądała zagrożenia chrześcijańskim państwom bałkańskim niedopuszczeniem przez mocarstwa jakichkolwiek terytoryalnych zdobyczy kosztem Turcyi, choćby wojna wzięła obrót dla nich korzystny, wówczas Rosya zgodziła się na wręczenie pisma tej treści, ale równocześnie półurzędownie dała do zrozumienia chrześcijańskim państwom bałkańskim, że nie chwyci za broń gwoli urzeczywistnienia woli w piśmie wyrażonej, że atoli bez wahania podejmie wojnę przeciw Austryi, gdyby ta próbowała użyć przemocy w wykonaniu rzekomo wspólnych postanowień Austryi i Rosyi. Gdyby Austrya była sama

wręczyła pismo tej treści, byłoby z pewnością zrobiło większe wrażenie jako zapowiedź wystąpienia na własną rękę. Poprzednik Gołuchowskiego hr. Kalnoky miał raz powiedzieć Piotrowi Carpowi, prezesowi gabinetu rumuńskiego, w chwili jednego z licznych zatargów bałkańskich: „Rumunia sprzeciwia się woli całej Europy. Taż to jest szaleństwem", na co Rumun odpowiedział: „Byłoby szaleństwem, gdyby Rumunia chciała działać wbrew stanowczej woli Austryi lub Rosyi, ale całej Europie może się bezkarnie sprzeciwić". Tą myślą się powodując, chrześcijańskie państwa bałkańskie w kilka dni później wypowiedziały Turcyi wojnę mimo pisma Austryi i Rosyi. Nie potrzebuję chyba bliżej dowodzić, że jego bezskuteczność obniżyła na Bałkanie powagę Austryi, zwiększyła rosyjską.

Przedstawiciele Rumunii w r. 1878 brali udział w obradach kongresu berlińskiego z głosem doradczym wówczas, gdy na porządku dziennym stały sprawy bezpośrednio dotyczące Rumunii. Bawili równocześnie w Berlinie posłowie innych państw bałkańskich. Wolno im było swe prośby przedkładać pisemnie kongresowi. Nie mieli wstępu na salę obrad, w ciągu których pokój narzucony Turcyi w San Stefano został zmieniony na ich niekorzyść. W ćwierć wieku później związek bałkański silny swem zjednoczeniem zabrał się z bronią w ręku do usunięcia Turcyi z Europy, do przywrócenia pokoju w San Stefano, nie pytając się o zezwolenie sześciu wielkich mocarstw. Korzystając z ich niezgody, obalił stan rzeczy, stworzony na kongresie berlińskim ku oczywistej szkodzie w pierwszym rzędzie Austro-Węgier, a w drugim Niemiec.

Przystępując do przedstawienia i oceny stanowiska Austryi, oraz mocarstw z nią sprzymierzonych wobec wybuchu wojny i jej przebiegu, należy sobie zdać sprawę z właściwego znaczenia zmiany stosunków, odmiennie pojmowanej i odczuwanej przez różne ludy, zamieszkujące monarchię austro-węgierską. O niebezpieczeństwach dla Austryi, tkwiących w nowem ukształtowaniu się stosunków na Bałkanie, już pisałem. Ograniczę się do uzupełnienia poprzednich uwag. Austrya jest, a raczej przed kilku miesiącami była jedynem z sześciu wielkich mocarstw,

graniczącem bezpośrednio z Turcyą europejską. Nic dziwnego, że wypadki wojenne dotknęły jej stanowiska politycznego silniej niż innych mocarstw, bardziej oddalonych od miejsca starcia. Zmiana stosunków wyraziła się przedewszystkiem tem, że Austrya przestała graniczyć z Turcyą. Straciła wygodnego sąsiada. Jego wojska nie były zbyt groźne. U siebie w domu był panem, zmuszonym dzielić się swą władzą z przedstawicielami innych państw, w rzędzie których posłowie i konsulowie bliskich Austro-Węgier odgrywali znaczną rolę. Dotarcie do Saloniki w wojnie zaczepnej nie było celem polityki austryackiej. Nie tkwiło w jej od dawien dawna przeważnie defenzywnym charakterze. Ale Austrya umacniała swe wpływy w Albanii i Macedonii. Dążyła do cichego, pokojowego owładnięcia tych krajów w możliwie najwyższym stopniu *(la pénétration pacifique)*. Ich zabór, opanowanie Saloniki wchodziło w grę jako równoważnik zajęcia Konstantynopola przez Rosyę. Dziś tego rodzaju dążenia są niemal bezprzedmiotowe. Wojna bałkańska oddaliła Austryę bardziej od Salonik, niż Rosyę od Konstantynopola. Austrya przestała graniczyć z Turcyą, ale Czarnogóra i Serbia, rozdzielone jeszcze kilka miesięcy temu sandżakiem Novi-Bazar, zetknęły się ze sobą bezpośrednio. Oba państwa są zamieszkałe przez ludność tego samego języka i wyznania. Następca tronu serbski jest synem nieżyjącej córki króla Mikołaja czarnogórskiego, a więc jego wnukiem. Oba państwa ulegają silnym politycznym i kulturalnym wpływom rosyjskim. Austrya musi się liczyć z ich ścisłem współdziałaniem przeciw niej, które, kto wie, czy nie zyska poparcia wśród ich pobratymców i współwyznawców, zamieszkujących Austro-Węgry w pobliżu granicy. Już od dłuższego czasu Serbia podsyca wśród nich usiłowania oderwania się od Austro-Węgier celem przyłączenia się do niej. Turcya nie mogła podwyższać ceł bez zezwolenia Austro-Węgier. Państwa bałkańskie rozciągnęły na zdobyte obszary swoje cła blisko dwa razy tak wysokie, jak dotychczasowe tureckie — oto jeszcze jedno ujemne następstwo wojny.

Wobec jej wybuchu i przebiegu monarchia, najbardziej nią poszkodowana, zajęła stanowisko nawskróś pokojowe, po-

zbawione wszelkiego ostrza zaczepnego. W chwili rozpoczęcia wojny poważne głosy domagały się wkroczenia do sandżaku, z którego Austrya ustąpiła na rzecz Turcyi, a nie Serbii i Czarnogóry. Przebieg wypadków był inny. Dlaczego? Niewątpliwie chwile najsposobniejsze do interwencyi austryackiej minęły bezpowrotnie. Dyplomaci wiedeńscy nie zdawali sobie sprawy z niemożności trwałego utrzymania terytoryalnego stanu rzeczy, stworzonego na kongresie berlińskim, to też weń zapatrzeni, zajęci jego sztucznem utrzymaniem przy życiu, nie pomyśleli o jego zmianie na swoją korzyść, nie wyzyskali przegranej rosyjskiej pod Liaojanem i Mukdenem. Jeszcze w roku 1908 był czas posunięcia się naprzód, zamiast czego dożyliśmy cofnięcia się wstecz, zupełnie niezrozumiałego, zgoła nieuzasadnionego wycofania się z sandżaku. Gdyby austryackie załogi jeszcze stały w sandżaku, mowyby nie było o zajęciu go przez Serbię i Czarnogórę. Austrya je wycofała. Hr. Aehrenthal powiedział w delegacyach, że jest państwem „terytoryalnie nasyconem". Czynniki rozstrzygające nie zdobyły się w roku 1912 na większą żywotność. Pozostały wierne skromności niebezpiecznej, bo obcej działalności sąsiadów. Uczyniły zadosyć żądaniom trójporozumienia. Francya, Rosya i Anglia głosiły *urbi et orbi*, że wyrzekły się wszelkich zdobyczy terytoryalnych, ale żądają, ażeby i inne wielkie mocarstwa okazały się równie wstrzemięźliwe. Rosya groziła wojną na wypadek, gdyby Austrya wkroczyła do sandżaku. Ileżto gróźb wojennych przebrzmiało bez uderzenia „w czynów stal"! Nie jestem całkiem pewnym, czy istotnie Rosya wykonałaby swą groźbę? Austrya nie chciała dopuścić do rozstrzygnięcia tej wątpliwości. Zrzekła się wszelkiego wystąpienia zbrojnego w sandżaku przedewszystkiem z powodu pokojowości sfer najwyższych. Rozpowszechnionem było w Austryi mniemanie, które i mnie wydaje się trafnem, że wkroczenie do sandżaku, choćby nawet wywołało wojnę z Rosyą, byłoby ostatecznie wzięło dla Austryi obrót pomyślny. Atoli *dubiosus est belli eventus*. Wojna tego pokroju zawiera w sobie ryzyko, którego czynniki rozstrzygające starały się uniknąć wszelkiemi siłami.

Równie pokojowo usposobione były Niemcy. Gdyby Rosya zaczepiła Austryę z powodu wkroczenia do sandżaku, Niemcy przyszłyby zbrojnie w pomoc w dobrze zrozumianym własnym interesie i zgodnie z obowiązującem przymierzem, aczkolwiek starały się usilnie o uniknięcie tej ewentualności. Z tego założenia wychodząc, mniemam, że wstrzymywanie Austryi od interwencyi przez Niemcy nie przeważyło na szali wypadków. Mogłoby wywrzeć rozstrzygający wpływ tylko wtedy, gdyby nie chciały dotrzymać przymierza, czem zaszkodziłyby same sobie. Austrya sama zrzekła się wkroczenia do sandżaku. Stanowisko Niemiec umocniło ją w tem postanowieniu. Niemcy stale kierowały się w swej polityce chęcią uniknięcia zawikłań wojennych także i w ciągu późniejszych wypadków.

Pokojowość Niemiec łatwiej wytłumaczyć i zrozumieć, łatwiej obronić, bo była bardziej uzasadnioną w przebiegu wypadków, niż austryacka. Wojna bałkańska stanowiła przegraną przedewszystkiem Austryi, mocarstwa geograficznie najbliższego Bałkanom, najbardziej interesowanego. Była dopiero w drugim rzędzie niepowodzeniem politycznem Niemiec. Stanowisko międzynarodowe Niemiec uległo niekorzystnej zmianie w znacznym stopniu, choć nie wyłącznie w ich charakterze sojusznika Austryi, a więc tylko pośrednio. Osłabienie Austryi było równocześnie osłabieniem jej sprzymierzeńca. Sojusz niemiecko-austryacki zwraca się głównie przeciwko Rosyi. Niemcom chodzi o zapewnienie sobie pomocy Austryi na wypadek równoczesnej wojny Niemiec z Francyą i Rosyą. Prawdopodobnym wynikiem wojny bałkańskiej będzie uszczuplenie sił wojskowych, które Austrya mogłaby przeciwstawić Rosyi, albowiem znaczniejsza, niż przedtem część wojsk austro-węgierskich będzie musiała być użytą celem powstrzymania naporu serbskiego. Właśnie w tej nadziei trójporozumienie popierało związek bałkański. Cesarstwo niemieckie zrozumiało i oceniło zmianę stosunków zupełnie w ten sam sposób. Postanowiło zrównoważyć osłabienie Austryi wielkiem pomnożeniem swych sił lądowych.

Skutkiem wojny bałkańskiej znacznie zmalała wartość

jeszcze jednego ewentualnego sprzymierzeńca Niemiec, na którego pomoc Niemcy liczyły w razie starcia z Anglią. Dziś Anglia mniej się liczy z możliwością najścia Egiptu przez wojska tureckie. Upadek Turcyi oznacza znaczne bezpośrednie niepowodzenie polityki niemieckiej, skierowanej ku jej wzmocnieniu w myśli wygrywania Turcyi przeciw Anglii. Niepowodzenie tem dotkliwsze, że szło o sprawę, do której rząd niemiecki słusznie przywiązywał największą wagę. Przez długie lata zastępywał go w Konstantynopolu — oczywiście nie przypadkowym zbiegiem okoliczności — najzdolniejszy dyplomata niemiecki, bar. Marschall von Bieberstein. (Umarł przed wybuchem wojny). Przyjaźń Wilhelma II-go okazała się w ostatnich kilkunastu latach już po raz trzeci zawodną, słowem bez treści, bo nie poparta czynem w chwili stanowczej. Wilhelm II-gi zapewniał Krügera o swej przyjaźni dla rzeczypospolitej, której był naczelnikiem. Umacniał go w oporze przeciw Anglii. Nie przeszkodził wcieleniu Transvaalu do angielskich kolonii. Odwiedził Tanger. Mulay Hafid opierał się Francyi i Anglii, licząc na jego pomoc. Dziś niezawisłe państwo marokkańskie jest wspomnieniem przeszłości. Równie bezpłodną okazała się przyjaźń niemiecka, gdy Turcya walczyła o utrzymanie swego panowania na półwyspie bałkańskim. W dziejach współzawodnictwa angielsko-niemieckiego wojna bałkańska oznacza zwycięstwo Anglii, przegraną Niemiec nietylko z powodu osłabienia Turcyi. Znaczne wzmożenie niemieckich sił wojskowych na lądzie jest wielce kosztowne. Ministrowie Wilhelma II-go doszli do przekonania, że Niemiec nie stać finansowo na równoczesne olbrzymie powiększenie armii i na budowę nowych okrętów w coraz to większej ilości. Niemcy nie zaniechały już przewidzianej i zarządzonej budowy nowych okrętów, ale — przynajmniej chwilowo — mają zamiar powiększać flotę jedynie w granicach poprzednio ustalonych. W ostatnich latach ciągle plany powiększenia niemieckiej floty ulegały zmianie. Uzupełniano je nowymi, równoznacznymi z powiększaniem w rozmiarach, przewyższających pierwotnie przewidziane. Zbrojenia ciągle przyspieszane niepokoiły Anglię. Dziś Niemcy zapowiadają, że na

razie chcą się zadowolnić dotychczasowymi planami powiększenia floty. Wojna bałkańska zmusiła Niemcy do ograniczenia w pewnej mierze swych zbrojeń morskich, aczkolwiek równocześnie także z powodu wojny ich współzawodnictwo z Anglią w Turcyi wzięło obrót dla nich niepomyślny.

Niemcy miały wiele powodów do niezadowolenia z przebiegu wypadków. Nie pragnęły zmienić go na swą korzyść z bronią w ręku. Powstrzymywały Austryę od usiłowań przywrócenia tym sposobem zachwianej równowagi sił politycznych. W czasie aneksyi wystąpiły stanowczo w obronie Austryi przeciw Rosyi, wiedząc, że do wojny nie przyjdzie. Rosya musiała po wojnie z Japonią uzupełnić zapasy wojenne, przeprowadzić reorganizacyę armii, wówczas jeszcze nie ukończoną. Aneksya Rosyi właściwie niczego nie pozbawiła, a nawet skutkiem równoczesnego wycofania się Austryi z sandżaku była dla Rosyi korzystną, co niebawem miało się dowodnie okazać. W chwili wybuchu wojny bałkańskiej stosunki się zmieniły. Interwencya zbrojna Austryi byłaby uszczupleniem wpływów rosyjskich na Bałkanie, a może powiększeniem terytoryalnem Austryi, dotkliwem dla Rosyi, bo niezrównoważonem jej zaborami. Rosya na ten wypadek zapowiadała wojnę. Niemcom zdawało się, że Rosya teraz się nie cofnie. Nie chciały ani z nią walczyć, ani opuścić sprzymierzeńca, a więc dążyły usilnie do umiejscowienia wojny na Bałkanach, do ograniczenia jej do stron od początku, biorących w niej udział. W czasie aneksyi popierały Austryę bez zastrzeżeń, w ciągu wojny bałkańskiej popierały ją także, ale równocześnie starały się złagodzić przeciwieństwa austryacko-rosyjskie, pośrednicząc między obu państwami, nakłaniając je do wzajemnych ustępstw.

W kilka miesięcy po aneksyi dokonało się zbliżenie niemiecko-rosyjskie w Potsdamie, równoznaczne z osłabieniem trójporozumienia. Wybuch wojny na Bałkanach groził udaremnieniem tych zabiegów. Zacieśnił przymierze Francyi z Rosyą. Niemcy wobec obrotu wypadków, którego nie przewidziały, poczęły zwalczać trójporozumienie przedewszystkiem próbami nawiązania lepszych stosunków z Anglią, ale równocześnie dołożyły

wszelkich starań, ażeby jaknajmniej uronić ze zbliżenia dokonanego w Potsdamie. Zastosowały swe postępowanie do myśli jaknajrychlejszego budowania po wojnie dalej na podstawach wówczas ustalonych.

Pokojowość Niemiec tłumaczę sobie kilku przyczynami, które łącznie, a właśnie dlatego tem skuteczniej, przyczyniły się do podporządkowania polityki niemieckiej programowi uniknięcia wojny. Mowy Wilhelma II-go wydają się wielu ich słuchaczom i czytelnikom bardzo wojowniczemi. Cesarz niemiecki z wielkim naciskiem podkreśla gotowość Niemiec do stanowczej obrony swych granic. Rozumie się samo przez się, że nie chcą oddać Alzacyi i Lotaryngii, że przygotowywują się do odparcia tych, którzyby mieli zamiar dokonać zaboru tej czy innej części współczesnych Niemiec. Wilhelm II-gi ciągle przypomina powierzone sobie posłannictwo Boże utrzymania i przekazania dalszym pokoleniom dzieła, dokonanego przez wielkiego dziada. Do dążności zaczepnych nie przyznaje się. Nie podejrzywam go o tajenie ich w sobie. W ciągłem powiększaniu wojska lądowego i floty widzę chęć narzucenia woli Niemiec innym groźną postawą wojenną, w ostatnich latach coraz mniej skuteczną, bo przekonano się, że władca tej olbrzymiej siły nieskorym jest do narażania jej na starcie z poważnym przeciwnikiem. Nastrój narodu jest zgodny z uczuciami jego władcy. Wojna bałkańska stworzyła warunki, które nader łatwo doprowadzić mogły do starć wojennych między wielkiemi mocarstwami. Inne czynniki przeważyły szalę na rzecz pokoju. Wśród nich uważam za jeden z najsilniejszych, a może za rozstrzygający, szybki wzrost dobrobytu w szerokich kołach ludności. Pomyślny rozwój gospodarczy nie sprzyja porywom wojennym. Gdy istnieje stosunkowo znaczna łatwość wzbogacenia się bez wojny, ludzie zadają sobie pytanie, czy wojna może zapewnić większe materyalne korzyści? Ociągają się z twierdzącą odpowiedzią, bo mają wiele do stracenia. Stawka wydaje im się zbyt wielką w stosunku do niepewnej i małej wygranej. Z tym czynnikiem liczyli się poważnie naczelnicy wszystkich sześciu mocarstw. Pokojowość polityki niemieckiej z pewnością pole-

gała na nim w znacznym stopniu. Nie było zapału do wojny, zwłaszcza z Rosyą. Opinia publiczna niemiecka dopatruje się nieprzyjaciela w odwiecznym wrogu, we Francyi lub w Anglii, której silna flota utrudnia Niemcom odegranie pierwszorzędnej roli na morzu, a więc i w polityce pozaeuropejskiej. Mniej nieprzyjaznym jest jej nastrój wobec Rosyi. Nawet przystąpienie caratu do trójporozumienia nie wywołało stanowczej zmiany w usposobieniu, wytworzonem długoletnią tradycyą historyczną, a wzmocnionem najnowszym rozwojem stosunków gospodarczych. Niegdyś Germanie parli ku Wschodowi, bo im za ciasno było w ojczystych siedzibach. Naszli kraje słowiańskie, bo wobec wzrostu ludności u nich w domu ziemi było coraz mniej. Chcieli zdobyć rozległe, rzadko zaludnione obszary po drugiej strony Łaby. Ale dziś stosunki się zmieniły. Rolnik niemiecki z obawą myśli o przysporzeniu sobie współzawodników w razie włączenia Królestwa. Dzisiaj ekspanzya ekonomiczna niemiecka zwraca się raczej ku Zachodowi. Coraz to większy dobrobyt szybko wzrastającej ludności niemieckiej polega głównie na wywozie towarów przemysłowych za morze. Gospodarcze dążności niemieckie zwracają się raczej przeciw Anglii, niż przeciw Rosyi. Zabór Królestwa także i z politycznych powodów nie jest zbyt pożądanym. Prusy mimo usilnych zabiegów jeszcze nie zniemczyły tych Polaków, którzy już są ich poddanymi. Przysporzenie państwu nowego zastępu poddanych Polaków w tych warunkach nie jest celem, wywołującym zapał wojenny. Kwestya polska jest znaczną siłą w tej sprawie, ale działającą w kierunku wprost przeciwnym, powstrzymującą Niemcy od wojny z Rosyą.

Od wieków protestanccy Hohenzollernowie miewali zatargi z Austryą i Francyą. Znajdowali pomoc w prawosławnej Rosyi i w protestanckiej Anglii, w państwach wobec ich katolickich wrogów również nieprzyjaźnie usposobionych. Szczególnie bliskie były ich stosunki z Rosyą. Twórca dziś jeszcze żywego przymierza Niemiec z Austryą przedstawił nam w swych pamiętnikach jasno i dobitnie przyczyny, które skłoniły go do zawarcia sojuszu z monarchią Habsburgów, a zarazem wytknął granice,

współdziałania z nią, których Niemcy nie powinny przekroczyć.[1] Zdaniem Bismarcka porozumienie trójcesarskie (zjazd w Skierniewicach 1882 r.) jest kombinacyą dla Niemiec pożądaną, ale nietrwałą wobec sprzeczności interesów austryacko-rosyjskich, zwłaszcza na półwyspie bałkańskim. Z tej przyczyny Niemcy nie mogą uczynić jej kamieniem węgielnym swej polityki. Nie mogą, choćby ze względu na nieprzyjaźń Francyi, zadzierać z obu państwami. Muszą wybrać przyjaźń jednego z nich — wybór trudny, ale nieunikniony. Korzystniejszem jest przymierze z Austryą, ale nie należy pod żadnym pozorem dać się wciągnąć w wojnę z Rosyą, z którą nas łączą wspomnienia długoletniego współdziałania, tak korzystnego dla Prus i Niemiec. Wiąże oba państwa ścisła zażyłość obu dynastyi w stosunkach osobistych, oparta na bliskiem pokrewieństwie, zacieśnianem coraz to nowymi ślubami (małżeństwo jedynej córki Wilhelma II-go z bliskim krewnym cara w maju 1913 roku, pobłogosławione w jego obecności). Wiąże je wspólność interesów dynastycznych w walce z żywiołami przewrotu, a przedewszystkiem konieczność występowania jednolicie przeciwko Polakom.[2] Prusy nie mogłyby prowadzić polityki antipolskiej, zdaniem Bismarcka koniecznie potrzebnej dla ich dobra, gdyby Rosya po drugiej stronie granicy postępowała wprost przeciwnie wobec Polaków. Na szczęście jej polityka polska jest zgodna z pruską. A więc nie należy dopuścić do wojny z Rosyą. Gdyby Niemcy razem z Austryą podjęły wojnę przeciw Rosyi, wówczas powstałby trudny problem znalezienia innego rozwiązania kwestyi polskiej, które prawdopodobnie wypadłoby mniej korzystnie dla Niemiec, niż stan obecny.[3] Lepiej *quieta non movere*, a niezbędnym

---

[1] *Bismarck*: „Gedanken u. Erinnerungen". Stuttgart 1898, 2 t.

[2] „Dagegen gewähren die übereinstimmenden Bedürfnisse in der polnischen Frage u. die Nachwirkung der hergebrachten dynastischen Solidarität im Gegensatz zu den Umsturzbewegungen Unterlagen für eine gemeinsame Politik beider Cabinete" (*Bismarck* l. c. t. II, str. 251).

[3] „Jeder siegreiche Krieg gegen Russland unter unserer Beteiligung beladet uns nicht nur mit dem dauernden Revanchegefühl Russlands, sondern zu-

warunkiem zapobieżenia zmartwychwstaniu kwestyi polskiej jest unikanie wojny niemiecko-rosyjskiej.

W ten sposób ongi rozumował Bismarck. Ale jest wielkiem pytaniem, czy dziś z tych ogólnych założeń wyciągnąłby te same wnioski praktyczne, do których doszli jego następcy? Powiernik politycznej myśli Bismarcka, Harden, znany redaktor berlińskiej „Zukunft", przemawiał wymownie za wkroczeniem Austryi do sandżaku i za udzieleniem jej stanowczego poparcia ze strony Niemiec. Bismarck był zdania, że Niemcy nie mają żywotnych interesów politycznych w Turcyi. Zalecał wstrzemięźliwość w zawikłaniach wschodnich. Ale stosunki uległy zmianie od czasu, gdy przestał kierować niemiecką polityką zagraniczną. Rozwinął się antagonizm angielsko-niemiecki, na tle którego silna Turcya stała się dla Niemiec czynnikiem wielce pożądanym. Gdy w r. 1890 Wilhelm II-gi zmusił Bismarcka do ustąpienia, wymieniano w rzędzie przyczyn, które skłoniły cesarza do tego kroku, chęć zerwania z dwulicową polityką wobec Austryi pierwszego kanclerza, usiłującego wbrew duchowi przymierza utrzymać dobre stosunki z Rosyą. Dziś Wilhelm II-gi i jego doradcy mimo zmiany stosunków trzymają się ściśle potępianych ongi wskazań pierwszego kanclerza. W roku 1854, w czasie wojny krymskiej nie brakło głosów na dworze pruskim, domagających się stanowczo wojny z Rosyą. Bismarck w swych pamiętnikach nazywa tę grupę, w której skutecznem zwalczaniu brał udział, frakcyą Bethman-Hollwega. Bethman-Hollweg syn miał sposobność wstąpienia w pół wieku później w ślady ojca. Wolał pójść za zdaniem jego przeciwników politycznych.

Kierownicy niemieckiej polityki postanowili znieść pokornie ujemne następstwa wojny bałkańskiej. Mogli je zmienić na swą korzyść tylko z bronią w ręku, a tego nie chcieli uczynić.

---

gleich mit einer sehr bedenklichen Aufgabe, nämlich die polnische Frage in einer für Preussen erträglichen Form zu lösen" (*Bismarck* l. c. t. I, str. 114). „Die Frage der Zukunft Polens ist unter den Vorbedingungen eines deutsch-österreichischen Kriegsbündnisses eine besonders schwierige" (*Bismarck* t. II. str. 236).

Powzięli zamiar wyzyskania swej pokojowości w kierunku rozbicia, a przynajmniej osłabienia trójporozumienia przez zbliżenie się do Anglii, które miało być równoznaczne w ich oczach z jej odsunięciem się od Francyi i Rosyi, na tle zgodnych dążeń obu państw do utrzymania pokoju europejskiego, zagrożonego najbardziej ewentualnem zwycięstwem stronnictw wojennych we Francyi i w Rosyi, w tych dwóch państwach silniejszych, niż w innych. Anglia czuła się nasyconą nad wyraz pomyślnym dla niej przebiegiem wypadków. Nie chciała zwiększać korzyści wojną, w której mogła stracić to, co już zyskała. W tym celu należało popierać nadal zwycięski związek bałkański, ale równocześnie powstrzymywać Austryę od czynnej interwencyi, choćby kosztem drobnych ustępstw. Należało uzyskiwać na nie zgodę swoich dwóch sprzymierzeńców. Należało poparcie przez nich związku bałkańskiego ograniczyć do rozmiarów nie przedstawiających niebezpieczeństwa dla pokoju europejskiego. Anglia popierała związek bałkański nieco chłodniej, niż Francya i Rosya, nieco mniej zwalczała żądania austryackie, niż jej dwaj sprzymierzeńcy, przez co powstrzymywała ich od wojny. Odgrywała wobec nich rolę zbliżoną do tej, której podjęły się Niemcy wobec Austryi. Na gruncie równoległych starań o utrzymanie pokoju Niemcy szukały zbliżenia do Anglii. Francya i Rosya oczywiście także chciały utrzymać jaknajlepsze stosunki z londyńskiem *Foreign Office*. Starały się zadosyćuczynić w miarę możności angielskim życzeniom, ażeby wzmocnić trójporozumienie. Wszyscy ubiegali się o angielskie względy. Tym sposobem doszło do zawarcia pokoju w Londynie, w siedzibie faktycznego rozjemcy powaśnionej Europy.

W czasie wojny bałkańskiej poprawiły się nieco, zdaje się, że mniej, niż niemieccy mężowie stanu przypuszczają, stosunki angielsko-niemieckie. Jest rzeczą zupełnie pewną, że nie poprawiły się, a raczej pogorszyły się francusko-niemieckie. Zasadniczo odmienne poparcie sprzymierzeńców doprowadzić musiało do pogłębienia przeciwieństw politycznych między Francyą, a Niemcami. Utrudniało zarazem i osłabiało w wysokim stopniu politykę austryacką. Kanclerz niemiecki i jego

zastępca wyraźnie oświadczyli w sejmie rzeszy, że popierają Austryę, ale równocześnie w Wiedniu i Petersburgu pośredniczą celem wyrównania różnic czyli nakłaniają do wzajemnych ustępstw. Francya zupełnie inaczej pojęła swe obowiązki sprzymierzeńca, popierała bowiem bez żadnych zastrzeżeń wszelkie kroki rosyjskie. W obronie związku bałkańskiego przeciw Austryi nie pozostała w tyle poza Rosyą, aczkolwiek mniej zainteresowana, posunęła się raczej dalej, w oczywistym zamiarze poszkodowania Niemiec. Na ich niekorzyść francuscy dyplomaci pracowali z widoczną zręcznością i powodzeniem w czasie tworzenia się związku bałkańskiego i w ciągu wojny, przestrzegając neutralności i domagając się od innych jej przestrzegania, broniąc zasady, że nie wolno powstrzymywać państw związkowych w jaknajzupełniejszem wyzyskaniu zwycięstw.

Niemcy powstrzymywały od wojny nietylko Austryę, ale także Rumunię, od dawien dawna ciążącą ku trójprzymierzu. Między nią a Austryą istnieją układy o współdziałanie wojenne na wypadek wspólnej wojny z Rosyą. Obok Austryi Rumunia odczuła najsilniej zmianę stosunków. Wzrost Bułgaryi kosztem Turcyi uważała za zwichnięcie równowagi na swoją niekorzyść. W chwili wybuchu wojny bałkańskiej dotychczasowy prezydent gabinetu, Piotr Carp ustąpił, ponieważ nie udało mu się skłonić króla do wojny z Bułgaryą, a nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za zaniechanie wojny. Do jego następcy, obecnego prezydenta gabinetu, Majorescu zgłosili się posłowie Bułgaryi i Serbii z zawiadomieniem urzędowem o wybuchu wojny i z zapytaniem, czy Rumunia zachowa neutralność? Odpowiedź brzmiała: Zachowa, o ile sprzymierzeńcy ograniczą się do wymożenia na Turcyi ustępstw dla jej chrześcijańskich poddanych, których uzyskanie było urzędownie głoszonym celem wojny. Równocześnie zarządził zbrojenia celem okazania, że Rumunia nie zachowa neutralności w razie, gdyby państwa związkowe rozszerzyły swe granice kosztem Turcyi bez rekompensat na rzecz Rumunii. Nastąpiły układy. Bułgarya odstąpiła Rumunii Silistryę, miasto bułgarskie, nie pozbawione strategicznego znaczenia. Ze względów geograficznych trudno

było wykroić dla Rumunii kawałek Turcyi. Carp uznał, że Rumunia otrzymała za mało. Krytykował politykę swego następcy. Majorescu bronił jej w dłuższej mowie, wygłoszonej na wspólnem posiedzeniu rumuńskiego senatu i izby w maju 1913 r. Powiedział, że z początkiem wojny w chwili, gdy w Rumunii rozstrzygano pytanie, czy należy wkroczyć do Bułgaryi, poseł rosyjski oświadczył rządowi rumuńskiemu, że w razie wkroczenia Rosya mimo życzliwości dla Rumunii nie mogłaby być bezczynną. Opinia publiczna zmusiłaby Rosyę do wojny z Rumunią w imię solidarności słowiańskiej. Poseł niemiecki w Bukareszcie zaraz potwierdził wiadomość o groźbach rosyjskich. Kanclerz otrzymał ją z Petersburga i polecił mu udzielić jej rządowi rumuńskiemu wraz z radą poniechania myśli wojny z Bułgaryą w zamian za korzyści terytoryalne i inne. Kanclerz zapewniał zarazem o poparciu, którego Niemcy mają zamiar udzielić rumuńskim żądaniom o rekompensaty za zachowanie neutralności.

„Obowiązkiem jest to, co mają robić inni". W parlamencie niemieckim kanclerz i sekretarz stanu dla spraw zewnętrznych, określając stanowisko Niemiec w czasie przesilenia — wywołanego wybuchem wojny bałkańskiej, mówili, jak już wiemy, o popieraniu Austryi, połączonem z pośredniczeniem między nią a Rosyą. Dodawali, że ich usilnem staraniem było i będzie wpływać na Austryę i Włochy w duchu utrzymania i wzmocnienia istniejącego między niemi porozumienia w sprawach bałkańskich. Niemcy same podkopywały trójprzymierze polityką niezgodną z jego myślą przewodnią, ale żądały od Włoch i Austryi udzielania sobie wzajemnie silnego poparcia w obronie wspólnych celów. Chciały zrównoważyć osłabienie trójprzymierza, wynikające z ich połowiczności, poprawą stosunków austryacko-włoskich. Zwrot w tym kierunku istotnie nastąpił w pewnej mierze, ale niewiele w nim zasługi niemieckiej. Na początku wojny bałkańskiej Włochy czuły się poniekąd nasycone Trypolisem, a to tem więcej, że mimo zawarcia pokoju z Turcyą opanowanie Trypolisu było zadaniem tylko w małej części rozwiązanem. W ciągu maja 1913 roku czytaliśmy de-

pesze włoskie, w których Włosi przyznawali się do przegranej pod Ettangi, miejscowości, znajdującej się w pobliżu przystani Derna. Gdy wreszcie podjęli marsz w głąb kraju, w odległości kilkunastu kilometrów od wybrzeża morskiego od dawna opanowanego, natknęli się na arabskie pospolite ruszenie i musieli przystąpić do odwrotu, pozostawiając w ręku zwycięskiego nieprzyjaciela cztery działa, jak twierdzą, po uczynieniu ich niezdolnemi do dalszego użytku. Włosi choćby chcieli, nie mogli być zbyt przedsiębiorczymi wobec kosztownej konieczności prowadzenia nadal wojny w Tripolis. Skromność żądań austryackich dokonała reszty. W tych warunkach łatwo było doprowadzić do zgodnego wystąpienia w sprawach bałkańskich.

Aneksya Bośnii i Hercegowiny była zatargiem austryacko-rosyjskim. Wojna bałkańska była nim w dalszym ciągu. Położenie Austryi w chwili wybuchu wojny było znacznie trudniejsze, niż w czasie aneksyi z jej własnej winy. Wówczas miała do czynienia z Serbią i Czarnogórą, natomiast Bułgarya przynajmniej z początku współdziałała z nią. Później, ponieważ nie udzieliła jej dostatecznego poparcia, Bułgarya przystąpiła do związku bałkańskiego, zwracającego się przeciw Austryi pod opiekuńczemi skrzydłami Rosyi, silniejszej, niż w czasie aneksyi. Zapasy wojenne, uszczuplone wskutek starcia z Japonią, władze rosyjskie uzupełniły. Francya popierała Rosyę bardziej stanowczo, natomiast Niemcy Austryę słabiej, niż wówczas. Tylko w drobnej mierze te straty równoważyło nieco przychylniejsze stanowisko Anglii i drogo okupione Włoch.

Dr. Adam Krzyżanowski.

Z cyklu: „Opowieści Chrystusowe".

HOŁD.

Błysk oliwnego kaganka rozświecał ostre rysy pochylonej twarzy i śnieżną białość włosa. Ostatni kapłan potężnego niegdyś bożka Baala sprawdzał po raz setny mowę niebios, bo pojąć jej nie mógł. Do starczej, pergaminowo żółtej twarzy uderzył rumieniec, młodzieńczym blaskiem przygasłe rozbłysły oczy, dziwnym był tej nocy układ gwiazd.. astrolog czytał w nich zapowiedź narodzin wielkiego władcy... dziwnego jakiegoś władcy... Przepowiadały mu gwiazdy władanie nad światem całym od krańca do krańca, żywot krótki jak błysk meteoru i krwawy, nagły zgon.

Co za mocarz ! co za potęga !

Astrolog patrzył znowu w wyiskrzoną gwiazdami dal nieba przez powiększające szkła, notował na glinianej tablicy położenie gwiazd, rachował, sprawdzał.

Tętniało mu w skroniach od bólu, krew tysiącem dzwonów dzwoniła w uszach, a myśl pracowała z precyzyjną dokładnością.

— Judea... więc mocarz ten w Judei ujrzy światło życia... dziwne... dziwne.

— A władza jego obejmie świat cały...

— Większą część życia przepędzi w pokoju, a potem trzy lata działania i nagły, krwawy zgon.

— Dziwne... dziwne...

— Panowanie jego sięgać będzie od krańca do krańca, nigdy tak nikt nie opanował ziemi, najwięksi mocarze częścią jej władali zaledwie... a ten obejmie świat cały.

Wstrząsnął głową, spojrzał w hieroglify gwiazd i powtórzył drżącemi wargami:

— Nie pomyliłem się przecież... działalność jego publiczna to zaledwo przeciąg trzech lat... więc w tych trzech latach dokona się chyba to opanowanie ziemi... a zatem to człowiek, jakiego dotąd nie wydała ziemia. W nocy urodzin żadnego mocarza nie była tak dziwnie wyraźną a tajemniczą mowa gwiazd... na tablicach glinianych pozostałych po poprzednikach, Chaldejczyk nigdy nie spotkał się z podobnym układem, a przecież były tam horoskopy potężnych faraonów Egiptu, cezarów Rzymu, był los Aleksandra Macedońskiego.

— Czyżby ten większym miał być od wszystkich?... Chaldejczyk skupił myśl i patrzał, nagle doznał wrażenia, że zmatował się blask wszystkich gwiazd, cień gnomonu ukazywał północ....

— Czyżby wzrok mi osłabł... mam wrażenie, że gwiazdy stały się bezpromienne... — drżącymi palcami Baltazar zaczerwienione czuwaniem przetarł powieki. Nagle drgnął, daleko nad Judeą rozbłysła nagle gwiazda nowa, tak wspaniała, że z ust astrologa wydarł się okrzyk zdumienia, a równocześnie inne odzyskały, zda się, podwójną siłę blasku.

Przez szkła widział ją, tę nową gwiazdę, inną i większą od wszystkich, wytężył wzrok, serce mu biło, krew rozrywała skronie, na przeczystej powierzchni gwiazdy rozróżnił cień słaby, ledwo dostrzegalny, wpatrzył się uważnie, z wysiłkiem i zdawało mu się, że cień ma kształt krzyża.

Jakiś lęk i żal bezmierny padł od niego w duszę astrologa, godło hańby na gwieździe największego ziemskiego mocarza wstrząsnęło go dreszczem.... Im dłużej patrzył, tem dziwniejszy wpływ wywierała na niego ta gwiazda, on, który ze wszystkich kapłanów wiernym pozostał rozpadającej się w gruzy świątyni Baala i życie pędził w ciszy świątyni, w badaniu gwiazd, w czci swego Boga, uczuł nagle pragnienie opuszczenia zajmowanej

placówki, ukochanych instrumentów, biblioteki, aby hołd złożyć dziecięciu, które zawładnąć miało ziemią całą... Czynów jego nie doczeka już, ani sławy, ale wiedza jego dała mu świadomość początku.

— Pójdę — myślał wpatrzony w gwiazdę jasną i spokojną, snop światła wysyłającą ku ziemi.

Spojrzał po izdebce, po ukochanych instrumentach swoich, po tablicach z pomiarami i schwycił go bezmierny żal...

Gdy odejdzie zniszczenie zawita i do tej izdebki, rozpadną się do reszty mury, zbrodnicze ręce rozkradną niestrzeżone skarby wiedzy... Jednak tego, co widział dzisiaj, nie dojrzy już nikt drugi....

— Pójdę — postanowił.

Usiadł przy stole i na glinianych tablicach rył starannie obszerne sprawozdanie z wypadków nocy, z przedziwnego położenia gwiazd, by spoczęło w podziemnych lochach zrujnowanej świątyni Baala i zamknęło na zawsze skarb wiedzy zgromadzony wiekami.

Gdy skończył, blady świt był, raz jeszcze do szkła podszedł, z jasnego błękitu nieba wzywała go gwiazda świecąca nad daleką Judeą.

Nie myślał o trudach podróży dalekiej, o pustyni dzielącej go od Judei, jeden tylko lęk miał w duszy... czy sił wystarczy. Stary był, tajemniczy rylec czasu powlókł mu twarz tysiącem bróżd, pochylił ramiona, zgarbił plecy, pleśnią wieku włos pokrył... więc w trwodze swojej wielkiej wyciągnął dłonie w kierunku tych gwiazd, których mowę tłumaczył od lat.

— Dozwólcie mi dojść ! O dozwólcie mi dojść ! I wiedzę starości mojej w hołdzie złożyć dziecięciu temu !

A potem ku potężnym w gruz rozsypującym się murom Babilonu spojrzał, ku szczątkom wieży Birs — Nimrud...

Mocarz, który urodził się w Judei, owładnie świat cały, więc przyniesie światu język, którym porozumią się i połączą wszystkie narody... Jakiż to będzie język... nienawiści czy miłości ?...

— O Baalu ! — wołał kapłan... urwał, pochylił głowę...

przypomniał mu się Bóg, który był Bogiem przodków jego, a w którego on wierzył... a kładąc Baalowi ofiary krwawe... on ostatni kapłan na gruzach świątnicy składał je Bogu przodków swoich, Stwórcy wszechświata, Panu niezmierzonych przestworów, które badał.

I teraz więc stojąc na gruzach wspaniałej, niegdyś siedmiokręgowej świątyni, wyciągał szczupłe, starcze dłonie do powstającego słońca i wyznawał głośno, co czuł i tłumił życie całe...

— Ty Jedyny... Ty Wszechmocny... Ty Światowładny... prowadź !...

— Ojcze!

Na progu cudnej, książęcej komnaty, strojnej koronką rzeźb i kwiatów przepychem, stanął młodzieniec opowity miękkim płaszczem białym, z mitrą książęcą w czarnych lokach. Na szczupłej, bezbrodej twarzy malowało się silne wzruszenie, płonęły ciemne, otchłanne oczy.

— Ojcze !

Księciu indyjsko-partyjskiemu fryzowano właśnie i barwiono brodę na zielono, a niewolnicy, których skulone, nagie ciała lśniły jak miedź polerowana, szlifowali pilnikami z kości słoniowej paznokcie jego rąk i nóg, zwilżając je octem wonnym. Na głos syna, pan spojrzał zdumiony ku wchodowi, nieprzyzwyczajony był do tak wczesnych odwiedzin, gniewało go, gdy mu przerywano tualetę. Zdumienie i gniew przeszły w ciekawość, gdy dojrzał wyraz silnego wzburzenia na twarzy syna.

— Gathaspar ! — zawołał po grecku — spotkało cię co nieprzyjemnego... może małżonka twoja chora lub syn?...

— Nie ojcze... Dziękuję ci za troskliwość... z inną prośbą przychodzę... czy pozwolisz, bym ci ją wypowiedział.

Pan skinął, a Gathaspar silnie wzruszonym, chwilami rwącym się głosem opowiadał.

— Sen miałem dziwny dzisiaj, śniło mi się, że ujrzałem daleko na niebie wschodzącą gwiazdę, cudną, wspaniałą, a równocześnie głos jakiś zawołał:

— Gathaspar... idź hołd złożyć dziecięciu..., które się rodzi.

Zbudziłem się z wrażeniem tego szeptu, do koła cisza panowała głucha, księżycowy blask słał się, z ogrodu płynęła woń róż, słowików dźwięczały chóry... Zasnąłem... i ojcze sen się powtórzył, ujrzałem znowu gwiazdę i posłyszałem głos dźwięczny i miły:

— Gathaspar... idź hołd złożyć dziecięciu, które się rodzi..

A we mnie wstało we śnie przeświadczenie, że jednak ciężko byłoby mi odejść... przypomniała mi się pieszczota żony, syna maleńkiego... całe ziemskie szczęście moje...

Zbudziłem się, jakiś lęk mnie ogarnął olbrzymi, krew krzepła w żyłach, pot opływał skronie, powietrze ciężkie było jak przed burzą i cisza... straszna męcząca cisza... Zdaje się zasnąłem po raz trzeci i znowu ujrzałem gwiazdę i usłyszałem głos tym razem rozkazujący i silny jak grom:

— Gathaspar! Idź hołd złożyć dziecięciu, które się urodziło.

Zerwałem się... wiedziałem, że głos ten, jeżeli go nie posłucham, nie wezwie mnie więcej... Szybko narzuciłem szaty i biegłem do Melchiora, by wiedza jego wytłumaczyła mi sen. Spotkałem go w korytarzu, szedł do mnie, blady był, przerażony, trzęsły mu się dłonie.

— Gathaspar — do ciebie szedłem, na niebie dziwa się dzieją niezwykłe, Jupiter i Saturn zbliżyły się do siebie i weszły w znak ryby, a nad Judeą ukazała się o północy gwiazda, której tam nie było... Pójdź i spojrz... boć może nigdy więcej niebo nie będzie tak dziwnem..

W pierwszej chwili lęk mnie ogarnął olbrzymi, a potem jakaś słodka, bezbrzeżna radość. Podążyliśmy do komnaty Melchiora... przez szkła dojrzałem gwiazdę, tę, o której śniłem. ...O ojcze! ojcze! runąłem na kolana, bo echem usłyszałem głos wzywający.

Gathaspar! idź hołd złożyć dziecięciu!

Młodzieniec połą płaszcza zasłonił twarz, by ukryć łzy.

I cóż mówi Melchior, wychowawca twój o śnie i położeniu gwiazd ?

Pytał książę z takiem zajęciem, że kazał zaprzestać szlifowania paznokci.

— Melchior powiada, że Zoroaster uczył, że Sosiusza poprzedzi gwiazda....

— Więc myślisz, że to Mesyasz?...

Przez chwilę błysk zazdrości, nienawiści zapalił się w podczernionych oczach księcia i zgasł w tej chwili pod powiekami, drgnęły surowo usta i uśmiechem się oblekły.

Przyszło mu na myśl, że syn prawdopodobnie udać się chce za gwiazdą... pozbędzie się więc na miesiące całe a może na zawsze tego niebezpiecznego marzyciela. Zawadzał mu syn... zamiast kochać się w koniach, kobietach i broni, pełnił dzieła miłości i miłosierdzia, opatrywał ubogich lub w bramańskich klasztorach wiedzy szukał... I kochał go lud... tak, jak nienawidził jego ojca. Uśmiechnął się pan uprzejmie, z nagłą serdecznością, myślał o usunięciu syna od tronu, o wyniesieniu na godność następcy maleńkiego wnuka.

— Więc chciałbyś pójść i złożyć hołd dziecięciu temu... więc idź... Melchiora weź z sobą i orszak królewskiej władzy godny. Do wypielęgnowanej ręki pana przylgnęły usta gorące w pocałunku.

— Jakże dobrym jesteś ojcze !

Wymalowane usta pana dotknęły pochylonej ciemnej głowy syna.

— Każ sobie wydać ze skarbca bryłę złota i złóż ją dziecięciu w hołdzie.

W drodze, wiodącej przez piaszczyste zwały i kamieniste, smutne wzgórza arabsko-syryjskiej pustyni, połączyła się wspaniała karawana indyjsko-partyjskiego księcia z małą i skromną Baltazara, Baalowego kapłana.

Zbliżyły ich trudy podróży dokonywanej, wspólność celu i poprzedzającej go ofiary... bo każdy z nich wiedział, co porzucał, a nie wiedział, do czego powróci

Przebyli wreszcie Jordan i szli wśród smutnych, w porze deszczowej mgłami spowitych gór Judei, noce bywały tak chłodne, że roślinność i skały bielił szron.

— Judea kwitnie, uśmiechał się wtedy Gathaspar. I teraz ruszyli w drogę, krwawy blask zachodu kładł się na białej szczupłej twarzy Baltazara, na ciemnem, brodą kruczą okolonem obliczu Melchiora i łagodnym, rozmarzonem Gathaspara, gwiazda, ku której dążyli, ukazała się już na niebie, więc szli... Nagle Melchior wyciągnął rękę, wskazując na majaczącą w dali ponurą wizyę miasta.

— Jeruzalem...

Gdy jednak dochodzili do smutnej, ponurej doliny Jozefata, gdzie wezbrany Cedron szumiał głucho... gwiazda zagasła nagle, jakgdyby zdmuchnięta lampa.

Spotkały się zdumione spojrzenia Maggów.

— Czyżby miejscem urodzenia jego było Jeruzalem — pytał wstrzymując bieg wielbłąda Gathaspar.

Baltazar milczał... tylko twarz oblókł mu smutek... przypomniał mu się horoskop prorokujący gwałtowny zgon, przypomniały mu się proroctwa o Jeruzalem, zabijającem proroki swoje... Milczał więc, bo groza go przejęła wewnętrznym chłodem.

— Przenocujmy tu — w cieniu tego ogrodu pełnego oliwek — proponował Melchior — a o świcie wkroczymy do Jeruzalem i zapytamy Heroda — jeżeli to nowy król Judei... toż on musi wiedzieć najlepiej, gdzie się narodził.

— Judei ?... całego świata to władca... — szeptał Baltazar.

* * *

Ze zdumieniem spoglądali nazajutrz mieszkańcy Jerozolimy na wjazd trzech mędrców. Gathaspar podzielił między nich swoje szaty kosztowne, bo jak mówił, godzi się zrzucić pył podróżny, gdy się do króla idzie. Więc szli w białych, bogato haftowanych szatach spodnich, na które spływały jedwabne, wzorzyste rozcięte z przodu, od ramion spływały im płaszcze białe, głowy zdobiły mitry. Za nimi szły smukłe a rosłe postacie

niewolników niosących puste lektyki i szereg jucznych wielbłądów.

Biegł za nimi tłum, dziwiąc się młodzieńczej, obcej urodzie Gathaspara, męskiej sile Melchiora i majestatycznej starości Baltazara. W pałacu Heroda wprowadzono ich do wielkiej tronowej sali, a w chwilę potem zaciekawiony i zdziwiony, nie mniej od swego ludu, wyszedł do nich Herod w otoczeniu dworu.

Zdumionym wzrokiem objął trzy niezwykłe postacie, a wtedy wystąpił Baltazar i oddawszy mu pokłon należny, pytał:

„Powiedz nam Panie, gdzie jest nowo narodzony król izraelski, gwiazdę jego widzieliśmy w krajach wschodnich i przyszliśmy hołd mu złożyć?“

Na twarz Heroda wystąpił dziwny wyraz, drgnęły mu usta jakgdyby w uśmiechu, ale gdy spojrzał w poważne, spokojne twarze trzech mędrców... w serce wkradł mu się lęk... straszny, wszystko dławiący lęk.

Bo Herod miłował swoją władzę, chociaż więcej pozorną była niżeli prawdziwą. Oczy jego stały się okrągłe, piersi brakło tchu... zwrócił spojrzenie na twarz Baltazara i pytał zdławionym głosem:

— I cóż mówiły ci gwiazdy... o tym królu żydowskim nowo zrodzonym?...

— Że władza jego ogarnie świat cały... a Judea będzie mu kolebką.

— Błogosławiona ziemia, na której weszło światło świata — dorzucił Melchior.

Twarz Heroda bladość pokryła trupia, wpiły się palce w rzeźbione poręcze tronu... opanował się jednak i ku gościom z uśmiechem zwrócił.

— Nie wiem ja wprawdzie jeszcze o owym nowym królu żydowskim, ale zwołam kapłanów i arcykapłanów, a o czem dowiem się od nich, o tem powiadomię was... A teraz spocząć raczcie po trudach podróży.

* * *

— Gościnniejszym jest Herod aniżeli mówią o nim — mówił z młodzieńczą ufnością Gathaspar — i dobrą była twoja rada Melchiorze.

Baltazar milczał, oczy, które tyle widziały już w życiu, umiały odróżnić serdeczność prawdziwą od udanej. W czasie przyjęcia u Heroda miał wrażenie, że płaz jakiś ślizki, giętki, zimny pełza dokoła nich. Ponure oczy króla przypominały mu zgłodniałe ślepia pustynnego lwa a lubieżne usta mówiły o okrucieństwie.

I Melchior nie dzielił ufności wychowanka, było coś w grzeczności Heroda, co krew ścinało w żyłach. To też oparł swoją silną dłoń na barkach młodzieńca.

— Przed końcem człowiek mądry dzieła nie chwali, Gathasparze... a uprzejmość częściej z warg płynie niżeli z serca.

— Tak czekajmy końca — dorzucił Baltazar.

* * *

Jednak i koniec był początkowi równy. Herod z uprzejmą łaskawością wezwał ich do siebie, pytał o czas dokładny ujrzenia gwiazdy, o horoskop... I gdyby nie krótkie, zimne jak stal, błyski w jego oczach i nerwowy ruch szarpiących brodę palców... uprzejmość jego mogła się zdawać prawdziwą.

— Czy nie mówiły wam gwiazdy — zwrócił się nagle do magów, że to... może... Mesyasz?... Proroctwa nasze mówią, że poprzedzi go gwiazda a wyda Judea.

— Zoroaster pouczał — odezwał się Melchior — że Sosiusza (Mesyasza) gwiazda poprzedzi.

— I wyrocznia Baalama mówi o tym, którego gwiazda wyjdzie z pokolenia Jakóbowego a berło skruszy Moabitów.

— A jakie znaki widziałeś przy urodzeniu? — dopytywał Herod.

— Saturn i Jupiter zeszły się w znaku ryby, a gwiazda nowa weszła w chwili urodzenia — zgodnie mówili astrologowie.

— Proroctwo Daniela... — mruknął Herod, przez chwilę milczał, patrząc w dal, a lubieżne usta ścięły się w silną linię woli, nadając całej twarzy wyraz jakiegoś twardego, strasznego

— Gościnniejszym jest Herod aniżeli mówią o nim — mówił z młodzieńczą ufnością Gathaspar — i dobrą była twoja rada Melchiorze.

Baltazar milczał, oczy, które tyle widziały już w życiu, umiały odróżnić serdeczność prawdziwą od udanej. W czasie przyjęcia u Heroda miał wrażenie, że płaz jakiś ślizki, giętki, zimny pełza dokoła nich. Ponure oczy króla przypominały mu zgłodniałe ślepia pustynnego lwa a lubieżne usta mówiły o okrucieństwie.

I Melchior nie dzielił ufności wychowanka, było coś w grzeczności Heroda, co krew ścinało w żyłach. To też oparł swoją silną dłoń na barkach młodzieńca.

— Przed końcem człowiek mądry dzieła nie chwali, Gathasparze... a uprzejmość częściej z warg płynie niżeli z serca.

— Tak czekajmy końca — dorzucił Baltazar.

* * *

Jednak i koniec był początkowi równy. Herod z uprzejmą łaskawością wezwał ich do siebie, pytał o czas dokładny ujrzenia gwiazdy, o horoskop... I gdyby nie krótkie, zimne jak stal, błyski w jego oczach i nerwowy ruch szarpiących brodę palców... uprzejmość jego mogła się zdawać prawdziwą.

— Czy nie mówiły wam gwiazdy — zwrócił się nagle do magów, że to... może... Mesyasz?... Proroctwa nasze mówią, że poprzedzi go gwiazda a wyda Judea.

— Zoroaster pouczał — odezwał się Melchior — że Sosiusza (Mesyasza) gwiazda poprzedzi.

— I wyrocznia Baalama mówi o tym, którego gwiazda wyjdzie z pokolenia Jakóbowego a berło skruszy Moabitów.

— A jakie znaki widziałeś przy urodzeniu? — dopytywał Herod.

— Saturn i Jupiter zeszły się w znaku ryby, a gwiazda nowa weszła w chwili urodzenia — zgodnie mówili astrologowie.

— Proroctwo Daniela... — mruknął Herod, przez chwilę milczał, patrząc w dal, a lubieżne usta ścięły się w silną linię woli, nadając całej twarzy wyraz jakiegoś twardego, strasznego

postanowienia... Chwila... bo znów usta Heroda przybrały uśmiech fałszywy. Nie mogę wam niestety dać wyjaśnień żadnych, kapłani nasi mało posiadają wiedzy w krążeniu niebieskich ciał... i gwiazdy, o której mówicie, nie dostrzegli. Ale jak wracać będziecie, wstąpcie i powiadomcie mnie, gdzie się narodził ten nowy władca Izraelowi.

Ostry dźwięk nienawiści zadrżał w ostatnich słowach i szarpnął wrażliwymi nerwami Gathaspara, który podniósł ku Herodowi swoje wspaniałe, czarne oczy, pytając surowo:

— Co uczynić chcesz panie ? !

— Hołd mu złożyć pragnę jako i wy ! — przeciął powietrze ostry głos Heroda, jak świst spuszczanego miecza.

Magowie pochylili głowy.

— Jeżeli odnajdziemy go... powiadomimy cię wracając, panie.

* * *

Wyjechawszy za miasto, dojrzeli znowu gwiazdę i szli za jej blaskiem łagodnym. Lęk i chłód, który padł w ich dusze od chłodnych murów Jeruzalem i od dziwnej grzeczności Heroda, zgłuszyła radość.

Noc była, gdy za światłem gwiazdy przybyli w okolice Betleemu, na jego wschodniem wzgórzu dojrzeli ją nieruchomą, zlewającą pełń blasku na grotę w polu.

Zsiedli tedy z wielbłądów i wziąwszy w dłonie dary swoje: złoto, kadzidło i myrre, szli polami.

Szli... a płaszcze ich długie zbierały z kwiatów rosę srebrzystą... a dusze ich modliły się zgodnie do Jedynego, Wszechmocnego Boga.

— To tu... w tej grocie... — szepnął Gathaspar, a jego ciemne oczy nabiegły łzami... że tak biednym jest władca ziemi... i łzy spłynęły na złoto trzymane w dłoni.

— To Mesyasz... — szepnął Melchior, niosący kadzidło — więc królestwo jego nie z tego świata.

— To Zbawiciel świata całego... władca dusz... w duszach królowanie Jego — uzupełnił wpatrzony w myrre, którą niósł Baltazar.

Doszli do groty, z hołdowniczą pokorą do wnętrza się wsunęli i uklękli wpatrzeni w dziecię maleńkie i pochyloną nad żłóbkiem, w śnie pogrążoną Matkę... Przez sen nawet ramię jej opiekuńczem ruchem ogarniało dziecię.

— Nie uznał Cię kraj twój... nie powitał naród, z którego wyszedłeś... więc my przybyliśmy z obcego, dalekiego świata, by hołd Ci złożyć Panie... — szeptał Baltazar cicho, by nie obudzić śpiącej Maryi.

Wielkie ciemno-błękitne oczy Dziecięcia spoczęły na nich długo... łagodnie, świat miłości w nich był... świat przebaczenia.

— Synu Boga ! — modlił się Melchior.

— Królu ! Królu dusz ! — szeptał Gathaspar. I klęczeli tak w niemym podziwie, a serca ich wypełniała radość bezbrzeżna... i szaty swoje jedwabne rozcielili pod znużone stopy Dziewicy i Jej Bożego Syna.

* * *

Gdy wysunęli się z groty równie cicho, jak przyszli... szepnął Baltazar wpatrzony w dal, gdzie leżała Jerozolima.

— Nie wracajmy tamtędy bracia... Hołd Heroda byłby inny od naszego... on ...pragnie zgasić światło świata, a zamiast czci ma tylko lęk przed Mesyaszem.

— Wrócimy inną drogą — zdecydował Melchior.

— Prosić was o to chciałem — mówił Gathaspar — bo przecie nie my rzucimy jagnię w szpony pustynnego orła...

— Nie my...

Marya Czeska.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Dziennik męża stanu. Dziennik Franciszka Smolki 1848—1849 w listach do żony. Wydał, wstępem „O ojcu i jego listach", objaśnieniami opatrzył, zapiskami Franciszka Smolki z lat 1841—1848 oraz wielu dokumentami z jego papierów dopełnił *Stanisław Smolka*. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolfa. (Druk W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie 1913.) str. 369 + LXI + 2 n. l. + 3 ill.

Pamiętniki wszelkie mają dla historyka pierwszorzędną wartość. Choć nieraz fakty przedstawione z wyłącznie osobistego punktu widzenia, co z natury rzeczy wynika, otrzymują zabarwienie tendencyjne, to jednak przez to pamiętniki na wartości nie tracą, a ta tendencyjność właśnie ma znakomite dla historyi znaczenie. Jest ona tylko spojrzeniem na fakt nie ze stanowiska historycznego, a więc bądź co bądź z przeszłości, ale z punktu przed chwilą zakończonej, a może nawet jeszcze trwającej, teraźniejszości. Czyli pamiętnikarz podaje fakt, tak jak go widzi (nie, jeżeli tak można powiedzieć, fakt sam w sobie), historyk zestawiwszy parę opisów tego samego faktu sądzi, że momenty tym opisom wspólne, to fakt sam w sobie, a reszta, to osobiste zabarwienie widza—pamiętnikarza. Ta właśnie reszta bywa często nieocenioną zdobyczą dla badacza już nie samej ściśle historyi, ale kultury. Daje ona bowiem dokładnie poznać sposób myślenia i czucia, nie tylko pamiętnikarza, ale i jego epoki. Przypomnę ogromne różnice, zachodzące właśnie w indywidualnem zabarwieniu między pamiętnikami awanturniczego żołnierza i pieniacza Imci Pana Jana Chryzostoma Paska, poczciwego, lecz niezbyt lotnego ks. Jędrzeja

Kitowicza czy naiwnego w swoim cyniźmie Jana Dukłana Ochockiego. Każdy jest wykładnikiem przeważającego typu w swoim wieku. Awanturniczość Paska zrodziła się z elearów Lissowskiego, z zagończyków Wiśniowieckiego i Czarnieckiego, z lekkiej jazdy, ucierającej się z Turkami za Sobieskiego. Ociężałość i krótkowidztwo polityczne Kitowicza, to próbka umysłowości polskiej w epoce saskiej. Cynizm nieświadomy Ochockiego to treść wielkiej części społeczeństwa, nie biorącego udziału w pracach przygotowawczych do Wielkiego Sejmu. Bez owej barwy indywidualnej byłyby pamiętniki suchemi kronikami czy rocznikami. Tem większą wartość ma ta indywidualna barwa, kiedy pamiętnik nie jest pisany w celu ściśle literackim, kiedy nie chodzi o przedstawienie siebie i spraw swoich w jak najpiękniejszem świetle potomności. Wreszcie ważność i wartość pamiętników stanowi, kto i o czem mówi. Boć nie wszystkie zdarzenia, mogące być osnową pamiętników, będą same przez się dla potomności równie ciekawe. Dziennik Franciszka Smolki ma wszystkie dane, by stanąć w rzędzie najciekawszych publikacyi pamiętnikarskich polskich. A że mówi o sprawach tyczących całej monarchii, więc mają te zapiski pierwszorzędną wartość dla historyka, zajmującego się nowszą historyą Austryi, a przedewszystkiem rozwojem jej konstytucyonalizmu.

W galeryi postaci, kierujących nawą zaboru austryackiego w XIX wieku zajmuje Fr. Smolka jedno z pierwszych miejsc jako poseł sejmowy i parlamentarny, organizator i działacz polityczny. W historyi Galicyi od 34 r. aż po schyłek ubiegłego wieku niema zagadnienia politycznego, do któregoby Smolka ręki nie przyłożył, w któremby nie brał decydującego nieraz udziału. Czy to będą pierwsze spiski Wiśniowskiego i Goszczyńskiego, czy formowanie Rady Narodowej w r. 48, czy delegacya na kongres w Pradze czy pierwszy Sejm austr. w Wiedniu i Kromieryżu, czy sprawa obsyłania wspólnej Rady Państwa po zmienionej kompetencyi tej Rady, czy sprawa rezolucyi z 2 marca 1867, czy wreszcie wielkie projekty federalistyczne, które mogły zapewnić Galicyi bardzo szerokie widnokręgi rozwoju, czy godne zachowanie się (jako prezydent parlamentu) po zabiciu Aleksandra II. i śmierci Fryderyka III., zawsze i wszędzie, gdzie *res polonica agitur*, widzimy Smolkę, dzierżącego wysoko sztandar godności narodowej, dbającego o interes narodowy bez małostkowego oportunizmu i wypływających z niego kompromisów. Wpatrzony w szlachetny i wielki cel, Smolka nie splamił swego zawodu publicznego nigdy, a skromny i właściwie ubogi nie dał się sprowadzić z drogi obowiązku i pracy żadną godnością

ni tytułem. Ten mąż stanu, którego nazwisko było i zaczyna dziś być na nowo hasłem dążnościom wolnościowym, zmarł, jako skromny, lecz czcią powszechną otoczony, obywatel, gdy inni, mniejsi, zeszli do grobu w aureoli blasków biurokratycznych, lecz za to potomność różnie ich sądzi.

Jednym z probierzy wielkości męża stanu, to sąd, jaki o nim wydaje potomność. Nieraz każe sprawiedliwość dziejowa na siebie latami czekać, ale niema prawie wypadku, by prawdziwa wielkość zniknęła w zapomnienia fali (Staszic, Kołłątaj, Norwid). Bywają tacy mężowie, którzy czynią w koło siebie za życia wiele hałasu i rwetesu, wydają się wielkoludami woli i rozumu. W oddaleniu dziejowem postacie te dziwnie maleją, spływają się ze szarem tłem, nikną i wreszcie tylko skrzętny historyk wie, że taki mąż żył, że nawet działał, często zresztą względnie dobrze, ale opierając całość swego działania na kompromisach, nie zostawił w ideologii narodu głębszych śladów. Inaczej z ludźmi prawdziwie wielkimi. Za życia cisi pracownicy, od zewnętrznych hołdów usuwający się, w historycznem oddaleniu olbrzymieją, przekazują swoją myśl pokoleniom następnym, które o ogień gorejący ich idei zapalają swoje pochodnie, mające rozświecać ciemności. Z ich czynów i myśli czerpie potomność coraz nową podnietę do walki o najwyższe dobra. Wielka idea federalistyczna Fr. Smolki nie zaginęła, ona żyje i co pewien czas ukazuje się na wzburzonej powierzchni życia politycznego współczesnego, by znowu się zanurzyć w głębiny serc i kiedyś, przy sprzyjających okolicznościach wystąpić do boju, którego kresem musi być zwycięstwo. Oto jak charakteryzuje wielkiego męża przyjaciel młodości, towarzysz kaźni z r. 1841—1845, a później przeciwnik polityczny, Floryan Ziemiałkowski: „. . . Przyznaję jednak, że dzisiaj odstępuje mnie odwaga, gdyż przemawiając za wnioskiem komisyi (sprawa federacyi na sejmie lwowskim w r. 1868), zniewolony jestem wystąpić przeciw wnioskowi męża, którego będąc młodzieńcem ubóstwiałem, a zostawszy mężem kochałem więcej, niż siebie samego. . . .“ Nie zwykli dawni przyjaciele, a obecni przeciwnicy przesadzać w pochwałach. Zresztą, kto ciekaw niech zaglądnie do lwowskiego Muzeum im. Lubomirskich i przeczyta teksty olbrzymiej ilości adresów i dyplomów, złożonych Fr. Smolce w hołdzie za niestrudzoną pracę około narodowego dobra przez całą Polskę, a przekona się, że w liczbie tych dowodów uznania i miłości kraju i narodu, przytoczone słowa są tylko jednemi z wielu i bodaj, że najskromniejszemi. Szanowały go stronnictwa

polskie wszystkie. Umiał, choć się o to nie starał, zdobyć sobie uznanie nawet przeciwników politycznych i to mężów miary nie codziennej, jak Adam hr. Potocki z jednej, Adam ks. Sapieha czy Edward Dembowski, idealista rewolucyonista, z drugiej strony. Tajemnica tego uznania kryła się w tem, że dobrze wiedziano, iż w piersiach tego spokojnego i zrównoważonego człowieka bije gorące serce, poświęcone od młodości bez zastrzeżeń sprawie narodu i wolności.

W świeżo wydanych pamiętnikach możemy czerpać pełną dłonią szczegóły, uzupełniające obraz tego całkowitego męża rysami rzeczywiście pięknymi.

Prezydentowi Sejmu składają oficyalne wizyty i oddają honory. Młody lwowski adwokat mógłby wobec tych splendorów łatwo stracić głowę, ale mężowi, mającemu w tej chwili losy Austryi w ręku, na tych czołobitnościach nie zależy. Nie dla zaszczytu przyjął odpowiedzialne stanowisko, lecz by mógł pracować dla dobra swego narodu. Skromnym i prostym pozostaje dawny spiskowiec i skazaniec z r. 1845. „Widzę, że mi niektórzy strasznie tych honorów, których wcale nie pragnę, zazdraszczają (sic!), a mnie się tylko śmiesznem wydaje, że takiemu biedakowi nadskakują, co sobie nie ma za co surduta sprawić“ (str. 140), albo „gdybym się tylko trochę chciał starać o to, tobym przy następującym wyborze na prezesa mógł mieć prawie wszystkie głosy naszych chłopów, lecz nigdy się o to nie starałem, i nie będę się starał, — jednak wielkie podobieństwo, że będę wybrany. Dla mnie rzecz bardzo obojętna . . .“ (str. 169) albo „— dość nadzwyczajnie mnie tu honorują, tak iż istotnie w ambarasie jestem, gdyż nie wiem, czem sobie na to zasłużyłem“ (str. 244). Jakąż spartańską prostotą tchną słowa: „Czy nie wstyd! białą kamizelkę, białą chustkę i nowe czarne spodnie musiałem pożyczyć od Micewskiego i Jasia“ (str. 147). Wierzyć się nie chce, że pisze to prezydent sejmu, który ma właśnie w tym fraku witać nowego władcę wielkiego państwa, imieniem sejmu konstytucyjnego i ludów w tym sejmie reprezentowanych, któremu się potężny Bach i prezydent ministrów Felix ks. Schwarzenberg uniżenie kłaniają.

W czasie okropnych wypadków nowej rewolucyi wiedeńskiej z 6 i 7 października 1848 r. czy w innych grozę budzących okolicznościach zachowuje ten prawdziwy mąż stanu zupełnie zimną krew; a co więcej z narażeniem własnego życia broni ministra, który mu pewnie nie był miły, przed wściekłością tłumu i odnosi nawet w jego

obronie ranę (str. 70 i 83). Jako kierujący obradami odznacza się dziwnem umiarkowaniem. Nie potrafi mówić *zum Fenster hinaus*. Lecz nie tylko to. Robią mu różne ponętne propozycye, byleby tylko potężną indywidualność skrępować i usunąć ją w cień. Że tych propozycyi nie przyjmuje, to u człowieka, który już tyle dóbr osobistych złożył na ołtarzu dobra publicznego, jest prostem i jasnem, ale niezwykłą i wzbudzającą uszanowanie jest owa równowaga umysłu i hart woli, które nie pozwalają, by po takich propozycyach dał się popchnąć w objęcia skrajności dla niej samej. Mimo wszystko zachowuje Fr. Smolka zawsze miarę godną męża. (str. 156). Jest to mąż stanu działający w myśl swoich niezłomnych przekonań. Potrafi je równie dobrze bronić przed radykalizmem narodowym i społecznym, jak przed reakcyą, której strach wielkooki każe robić ustępstwa z dóbr, z których ustępstw robić nie wolno. Umysł jego do kompromisów ze sobą i z drugimi niezdolny. Uznaje układy, ale tylko nie mogące przynieść szkody sprawie, której służy. „Ja zaś już oświadczyłem i od tego nie odstąpię, że, o ile odemnie zależy, nigdy co do kwestyi mej prezydentury nie będę się wdawał w żadne układy i nigdy nie zezwolę, aby jakakolwiek partya z tego powodu wzięła na siebie jakiekolwiek warunki lub zobowiązania. Która za mną chce głosować bezwarunkowo — to dobrze, inaczej głosu nie chcę mieć, a bardzo się tem pocieszę, jeżeli taką drogą idąc, już nigdy do prezydentury nie przyjdę". (str. 174). Nie znający historyi nie chciałby uwierzyć, gdyby się wyłącznie oparł na tym pamiętniku, że główna zasługa, iż z jednej strony sejmu konstytucyjnego, obradującego zaiste w cieniu miecza, nie rozwiązano, a z drugiej, że sejm ten nie naraził się zrewoltowanemu Wiedniowi, przypada Fr. Smolce. On *de facto* konstytucyę na teraz uratował. O tej naprawdę wielkiej zasłudze w pamiętniku nie znajdziemy ani słowa. Oto skromność męża, który dobrze czyni tylko z obowiązku. I jeszcze jedna cecha umysłu i serca, zaprawdę nie ostatnia, dodająca piękny rys do charakterystyki człowieka. Wśród najbardziej burzliwych wypadków dobry ojciec znajduje zawsze chwilę, w której pamięta o dzieciach, ba nawet o ich przyjemnościach. „Żeby to ta wiosna już nadeszła, abyśmy mogli już razem być — a życzyłbym sobie na ten wypadek zostać w Kromieryżu, mielibyście cudny pobyt, — przy pięknem powietrzu, cały dzień w parku ślicznym, kwiatów bez końca. Władzio na stawach i rzekach łapałby ryby, szukałby ptasie gniazda i kąpałby się razem z łabędziami, dzikiemi i swojskiemi gęsiami i kaczkami wszelkiego gatunku, — a panie! — a złote i srebrne bażanty!

— co, chłopcze, podobałoby Ci się takie życie?" (str. 173). Niema w nim nic z owych omal, że nie wielkich polityków, zapiętych na cztery guziki, którzy ciągle myśląc o rzeczach niby ważnych i znacznych, nie mają chęci i czasu zwrócić się do nizin. Sami przebywając na szczytach, tak im się przynajmniej zdaje, nie chcą mieć zmysłu, dla „poziomego" szczęścia rodzinnego.

Taki mąż stanu i człowiek odzwierciedla się w swoich listach do żony.

Treścią tych listów, to dzieje sejmu konstytucyjnego i rewolucyi wiedeńskiej, okres czasu od 11 lipca 1848 do 29 marca 1849. Jest to czas wiosny ludów Austryi, oswobodzonej z gniotących ją rządów policyjnych Metternicha. Czas to bodajże najciekawszy w całych dziejach monarchii w XIX w. A że opisuje je vice-prezydent (wybrany 14 września 1848) i czterokrotny prezydent (wybrany 11 października i 22 listopada 1848; 20 stycznia i 23 lutego 1849) sejmu konstytucyjnego, więc otrzymują te czasy oświetlenie wyjątkowo jasne i ciekawe. Pamiętnik ma jeszcze tę zaletę, że pisany jest najzupełniej szczerze i w czasie opisywanych wypadków. Szczerość ich wyjątkowa płynie stąd, że pisze owe listy mąż do bardzo kochanej i kochającej żony, która w działalności politycznej męża brała choć bierny, ale bardzo żywy udział. Ich bezpośredniość, listy owe pisał bowiem Fr. Smolka w czasie posiedzeń sejmu, daje nam obraz chwili, nie przepuszczony jeszcze przez alembik kombinującej po faktach refleksyi. Stąd staje się ten pamiętnik w listach jedną z najoryginalniejszych publikacyi pamiętnikarskich, jakie znamy. Uderza poza tem ogromna ostrożność w sądach o ludziach. Możnaby się żalić, iż sądów tych jest za mało. Ale wypływa to z organizacyi umysłowej piszącego. Sam bez zmazy i skazy, przepalony w ogniu najszczytniejszych idei, nie rozumiał czy też nie chciał widzieć Fr. Smolka ujemnych i ukrytych pobudek postępowania wielu ludzi ówczesnych. Wieje z tych kart taka wiara w człowieka i w zwycięstwo dobrej sprawy, że można tylko uchylić czoła przed niezwykłą świeżością serca i rozumu męża, któremu przecież było sądzonem tyle stron brzydkich duszy ludzkiej widzieć.

Z pietyzmem synowskim wydał prof. Dr. Stanisław Smolka, listy swego ojca. Wydał je tak, jak były pisane, opuszczając tylko wzmianki o sprawach zupełnie osobistych i rodzinnych. Nie złączył ich w jedną naracyjną całość, jak to niedawno uczyniono przy wydaniu listów jenerała Władysława hr. Zamoyskiego. I stało się dobrze.

Jest skutkiem tego czytanie pamiętnika nieco uciążliwsze, ale wzamian za trud przy czytaniu otrzymuje czytelnik naprzód listy niezmienione, a poza tem w ten sposób wydane listy nie tracą nic na świeżości i bezpośredniości. Pięknie przez znakomitego historyka napisany wstęp do wydania, zawiera wiele nadzwyczaj ciekawych szczegółów, tyczących rodziny męża stanu i spisków tajnych między r. 1834 a 1848 w Galicyi. Wstęp ten znakomicie przygotowywa do czytania listów. Ze szczegółów rodzinnych podnieść należy rzecz mało znaną, że wielki polski patryota miał za ojca oficera ułanów austryackich, z pochodzenia Ślązaka i matkę Węgierkę Annę z Németh'ch. Karty wstępu, mówiące o sposobie asymilacyi żywiołów obcych przez społeczeństwo polskie, nie ustępują najprzenikliwszym uwagom żywotu Ksawerego ks. Lubeckiego.

Do wydania dołączono szereg aktów urzędowych, wydanych przez sejm w r. 1848, dzienniczek pisany przez Fr. Smolkę dla syna Władysława, wreszcie interpelacye i mowy Fr. Smolki z sejmu konstytucyjnego.

Przypisy o osobach i rzeczach, oraz indeks wzmiankowanych w listach, pozwalają wejrzeć dokładnie w sprawy, toczące się na sejmie i ułatwiają czytanie pamiętnika. Na tem wzorowem wydaniu mogą się uczyć historycy, jak korespondencyę wydawać należy.

Wracając raz jeszcze do założenia naszych uwag zaznaczyć trzeba, że listy te winny się stać z powodu wszystkich swoich, a niecodziennych zalet, własnością ogółu. Nie można ich dość lubownikom książek i historyi polecić. Dobrze jest oderwać się na chwilę od piekła polityki dzisiejszej i przyjrzeć się wielkiemu i czystemu, o gorącem sercu mężowi stanu. Stajemy się przy czytaniu tych listów lepsi i wraca nam znowu wiara, że nie wszystkie drogi polityki muszą być koniecznie brudne.

Stanisław Sołtys Kozaryn.

Księga pamiątkowa ku uczczeniu 250-tej rocznicy założenia uniwersytetu lwowskiego przez króla Jana Kazimierza r. 1661, wydana przez członków uniwersytetu. Tomów 2 z illustracyami na osobnych tablicach. Lwów, 1912. Nakład Uniwersytetu lwowskiego.

Monumentum aere perennius — jest wydawnictwo wspomniane, dokonane w hołdzie zbiorowym, złożonym wszechnicy lwowskiej przez sługi jej najwierniejsze, ale też podpory zarazem i ozdoby rze-

telne. W hołdzie tym nie mogło zabraknąć tych, co stanowią obecnie część jej najistotniejszą, pracując nietylko dla niej i dla jej wychowanków, ale też zarazem na chlubę nauki polskiej, dając tem samem niezaprzeczalne świadectwo prawdzie, tylekroć już stwierdzonej, że, jak ojcowie nasi nieśli pochodnię cywilizacyi w ziemie ruskie Rzeczypospolitej, hen, gdzieś aż po dzikie Pola, tak i my, nieodrodne ich potomstwo, Znicz cywilizacyi łacińskiej rozpaliliśmy tam, gdzie wszelkie światło ginęło w grubej pomroce, gdzie jeszcze przed kilkudziesięciu laty wstydzono się mówić „po swojemu".

Profesorowie dali ogółem 46 rozpraw, charakteryzując je nad wszelki wyraz skromnie — „próbą uczczenia pamiętnej rocznicy pierwszej fundacyi Wszechnicy lwowskiej". Skromność tem więcej uznania godna, że wartość prac tu zamieszczonych jest w samej rzeczy niepowszednia i dać może godne „świadectwo pracy naukowej uniwersytetu".

Ale przystąpmy do treści tych dwu grubych foliantów, którą, ograniczeni miejscem, tylko z grubsza będziemy starali się dać poznać. W układzie „Księgi" przyjęto porządek jedynie w danym wypadku racyonalny, t. j. uszeregowano prace w alfabetycznym porządku nazwisk autorów oraz zaopatrzono każdą w oddzielną paginacyę, zwyczajem praktykowanym oddawna za granicą.

Wyjątek uczyniono jedynie wstępnej rozprawie pióra rektora prof. dra Ludwika Finkla p. t. *Króla Jana Kazimierza dyplom erekcyjny uniwersytetu lwowskiego* (str. 1—20), w której niestrudzony historyk podaje tekst zupełny wiekopomnego nadania w oryginale i w tłumaczeniu na język polski. Autor nie potrzebuje zresztą wcale pochwał podpisanego, śledzi umiejętnie nici zabiegów, zmierzające do nadania szkole jezuickiej cech wyższej uczelni. Ambicye te bowiem wrzały nietylko wśród samych „posiedzicieli" Jezuitów, ale, bodaj czy nie w większej mierze, wśród możnych protektorów, żeby tylko wymienić Żółkiewskiego i Jabłonowskiego, za nimi zaś — nie należy zapominać — stało całe społeczeństwo, które nie omieszkało wpisać posłom województwa ruskiego do instrukcyi na sejm r. 1662 nakazu starania się o akademię we Lwowie, która miała być przeciwwagą świeżo ufundowanej akademii kijowsko-mohilańskiej, celem tem troskliwszego dbania o rozwój katolicyzmu wobec grożącej inwazyą dysunii, anarchistycznej — dodamy od siebie — w całej swej organizacyi wewnętrznej i sposobach oddziaływania na zewnątrz.

Po tym wstępie, znakomicie usuwającym wszelkie urojone pre-

tensye Małorusinów do wszechnicy lwowskiej, następują w porządku alfabetycznym nazwisk autorów rozprawy, z których należy przydzielić: 9 do zakresu historyi, 10 do zakresu literatury i językoznawstwa, 12 do nauk matematyczno-przyrodniczych, 3 do medycyny, 5 do prawoznawstwa, 4 z zakresu filozofii i 3 teologii. O większą rozmaitość trudno! . . .

Długi ich szereg rozpoczyna prof. dr. Władysław Abraham wyczerpującem studyum p. n. *Założenie łacińskiego biskupstwa w Kamieńcu Podolskim* (str. 39). Fakt ten miał stać się w latach 1379—1384 za staraniem kniaziów Konstantego i Bazylego Koryatowiczów. Omówiono tutaj szeroko ówczesne stanowisko polityczne Podola, ściśle określono stanowisko biskupa, pozostającego w zależności od metropolity halickiego, oraz kapituły, pomnażającej się z biegiem czasu. Lista pierwszych dwunastu biskupów świadczy o iście benedyktyńskiej pracowitości znakomitego naszego historyka, który nie szczędził trudu, ilekroć chodziło o nakreślenie charakterystyki osobistości ówczesnych, wybitniejszą rolę odgrywających.

Stance Zygmunta Krasińskiego (str. 48), poddał wyczerpującej analizie tak wytrwały od lat wielu i subtelny badacz, za jakiego krytyka uznała już nie od wczoraj prof. dra Jana Bołoz Antoniewicza, choć zawód jego właściwy — historya sztuki, — ażeby dojść do niezbitego przekonania, że jakkolwiek do rozwoju ducha poety są *Stance* drobnym tylko przyczynkiem, to dla otwartego jeszcze pytania: „Jak powstał i rozwinął się w Krasińskim artysta?“ stanowi ten poemat jeden z najważniejszych etapów.

Prof. dr. Szymon Askenazy, zagłębiony od lat już tylu w dziejach porozbiorowych Polski, nie mógł dać wprost niczego innego, jak tylko fragment z wypadków 1809 roku p. n. *„Widoki polsko-galicyjskie Rosyi* (str. 10), w której to notacie znajdujemy dwa memoryały Golicyna, namawiające cara Aleksandra do zamianowania się królem polskim, zwłaszcza w tak sprzyjającej dobie. Niestety! — memoryał pierwszy zniweczył Rumiancew, drugi zaś okazał się nie na czasie wobec pokoju, zawartego w Szönbrunnie.

Nader cenny przyczynek dał prof. dr. Oswald Balzer w *Modus eligendi regis z początku* XVI. *wieku* (str. 21), gdzie oznaczono dokładnie sposób postępowania, „jakiego trzymać się należy przy wyborze króla polskiego“. Oryginalny tekst tego *Modus* zaopatrzył wydawca we wstęp, stanowiący wyczerpującą rozprawę; szczegółowo określo-

no tu charakter oraz genezę całego *Modus*, które odnosi prof. B. do roku 1505 t. j. do czasu, poprzedzającego elekcyę Zygmunta I.

Po pracy prof. dra Adolfa Becka *O prądach czynnościowych w środkowym układzie nerwowym* (str. 13), następują „Przyczynki do genezy *Upiora* i Drugiej części *Dziadów* A. Mickiewicza" pióra tyle sumiennego i zasłużonego badacza dzieł Mickiewiczowskich, prof. dra Wilhelma Bruchnalskiego (str. 18). Szan. autor określa tu dokładnie charakter „Upiora" na podstawie badania porównawczego materyału literackiego i demonologicznego oraz rzuca snop światła na rzekomą nieludowość duchów w drugiej części *Dziadów*. Szan. autor zaatakował tu podpisanego. Śmiem jednak przypomnieć, iż swego czasu wyszła praca p. Sz. Matusiaka, potwierdzająca wyniki moich badań i to bardzo szczegółowo . . .

Fabuła w poemacie Słowackiego *Ojciec zadżumionych* (str. 5), określona przez prof. dra Stanisława Ciszewskiego, nie wykazuje bynajmniej rażącego podobieństwa, jakie szan. autor raczy upatrywać, choć problemem samym nie należy gardzić.

W *Le „Génie politique" de Catherine* II — *memoire contemporain* drukuje prof. dr. Bronisław Dembiński (str. 49); znajdujemy memoryał opata Piattolego, wydobyty z pyłu archiwum hr. Potockiej w Krakowie, zaopatrzony w wyczerpujący wstęp, z którego dowiadujemy się o stosunkach opata z Kołłątajem i Potockim oraz innymi politykami ówczesnymi. Czas napisania memoryału oznacza prof. Dembiński na lata 1792—1794. Dobrze się stało, że został ogłoszony wraz z uwagami krytycznemi wydawcy w języku francuskim. Przynajmniej będzie mogła korzystać z niego nauka europejska! . . .

O rozprawach, zbyt specyalnego wymagających przygotowania zarówno referenta, jak niemniej czytelnika, wspomnimy tylko nawiasem. A zatem: prof. dr. Marcin Ernst dał do Pam. rozprawę na temat *O jasności komety Halleya w czasie jej ostatniego powrotu* (str. 25), pp. K. Frycz i prof. dr. St. Tołłoczko przedstawili badania nad *Współczynnikami przewodzenia w chlorku antymonawym jako rozczynniku* (str. 16), prof. Adr. Antoni Gluziński dał obszerną rozprawę na temat *Dalszych spostrzeżeń nad rakiem* (str. 30).

Jak się przedstawia *Osoba i działalność duszpasterza w listach św. Pawła*? — o tem dowiadujemy się z pracy ks. dra Adama Gerstmanna (str. 14). Wynika stąd, że instrukcya pasterska św. Pawła przedstawia idealny obraz dobrego pasterza i główne sposoby sprawowania urzędu pasterskiego; że listy św. Pawła są nietylko cenną

no tu charakter oraz genezę całego *Modus*, które odnosi prof. B. do roku 1505 t. j. do czasu, poprzedzającego elekcyę Zygmunta I.

Po pracy prof. dra Adolfa Becka *O prądach czynnościowych w środkowym układzie nerwowym* (str. 13), następują „Przyczynki do genezy *Upiora* i Drugiej części *Dziadów* A. Mickiewicza" pióra tyle sumiennego i zasłużonego badacza dzieł Mickiewiczowskich, prof. dra Wilhelma Bruchnalskiego (str. 18). Szan. autor określa tu dokładnie charakter „Upiora" na podstawie badania porównawczego materyału literackiego i demonologicznego oraz rzuca snop światła na rzekomą nieludowość duchów w drugiej części *Dziadów*. Szan. autor zaatakował tu podpisanego. Śmiem jednak przypomnieć, iż swego czasu wyszła praca p. Sz. Matusiaka, potwierdzająca wyniki moich badań i to bardzo szczegółowo . . .

Fabuła w poemacie Słowackiego *Ojciec zadżumionych* (str. 5), określona przez prof. dra Stanisława Ciszewskiego, nie wykazuje bynajmniej rażącego podobieństwa, jakie szan. autor raczy upatrywać, choć problemem samym nie należy gardzić.

W *Le „Génie politique" de Catherine* II — *memoire contemporain* drukuje prof. dr. Bronisław Dembiński (str. 49); znajdujemy memoryał opata Piattolego, wydobyty z pyłu archiwum hr. Potockiej w Krakowie, zaopatrzony w wyczerpujący wstęp, z którego dowiadujemy się o stosunkach opata z Kołłątajem i Potockim oraz innymi politykami ówczesnymi. Czas napisania memoryału oznacza prof. Dembiński na lata 1792—1794. Dobrze się stało, że został ogłoszony wraz z uwagami krytycznemi wydawcy w języku francuskim. Przynajmniej będzie mogła korzystać z niego nauka europejska! . . .

O rozprawach, zbyt specyalnego wymagających przygotowania zarówno referenta, jak niemniej czytelnika, wspomnimy tylko nawiasem. A zatem: prof. dr. Marcin Ernst dał do Pam. rozprawę na temat *O jasności komety Halleya w czasie jej ostatniego powrotu* (str. 25), pp. K. Frycz i prof. dr. St. Tołłoczko przedstawili badania nad *Współczynnikami przewodzenia w chlorku antymonawym jako rozczynniku* (str. 16), prof. Adr. Antoni Gluziński dał obszerną rozprawę na temat *Dalszych spostrzeżeń nad rakiem* (str. 30).

Jak się przedstawia *Osoba i działalność duszpasterza w listach św. Pawła*? — o tem dowiadujemy się z pracy ks. dra Adama Gerstmanna (str. 14). Wynika stąd, że instrukcya pasterska św. Pawła przedstawia idealny obraz dobrego pasterza i główne sposoby sprawowania urzędu pasterskiego; że listy św. Pawła są nietylko cenną

pamiątką osobistych poglądów Apostoła narodów na duszpasterstwo jego czasów, ale też zawierają ważne nauki dla kapłanów wszystkich czasów i miejsc.

Ustaleniem niejednolitego tekstu *Wiesława* zajął się dr. Bronisław Gubrynowicz w fragmencie *Ze studyów nad życiem i pismami K. Brodzińskiego* (str. 29). Praca to żmudna, ale warta naśladowania w odniesieniu do utworów wielu naszych poetów.

Styl Fidyaszowy w rzeźbie szkół współczesnych (str. 14) omówił prof. dr. Karol Hadaczek nadzwyczaj wyczerpująco, gdyż sztuka stworzona przez Feidiasa i jego uczniów, nabrała idealnych wartości ogólno ludzkich, stanąwszy na wysokości eposu Homera, tragedyi Sofoklesa i filozofii Platona. A idealny urok tych utworów nabiera w nowożytnem pojmowaniu tem większego znaczenia, że przemawia do nas mową plastyczną, którą chwyta i rozumie wzrok każdego człowieka, bez względu na narodowość i wykształcenie.

Poezya polska wieku XVI w stosunku do literatury obcej została zobrazowana aż nadto wyczerpująco w referacie dra Wiktora Hahna (str. 13), z którego okazuje się, że dzięki wpływom humanistycznym rozszerzył się przedewszystkiem horyzont umysłowy ówczesnego społeczeństwa, pisarze zaś nasi zaznajomili się z nieznanymi im dotąd rodzajami poezyi, a wprowadzając je do literatury naszej, wzbogacili ją znacznie; trudno wreszcie nie wspomnieć o znacznem rozbudzeniu się ruchu literackiego pod wpływem obcych prądów. Obok tych dodatnich stron były też ujemne, a mianowicie: wzmożenie się skłonności panegirycznej, ułatwienie makaronizmów, wreszcie co najważniejsza, opóźnienie pierwiastków rodzinnych w poezyi naszej, od którego to zarzutu nie jest wolny nawet największy klasyk — poeta wieku złotego — Jan Kochanowski.

Prof. dr. Józef Kallenbach poruszył w krótkiej notatce (str. 7) *Tradycyę domową w Panu Tadeuszu*, opierając się na nieznanym dotąd dokumencie urzędowym, skreślonym ręką Mikołaja Mickiewicza.

Pojęciu prawa poświęca z kolei prof. dr. Ignacy Kochembahr-Łyskowski sporo miejsca (str. 69), a prof. dr. A. A. Kryński daje zwięzły *Szkic językoznawstwa polskiego od początku wieku* XIX (str. 16). Z kolei zaznaczyć należy dra K. Kwietniewskiego rozprawę specyalną p. n. *Veliger skrzydłopławа* (str. 12). Dopiero rzecz dra Jana Łukasiewicza *O twórczości w nauce* (str. 15) wprowadza nas w samo jądro zagadnień o interesie powszechnym. Dotychczas bowiem, zarówno uczeni, jak ludzie zdala od nauki stojący, mniemali często,

że praca uczonego polega na odtwarzaniu faktów w sądach prawdziwych. Poeta, malarz lub muzyk tworzą; uczony nie tworzy, lecz tylko odkrywa prawdę. Pogląd taki wykopał przepaść między nauką a sztuką, a w przepaści tej zginęło zrozumienie dla twórczości w nauce. Tymczasem w rzeczy samej ten jest prawdziwym uczonym, kto umie powiązać fakty w syntezy. Nie wystarczy zaś na to samo poznanie faktów; trzeba jeszcze przynieść z sobą myśl twórczą!

Źródła przestępności prof. dra Juliusza Makarewicza (str. 16) udowadniają, że celem wysuszenia tych źródeł konieczne jest wychowanie moralne na tle religijnem (*la morale réligieuse*), co przeprowadzono nawet we Francyi, znanej z walki z Kościołem, w epoce rozwiązywania kongregacyi i usuwania krucyfiksu z sal sądowych. Ponadto społeczeństwo, chcąc dążyć do zmniejszenia ilości przestępstw, musi starać się o podniesienie etyczne jednostki ludzkiej, — musi ją wychować, wkładając w jej duszę odpowiednią ilość pobudek, odwodzących od czynów zbrodniczych.

Z kolei następują: dra Józefa Markowskiego *O zatoce żylnej oczodołu królika* (str. 15), prof. dra Antoniego Marsa *Kilka uwag o nadmiernej ruchomości macicy* (str. 12), prof. dra Józefa Nusbauma-Hilarowicza, *O pojęciu wtórnej potencyi prospektywnej homogenetycznej i heterogenetycznej oraz potencyi prospektywnej zapasowej w ustroju dorosłym* (str. 13) i prof. dra Leona Popielskiego *O rozpowszechnieniu wazodilatiny w świecie zwierzęcym* (str. 5), o których, jako zbyt specyalnych na tem miejscu tylko wzmiankujemy.

Tom drugi rozpoczyna prześliczna rozprawa hr. Leona Pinińskiego *Pod wrażeniem „Rozmyślań" Marka Aurelego* (str. 58). Przedstawiwszy znaczenie i treść nauki Marka Aurelego, przechodzi autor do określenia stosunku duszy naszej do porządku wszechświata, zastanawia się nad obowiązkami wobec bliźnich, społeczeństwa i państwa, mówi dalej obszernie o wyrabianiu własnego charakteru, znikomości rzeczy ludzkich, lekceważeniu sławy, o stosunku Marka Aurelego do chrześcijaństwa, kończy wreszcie rozpatrzeniem stosunku nauki Marka Aurelego do doby dzisiejszej. Rzecz ta, pełna głębokich spostrzeżeń, godna jest osobnego rozbioru przez specyalistę, zalecić zaś ją można kołom inteligentnym, wyszła bowiem w osobnem odbiciu. O rozprawach zbyt specyalnych II. tomu możemy tylko wzmiankować, a jest ich tutaj dosyć, żeby tylko wymienić: prof. dra Edwarda Porębowicza *Nouvelle interprétation du vers de la Divine Comedie*:

Kwestya rolna w Galicyi. *Zdzisław Ludkiewicz.* Lwów 1910.

Rozdział I. omawia położenie ekonomiczne ludności rolniczej w Galicyi.

Ujemne strony położenia włościaństwa, skądinąd już znane i omawiane, widzi autor w rozdrobnieniu gruntów, przewadze gospodarstw karłowatych, (niżej 5 ha), w szachownicy, nieumiejętnym systemie gospodarowania. Większe gospodarstwa cierpią też na różne niedomagania.

Niedomagania, na jakie skarżą się ogólnie właściciele średni, że gospodarstwo nie daje odpowiedniej wartości ziemi renty, nazywa autor i słusznie złudzeniem. Wskazuje, że procentu nie należy obliczać od wyśrubowanych do niemożliwości cen ziemi, lecz od jej rzeczywistej wartości.

Natomiast widzi inne poważne braki. Brak kapitału, w wielu wypadkach brak fachowej wiedzy i kierownictwa, brak robotnika i nieumiejętne wyzyskanie sił, to ujemne strony gospodarowania na średniej własności.

Na końcu tego rozdziału omawia autor wspólną bolączkę wszystkich rolników Galicyi, parcelacyę. Żąda jej uregulowania, a jako podstawę podaje projekt prof. Grabskiego z r. 1905. Za prof. Grabskim żąda utworzenia instytucyi parcelacyjnej krajowej, zorganizowania przez kraj parcelacyi, utworzenia patronatu dla spółek parcelacyjnych, oparcia każdej parcelacyi na zatwierdzonym przez krajową władzę planie parcelacyjnym.

Dalej omawia autor obszernie jedną z najbardziej piekących spraw, emigracyę. Na podstawie prac głównie dra Bujaka, dra Benisa, dra Caro, Trzcińskiego, a częściowo i swoich studyów, przedstawia materyał faktyczny. Jako warunki przedstawia projekty dr. Caro, zmierzające do uregulowania emigracyi.

Autor słusznie podnosi, że emigracya nie da się powstrzymać zakazami i szykanami administracyjnemi, że jedynie mogłoby zmniejszyć ją i może uczynić zbyteczną stworzenie odpowiednich warsztatów pracy w kraju. Ale to rzecz dalekiej przyszłości. Na razie w interesie emigrującego ludu należałoby ją otoczyć opieką ustawową, ustrzedz wychodźców naszych od niekorzyści ekonomicznych, szykan administracyjnych i wyzysku. W tej myśli zaleca wnioski dra Caro.

Dr. Caro w swej pracy *Auswanderung und Auswanderungspoli-*

tik in Österreich żąda przedewszystkiem ustawowego unormowania werbowania wychodźców. Wskazanym byłby zakaz wyjeżdżania do krajów, mających warunki nieodpowiednie dla naszych wychodźców. Potrzebna jest kontrola zakazu, wśród instytucyi prowadzących sprawy emigracyjne. Mogłoby państwo ograniczyć ilość filii i subagentur, ograniczyć, a nawet znieść biura i sprzedawców sprzedaży kart okrętowych, a powierzyć te funkcye kasom kolejowym. Należałoby unormować solidarną odpowiedzialność Towarzystw przewozowych i ich ajentów, nawet żądać, by sprawy te prowadziły filie tych towarzystw, a nie samodzielni ajenci. Możnaby zakazać łączenia przez jedną osobę ajentury kilku towarzystw. W celu ustawowej opieki nad wychodźcami, ustawa emigracyjna winnaby zawierać zakaz wyjeżdżania na roboty sezonowe bez umowy prawnej w języku zrozumiałym dla wyjeżdżającego, polecenie pracodawcom korzystania z publicznych biur pośrednictwa pracy, unormowanie sprawy kaucyi. Ponieważ zaś emigracya jest sprawą międzynarodową, przeto zaleca dr. Caro uregulowanie w drodze układów międzynarodowych sprawy pośrednictwa, pewnych norm hygieny na okrętach przewożących wychodźców, spraw zakładania hal emigracyjnych, w tej drodze należałoby też ustalić zasady statystyki emigracyjnej, uprościć warunki mocy obowiązującej dokumentów publicznych, n. p. metryk, i t. p., uregulować obrót pocztowy i pieniężny między wychodźcami a macierzą, obniżyć opłaty pocztowe. Prócz tego proponuje dr. Caro utworzenie międzynarodowego instytutu dla spraw emigracyjnych.

Ale autor, godząc się w zasadzie z wnioskami dra Caro, radzi obok tego zdobycie się na drodze samopomocy na samodzielną politykę emigracyjną. Sądzi, że istniejące już Polskie Towarzystwo Emigracyjne winno objąć ster tej akcyi; zaś istniejące publiczne biura pośrednictwa pracy winny swą działalność ograniczyć do pracy wewnętrznej w kraju.

Z kolei przechodzi autor do zobrazowania akcyi społeczno-rolniczej. Przedstawia stan i braki akcyi oświatowej i dydaktycznej, akcyi popierania hodowli odmian bydła, nowych gatunków roślin, badanie warunków naturalnych gospodarowania, gleby i t. p., stan zrzeszeń rolniczych. Omawia akcyę drenowania gruntów, komasacyę, kredyt rolniczy. Dział ten swej pracy kończy omówieniem sprawy centralnej organizacyi rolników w Galicyi.

Akcya społeczna na polu rolniczem, to jeden z najpotężniejszych czynników do rozwiązania kwestyi rolnej.

Ona sama nie rozwiąże sprawy przeludnienia, koniecznem jest stworzenie dla nadwyżki ludności innego sposobu zarobkowania. To pole do pracy może dać przemysł. Więc akcya w celu uprzemysłowienia kraju.

Gdy jednak rolnictwo, choćby znacznie wyżej rozwinięte, jak obecnie i przemysł w rozkwicie, nie może dać zatrudnienia całej ludności kraju, wychodźtwo staje się koniecznością. Wychodźtwo stałe do Ameryki północnej wytworzyło już tam liczne społeczeństwo polskie, blisko 3 milionowe.

Autor uważa te rzeczy za stracone dla macierzy: wpływ rasy anglo-saskiej, życiowo tęższej, wpływa wynaradawiająco; wychodźcy nadto nasi w Ameryce północnej znajdują tam roboty, lecz nie tworzą przeważnie własnych warsztatów pracy. Rząd Stanów Zjednoczonych przez coraz większe obostrzenia przepisów utrudnia imigracyę i może ją całkiem uniemożliwić. Zatem trzeba szukać innych krajów emigracyi i to stałej — autor wskazuje stan Parana w Brazylii i pragnąłby w tym stanie i sąsiadujących z nim wytworzyć zwarte masy osad polskich.

Punktem wyjścia autora jest zdanie, że Galicya jest przeludniona. Zdaje mu się jednak, że przeludnienie to jest względne, — przy intenzywnem wyzyskaniu wszystkich bogactw Galicyi spadnie ono do minimum. Ale to jest muzyką przyszłości i to bardzo dalekiej. Należy jednak wytężać wszystkie siły społeczne, by ten upragniony wzrost produkcyi jak najprędzej sprowadzić, dążyć, by dla każdego tu na miejscu znalazła się praca, mogąca dać wystarczające utrzymanie. Nim jednak takie warunki zapanują, trzeba się zgodzić na emigracyę, jako konieczność, choć niepożądaną.

Jaki jednak rodzaj wychodźtwa należałoby popierać? — By odpowiedzieć na to pytanie, odróżnić należy interes wychodźcy i interes ogółu.

Interes poszczególnych wychodźców może być różny w miarę indywidualnych stosunków. Rozum, czy własny, czy poparty doświadczeniem innych, wskaże, dokąd ma się kierować w celu jak najlepszego pokierowania swym losem. Ogólnie rzecz biorąc, uwzględniając indywidualne cechy usposobienia, przyzwyczajenia, upodobania naszego ludu, możnaby sądzić, że rzeczywiście osiedlenie na roli w krajach zamorskich nadwyżki ludności będzie najodpowiedniejsze.

A interes społeczny, narodowy.

Dla narodu, społeczeństwa te tylko jednostki przedstawiają znaczenie, które są połączone wspólnością interesów, wspólnem poczuciem narodowem. Każde wychodźtwo, nawet sezonowe, osłabia te węzły. Na osłabienie to jednak stwierdzona już konieczność wychodźtwa każe się zgodzić. Na zupełne jednak zerwanie tych węzłów nie może pozwolić społeczeństwo, o ile to w jego mocy. Toteż licząc się z koniecznością wychodźtwa może społeczeństwo przez swe organizacye popierać tylko te kierunki emigracyi, które wyżej wspomnianym interesom ogólnym odpowiadają.

Wychodźca osiadłszy w obcych krajach na ziemi, nabytej często znojnym trudem, przywiązuje się do tego kraju, zadzierżga ze społeczeństwem tam żyjącem węzły wspólności interesów ekonomicznych, społecznych, politycznych. Natomiast z macierzą łączyć go będą tylko węzły wspomnień, coraz bardziej się zacierających w miarę upływu czasu. A choć nawet przy planowej kolonizacyi otoczą go wokół zwarte masy współbraci, to wytworzy się odrębne społeczeństwo z tych osadników, ale nie wzmocni to węzłów z macierzą. Zachowa się może język polski, ale sama mowa nie stanowi jeszcze narodu. To, co stanowi naród, wspólność dążeń, tradycyi i t. d., odpadnie, choćby nie brak było wpływów narodowych z zewnątrz. Historya wskazuje, że wyspy narodowościowe, choćby wielkie, zwykle się rozpływają lub wsiąkają w morze otaczające.

Stąd wniosek, że raczej zaleconeby było wychodźtwo, które nazwijmy w skróceniu zarobkowem. Wychodźca tego rodzaju normalnie ma zamiar wrócić do kraju ojczystego, nie zrywa z nim stosunków, zwłaszcza, jeśli zostawił tam rodzinę, posiadłość, choćby najmniejszą. Stosunki niepomyślne zmuszą go nieraz, że pozostanie na emigracyi, że i jego potomstwo wsiąknie w nowe społeczeństwo. Ale możliwość przerwania węzłów, łączących go z krajem ojczystym, mniejsza, niż w razie osiedlenia się na ziemi.

Tak mi się przedstawia wychodźtwo, jeśli ono nie ma się przedstawiać wyłącznie tylko jako upust krwi społeczeństwa, lecz jeśli się pragnie, by te masy emigrujące do obcych krajów nie były dla macierzy stracone, by stanowiły nadal siłę narodową i społeczną.

Dr. A. Bielecki.

Z piśmiennictw obcych.

Die Geschichte der scholastischen Methode. *Grabmann Dr. Martin.* Nach den gedruckten u. ungedruckten Quellen bearbeitet. **II. Band: Die scholastische Methode im 12. und beginnenden 13. Jahrhundert.** Freiburg, Herder 1911. gr. 8°. (XIII. 586 str.).

Po dwóch latach mozolnej pracy obdarza nas prof. Grabmann drugim tomem swego monumentalnego dzieła o historyi scholastycznej metody. Ta sama przebija się w tym tomie sumienność w badaniu i jasność w ugrupowaniu materyału, jaką się już pierwszy tom chlubnie odznaczył. Owszem, drugi tom przedstawia się jeszcze korzystniej niż pierwszy z powodu licznych nowych rezultatów, którymi prof. Grabmann na tle obszernego, dotąd w rękopisach tylko istniejącego, materyału wzbogacił historyę teologii, filozofii i dogmatu XII wieku. Obejmuje ten tom historyę metody scholastycznej od jej ustalenia się za św. Anzelma z Canterbury aż do okresu jej rozkwitu za czasów św. Tomasza z Akwinu. Mamy więc tu przed sobą czasy rozwoju scholastyki, czasy wznoszenia owego gmachu teologicznego, który w Sumie teologicznej Doktora Anielskiego okazuje się nam w pełnem wykończeniu.

W pierwszej części dzieła poucza nas autor o ogólnych czynnikach i kierunkach, które uwydatniają się w rozwoju scholastyki w XII. i na początku XIII. w. Środowiskiem, w którem skupiał się ówczesny świat uczony, był Paryż, gdzie Wilhelm z Champeaux założył słynną szkołę pod wezwaniem św. Wiktora, a Abelard, jego przeciwnik, szkołę na górze św. Genowefy. Rozwój życia umysłowego w Paryżu doprowadził r. 1200 do założenia „uniwersytetu", a tem samem do centralizacyi całego wyższego nauczania w stolicy Francyi. Paryż stał się międzynarodowem ogniskiem wiedzy wieków średnich. Głównemi formami nauczania były lekcye i dysputacye. Lekcya była wykładem, w jakim profesor wyjaśniał uczniom jakiś tekst spisany, a dysputacya była praktycznem ćwiczeniem się w przenikaniu naukowych rezultatów zapomocą pytań i trudności, przemawiających na pozór przeciw wyłożonej prawdzie. Ustalenie się metody dysputowania *„in forma"* w zakresie zagadnień filozoficznych i posługiwanie się nią w celach teologicznej dydaktyki łączy się ściśle z zaznajomieniem się z logiką nową Arystotelesa, a zwłaszcza z ósmą księgą jego topiki. W związku z lekcyami i dysputami tłumaczy Grab-

mann znaczenie t. zw. „Sentencyi“ i „Sum“. „Sentencye“ były zbiorami cytat, które zestawiano z Ojców Kościoła, z pism doktorów i z kanonów kościelnych celem metodycznego wprowadzenia uczniów w znajomość Pisma św. Natomiast „Sumy“ przedstawiają systematyczne i bardziej samodzielne opracowania i streszczenia materyału naukowego.

Z niedrukowanych jeszcze źródeł podaje następnie autor cenny bardzo rozdział o filozoficzno-teologicznej literaturze, zajmującej się klasyfikacyą i metodologią nauk w wiekach średnich.

Niemniej przyczynia się do poznania rozwoju scholastycznej metody rzut oka na bibliotekę, która uczonym XII. wieku była dostępną. W miarę, jak nowe źródła naukowe otwierały się pisarzom scholastycznym, dzieła ich wzbogacały się w treść i formę nową. Na uwagę zasługują szczególnie wywody Grabmanna o stosunku scholastyki XII. i XIII. w. do starożytnych klasyków. Kościół owej epoki nie wypowiedział wojny starożytnej wiedzy, owszem cenił sobie klasyków i zachęcał do ich czytania, żądając tylko, aby studya klasyczne uprawiano w duchu nauki i obyczajności chrześcijańskiej. Upadek studyów klasycznych ma swoją przyczynę w przewadze dyalektyki i wogóle Arystotelesa na uniwersytecie paryskim, który nadawał ton innym szkołom ówczesnym. Metoda dyalektyczna była także jednym z głównych powodów, dla których studyum Ojców Kościoła cofało się wstecz. Zdania Ojców dawały scholastykom obfitą sposobność do rozmaitych prób i sztuczek dyalektycznych, przez co studya źródłowe i badania ich idei i poglądów schodziły zbyt często na drugi plan. Nie wolno jednak przeoczyć, że nie brakło nigdy jednostek, które zajmowały się studyami samych źródeł patrystycznych, zwłaszcza dzieł św. Augustyna.

Ostatni rozdział części ogólnej poucza o naukowych prądach XII. wieku i wyświetla gruntownie znaczenie, jakie miała mistyka dla scholastyki i dla metody scholastycznej. Scholastyka i mistyka — to nie przeciwieństwa, lecz kierunki nawzajem się uzupełniające, płynące ze wspólnego źródła, mianowicie z dzieł Ojców Kościoła, a zwłaszcza św. Augustyna, którego pisma były zdrojem nieprzebranym zarówno dla scholastyki jak dla mistyki. Mistyka XII. w. była skuteczną przeciwwagą wzmagającej się w teologii hyperdyalektyki i jednostronnego intellektualizmu, który mógł był się wyrodzić w racyonalizm i zatrzeć nadprzyrodzony charakter tajemnic wiary. Stała też mistyka na straży tradycyi i powagi Ojców i ożywiała metodę

scholastyczną zapomocą momentów psychologicznych, działających na wyobraźnię i uczucie.

Druga część dzieła, obejmująca 440 stron, przedstawia szczegółowo rozwój metody scholastycznej w XII. i w początkach XIII. w., a więc powstanie literatury scholastycznych „kwestyi i sentencyi" w szkołach Wilhelma z Champeaux i Anzelma z Laon; system Abelarda i jego szkołę; metodę Hugona od św. Wiktora i przedstawicieli jego poglądu; następnie kierunki Roberta z Melun i Piotra Lombarda; szkołę z Chartres (Gilberta de la Porrée, Jana z Salisbury i Alana de Insulis wraz z Mikołajem z Amiens); kierunek biblijno-moralny w teologii Piotra Kantora; wreszcie znaczenie Piotra z Poitiers i autorów paryskich Sum, wydanych około r. 1200. Cała ta część opiera się prawie w połowie na badaniach rękopiśmiennych, a wszędzie na gruntownych studyach źródłowych. By podnieść tylko kilka nowych rezultatów, do których doszedł prof. Grabmann: — Abelard, którego zwyczajnie uważa się za racyonalistę, przedstawia się na tle badań autora w korzystniejszem świetle; — inni, jak Robert z Melun i grupujący się około Piotra z Amiens autorowie Sum, wydanych w Paryżu, dochodzą do należącego się im uznania, pod względem wiedzy i wpływu na współczesnych, jakkolwiek przedtem ledwie z imienia byli znani, — Hugon od św. Wiktora staje przed nami jako teolog najsłynniejszy tego okresu, jako genialny uczony, któremu idealizm w nauce i wszechstronność wykształcenia nadają szczególniejszego uroku; metoda i źródła naukowe Piotra Lombarda doznają nowego oświetlenia.

Dzieło prof. Grabmanna ma zalety niezaprzeczone pod względem metody, jasności i przedmiotowości. Nietylko dla historyi scholastyki ma ono wielkie znaczenie, lecz dla teologii wogóle, zwłaszcza dla głębszego zrozumienia stosunku wiedzy do wiary. Trzeci i ostatni tom cennego dzieła niedługo już każe na się czekać, jak autor obiecuje. Dokładny spis imion i rzeczy ułatwia korzystanie z tej skarbnicy historyczno-filozoficznej i teologicznej wiedzy.

Ks. Ernest Matzel.

Drogowskaz życia. *Fr. W. Foerster.* Przekład z niemieckiego Fr. S. Warszawa 1910. Księgarnia M. Szczepkowskiego. 8-ka mała. Str. 246.

Autor zatytułował swoje dziełko w oryginale *Lebensführung. Ein Buch für junge Menschen.* Jak prowadzić się w życiu, zwłaszcza

w latach przejściowych, pomiędzy ukończeniem szkoły a życiem małżeńskiem, o tem poucza praktycznie i z psychologiczną prawdą znany dziś powszechnie prof. Foerster. Foerster jest pedagogiem woli, i cała siła jego prac pedagogicznych tkwi w mistrzowstwie, z jakiem umie pozyskać wolę dla wzniosłych ideałów etycznych. Jako głęboki psycholog budzi zapał do samodzielnej pracy nad sobą i nawiązuje wciąż do konkretnego doświadczenia i do socyalnych warunków życia. Na drodze indukcyi chce Foerster prowadzić wychowanka do poznania i do spełnienia etycznych wymagań. Codzienne doświadczenia życiowe chce łączyć z najwyższemi prawdami nauki Chrystusowej i w ten sposób w duszy dziecka wywołać własne doświadczenie jej doniosłości. Przez konkretne zastosowanie prawideł moralnych do różnorodnych, wchodzących w zakres życia wychowanka warunków, pokazuje Foerster, jak w duszy wzbudzać należy szlachetne uczucia, jak zapomocą rozmaitych pomocniczych wyobrażeń, należy pobudzać wolę do czynu, do zwyciężania trudności i przeszkód. Religijne pobudki Foerster umyślnie wyklucza, bo „zwraca się także do tych ludzi, którym skutkiem wychowania, lektury, ducha czasu i skutkiem własnego rozwoju, tak dalece są obce wszelkie religijne pojęcia, że niepodobna już rozbudzić ich sił moralnych, przemawiając do nich ze stanowiska religii". Zaznacza Foerster wyraźnie, że bez religii, bez silnej wiary w wiekuiste prawdy, niema charakteru, gdyż nikt nie może się poświęcić dla hypotez tylko ale wiary Foerster nie pojmuje należycie. Wiara w myśl Foerstera jest ukorzeniem się „przed prawdziwą wielkością duszy i znajomością życia, jakie przemawiają z Pisma świętego i z podania", ale nie jest uległością rozumu wobec Objawienia, danego nam przez nieomylną Prawdę, Nieskończonego Boga, za pośrednictwem nieomylnego Kościoła.

My katolicy możemy się uczyć od Foerstera, jak w kształceniu dusz należy wciąż nawiązywać do uczuć i dążeń, tkwiących w duszach wychowanków, i jak w miarę ich rozwoju korzystać należy ze wszystkich ich pragnień i doświadczeń, by do wyższych i szlachetniejszych podnosić ich ideałów. Etycznej treści katolicy nie potrzebują i nie powinni czerpać z Foerstera, gdyż Foerster sam czerpie ją z katolicyzmu, niestety, niedość jeszcze przezeń zrozumianego.

Książki Foerstera mają wysoką wartość pod względem pedagogiki woli, ale stanowią dla katolików dość poważne niebezpieczeństwo, — gdyż uczą życia na tle pobudek wyłącznie ludzkich, które do czynu wystarczyć nie mogą — wedle wyznania samego autora. Stąd myśli

Foersterowskie mogą być pomocne w dziele wychowania katolickiego, ale same z siebie muszą pozostać jałowemi wobec wymagań cnót, płynących z wiary i pobudek nadprzyrodzonych.

Cenimy bardzo dzieła zacnego prof. Foerstera, ale musimy tu zwrócić uwagę na smutny objaw w obozie katolickim, polegający na tem, że niejeden katolik z większem zaufaniem uczy się katolickich prawd z ust protestanta, niż z ust kapłana katolickiego. Pierwszego uważa za bezstronnego, a drugiemu nie ufa, bo „jest księdzem". A przecież ten właśnie wzgląd powinien w nas wzbudzić większe zaufanie, jeśli „żyjemy z wiary". — Pozwoliłem sobie na tę dygresyę w ocenie dziełka Foerstera, bo omawiam jego książkę ze stanowiska praktycznego, jakie katolik powinien zająć wobec etyki czysto-naturalnej — a uwaga ta jest potrzebna wobec przesądnego kultu Foerstera wśród katolików. Tłumaczenie niestety zostawia wiele do życzenia.

Ks. Ernest Matzel.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Św. Monika. *Ks. E. Bougaud*, biskup Lawalu. Brody. Nakładem Fel. Westa, str. XVIII. 272. 8°.

Z niniejszem dziełem przybywa polskiej literaturze nowy dobytek z zakresu hagiografii, żywot św. Moniki, matki Wielkiego Augustyna. Treść zebrana naukowo i krytycznie. Forma literacka oryginalna, piękna, właściwa słynnemu autorowi biskupowi Lawalu, Em. Bougaud. Przekład z francuskiego nie mniej dodatni; cechuje go jędrny styl i żywe przejęcie się prawdą, właściwe znanemu z literackiej pracy i niedawno zmarłemu ks. Mohlowi T. J. Aktualność życiorysu podnosi szlachetne jego zadanie. W osiemnastu rozdziałach maluje autor czem raz wyraźniej prawdziwą postać św. Moniki, jej właściwe bohaterstwo, prawdziwą świętość i cnoty. Na tle zaś tego skądinąd nie dość obfitego materyału rozwija zręcznie historyę macierzyństwa i ojcostwa chrześcijańskiego i wskazuje umiejętnie wzór do naśladowania matkom chrześcijańskim naszych czasów, w których nie brak młodych Augustynów.

Oto Monika jako młoda dziecina, obdarzona niezwykłymi przymiotami rozumu i serca, ćwiczy się w modlitwie, budzi się w niej miłość ubogich, ukazuje, aczkolwiek nie długo, lekki cień dziecięcej lekkomyślności. Jako dorosła panna, pełna wdzięku i uroczej skromności, wykształcona, wierna rodzicom i z posłuszeństwa łączy dłoń swoją z dłonią Patrycego. Wszelako małżeństwo to niedobrane i nieszczęśliwe. Patrycy poganin, lekkomyślny, obojętny, gwałtowny, niekryjący się ze swojem nierządnem życiem, despotyczny, przeszkadza z umysłu Monice w wychowaniu dziatek. Monika, zamiast upaść na duchu, zamiast usunąć się z domu męża, zrozumiała, że

P. Bóg powierzył jej tę duszę, aby ją uleczyć i pozyskać dla Boga. W tym celu nie używała słów, ani dysput, ani wymówek, pełniła raczej cnotę, była słodką, pokorną, cierpliwą, pokochała sekret milczenia i wyrzeczenia się siebie dla Boga. Tak żyła lat 17, aż wreszcie Patrycy począł odczuwać wonność wiary Chrystusowej, jaką przejęta była jego żona. Opierał się, odkładał. Nakoniec wyrzekł się bałwochwalstwa, a czując zbliżającą się śmierć, przyjął chrzest z wielką pobożnością. Pod wpływem żony wszystko się zmieniło, światło wiary dokonało reszty, pierwsze zadanie Moniki było spełnione.

Jej życie jako matki trojga dzieci streszczało się w tem dwojgu: Bóg i dziecko. Wielbić pierwszego, wychować drugie, to jej starczyło za wszystko. Szczególnie pracowała nad wyrobieniem sumienia swych dzieci i zaszczepiała w ich duszy miłość Boga.

Zły wpływ ojca okazał się dość wcześnie na najstarszym z dzieci, Augustynie, którego serce już w 14 roku życia zwiędło, jak kwiat. Augustyn bawiąc niemal stale poza rodzicielskim domem, na studyach, zaplątał się był w sieci miłosne i skrępował się dobrowolnie więzami, które go trzymały w niewoli lat 15. Im wyższy, jaśniejszy, genialniejszy był umysł jego, tem liczniejsze upadki, tem większy strach, wstręt i znienawidzenie prawdy. Owszem, Augustyn przyznał się kolejno do manicheizmu, materyalizmu i wszystkich innych sekt, których jego rozum wcale nie uznawał, podobnie jak czyni niejeden po dziś dzień, byle nie oglądać się na prawdę, i powrócić do cnoty. Na nieszczęście ukrywał wszystko przed matką, jak długo mógł.

Cóż na to św. Monika? Jako wdowa, w poczuciu matczynego obowiązku, zaopiekowała się Augustynem: tylko że z naprowadzeniem jego do wiary chrześcijańskiej szło bardzo trudno. Gdy Monika dowiedziała się o wszystkiem, boleść jej była tak wielką, że się obawiano o jej życie. Płakała dnie i nocy: modliła się bezustannie. Głębszemi, rzekłbym uniwersyteckiemi studyami, pragnęła podnieść umysł swego syna i zwrócić go do Boga w przekonaniu, że wszystko co podnosi człowieka, a więc i prawdziwa nauka, zbliża go tem samem do Boga. Nie szczędziła w tej mierze żadnych ofiar. Jednak skoro Augustyn przyniósł pod dach rodzicielski całą pychę sekciarza wraz z pogardą chrześcijańskiej wiary, ona, oburzona bluźnierstwem, dotknięta w tem, co miała najdroższego i najświętszego, miłość Boga i przywiązanie do Kościoła Chrystusowego, zdobyła się na najpiękniejszy czyn energii świętych: wygnała syna z domu. Lecz skoro Augustyn wpadał w straszny obłęd rozpaczy i zupełnego zwątpienia, ona spieszyła mu zawsze na pomoc. Starała się też zawsze zaprzyjaźnić Augustyna z wybitnemi osobistościami. Dzięki wpływowi tych wybranych osób, jak biskup Tagasty, biskup Medyolanu Ambroży, Simplician, Potentian i innych, wzruszyło się serce Augustyna, modlitwa oraz podwojona gorliwość, siła i delikatność, z jaką św. Monika starała się usunąć właściwą przeszkodę nawrócenia dokonały reszty. Łzy smutku tej niezrównanej matki zamieniły się w łzy szczęścia przy chrzcie syna. — Przecudne i rzewne są kartki rozdziału XV i XVI, w których opisuje autor to szczęście matki i syna. „Nic mnie „już nie zatrzymuje na ziemi... nie „wiem dlaczego żyję jeszcze teraz, kie„dy się spełniły wszystkie moje pra„gnienia. Chciałam żyć trochę dlatego „jedynie, żeby Cię zobaczyć chrześcija„ninem katolikiem. Pan Bóg dał mi „więcej jeszcze: widzę Cię gardzącym

„doczesnem szczęściem, ażeby służyć „Jemu jedynie“.. (Conf. XI. c. X.).

Ostatnie dwa rozdziały poświęca autor wzmiance historycznej o początkach dość późnych czci św. Moniki, oraz o rozszerzeniu się tej czci w nowszych czasach.

Ten życiorys jest arcydziełem współczesnej literatury francuskiej. Dałby Bóg, aby w swej szacie polskiej tak korzystnie wpłynął na społeczeństwo, jak we Francyi, oraz żeby „Kobiety Polki“, jak pisze ks. Mohl w swojej przedmowie, „zrozumiały, że tem więcej zdziałają na zewnątrz, im więcej „się uszlachetnią i podniosą na we„wnątrz“.

Oby też zasłużona księgarnia Fel. Westa jaknajwięcej podobnych książek w szacie polskiej wydawała i ogłaszała.

M. H.

Łączność wśród duchowieństwa. *Ks. Dr. Stanisław Dutkiewicz*, rektor semin. duchownego w Tarnowie. Poznań 1912 r. Wydawnictwo Miesięcznika kościelnego. Str. 62.

Praca ta niewielkiej objętości, licząca 62 str. ósemki, bogatą i ważną zawiera treść. Podaje bowiem dowody liczne i przemawiające do przekonania, że osobliwie w naszych czasach potrzebna jest większa łączność między klerem świeckim; rzuca krótki pogląd na historyczny rozwój związków kapłańskich w Kościele; mówi o B. Holzhauserze i komunistach polskich, którzy żyli według jego przepisów; zajmuje się Związkiem Apostolskim dla kapłanów świeckich, wykazuje jego korzyści, sposób założenia i pochwały, wyrażone dla tej instytucyi przez wielu znakomitych biskupów, a zwłaszcza przez Papieży: Piusa IX, Leona XIII i Piusa X.

Księża świeccy, narażeni na tyle trudności i niebezpieczeństw, powinni się łączyć koniecznie w związki, aby mogli skuteczniej podtrzymać w sobie ducha gorliwości, aby innym pomagając do uświęcenia, sami nie wyziębili w sobie ognia świętej miłości i nie zeświecczeli.

Dobrze pojmował zadanie duchowieństwa w Polsce Walery Wielogłowski, kiedy mówił (Polska wobec Boga, Paryż, 1846, roz. 10): „Biada narodowi, w którem duchowieństwo ulegnie skażeniu; albowiem cały naród wpadnie w duchową niemoc, grzech się w sercach zagnieździ, a winnica Pańska, robotników pozbawiona, chwastami się pokryje... Biada narodowi, w którym duchowieństwo zleniwieje w modlitwie, bo gdzie cześć Boska ustaje, tam ustaje i życie nadprzyrodzone“.

Warto, by każdy kapłan z uwagą przeczytał tę rozprawę, zastanowił się nad pobudkami, naglącemi do pracy wewnętrznej nad sobą i nie wahał się wstąpić w szeregi Związku Apostolskiego, nie liczył się z nierozumną krytyką i uprzedzeniami, które Szanowny Autor ujmuje w 13 zarzutach i zbija dosadnie (str. 36—44).

Pius X w zalecającym dekrecie z 28 grudnia 1903 r. powiada, że sam należał jako kapłan do tego związku i poznał jego korzyści: „Dzieło to zaleca się istotnie wielkiemi korzyściami, jakie z niego płyną; poznaliśmy to z własnego doświadczenia, bośmy do niego niegdyś należeli, a nawet na godność biskupią wyniesieni postanowiliśmy dla tych jego zalet brać w niem udział. Ono to zabezpiecza i wzmacnia jedność kleru, łącząc rozrzuconych kapłanów węzłem duchowej, braterskiej miłości, a mianowicie przez zaprowadzenie dla wszystkich członków jednostajnego trybu życia, przez miesięczne zebrania, narady w rzeczach duchownych, składane w oznaczonym czasie sprawozdania z postępowania swego przełożonym swoim i przez inne od-

powiednie obowiązki miłości braterskiej".

Z wielkiej życzliwości dla Związku wziął Pius X na siebie i sobie zastrzegł opiekę nad tą zbawienną instytucyą.

Statut związku, opracowany na wzorze francuskim, zatwierdził dla dyecezyi tarnowskiej Ks. Biskup Dr. Leon Wałęga w r. 1909 i pozwolił wprowadzić w swej dyecezyi Związek Apostolski, który tu liczy już kilkudziesięciu członków.

Książkę Ks. Dr. Dutkiewicza czyta się z przyjemnością i widzi się w niej gruntowną znajomość potrzeb moralnych kleru świeckiego i gorące pragnienie zaradzenia im przez środki wypróbowane i przez Kościół zalecone. *X.*

Żywot Bł. Kunegundy, Księżny polskiej, Pani ziemi Sandeckiej, Patronki narodu polskiego. Opracował *ks. Jan Pabis*, dyrektor szkoły i kapelan klasztoru PP. Klarysek w St. Sączu. 1912. Z 10-ciu ilustracyami Str. 150, in 8°. Główny skład w księgarni Z. Jelenia w Tarnowie.

Siostry Klaryski w Starym Sączu, opiekunki relikwij swej Błogosławionej Fundatorki, piękną powzięły myśl, że już od 2 lat urządzają i urządzać będą na przyszłość za wiedzą i pozwoleniem Ks. Biskupa tarnowskiego uroczyste Triduum ku czci Błogosławionej. Na te nabożeństwa schodzi się tłumnie lud wierny, słucha słowa bożego gorliwie i składa brzemię swych grzechów w Sakramencie Pokuty, błagając Boga, aby nowemi łaskami i cudami wsławił tę Matkę narodu polskiego i Panią ziemi sandeckiej, by można jak najprędzej wnieść do Stolicy Apostolskiej prośbę o jej kanonizacyę.

To samo widocznie pragnienie kierowało Autorem powyższego Żywotu, nakreślonego barwnie i poprawnie. Chciał on, jak na wstępie zaznacza, przyczynić się do spełnienia słów pięknych ks. Antoniewicza: „O, prędzej twarde karpackie skały prochem się rozwieją; prędzej wyschną do ostatniej kropli Dunajca i Popradu wody (okrążające Stary Sącz), niźli pamięć dobrej Królowej Kingi zaginie w sercach ludu wiernego!" (Patronowie polscy). Od siebie dodaje Autor: „O, niechaj się święcą te prorocze słowa naszego kapłana-patryoty! Niechaj pamięć Kingi nie ginie, lecz rośnie wciąż z dniem każdym w sercach wiernego ludu, w sercach dziatwy i młodzieży polskiej".

Nie jest to wprawdzie praca oryginalna, źródłowa, ale Autor wyzyskał zręcznie życiorysy dawniejsze i stworzył piękną całość, którą się czyta lekko i z przyjemnością. Rada szkolna krajowa słusznie poleciła ją na nagrody dla dziatwy szkolnej.

I dorośli czytać ją mogą z wielką korzyścią dla umysłu i serca. *G.*

Polski Anti-Lukrecyusz. *Sinko Tadeusz.* (Odbitka z „Rozpraw wydziału filologicznego Akad. Umiej.) Kraków 1911. Nakł. Akademii Umiejętności. 8-ka duża, str. 116.

O tym filozofie polskim nie miało się dotychczas najmniejszego wyobrażenia tak dalece, że nie wspomniał o nim w swojej pracy ś. p. prof. Struve nawet! A przecież ten niepospolity pisarz, z którym zaznajamia nas prof. Sinko, wydał swoją „Carmina" w półpięta tysiącach heksametrów oraz cztery rozprawy z zakresu fizyki w latach poprzedzających bezpośrednio rozbiorową epokę — 1777—1786. Nazywał się wcale drapieżnie: Ignacy Wilczek. Przeciwko epikureizmowi Lukrecyusza pisali u nas przygodnie: król Stanisław Leszczyński i ks. Stanisław Konarski. Dopiero jednakowoż Wilczek wysunął argumenty potężniejsze od

tych, jakimi operowali jego poprzednicy, gdyż stał na wysokości wiedzy współczesnej. *Zet.*

Głuchoniemy wobec najnowszych badań nauki. Napisał *ks. Wilhelm Wagner*, katecheta zakładu głuchoniemych we Lwowie. Lwów, nakład Gubrynowicza, 1913, stron 189.

Powołując się na nieznajomość przeciętną sztuki kształcenia głuchoniemych, których sama Galicya liczy 11.290, pragnie autor tą pracą zwrócić uwagę społeczeństwa a zwłaszcza stanu nauczycielskiego na to pole pedagogii.

W tym celu zaczyna od dokładnego przedstawienia, co rozumieć należy przez głuchoniemotę, poczem przechodzi kwestyę rozwoju duchowego ludzi nią dotkniętych, który naturalnie na niemałe napotyka trudności; uwzględnia zaś zarówno stan intelektualny jak etyczny. W jednym rozdziale traktuje o sposobie porozumiewania się głuchoniemych, t. j. o mowie na migi a następnie podaje historyczny przegląd powstania metod nauczania, oraz sposób wstępnego ich stosowania. Zrozumienie i pogląd na całą rzecz ułatwia wcale obszerne wyjaśnienie budowy i hygieny ucha i gardła, oraz czynności właściwych tymże organom; dla ułatwienia zrozumienia opisu dodaną jest na końcu kolorowa i objaśnieniami opatrzona ilustracya całego narządu słuchowego. *S. P.*

„Co każda dorastająca panna wiedzieć powinna". *Dr. Marry Wood-Allen.* Lwów, księgarnia Zienkowicza 1912.

Tytuł dość jaskrawy — ale książka arcy-na miejscu. Autorka przedstawia najkonieczniejsze przepisy hygieny — obce zazwyczaj młodym osobom. W drugiej części książki zstępuje powoli do zagadnień życiowych. A czyni to z takim taktem i powagą, że aż podziw wzbudza. Wprawdzie niema tutaj żadnych form moralizatorskich — argumenta wszystkie opierają się tylko na badaniu i pobudkach czysto rozumowych. W kwestyach najważniejszych i najdelikatniejszych, spotykamy się jednak z tłumaczeniem wspaniałem tych zjawisk jako cudów mądrości i potęgi Bożej. Całość jest polecenia godną — i to nietylko dla tych osób, na które wskazuje tytuł książki, ale na pierwszem miejscu spodziewać się należy, że każda nauczycielka i wychowawczyni młodzieży żeńskiej będzie mogła wskazać swym uczennicom na tę książkę, by za jej pomocą zdrowo i poważnie patrzyły na życie.

Uznanie i wdzięczność należy się wydawcy, że dał nam rzecz tak potrzebną w polskiej literaturze — rzecz, której brak odczuwali nasi pedagogowie bardzo boleśnie. *K.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Walka ze szkołami katolickiemi we Francyi.

Jedną z najdonioślejszych spraw, jakiemi obecnie zaprzątnięte są umysły katolików francuskich, jest sprawa szkół i chrześcijańskiego wychowania swej młodzieży. Sprawa ta nie jest nową. Już nieraz wypływała ona w XIX wieku i różne przechodziła koleje, ale piekącą stała się dopiero od 1880 r. Chwila obecna otworzyła tylko nowy epizod walki o chrześcijański charakter szkoły. Chwila groźna, bo rząd występuje z nowymi projektami, mającymi zepchnąć katolików z tych pozycyi, jakie im jeszcze pozostały i które oni z uznania godną skwapliwością starali się umiejętnie wykorzystać dla ocalenia dusz swej dziatwy.

Zaczęło się to od r. 1880. Do tej pory szkoły rządowe były zarazem wyznaniowe. Wykładano w nich religię i wychowanie bądźcobądź opierało się na podstawie religijnej. Mężowie stanu, ludzie skądinąd bardzo liberalni, mieli jeszcze tyle zrozumienia, że uznawali potrzebę oparcia wychowania na religii. „Naród, któryby tracił pojęcie Boga, — mówił taki nawet antyklerykał Guizot, — gubiłby zarazem wszelki ideał“. Ale od r. 1880 zmieniły się stosunki. Do rządu dorwała się republikańska lewica, a z nią wzięły górę inne zapatrywania. Masonerya rzuciła hasło zlaicyzowania szkoły, hasło znalazło uznanie

u radykalnej większości a rząd przyjął je jako program swej działalności. Odtąd poczęło się rugowanie religii ze szkół rządowych i w charakterze szkoły następuje radykalna zmiana. Dotychczasowy system wychowania, oparty na religii, chce się zastąpić zwykłą tresurą i przyzwyczajaniem do pewnej ogłady w postępowaniu.

Sprawiedliwość każe zaznaczyć, że jeszcze i wtedy, kiedy P. Bert i J. Ferry zapoczątkowywali przemianę charakteru szkoły z wyznaniowej na świecką, nie odrazu chcieli ją robić bezbożną, ateistyczną. Oni chcieli ją tylko widzieć neutralną t. j. taką, w którejby nie były naruszone ani obrażone niczyje przekonania religijne. Szkoła miała unikać wzmianki o różnicach dogmatycznych między rozmaitemi grupami religijnemi, ale miała się jeszcze oprzeć na idei Boga, wszystkim religiom wspólnej. Było to pojęcie oczywiście bardzo ogólnikowe, nieokreślone, mętne, — takie, jakie je zna deizm Voltaira i Rousseau'a, ale w każdym razie przynajmniej idea Boga, jeszcze w szkole pozostała i jakaś nikła wzmianka o obowiązkach uszanowania dla niego. Taki był program szkolny w r. 1882, tak obiecywał w swej deklaracyi J. Ferry w senacie, tak opiewał też dekret ministeryalny z 16 lipca 1882.

Ale te zapewnienia, dekrety, programy, były tylko słowami, były „koniecznem kłamstwem rządowem", aby uspokoić katolików — jak się któryś w przystępie szczerości wyraził przy obecnych debatach. Duch, który przebijał się w ówczesnych debatach oraz prowadził i popychał rząd do zlaicyzowania szkoły, zmierzał dalej. On dążył do zupełnego usunięcia Boga ze szkół, do zatarcia śladów religijności. Widocznem było, że nie zadowoli się on tem połowicznem załatwieniem sprawy, ale logicznie posunie się w swem dążeniu po tej pochyłości, na którą wstąpił, aż do końca, aż na sam spód. Nie łudzili się zapewnieniami i dekretami katolicy. Rozumieli, że one pozostaną na papierze tylko — pozostaną jako teorya, która nawet w najoptymistyczniejszem przypuszczeniu dobrej woli rządu nie da się wprowadzić w życie, — szkoły w rzeczywistości nie będą mogły pozostać neutralne, ale będą bezreligijne i bezbożne. W prze-

widywaniu tego katolicyzm zawczasu rozejrzeć się musiał za sposobami zapobiegania zgorszeniu, jakie miała szerzyć szkoła rządowa. Najradykalniejszym sposobem było usuwanie dzieci zupełne z pod ich wpływu, a oddawanie ich do szkół prywatnych, których program, na zasadach katolickich oparty, oraz personal, nie tający się ze swemi przekonaniami religijnemi, dawałby zupełną rękojmię dobrego katolickiego wychowania. Potrzeba szkół prywatnych okazała się bardzo widocznie.

Szkoły prywatne posiadali katolicy już dawniej. Korzystali ze zasady wolności proklamowanej przez republikę i zakładali je sobie, zdobywając dla nich z czasem równouprawnienie z rządowemi. Zakładane były ofiarnością prywatną a rodzice datkami swymi przyczyniali się do ich utrzymania. To prawda, że były one zawsze niewygodne dla rządu, stojącego pod wpływem skrajnej lewicy, któraby rada całą młodzież urobić na swoją modłę. Wielki zamach, skierowany może przedewszystkiem przeciw szkołom katolickim t. j. wypędzenie zakonów, które w przeważnej części zajmowały się kształceniem młodzieży, także nie bardzo się udał. Szkoły pozostały nawet po rozpędzeniu zakonów i rabunku ich dóbr — a nawet liczba i znaczenie ich się wzmogło.

Zwłaszcza odezwa episkopatu francuskiego do wiernych z 14 września 1909 zwracająca uwagę na niebezpieczeństwo dla wiary w szkole rządowej, wywołała zwiększony przypływ uczniów do szkół prywatnych. Frekwencya w nich wzrosła, zaroiły się dziatwą, a trzeba dodać, że nawet rodzice niewierzący wolą oddać swe dziecię pod opiekę pedagogów katolickich, aniżeli powierzyć je szkole rządowej.

Skutek tego był taki, że szkoły rządowe znalazły się w konkurencyi ze szkołami prywatnemi i to konkurencyi, która jaskrawo ujawnia ich niższość. Mimo wsparcia i opieki, jakiej im rząd użycza, nie dorównują katolickim pod względem jakości wychowania; upadają w opinii, budynki szkolne wypróżniają się, a rząd widzi się nieraz zmuszonym zamykać je dla braku uczniów.

Można było oczekiwać, że rząd nie będzie stał obojętny wobec tak przykrego obrotu rzeczy dla szkół swoich. Jakoż

rzeczywiście spieszy im z pomocą i właśnie ta pomoc, jaką im niesie, ma stworzyć nowe a groźne położenie dla szkół prywatnych.

Zaraz po wydaniu listu pasterskiego, przez episkopat francuski, wielka organizacya zwolenników wychowania rządowego *Fédération des Amicales d'institutrices et d' instituteurs publics de France et des Colonies* podniosła alarm i żeby prócz wrzawy czemś konkretniejszem zadokumentować swą akcyę przeciw katolickiej szkole, wytoczyła proces Arcybiskupowi z Reims, kardynałowi Luçon o odszkodowanie za szkodę, jaką moralnie i materyalnie wyrządził całemu ciału wychowawców rządowych przez wyżej wspomnianą odezwę. W dwóch nawet instancyach wygrali wytoczoną sprawę. Trybunał w Reims uznał powód, a kardynała skazał na 500 franków odszkodowania. Wyrok ten został zatwierdzony przez trybunał paryski. Dopiero sąd kasacyjny znosi 4 marca 1913 wyrok sądu paryskiego i odsyła strony do sądu apelacyjnego w Orleanie. Jakkolwiek wyrok sądu kasacyjnego był korzystny dla kardynała, występującego przeciw zgorszeniu szkół rządowych, jednak uwzględnia on tylko formalną stronę procesu i znosi poprzedni wyrok jedynie ze względu niekompetencyi Federacyi *des Amicales etc.* do zastępowania interesów całego stanu nauczycielstwa rządowego. Wyrok sam nie porusza kwestyi zasadniczej co do prawa przysługującego biskupowi na mocy jego urzędu pasterskiego, żeby mógł wskazywać wiernym grożące niebezpieczeństwa i nakazem swym skutecznie je usuwać. Jednakowoż wywody prokuratora głównego, które w skróceniu podał *Matin* (5 marca) zawierają tego rodzaju uwagi teologiczno-historyczno-filozoficzne, że nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do zapatrywań sądu. Nie wiedzieć, czemu je przypisać: czy ignorancyi, czy przewrotności. W każdym razie tylko niechęć i głębokie uprzedzenie do Kościoła mogły je podyktować.

Proces ten, choć może służyć za ilustracyę stosunków religijnych francuskich i wywołany został sprawą szkolną, ma jeszcze charakter prywatny i niejako maleje wobec ogólnej akcyi, jaką rozpoczął rząd w celach obrony nauczania świeckiego.

Nie można się dziwić, że rząd przedsięwziął pewne kroki dla podniesienia wartości szkół swoich. Było to nawet jego

obowiązkiem. Pytanie się nasuwa, jak się do tego zabrał. I tu właśnie wyłazi na wierzch cały ciasny, sekciarski sposób jego postępowania. Jeśli rządowe szkoły upadają, trzeba było zbadać gruntownie przyczynę upadku, przyłożyć siekierę do korzenia i radykalnie a pozytywnie przyczynić się do poprawy stosunków. Tak zrobiłby każdy nieuprzedzony. Ale właśnie we Francyi jeszcze nie nadeszły czasy otrzeźwienia. To co mogłoby uzdrowić i podnieść upadające szkoły, to się uważa za przyczynę upadku. Ponad rozum góruje jeszcze przesąd, który z góry wie i pokazuje, gdzie nieprzyjaciel: Kościół, religia — *Voila l'ennemi.* W kwestyi szkolnej postąpiono podobnie: aby podnieść wartość szkół rządowych, postanawia się zniszczyć prywatne, dlatego, że religijne, że katolickie!

Projekty rządowe w sprawie obrony szkoły świeckiej mają istotnie na celu tylko zburzenie szkół prywatnych, wolnych. Wyłoniły się przedewszystkiem trzy, o których zaczęto rozprawiać z początkiem marca bieżącego roku, a debaty nad nimi podjęto na nowo z końcem czerwca.

Pierwszy z nich pojawił się już w r. 1911 przy rozprawach nad sprawami finansowemi; odesłany do komisyi, przedłożony był izbie 3 marca b. r. Zdąża on do tego, aby środkami materyalnymi przynęcać dzieci do szkół rządowych. Nakłada on na wszystkie gminy obowiązek subwencyi dla kasy szkolnej, aby z niej korzystać mogły wyłącznie dzieci ze szkół rządowych. Projekt ten, od swego referenta zwany projektem Viviani'ego, stwarza kosztem wszystkich wielki przywilej dla szkół rządowych na niekorzyść prywatnych, którym się przez to odciąga uczniów.

Z innym projektem wystąpił deputowany Brard. Ten posunął swe żądania do tego stopnia, że zaproponował wprost monopol dla szkół rządowych. Mianowicie żądał zakazu tworzenia szkół prywatnych w obrębie gmin nie dochodzących do 3000 ludności. Gdyby ten wniosek miał wejść w życie, to równałoby się to zamknięciu prawie wszystkich szkół katolickich w gminach wiejskich, których ludność miała być bezbronnie wydana na łup demoralizującej szkoły rządowej. Projekt ten nawet uzyskał większość głosów w głosowaniu za jego nagłością, ale była to

raczej demonstracya na korzyść tendencyi jego autora, a nie na korzyść samego wniosku, który wobec projektu rządowego stracił widoki powodzenia. Zdaje się, że i wnioskodawca nie będzie chciał za nim więcej obstawać wobec tego, co go spotkało. Oto temu zażartemu antyklerykałowi przetrąciła krzyże *Libre Parole*. W dzień jego występu z projektem, przygotowała o nim artykuł i rozesłała go posłom. Przed sesyą czytali go, wybuchali śmiechem, wydzierali go sobie wzajemnie. Dowiadywali się z niego, że Brard znowu nie jest takim dzikim antyklerykałem, za jakiego uchodził. Owszem to zacny, praktykujący katolik, obrońca „starej wiary bretońskiej". Tak Brard się przedstawił swoim wyborcom jako kandydat na posła z okręgu Pontivy. *Libre Parole* dawała na to dowody, długie cytaty z dziennika, który go popierał, — opowiadała, jak na zgromadzeniu wobec wszystkich pokazał kartkę spowiedzi, odbytej w Paryżu we wielki piątek, 13 kwietnia 1906, ku zawstydzeniu biednego wikarego Runigota, który śmiał wyrazić powątpiewanie o jego prawowierności. Wywody swe kończyła *Libre Parole* apelem do honoru izby, że nie pozwoli na to, aby taki Brard miał przed nią zabierać głos w sprawie szkolnej.

Istotnie Brard głosu nie zabrał.

Daremnie wśród wybuchów śmiechu wywoływano go: Brard! Brard! — Brard zniknął. *Libre Parole* zmiotła, zmiażdżyła go śmiechem. W następnym artykule mogła opisać swe zwycięstwo i zawołać tryumfalnie: „Pajac, którym loże chciały się posłużyć przy swych sztukach, leży z przetrąconymi krzyżami. Brard spowiadający się, Brard sekciarz, Brard renegat, już rozwiał się tylko we wspomnienie".

Zapewne wniosek Brarda razem ze swym autorem zostanie pogrzebany — ale zato widoki powodzenia ma projekt rządowy, którego referentem z ramienia komisyi był M. Dessoy.

Zmierza on do tego samego celu, co i projekt Brarda, tylko innemi drogami. Wniosek Brarda załatwiał sprawę po grubiańsku, po chłopsku, „był nie ideą — ale ruchem, odruchem instynktownym żaby z odciętą głową, na nowo poddanej klasycznemu doświadczeniu" — jak malowniczo charakteryzowała go *Libre*

Parole. Wniosek rządowy wkracza jako idea, umotywowana pozorami słuszności, rozsądku z wszelkiemi racyami rozmaitych względów umiarkowania i uszanowania sumień ludzkich. Tak go przynajmniej przedstawiał referent komisyi M. Dessoy.

W ogólnych rysach dąży on do nałożenia ostrych kar zarówno na rodziców, którzy nie posyłają dzieci do szkoły, jak również na tych, którzy przeszkadzają szkole świeckiej w prawidłowem funkcyonowaniu, czyto przez zakazywanie podręczników w nich używanych, czyto przez wywieranie presyi na rodziców, aby do nich dzieci nie posyłali. Jeszcze brzmienia projektu dokładnie nie ustalono, ale tendencya jego jest jasną: stworzyć takie ustawy, któreby dawały prawo ścigać i karami okładać wszelkich przeciwników szkoły rządowej, czyto nimi będą księża, czy sami rodzice. Władzy kościelnej chce się uniemożliwić wykonywanie obowiązków pasterskich i energiczną obronę wiernych przed zalewającą ich bezbożnością rządowej nauki,— rodziców pod pretekstem nieposyłania dzieci do szkoły rzuca się na pastwę sądów, które ich będą ścigać i karać pieniężnie i więzieniem bez względu na to, że to posyłanie może stać w sprzeczności z ich sumieniem katolickiem — nauczyciela zaś pozostawia nadal bezkarnie, choćby najbezbożniejsze wygłaszał nauki i deorganizował dusze dzieci rodziców katolickich. Debaty nad tym projektem potrwają dłużej. Już wyłaniają się rozmaite poprawki, które mogą projekt odmienić, ale bezwątpienia niebezpieczeństwo istnieje. Czują to katolicy i słusznie robią, że nawołują się do solidarnej obrony przeciw zamachowi rządu na swobodę nauczania.

Zaraz w pierwszych debatach po przedłożeniu zabrali i oni głos na posiedzeniach izby i oświetlali projekt z innego punktu widzenia, aniżeli rząd.

Na czoło tych obrońców wybija się poseł Groussau. W swej mowie zdecydowanej, jasnej zasadniczo oświetla on stan walki o szkoły świeckie i przedsięwziętą ich obronę. Wskazuje, jak w bardzo wielu gminach te szkoły rządowe istnieją i one tylko istnieją, bez żadnej innej. Rodzice katolicy zmuszeni są wysyłać do niej swe dzieci. Czy mogą to uczynić bez zadawania gwałtu własne-

mu sumieniu? Prawodawstwo i przedstawiciele rządu zapewniają, że tak, bo szkoła rządowa jest neutralną, nie ma dogmatycznie podawać żadnych zapatrywań, któreby mogły obrażać religijne przekonania dzieci lub ich rodziców. Groussau wykazuje, że choćby nawet przypuścić możliwość, że w szkole da się ominąć różnice religijne i oprzeć wychowanie na ogólnikowej idei Boga, wspólnej wszystkim religiom, to jednak już wprost niemożliwą jest rzeczą wynaleźć grunt wspólny dla wierzących i niewierzących w Boga, dla religijnych i ateistów lub sceptyków. Tu już żadnej wspólnej podstawy niema — tu są sprzeczności nie dające się do siebie zbliżyć. Wprawdzie jeszcze można wskazywać jako środek zbliżenia się zupełne omijanie wzmianki o Bogu — ale właśnie ono najbardziej szkodzi i obraża katolików, bo zatraca i gubi religijne pojęcia dzieci i wychowuje je bezbożnie. Zapoznanie zupełne Boga, moralność od Boga niezależna i ogólne obchodzenie się bez Boga jest już i doktrynalnie błędem najwyższej doniosłości i stoi w absolutnej sprzeczności z nauką Kościoła. Do szkoły, opartej na takiej neutralności, rodzice wierzący w żaden sposób dzieci swych posyłać nie mogą, bo to znaczyłoby wysyłać je, aby tam z zasady psuto w nich to, czego strzedz jest ich najświętszym obowiązkiem.

I właśnie szkoła rządowa jest faktycznie tak neutralną, że wyklucza wszelką wzmiankę o Bogu i uczy obywać się bez Boga. Wskutek tego, mimo zapewnień rządu, zadaje ona gwałt sumieniu katolickiemu, które na posyłanie dzieci do tych szkół pozwolić nie może. Czy dziwić się, że katolicy szukają sobie innych szkół i ponoszą ofiary nawet wielkie, byle tylko ulżyć swemu sumieniu i módz dzieci zachować w swej wierze? I te wysiłki kakatolików, aby dzieciom zabezpieczyć wychowanie we wierze, rząd nazywa walką ze szkołami rządowemi! A. Groussau idzie dalej. On wie, co J. Ferry w imieniu rządu obiecywał katolikom, gdy chodziło o zlaicyzowanie szkół; zna program oficyalny z r. 1882. zna obowiązanie się rządu, że zachowa w szkołach zlaicyzowanych moralność spirytualistyczną tak długo, jak długo będzie ją wyznawać większość rodzin i nauczycieli katolickich. Znając to wszystko, porównuje obecny kierunek an-

tyreligijny szkół rządowych z programem oficyalnym i interpeluje rząd, dlaczego zobowiązań nie dochowuje, dlaczego rzeczywistość stoi w sprzeczności z programem, kiedy programu prawnie nie zmieniono? Zapytuje, jak rząd myśli nadal stosować neutralność, która w programie zachowuje ideę Boga i obowiązki względem Niego, a w praktyce, w szkole, w podręcznikach i na wykładach ideę tę i obowiązki z niej wypływające zupełnie pomija i umyślnie usuwa? Niechże rząd przedewszystkiem w tej kwestyi dopilnuje przyrzeczeń i niewierzących nauczycieli pouczy, jak mają szanować przekonania religijne swych uczniów i ich sumienie, i niech inną drogę obiera do obrony swych szkół, a nie drogę okładania karami i tyranizowania tych, którzy stają w słusznej obronie dusz swych dzieci.

Debaty czerwcowe przyniosły odpowiedź rządu a zarazem nowe oświetlenie sprawy i stanowiska, jakie zajmuje rząd. 13 czerwca, a potem znowu 18 czerwca, zabierał głos sam prezes min. Barthou. W słowach cukrzonych umiarkowaniem i jakąś wyszukaną życzliwością zapewniał, że szkoły rządowe są tego rodzaju, że nie powinny obrażać niczyich uczuć. Wprawdzie jest to rzecz trudna, żeby nauczyciele tak postępowali, ale spodziewać się tego można po ich takcie. Do ich taktu należy obrać sposób postępowania, aby nie obrażać uczuć religijnych dzieci. Słowem — naczelnik rządu zbagatelizował interpelacye katolickie, a formalne zobowiązania rządu zachowania moralności spirytualistycznej w szkole zredukował do kwestyi taktu nauczycieli. Nie daje więc żadnych wskazań dla nich, jak tylko te, że najlepiej zrobią, gdy nawet nie będą wspominali o Bogu!

Jestto cyniczne wystąpienie rządu przeciw katolikom, jestto deptanie formalnych zobowiązań i własnego programu z r. 1882, który nigdy prawnie odwołany nie był. To oświadczenie ośmiela się w tak cyniczny sposób zrobić najwyższy przedstawiciel rządu podczas rozpraw nad nową ustawą wymierzoną przeciw katolikom. Zyskuje ono poklask większości w izbie,

która się z nim solidaryzuje. — Wszystko to niedwuznacznie wskazuje, że projekt rządowy ma widoki powodzenia.

Katolicy jednak organizują obronę dalej. Zwołują wiece, protestują, zbierają podpisy na protestach. Ale jaki będzie wynik walki, na razie nie wiadomo. Dobrze, że nawet w tych warunkach nie tracą nadziei, ale przytem wszystkiem przydałoby im się trochę mniej optymizmu a więcej zrozumienia powagi chwili i czujności.

Uroczystości Ozanama

Równocześnie z uroczystością Eucharystyczną na Malcie, odbywała się w Paryżu inna uroczystość. Mianowicie obchodzono stuletnią rocznicę urodzin Ozanama. Nietylko urządzono ją w Paryżu, ale w Paryżu najuroczyściej, najokazalej.

Fryderyk Ozanam należy do najwyższych chlub katolickiej Francyi, a sympatyczna postać tego studenta entuzyasty a potem uwielbianego profesora, który na czele kolegów, z obliczem anioła a sercem matki, idzie po zaułkach miejskich wyszukiwać biedaków i nieść im ze słowami pociechy także pomoc materyalną, istnieje dotychczas żywa i zaginąć nie może. Ona też wywołała te uroczystości. Wykonawcami ich jednak byli spadkobiercy idei Ozanama, stowarzyszenie, które on powołał do życia lub, żeby się ściślej wyrazić, w którego założeniu wziął udział nietylko żywy, ale stanowczy i decydujący — t. j. konferencye św. Wincentego à Paulo. One to zwołały do Paryża międzynarodowy zjazd swoich członków, w celu uczczenia pamięci niezapomnianego swego twórcy — a żywa sympatya, otaczająca Ozanama i jego dzieło, nadała im podkład szerszy. Na nabożeństwa do kościołów na Montmartre i Nôtre Dame ściągnęły tłumy ludzi, przez które trudno się było przecisnąć. Odbywały się zebrania, na których najwybitniejsi mowcy francuscy zabierali głos. Przedewszystkiem wspomnieć tu wypada o wspaniałem przemówieniu O. Janvier'a, Dominikanina, słynnego konferencyonisty z Nôtre Dame. Spełniał on swą mową niejako obowiązek, skła-

dał hołd temu, któremu zawdzięcza możność odzywania się z wysokości mownicy do tych zbitych tłumów, które zapełniają przestrzenie olbrzymich naw Nôtre Dame. Ozanam, jak był twórcą konferencyi św. Wincentego — tak też był inicyatorem i ojcem konferencyi apologetycznych w kościele Nôtre Dame. Jako młody słuchacz Sorbony tyle się nabiegał, nazbierał podpisów, nakołatał wszędzie, aż wreszcie uzyskał, że uwielbianemu przez młodzież uniwersytecką Lacordaire'owi pozwolono wstąpić na mownicę i rozpocząć cykl sławnych konferencyi religijnych, które już odtąd przemieniły się w instytucyę stałą i posługując się tylko najwybitniejszemi siłami oratorskiemi — gromadziły u stóp tej mownicy tłumy inteligentnych słuchaczy. W ostatnich latach O. Janvier spełniał z chlubą obowiązek konferencyonisty w Nôtre Dame i z tego tytułu należało mu się niejako zabrać głos, podczas uroczystości Ozanama. Spełnił to w sposób, w jaki można się było spodziewać po tym mowcy. Z całą właściwą sobie przejrzystością i jasnością, umiejącą doskonale uwypuklać rysy omawianych przedmiotów — przedstawił Ozanama jako apologetę i jako człowieka apostolskich czynów, — z tych stron, które jak na dłoni odkrywają jego wielką i podniosłą duszę, oraz podnoszą znaczenie jego dla Francyi i Kościoła i ludzkości całej.

Tak jest! Ozanam należy do całej ludzkości. To nietylko dobroczyńca lokalny, to umiejętny organizator, który posługując się środkami nader prostymi, umiał do dzieła swego zapalić szlachetne serca wszystkich narodowości i oddać je na umiejętną a delikatną usługę biednych. Konferencye św. Wincentego à Paulo w Paryżu poczęte, gdy Ozanam miał lat dwadzieścia, z towarzyszami, których było nie więcej nad siedmiu, z ogromną szybkością mnożą się, rosną, obejmują miasta obce i obce kraje.

Po latach dwudziestu już Ozanam na zebraniu swych towarzyszy może mówić w szlachetnem poczuciu rozwijającego się potężnie życia konferencyi „zamiast ośmiu, i to tylko w Paryżu, już nas jest dwa tysiące. Odwiedzamy pięć tysięcy rodzin, to znaczy dwadzieścia tysięcy osób, a czwartą część ubogich tego całego olbrzymiego miasta. Konferencyi w samej Francyi jest już

500. Nadto mamy Konferencye w Anglii, Hiszpanii, Belgii, Ameryce i aż do Jerozolimy. Tak poczynając od małego, można dojść do dzieł wielkich. Bóg raczył przyjąć dzieło nasze za swoje i rozpowszechnił je po świecie, przepełniając je swem błogosławieństwem".

Tak było w lat dwadzieścia po nader słabych początkach; a dziś, gdzież są nieznane te kółka apostołów świeckich, którzy łącząc się w konferencye, w nich znajdują i zachętę, aby chcieć i wskazówki, jak iść korzystnie z pomocą, jak skutecznie zabrać się do otarcia łez, już nie tysiącom, ale milionom cierpiącym fizycznie i duchowo? Ta pomoc, udzielana potrzebującym, nie jest tylko czynem wyłącznie filantropijnym bez dalszych widoków. W myśli Ozanama życzliwość dla bliźniego, serdeczne zniżenie się i zajęcie jego dolą, miało znaczenie głębsze. Ono obejmowało w swych celach, prócz ulgi materyalnej także podniesienie moralne i religijne. Ono miało charakter apostolski. Było to apostolstwo miłości i czynu i w tym też duchu apostolskim dziś już 140.000 ludzi rozprasza się codziennie po świecie, aby osobiście zaglądnąć do domów biednych, by tam z przyniesionym chlebem dla posilenia ciała, zarazem wnieść promień światła do dusz tych ludzi rozgoryczonych nieszczęściem — wykrzesać z ich serc trochę ciepła, pozyskać dla prawdy, dla Chrystusa.

Dzieło Konferencyi św. Wincentego, stworzone przez Ozanama, ma w założeniu swojem apostolskiego ducha i w tym duchu pracuje. Dlatego na wiadomość o zamierzonych uroczystościach Ozanama, Ojciec św. wysłał, zarówno jak na uroczystości eucharystyczne, swego legata, wybierając do tej delegacyi protektora Konferencyi św. Wincentego, kardynała Vanutellego. Posiada on nadto i tą szczęśliwą zaletę, że powszechnie znany jest ze swej przychylności dla Francyi i cieszy się sympatyą wśród katolików francuskich.

To wysłanie do Francyi osobnego legata na uroczystości Ozanama miało na celu zaznaczenie wielkiego uznania Stolicy Apostolskiej dla jego znakomitego dzieła, — o czem zresztą mówi jasno *breve*, mianujące kardynała Vanutellego legatem Apo-

stolskim na uroczystości Ozanama. Ale o czem *breve* nie mówi, co jednak odczuwają wszyscy, to nadzwyczajność tego wydarzenia, niepozbawiona dalszych intencyi. Osobnego legata papieskiego nie widziała Francya od przeszło pół wieku. A oto teraz przybywa on do niej w czasach, gdy cała urzędowa jej część po gwałtach dokonanych na Kościele i jego prawach, jeszcze dysząca nienawiścią, ale już jakby po przejściu ataku, staje i zaczyna przychodzić do siebie, spoglądając na dzieło zniszczenia, jakie sprowadziła na kraj i jego stanowisko i znaczenie w świecie. Jeszcze głośno swej winy wyznać nie chce, urzędowo wszystko idzie po dawnemu, ale otrzeźwienie nadchodzi. Głosy podnoszą się coraz częstsze — i to nietylko ze strony katolickiej — że polityka ostatnich lat była szaleństwem, że trzeba z fałszywej drogi zwrócić. Nawet nie tają tego w poufnych rozmowach wysokie osobistości urzędowe — tylko brak im odwagi wypowiedzenia tego publicznie, urzędowo, jawnie.

W tej chwili niezdecydowania urzędowego zjawia się we Francyi oddawna niewidziany legat papieski.

Nie jedzie on do urzędowej Francyi, z którą stosunki są zerwane, nie przyjmie go żadna figura urzędowa, owszem on sam wyraźnie zaznacza, że nie jedzie w sprawach polityki i że żadnych wizyt nie przyjmuje, a jego misya ściśle określona. Ale sam fakt, samo jego zjawienie się w tej chwili jest znaczące, zwłaszcza, że ten legat nie szczędzi słów życzliwości, że do czułych na uznanie Francuzów przemawia ciągle w tonie niezmiernie dla nich sympatycznym i pochlebnym, że ciągle pamięta o rozróżnianiu między nadużyciem władzy, która dopuszcza się gwałtu, a narodem, któremu przypomina słowa Grzegorza IX. o jego „wybraniu“, że akcentuje po kilka razy czułą życzliwość Piusa X. dla niego, że oświadcza nawet publicznie, jako „celem jego przybycia zarówno było złożyć należne uznanie dla Stowarzyszenia św. Wincentego à Paulo i oddać cześć Francyi“ — to wszystko wskazuje, że ze strony papieża był to — jak się wyrażają gazety — gest znaczący w stronę Francyi, gest, który jeszcze nie jest wyciągnięciem ręki do zgody, ale delikatnym objawem, że ze strony Stolicy Apostolskiej nie

są przeciwni temu porozumieniu się, jest przygotowaniem drogi, i ułatwieniem rządowi podjęcia pierwszych kroków do porozumienia i zgody.

Tak więc po burzy, który przyniosła tyle nieszczęść, zaczyna się powoli niebo wypogadzać. Usuwają się zwolna owe złowrogie chmury — zaczynają się pokazywać pierwsze jaśniejsze promienie. Mimo, że na przyjęcie legata nie pokazała się żadna urzędowa figura, jednak dworzec był przepełniony oczekującymi jego przybycia. Nie było okrzyków na komendę, ale za to z ust zgromadzonych tłumów rwał się się samorzutnie okrzyk pozdrowienia dla przybywającego wysłannika papieskiego, rwał się okrzyk na cześć papieża wysyłającego „*Vive Pie X.*“ Z jednej i drugiej strony objawy tendencyi dążącej do wytworzenia jakiegoś znośnego *modus vivendi*. Byleby tylko rząd francuski miał odwagę oprzeć się głośnym wrzaskom nieprzejednanych fanatyków, byleby nie dał się opanować tej najgorszej z chorób, którą Montaigne nazwał „*le mal de sottise*“.

Ks. L. Rudnicki.

Ze świata nauk i wynalazków.

Rozwój przemysłu elektrycznego w Niemczech. — Nowa metoda badania wieku ziemi.

W jednym z ostatnich zeszytów znanego pisma *L'Économiste Français* znajduje się doskonałe zestawienie dat, odnoszących się do rozwoju elektrotechniki w Niemczech, które wobec wybitnej roli przemysłu niemieckiego w ruchu światowym, dają też wyobrażenie o całokształcie elektrotechniki na świecie.

Całkowity kapitał zakładowy, pochłonięty w Niemczech przez fabryki wytwarzające przyrządy elektryczne, wynosi 2 miliardy 150 milionów marek. Wprawdzie kapitał utopiony tamże w kolejach żelaznych jest kilka razy większy, bo dochodzi do 17 miliardów, a w kopalniach do przeszło czterech miliardów. Gdy jednak zważymy, że przemysł elektrotechniczny jest stosunkowo bardzo młody, to suma powyższa musi wydać się rzeczywiście olbrzymią, zwłaszcza, że ten kapitał niezmiernie jest żywy, gdyż przynosi olbrzymie zyski (firma Schuckert płaciła w roku ubiegłym 8% dywidendy), a nadto posiada przed sobą

przyszłość bardzo obiecującą: obstalunki w roku zeszłym były tak liczne, że fabryki nie zdołały im sprostać, mimo rozszerzenia pracowni i dodatkowych godzin roboczych. Wartość sprzedanych w roku minionym artykułów elektrotechnicznych ocenia M. Wiener na jeden miliard. Odpowiednio wzrasta też liczba personalu fabryk tego przemysłu, co najlepiej widać na dwu najwybitniejszych firmach niemieckich: A. E. G. (*Allgemeine Elektrische Gesellschaft*) powiększa liczbę funkcyonaryuszów w jednym roku z 60.818 na 70.162 a Siemens i Halske i Schuckertwerke z 66.000 na 77.000.

Produkty tych fabryk częścią idą za granicę, rozchodząc się po całym świecie, a częścią pozostają w kraju na zasilanie centrali elektrycznych, mnożących się niesłychanie w miarę, jak rozszerza się zakres zastosowania elektryczności w życiu codziennem. A zakres ten objął już wszystkie prawie gałęzie tak przemysłu, jak i codziennego życia. Oto najważniejsze: elektryczne oświetlanie, elektryczne ogrzewanie i gotowanie, poruszanie prądem elektrycznym motorków małego przemysłu, rosnące coraz zapotrzebowanie prądu do rolnictwa, motory elektryczne przemysłu wielkiego, przemiana wielu kolei parowych na koleje elektryczne, tramwaje elektryczne, obsługiwanie elektrycznością kopalń, wreszcie olbrzymie fabryki elektrochemiczne, z których najważniejsze są fabryki związków azotowych, potrzebnych zwłaszcza dla rolnictwa jako nawóz, dalej fabryki materyałów wybuchowych, wreszcie fabryki stali, której w Niemczech tą drogą w jednym tylko roku 1911 wyrobiono 67 tysięcy ton. Ciekawe są przykłady liczbowe tego zastosowania elektryczności.

Dwadzieścia pięć lat temu było w Niemczech pięć centrali, dostarczających światła elektrycznego — obecnie jest ich trzy tysiące, a zaopatrują w światło obszar ziemi, na którym mieszka 44 miliony ludzi.

Znakomite rezultaty finansowe i administracyjne, jakie dały pierwsze próby obsługiwania kolei niezbyt długich zapomocą maszyn elektrycznych a usunięcia zupełnie pary, zachęciły do dalszego w tym kierunku rozwoju. Tak n. p. w r. 1909 postanowił rząd pruski przeelektryzować kolej żelazną Magdeburg-Halla-Lipsk, wynoszącą 154 kilometrów długości i nadto Lauban-Königszelt na Śląsku na 129 kilometrów i 145 kilometrów w Karkonoszach. Częściowo już wszczęto ruch na nowej linii, w r. 1914 kolej elektryczna Magdeburg-Lipsk ma być całkiem otwartą. Wreszcie świeżo rząd pruski przedłożył sejmowi ustawę, która kosztem 123 milionów marek ma przekształcić

kolej podmiejską berlińską na kolej elektryczną. Jestto przedsięwzięcie olbrzymie, bo chodzi tam o linię długą na 550 kilometrów, z czego 400 kilometrów stanowi tor podwójny.

Pomijając inne zastosowania elektrycznego prądu, zwrócimy jeszcze uwagę na dwa punkty, dla naszych stosunków mogące mieć szczególne znaczenie. Chodzi tu mianowicie o zastosowanie elektryczności do drobnego przemysłu i do rolnictwa. Przy pomocy elektryczności jedna robotnica potrafi w Saksonii uszyć dziennie 40 par rękawiczek. Koszta wyrobienia 100 kilogr. ciasta w piekarni spadły z 90 fenigów, przy wyrabianiu ręcznym, na 6 fenigów, gdy używa się do tego elektrycznego motoru. Gdy bowiem jeden robotnik obrabiał dawniej w godzinie 60 kilo mąki na ciasto, to teraz maszyna elektryczna w tym samym czasie obrabia 600 kilo. Pracę siekania mięsa w masarni, kosztującą dawniej ręcznie 80 fenigów, dziś wykonuje maszyna elektryczna za 4 fenigi. W ten sposób średni masarz lub piekarz zaoszczędza rocznie około 200 marek na samej płacy robotnika.

Podobnie dzieje się w rolnictwie, gdzie brak robotnika zmusza nawet drobnego rolnika zwracać się o pomoc do elektryczności. Obliczono naprzykład, że w gospodarstwie małem, mającem trzy krowy, jeden człowiek musi przez sześć godzin siekać paszę, tymczasem pracę tę wykona dwukonny motor elektryczny za 25 fenigów, w ciągu trzech kwadransy. Wymłócenie 100 snopów zboża przy pomocy elektryczności kosztuje markę 20 fenigów, czyli 1 K. 40 h. Naturalnie w okolicach fabrycznych zwłaszcza, gdzie centrali poddostatkiem, a robotnik drogi, posługiwanie się elektrycznością ma nieraz pierwszorzędne znaczenie. A i u nas także w niejednej miejscowości sowicieby się wypłaciło.

Prócz własnego rynku mają jeszcze fabryki niemieckie, wyrabiające artykuły elektrotechniczne, olbrzymi eksport, który w r. 1912 dosięga wspaniałej cyfry 233 milionów marek. Pochodzi on przedewszystkiem stąd, że przemysł elektryczny niemiecki zagarnął pod swe panowanie całą Rosyę, z wyjątkiem tramwajów, które są w rękach belgijskich. Najważniejsze takie ogniska, pozostające tam w rękach kapitalistów niemieckich, są w Petersburgu (długość kabli 729 kilometrów, wydajność maszyn 120 tysięcy koni, kapitał zakładowy 40 milionów marek), w Baku (kapitał zakładowy przeszło 4 miliony), Kijowie (6 milionów), Warszawie (półczwarta miliona). Prócz Rosyi, Niemcy roztoczyli swe działanie na Amerykę i w tym celu utworzono piętnaście lat temu *Deutsche Überseeische Elektrizitäts A. G.*, którego kapitał zakładowy w r. 1912 wynosił 120 milionów. O działalności

tego towarzystwa dać może niejakie wyobrażenie fakt, że w jednem tylko jego centrum, w Buoenos-Ayres, gdzie znajduje się centrala do oświetlania, rozporządzająca kablami długości 3.068 kilometrów, dochody brutto w r. 1911 wyniosły przeszło 20 milionów trzysta tysięcy marek.

Oczywiście Austrya cała a z nią Galicya, także jest naturalnem polem zbytu towarów elektrycznych niemieckich, czyto wprost, czy za pośrednictwem mniejszych firm. A zbyt to wcale niemały. Nie mamy pod tym względem dat statystycznych, ale słyszałem niedawno z ust bardzo fachowych, że wobec mnożących się centrali i zakładów elektrycznych w kraju, mogłaby się u nas utrzymać niejedna fabryka wyrobów elektrotechnicznych, oczywiście w założeniu, żeby wszyscy konsumenci galicyjscy w niej kupowali — co jednak u nas jest niemożebne, jak uczy doświadczenie w innych dziedzinach przemysłu.

Pytanie, jak długo istnieje nasza ziemia, narzucało się zawsze, a odpowiedź na nie wypadała różnie, stosownie do panujących poglądów kosmogonicznych. W wieku ostatnim, w którym nauki przyrodnicze doszły do niebywałego rozwoju, roztwierając przed nami takie tajniki przyrody, jakich dawniej nawet nie przeczuwano, także i problem wieku ziemi był ustawicznie i jest dotychczas przedmiotem usilnych dociekań. Przypuszczano doń szturm ze stron wielu, energicznie, a tem niecierpliwiej, że biologowie domagali się dla ziemi wieku bardzo podeszłego, by mieć gdzie rozmieścić ewolucyę kolejną istot żyjących, od najprostszej formy, to jest komórki, aż do ostatniego szczebla, do zwierząt ssących. „Dzieje życia na ziemi", woła sławny geolog angielski Sir Archibald Geikie, „chociaż prawdopodobnie na zawsze pozostaną otoczone wielkiemi, a nawet nieprzezwyciężonemi trudnościami, stają się w głównych zarysach zrozumiałemi w swym ogólnym postępie, gdy przyzna się czas dostateczny na ewolucyę, o której one mówią; lecz pozostaną niezrozumiałe pod każdym innym warunkiem".[1]

A tymczasem Lord Kelvin, opierając się na hypotezach fizycznych, odnoszących się do stygnięcia ziemi, pozwalał tylko na 100 milionów lat, jako na najwyższą granicę, która mogła upłynąć od chwili, gdy ziemia skrzepła, aż do czasów obecnych. Lord Kelvin, który wo-

[1] The Encyclopaedia Britannica, t. XI, str. 653.

góle nie cieszył się popularnością u niektórych biologów, a stracił ją do reszty w owej sławnej dyspucie o pochodzeniu życia, gdy wyraził przekonanie, że pierwszy zaczątek życia na ziemi nie mógł powstać wyłącznie przez działanie sił fizycznych i chemicznych, lecz tylko aktem twórczym Boga, wywodami i teoryami swemi o wieku ziemi nie mało ewolucyonistów zaniepokoił. Sto milionów lat wydawało się im bowiem za krótkim okresem, by w ciągu niego życie w swym rozwoju przebyć i rozwinąć zdołało wszystkie te nieprzeliczone formy bytowania, na które obecnie patrzymy i których ślady znajdujemy w geologicznych pokładach.

Niewiele korzystniej jednak wypadły obliczania geologów, którzy wiek ziemi starali się ocenić z ilości soli kuchennej, znajdującej się w oceanach. W wodzie morskiej jest średnio 3·5% soli, z czego $^3/_4$ chlorku sodu, czyli soli kuchennej. Można więc z dosyć znaczną dokładnością ocenić całkowitą ilość soli w wodach mórz świata. Również zbadać można średnią ilość soli w jednej tonie wody rzecznej, a stąd i całkowitą ilość soli, jaką rzeki wszystkie znoszą rocznie z lądów do mórz. Zakładając, że ilość niesionych w ten sposób soli była zawsze stałą — jestto, jak widzimy, założenie bardzo śmiałe — a nadto, że cała ilość soli w oceanach jest naniesiona przez rzeki, otrzymał Joly 95 milionów lat jako czas potrzebny na nagromadzenie istniejącej obecnie soli w morzach, a Romer 160 milionów lat. Zważywszy, że początek tego kresu zaczyna się później, niż u Kelvina, bo nie od chwili skrzepnienia ziemi, lecz od utworzenia się oceanów i rzek, ziemia według tych hypotez geologów jest znacznie starszą, niż przypuszczali fizycy, lecz zawsze dla wymagań biologów za młodą.

Ostatnie jednak lata przyniosły żądaną pomoc, i to ze strony nauk fizycznych, mianowicie z najnowszego ich działu, nauki zwanej promieniotwórczością. Jak wiadomo, nauka ta udowodniła, że ciała promieniotwórcze rozkładają się, wydając ze siebie promienie alfa, złożone z cząstek naładowanych dodatnią elektrycznością. Gdy cząstka taka odda swój ładunek, staje się atomem zwykłego helu. Stąd też w skałach w przyrodzie, w których według badań Strutta i innych, ciała promieniotwórcze są bardzo rozpowszechnione, znajduje się zawsze prawie hel, a im starsza skała, tem więcej zwyczajnie jest helu, w stosunku do znachodzących się w niej substancyi promieniotwórczych.

Z tego rodzaju rozważań Strutt stara się wyprowadzić prawdo-

podobny wiek warstw geologicznych i dochodzi do cyfr znacznie większych aniżeli geologowie i Kelvin. Według niego bowiem, już warstwa węglowa ma 150 milionów lat, zaś archaiczna, czyli najdawniejsza, 710 milionów lat. Oczywiście cyfry te oparte są na przesłankach niezmiernie kruchych, na niesłychanie nieraz śmiałych założeniach, ale są o tyle ciekawe, że wskazują, iż oceniania dawniejsze wieku ziemi uważać należy raczej za zbyt małe, niż za wysokie. Zdaniem prof. Rudzkiego, który w tej kwestyi jest powagą pierwszorzędną, „fazy dziejów ziemi obejmują dziesiątki i setki milionów lat".[1]

W ostatnich tygodniach prawie, bo w kwietniu b. r., wydają J. Joly i E. Rutherford, obaj znakomici i znani uczeni badacze, rozprawę niezmiernie ciekawą,[2] która na wiek ziemi rzuca znowu bardzo obfity snop światła. Za punkt wyjścia służy tu fakt, znany od dawna, lecz dopiero obecnie wytłómaczony, że niektóre zabarwione kruszce, a zwłaszcza pewne łyszczki, rozpatrywane pod mikroskopem, wykazują plamki ciemniejsze w kształcie krążka, w pośrodku którego tkwi mikroskopicznych rozmiarów kryształ, najczęściej cyrkonowy. Strutt poprzednio już wykazał, że cyrkony są ciałami promieniotwórczemi, zawierają bowiem uran, owego protoplastę całej familii substancyi promieniotwórczych, do której należy znany jon, rad i polon. Otóż ciała promieniotwórcze, zawarte w cyrkonach, rozkładając się, wydają ze siebie promienie alfa, które, jak wiadomo, mają własność barwienia np. szkła.

Cząstki alfa są, jak wspomnieliśmy, atomami helu, obdarzonymi podwójnym elementarnym ładunkiem elektryczności i poruszającym się z bardzo wielką, bo około 30 tysięcy kilometrów na sekundę wynoszącą, prędkością. Mimo to jednak, że rozmiary tych atomów są niesłychanie drobne, umiemy już dokładnie liczyć liczbę takich cząstek, z danej substancyi wychodzących. Na tem oparli Joly i Rutherford swą niesłychanie ciekawą metodę oznaczania wieku miki czyli łyszczku, w której te obłoczki barwne się znachodzą.

Płytkę miki poddawano działaniu emanacyi radowej, która, jak wiadomo, jest gazem, powstającym z radu i wydającym ze siebie bardzo energiczne promienie alfa. Pod wpływem tych promieni zjawiły się w mice plamki barwne, których w ten sposób wywołano trzy, każdą o innem natężeniu barwnem, obliczając przytem dokładnie, ile cząstek alfa musiało działać na centymetr kwadratowy miki,

[1] Scientia 1913 str. 173.
[2] The Age of Pleochroic Haloes. — Philosophical Magazine April 1913.

by plamkę o danem natężeniu wywołać. Z temi plamkami, sztucznie wywołanemi, porównywano następnie owe plamki, znachodzące się w mice branej z przyrody i w ten sposób oceniano, ile cząstek alfa musiało działać, by taki obłoczek w mice wywołać. Że zaś znana nam jest dokładnie liczba cząstek alfa, która wychodzi na sekundę z gramu uranu, więc wystarczy poznać ilość uranu, zawartego w kryształku cyrkonu, tworzącym jądro barwnego obłoczku, by obliczyć, ile lat potrzeba było na wywołanie w mice takiej barwnej plamki. Tę ilość uranu próbowano obliczyć bezpośrednio, lecz to się nie udało. Zadowolnić więc się trzeba bardzo zresztą przybliżonem ocenieniem, wziętem z analogii wielkich kryształów cyrkonu. W tych kryształach znajduje się uranu co najwyżej 10%, a więc przyjmując, że tyleż go jest w kryształach mikroskopicznych, o których tu mowa, będziemy mieli granicę dolną ilości lat, to znaczy liczyć będziemy raczej za mało.

Z pomiędzy trzydziestu, bardzo dokładnie zbadanych w ten sposób obłoczków, najmłodsze mają około 20 milionów lat, a wogóle szesnaście było takich, które nie dosięgają stu milionów lat, ośm między 100 a 200 milionów lat, dwa od 200 do 300, jeden 390 milionów lat, a wreszcie jeden 400 milionów lat. Są to więc wielkości tego samego rzędu, choć nieco wyższe, niż te, do których doszli badacze wieku ziemi z ilości helu i ołowiu w skałach.

Autorowie tych doświadczeń i badań, znane pierwszorzędne powagi w świecie naukowym, zdają sobie dokładnie sprawę ze słabych punktów i hypotetycznych założeń całego tego rozumowania. Czytając jednak uważnie ich rozprawę, nabiera się przekonania, że metoda przez nich użyta do oznaczenia wieku ziemi ma mniej miejsc wątpliwych i jest ściślejszą, niż którakolwiek inna, dotychczas znana, nie wyłączając metody geologicznej i metody Strutta, usiłującej oznaczyć wiek warstw geologicznych z zawartych w nich substancyi promieniotwórczych.

W każdym razie, nauki przyrodnicze pokazują coraz jaśniej, że ta wiecznie młoda nasza matka-ziemia ma już za sobą przeszłość wcale poważną. *Ks. F. Hortyński.*

O zachowanie śródmieścia Krakowa.

I. Masowa przebudowa domów. Rozrost miasta. Restauracya „Szarej kamienicy".

Rynek krakowski ulega obecnie dużym zmianom. Dwa przeciwległe narożniki przy ulicy Szewskiej i Siennej nowo się budują, trzeci

ma być również przebudowany, czy nawet całkiem zburzony — „Krzysztofory", a Pałac Spiski przerabia się także. Jeżeli do tego dodamy nowy dom Czynciela i projektowane zburzenie w przyszłym roku narożnika ulicy św. Jana — otrzymamy istotnie sumę faktów, świadczącą o nieledwie nagłem i masowem przebudowywaniu rynku krakowskiego. Te same objawy możemy napotkać w całem śródmieściu tak, że dziś niema rzeczywiście ulicy w obrębie plantacyi, na której by nie było jednego lub więcej domów, wzniesionych w miejsce starych, lub starych zupełnie, wprost nie do poznania, przebudowanych. Warto istotnie tej sprawie poświęcić parę chwil uwagi.

Ostatnich pięć lat jest okresem widocznego rozrostu miasta pod każdym względem, a zwłaszcza przemysłowym i handlowym. Widzimy na cichych spokojnych ulicach śródmieścia szeregi sklepów, których tam nigdy przedtem nie było n. p. w ulicy Jagiellońskiej, św. Jana, Brackiej, Gołębiej, św. Krzyża, św. Tomasza i wielu innych. Dalej w ulicach głównych coraz bardziej zmniejsza się liczba mieszkań prywatnych, a wzrasta ilość różnych biur, kancelaryi, banków i t. d. Nie zadawalają się one już pierwszem piętrem, ale wchodzą wyżej na drugie, dalej do oficyn, zajmując sobą wszystkie wolne ubikacye. W parze z tem idzie także niepomierny wzrost liczby szyldów i wszelkiego rodzaju tablic ogłoszeniowych. Ta mania wielkich szyldów przybiera dziś zastraszające wprost rozmiary. W niektórych ulicach głównych, podobnie jak w rynku przechodzi prawie w orgie szyldowe, jak n. p. na Dominikańskim placu jeden ze składów meblowych pokrył dosłownie cały dom trzypiętrowy wstrętnymi szyldami. Podobnych przykładów mógłbym jeszcze dużo naliczyć. Nielepiej przedstawiają się wejścia do domów, oblepione poprostu szeregiem najprzeróżniejszych reklamowych tablic różnych biur, kancelaryi i warsztatów. Dodajmy do tego jeszcze liczne szafki wystawowe, wieszane na wrotach bramy lub sieni, a otrzymamy obraz widocznego rozrostu miasta. Zwolna zatem śródmieście przekształca się w centrum ruchu handlowego, wypierając zeń życie prywatne, życie rodziny.

Ten wzrost ruchu handlowego w śródmieściu pociąga za sobą ustawiczne przemiany, przeróbki, przebudowy starych domów, a wreszcie ich burzenie i wznoszenie na to miejsce nowych. Celem tej całej akcyi jest jak najlepsze wyzyskanie miejsca. Ale tem wszystkiem kieruje po największej części nie rozwaga, ale bezmyślność, podniecana gorączkową spekulacyą. Tymczasem postępując z rozwagą i namysłem, wprowadzając nowoczesne urządzenia, można stary dom rów-

nież dobrze wyzyskać, nie naruszając zupełnie jego wartości historycznej i zabytkowej. Świetnym tego właśnie dowodem jest restauracya „Szarej kamienicy", dokonana świeżo przez architektów Wyczyńskiego i Wojtyczkę. Właściciel jej pan Szarski złożył tem samem dowód wielkiego pietyzmu i poszanowania dla tak szacownego klejnotu, na jaki zasługuje ten zabytek. Jest to jedna z tych zasług wobec miasta, które winny się w długie dziesiątki lat zachować w pamięci następnych pokoleń.

Restauracya „Szarej kamienicy", obok dużego znaczenia ideowego, może a nawet powinna być szkołą racyonalnej renowacyi starego domu dla wszystkich następnych przeróbek w śródmieściu. Właściciel i architekci, prowadzący fabrykę, postawili sobie dwa główne zadania, jako linie wytyczne, przystosowanie domu do dzisiejszych potrzeb i zachowanie jego charakteru zabytkowego. Musieli zatem wybrnąć z zadania trudnego: pogodzić cele praktyczne z zabytkowo-estetycznymi. Kto znał „Szarą kamienicę" przed restauracyą, a zobaczy ją obecnie, zdziwi się niemało jej przemianą. Z przysłowiowej rudery krakowskiej stała się obecnie nowoczesnym, wykwintnym domem dochodowym. Na zewnątrz tak od rynku, jak od ulicy Siennej zachowała swój dawny wygląd: poważną, pełną majestatu fasadę, zamkniętą od góry okazałą attyką. Splendor tego domu podnoszą teraz potężne oprawy okien z kamienia, zakryte poprzednio tynkiem, a dalej szereg różnych szczegółów tu i ówdzie odsłoniętych. Niemało powagi i dostojności dodaje temu zabytkowi wspaniały, olbrzymi portal kamienny, oczyszczony i ozdobiony nową stylową bramą. Można przytem zauważyć, że dawna brama lepiej harmonizowała z portalem, niż nowa, która robi wrażenie — w stosunku do ciężkiego, poważnego kamienia — trochę za lekkiej, może za filigranowej.

Przez ogromną wyniosłą sień, nakrytą wielkim stropem belkowym, dostajemy się na dziedziniec domu. Tu na pierwszy rzut oka uderza nas zaszła zmiana. Polega ona na zastąpieniu dawnych drewnianych ganków nowymi, o lekkiej, zgrabnej balustradzie z żelaza i na uporządkowaniu całego podwórza. Sprawia ono obecnie miły, pociągający widok. Dokoła dużego dziedzińca rozłożyło się kilkadziesiąt większych i mniejszych lokalności i mieszkań. Właściwie te wszystkie ubikacye były dawniej, ale obecnie po zaprowadzeniu nowoczesnych urządzeń i po ulepszeniu do nich przystępu przedstawiła się dopiero praktyczność i rentowność domu. A przytem każde z tych mieszkań czy lokali biurowych nosi na sobie jakiś dokument swego dawnego

pochodzenia, bądźto w formie pysznego stropu belkowego, bądź portalu kamiennego albo starodawnych opraw okiennych. Bo właściciel i architekci czuwali nad tem, by dom nic ze swych wiekowych splendorów nie uronił. Nową cząstką domu jest wspaniała klatka schodowa, przestrona, widna i taka pańska, że mimowoli wzbudza uszanowanie.

Ta restauracya powinna być szkołą, jak należy odnawiać stare domy w Krakowie. W każdym nawet szczególe widzimy tu celowość i praktyczność. A kto myślą sięga w przyszłość, nie zawaha się ponieść większej ofiary na taką racyonalną renowacyę, rzucając silny fundament dla swego domu. Dawni patrycyusze Krakowa po dokonanem gruntownem odnowieniu domu, spełniając szlachetnie ten dług wobec rodzinnego miasta, zwykli byli kłaść dumny napis nad bramą domu: *Patriae et Posteritati*. Taki napis może słusznie położyć obecny właściciel „Szarej kamienicy". *Dr. Fr. Klein.*

Druk ukończono 5 lipca 1913 roku.

Małż[illegible]ę. Powieść przez Macieja Wierzbińskiego. Nakład Geb[illegible] Sp. Druk Wł. L. Anczyca i Sp. Kraków 1913. str. 248.

Anioły [illegible] Powieść przez Henryka Zbierzchowskiego. Nakład Gebethnera [illegible] Druk Wł. L. Anczyca i Sp. Kraków 1913, str. 280.

Gesty. [illegible]ść współczesna. Napisał Jan Huskowski. Nakładem Gebethnera [illegible]olffa. Druk W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie 1913, str. 215

Bibliografia Krakowa za rok 1912. Napisał Dr. Kazimierz Kaczmarczyk. Nakładem Miłośników historyi i zabytków m. Krakowa. Odbito w drukarni Czasu 1913, str. 29.

Pragmatyzm dzisiejszy. Napisał Dr. Wacław J. Grzybowski. Wyda[illegible]ctwo Przeglądu filozoficznego. Druk „Czasu" w Krakowie. Warsza[illegible] 1913, str. 158.

Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział filozoficzny. Serya III. Tom IV. Ogólnego zbioru tom pięćdziesiąty pierwszy. Zawiera: Jana Łosia, Pamiętniki Janczara: Dr. J. W. Reissa: Melodye psalmowe Mikołaja Gomółki 1580; Antoniego Śmieszka: Przyczynki do objaśnienia napisów staroperskich; I. Reinholda: Dyalekt frankowłoskich poematów rękopisu weneckiego; Joannes Demiańczuk, Supplementum comicum. Nakład Akademii Umiejętności. Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kraków 1913, str. 362.

Biskupstwo Wileńskie od jego założenia aż do dni obecnych, zawierające dzieje i prace biskupów i duchowieństwa dyecezyi wileńskiej, oraz wykaz kościołów, klasztorów, szkół i zakładów dobroczynnych i społecznych. Opracował ks. Jan Kurczewski. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Wilno 1912, str. 614.

Na święty bój. Dramat. Napisał Konrad Radost. Nakładem księgarni A. I. Seidena w Tarnowie. Druk Eug. i Dra K. Koziańskich w Krakowie. 1913 str. 87.

Nauki niedzielne dla dzieci. Napisał ks. Józef Sosin. Nakładem autora. Druk. „Głosu Narodu". Kraków 1913, str. 229.

Juliusz Słowacki, Franciszek Gaudy i Antoni Zakelj. (Rodoljub Ledinski). Przyczynek do historyi motywów literackich skreślił Wiktor Hahn. Nakładem autora, z drukarni Polskiej. Lwów 1913, str. 9.

Monumenta Poloniae Vaticana Tomus I. et II. continent *Acta Camerae Apostolicae* edidit Dr. Joannes Ptaśnik. Volumen I 1207—1344. Volumen II 1344—1374. Sumptibus Academiae litterarum Cracoviensis. E typographia Universitatis Jagellonicae. Cracoviae 1913 p.p. V. I. LVIII+502. V. II: XXVIII+585.

Archiwum komisyi historycznej. Tom XI. Editionum Collegii historici Academiae lit. Crac. Nr. 70. Nakładem Akademii Umiejętności. Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kraków 1909—1913, str. 526.

Św. Józef w życiu Chrystusa i w życiu Kościoła. Napisał X. Maurycy Meshler T. J. tłumaczył X K. R. Nakładem i czcionkami drukarni i księgarni św. Wojciecha. Poznań 1913, str. 141.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

O katolickie podstawy narodowej demokracyi przez ks. Dra Hozakowskiego. Nakładem autora. Czcionkami drukarni św. Wojciecha. Poznań 1913, str. 144.

Pasterz według Serca Jezusowego czyli ascetyka pasterska, napisał Dr. Józef Sebastyan Pelczar, Biskup przemyski o. ł. Nakładem księgarni Zienkowicza i Chęcińskiego. Drukiem J. Chęcińskiego. Lwów 1913 str. 432.

„Zmacniajcie się w Panu". Przemówienia okolicznościowe przez ks. Włodzimierza Jasińskiego. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Druk Piotra Laskauera. Warszawa 1913 str. 196.

Kancelarya parafialna czyli zbiór przepisów kościelnych i państwowych dla urzędów parafialnych z szczególniejszem uwzględnieniem ksiąg metrykalnych przez ks. Dra Alojzego Jougana. Część IV i V. Nakładem autora. Odbito w drukarni „Polonia". Lwów 1912 str. 165—1092.

Podręcznik statystyki Galicyi wydany przez krajowe biuro statystyczne pod redakcyą Dr. Tadeusza Pilata. Tom IX część I-sza. Z pierwszej Związkowej drukarni we Lwowie 1913, str. 160.

Wydawnictwa księgarni nakładowej Feliksa Westa w Brodach. 1848—1913. Katalog wydawnictw księgarni nakładowej Feliksa Westa w Brodach wydany w 50 rocznicę pracy zawodowej Feliksa Westa 1863—1913. Nakładem i czcionkami F. Westa. Brody 1913 str. 80.

Sprawozdanie Towarzystwa Dziennikarzy Polskich we Lwowie za czas od 9 kwietnia 1912 do 27 kwietnia 1913 przedłożone Walnemu Zgromadzeniu członków w dniu 27 kwietnia 1913 r. Rok XX. Nakładem Towarzystwa Dziennikarzy Polskich. Z I Związkowej drukarni. Lwów 1913, str. 53.

Sprawozdanie głównego polskiego Związku uczniów rękodzielniczych i polskiego Związku katolickich czeladników w Krakowie z czynności za rok 1912. Nakładem Związku. Czcionkami „Czasu" Kraków 1913 str. 196.

Pająki, powieść z życia warszawskiego. Napisał Klemens Junosza. Nakładem Biesiady literackiej. Druk Synów St. Niemiry. Warszawa 1913 str. 187.

Wpływ Eucharystyi na polską młodzież rękodzielniczą i robotniczą. Napisał ks. Mieczysław Kuznowicz T. J. Nakładem autora. Czcionkami „Czasu". Kraków 1913, str. 32.

Dzieje dawniejsze miasta Ostroga przez Stanisława Kardasiewicza. Materyały do historyi Wołynia z przedmową Aleksandra Jabłonowskiego oraz życiorysem autora przez Henryka Mościckiego. Nakładem Gebethnera i Sp. Druk Wł. L. Anczyca i Sp. Kraków 1913, str. 291.

Stare Iwy. Powieść przez Kazimierza Glińskiego. Nakład Gebethnera i Sp. Druk Wł. L. Anczyca i Sp. Kraków 1913 str. 307.

Polska Szkoła Nauk Politycznych w Krakowie.

Bardzo pospolitem jest narzekanie, że powszechnie przyjęty system wychowania i wykształcenia nie zaspokaja potrzeb naszych w dziedzinie nauk politycznych i ekonomicznych. Wskazuje się często na to, że postępująca demokratyzacya społeczeństw nakłada na wszystkich konieczność coraz wyższego wykształcenia obywatelskiego, którego nie jest w stanie dać szkoła średnia. Stąd projekty reformy, projekty, zmierzające do uzupełnienia programu wykształcenia średniego jeszcze o jeden przedmiot. Ale nie w tem tkwi brak główny. Jeśli przeciętnemu obywatelowi niedostaje nieraz niezbędnych wiadomości, przy pomocy których może on naprawdę korzystać ze swoich praw politycznych, to naogół stosunkowo jeszcze mniej ma przygotowania człowiek, który ma bezpośrednio do czynienia z życiem politycznem, organizacyą społeczną i gospodarczą narodu. Wykształcenie polityczne i ekonomiczne szwankuje nietylko u podstaw, lecz również i na szczytach. Powszechnie narzeka się na brak talentów między naszymi reprezentantami parlamentarnymi. Ale obok braku talentów występuje i brak znajomości stosunków, brak odpowiedniego przygotowania, bez którego nie jest możliwa twórcza działalność polityczna. Nasze położenie pod wszystkimi trzema zaborami jest niezwykle trudne i skomplikowane, i do racyonalnego prowadzenia polityki nie wystarczą najlepsze zamysły i najszlachetniejszy zapał, trzeba rozporządzać tą sumą wykształcenia, tą znajomością warunków, którą mogą wysunąć nasi przeciwnicy.

Potrzebnemi więc są instytucye, które mogą dać tego rodzaju wykształcenie. Ale chodzi tu nietylko o polityków zawodowych, o ludzi, którzy działają na terenie parlamentarnym. Zwróćmy uwagę na dziennikarstwo: trudno znaleźć przykład innej, tak ważnej funkcyi społecznej, a spełnianej przez ludzi, którymby w tym stopniu brakowało potrzebnych kwalifikacyi. Mamy dalej pod panowaniem austryackiem szereg samorządnych instytucyi, które zapewne wkrótce, choć w części, wejdą w życie w zaborze rosyjskim. Wymagają one wielu ludzi, wielu sił miejscowych, które winny okazać prócz dobrych chęci i przygotowanie w zakresie prawnym i gospodarczym. Rozwija się dalej i potężnieje ruch kooperatywny. Zachodzi obawa, że dyletantyzm rozwielmożni się między jego pracownikami, a kierownicy mogą nie dorość do trudnych zadań, które na nich czekają. Mamy szereg instytucyi bankowych, towarzystw ubezpieczeń, których urzędnikom nie zawsze wystarczyć może praktyka buchalteryjna, przeciwnie, warunkiem powodzenia jest nieraz szerszy pogląd polityczny i gospodarczy. A wreszcie urzędnicy administracyjni władz państwowych i krajowych, ci również wtedy tylko wzniosą się nad szablon przeciętny, jeśli zdobędą wykształcenie, pozwalające im zrozumieć życie społeczne własnego społeczeństwa, a tego zrozumienia nie dadzą im ogólne studya, obliczone na potrzeby całego państwa.

Słowem, potrzebne są instytucye, któreby dawały wykształcenie polityczne w szerokiem tego wyrazu znaczeniu, to znaczy wykształcenie w zakresie prawno-politycznym, prawno-administracyjnym, historycznym i ekonomicznym, pozwalające zrozumieć specyalne warunki, w których żyje nasze społeczeństwo. Zastanówmy się, o ile ta potrzeba była dotychczas zaspokojona. Wchodzą tu w rachubę dwa czynniki: wykształcenie zdobywane zagranicą i wykształcenie zdobywane w kraju.

Wyjazd za granicę dla studyów naukowych jest w naszych warunkach, gdy największa dzielnica Polski nie ma ani polskiego uniwersytetu ani innych wyższych zakładów, zjawiskiem normalnem i koniecznem. Przed młodzieżą, kończącą szkoły średnie w Królestwie Polskiem i krajach zabranych,

otwierają się dwie drogi: albo udać się za granicę, albo do Galicyi. Prawdopodobnie większość z pośród niej, a w każdym razie część bardzo poważna, idzie drogą pierwszą. Zagranica ma swój urok, który zawsze działa na młode umysły; przyciąga głośnemi nazwiskami, których kult łączy się z wyobrażeniem, że praca pod ich kierunkiem i pod względem pedagogicznym będzie najbardziej wydajną. I trudno znaleźć w Niemczech i Francyi nawet zapadły prowincyonalny uniwersytet, na którymby nie było garstki Polaków. I gdyby mierzyć wartość tych studyów zagranicznych ilością młodzieży polskiej, która się tam skupiła i różnorodnością uczęszczanych przez nią zakładów naukowych, w takim razie rezultat byłby bardzo pomyślny. Ale kto poznał bliżej te stosunki, kto zaznajomił się bliżej z jedną lub drugą kolonią naszej młodzieży, ten dojdzie do zupełnie innych wniosków.

Był kiedyś zwyczaj, że rzemieślnik, gdy skończył swoje *Lehrjahre*, udawał się na *Wanderjahre*, szedł od miasta do miasta, by dać dowód swoich zdolności i nauczyć się czegoś od innych. Bardzo znaczna część młodzieży polskiej idzie inną drogą: zaczyna od *Wanderjahre* i zwykle na nich kończy, a tylko nieznaczna ilość, po powrocie do kraju, przekonuje się, że trzeba się jeszcze wielu rzeczy uczyć i uzupełnić gruntownie swoje wykształcenie. Istotny błąd tkwi w niezrozumieniu tego faktu, że elementarne wykształcenie w zakresie studyów wyższych należy zdobywać w kraju. Ukończenie szkoły średniej, zwłaszcza przy wielu wadach, które przedstawia nasze szkolnictwo, nie daje należytego wyobrażenia o tem, czego się można nauczyć na uniwersytecie i jak się należy uczyć. I w pierwszych latach tych studyów bardzo częstą jest dezoryentacya, bardzo długiem jest szukanie drogi, nim się natrafi na właściwy kierunek. Otóż ta trudność jest bardzo wielką nawet w zakładzie naukowym krajowym, z którego organizacyą łatwo się zapoznać, gdzie łatwo zrozumieć różnicę między poszczególnymi działami nauki. A już czasami wprost niepokonalną jest ta trudność na uniwersytecie zagranicznym, przystosowanym do potrzeb innego społeczeństwa, obcym duchem żywiołom, które do niego

skądinąd napływają. Taki uniwersytet gotów jest zrobić pewne koncesye dla cudzoziemców; gotów jest wydawać specyalne, łatwe do uzyskania stopnie naukowe „na wywóz", zabezpieczyć niektóre, bardziej interesujące przybyszów wykłady, ale wartość tych koncesyi jest iluzoryczna, zasadniczego charakteru instytucyi, ustalonego już od wieków i związanego jak najściślej z życiem dotyczącego narodu one nie zdołają zmienić.

Lata, przeznaczone na studya uniwersyteckie, mają dla całego życia znaczenie zasadnicze. I źle jest, gdy te lata płyną zdala od kraju. Bardzo często taka jednostka, o ile ma zdolność przystosowania się do środowiska, wśród którego żyje, wynaradawia się duchowo. Nie znaczy to, by pod względem uczuciowym przestała ona czuć patryotycznie; bardzo często nawet przeciwnie, pobyt za granicą zaostrza wrażliwość na sprawy narodowe. Ale wytwarza się z niej typ, obcy charakterowi społeczeństwa, wśród którego jej wypadnie spędzić resztę życia. Taka jednostka potem własnego społeczeństwa nie rozumie i musi wiele trudu poświęcić, jednych rzeczy się pozbyć, a innych nabyć, by z niem zróść się na nowo.

W innych wypadkach znów pobyt za granicą uczy wielkiego sceptycyzmu co do własnego społeczeństwa, pospieszne porównywanie daje powód do łatwej krytyki, a wyższa skala kultury obcej nieraz budzi skłonność do zbyt surowego sądzenia własnej. Jakże często można spotkać ludzi, którzy na ustach wciąż mają zdanie: „zagranicąby tego nie ścierpiano", „to nie są europejskie stosunki" i t. d. Niejednokrotnie wygłaszają te sądy ludzie, którzy nigdy zagranicy nie widzieli, ale wielu jest takich, którzy zakosztowali życia w wielkim Paryżu lub w innem „centrum cywilizacyi" i czują się skrzywdzonymi przez los, bo ten im kazał osiąść na naszym partykularzu.

Wydatna praca naukowa wymaga pewnej atmosfery, która nie może wytworzyć się zagranicą. Tam zawsze panuje atmosfera emigracyjna, tak dobrze znana w naszych dziejach. Młodzież uniwersytecka wtedy rozwija pomyślnie swoje studya, gdy może iść za przykładem wybitniejszych jednostek, gdy występuje pośród niej współzawodnictwo, które wyrabia życie

zbiorowe. Świadectwem jest życie młodzieży wileńskiej za czasów Mickiewicza i życie młodzieży w warszawskiej Szkole Głównej. Niekażde pokolenie młodzieży zapisze się tak chlubnie w dziejach, ale nigdy podobna atmosfera nie wytworzy się zagranicą, gdzie młodzież żyje bez łączności ze społeczeństwem, bez tej ciągłej podniety, której dostarcza rodzime otoczenie. Wykształcenia uniwersyteckiego nie można oceniać z punktu widzenia ściśle zawodowego, trzeba uwzględnić to, że winno ono wytworzyć pewien typ obywatela związanego z własnem społeczeństwem. Zagranicą czasami nawet łatwiej zdobyć wiedzę zawodową; ale ta zagranica nigdy nie da należytego wyobrażenia o życiu własnego narodu, przeciwnie, czasami nawet przecina węzły łączące z nim jednostkę.

A jeśli dla każdego młodego człowieka potrzebnem jest zżycie się z rodzimą kulturą w latach, gdy się kształtuje jego charakter, to tembardziej koniecznem to jest dla tego, kto zamierza zdobyć wykształcenie polityczno-ekonomiczne. Trudno znaleźć dział badań, mający w wyższym stopniu charakter narodowy. Nawet badania czysto teoretyczne nie mogą być zrozumiane bez związku z odrębną kulturą uprawiających je narodów; przecież w ekonomii teoretycznej wprost możemy mówić o szkołach narodowych, niemieckiej, angielskiej i t. d., a nasi dawniejsi ekonomiści chcieli stworzyć „polską szkołę gospodarstwa narodowego". Ale na omawiane wykształcenie składają się nietylko teoretyczne badania, gdyż jednym z głównych działów, jednym z najważniejszych i najtrudniejszych zarazem jest poznanie własnego społeczeństwa pod względem politycznym i ekonomicznym. Zagranicą w najlepszym razie można poznać społeczeństwo obce; można nauczyć się bardzo wiele, ale ta wiedza w zastosowaniu do naszych potrzeb jest bardzo często wiedzą martwą i bardzo rychło przechodzi w zapomnienie.

Należy to dobrze zrozumieć, że pod bardzo wielu względami stosunki nasze nie mogą być mierzone kryteryami, których dostarcza nauka zachodnio-europejska. U nas zjawiają się problemy, które nieraz dla tej nauki straciły większe znaczenie, jak n. p. problem emigracyjny. I naodwrót, wiele za-

gadnień, tam omawianych, tam bardzo aktualnych, dla naszych stosunków przedstawia doniosłość bardzo słabą. I bardzo często w imię najnowszych haseł nauki można zamknąć oczy na bardzo istotne nasze zagadnienia, tak jak n. p. w imię tych haseł w okresie pozytywizmu pewna część opinii publicznej w Królestwie Polskiem przestała się zajmować kwestyą włościańską i ludnością rzemieślniczą, bo jej zdaniem te klasy przez naukę zostały skazane na wymarcie. Jednym z głównych warunków wykształcenia politycznego i ekonomicznego jest zrozumienie stosunkowej ważności problemów, które wysunęło nasze życie; tego nie dadzą studya zagraniczne, gdyż na każdem miejscu, dla każdego narodu inaczej układa się hierarchia tych problemów.

Ponadto już choćby ze względów technicznych zdobycie wykształcenia w tym zakresie nie jest możliwe zagranicą. Poznanie naszych stosunków jest niezwykle trudne. Nie wystarczy wiedza, czerpana z gotowych opracowań, bo tych jest bardzo mało. Nie wystarczy studyum najobszerniejszych materyałów statystycznych, gdyż są one niezupełne, a w dodatku zazwyczaj nie uwydatniają odrębności naszych dzielnic, często świadomie zatracają tę odrębność w ramach zestawień ogólnych. Warunki życia politycznego na ziemiach polskich, stosowaną na nich administracyę, stosunki społeczne i gospodarcze, należy badać na miejscu, należy nimi zajmować się bezustannie przez cały czas, przeznaczony na wykształcenie w tych dziedzinach. Trudno tu przyjść choćby z gruntownem i szerokiem wykształceniem zagranicznem i uzupełniać je dopiero poznawaniem miejscowych warunków. Takie uzupełnianie wykształcenia miałoby charakter dorywczy, nigdy nie da istotnego zrozumienia całości zagadnień, z któremi zapoznać się trzeba. Należy stan rzeczy u nas śledzić stale, należy utrzymywać żywy kontakt z praktycznym biegiem wypadków. W naszych warunkach, przy braku odpowiednich publikacyi, przy braku sił, pracujących wyłącznie naukowo w omawianej dziedzinie, w tych warunkach niemal niezbędnem źródłem wykształcenia są ludzie, którzy fachowo działają w różnych działach pracy społecznej, którzy są w stanie

podzielić się swemi spostrzeżeniami przed szerszem gronem słuchaczy. Nie potrzeba dodawać, że takiego zetknięcia się młodzieży z wybitnymi praktykami naszymi nie zorganizuje żaden zakład naukowy zagranicą.

Uwagi powyższe oczywiście nie są skierowane przeciw wyjazdom za granicę wogóle, a tylko przeciw zdobywaniu całego wykształcenia politycznego w krajach obcych. Za granicę powinien jechać ten, kto już panuje nad wybraną przez siebie specyalnością, kto chce uzupełnić swoje studya w tym lub innym kierunku, lub też pracować wyłącznie nad taką gałęzią wiedzy, nad którą nie może pracować w kraju. Nie powinien jechać ten, kto nie wie jeszcze po co jedzie, bo takie szukanie drogi w obcych warunkach kończy się zazwyczaj błądzeniem. W szczególności zaś wykształcenie polityczne i ekonomiczne, w zakresie ogólnym, uzdalniającym do pracy wśród swoich, musi być zdobyte wśród swoich.

Jeśli więc zagranica nie odpowie określonym tutaj potrzebom, to może zaspokoją je istniejące zakłady naukowe na ziemiach polskich? Pocóż więc tworzyć nową instytucyę, czy nie lepiej dostosować istniejące do tych specyalnych wymagań? Nie może pod tym względem wchodzić w rachubę ani uniwersytet warszawski, ani kijowski, ani akademia w Poznaniu, bo są to, choć na naszej ziemi, zakłady zagraniczne, które mają wszystkie wady zachodnio-europejskich uniwersytetów, a nie mają ich zalet. Pozostaje Galicya z dwoma polskimi uniwersytetami. Na tych zaś uniwersytetach wchodzą w grę Wydziały Prawa i Administracyi.

Nie potrzeba wdawać się w obszerną krytykę organizacyi obecnej studyów prawniczych i ekonomicznych, by wykazać, że ona sama nie odpowie wszystkim potrzebom, które zostały zakreślone poprzednio. A to z dwóch powodów. Po pierwsze są to studya prawnicze, nauki zaś ekonomiczne i polityczne znajdują się na dalszym planie. Co prawda rośnie znaczenie tych ostatnich nauk, podniosły się wymagania, w porównaniu z latami ubiegłemi, które stawia się uczniom w tej dziedzinie. Ale to wszystko nie zmieni zasadniczego kierunku studyów,

odbywanych na wydziale prawa. Przewaga jest zawsze po stronie przedmiotów prawniczych, bo przecież w tym zakresie zapotrzebowanie jest największe. Jeśli ktoś zechce poświęcić się badaniom polityczno-ekonomicznym, musi na równi z innymi poświęcić większą część czasu studyom nad historyą prawa, nad prawem cywilnem i karnem, zarówno materyalnem jak i nad procedurami. Nauczanie ekonomii politycznej, prawa politycznego i pokrewnych przedmiotów jest obliczone na uczniów, posiadających już przygotowanie prawnicze i do ich potrzeb przystosowane. Nie można więc wybrać sobie z pośród przedmiotów, wykładanych na wydziale prawa, odpowiedniej grupy i poświęcić się jej wyłącznie, gdyż studya tutaj stanowią całość organiczną, której nie można dzielić na dowolne części. Zresztą te studya byłyby niezupełne, wiele dziedzin niezbędnych wprost dla tego, kto chce pracować w przyszłości w dziedzinie życia społecznego, pozostałoby *terra ignota*.

Ale jest jeszcze jeden moment, nawet ważniejszy, który uniemożliwia naszym uniwersytetom spełnienie omawianego zadania. Uniwersytet Jagielloński i Uniwersytet we Lwowie są polskimi zakładami ze względu na swoją genezę, swój skład obecny i kierunek wychowania; ale nie mogą one być tem w pełni ze względu na organizacyę studyów, która jest dostosowana do potrzeb całego państwa i na tle tych potrzeb wyrosła. Wydziały Prawa mogą do pewnych granic uwzględniać potrzeby Galicyi, mogą wymagać, by ogólna znajomość przedmiotu była opartą choć w części na znajomości miejscowych warunków. Ale już znacznie trudniej z innemi dzielnicami Polski, ani program wykształcenia, ani środki finansowe, którymi można rozporządzać, nie pozwalają na systematyczne prowadzenie wykładów, obrazujących stan polityczno-ekonomiczny Polski współczesnej. Do tego trzeba sił zamiejscowych, których ściągać na miejsce niełatwo przychodzi jednemu lub drugiemu uniwersytetowi; przedewszystkiem trzeba odrębnego programu studyów, bo dorywcze uzupełnianie programu, przyjętego na Wydziałach Prawa, na nic się nie zda.

Słowem, z tych uwag płynie konkluzya, że zadania, które

się nasuwają naszemu społeczeństwu w zakresie wykształcenia politycznego i ekonomicznego musi spełnić nowa, umyślnie do tego celu powołana instytucya. Ta instytucya jednym jeszcze szczegółem musi się różnić od uniwersytetu; może ona czerpać od niego poparcie, oprzeć się w bardzo poważnej części na jego siłach, ale musi to być instytucya od administracyi państwowej niezależna, a więc prywatna. Pomijając już ten fakt, że bardzoby długo przyszło czekać na utworzenie takiej instytucyi przez czynniki prawno-publiczne, trzeba uwzględnić, że spełnienie wszystkich zadań przez nią możliwe jest tylko przy zupełnej swobodzie ruchów, której nie posiada nigdy zakład naukowy, wpleciony w organizm państwowej administracyi.

Instytucya taka powstała przed dwoma laty z górą. Zawiązane w Krakowie Towarzystwo Polskiej Szkoły Nauk Politycznych, w skład zarządu którego wchodzi z jednej strony kilku profesorów Wydziału Prawa Uniw. Jagiell. w Krakowie, z drugiej strony paru posłów sejmowych i parlamentarnych, powołało przed dwoma laty do życia „Polską Szkołę Nauk Politycznych w Krakowie". Szkoła ta, obliczona na studya dwuletnie, właśnie teraz skończyła, pod dyrekcyą prof. dra M. Rostworowskiego,[1] drugi rok swego istnienia. Pora więc zdać sprawę z jej działalności, z jej charakteru, zapytać się, o ile spełniła zadanie, którego się podjęła. By tę rzecz zrozumieć, musimy uprzytomnić sobie przedewszystkiem podstawy organizacyjne, na których się ta Szkoła opiera.

Jest ona nazwana Szkołą nie dlatego, że nie było lepszego określenia, bo ten wyraz jest utarty, lecz poprostu dlatego, że jest to szkoła w ścisłem tego słowa znaczeniu. Jest to jeden z głównych punktów, który tu trzeba podkreślić, choć na pozór wydaje się on zupełnie prostym.

Zajmowanie się zagadnieniami natury politycznej i ekono-

[1] Naczelne kierownictwo Szkoły należy do Głównego Zarządu Towarzystwa Polsk. Szk. Nauk. Pol., w skład którego wchodzą: Prof. Dr. Michał Rostworowski, jako przewodniczący; Poseł Prof. Dr. Wład. Leop. Jaworski, jako zastępca; Prof. Dr. Włodzimierz Czerkawski, Prof. Dr. Stanisław Kutrzeba, Poseł Dr. Stanisław Starowieyski i Prof. Dr. Bolesław Ulanowski, jako członkowie; Dr. Bohdan Winiarski, jako sekretarz Towarzystwa.

micznej stało się u nas modnem. Był kiedyś okres, w którym wielkiem uznaniem otaczano nauki przyrodnicze, popularyzując lub wulgaryzując ich wyniki, obecnie przyszła kolej na nauki społeczne. Charakterystycznem świadectwem ich popularności jest fakt, że powstające po r. 1905 szkoły prywatne polskie w Królestwie Polskiem starały się w tym względzie uzupełnić program dotychczasowego wykształcenia. W tych warunkach łatwo bardzo powołać do życia instytucyę, obliczoną na efekt, na popularność. Bardzo łatwo wprowadzić masę interesujących tematów i niemniej interesujących prelegentów, wykładać o socyologii, o psychologii społecznej, o początkach rodziny i małżeństwie pierwotnem, o geniuszach i obłąkaniu i najnowszych prądach politycznych. Łatwo zgromadzić tłum podatnych słuchaczy, jak i słuchaczek, biernie wchłaniający podawane mu teorye i fakty. Pomijając jednak te ekstrawagancye, możnaby stworzyć łatwo instytucyę w pewnym zakresie nawet pożyteczną, coś w rodzaju powszechnych wykładów uniwersyteckich, ograniczonych do jednej dziedziny i prowadzonych bardziej systematycznie. Wykłady te służyłyby tym, którzyby pragnęli uzupełnić swoje wykształcenie polityczne i ekonomiczne, którzyby chcieli zapoznać się z nowo nagromadzonymi faktami i poglądami. Instytucye takie zagranicą istnieją, oparte o prywatne stowarzyszenia, jak n. p. w Paryżu *L' école des hautes études sociales*, zapewne kiedyś powstaną i u nas.

Ale czem innem jest Polska Szkoła Nauk Politycznych w Krakowie. Ona nie służy u z u p e ł n i a n i u wykształcenia polityczno-ekonomicznego, ale ona d a j e to wykształcenie w tym kierunku. Nie chce ona urządzać prelekcyi na temat aktualnych zagadnień, lecz dostarczyć zasobu wiadomości, które powinien posiadać każdy, kto chce korzystać ze swoich praw obywatelskich.

Do tego celu zmierza najpierw przez to, że wymaga pewnego cenzusu, uzdalniającego do skutecznej pracy w powyższym kierunku. Warunkiem przy przyjęciu jest ukończenie szkoły średniej lub wykształcenia, równoważnego z przygotowaniem, które daje szkoła średnia. Ten warunek jest bardzo ważny, takie lub

inne sformułowanie go może przesądzić o całym charakterze Szkoły. Nie potrzeba długo wykazywać, że w wykształceniu naszej młodzieży jest bardzo rozpowszechnionym dyletantyzm; a ten dyletantyzm szczególnie daje się we znaki w wykształceniu polityczno-ekonomicznem. Bardzo wielu ludzi nie rozumie tego, że niezawsze wystarczy słuchać wykładów pilnie i z zapałem, by z tych wykładów odnieść pożytek, że trzeba mieć przygotowanie ogólne, by można posuwać się naprzód, a że trudno budować od szczytów. Dość częstym objawem jest u nas brak harmonii między poziomem, na którym prelegent postawił swój wykład, a poziomem, do którego przy największym wysiłku zdolni są wznieść się jego słuchacze. I nieraz prelegent z obawy, że nie zostanie zrozumiany, obniża poziom swojego wykładu, stara się być jak najbardziej popularnym, na czem cierpią znów ci, którzy mają prawo domagać się, by wykłady były na odpowiedniej wyżynie. To też pierwszym warunkiem wykładów racyonalnie zorganizowanych, wykładów na poziomie uniwersyteckim w ogólnem słowa znaczeniu, jest przeprowadzenie zasady, że wszyscy słuchający posiadają już średnie wykształcenie. Szkoła, która zamierza dać całokształt wiedzy w kierunku polityczno-ekonomicznym w ciągu dwóch lat, nie może wdawać się w uzupełnianie średniego wykształcenia, bo ani tego nie zrobi porządnie, ani na właściwy swój program czasu nie znajdzie. Nie chodzi tu o jakąś wyłączność, o zamykanie źródeł wiedzy tym, którzy z nich czerpać pragną, lecz o wytworzenie audytoryum możliwie jednolitego, zdolnego do wspólnej, systematycznej pracy.

Przedewszystkiem jednak Szkoła stawia jeden warunek; nie można zapisywać się na poszczególne wykłady, lecz każdy uczeń zobowiązany jest uczęszczać na wszystkie w porządku, określonym przez program Szkoły. Pod tym względem Szkoła Nauk Politycznych odbiega od dość rozpowszechnionej po uniwersytetach zasady wolności słuchania wykładów. Ale ta zasada bynajmniej nie jest istotnie związaną z wykształceniem uniwersyteckiem, gdyż n. p. na uniwersytetach austryackich nie jest ona przeprowadzoną na Wydziale Prawa i Wydziale Me-

dycznym; a zaś na Wydziale Filozoficznym zjawiła się w ostatnich latach silna dążność do wprowadzenia pewnego, stałego porządku w słuchaniu wykładów, pod wpływem częstych skarg, że słuchacze nie wiedzą, od czego zacząć studya i wiele czasu tracą na marne. O ile zaś ta zasada w pewnych granicach może znaleźć zastosowanie na uniwersytecie, gdzie czas poświęcony na studya jest dłuższy i cele wykształcenia dość różnorodne, to już stanowczo należy od niej odstąpić tam, gdzie chodzi o cel konkretny, o dostarczenie c a ł o ś c i wykształcenia polityczno-ekonomicznego, potrzebnego każdemu, kto w życiu społecznem pragnie być nie biernym pionkiem, lecz świadomym czynnikiem.

Łączy się to z naczelną zasadą organizacyi wykształcenia, które daje Szkoła: wszystkie wykłady są częściami jednej większej całości, zrozumienie jednego jest trudnem lub bezpożytecznem, bez utrzymania związku z przedmiotami, poruszonymi przez wykład inny. Wiedzą o tem prelegenci, bardzo często powołując się na to, że dany przedmiot już z innej strony został oświetlony. Oczywiście, że ze względów technicznych, z braku odpowiednich sił, na razie jakieś drugorzędne zagadnienie zostanie pominięte, w ogólnych jednak rysach całość występuje bardzo plastycznie, bez większych dysproporcyi i silniejszych braków.

Tak więc uczeń szkoły w przeciągu dwóch lat wysłucha szeregu wykładów, na podstawie których może wyrobić sobie jasne wyobrażenie o stanie współczesnym Polski pod względem prawno-politycznym, społecznym i ekonomicznym, nabędzie szeregu wiadomości natury teoretycznej i historycznej, pozwalającej zrozumieć mu ten splot zagadnień, które wysuwa nasze życie we wszystkich trzech zaborach. Bez przeprowadzenia tego warunku, że należy wysłuchać wszystkich wykładów, powstałby w głowach uczniów tylko chaos, z którego z wielkim trudem mogłyby się wyłonić jaśniejsze wyobrażenia. Oczywiście, że ta zasada jest okolicznością, która może utrudnić powodzenie Szkoły. Przez dopuszczenie słuchaczów nadzwyczajnych, przez ułatwienie uczęszczania na niektóre tylko wykłady łatwo jest zgromadzić pozornie wielką liczbę słuchaczy, łatwo przyszłoby zyskać popularność tej instytucyi wśród szerokich sfer kształ-

cącej się młodzieży. Ale to „powodzenie" byłoby czysto zewnętrzne, obliczone na bardzo krótką metę, na przelotne względy odczytowej publiczności. Rezultat, osiągnięty przez Szkołę, nie mierzy się ilością osób, które swoją obecnością zaszczyciły wykłady w dotyczącym roku, lecz ilością uczniów, którzy są naprawdę uczniami szkoły, w których wykształceniu szkoła zajmuje główne miejsce.

Bo o to głównie chodzi: szkoła musi mieć uczniów w ścisłem tego słowa znaczeniu, a nie dorywczych słuchaczy. Musi skupić ludzi, dla których praca w Szkole jest zajęciem głównem, a nie uzupełnieniem innych zajęć. Zdawałyby się przeczyć temu godziny wykładów: odbywają się one codziennie w ciągu roku szkolnego, od 5—7 popołudniu, a nadto ćwiczenia seminaryjne codziennie od 7—8. Ale te popołudniowe godziny nie są wybrane dlatego głównie, by umożliwić korzystanie ze szkoły tym, którzy większą część dnia, zwłaszcza godziny przedpołudniowe, mają zajęte na pracę zawodową lub słuchanie wykładów uniwersyteckich, lecz dlatego, by obok wykładów w Szkole, umożliwić słuchaczom intensywną pracę domową, dla której bardziej dogodnemi są poranne godziny. Każdy z wykładających z powodu niewielkiej liczby godzin, przypadających na jego dział — od 8 do 22 godzin — zmuszony jest dawać bardzo zwięzłe przedstawienie swojego przedmiotu, pomijać wiele punktów drugorzędnych, a przytem odsyłać bezustannie do podanej przez siebie literatury, słowem, do pracy domowej. Dalej obowiązani są uczniowie przygotowywać referaty na ćwiczenia seminaryjne, odbywające się tak często, a zresztą sama natura wykładanych przedmiotów wymaga, by nie ograniczać się do biernego słuchania wykładów, a własną pracą uzupełniać i wyświetlać zaczerpnięte z nich wiadomości.

Kto chce być tylko uczniem Szkoły Nauk Politycznych, kto pragnie uczynić z tego główne zajęcie w swoich studyach i zechce pilnie uczęszczać na wykłady i pracować poza wykładami, ten nie będzie narzekał na zbyt wiele wolnego czasu. I na takich też uczniach chce szkoła oprzeć swój byt i rozwój.

Tak więc Szkoła Nauk Politycznych jest szkołą w tem zna-

czeniu, że wymaga pewnego cenzusu przy przyjmowaniu uczniów, że wymaga uczęszczania na wszystkie wykłady w porządku przez nią przepisanym i wymaga obok wykładów i pracy domowej; ale obok tego jest ona szkołą p o l s k ą. A ten jej polski charakter uwydatnia się w dwóch punktach : po pierwsze w przedmiocie wykładów, a po drugie w systemie nauczania.

Przedmiotem wykładów, krótko mówiąc, są ziemie Polski, ich stan obecny pod względem politycznym i ekonomicznym. To jest ośrodek, do którego sprowadzają się wszystkie tematy przez program szkoły objęte. Ale ziemie Polski pod względem prawno-państwowym nie przedstawiają dzisiaj jednego organizmu, podzielone na trzy części należą do trzech odrębnych, pod wielu względami bardzo obcych sobie całości państwowych. Ten moment niesłychanie utrudnia zrozumienie i gruntowne poznanie stosunków na tych ziemiach ; bardzo często nie można wprost przystąpić do tego przedmiotu, trzeba zapoznać się wpierw z ustrojem i stosunkami w dotyczącem państwie. Program szkoły w pełni uwzględnia tę okoliczność, stąd też musi tak wiele w nim być mowy o Austryi, Niemczech i Rosyi.

Najlepiej wyjaśni charakter tego programu zapoznanie się z przedmiotami, które były wykładane przez pierwsze dwa lata istnienia szkoły. Wtedy uwydatni się w pełni, że te przedmioty układają się w jednolitą całość, że czasami niejeden temat, traktowany w odosobnieniu nie przedstawia szczególnego interesu, a ma w pełni racyę, jako część tej całości.

Podstawą poznania stosunków na ziemiach Polski jest jej geografia i statystyka. Tej grupie poświęcono szereg wykładów. I tak prof. dr. Bujak przedstawił *Geografię ekonomiczną ziem polskich.* Zajął się on wpływem czynników geograficznych na układ stosunków społeczno-gospodarczych na ziemiach polskich, dalej charakterystyką geograficznego położenia tych ziem na kuli ziemskiej i w Europie. Uzupełnieniem tych wykładów były wykłady dra Fr. Fuchsa o *Geografii politycznej ziem polskich.* W ten sposób słuchacze zyskali szereg wiadomości z dziedziny geograficznej, tak często w naszem wykształceniu zaniedbywanej, na podstawie których mogli zrozumieć wiele zjawisk, nie

będących przejawami życia społecznego, a raczej czynników naturalnych. Z geografią ekonomiczną i polityczną łączy się statystyka ziem polskich. Wchodzą tu w grę dwa działy: z jednej strony ludność, z drugiej strony gospodarstwo społeczne. *Statystyką ludnościową* zajął się prof. Wł. Czerkawski, *Statystykę gospodarczą* przedstawił dr. Wł. Kumaniecki. Tak więc te wykłady geograficzne i statystyczne ugrupowały niezbędne fakty, bez znajomości których nie podobna zrozumieć ani ustroju ziem polskich, ani istoty polityki ekonomicznej i społecznej, którą rozwijają poszczególne dzielnice.

Drugi dział objęty programem Szkoły, na którym położono duży nacisk, to dziedzina prawa państwowego i administracyjnego, to sprawa ustroju trzech państw, pod których rządami żyjemy i tych lokalnych odgałęzień tych ustrojów, które dotyczą przedewszystkiem ziem naszych. Temu przedmiotowi poświęcono sześć równoległych wykładów, po dwa na każdą dzielnicę: *O ustroju państwowym austryackim* mówił prof. M. Rostworowski, Rosyi dr. B. Winiarski, Niemiec i Prus adwokat z Poznania dr. K. Kolszewski. Zaś ustrój administracyjny austryacki przedstawił dr. Wł. Wróblewski, niemiecki i pruski również dr. K. Kolszewski, ustrój administracyjny rosyjski redaktor *Ekonomisty* P. B. Wasiutyński. Przy układaniu planu tych wykładów Dyrekcya Szkoły stara się przestrzegać tej zasady, żeby wykład ustroju czy to państwowego czy administracyjnego nie był wyłącznie tylko analizą prawną, lecz był utrzymany w związku z rozwojem życia politycznego w dotyczącym kraju i faktycznego działania administracyi. W ten sposób uniknie się pewnej jednostronności w zapuszczaniu się w subtelności prawne, a każda instytucya wystąpi plastyczniej, gdyż uwydatni się jej funkcyonowanie.

Oczywiście, że ze szczególną troską muszą być rozpatrywane te działy prawa państwowego i administracyjnego, które dotyczą naszych specyalnie stosunków, co naprawdę aktualnem jest tylko pod panowaniem austryackiem. Przytem obok ogólnego obrazu specyalne wykłady poświęcono niektórym bardziej ważnym dla nas przedmiotom z prawa administracyjnego.

Tutaj należy wykład dra T. Łopuszańskiego, inspektora szkolnego, o *Szkolnictwie ludowem i średniem*, adwokata dra Caro o *Prawie emigracyjnem*, p. J. Bocheńskiego, st. radcy górniczego o *Administracyi górnictwa*, naczelnika miejskiego biura statystycznego w Krakowie dra Wł. Kumanieckiego o *Polityce ludnościowej i administracyi osobowej*, wykłady prof. dra Surzyckiego o *Naszem szkolnictwie rolniczem* i analogiczny wykład dyr. Kannenberga o *Szkolnictwie handlowem*; wykłady paru urzędników kolejowych o *Administracyi kolejowej*; wreszcie wykłady prof. dra Jaworskiego o *Stosunkach gminnych i reformie gminnej w Galicyi*.

Wszystkie te wykłady zawierają nietylko przedstawienie formalnej strony badanej instytucyi, lecz i obraz jej działania, jej użyteczności praktycznej. Rozszerzają one i uzupełniają wiadomości, czerpane z ogólnych wykładów prawa administracyjnego, w kierunkach szczególnie dla nas ważnych. Nie chodzi tu oczywiście o chwilową aktualność jakiegoś zagadnienia, lecz o jego wyjątkową doniosłość dla naszego rozwoju politycznego i ekonomicznego, jak n. p. sprawa gminna, sprawa górnictwa, problem emigracyjny i t. d.

Innym działem, do którego wypada z kolei przystąpić, jest skarbowość. Skarbowość nie w znaczeniu ogólno-teoretycznem, a skarbowość i finanse trzech państw, rządzących na ziemiach Polski, znów z szczególnem uwzględnieniem skarbowości naszych ciał samorządnych. Znalazły się więc w programach szkoły trzy cykle wykładów, obrazujące kolejno zasady skarbowości austryackiej, niemieckiej i pruskiej, w końcu rosyjskiej. I znów należy podkreślić, że nie chodziło w nich tylko o przedstawienie zasad prawa skarbowego, lecz obok tego i o obraz gospodarki skarbowej dotyczącego państwa. Bo nie wystarczy poznać ogólny szkielet, trzeba również zbadać, jak się porusza ten organizm, obok ustawodawstwa skarbowego trzeba znać i finanse państw, szczególnie nas interesujących.

Wreszcie przechodzimy do polityki ekonomicznej i społecznej. Tutaj grupowanie wykładów musiało się odbyć na cokolwiek innych zasadach, niż wtedy, gdy chodziło o prawo

państwowe i administracyjne z jednej, z drugiej strony zaś o skarbowość. Podstawą i punktem wyjścia wykładów jest zawsze ustawodawstwo jednego państwa, które stanowi dla danej dziedziny całość systematyczną; stąd szereg równoległych wykładów na te same tematy, odnośnie do Austryi, Niemiec i Rosyi. Inaczej ma się rzecz z polityką ekonomiczną i społeczną. Jej kierunki przedstawiają w różnych państwach wiele analogii i ścisły wzajemny związek; trudno wyjaśnić jakiś dział polityki ekonomicznej i społecznej n. p. w Austryi, nie poruszając niemieckich wzorów a te w dalszym ciągu trudno zrozumieć, nie wchodząc w porównanie z innymi krajami. Powtóre polityka ekonomiczna zwłaszcza jest tak rozgałęzioną, że niemożliwą jest rzeczą objąć ją jednym wykładem, któryby równomiernie uwzględniał stosunki wszystkich trzech dzielnic. Dlatego też w miejsce zasady terytoryalnej, wypadało przyjąć układ rzeczowy wykładów i dać ich szereg, obrazujących kolejno różne działy polityki ekonomicznej i społecznej. O polityce ekonomicznej pojętej jako całość można mówić tylko wtedy, gdy czynnik, który ją prowadzi, trzyma się w niej pewnych jednolitych zasad. A taką zasadniczą linię, dającą się wyśledzić nawet przez długie lat okresy, wykazuje zarówno pruska jak i rosyjska polityka na ziemiach Polski. Musiały te przedmioty znaleźć osobnych prelegentów. *Rozwój pruskiej polityki ekonomicznej w W. Ks. Poznańskiem i Prusach Zachodnich* przedstawił prof. X. dr. K. Zimmermann, a zaś p. dr. B. Koskowski, redaktor *Kuryera Warszawskiego* zajął się *Rozwojem rosyjskiej polityki ekonomicznej w Królestwie Polskiem i prowincyach zabranych.*

Poza tem polityka ekonomiczna i społeczna była przedmiotem szeregu wykładów, których tytuł niekiedy brzmi ogólnie, które jednak faktycznie zostały przeprowadzone z myślą o naszych stosunkach. Tutaj należy *Polityka agrarna*, wykładana przez prof. A. Krzyżanowskiego; dalej *Polityka handlowa*, której wykład w zastępstwie chorego prof. A. Górskiego objął prof. Wł. Czerkawski; dalej wykład o *Ustroju pieniężnym i kredytowym i polityce kredytowej* dra K. Krzetuskiego; wykład

o *Administracyi w zakresie rękodzieła i drobnego przemysłu*, objęty przez instruktora stowarzyszeń przemysłowych p. W. Ostrowskiego; w końcu wykład prof. Wł. Czerkawskiego o *Polityce przemysłowej*.

W ten sposób przeszliśmy szereg wykładów, które dotyczą bezpośrednio stosunków politycznych i ekonomicznych na ziemiach Polski. Dostarczenie ich obrazu jest, jak to już parokrotnie wspominaliśmy, głównym celem Szkoły. Ale do tych wykładów nie mógł się ograniczyć jej program. Wiele okoliczności byłoby niezrozumiałych, gdyby uczniowie nie posiadali zasobu wiadomości: 1) teoretycznych, 2) pewnej znajomości stosunków zagranicznych, 3) historycznych. W tych trzech kierunkach program Szkoły musi być uzupełniony.

Bardzo trudną jest do rozstrzygnięcia kwestya, o ile w programie szkoły może się znaleźć miejsce na teoryę poszczególnych nauk ekonomicznych i politycznych. Traktować tej teoryi obszernie nie można, gdyż po pierwsze nie mamy na to czasu, nawet gdyby program szkoły przewidywał dłuższy, niż dwuletni okres studyów, a powtóre zajmuje się tem uniwersytet. Z drugiej strony jednak trudno pominąć pewne minimum wiadomości ogólnych, których przecież nasze wykształcenie średnie nie daje, a bez których nie można zrozumieć faktycznych stosunków. Należało odróżnić te działy badania teoretycznego, które są potrzebne bezpośrednio dla zrozumienia konkretnej instytucyi, od tych, bez których znajomości obyć się można. Tak n. p. obojętną w tym względzie jest teorya ekonomii; ponieważ jednak dużo jest mowy o polityce ekonomicznej i społecznej, dlatego przydatnym był ogólny wykład o tych działach nauki.

Taki ogólny charakter miał wykład prof. Wł. Czerkawskiego: *Główne zadania polityki ekonomicznej z szczególnem uwzględnieniem stosunków polskich*; podobnie również przez prof. Czerkawskiego objęty wykład o *Polityce społecznej*, który dzielił się na dwie części. Jedna dawała ogólne pojęcie o polityce społecznej i jej kierunkach, bez zacieśnienia jej do zagadnień związanych z kwestyą robotniczą, druga zajęła się obszerniej tą

ostatnią sprawą. Wykłady te miały na celu dać podstawę do ujęcia w jedną całość wiadomości, rozprószonych po wykładach o charakterze monograficznym.

Obok tego niejednokrotnie prelegenci, mówiąc czy to o skarbowości któregokolwiek państwa, czy to o polityce kredytowej, monetarnej, handlowej i t. d., musieli w sposób zwięzły potrącić o zasadnicze pojęcia teoretyczne z tej dziedziny. Mogli nie zatrzymywać się nad niemi dłużej, gdyż choćby bardzo ogólne wyjaśnienie teoretycznego pojęcia występowało jasno dzięki zastosowaniu go do konkretnych kwestyi, którym była poświęconą główna treść wykładów. A zresztą, od czegoż są seminarya, odbywane codziennie? Na nich jest miejsce do wyjaśnienia bardziej spornych punktów, do poruszenia wszystkich wątpliwości, które mogły nasunąć wykłady. Tutaj w drodze dyskusyi, praktycznych przykładów, wyświetlonem zostało niejedno, co do czego wykład mógł zostawić niedość dokładne wyobrażenie.

Drugim punktem, co do którego wykłady wymagały uzupełnienia, jest sprawa znajomości stosunków zagranicznych. Jak wiadomo, głównym przedmiotem badania są stosunki polskie, które na nasze nieszczęście splotły się z stosunkami austryackimi, niemieckimi i rosyjskimi. Tak więc szczególnie obszernie należało się zająć temi trzema państwami środkowej Europy. Właściwie trudno już znaleźć miejsce na coś, co jest już dalej, na Anglię lub Francyę. I w zasadzie Szkoła, przynajmniej na razie, do tych państw nie sięga. Ale niektóre dziedziny ich życia mają tak wielką doniosłość ogólną, że choć pośrednio, to mimo to bardzo silnie zaciężyły na naszych stosunkach. Tem n. p. jest rozwój nowoczesnej Francyi, której życie prawne i polityczne tak wielką odegrało rolę w dziejach naszych XIX wieku. Tym momentem uzasadniony jest wykład, objęty przez dra B. Winiarskiego o *Ustroju politycznym i administracyjnym współczesnej Francyi*; a zaś na rok najbliższy zapowiedział prof. M. Rostworowski wykład o *Rozwoju konstytucyi angielskiej*, z którym to parlamentaryzmem zapoznać się musi każdy, kto chce zrozumieć parlamentaryzm w któremkolwiek z państw współczesnych.

Tak więc szczególne względy uzasadniły te dwa wykłady, dotyczące stosunków, bezpośrednio z naszem życiem niezwiązanych; pośród ogółu wykładów stanowią one uzasadniony w pełni wyjątek.

Wreszcie przechodzimy do trzeciego z powyżej zaznaczonych punktów, do kwestyi, w jakich rozmiarach historya może znaleźć uwzględnienie w programie Szkoły. Główna jej uwaga skierowana jest ku teraźniejszości; przeszłość wchodzi w rachubę tylko o tyle, o ile tłómaczy tę teraźniejszość. Co prawda ta zasada jest dość elastyczną, na jej podstawie można sięgnąć bardzo daleko, można przysłonić badaniami historycznemi problemy współczesne. Praktycznie rzecz biorąc, trudno cofać się zbyt daleko w wieki minione, trzeba ograniczyć się do najbliższej przeszłości. Wchodzić tu może w grę wiek XIX i druga połowa wieku XVIII, której znajomość jest niezbędną dla zrozumienia naszych dziejów późniejszych.

Najpierw należało uwzględnić nasz rozwój umysłowy w tym okresie, o ile on jest ściślej związany z rozwojem politycznym i ekonomicznym. Z jednej strony może być mowa o rozwoju doktryn ekonomicznych w Polsce tych czasów, z drugiej strony o rozwoju pojęć politycznych. Te dwa przedmioty znalazły swoich prelegentów. Prof. Wł. Czerkawski przedstawił *Rozwój nauki gospodarstwa społecznego w XIX wieku*; zaś prof. St. Estreicher zajął się tematem: *Główne prądy literatury politycznej polskiej XIX wieku.*

Ale nie wystarczy obraz rozwoju pojęć społeczno-gospodarczych i politycznych, trzeba zapoznać się gruntowniej ze stosunkami, na których tle one wyrosły. O ile chodzi o rozwój polityczny, to punktem wyjścia jest wykład prof. St. Kutrzeby o *Ustroju państwowym Polski za Stanisława Augusta*; dalszym niejako jego ciągiem jest wykład o *Ustroju politycznym Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego.* O ile te wykłady chwytają stronę prawną naszego rozwoju, to znów dwa inne starają się wyświetlić przyczyny, które nadały mu ten lub inny kierunek, uprzytomnić działania, które później skrystalizowały się w formę instytucyi prawnych. Do tego celu zmierzał wykład profesora

wiedeńskiej akademii konsularnej J. Błociszewskiego p. t. *Zarys europejskiej historyi dyplomatycznej w XIX wieku* i wykład dra M. Szaroty pod tytułem: *Kwestya polska na tle dyplomacyi XIX wieku*, wykład specyalnie wyodrębniający nasze sprawy ze splotu ogólnych zagadnień.

Wreszcie nie zaniedbano i rozwoju gospodarczego ziem polskich w XIX. Temat ten niesłychanie trudny z braku prac przygotowawczych, a częściowo nawet z braku wogóle dostępnych materyałów objął prof. Wł. Czerkawski. W wykładach o *Rozwoju gospodarczym na ziemiach polskich w XIX i XX stuleciu* położył on nacisk na pierwszą połowę XIX wieku, na obraz naszych usiłowań w celu ekonomicznego podniesienia kraju, skutecznych zwłaszcza w Królestwie Polskiem; obok tego ten wykład dał pogląd na rozwój stosunków ekonomicznych w Galicyi w dobie konstytucyjnej.

Programu powyższego nie można uważać za coś, co do najmniejszych nawet szczegółów w przyszłości zmianie nie ulegnie. W miarę poczynionych doświadczeń, dalej w miarę wzrastających zasobów Szkoły, z jednej strony zajść muszą pewne zmiany, z drugiej strony wzrośnie liczba wykładanych przedmiotów. I tak już program na rok 1913/14, który w ogólnych zarysach zgodnym jest z programem z r. 1911/12, zastępuje niektóre wykłady innymi, pomijając już pewne zmiany w osobach prelegentów. Zawiera on szereg wykładów nowych, i tak obok poprzednio już wspomnianego wykładu o *Rozwoju konstytucyi angielskiej* wykład Dr. Joachima Bartoszewicza p. t. *Stosunki polityczne, administracyjne i społeczne na Rusi*, Prof. Wł. Czerkawskiego o *Kooperacyi i asocyacyi*", p. Romana Dmowskiego o *Rządzie i stronnictwach w Rosyi i w zaborze rosyjskim*, w końcu Dr. E. Strasburgera wykład o *Wielkomiejskiej polityce ekonomiczno-społecznej*. Wprowadzenie tych tematów, tak doniosłych dla naszego życia politycznego i ekonomicznego, jest świadectwem, że Szkoła nie zamyka się w raz utartych szablonach, a dąży do ciągłych ulepszeń.

Tak więc przedstawia się ogólna treść przedmiotów, wykładanych w Szkole. Jak widzimy, głównym jej celem jest dostar-

czenie dokładnego obrazu współczesnych, stosunków na ziemiach Polski, do zagadnień teoretycznych, do praw zagranicznych i do historyi sięga się tylko o tyle, o ile to jest niezbędnie potrzebnem dla wytłómaczenia teraźniejszości. Między innemi widzieliśmy, że historya jest tej teraźniejszości podporządkowaną, ale jak widać z wyżej zebranych tematów, nie traktuje się jej po macoszemu. O drugiej połowie XVIII stulecia, a zwłaszcza o pierwszej połowie XIX słuchacze Szkoły mogą nabrać z tych wykładów zupełnie jasnego wyobrażenia. Tematy te traktowane są dość obszernie, a rozstrzygają tu nietylko ogólne względy lecz i specyalny wzgląd na nasze stosunki, przejawia się w tym punkcie i system nauczania.

Koniec XVIII wieku, to okres prób, zmierzających do utrzymania niepodległości, do gruntownej przebudowy Rzeczypospolitej. W pierwszej połowie zaś XIX stulecia bardzo silnie przejawiła się polska myśl państwowa, kwestya polska była bardzo aktualną kwestyą międzynarodową, a W. Księstwo Warszawskie i Królestwo kongresowe przyniosło wiele owoców naszego samodzielnego życia politycznego i gospodarczego. Prawda, że stosunki gruntownie się zmieniły w drugiej połowie XIX wieku. Ale chcąc zrozumieć te czasy, nie można roku 1863 brać za punkt wyjścia, trzeba sięgnąć dalej w przeszłość. Bardzo często u nas zapomina się o tych, nie tak bardzo dawnych czasach. Nieszczęśliwe zdarzenia przerwały ciągłość naszego życia duchowego z dobą W. Ks. Warszawskiego i Królestwa Kongresowego. Tak n. p. u większości współczesnych naszych ekonomistów do niedawna nie było znać zupełnie usiłowań, by utrzymać łączność z polską myślą ekonomiczną tej epoki.

Otóż jednem z głównych zadań Szkoły jest nawiązanie tych przerwanych nici, jest umożliwienie słuchaczom tego, by oni mogli porównać współczesne prądy polityczne, współczesne warunki życia ekonomicznego i społecznego z czasami, w których w wyższym stopniu mogliśmy rozstrzygać o naszych sprawach. I w tej dążności do wykazania związku, który zachodzi między Polską doby obecnej a Polską niepodległą i Polską do odzyskania tej niepodległości wytrwale dążącą przejawia się

przedewszystkiem polski system nauczania. I jeśli może być mowa o jakiejś tendencyi w programie Szkoły, to do tej „tendencyjności" Szkoła chętnie się przyzna.

Ale „tendencyjność" programu przejawia się jeszcze w innym kierunku. Jak widzieliśmy, musi on zawierać wiele wykładów o Austryi, Niemczech i Rosyi. Musi mówić o stosunkach w zasadzie nam obcych, z którymi tylko przymusowo jesteśmy związani. Ale nigdy nie roztapia on stosunków polskich w problemach austryackich, niemieckich czy rosyjskich, zawsze stara się o podkreślenie odrębności tych stosunków, zawsze sprawy polskie traktuje jako odrębne zagadnienie. Wystarczy przejrzeć drukowane programy, w nich ten punkt występuje bardzo wyraźnie. Gdy mowa o emigracyi, wtedy jest podkreślony rozdział: *Narodowa polityka emigracyjna, nasze cele i zadania w kwestyi wychodźtwa.* W polityce ekonomicznej uwzględnionymi są punkty: *Właściwości polityki ekonomicznej społeczeństw pozbawionych bytu państwowego . . . Zastosowanie naczelnych zasad polityki ekonomicznej do obecnych potrzeb polskiego społeczeństwa.* Inny prelegent znów ujmuje *problemat polityki ludnościowej ze stanowiska polskiego w obecnej dobie*, przy polityce przemysłowej podkreślone są *najważniejsze zagadnienia przemysłu na ziemiach polskich*, przy kwestyi robotniczej: *aktualne zagadnienie kwestyi robotniczej w dzielnicach polskich.*

Takie postawienie sprawy, traktowanie wszystkich problemów z punktu widzenia polskiego w niczem nie uchybia „naukowości" ich rozpatrywania. Jest to już właściwością badań politycznych i ekonomicznych, że muszą one uwzględnić fakt częstych konfliktów różnych interesów społecznych i narodowych; nie mogą one w pełni uwzględniać wszystkich na równi, w pewnem znaczeniu te badania zawsze są jednostronne. Taką jednostronność na korzyść polskich interesów popełnia i program Szkoły.

Oczywiście nie może chodzić tu o to, by dawać gotowe programy, by dostarczyć wykończonych projektów z dziedziny polityki ekonomicznej i społecznej. Szkoła nie chce kształcić skończonych polityków. Szkoła może dać tylko przygotowanie do

działalności politycznej w ogólnem tego słowa znaczeniu a daje je przez to, że szczególnie obszernie uwzględnia odrębność spraw polskich, i z tego punktu widzenia grupuje materyał naukowy.

Ale nie wystarczy uwydatnić tę odrębność spraw polskich, trzeba również dbać o to, by utrzymać równomierność w traktowaniu problemów trzech naszych dzielnic. Tej równomierności nie można przeprowadzić z matematyczną ścisłością, bo nie wszędzie te same występują zagadnienia, nie wszędzie materyał naukowy jest równie obfity. Chodzi tylko o to, by program Szkoły nie objawiał prodylekcyi do jednej z dzielnic, by obszerne traktowanie jej spraw nie przysłaniało zagadnień występujących w innych dzielnicach. Takiej nierównomierności przyszłoby dopuścić się łatwo, gdyż równoległe rozpatrywanie spraw wszystkich ziem polskich jest bardzo trudne, wobec tego, że co do Królestwa polskiego niesłychanie trudno o naukowe badania, nawet o same materyały statystyczne. W tych warunkach zrozumiałą jest pokusa, by zająć się zaborem pruskim, a zwłaszcza Galicyą, której dotyczące materyały naukowe są na miejscu i na miejscu są ludzie, zdolni do ich umiejętnego przedstawienia. Program Szkoły, jak widzieliśmy z powyższych zestawień, ustrzegł się tej pokusy, żadna dzielnica Polski nie może się skarżyć na to, że jest nierównomiernie traktowaną.

Może zbyt pesymistycznie brzmią sądy, które, stwierdzając fakt głębokiego rozdziału duchowego między trzema dzielnicami, mówią wprost o trzech Polskach. Ale niewątpliwie pod wielu względami przerwała się łączność między Polakami z pod trzech zaborów, kordony graniczne zrobiły swoje. By te różnice nie pogłębiły się dalej, trzeba rozwinąć osobną akcyę w celu utrzymania wzajemnej łączności i jedności. Ta łączność utrzymuje się w dziedzinie życia kulturalnego i literackiego, ale trudniej już z życiem politycznem i ekonomicznem. Odrębne warunki stwarzają odrębne pojęcia prawne i społeczne, wymagają odrębnych metod działania. W rozbieżnych kierunkach biegną linie rozwoju gospodarczego.

Tym tendencyom należy gorąco przeciwdziałać. Szkoła Nauk Politycznych może stać się bardzo ważnym czynnikiem na polu

duchowego zjednoczenia wszystkich dzielnic Polski, może pogłębić wzajemną znajomość i nawiązać wzajemne stosunki. W programie swoim uwzględnia na równi wszystkie trzy zabory i od wszystkich uczniów na równi wymaga ich znajomości, nie bacząc, z których stron oni pochodzą. A dalej skupia tych uczniów ze wszystkich dzielnic, przystosowując się do potrzeb ogólnopolskich, a nie wyłącznie potrzeb Polaków tej lub innej dzielnicy. Wreszcie i w doborze sił nauczycielskich baczy na to, by każda dzielnica miała swoich przedstawicieli, by o stosunkach naszych pod panowaniem pruskiem lub rosyjskiem nie sądzili ci, którzy tego panowania nie zaznali.

W ten sposób Szkoła jest instytucyą, między innemi poświęconą utrzymaniu jedności naszej nauki i praktyki politycznej i gospodarczej, a rola jej tembardziej jest doniosłą, że działa ona stale i bezpośrednio. Nie zastąpią jej więc w tym względzie zjazdy naukowe, które zbierają się rzadko i dorywczo, a obradują krótko i pospiesznie; nie zastąpi jej wymiana myśli na terenie naukowych i politycznych publikacyi, gdyż potrzebnym jest tutaj kontakt bezpośredni, potrzebnem jest stałe współżycie sił nauczycielskich i młodzieży z wszystkich stron Polski, oparte na poznawaniu wzajemnem stosunków politycznych, społecznych i gospodarczych. W tem również przejawia się ów charakter polski systemu nauczania, przyjętego w Szkole.

Ten polski charakter systemu nauczania przejawia się dalej w tem, że organizacya Szkoły oparta jest na zasadach samodzielnych, że nie jest odbiciem mechanicznem zagranicznych wzorów. Gdy powstawała Szkoła Nauk Politycznych, wtedy wielu ludzi zadawało sobie pytanie, na jakich przykładach zagranicznych ona się opiera, czy za model przy jej organizowaniu służyła paryska *L' École Libre des Sciences Politiques*, czy londyńska *School of Economics and Political Science*. Oczywiście łatwo tu i ówdzie poprowadzić analogię. Powyższe szkoły pełnią w swoich społeczeństwach z mniejszym lub większym skutkiem tę funkcyę, którą w naszem od dwóch lat pełni polska Szkoła Nauk Politycznych. Ale niemal, że na tem kończy się porównanie.

Szkoła nasza jest ściśle dostosowaną do naszych warunków, tak odmiennych od zachodnio-europejskich, stąd też bardzo odmienną musi być jej organizacya. Uwidacznia się to w całym szeregu punktów, podkreślonych poprzednio, możnaby przy dokładniejszem zestawieniu tych trzech Szkół uwydatnić szczegółowo te zachodzące między niemi różnice. Jest to rzeczą zbyteczną, natomiast wypada poświęcić parę słów momentowi, który zasadniczo wyróżnia Szkołę nie tyle od analogicznych szkół zagranicznych, ile wogóle od przyjętych zagranicą typów organizacyi wyższych studyów w dziedzinie nauk politycznych i ekonomicznych.

Typy te w najogólniejszej formie możnaby określić przez słowa: typ francuski i niemiecki. Pierwszy z nich traktuje ucznia jako tego, który ma przedewszystkiem zdobyć bogaty zasób wiadomości, dostarczanych przez wykłady i których posiadania dowód daje on przez poddawanie się ustnym egzaminom. Typ zaś niemiecki kładzie główny nacisk na pracę samodzielną, na pracę po seminaryach, a przy uzyskiwaniu stopnia naukowego wymaga przedewszystkiem ogłoszonej drukiem tezy na specyalny temat. Obydwa te typy grzeszą jednostronnością, której ujemne skutki musi ponosić młodzież, udająca się na studya do Francyi lub Niemiec.

Program Szkoły chce uniknąć tej jednostronności, tak w jednym jak w drugim kierunku. System, przyjęty przeważnie we Francyi, nie wyrabia samodzielności wśród uczniów, pozostawiając im stanowisko zbyt bierne. Natomiast system niemiecki w niedostatecznej mierze uwzględnia równomierność w zapoznaniu się z poszczególnymi działami nauki, często zupełnie niepotrzebnie zmusza do pracy pseudo-oryginalnej i pseudo-naukowej, z której niema wielkiego pożytku. W systemie naszej Szkoły ani wykład i egzamin nie są alfą i omegą, ani nie szerzy ona kultu zadrukowanego papieru, co się dzieje przez dyssertacye doktorskie w Niemczech.

Obok wykładów uwzględnia się i seminarya, których jest wiele, gdyż liczba ich w stosunku do liczby wykładów przedstawia się jak 1 : 2. Ale te ćwiczenia seminaryjne niekoniecznie mają

na celu zmuszać słuchaczów do prób samodzielnych opracowań, przeznaczone są one na dyskusyę nad omawianymi przedmiotami, na porównywanie i uzupełnianie zdobytych wiadomości. Referaty pisemne powierza się tylko tym, którzy mają już do tego odpowiednie przygotowanie. Przytem trzeba jeszcze nadmienić, że stosunkowo niewielka liczba słuchaczów umożliwia skuteczną pracę seminaryjną.

Tak więc ów polski charakter Szkoły wyraża się po pierwsze w treści wykładanych przedmiotów a powtóre w przyjętym sposobie nauczania. Ten system nauczania jest polskim dlatego, gdyż 1) uwydatnia łączność, która zachodzi między współczesnymi naszymi stosunkami a dziejami drugiej połowy XVIII a i pierwszej połowy XIX wieku; 2) podkreśla zawsze odrębność spraw polskich pośród zagadnień, wysuwanych przez życie państw na ziemiach Polski rządzących; 3) dba o równomierne traktowanie wszystkich dzielnic i utrzymanie łączności między ich problemami; 4) co do strony metodycznej, to ten system nie naśladuje niewolniczo obcych wzorów lecz stara się uniknąć ich jednostronności i ściśle się dostosować do naszych odrębnych potrzeb.

Wreszcie, dla uzupełnienia, warto dodać kilka uwag, dotyczących organizacyi Szkoły. Jak już wiadomo, kurs jest dwuletni, wykłady zaś odbywają się równocześnie dla obydwu kursów, w ten sposób, że to, co dla jednych stanowi rok pierwszy studyów, to dla słuchaczy zeszłorocznych rok drugi. Przyjmowane są i słuchaczki na równi ze słuchaczami. Wykłady trwają od dnia 4 listopada do 23 czerwca, oczywiście z odpowiedniemi przerwami na ferye świąteczne. Wpisy rozpoczynają się 15 października do końca tegoż miesiąca w Dyrekcyi Szkoły (Kraków, Studencka 8). Dyplomy wydaje się po ukończeniu dwóch lat studyów i po złożeniu egzaminów, które obejmują całość przedmiotów, wykładanych w Szkole, ujętą w trzy grupy: a) historyczno-geograficzną, b) polityczno-administracyjną; c) ekonomiczno-statystyczną.

Każdy zapisujący się uczeń jest obowiązany złożyć opłatę roczną w wysokości 200 kor. (80 rubli). Opłata ta jest przezna-

czoną na pokrycie kosztów prowadzenia szkoły; jak dotychczas, dochód z tych opłat pokrywa te koszty tylko w mniejszej części. Szkoła może funkcyonować dzięki temu, że Sejm krajowy i Ministerstwo Oświaty przyczyniają się do utrzymania równowagi w budżecie Szkoły znaczniejszymi zasiłkami.

Opłata powyższa jest niską, jeśli się ją porówna z opłatami uiszczanemi na wielu zagranicznych zakładach naukowych, jest zaś wysoką, jeśli się uwzględni środki materyalne bardzo sporej części naszej młodzieży. I być może, że wysokość tej opłaty utrudnia niejednemu korzystanie ze Szkoły. Ale na to nic poradzić nie można, obniżenie bowiem tej opłaty do minimum podcięłoby znów byt finansowy Szkoły. Jest może jedna rada, która jednak sięga już poza sferę działania tej instytucyi. Może jednostki prywatne lub czynniki publiczne, którym zależy na podniesieniu naszego wykształcenia politycznego i ekonomicznego, zechcą ustanowić szereg stypendyów, przeznaczonych na pokrycie opłaty rocznej w Szkole dla uboższej młodzieży. W ten sposób i Szkole przyjdą z pomocą, zabezpieczając jej pewien kontyngent słuchaczy, a niejednemu młodzieńcowi umożliwią zdobycie wykształcenia, na którem nam tak zależy i o które tak trudno. Wydatek ten byłby naprawdę bardzo produktywny.

Po poznaniu organizacyi Szkoły, może się ktoś zapytać: czego ona dokonała przez pierwszy okres swojego istnienia? Jak przedstawia się materyał uczniowski, który zdołała zgromadzić? Na to pytanie należy dać kilka słów odpowiedzi.

Szkoła skupiała około 30 uczniów. Liczba dostateczna dla istnienia i rozwoju Szkoły, umożliwia przytem większą wydajność pracy seminaryjnej, której nie można prowadzić przy znacznej gromadzie uczniów. Ale ta liczba jest dość szczupła ze względu na nasze potrzeby w dziedzinie wykształcenia politycznego i ekonomicznego. Świadczy o tem i pochodzenie tych słuchaczy. Ogromna ich większość, z górą $^2/_3$, pochodzi z Królestwa Polskiego i Krajów Zabranych. Natomiast po paru tylko przedstawicieli ma zabór pruski i Galicya.

Słuchaczy z pod panowania pruskiego jest mało, bo i wogóle zakłady naukowe galicyjskie zdołały skupić bardzo nieznaczną

ich liczbę. Jest to fakt bardzo smutny, ale przyczyny jego tkwią głęboko w odrębnych warunkach życia tej dzielnicy i niełatwo też przeszkody, niedozwalające na większy przypływ tamtejszej młodzieży na jedyne polskie zakłady naukowe dadzą się usunąć. Natomiast młodzież galicyjska, która ma tę Szkołę na miejscu, korzysta z niej w bardzo szczupłych rozmiarach. Przyczyną jest niewątpliwie ubóstwo tej młodzieży, brak środków na pokrycie opłaty, ale nietylko ubóstwo. Młodzież galicyjska co do kierunku swoich studyów odznacza się pewnym materyalizmem, niedocenianiem tego, co nie ma bezpośredniego znaczenia przy ubieganiu się o różne stanowiska. Dyplom Szkoły formalnych uprawnień nie daje, nic dziwnego więc, że młodzież z Galicyi nie garnie się zbytnio do Szkoły.

Z pośród tych uczniów, których skupiła Szkoła, połowa zgłosiła się do egzaminów w terminie obecnym, obok tego będą zgłoszenia i w terminie październikowym. Świadczy to bądź co bądź o tem, że uczniowie Szkoły traktowali swoje zajęcia poważnie, nie ograniczając się do dorywczego uczęszczania na wykłady. Przedstawiają oni co do składu swojego, dość wielką różnorodność, która świadczy o tem, jak różnorodne potrzeby Szkoła może zaspokoić. Było parę kobiet, z których jedne traktowały studya w tej Szkole jako przygotowanie do przyszłej pracy społecznej, inne widziały w nich uzupełnienie studyów nad historyą nowożytną. Kilku z pośród uczniów Szkoły poświęcić się zamierza zawodowi dziennikarskiemu, częściowo są oni już teraz czynni jako dziennikarze. Paru znów w wykształceniu dostarczonem przez Szkołę widzi przygotowanie do przyszłej pracy na polu kooperatyzmu. Znalazł się w niej i urzędnik jednej z wielkich prywatnych instytucyi finansowych, znalazł się i jeden duchowny z dalekiej Białorusi, a przedewszystkiem było kilku synów właścicieli większych posiadłości, dla zarządzania któremi i wypełniania obowiązków, z wielką własnością związanych, studya w Szkole bardzo mogą być przydatne.

Niejeden z tych uczniów zajmie zapewne w przyszłości wybitne stanowisko społeczne i jeśli na niem będzie użyteczny, to w niemałej części będzie to zawdzięczał Szkole. Ale dziś tru-

dno to przesądzać, trudno w całej pełni oceniać znaczenie Szkoły, na to dopiero później czas przyjdzie.

Ale obraz jej działalności i organizacyi byłby niezupełnym, gdyby się nie wspomniało o jej niejako ubocznej działalności, nieograniczonej do koła stałych uczniów. W r. b. na wiosnę pod egidą Szkoły odbył się naukowy kurs współdzielczy, który trwał kilka dni i przez ten czas dał obraz ruchu współdzielczego z zakresu kooperatywy rolniczej i spożywczej na ziemiach Polski. Skupił on kilkudziesięciu słuchaczy, skupił między prelegentami najwybitniejsze nazwiska z tej dziedziny, jak Dr. Fr. Stefczyka, St. Śliwińskiego, St. Wojciechowskiego i innych. Podobne kursy zamierza Szkoła urządzać stale, obok powyższego, który będzie wznawianym peryodycznie, planowane są jeszcze inne kursy z innych dziedzin, które niewątpliwie dadzą wynik równie pomyślny. W ten sposób spełni Szkoła swoje zadanie wobec tych, którzy nie są w stanie uczęszczać do niej stale, pragną tylko zdobyć bardziej gruntowne wiadomości w specyalnym kierunku.

Szkoła istnieje dopiero dwa lata. Nie opiera się na jakichś stałych, wypróbowanych wzorach, w bardzo wielu kierunkach stanowi ona próbę stworzenia czegoś nowego, niespotykanego. W tych warunkach trudno odrazu osięgnąć doskonałość, trudno, by rezultat najlepszy uzyskać w każdym kierunku. Z doświadczenia każdorazowego ta szkoła korzysta, wprowadzi te wszelkie zmiany i ulepszenia, które wskaże praktyka. Na razie są pewne widoczne braki, ale te braki płyną po prostu ze szczupłych zasobów finansowych, którymi rozporządza Szkoła. Tak n. p. niema ona własnego lokalu, ale korzysta z gościny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Niema własnej biblioteki i pracowni, z którejby mogli z łatwością korzystać jej uczniowie. Trudno o książki podręczne, trudno o materyały statystyczne, zwłaszcza wobec wielu luk, które wykazuje Biblioteka Jagiellońska.

Bez własnej pracowni, otwartej w stałych godzinach, zaopatrzonej w główne dzieła z zakresu nauk politycznych i ekonomicznych praca w Szkole jest bardzo utrudnioną. Uczniowie muszą czynić nieraz długie poszukiwania za potrzebnym matery-

ałem, prelegenci na wykładach lub asystenci na ćwiczeniach seminaryjnych nie mogą czasem odesłać uczniów do tego lub owego dzieła, gdyż nie wiadomo, czy ono w danej chwili będzie dostępne. Taka pracownia z zakresu nauk społecznych, którą rozporządza dzisiaj niemal każde większe miasto zachodnio-europejskie, jest konieczną nietylko dla Szkoły, jest niezbędną dziś dla każdego, kto pracuje w tej dziedzinie, gdyż biblioteki o charakterze ogólnym nie są w stanie zgromadzić bieżącej literatury, tak obfitej tutaj i tak różnorodnej. Ale nie można takiej instytucyi stworzyć odrazu, chyba, że się znajdzie jaki hrabia de Chambord, któremu w Paryżu zawdzięcza swój byt Muzeum społeczne.

Utarte zdanie mówi, że każdy początek jest trudny. Ale w naszych warunkach, przy naszej kulturze duchowej, zdarzają się wyjątki od tej reguły. Nas nieraz z początku ogarnia słomiany zapał, nieraz tworzymy coś zakrojonego na szersze rozmiary, a czas dopiero ten pierwotny entuzyazm chłodzi i całą rzecz usuwa w zaniedbanie. A przytem u nas ludzie lubią rzeczy nowe, które mogą stać się modnemi i cieszyć się odrazu pozornie dużem poparciem. Nie na tem tle jednak wyrosła Polska Szkoła Nauk Politycznych w Krakowie.

Nie powołał jej do życia dorywczy zapał, ani nie starała się ona zyskać sobie popularności przez hałaśliwą reklamę dziennikarską, przez dążność, by swoje wykłady uczynić tłumnymi za wszelką cenę. Instytucya oparta na poważnych podstawach nie może wchodzić w takie kompromisy, któreby miały osłabić jej wartość naukową i pedagogiczną. Nie może starać się, by stać się modną, czy to dzięki bardzo aktualnym tematom lub głośnym prelegentom, czy to dzięki wszelkim możliwym ułatwieniom dla wszystkich, bez względu na ich kwalifikacye i gotowość do stałej pracy. Bo tylko ten wysiłek, którego się nie mierzy natychmiastowym efektem, jest wysiłkiem dla przyszłości.

Roman Rybarski.

Ozanam jako teoretyk i działacz społeczny.

W setną rocznicę urodzin.

I.

Ozanam przyjechał do Paryża pod koniec 1831 r. na studya wyższe prawa, albowiem życzeniem rodziców było, by się przygotował do zawodu adwokackiego. Co Ozanam zastał w Paryżu? w jakiem przebywał środowisku i jakie wpływy na niego oddziaływały? Sprawa to ważna. Z jednej bowiem strony duch czasu bezwiednie urabia nasze przekonania, a z drugiej znaczenie działalności człowieka ukazuje się w właściwem świetle dopiero, gdy się je porówna z potrzebami i dążeniami czasu. Im jednostka wybitniejsza, tem łatwiej usamowolni się z pod bezwiednej władzy ducha czasu, rozpatrzy go krytycznie, tudzież tem doskonalej swojemi dziełami odpowie potrzebom współczesności.

Karol X nie był wrogo względem Kościoła usposobiony. Sam poddał się kościelnemu obrzędowi koronacyi i namaszczenia. Za jego rządów dla obrony katolicyzmu przeprowadzono w r. 1825 prawo, karzące bluźnierstwo. Duchowieństwu okazywano przychylność. Kierownictwo kilku seminaryów powierzono Jezuitom. Jednakowoż ogół ludności, zastarzały w błędach wolteryanizmu, pod wpływem polityków nieraz występował wrogo w sprawach kościelnych. Wielką burzę wywołała sprawa Jezuitów. Minister wyznań bp. Frayssinous oświadczył na mownicy parlamentarnej, że kilka mniejszych seminaryów zostaje pod zarządem Jezuitów. Było to powodem gwałtownej kampanii przeciw temu zakonowi

i przeciw rządowi. Rząd upierał się, wreszcie za gabinetu Martignaca ustąpił i 16 czerwca 1828 r. wydał królewskie rozporządzenia. Jeden z tych ordynansów poddawał owe szkoły, było ich osiem, pod nadzór uniwersytetu i wymagał, aby na przyszłość każdy profesor i kierownik seminaryum mniejszego składał piśmienne oświadczenie, że nie należy do zakonu Jezuitów. Drugi ordynans nakazywał, aby mniejsze seminarya nie przyjmowały eksternów, aby liczba uczniów we wszystkich tych zakładach nie przekraczała 20.000 osób, aby uczniowie dostawali stopień bakalaureatu dopiero jako klerycy i aby uczniowie, mający czternaście lat, a będący od dwóch lat w mniejszem seminaryum nosili suknię. W ten sposób te rozporządzenia przywracały monopol uniwersytetu paryskiego i jego nadzór nad kościelnymi zakładami szkolnymi wedle postanowień Napoleona, ograniczały działalność szkolną Kościoła, a uniemożliwiały też działalność Jezuitów.

Obok tego wrogiego usposobienia parlamentu i mas dla spraw katolickich, obok ateizmu, istniało drugie zło, również groźne. To ścisły związek religii z monarchią, oraz, co było gorsze, służba religii w sprawie monarchii, wyzyskiwanie religii dla niej. Gdy z każdym rokiem panowania Karola X wzrastała niechęć do monarchii, mnożyło się też coraz więcej niechętnych i nieprzyjaciół religii, którą uważano za służebnicę i podporę monarchii. „Dążenie do popierania monarchii przez religię obudziło przeciwko tej ostatniej nowych wrogów i tem większe podejrzenie, że w otoczeniu króla nie brak było pochlebców, których wziąć sobie mogła satyra za dogodny cel swych pocisków, gdy i duchowieństwo, w znacznej części niewyposażone jeszcze w należyte wykształcenie, posuwało się niekiedy w swej gorliwości zbyt daleko".[1] Zasłużone czasopismo *L' Ami de la religion et du roi* opuściło dodatek „i króla" dopiero po rewolucyi 1830 r. A pewien Karlista, D' Arbois de Jubainville nie ukrywał wcale zdziwienia, gdy jaki ksiądz tłumaczył zgodnie z teologią, że

[1] Kard. *Hergenröther*: Historya Powszechna Kościoła katolickiego. Warszawa. 1904. XVI. 121.

Kościół uznaje i przyjmuje wszystkie formy rządu i że nie musi dawać Burbonom żadnej przewagi ze względów dogmatycznych.[1]

To łączenie monarchii z religią było pozostałością gallikanizmu zarówno u dworu, jak i wśród niektórych duchownych. Burboni zaliczali gallikanizm do tradycyi swego dworu. Trybunał królewski w Paryżu oświadczył w r. 1825, że deklaracya z 1682 r. musi być uważana za ustawę państwową.

Rewolucya 1830 r. objęła jedną nienawiścią monarchię Burbonów i kler. Księdzu trudno się było pokazać na ulicach Paryża. 14 lutego 1831 r. sprofanowano kościół Saint-Germain l' Auxerrois, w którym się odbywało nabożeństwo żałobne za zamordowanego księcia Berry. Nazajutrz zburzono pałac arcyb. Quelen. Nowa konstytucya za Ludwika Filipa nie uznawała religii katolickiej za państwową, jak było za Karola X, lecz za religię większości Francuzów.

Wśród kierunków społecznych na pierwsze miejsce wysuwał się Saint-simonizm. W r. 1825 H. Saint-Simon ogłosił *Nouveau christianisme*, nową religię, która miała mieć swojego zwierzchnika i kapłanów, jej przykazaniem była miłość bliźniego, ujawniająca się w pracy nad podniesieniem materyalnego dobrobytu ludu. Saint-simoniści tworzyli gminy religijno-gospodarcze, nauczali, zdobywali zwolenników nietylko w Paryżu, lecz i na prowincyi. Dzięki świetnie prowadzonej korespondencyi i prasie nauczanie paryskie odrazu przedostawało się na prowincyę, gdzie w każdem większem mieście na północy mieli swój kościół. Do Lyonu, które według Enfantina było *ville des prêtres et des ouviers*,[2] przybyło trzech misyonarzy: Laurent, J. Reynaud, P. Leroux. W ciągu dwóch lat, od 1830 do 1832 ogłosili w postaci broszur propagandy 18 milionów stronic.[3]

Sami przedstawiciele wyższego nauczania nie mogli w uczniów wlać wiary, gdyż jej nie posiadali. Ampère, który wskazywał har-

---

[1] *D'Arbois de Jubainville*: Deux manières d'écrire l'histoire. 1896. Wstęp. Przyt. u *G. Weill*, Histoire du catholicisme libéral en France. 1828—1908. Paris 1909, str. 63.

[2] *Fidao*: Les droits des Humbles. p. 139.

[3] *J. Thonissen*: Le socialisme depuis l'antiquité. Louvain 1852, II: 26.

monię Biblii z geologią, nie miał towarzyszy wiary i nadziei. Wprawdzie wojujących ateistów wśród profesorów nie było, wszelako niektórzy mistrzowie obrażali uczucia katolików, zwłaszcza dwaj: Jouffroy i Letronne. W roku szkolnym 1831-1832 Jouffroy głosił, że chrześcijaństwo ma na celu przygotowanie ludzkości do poznania prawdy bez osłon i symboli; dopóki też tej pracy nie dokona — a dotychczas częściowo jej tylko dokonało — istnieć będzie; że katolicyzm niszczy wolność i naukę.[1]

A uczniowie? Było kilku, którzy protestowali przeciw duchowi wykładów, podając profesorowi zarzuty i wątpliwości przeciw jego doktrynom. Tak postąpił Lallier, Ozanam i tych piętnastu, którzy się podpisali pod listem, skierowanym przez Ozanama do Jouffroy. Tej opozycyi katolickiej, gdy dawniej była materyalistyczna przeciw spirytualizmowi, dziwił się sam Jouffroy. Jednakowoż ogół młodzieży stał zdala od chrześcijaństwa, błąkając się po bezdrożach filozofii i socyologii. Świadczy o tem Ozanam w konferencyi, mianej w towarzystwie św. Wincentego à Paulo we Florencyi 30 stycznia 1853 r. Wspominając o pierwszem zebraniu konferencyi paryskiej w maju 1833 r. mówi: „Byliśmy wtedy zalani potopem doktryn filozoficznych i heterodoksyjnych, które rozwijały się obok nas. Odczuwaliśmy pragnienie i potrzebę wzmacniania swej wiary wobec napadów, skierowanych na nią przez różne systemy błędnej nauki. Niektórzy z naszych młodych towarzyszy byli materyalistami, niektórzy są symonistami, niektórzy znów — furierystami, inni — teistami".[2]

Wobec tych wszystkich wpływów i kierunków Ozanam trzymał się mocno: nietylko im nie ulegał, ale nawet potrafił się im sprzeciwiać i walczyć z nimi.

---

[1] Ob.: Lettres d'Ozanam. Paris, Gigord 1912 [8]. I: 48.

[2] *Mélanges*. Paris, Lecoffre 1855, II: 39. Wyd. zbiorow. t. VIII. Zdaniem Saint-Chamans (Le croque mitaine e M. Montlosier) na 400 uczniów wyższych szkół, najwyżej 15 lub 20 przystępowało do Komunii wielkanocnej, i to jeszcze w ukryciu. Przyt. w „Ozanam. Livre du Centenaire" par G. Goyau, L. de Lanzac de Laborie, H. Cochin, E. Jordan, C. Duthoit, A. Baudrillart avec préface de R. Doumic. Paris. 1913, str. 7—8, dopisek.

Złożyło się na to wiele przyczyn, najpierw wychowanie, potem środowisko uczonych i działaczy katolickich.

Ozanam wychował się w rodzinie inteligentnej i praktykującej. Miłość wiedzy, zwłaszcza literatury, połączona z głęboką a żywą wiarą obojga rodziców nie rzucała w umysł Ozanama wątpliwości i podejrzeń, że wiara i nauka mogą pozostawać w sprzeczności. Gdy się o tej rzekomej niezgodzie dowiedział z zewnątrz, nie był bezbronny, gdyż od dzieciństwa patrzał na co innego.

Bo i on poznał, co znaczy wątpliwość w wierze. Ale te powątpiewania, które go trapiły, przyszły doń z zewnątrz, wraz z wiadomościami, że istnieje niewiara i niewierzący. Przyszły w chwili, gdy jego tradycyjna wiara młodzieńcza zamieniała się na krytyczną i rozumną wiarę świadomego chrześcijanina. „Ponieważ słyszałem, jak mówiono o niewierzących i niewierze, pytałem sam siebie, dlaczego wierzę? Wątpiłem, a przecież chciałem wierzyć. Odrzucałem wątpliwości. Czytałem wszystkie książki, dowodzące prawdziwości religii, ale żadna nie zadowalała mnie całkowicie. Miesiąc lub dwa wierzyłem, oparty na tem lub innem rozumowaniu, aliści nowe zarzuty się zjawiały — i znów wątpiłem. Oh, jakżeż cierpiałem! Wszak chciałem pozostać religijnym. Moja wiara nie była ugruntowana. Wolałbym był wierzyć nawet bez posiadania dowodów, niż wątpić, gdyż to mnie zbyt dręczyło".[1]

O tym przełomie w swojem życiu wspomina Ozanam w dwadzieścia lat później we wstępie do „Cywilizacyi V wieku". W chwili, gdy się trzymał oburącz dogmatów, ale już bez nadziei, przyszedł ratunek od profesora w kolegium lyońskiem, od ks. Noirot. „Zbawiły mię wykłady księdza filozofa. Ten kapłan wprowadził do moich myśli porządek i światło. Wierzyłem odtąd wiarą silną i wzruszony tak rzadkiem dobrem, przyrzekłem Bogu, że poświęcę swe dni na służbę prawdy, która mi dała pokój".[2]

[1] List z 5 stycznia 1830 r. do Materny. Przyt. przez Goyau w „Ozanam. Livre du centenaire". 1913: 5.

[2] La civilisation au V s. I: 2—3. Tom I. Oeuvres complètes de F. Ozanam. Paris 1855.

Noirot przeto odegrał wielką rolę w życiu Ozanama, nie przez swą filozofię, lecz przez swego ducha. Noirot był eklektykiem na podstawie kartezyańskiej.[1] Kartezyanizmu na Ozanamie nie znać, znać natomiast gorącego ducha niezachwianej wiary, której był pełen Noirot i którą potrafił przelać w swoich uczniów, urabiając ich dusze.

Zaznaczyć jednak trzeba, że filozoficzne przekonania Noirota wywarły wpływ na stosunek Ozanama do filozofii scholastycznej. Był to okres pogardy i lekceważenia filozofii katolickich wieków średnich. Scholastyka nie miała w tym czasie wybitnych przedstawicieli. Liberatore swoje *Institutiones* wydaje dopiero w r. 1843. Prace zaś historyczne zjawiają się jeszcze później: Plassmanna *Die Schule des hl. Thomas* od 1857 do 1862 r., Stöckla *Geschichte* w 1864—1866, Hauréau *Histoire de la philosophie scolastique* w 1872—1880 i t. d.[2] Noirot nie wzniósł się ponad ducha swego czasu w tym względzie. Gdy Ozanam pytał się Noirota, jakich ma czytać filozofów, otrzymał odpowiedź: Richeranda, Bacona, Lockea, Bonneta, Kondillaka, Platona, Kartezyusza, Leibnitza. O filozofii średniowiecznej mu nie wspomniano. To też Ozanam nie potrafił w początkach swej naukowej karyery należycie jej ocenić. W pozostałych notach z wykładów o filozofii św. Augustyna Ozanam zdaje się sprowadzać filozofię średniowieczną do filozofii św. Anzelma i św. Tomasza, a ich pracę znów do komentowania św. Augustyna.[3] W artykule zaś o dwóch kanclerzach angielskich (rok 1836) taką znajdujemy ocenę filozofii scholastycznej. „Filozofia scholastyczna lubowała się raczej w jaskrawych dyskusyach, aniżeli w cichych dumaniach. Miłowała ona uroczystości, odświętność tez publicznych, zgiełk ogromnego audytoryum, podzielonego

---

[1] Dwaj uczniowie Gourju (Précis d'un cours de Philosophie élémentaire. Lyon 1842. i Tissandier (Leçons de Philosophie. Lyon 1852) ogłosili zachowane notaty z wykładów Noirota.

[2] Por. *Ks. Dr. Radziszewski*: Odrodzenie filozofii scholastycznej. Warszawa 1901: 42, nast. *De Wulf*: Histoire de la Philosophie médiévale. Louvain 1905[2]: 132 i nast.

[3] La civilisation au V. s. I: 394.

na walczące stronnictwa, harde zwycięstwo decydującego dowodu. Mało się ona zresztą troszczyła o nowe doświadczenia".[1]

Pozatem jednak wpływ ks. Noirota na religijny zapał i przekonania Ozanama był wielki. Wszak wzmocniony jego wywodami, Ozanam poprzysiągł służbę Prawdzie, która daje pokój!

W tym samym kierunku, w kierunku wzbudzania zapału katolickiego, ultramontanizmu i wiary w przyszłość religii w demokracyach działał inny wpływ. Mowa tu o ruchu awenirskim.

Pierwszy numer *Aveniru* wyszedł 1 października 1830 r. pod redakcyą ks. Lamennais przy bezpośredniem współpracownictwie Montalemberta, XX. Gerbeta, Lacordairea i in. Celem pisma i całego kierunku było przywrócenie żywotności wierze, wyzwolenie religii ze służby i nadmiernej opieki rządu, przedewszystkiem monarchii, zwalczanie ateizmu i gallikanizmu. W *Progrès de la Révolution et de la guerre contre l' Eglise*, wydanym w 1829 r., Lamennais zwalcza ateistyczny liberalizm, jako niszczyciela porządku społecznego: liberalizm wyzwala rząd i społeczeństwo z pod władzy ludu i króla, opiera się tylko na indywidualnym rozumie i przez to, przez negowanie autorytetu legalnej władzy, prowadzi do anarchii. Lamennais zwalcza tam też gallikanizm, jako filozofię niewolnictwa: gallikanizm wyzwala królów z pod władzy prawa i sprawiedliwości, wydaje religię na nieszczęście i pośmiewisko królewskich kaprysów, przez co stwarza ku niej nienawiść ludu, jako ku rzekomej podporze despotyzmu. Prawdziwego porządku gwarancyą jest tylko wolność we wszystkich kierunkach, zwłaszcza zaś wolność religijna i polityczna. W pierwszym numerze *Aveniru* Lamennais wystąpił z gorącą obroną i propagandą nowej metody: połączenia Boga i wolności, które jedynie pozostały we Francyi

---

[1] *Melanges* II: 376—377. Całkiem już inaczej i zgodnie z rzeczywistością ocenia Ozanam filozofię scholastyczną, której najwybitniejszych przedstawicieli widzi w Albercie W., R. Baconie, św. Bonawenturze i św. Tomaszu, w swej rozprawie doktorskiej: Essai sur la philosophie de Dante z r. 1839. Drugie wydanie nosi tytuł: Dante et la Philosophie catholique au XIII s. (Paris, Lecoffre 1845), por. 27 i nast.

mimo wszelkie rozruchy i ruiny polityczne, połączenia papieża i ludu w celu stworzenia nowego porządku społecznego.[1]

Poglądy awenirskie przebiegły społeczeństwo tamtoczesne i wstrząsły niem, jak iskra elektryczna, jak burza, która zaciemnia powietrze, wywołuje zgrozę i lęk, łamie drzewa i wywraca, ale też oczyszcza atmosferę. Ruch awenirski zastał Ozanama w Lyonie. Nie mógł on nie podziałać na młodą, entuzyastyczną i ofiarną dla bliźnich, a łaknącą sprawiedliwości duszę Ozanama. Wolność, wolność dla religii i Kościoła, przewodnictwo papieża, miłość ludu — toć to hasła, które rozniecały gorączkowy zapał i przesłaniały przed oczami poważne niebezpieczeństwa i błędy nowego kierunku. Ozanam, jak świadczy jego przyjaciel L. Curnier, gorliwie czytywał *Avenir* i zapalał się do jego poglądów, do tej demokracyi religijnej, opartej na związku katolicyzmu z wolnością. Jednakowoż nie pochwalał gwałtowności i uporu polemicznego oraz skłonności do inwektyw;[2] tembardziej zaś, oczywiście, błędów filozoficznych i teologicznych.

Później w Paryżu Ozanam miał sposobność osobistego zetknięcia się z Lamennaisem przed samym tegoż wyjazdem do Rzymu. Rozmawiali ze sobą długo, ale nie mamy żadnych śladów tych wrażeń, które niezawodnie obaj odnieśli ze spotkania.

W Paryżu Ozanam zamieszkał u A. M. Ampère, do którego miał rekomendacye z Lyonu. Ozanam stał się przyjacielem Ampère. Korzystał wiele z wiedzy uczonego fizyka. Nietylko wiedza, lecz i gorąca wiara Ampère odpowiednio oddziaływała na Ozanama. L. Curnier daje nam tego świadectwo. „Pewnego dnia — mówi — Ozanam, zgnębiony chwilą zniechęcenia, któremu niekiedy podlegał i którego nie mógł przezwyciężyć mimo wysiłków w tym kierunku, wszedł do kościoła, by tam szukać wzmocnienia w modlitwie. Kościół był prawie pusty... Ozanam

[1] Por. *G. Weil*: Histoire du catholicisme libéral en France, 1828—1908. Paris 1909: 13, 31 i in. *Ks. Ant. Szymański*: Studya i szkice społeczne, roz.: Historya katolicyzmu społecznego, 100 i nast. Warszawa. Bibl. dzieł chrześc. 1913. *Progrès* miało niebywałe powodzenie: w ciągu dwóch tygodni rozeszły się wszystkie 6.000 egzemplarzy. Weil l. c. 16.

[2] *L. Curnier*: La jeunesse de Fr. Ozanam. Paris 1890: 34—37.

spostrzegł w kącie jakiegoś mężczyznę, który bardzo gorliwie się modlił. Zbliżywszy się, przekonał się, że to Ampère. Widok tego potężnego ducha, korzącego się przed Bogiem, jak ongi to czynił Kartezyusz i Paskal, miał tyle w sobie siły, że wystarczył, aby podnieść upadającą odwagę".[1]

Z innych, którzy w Paryżu wywarli duży wpływ na umysłowość Ozanama, trzeba wymienić ks. Gerbet. W styczniu 1832 r. pod wpływem Ozanama ks. Gerbet, przyszły biskup z Perpignan, urządził szereg konferencyi, które w zamiarze inicyatora miały być zarodkiem pożądanych uniwersytetów katolickich. Przedmiotem konferencyi ks. Gerbet była filozofia historyi, de Coux miewał wykłady ekonomiczno-społeczne, a d'Ault-Dumesnil mówił o literaturze hiszpańskiej. Wszyscy mówcy ze szkoły awenirskiej. Słuchacze E. Bozé, de Kertanguy, sekretarz ks. Lamennais, i in. wydali konferencye ks. Gerbeta pod tytułem: *Introduction à la. philosophie de l' Histoire par l' abbé Gerbet.*[2] Gerbet mówił o filozofii chrześcijańskiej, której twórcę przewidywał w ks. Lamennais, o postępie chrześcijańskim, o katolicyzmie, jako zasadzie cywilizacyjnej, o miłości w życiu społecznem. Na początku 1833 r. padły z ust Gerbeta poważne słowa: „Jeśli warstwy ludowe poruszą się, zanim chrześcijaństwo przeniknie umysły, to Europa będzie świadkiem okropnych walk, którym podobnych może nie było w rocznikach dziejów. Ten stan rzeczy przedewszystkiem dziś ludzie religijni powinni pojąć. Skoro to pojmią, nabiorą jednocześnie przekonania, że ich czeka i woła wielki obowiązek. Jeśli chcą oddalić od religii i od społeczeństwa bezprzykładne nieszczęścia, nie wystarczy, że zerwą z porządkiem politycznym przeszłości. Nic nie pomoże, jeśli go porzucą, a schowają się pod wstrętny namiot, który na grobie średniowiecza chce zbudować nową feodalność.[3] Lecz przeciwnie, potrzeba, by ci ludzie religijni śmiało wkroczyli w przyszłość, by się stali obrońcami, regulatorami i przewodnikami interesów tłumu, interesów naprawdę

[1] *L. Curnier*: La jeunesse de Fr. Ozanam. 53.
[2] 1832.
[3] T. j. feodalizm bogactwa.

ludowych, których nieomylne zwycięstwo, ściśle złączone ze zwycięstwem miłości i sprawiedliwości, zakończy bieg społeczny, którego różne stopnie rodzaj ludzki już przebiegł. Z tego powodu, panowie, otwiera się nowy zawód dla miłości przed kapłaństwem, albo raczej przed każdym chrześcijaninem, albowiem każdy chrześcijanin jest kapłanem, mającym spełniać ofiarę miłości". Ta praca na przyszłość, to pełnienie nowych zadań miłości ma być dokonane przez połączenie tej cnoty z ekonomią polityczną. Ekonomia nie powinna, jak dotąd, być na usługach bogaczy. „Prawdziwa ekonomia polityczna polega na wprowadzeniu miłości do wielkiego ciała nauk materyalnych. To połączenie daje tym naukom duszę, a miłości pełniejszą i potężniejszą organizacyę. W ten bowiem sposób miłość za pomocą nowych środków działania, które jej daje nauka, może intenzywniej działać i stwarzać instytucye, mające na celu nietylko ulżenie cierpieniu jednostek, ale także poprawę bytu całych klas".[1]

Karol de Coux nie zawsze był wierzącym katolikiem. Przed osiedleniem się w Paryżu podróżował po Ameryce. W Ameryce zajmowały go bardzo zagadnienia religijne. W konferencyi wstępnej do kursów ekonomii politycznej oświadczył, że ekonomiści odebrali mu wiarę, ale *une étude consciencieuse des faits*, lepsze i głębsze poznanie zjawisk życia ekonomicznego, jak i nauki chrześcijańskiej przekonało go, że „katolicyzm zawiera w swych wnioskach praktycznych najwspanialszy system ekonomii, jakiego jeszcze na ziemi nie było". Jak badanie prawdy, tak też i studyum tego, co pożyteczne, prowadzi do uznania prawdziwości katolicyzmu. Przeto ekonomia stanowi część apologetyki chrześcijańskiej.[2]

W takiem środowisku i otoczeniu żył i kształcił się Ozanam. Było to środowisko uczonych i działaczy katolickich, pełne

[1] Wyjątki z V konferencyi. Przyt. *Calippe*: Ozanam. Paris. Tralin (La Pensée et l'oeuvre sociale du christianisme). 1913: 49—51.

[2] *Ch. de Coux*: Essais d'économie politique, Paris 1832, i Cours d'économie sociale w Université catholique, 1836—1837. Por. życiorys w Annuaire de l'Université catholique de Louvain, rok 1865. Nadto *Eblé*: Les écoles catholiques d'économie politique et sociale en France. Paris 1905: 9.

zapału dla dobrej sprawy i nowych idei. Niektórzy z nich, głośni na cały świat, często zbierali się w salonach Montalemberta. W zebraniach tych uczestniczył też Ozanam i na nich, dodamy nawiasem, poznał Mickiewicza. W późniejszym wieku Ozanam zdawał sobie sprawę z szczęśliwych warunków, w jakich się kształcił i rozwijał. W jednym przeto ze swoich listów pyta się siebie z niepokojem, czego Bóg chciał od niego, gdy go umieścił w tak wyjątkowych warunkach.

II.

Okres, w którym żył Ozanam, był czasem walk politycznych i rewolucyi. Pod kątem polityki patrzano na wszystko. Sprawy religijne i społeczne też przeważnie z tej strony ujmowano. Ozanam stał zdala od polityki, wyznawał swą niekompetencyę w tym kierunku. Chwilowo i wyjątkowo zajął się polityką w r. 1848, postawił nawet zmuszony swoją do parlamentu kandydaturę w Lyonie, gdzie zresztą przepadł, ale czynił to wszystko, mając cele społeczne na widoku, a w ostatecznym rachunku cele religijne, spełnienie obowiązków swego powołania.

Spraw politycznych Ozanam nigdy nie uważał za zasadnicze. W liście do Falconneta z d. 21 lipca 1834 r. oświadcza, że pragnąłby unicestwienia ducha politycznego na społeczny. Zagadnienie społeczne jest bowiem tem zagadnieniem, które stanowi istotę prawie wszystkich ruchów politycznych i które jest objawem powstania nowych niezaspokojonych przez stary ustrój potrzeb. Jest to sprawa chleba, walka między tymi, którzy mają zbyt wiele, a tymi, którzy nic nie mają, albo też chcą mieć więcej, walka między całemi klasami, mocnemi potęgą złota lub też potęgą rozpaczy. Ale nie jest to wyłącznie walka o chleb: jest to też walka o dusze, o panowanie sprawiedliwości i miłości, o zwycięstwo egoizmu lub ducha ofiary, o to, czy ustrój społeczny ma wyzyskiwać wszystkich na korzyść silniejszych, czy też ma on się opierać na ofiarnej pracy wszystkich dla dobra wszystkich, a przedewszystkiem najniższych, najbardziej upośledzo-

nych i słabych. Na dnie więc zagadnienia społecznego leży zagadnienie moralne. Stąd też środki naprawy nie mogą być wyłącznie materyalne. Potrzeba ducha ofiary. Sprawiedliwość jest konieczna, ale nie jedyny to środek. Miłosierdzie niezbędne, jako uzupełnienie sprawiedliwości, jako lecące rany i łagodzące twardość mojego i twego, oraz tego, co się komu należy. Ale ponad miłosierdziem ma być miłość, jako cnota samoistna i równorzędna ze sprawiedliwością. Ustrój chrześcijański jest dziełem jednej i drugiej. Odwoływać się tylko do sprawiedliwości, to skazywać się prawie na bezpłodność. Dzieje świadczą o tem. Tworzenie się społeczeństw chrześcijańskich też o tem świadczy. A im większa była nędza i im krzywd więcej, tem potężniejszem musiała miłość płynąć korytem, aby łagodzić, wyrównywać, leczyć, budować i na wyższy stopień podnosić społeczeństwo. Walczący mało mają zrozumienia dla siebie. Przeto Bóg zsyłał ludzi, którzy wskutek swego stanowiska nie są zaangażowani w walce, a są za to w takiem położeniu, że mogą walkę łagodzić, poważnionych do zgody i sprawiedliwości i miłości przywodzić. Mogą i powinni, to ich obowiązek przyrodzony. „Jeśli — pisał Ozanam do Janmot d. 15 list. 1836 r. — chore społeczeństwo średniowieczne mogło być uleczone jedynie dzięki wielkiemu wylewowi miłości, dokonanemu przedewszystkiem przez św. Franciszka z Asyżu; jeśli później nowe cierpienia wymagały opiekuńczych rąk św. Filipa Nereusza, św. Jana Bożego i św. Wincentego à Paulo, to ileż potrzeba obecnie miłości, poświęcenia, cierpliwości, aby zleczyć cierpienia tych biednych ludów, nieszczęśliwszych jeszcze od innych, albowiem pozbawionych pokarmu dla duszy w tej właśnie chwili, kiedy im zaczynało niedostawać chleba! Zagadnienie, które dzisiaj dzieli i różni ludzi, to nie sprawa form politycznych, lecz sprawa społeczna; to troska o to, co zwycięży: duch egoizmu czy duch ofiary, czy społeczeństwo ma być tylko wielkiem przedsiębiorstwem na korzyść najsilniejszych, czy też poświęceniem się każdego na pożytek wszystkich, a przedewszystkiem najsłabszych. Jest wiele ludzi, którzy mają zbyt dużo, a którzy chcą mieć jeszcze więcej; więcej jest takich, którym niedostawa,

którzy nic nie mają i którzy pragną sami zabrać, gdy im nie będzie dane. Między temi dwiema warstwami ludzi poczyna się walka, zapowiada się ona, że będzie straszna : z jednej strony — potęga złota, z drugiej — potęga rozpaczy. Między temi dwiema wrogiemi armiami trzeba nam stanąć, ażeby przeszkodzić zderzeniu, a przynajmniej, aby je osłabić".[1]

Gdy przyszła rewolucya 1848 r., Ozanam w liście do swego brata, księdza, pisał, że pod pozorami rewolucyi politycznej kryje się rewolucya socyalna, że ludziom nie chodzi o wybory, nowe urzędy i t. d., lecz o organizacyę pracy, odpoczynku, zapłaty. Jeśli się tych żądań nie zaspokoi, a przynajmniej nie weźmie pod uwagę, to rewolucya wybuchnie na nowo za jaki dziesiątek lat, albo i wcześniej. Jaka szkoda, że od czasu, gdy robotnicy siłą orężną postawili te zagadnienia na porządku dziennym w Lyonie 1831 r., rząd nic nie zdziałał, nie przygotował się do pracy ogromnej, bo każda prawie reforma praktyczna, n. p. interwencya rządu między robotnikami i fabrykantami prowadzi do przeróbki ustroju społecznego. Nie trzebaby było teraz iść po omacku.[2]

Ozanam wobec tego nie mógł pozostać obojętnym widzem rewolucyi. W kwietniu 1848 r. zaczął wydawać pismo *L' Ere nouvelle* (od 15 kwietnia 1848 do 9 kwietnia 1849 r.) wraz z Lacordairem, de Coux, ks. Maret, ks. Gerbet i in. Bronił tam społecznych nauk Kościoła, ludu i wolności, co wszystko razem obejmował mianem demokracyi chrześcijańskiej.

---

[1] Lettres de Fr. Ozanam, I: 220—221. Por. też list do A. Lallier z 5 list. 1836: „Si la question qui agite aujourd'hui le monde autour de nous n'est ni une question de personnes ni une question de formes politiques, mais une question sociale; si c'est la lutte de ceux qui n'ont rien et de ceux qui ont trop, si c'est le choc violent de l'opulence et de la pauvreté qui fait trembler le sol sous nos pas; notre devoir, à nous chrétiens, est de nous interposer entre ces ennemis irréconciliables, et de faire que les uns se dépouillent comme pour l'accomplissement d'une loi, et que les autres reçoivent comme un bienfait; que les uns cessent d'exiger et les autres refuser; que l'égalité s'opère autant qu'elle est possible parmi les hommes; que la communauté volontaire remplace l'impôt et l'emprunt forcé; que la charité fasse ce que la justice seule ne saurait faire". Lettres. I: 209—210.

[2] Lettres. 1912 [8], II: 196.

Dziwny był rok 48. Lud miejski i robotniczy, podnoszący rewolucyę przeciw monarchii, nie był wrogi ani dla religii, ani dla duchowieństwa, jak to było w r. 1831. W czasie walk najbardziej gorących walczący szukali księży, aby od nich mogli otrzymać ostatnie namaszczenie. Wziąwszy krzyż z kaplicy Tuileries, lud w uroczystej procesyi poniósł go do kościoła św. Rocha, aby nie był nadal profanowany przez pozostawanie „w miejscu krzywoprzysięstwa".[1] Objawem przychylności ludu dla religii i Chrystusa Pana były, między innemi różnego rodzaju uczty, liczne bardzo zwłaszcza w okresie Bożego Narodzenia. Oto sprawozdanie z jednej takiej uczty, podane w *Peuple*: „Zebranie otwarto uroczyście czytaniem mowy na górze. Hymn braterstwa, odśpiewany ze skupieniem, poprzedził toasty, których listę podajemy. Toast do Chrystusa, ojca socyalizmu wzniesiony przez pewną panią, której imienia nie znamy. Na zstąpienie Boga na ziemię! przez p. Janinę Deroix itd. Nasz przyjaciel Piotr Leroux, który zawsze chętnie odpowiada na wezwania swoich braci i przyjaciół, nawiązał do kazania na górze, komentował je i witał przyjście nowej religii, opartej na solidarności, uznanej przez przyzwolenie serca i potwierdzenie nauki. Nastąpiły toasty: Na Boże Narodzenie przez p. Brazier, Do Saint-Just, męczennika Termidoru, przez Hervego. Na cześć Chrystusa żyjącego, na cześć Francyi przez Bernarda".[2]

Oczywiście ta nowa religia ludu nie była prawowiernym katolicyzmem. Wszelako nie zrywała ona z chrześcijaństwem: chciała je tylko na swój sposób uczynić odpowiedniem do nowych potrzeb. Do katolików na ogół nie była wroga usposobiona. Większość członków rządu była religijnie usposobiona, niektórzy byli katolikami.

Sami katolicy nie okazywali nieprzyjaźni nowemu rządowi. Arcybiskup Paryża uznał nowy rząd zaraz 24 lutego. Uznał go też papież. Ks. Parisis, L. Veuillot, ks. Maignan, nie mówiąc już

---

[1] *Cabane*: Histoire du clergé de France pendant la révolution de 1848, p. 50. u *Weila*: p. 90.

[2] Przyt. u *H. Joly*: Le socialisme chrétien. Paris 1892, 199 w rozdziale: La crise de 1848, st. 180—237.

o redakcyi *Nowej Epoki*, stanęli też po stronie republiki. Tylko Józef de Maistre i Montalembert stali na uboczu, niechętnie patrząc na demokracyę. Redakcya *Ere Nouvelle* wypowiedziała się zaraz w pierwszym numerze, że wierzy silnie w sprawiedliwość tylko co dokonanej rewolucyi, że ta rewolucya nie tylko była dopuszczona, ale chciana przez Boga; że jest ona jednym z najszacowniejszych i najpłodniejszych ruchów.[1]

Katolicy oczywiście nie usprawiedliwiali i nie mogli usprawiedliwiać nadużyć i zbrodni rewolucyi. Ozanam wypowiedział swój sąd o dokonanej zmianie ustroju między innemi w zakończeniu rozprawy o rozwodzie. Jego zdaniem rozwód jest dziełem liberalizmu, który ma więcej nienawiści do religii, aniżeli miłości do wolności i który potrafi tylko niszczyć, przywiązując się do samych ruin i niszczenia. Demokracya postępuje inaczej: ona żąda organizacyi. Ponieważ zaś cechą istotną demokracyi jest reorganizacya z dołu, przeto należy zacząć od rodziny. „Rewolucya powstała przeciw egoizmowi: trzeba przeto, aby ją poświęcił duch ofiary. Rewolucya powstała przeciw zepsuciu, t. j. przeciw społeczeństwu upadłemu, które już nie miało odwagi do nienawidzenia zła, które oddawało urzędy sprytowi bez wiary i honory talentowi bez cnoty. Rewolucya skończy się powstaniem nowego społeczeństwa, które wyjdzie z pracy, z niedostatku, z tego wszystkiego, co wzmacnia swem działaniem sumienie i wolę. To społeczeństwo jest ubogie, pracujące. Potrzeba tylko, by było czyste, aby posiadło to, co czyni narody silnymi. Niech żąda praw surowych, niech rośnie w zdrowych nawyknieniach i niech w ten sposób otrzymuje obietnice Opatrzności. Albowiem Opatrzność, w najwyższym stopniu przezorna, nie szafuje wydarzeniami, aby z nich miały powstać małe dzieła. Bóg, *qui n'efface que pour écrire*, trawi i pali tak ciężko narody jedynie na to, aby je odrodzić".[2]

Ozanam odwołuje się do pracy ducha. Żąda praw surowych, prawodawstwa w celu sprawiedliwego ułożenia stosunków społecznych, ale przedewszystkiem, jako podstawy, żąda ofiary

[1] Por. *Ks. A. Szymański*: Studya i szkice społeczne. 1913, str. 106.
[2] *Mélanges* I: 181—183.

uświęcającej, urzędu wierzącego, talentu cnotliwego. Więc omawiając różne tematy w *Ere Nouvelle*, żądając opieki stowarzyszeniowej dla młodzieży, szkół dla dorosłych, szkół rzemieślniczych, uniwersytetów ludowych, święcenia niedzieli i t. d.,[1] odwołuje się do ludzi dobrej woli, aby nieśli pomoc bliźnim i nieszczęśliwym. „Już czas, aby się więcej zajmować tymi biednymi, którzy nie żebrzą, żyjąc ze swej pracy, ale którym nie zostało w taki sposób zapewnione prawo do pracy i do pomocy, by nie potrzebowali zapomogi, rady i pocieszenia".[2] Gdy pod wpływem warsztatów narodowych powstały uliczne rozruchy, które siłą zniesiono, Ozanam przyznaje słuszność zamknięciu tych warsztatów, ale z głębokiem zrozumieniem rzeczy woła: Nie cieszcie się, że możecie spokojnie iść przez ulice po zniszczeniu rozruchów: został wam wróg, którego nie lubicie, o którym słyszeć nie chcecie, a który się skrył, aby w odpowiedniej chwili znowu przeciw wam powstać — nędza.[3] I w gorących słowach opisuje tą nędzę na poddaszach i w suterynach i zwraca się do kapłanów, do bogatych, do urzędu, aby nieśli pomoc póki czas i aby budowali nowe społeczeństwo. Nie wytyka społeczeństwu zaniedbania i nie nawołuje do pracy dla fanfaronady: „Myślą naszą jest zacząć i utrzymać wśród chrześcijan działalność dobroczynną przeciw nadużyciom, które od 50 lat doprowadzają do nędzy i które odtąd okryły się hańbą".[4]

Troska o lud, o wolność i dobrobyt upośledzonych nie była chwilowym kaprysem, ani ustępstwem od zasad na rzecz panującego prądu, ani bezwiednem poddaniem się atmosferze swego czasu. Na krótko przed rewolucyą lutową, 10 lutego 1848 r. Ozanam ogłosił w *Correspondent* artykuł: *Les dangers de Rome et les espérances*,[5] zakończony hasłem: *Passons aux barbares et suivons Pie IX*. W artykule tym Ozanam zastosował do czasów sobie współczesnych prawdy, zdobyte długiem i poważnem

[1] Ib. p 253—254.
[2] Ib. I: 239.
[3] Ib. I: 232.
[4] Ib. I: 255 w art. Les causes de la misère.
[5] Rozprawy tej, jak i wielu innych, niema w zbiorowem wydaniu. Prawie w całości przytoczona u Ks. Ch. Calippe: Ozanam, str. 152—156.

badaniem dziejów, a ściślej dziejów cywilizacyi chrześcijańskiej. Prawdy te polegają na tem, że Kościół jest czynnikiem cywilizacyjnym, że porzuca narody, dotąd rządzące, ale które nie chcą już spełniać swej służby dziejowej, lecz sprzeciwiają się prawdzie i same gnuśnieją, a idzie do barbarzyńców, aby ich wychować i cywilizacyę w ich ręce oddać; że wreszcie czasy dzisiejsze są okresem, w którym papiestwo dokonywa stopniowo tej przemiany czynników dziejowych. „Nam się zdaje, że Pius IX zajęty jest tylko interesami swego ludu,[1] gdy tymczasem Papież dla nas pracuje, dla całego chrześcijaństwa, dla całego rodzaju ludzkiego".

Bezpośrednio po powyższych słowach Ozanam we wstępie stwierdza, że „już od trzech wieków cywilizacyę chrześcijańską niepokoi ogromnie groźne zagadnienie, zatrzymując ją nawet niekiedy w pochodzie, mianowicie sprawa, jak pogodzić religię z wolnością". Zagadnienie to jest bardzo doniosłe i żywotne, albowiem „ludzie nie chcą, nie mogą wybierać między temi dwiema rzeczami, które im są przedstawiane, jako sprzeczne między sobą. Tutaj jest źródło niepokoju dla tak wielu umysłów i tajemnych walk dla tak wielu serc".

Cóż więc czynić? Czy ten stan niepokoju, niezdecydowania i walki, ma trwać bez końca? Ozanam przypomina sobie dzieje chrześcijaństwa, a bezpośrednio, pod wpływem ks. Ventury, wiek VIII. Wtedyto Kościół znajdował się w podobnych do współczesnych warunkach. Był złączony ze starem cesarstwem grecko-rzymskiem, które miłował dla Konstantyna i Teodozyusza a Zachód tymczasem już od trzech wieków znajdował się pod władzą barbarzyńców. Uczeni tamtocześni mogli zarzucać papiestwu, że zapatrzone w przeszłość nie widzi teraźniejszości, tembardziej, że zdegenerowane cesarstwo prześladowało Kościół, Grzegorza Wielkiego, Sergiusza, św. Marcina, który krwią własną pomazał kamienie Bizancyum. „Wszyscy ci bohaterzy trwają w wierności. Dają pożyteczny przykład cierpliwości, poszanowania dla praw starożytnych. Ukazują, jak groźną jest

[1] Ozanam ma tu na myśli rozporządzenie Piusowe, dotyczące Państwa kościelnego.

rzeczą zrywać ze starą władzą, z zasadą porządku, choćby nawet zburzoną własnemi nadużyciami. Lecz przyszła chwila, w której miara została przebrana".[1] Leon Izauryjczyk, koronowany 717 r., wszczął walkę z obrazami i groził, że pójdzie do Rzymu i zburzy statuy św. Piotra i Pawła. Grzegorz II papież odpisał, że śmierci się nie boi i, jeśli taka wola Boża, krew przeleje, co się zaś tyczy statuy św. Piotra i Pawła, „spróbuj — a zobaczysz, jak ludy Zachodu są gotowe do pomszczenia się krzywd, któremi zasmucasz Wschód ... Jedno mnie tylko smuci, że w czasie, gdy barbarzyńcy uszlachetniają swoje obyczaje, ty, książę ludu cywilizowanego, wracasz do barbarzyństwa".[2] Jednocześnie Grzegorz II pisze do Karola Martela, ofiarując mu tytuł patrycyusza i protektora Kościoła. Grzegorz III posyła mu kajdany i klucze a Karol Wielki przybywa już do Rzymu (r. 774), składa hołd papiestwu i sądzi lud rzymski, jako cesarz. Leon III zaś (r. 800) koronuje wielkiego władcę barbarzyńców. „Papiestwo nie zamierzało ani niszczyć ani stwarzać władz: było ono na tyle mądre i roztropne, że troskę o to pozostawiało Opatrzności, posługującej się czasem, a samo ograniczyło się do spokojnego i pełnego szacunku badania planów bożych w miarę tego, jak się ujawniały. Najścia narodów zerwały porządek świata i zniszczyły władzę świecką, dzieląc ją. Siła była po stronie tych królów Północy, którym się nic nie mogło oprzeć — ale narody Południa i to wszystko, co zachowało imię romańskie, ulegały zdobywcom jedynie jako gwałtowi i nie mogły się łatwo zdobyć na uznanie możliwości legalnej władzy w rękach barbarzyńców. Autorytet przeszłości, starodawne magistratury, imię cesarstwa, któremu świat tak długo był posłuszny, wszystko to zachowało się w Rzymie, ale jako prawo wygasłe, które już tylko poruszało wyobraźnię ludów. W ten sposób zostały rozłączone dwa pierwiastki wszelkiej rzeczywistej władzy, prawo i fakt, legalność i skuteczność. Papiestwo zaczęło je zbliżać do siebie, powołując królów frankońskich do patrycyatu".[3]

[1] La civilisation chrétienne chez les Francs, str. 351. Jest to tom II. Etudes germaniques.
[2] Tamże, str. 353.
[3] Tamże, 356—357.

Tak było w przeszłości. „Położenie obecne — pisze Ozanam we wspomnianym artykule: *Les Dangers de Rome* — jest podobne. Papiestwo widziało, z jednej strony, monarchię absolutną, szanowną swemi wspomnieniami, ale straconą, jak się tracą wszystkie władze, na skutek swych błędów, zgorszeń obyczajowych, przywłaszczań praw Bożych, zamachów na sumienia. Widziało ją, jako wielkie ciało, z którego duch uleciał, wszelako pozostawało jej wierne, jako wobec konającego, którego ostatnim dniom okazuje poszanowanie, mimo potępień od osób niecierpliwych, które się dziwią takiemu uporowi. Teraz zaś, spełniwszy dług u łoża pogrzebowego i przyczyniwszy się do uroczystości pogrzebu, papiestwo zwraca się do demokracyi, do tej dzikiej bohaterki, o której mówił O. Ventura, do tych barbarzyńców nowoczesnych, których gwałtownych instynktów ani twardości serca nie zakrywa przed swemi oczami. Ale papiestwo, wśród nich widzi najpierw wielką liczbę, nieskończoną liczbę dusz, które trzeba zdobyć i zbawić, potem ubóstwo, które Bóg miłuje, które jest siłą, które nie frymarczy ani swą krwią ani swym potem, ubóstwo, do którego przyszłość należy. Oto dlaczego papiestwo zwraca się do barbarzyńców". Dla myśli swej papiestwo z VIII wieku znalazło pracowników. „Oby papiestwo nowożytne wciągnęło także katolików francuskich na drogę, którą otwiera. Poświęćmy wstręty i urazy, a zwróćmy się do tej demokracyi, do tego ludu, który nas nie zna. Darzmy go nietylko naszemi kazaniami, ale i dobrodziejstwami; wspomagajmy go nietylko jałmużną, która zobowiązuje obdarzonych, ale też naszymi wysiłkami, aby lud otrzymał instytucye, któreby mu dały wyzwolenie i uczyniły go lepszym. Idźmy do barbarzyńców, naśladując Piusa IX!"

Wezwanie to, na skutek różnorodnych zarzutów, skierowanych przeciw niemu, Ozanam w następujący sposób tłumaczy w liście do Foisset z 22 lutego 1848 r.: „Mówiąc: Idźmy do barbarzyńców, pragnę, byśmy to czynili, co czyni papież: abyśmy się zajęli ludem, który ma wiele niedostatków a mało praw, który słusznie się domaga większego udziału w sprawach publicznych, opieki dla pracy i przeciw nędzy, który ma złych przewo-

dników, bo mu brak dobrych, którego nie trzeba czynić odpowiedzialnym za *Histoire des Girondins*,[1] bo jej nie czyta, ani za uczty, w których nie uczestniczy".[2] Ozanamowi więc nie chodzi o przyłączenie się do radykalizmu i liberalizmu bezbożnego i antyspołecznego, do „wstrętnej partyi Mazzonich, Ochsenbeinów i H. Heinów", lecz o to, by lud zdrowy, nierozagitowany ateizmem i rewolucyą, lud wsi i miast miał większy udział w sprawach publicznych, by posiadł odpowiednią opiekę dla prawdziwej wartości, dla swej pracy.

Zagadnienia polityczne nie wchodzą w zakres naszej pracy. Mimochodem tylko naznaczę, że Ozanam gorąco ukochał wolności publiczne. Wprawdzie odpiera twierdzenie, jakoby Kościół był tylko „pewnego rodzaju opiekuńczym trybunałem interesów proletaryackich", albo jakoby „wielki tajemniczy fakt Odkupienia miał być tylko wyzwoleniem materyalnem rodzaju ludzkiego".[3] Odrzuca też radykalizm i absolutyzm, które oba są wynikiem protestantyzmu. „Radykalizm, który uświęca materyalną siłę liczby, i absolutyzm, który ubóstwia jedność, ponieważ w niej widzi siłę, są objawami jednego i tego samego materyalizmu, prowadzącego z konieczności do zniszczenia swobód publicznych".[4] Natomiast te swobody publiczne powstały pod wpływem katolicyzmu w społeczeństwach katolickich. Historya o tem świadczy.[5] Mimo zboczeń i przeszkód dzieje zdążają do demokracyi. „Republika — pisze Ozanam — może chwilowo upaść wskutek błędów popełnionych przez swoich obrońców i sprawności swoich wrogów. Lecz demokracya jest potężną. We wszystkich ustrojach politycznych ona się rozwija, aż dojdzie do ponownego przybrania formy republikańskiej, jako najbardziej naturalnej i szczerej".[6] Wypowiedziana tu głęboka myśl,

---

[1] Tytuł dzieła Lamartine'a.

[2] Lettres. II, 225.

[3] Du protestantisme dans ses rapports avec la liberté, r. 1838. Mélanges. II: 257.

[4] Tamże, 281.

[5] Tamże, 257.

[6] List niewydany, przytoczony przez *Baudrillart*, Fr. Ozanam, Paris Bloud. 1913, str. 58.

że demokracya, która przedewszystkiem jest stanem społecznym, wewnętrzną organizacyą stosunków między obywatelami, może trwać i rozwijać się pod każdą formą rządu, choć ostatecznie doprowadzi do republiki. Właśnie na tego ducha, na sprawiedliwość i miłość w braterstwie, jako na rzeczy istotne wskazuje Ozanam, pisząc do Falconneta 21 lipca 1834 r.: „Dwa są główne rodzaje rządu i oba mogą być natchnione różnemi zasadami. W ten sposób otrzymamy albo wyzyskiwanie wszystkich na korzyść jednego — to monarchia Nerona, do której wstręt czuję; albo poświęcenie się jednego na korzyść wszystkich — to monarchia św. Ludwika, o której z miłością marzę; albo wyzyskiwanie wszystkich na korzyść wszystkich — to republika terroru, której złorzeczę; albo poświęcenie każdego, na korzyść wszystkich — to republika chrześcijańska pierwotnego Kościoła w Jeruzalem; to, być może, też republika ostatecznych czasów; to najwyższy stan, do którego się ludzkość wznieść może".[1]

W kierunku zaś społecznym ta demokracya chrześcijańska, której niezależność od polityki, przynajmniej w pierwotnych okresach, Ozanam wyznawał, ujawnia się również w większej niezależności, samodzielności i dobrobycie ludu, oraz w pracy sfer wyższych w tym kierunku. „Najlepsi chrześcijanie ulegali złudzeniu, gdy sądzili, że spełnili swój obowiązek względem bliźniego, skoro się zajęli ubogimi, jak gdyby nie było ogromnej klasy, nie ubogich wprawdzie nędzarzy, ale biednych, którzy nie chcą jałmużny, lecz instytucyi".[2]

Przyjrzyjmy się bliżej tej klasie.

(Dok. nast.).

Ks. Antoni Szymański.

---

[1] Lettres. I. 122. Po okropnych walkach, które się rozgrywały na ulicach Paryża i doprowadziły do zamknięcia warsztatów narodowych i w których zginął ks. bp. Affre, choć go tłum entuzyastycznie przyjmował, Ozanam pisał w *Ere Nouvelle*: „J'ai cru, je crois encore à la possibilité de la démocratie chrétienne, je ne crois même à rien autre chose en matière politique... Ce que je sais d'histoire me donne lieu de croire que la démocratie est le terme naturel du progrès politique et que Dieu y mène le monde. Mais j'avoue qu'il y mène par de rudes chemins et que si je crois à la démocratie, c'est malgré des excès qui seraient d'en dégoûter les gens du bien". Przyt. przez Claude *Peryraux*: Fréd. Ozanam. Paris, Gabalda. 8 mille, str. 85.

[2] List niewydany. *Baudrillart*: Fr. Ozanam. Paris, Bloud (Science et Religion). 1913, str. 58.

Biblia i nieomylność Sykstusa 5-go

w świetle źródeł najnowszych.

(Z powodu źródeł poodkrywanych przez dra Fr. Amanna: *Die Vulgata Sixtina von* 1590. Freiburg im Br., Herder 1912, 8°, XIX, 160 — i przez O. Hild. Hoepfla O. S. B.: *Beiträge zur Geschichte der Sixto-Klementinischen Vulgata.* Freiburg im Br., Herder 1913, 8°. XVI, 340).

Czwarty wiek już płynie, odkąd z Oxfordu rozległ się po Europie głos, że Sykstus papież V pogrzebał nieomylność papieską, bo wydał uroczyście Biblię z tylu pomyłkami, że ją następca Klemens VIII wycofał z obiegu, tem samem strącił poprzednika na pospolite stanowisko wydawców po ludzku omylnych.

Głos oxfordzki w ciągu wieków nie dokazał nic szczególnego przeciw wierze ani w Kościół powszechny, ani w nieomylność jego nauki, ani w wyroki jego, głoszone nieomylnie ustami jego Głowy w Rzymie: nie wiarę naruszył w sumieniach katolickich i zaniepokoił nie tyle rozum, jak serca. Wytknął parę tysięcy różnic między wydawnictwami dwu papieży, ale różnic między jednoznacznikami jak: *omne malum — malum omne, eos — illos, et factum — factumque, ergo — igitur* — nadto kilkaset różnic między dwukropkiem a średnikiem, między pisownią „Cham" albo „Cam" — i wiele równie doniosłych dla badaczy naukowych, ale bez uchwytnej wagi w potocznym użytku

z książki, bez związku z nauką wiary i obyczajów.[1] Ale zarzut wcale nie ubiegał się o jasny wykład nikłej swojej podstawy; im mętniej gmatwał nawet różnicę między znakiem pisarskim a wiarą i obyczajami, tem szumniej się pytał, czemu wypadło usunąć Wulgatę, którą nieomylny Sykstus wydał tak uroczyście? wszak uroczyście w bulli na wstępie Biblii orzeka: „Z naszej wiedzy pewnej i z całkowitej władzy apostolskiej stanowimy i oświadczamy, że za łacińskie wydanie Pisma św. — zwane Wulgatą i przyjęte jako autentyczne na Soborze trydenckim, trzeba uważać niewątpliwie i bezsprzecznie to właśnie wydanie, które — o ile mogło być najlepiej poprawionem — wychodzi obecnie, wyrokiem powszechnego Soboru w Trydencie i apostolską nam udzieloną powagą potwierdzone, jako prawdziwe, prawowite, autentyczne i niewątpliwe".[2]

Klemens poprawił jeszcze raz od deski do deski Wulgatę, którą powyższe słowa Sykstusa kazały uważać za poprawioną najlepiej, o ile było możliwem. Obojętny dla papieży-wy-

[1] Cenną ks. Hoepfl przysługę wyświadczył swoim czytelnikom, iż ułatwił im dokładne pojęcie odmianek, o które toczyły się spory wydawców. Podał mianowicie wykaz spornych słów, głosek i znaków pisarskich w całej księdze Przypowieści a nadto w toku pracy objaśnił wywody kilkudziesięciu przykładami mikroskopijnych różniczek między rękopisami i przez to oczywiście wyświetla wniosek, że na kilkadziesiąt albo na sto owych różniczek ledwo jedna uderzy zwykłego czytelnika. Można wyrazić ten wniosek słowami, że chyba wyjątkowo któraś różniczka da się uwydatnić w przekładach Wulgaty na nowoczesne języki, tak że u nas Leopolita i Wuyek, w Niemczech Allioli i Arndt, gdzieindziej inni prawie zawsze zatarli owe różniczki w swoich językach — i gdyby nie zapowiedzieli, że przekładają Syxtynę albo Klementynę, tedy nawet wyborni rzeczoznawcy nie odgadliby, czy np. nasze „więc ich wezwał" pochodzi z sykstyńskiego: „eos igitur vocavit" czy z klementyńskiego: „illos ergo" czy z Lowańskiego: „ergo eos" i t. d. Najwięcej rozgłosu miały dwa albo trzy razy opuszczone całe wiersze w Sykstyńskiej Wulgacie: otóż w tej mierze Prat podniósł szczegół, nie dość następnie brany pod uwagę. W piśmie i w druku nie trudno opuścić zdanie albo razem kilka słów w tym wypadku, kiedy opuszczone miejsce kończyło się tymże wyrazem, którem poprzednie zdanie się kończy: zmęczone oko zecera czy pisarza przeskoczy z wyrazu poprzedniego na takiż sam później powtórzony i od ostatniego dalej odpisuje czy drukuje. Tak właśnie wiersze parę razy opuszczone u Sykstusa kończyły się jednakowo, jak poprzednie, więc wobec możliwej pomyłki pisarza, który gotował do druku czystopis, nie można twierdzić, że Sykstus kazał je opuścić.

[2] Die Vulg. Sixt. str. 75, 113.

dawców i wydawniczych każdego poglądów czytelnik rozumie w słowach Sykstusa uroczyste świadectwo, że dzieło jego — o ile można najpoprawniej wydane — wyklucza braki przeoczone z niedbalstwa winnego: więc czytelnik nie potępi Sykstusa ani za błąd w wierze czy obyczajach, ani nawet za lekkomyślną pracę wydawniczą, choćby w niej wykazał wiele usterek albo się na pogląd chociażby przewodni w wydawnictwie nie zgadzał.

Co dotyczy usterek — to sam Sykstus wykrywał je ciągle w tymże samym czasie, kiedy ogłaszał swoje wydawnictwo jako poprawione o ile można najlepiej: to też na własne słowa rzucał światło i potwierdzał je, kiedy przez kilka miesięcy gotował do druku spis pomyłek, aby wlepić do egzemplarzy nie wydanych jeszcze księgarzom i tym spisem nie zadowolniony wolał dla wygody czytelnika na każdej stronnicy prostować pomyłki: więc gdzie znalazł głoskę jedną czy drugą pomyloną, tam ją kazał piórem w każdym egzemplarzu poprawić; gdzie wypadło poprawić całe słowa albo zwroty, tam kazał wlepić pasek papieru z poprawką w każdym egzemplarzu.[1] Wszystko to zabierało czas: Biblia wyszła z drukarni w listopadzie 1589, dopiero w maju 1590 Sykstus ją puścił w obieg, owszem: jeszcze ostatniego czerwca przysłał ambasadorowi hiszpańskiemu zakonnika z siedmiu poprawkami ręcznemi, a jedną na pasku papieru. W sierpniu już nie żył. Kto tak do ostatnich tygodni przed śmiercią biedzi się nad poprawkami, ten wyświetla, co wyraził słowami o wydaniu, o ile mogło być, najlepiej poprawionem: temi słowami nasuwa jasny wniosek, że zostawił po śmierci dalsze poprawki następcom,[2] a nie uważał wydawnictwa swego za poprawne już bezwzględnie i doskonałe, nawet z tego stanowiska, z którego na nie spoglądał.

A mógł następny papież-wydawca zająć inne stanowisko — poza zakresem wiary i obyczajów. Sprawę wyświetla Prat na

---

[1] Études, t. 51, str. 40. — Civiltá ann. 65, t. 3, str. 166. — Die Vulg. Sixt. str. 63—64. — Hoepfl str. 150—151.

[2] Civiltá a. 63, t. 3, str. 166 — Na ten wniosek nie zważa Amann, choć wie, że „noch kurz vor dem Tode des Papstes in der Bibel Verbesserungen vorgenommen wurden". Die Vulg. Sixt str. 71

niedawnych przygodach z wydawnictwami Ewangelii.[1] Anglicy Westcott i Hort pracowali przez trzydzieści lat, aby wydać poprawnie księgi Nowego Zakonu; ledwo je ogłosili, już usłyszeli zewsząd oklaski, jako za arcydzieło pracy umiejętnej; zachwycili i świat naukowy i naczelne warstwy anglikanizmu, które na podstawie Westcotta i Horta przerobiły urzędowy swój przekład ksiąg Nowego Zakonu i uznały w nim potrzebę sześciu tysięcy poprawek. Aż nowi badacze wykrywają, że odmianki kodeksu aleksandryjskiego mają powagę, której nie uwzględnił Westcott z Hortem; inni znawcy upominają się o odmianki kodeksu synaickiego; Sander znowu zachwyca wydawnictwem jeszcze odmiennem, ale niedługo zbiera oklaski: obecnie grono protestanckie pracuje nad nowem *non plus ultra*. Tak z przeróżnych stanowisk rozmaite wydawnictwa uchodzą za najpoprawniejsze.

Czy Sykstus V dążył do wydawnictwa również zdolnego zachwycać naukowych badaczy, nim inni nie wydadzą nic poprawniejszego? Sykstus zajął stanowisko wcale obojętne na spory badaczy źródłowych. Zastał Kościół zalany potopem odmianek w Wulgacie, które ją pokryły niby prochem przyschłym na pocie — jak wyraża się benedyktyn Clarius:[2] przekroczyły dziesięć tysięcy — z winy pisarzy nieuważnych albo samowolnych; do rozmiarów tylko takich jeszcze nie dochodziły, żeby grozić zasadom wiary albo obyczajów: więc ponad ich chmarą górowała ciągle powaga Wulgaty, oparta o wyrok Trydencki: dopominała się tylko natarczywie wydania poprawnego i już ustalonego. Następne mozoły badaczy oprą się już o jedną podstawę, aby doskonalić ją przez wieki.

Jak tedy wydać Wulgatę Sykstus V chciał?

Tak, jak niezwłocznym potrzebom chce i umie zaradzić mąż czynu.

Mąż niepospolity, zdolen zdumiewać nawet owo stulecie zarojone ludźmi wielkimi, wniósł na biskupstwo Piotrowe i wolę silną jak żywiołowa potęga i jakby gorączkę czynu, aby w kilka

[1] Études t. 51, str. 223.
[2] Études t. 50, str. 568. — Die Vulg. Sixt. str. 6—7.

dni trawić trudy miesięcy i lat, i wyobraźnię dziwnie przedsiębiorczą, a przedziwnie trzymaną na wodzy, oraz samowiedzę pewną swoich zasobów umysłu ale też pamiętną na niebezpieczeństwa zamysłów polotnych: naraził się na ciężkie przeprawy w młodszym wieku, kiedy śmiało biegł swoją drogą, — nabył rozwagi, zawrócił pęd ducha na koleje utarte i obrany papieżem, przeczuł w zmyśle zachowawczym ster tak dla siebie, jak dla łodzi Piotrowej — i stanął do dzieła: rzutem oka opanował stosunki, zmierzył przeszkody; jakby dla igraszki obarczał myśl wszelkiemi naraz troskami o potrzeby Kościoła, ozdobę Wiecznego Miasta, wyprawę krzyżową, zatargi międzypaństwowe. Niezlękły w burzliwych przygodach, zwycięstwem nie upojony, śród zawodów obojętny, złamał przed sobą zapór wiele, więcej pomnikowych prac dokonał, w pięciu latach zapisał księgę dziejów sławą wydatnych rządów, jakby na nich przeżył z pół wieku.[1]

Czegoż tedy z Wulgatą chciał ten mąż czynu? Odtworzyć chciał przekład św. Hieronima, o ile można, nieskażony późniejszemi odmiankami czy samowolą wydawców. Za podstawę obrał najstarsze rękopisy i druki, uważane za najwierniejsze. W czem znalazł je zgodne, w tem nie badał dalej świadectwa Ojców, ani języków pierwotnych; dopiero w razie różnic pomiędzy rękopisami rozstrzygało świadectwo Ojców, a dopiero gdyby i w niem brakło zgody, tedy pierwotny język hebrajski czy chaldejski albo grecki wskazywał, którą odmiankę wypada przypisać św. Hieronimowi.[2] Słowem Sykstus na stanowisku zachowawczem wyglądał uchwytnego pożytku z wydania raz ustalonego, a nie zajął wcale stanowiska naukowego względem źródłowego wydawnictwa:[3] rządził się poglądem podmiotowym, a nie przedmiotową ceną wydania możliwie zgodnego z pierwotworem. Korzystał przytem z rozległej wiedzy i bystrego sądu kilku spółpracowników, z Caraffą na czele; tym polecił wygo-

[1] Études t. 50, str. 577—578. — Die Vulg. Sixt. str. 58. — Hoepfl str. 143.

[2] Études t. 50, str. 581. — Die Vulg. Sixt. str. 42, 43, 47. — Hoepfl str. 132.

[3] Études t. 51, str. 42. — Die Vulg. Sixt. str. 49. — Hoepfl str. 143—148.

tować wnioski o wyborze właściwego słowa czy zwrotu, gdzie tylko wydania przedstawiały jakie odmianki — ale ostateczną uchwałę sobie zastrzegł, aby ustalić słowa i zwroty najodpowiedniejsze nauce wiary i obyczajów: bo do tego na stolicy Piotrowej czuł się uprawnionym, a chciał nie cudzą, ale swoją pracę własnem imieniem podpisać.[1] Nie wglądał też w przygotowawczą pracę Caraffy i pomocników przez dwa lata, aż ją przynieśli ukończoną w listopadzie 1588 roku. Wziął się teraz do roboty i w niej użył wydań z Louvain i Anvers, które uchodziły wtedy za najpoważniej opracowane: z nimi porównywał wnioski swoich pracowników i ledwo mniejszą ich część uwzględnił; radził się przy tej pracy nieraz kardynała Toledę, ale i z jego uwagami nie bardzo się liczył;[2] słowem, w czem nie widział koniecznej zmiany, we wszystkiem usiłował zachować i ustalić wydania owcześnie najbardziej cenione i w nich pousuwać różnice, jak sam się wyraża w bulli: „starego, w Kościele odwiecznie przyjętego toku słów zupełnie się trzymaliśmy; starych i w Kościele przyjętych zwrotów mowy nigdzie nie zmieniamy".[3]

Tu czytelnik zauważy, że Sykstus — na zachowawczem stanowisku, zajętem wobec naukowych spółpracowników — nie wygląda wcale zagadkowo; pominął — jak zwracają uwagę Prat[4] i Amann[5] — pominął przeważnie cenny dorobek spółpracownictwa, gdzie tylko rozumiał, że się da zachować mimo czyichbądź uwag słowo ustalone we wydaniach wówczas najlepiej widzianych. Gdyby tak uwzględniał wnioski swoich spółpracowników, jak w następnem wydaniu Klemens, wydałby

---

[1] Études t. 51, str. 36, 45. — Civiltà a. 63, vol. 3, str. 165. — Die Vulg. Sixt. str. 47, 52, 53, 55. — Hoepfl str. 141—142.

[2] Civiltà a. 63, vol. 3, pag. 165. — Die Vulg. Sixt. str. 60.

[3] Die Vulg. Sixt. str. 53—54.

[4] Études t. 50 str. 583—584.

[5] Die Vulg. Sixt. str. 49—53. Amann jednak, po jasnym opisie stosunku papieża-wydawcy do współpracowników znowu zaciemnia sprawę przygodnemi uwagami np., że ci współpracownicy eine schroffe Ablehnung seitens des Papstes erfahren haben (str. 84) i podobnymi, jak gdyby Sykstus krzywdę wyrządził spółpracownikom, iż na większą część ich wniosków nie zważał.

odrazu Wulgatę naukowo cenniejszą, ale ten mąż czynu, nie nauki, miał w zachowawczym zmyśle swoim dostateczny powód, aby zatrzymywać w mnóstwie szczegółów wydanie anverskie, choć potrzebę w nim poprawek Caraffa wykazywał źródłowo. Niepotrzebnie tu pisarze, zwłaszcza nieżyczliwi Sykstusowi „srogiemu", wytworzyli sobie w tym jego kroku tajemnicę i aby tę wyjaśnić, szukają klucza również zagadkowego w pospolitych przygodach. Dworskie pogłoski niosły n. p., że papież poróżnił się z Caraffą i zagroził, że go wyda pod sąd inkwizycyi, bo ten powiedział, że papieska władza nie rozciąga się na to, żeby głoskę w Biblii dodać, opuścić czy zmienić — i odtąd już papież odebrał mu Biblię i poprawia ją sam osobiście. Tę przygodę zapisuje świadek nie zawsze wiarogodny,[1] mianowicie w liście do Filipa II jego ambasador Olivares i to dopiero 7-go maja 1590,[2] — więc w półtora roku po wypadku, o którym odmiennie świadek bliski pisze 17 listopada 1588 roku,[3] kardynał Santori: mianowicie Sykstus jemu kazał pocieszyć Caraffę, podobno zasmuconego, iż nie dogodził Sykstusowi przez swoją pracę, ale papież sam przez się chciał wszystko przepatrzeć; również Ghislieri Teatyn zapisuje,[4] że robota spółpracowników nie dogodziła Sykstusowi, jakoby bieglejszemu w teologii i językoznawstwie; nakoniec ambasador wenecki donosi Doży 3 czerwca 1589 roku,[5] jakoby Sykstus mu się zwierzał, że nie zadowolniony robotą spółpracowników musi sam do niej rękę przyłożyć. Różnica poglądów musiała zajść między Sykstusem na stanowisku zachowawczem a Caraffą, żądnym wydawnictwa źródłowego z większą powagą w nauce. Przy różnicy stanowisk jakaś przygoda choćby zasmuciła Caraffę, przecie czyż wyjaśni, czemu Sykstus mu Biblię odebrał? Sama o sobie nie wyjaśni zagadki, dlaczego zdarzyła się wtedy właśnie i odebrała Caraffie robotę w samą porę, kiedy miał ją już przygotowaną dla Sykstusa,

[1] Études t. 51, str. 56. — Civiltá a. 63, vol. 3 str. 165.

[2] Die Vulg. Sixt. str. 46, 84, 86, 102, 103. Po co Amann pięć razy powtarza świadectwo mniej poważne?

[3] Die Vulg. Sixt. str. 45, 56.

[4] Die Vulg. Sixt. str. 48.

[5] Die Vulg. Sixt str. 57.

aby ten wziął się nad nią do pracy ostatecznej przed drukiem. Zatem bez zagadkowych kluczy można się obejść i z Kaulenem widzieć[1] — nie tajemnicę, ale sprawę od początku pracy postanowioną, że Sykstus z przygotowawczej roboty swoich pomocników skorzysta, aby wydać Biblię — niewątpliwie i bezsprzecznie, o ile najlepiej można, poprawną.[2]

Na przewodni pogląd zachowawczego Sykstusa nie zgodził się Klemens w ponownem wydawnictwie, opracowanem przeważnie temiż siłami naukowemi, co poprzednie — i do dziś używanem.

Ówczesne społeczeństwo katolickie nie wpisało w księgę swoich dziejów żadnego okrzyku grozy, iż różni papieże z różnych stanowisk spoglądają na poprawne wydawnictwo Ksiąg świętych. Od soboru trydenckiego przesuwają się w dziejach nazwiska Pawłów, Grzegorzów, Piusów aż do Sykstusa i następnych po Klemensa: każdy o wydawnictwie Wulgaty albo sam myślał, albo radził z kardynałami, albo wbrew ich wskazówkom rządził się duchem zachowawczym jak Sykstus, albo za ich wskazówkami wydał Wulgatę raczej źródłowo, jak Klemens. Społeczeństwo katolickie nie trapiło się przeróżnemi troskami papieży-wydawców.

Ale ówcześni inowiercy nie spojrzeli na sprawę z zimną rozwagą. Już w r. 1600 Tomasz James, oxfordzki biblioman, wydał wieluarkuszową satyrę pod napisem: „Wojna papieska albo swarliwa zgoda Sykstusa V z Klemensem VIII". Przedmowę zaczyna słowami, że wystawił pomnik na wieczną rzymskich papieży hańbę i na cześć przygody lichej od podwalin do szczytu — i dalej szydzi: „Wszak należy się posłuszeństwo Sykstusowi! wszak to papież! wszak papieża słuchać trzeba jak wyroczni! upaść, zbłądzić, omylić się — pospolite to przy-

[1] Gesch. der Vulgata str. 448.

[2] To też Hoepfl, str. 153, nie trzyma się świadectwa hiszpańskiego co do szczegółu, kiedy zaszła przeprawa między Sykstusem a Caraffą — i przypuszcza, że Caraffa w obraźliwy sposób wypowiedział zarzut i przez to naraził się na gniew. Najmniej wiarygodnie Hiszpan nazwał Toledę swoim sprawozdawcą z niemiłych mu kroków Sykstusa. Trzebaby silnych dowodów, aby pojąć, żeby jezuita kardynał siał waśń między papieżem a ambasadorem.

gody, ale papieskie oczy w nim samym nie widzą nic ludzkiego: to bożek! zbłądzić nie może, w sprawie wiary nie zmyli nikogo ani sam nie da się zwieść... Klemens twierdzi, Sykst zbija; Sykst zapewnia, Klemens przeczy. O śmieszna niesnasko i prostacka głupoto rzymskich biskupów! jak mi ich żal!... Któremu wierzyć? Obaj kłamią na wyścigi. Sykst ma za sobą Louvain, Etienne'a, Hentena i wogóle wydania przyjęte w Kościele od dawien; Klemens ma za sobą hebrajszczyznę, chaldaikę, greczyznę. Precz tedy Sykście z pomyłkami ustalonemi i znów zatartemi! Trzymaj się Klemensa papieżniku!".[1] Śladem Jamesa inni szli ochoczo; n. p. Amama z Amsterdamu przed światem „wykrywa dobrą wiarę, nieomylność i zgodę rzymskich biskupów i rzymskiego Kościoła w sprawie Wulgaty: wszak Sykst, ten papież prawdowładny, ten sędzia nieomylny rozbił się ze swoim barem nieomylności o zawód haniebny".[2]

Wobec takich drwin część teologów katolickich truchlała. Po latach Bukentop w dziele „אור מאור" czyli światło ze światła" rozpatrzył najcierpliwiej każdy szczegół satyry i ocenił dokładnie najdrobniejsze różnice między wydawnictwem zachowawczego Sykstusa a źródłowego Klemensa; najściślej wytknął tym różnicom drogę, nie związaną niczem z wiarą i obyczajami: zatem James niedorzecznie z odmiennych stanowisk wydawniczych wywiódł wniosek przeciw nieomylnej nauce papieży w zakresie ich zawodowym.[3]

Jeszcze Bukentop nie uspokoił struchlałych teologów. Przeciwnicy ich przemyślnie zaciemniali sprawę zwycięskim okrzykiem, jakoby godzili w nieomyłnego stróża wiary i obyczajów zarzutem wymierzonym w omylnego papieża-wydawcę: stanowisko Sykstusa miałoby okazać się nie „bezsprzecznie

---

[1] Études t. 51, str. 217—219.

[2] Études t. 51, str. 220. — Die Vulg. Sixt. str. 111.

[3] Dziwna rzecz, że Amann przytacza dzieło Buchentopa, jakoby czytane, a nie podaje tytułu jego, tylko zamiast tytułu hebrajskiego podaje podtytuł łaciński — jakgdyby o dziele się dowiedział, ale go nie widział. Również zapisuje wiele dzieł, jakoby użytych do pracy — po części niepotrzebnych, a po części oczywiście niewykorzystanych — jakby tylko znał je z czyjejś wzmianki. A nie przytacza dzieł przydatnych.

i oczywiście" poprawnem, o ile można najlepiej zająć stanowisko zachowawcze, ale haniebnem dla papiestwa, zmuszonego czemprędzej oczyścić Wulgatę u źródeł.

Nawet Doelinger, dość skrzętny zbieracz zarzutów przeciw papiestwu, z Bukentopem przyznał, że w Jamesie nie widzi rozumnego wywodu. Tylko spółpracownik Doelingera, Reusch, w tymże rozdziale książki, znowu widzi w Sykstusie grabarza nieomylności.[1]

Sprawa, zdolna po trzech wiekach trwożyć umysły, mąciła ich wiele w chwili pierwszego rozgłosu. Było też ich wiele napiętych jakby po to właśnie, aby wybuchnąć trwogą na pobudkę oxfordzką. Niektórzy teolodzy spierali się o zakres, dokąd sięga powaga Wulgaty? czy do każdego słowa? czy do przecinka może każdego? Zwolennicy zasad zawsze bezpieczniejszych niespodzianie ujrzeli się zwycięzcami, kiedy doszedł do nich wyrok podpisany z kongregacyi soboru trydenckiego w dzień 17 stycznia 1576 r.: „Nie wolno podawać za wątpliwe w Wulgacie ani jednego ustępu, ani części zwrotu, ani głoski, ani kreski". Wyrok ten jak grom przeraził tysiące teologów wobec wydawniczej zasady Sykstusa, który zachował setki odmianek, utartych z wiekami, ale źródłom przeciwnych. Dopiero z biegiem lat, znacznie po Suarezie, umysły europejskich teologów ochłonęły, kiedy sprawdziły w Rzymie, że Kongregacyę Soboru Trydenckiego zawiązywał Pius IV w latach 1564 i 1566, ale bez właściwego zakresu spraw, dopiero Sykstus V urządził ją w r. 1586 i przeznaczył do spraw karności kościelnej; a nigdy do wyroków dogmatycznych nikt jej oczywiście nie upoważniał, zatem żaden członek tej Kongregacyi nie mógłby nieomylnie wydawać wyroków w roku 1576 o dogmatycznej myśli uchwał czwartego posiedzenia, na którem Sobor orzekał o powadze Wulgaty.[2]

Nim po owym wyroku Kongregacyi ochłonęły umysły w Europie, przez dziesiątki lat pomysł o głoskach i kreskach natchnionych w Wulgacie rzucał światło potworne na wyda-

[1] Études t. 51, str. 222.
[2] Hoepfl str. 29—39.

wnictwo Sykstusa; wszak w niem dochodziła do paru tysięcy liczba odmianek, zachowanych z wydań średniowiecznych wbrew źródłom: a przecież źródła tworzą Pismo św.: toć oczywiście papież spaczył dzieło Ducha św. a ogłosił je uroczyście (?) w bulli umieszczonej na wstępie: więc papież jako papież się omylił... orzekł w bulli błąd...

Myśl o tej bulli — z opisem zachowawczego stanowiska papieża - wydawcy przerażała sumienia przejęte czcią dla źródeł, jakoby nieodzownych do rękojmi poprawnego wydania. Głosy coraz częstsze szukały dostępu do Sykstusa z błagalną radą, aby cofnął tę bullę. Drogę utorował przypis bulli, w którym papież zarządza środki prawne, aby zabezpieczyć swoje wydawnictwo przed możliwemi nadal zmianami. W przypisie tym ustanawia papież, że przez dziesięć lat nie wolno nigdzie drukować Wulgaty nikomu, jak tylko w watykańskiej drukarni wenecyaninowi Basie; nadto surowo zabrania sprzedawać i czytać wszystkie poprzednie wydania, póki nie poprawione dosłownie wedle sykstusowego; to samo rozporządza o ustępach Biblii w księgach liturgicznych.

Wynikła stąd sprawa, którą Doża wenecki przez swego posła tak przedstawił kardynałowi synowcowi Sykstusa: „bulla grozi nędzą niezliczonym rodzinom księgarzy, bo potracą niezmierne wkłady pieniędzy koniecznych w obrocie; owszem bulla godzi w cały przemysł księgarski państw niezawisłych, rozwinięty w samej Wenecyi dla rzeczywistej potrzeby na rozmiary, jakich nie dosięga w pozostałych razem wszystkich państwach we Włoszech; do krzywdy przemysłu bulla dokłada na społeczeństwo obowiązek niewykonalny, bo kogóż znajdą właściciele poprzednich Biblij, mszałów, brewiarzów i ksiąg innych gotowego z taborem wozów objeżdżać kraje i ściągać miliony starych ksiąg do poprawy w drukarni? Wszak papież uznaje, że berło świeckie nie powstało, jak tylko od Boga: pewno pragnie, żeby każde państwo rządziło się swobodnie prawami własnemi, nie krępowane w pracach i przemyśle przez przeszkody w druku książki, przecie nie zakazanej ale w Rzymie przyjętej. Z tylu stron grożą szkody wolnym narodom przez tę bullę, a z dru-

giej zyska przez nią tylko drukarz chciwiec, gotów ssać krew wszystkich, kiedy sprzeda każdą Biblię po pięć albo sześć dukatów, a we Wenecyi i gdzieindziej dostalibyśmy po dukacie, wszyscy zakonnicy i biedni nabyliby tanio: wszak papież chce, żeby czytali".[1]

W tej sprawie poseł wenecki stawał co kilka dni przed Sykstusem przed jego śmiercią. Z jego ust dowiedział się o bulli szczegółów, których nie doceniał w wadze dla Kościoła, tylko je urzędniczo donosił Signorii. Papież proszony, żeby bullę ze względu na księgarzy cofnął, odpowiedział, że nie wydał żadnej bulli, prócz umieszczonej na początku Pisma św., a co do tej, nie poruczył jej wykonywać jeszcze nikomu, aby biedni księgarze i drukarze zdążyli pozbyć się ksiąg na składzie. Ponieważ inkwizytor wenecki już krępował księgarzy, papież oświadczył, że inkwizytor od nikogo nie dostał rozkazu do takiego pośpiechu i nie powinien tak pilnie uprzedzać rozkazów. Dodał papież, że przejrzy na nowo bullę i o namyśle ostatecznym uwiadomi Dożę.[2]

Wenecyanin widocznie nie zdał sobie prawniczo sprawy z doniosłych słów papieża. Skoro nie wyszła żadna bulla prócz wstępnej do Wulgaty i ta nie poruczona władzom wykonawczym, owszem miała być jeszcze przejrzana: to czegoż jeszcze wymagać? żeby papież ją odwołał? Wszak już w bulli samej Sykstus zapowiedział, że moc jej prawna rozpocznie się w cztery miesiące po ogłoszeniu jej we Włoszech, w ośm miesięcy za Alpami:[3] wszak z Biblią owa bulla wyszła dopiero w maju; dopiero od września miałaby moc prawną na szkodę księgarzy — a Sykstus obiecywał im opiekę.[4] Czemże się trapić miał Doża na razie? To też sam Sykstus przy innej rozmowie zaczął ambasadora uspokajać, że nie trzeba tyle myśleć o owej bulli, że nie ma nikt ani nawet inkwizytor jej wykonywać, że w niej nic nie wyraził papież prócz swoich zamiarów, ale tych nie ma

[1] Die Vulg. Sixt. str. 92—93, 149—150.
[2] Die Vulg. Sixt. str. 88—89, 142.
[3] Études t. 51, str. 43.
[4] Civiltà a. 63, t. 3, p. 166, 171. — Hoepfl str. 145.

nikt spełniać tak nagle, ani bez wyraźnego rozkazu, że po upałach omówi się wszystko swobodniej.[1] Ale za parę dni wrócił ostrożny Włoch z pisemną prośbą, żeby papież bullę odwołał; papież przedstawił, że jej odwołać nie może w żaden sposób, bo już ją rozesłał po świecie, przecież tylko rozesłał, ale nikomu nie poruczył jej wykonywać, a jeśli ją w Wenecyi inkwizytor ogłosił, tedy nuncyusz dostanie rozkaz, żeby unieważnił tę zapowiedź i zapobiegł nadal zbytniemu pośpiechowi. Powtórzył, że prędzej poszedłby na śmierć, niżby odwołał bullę świeżo rozesłaną, ale, że tego zupełnie nie trzeba: dość, że bulla jeszcze nie ogłoszona (*non intimata*) i nie wykonywana (*ne esequita*) nie szkodzi księgarzom.[2] Na następnej rozmowie Sykstus mniej już ambasadora dopuszczał do słowa i pożegnał obietnicą: „na teraz dosyć — pomówimy inną razą" — i z bardzo pogodnym wzrokiem dodał: „w czem mogę, dogodzę Doży".[3] Tak Sykstus mówił o bulli nieogłoszonej i niewykonywanej aż do 18 sierpnia 1590 roku.

W kilka dni później już nie żył.

Po tygodniu kongregacya kardynałów wstrzymała rozsprzedaż Wulgaty Sykstusa wraz z bullą.[4]

Po kilkunastu dniach na papiestwie Urbana VII, obrany przy końcu roku papieżem Grzegorz XIV, zaraz zagadnął rzeczoznawców, co radzą o sprawie, aby ją zakończyć. Zapytany z innymi Bellarmin dał odpowiedź, którą sam w pamiętniku opisuje. Nie brakło mężów poważnych, którzy głosowali, żeby zakazać Biblię, w której było nader wiele zmian opacznych. Bellarmin przedstawił papieżowi, że nie zakazywać, ale tak poprawić trzeba ową Biblię, aby ją wydać bez zarzutu i ujmy dla Sykstusa. Wystarczy czemprędzej pousuwać złe odmianki i oddrukować Biblię pod imieniem tegoż Sykstusa, a w przedmowie zaznaczyć, że do poprzedniego wydania w pośpiechu wcisnęły się pomyłki, czy to drukarskie, czy czyjebądź. Rada

[1] Die Vulg. Sixt. str. 89, 143—144.
[2] Die Vulg. Sixt. str. 145—146.
[3] Die Vulg. Sixt. str. 148.
[4] Die Vulg. Sixt. str. 94—95.

podobała się Grzegorzowi. Przepatrywał już tę Biblię w kongregacyi indeksu tenże kardynał Columna, który nad nią teraz zasiadł w gronie rzeczoznawców do pracy umiejętnej ;[1] Bellarmin ją opatrzył przedmową, ale dopiero Klemens VIII ją wydał. Tenże papież z początkiem roku 1592 wyznaczył ze swoich dochodów pieniądze na wykupno nakładu sykstyńskiej Wulgaty, która po dwu latach znalazła się w znacznej części z powrotem w Rzymie, zniszczona na rozkaz tegoż papieża z 15 kwietnia 1594 roku.[2]

Wykupno całego nakładu Biblii z taką powagą zachwalanej przed paru latami, niezwłocznie w jej miejsce wydany nakład drugi: to wypadek zbyt zdolny wywoływać przeróżne domysły i sądy, aby z tem się nie liczyli wydawcy klementyńskiego nakładu ; uważali tedy za konieczne sprawę zdać z pracy swojej w przedmowie. Pisze w niej Bellarmin, że Sykstus papież V zauważył niemało pomyłek w prasie przeoczonych, a godnych pilnej uwagi, zatem sądził i orzekł, że trzeba całe dzieło na nowo opracować. Śmiercią zaskoczony nie zdołał tego dokonać, — obecnie zamiar jego za nowego papieża doszedł do skutku.

Słowa te w klementyńskiem wydaniu wywołały nową burzę.

Ledwo upłynęło parę dziesiątków lat, już Amama, wyżej wspomniany, językiem, na jaki go stać, wyjaśnia tę klementyńską przedmowę, jako bajkę zmyśloną, aby *Ecclesiae Romanae pudendum tegeretur*.[3] Walnym dowodem owej hańby zasłoniętej figowym liściem bajki — to bulla. Protestanci ją pierwsi rozgłosili po świecie : w roku 1600 już ją James wciągnął do wspomnianej satyry,[4] jakoby uroczyście ogłoszoną w Rzymie wedle prawnych przypisów.

Czy też w samej rzeczy Sykstus ją uroczyście ogłosił wedle prawnych przypisów?

(Dok. nast.).

X. K. Czaykowski.

---

[1] Tamże, str. 96. [2] Tamże, str. 100.

[3] Tamże, str. 126. — Zarzutem kłamstwa w tej przedmowie inowiercy przecież się komuś przysłużyli, mianowicie kardynałowi Passionei, który jako diabolus rotae znalazł właśnie przeszkodę do beatyfikacyi Bellarmina, bo Bellarmin pracował nad tą przedmową.

[4] Etude t. 51, str. 41.

Poglądy estetyczne
Manfrediego Poreny.

Przed ośmiu laty (1905) wyszło w Medyolanie (u Ulryka Hoepli) dzieło Neapolitańczyka p. Manfrediego Poreny p. t. *Czem jest piękno? Schemat estetyki psychologicznej.* (*Che cos'è il bello? Schema d'un' estetica psicologica*). Z dziełem tem łączy się jako osobny dodatek (str. 407—483) obszerna i bardzo ostra polemika z teoryami estetycznemi Benedykta Croce, którego dzieło *Estetyka* (wydane w Palermie u Sandrona) doczekało się po dwóch latach (w r. 1904) drugiego wydania, a który zasadza istotę wrażenia estetycznego na intuicyi, na czemś pośredniem między poznaniem zmysłowem a logicznem i utożsamia ją z wewnętrznym wyrazem zaznanych wzruszeń (*espressione*) w sposób, o ile z krytyki sądzić można, bardzo niejasny i arbitralny. Zastrzegam się jednak we własnym sądzie, gdyż nie miałem sposobności zapoznać się z tem dziełem. Sam Porena zajmuje pod względem pojęcia piękna „typicznego" stanowisko zbliżone do poglądów Witaska o pięknie normatywnem, t. j. odpowiadającem typowi gatunkowemu. Obce mu są jednak myśli profesora w Gracu o grze uczuć fantazyjnych i o znaczeniu objektywów, z czego wnioskować można, iż jego teorya rozwinęła się niezależnie od poglądów Witaska. Bardzo daleko posuniętym relatywizmem przypomina mocno myśli Diderota zawarte w jego *Essai du beau*. Relatywizm jego nie ogranicza się do tego kryty-

cznie uzasadnionego stanowiska, które uznaje istnienie piękna tylko w odniesieniu do jakiejś świadomości, znajdującej uciechę w tem, iż przedmiot o pewnym stosunku między formą a treścią obejmuje i ogląda. Raczej dochodzi do przyjęcia czysto empirycznej, a więc nieobliczalnej, we wspólnych cechach ludzkiej organizacyi duchowej nieugruntowanej, zależności między treścią doświadczeń i przyzwyczajeń a tem, co się jako piękne podoba. Nawet piękność, którą nazywa bezpośrednią, t. j. piękność bezpośrednio działających na wzrok lub słuch cech, n. p. czerwieni danego kwiatu maku, zależną jest zdaniem jego od naszych dotychczasowych doświadczeń t. j. od tego, czy w porównaniu z dotąd widzianymi makami kolor odznacza się czystością i intenzywnością. Jeżeli się przedstawia tylko przeciętnym, wtedy wedle Poreny niema ani dodatniej, ani ujemnej oceny: zachowanie się jest obojętne. Jeśli jest niższy od przeciętnego, t. j. skutkiem plam lub bladości zbacza od tego, co widzieć zwykliśmy na pewnych przedmiotach, oceniamy taki kolor jako brzydki. Ten punkt widzenia rozciąga autor do wszelkich piękności w ramach jakiegoś typu gatunkowego. Pięknem wogóle ma być to, co ze względu na nasze nawyknienia i doświadczenia, do tej chwili zebrane, uderza nas bez poprzedniej analizy logicznej swą wybornością, nieomal wyjątkowo celnem ziszczeniem się tego, czego po danym przedmiocie mieliśmy tylko częściowo — ale nie w takiej sile i pełni — powód spodziewać się. Także piękno wyrazów, t. j. wyrażających coś form, faktów, akcyi i sytuacyi, wreszcie odróżniane przez autora jeszcze piękno wewnętrzne stanów psychicznych, działające bądź jakąś dynamiką, t. j. siłą swych poruszeń, bądź sympatycznością, czyli obudzaniem sympatyi, bądź też przez współdziałanie tych obu czynników i to albo bezpośrednio, albo za pośrednictwem wywoływanych myśli o szerszych stosunkach — każda również z tych skomplikowańszych kategoryi estetycznych ma się opierać na tem, że odnośny przedmiot obudza oczekiwanie i podnosi roszczenie *(sosciti la pretesa)* pewnych własności, które, gdy znajdujemy w nim bez mozolnej pracy my-

ślowej i to w mierze wyższej ponad przeciętną, sprawiają nam mniej lub więcej silne zadowolenie estetyczne.

Autor określa (na str. 16) piękno w ten sposób: „to co podoba się duszy, jako cenność zobjektywizowana“ (*cio, che piace all'anima, come pregio obbiettivato*) mianowicie w przeciwieństwie do przyjemności zmysłów t. zw. niższych smaku i powonienia, których nie odnosimy do jakiejś wewnętrznej wartości przedmiotu i w których fizyologiczna strona ich działania, t. j. na organizm nasz tak dalece przeważa, że bez dalszych jakichś skojarzeń, n. p. woni z widokiem kwiatów, z wiosenną przyrodą, świeżością letniego wieczoru i t. p. nie możemy zgoła psychologicznie zanalizować i podać powodu, dla czego ten lub ów zapach czy smak podoba nam się bezpośrednio a tem mniej, w jaki sposób mógłby nam wyjawiać przedmiotową wartość rzeczy wonnej lub smacznej.

Jak widzimy stąd, kierunek objektywistyczny t. j. skłanianie się do uznania zalet stanowiących piękno za coś przedmiotowego, mającego swe realne źródło poza indywidualną świadomością, walczy w estetyce Poreny ze skrajnym subjektywizmem i relatywizmem, o ile według niego pięknem jest tylko to, co wybiega ponad poziom przeciętnych doświadczeń danego indywiduum, a zatem jest przez te doświadczenia jednostkowe najściślej uwarunkowanem. Nie da się wszakże bądźcobądź zaprzeczyć, że w tem przeciwstawieniu piękna wszelkiej tuzinkowości i pospolitości kryje się jądro prawdy oddawna mniej lub więcej wyraźnie przeczuwanej i uznawanej a to tak przez estetykę czysto idealistyczną, za wzorem Platona mierzącą piękno stopniem zbliżenia zjawisk do czystych idei i mniej lub więcej wiernem przebłyskiwaniem idei w świecie zmysłowym, jak przez estetykę XVIII-go wieku, która przy pomocy Leibnitzowskiego pojęcia doskonałości tłómaczyła piękno jako doskonałość, t. j. harmonijne, pełne rozwinięcie istoty, poznawane w sposób niejasny i niewyraźny, zmysłami. Porena uchwycił ten niewątpliwy fakt, iż pięknem jest tylko

to, co się wznosi ponad formy powszednie, wyłącznie ze strony psychologicznego mechanizmu naszej świadomości. Faktycznie, abyśmy mogli sobie powiedzieć, iż pewien przedmiot lepiej od innych ujawnia wspólne cechy gatunkowe, n. p. iż jego barwa jest więcej nasyconą i czystszą, albo iż w rysach jakiejś twarzy ludzkiej maluje się silniej inteligencya, dobroć, szlachetność, względnie ich harmonijne połączenie, aniżeli w zwykłych rysach śmiertelników — musimy koniecznie mieć możność porównania, musi nam nasza pamięć wzrokowa dostarczać odpowiedniego materyału do takiego zestawienia i płynącej zeń oceny estetycznej. Ale obok tego substratu wrażeń przechowanych i odzywających się w przypomnieniu (a możliwie także współcześnie doznawanych i porównywanych) niezbędnym jest nam przecież jakiś probierz, na podstawie którego jedynie możemy orzec o wyższości formy pięknej nad podobnemi jej gatunkowo a pospolitemi. To, co się wyglądem swoim wyróżnia od innych rzeczy pokrewnych, może być także co do swej wartości estetycznej niższem od przeciętnego typu. Będzie to zgodnie z określeniami Poreny przedmiot brzydki. Na jakiejże więc zasadzie będziemy nazywali jeden przedmiot brzydkim jako „odbiegający" od typu przeciętnego, drugi zaś pięknym, jako „wybiegający ponad tenże typ? Czy to „odbieganie" i „wybieganie" mają być także pozostawionemi zupełnej dowolności subjektywnej oceniającego? Raczej trzeba uznać, iż duchowi ludzkiemu właściwą jest mniej lub więcej wykształcona zdolność przenoszenia się w życie form spostrzeganych i szybkiego — bez mozolnych przemyśliwań — zmiarkowania, czy jakaś forma została wcześnie okaleczoną i zatrzymaną w swym pełnym rozwoju, czy rozwój ten postąpił tylko tak daleko, jak pozwalają zwykłe przeciętne wewnętrzne zasoby i warunki zewnętrzne, czy też dzięki szczęśliwemu otoczeniu a jeszcze bardziej pod tchnieniem wewnętrznego ożywczego pędu kształtujące siły owładły w stopniu niezwykłym i pokonały oporność materyi i wykwitła z wyjątkowo zgodnego i niezmąconego ich współdziałania forma piękna,

t. j. przejrzyście objawiająca swoją niestłumioną i niezszarzałą, niezbanalizowaną żywotność. Zachowanie się ducha ludzkiego wobec materyału wrażeń, gdy cokolwiek spostrzega lub poznaje logicznie a niemniej gdy rozporządza swojemi i cudzemi sprawami, jest także kształtowaniem wedle tkwiących w nim zasad związku czasowego, przestrzennego i przyczynowego zjawisk ilościowo i jakościowo ze sobą porównalnych, gdy więc w objawach estetycznych narzuca nam się pokrewnej natury działalność formująca, zrozumiałem jest, że odczuwa najżywsze zainteresowanie dla tych objawów, że w pięknie natury odnajduje siebie i swoje ideały i że w pięknie artystycznem usiłuje świadomie stworzyć coś, co byłoby jeszcze żywszem i wierniejszem jego umysłowych i etycznych dążeń kształtujących odbiciem. Tak więc nie można, jak to czyni Porena, tłómaczyć aktu wyróżnienia piękna od pospolitości i brzydoty, mieszczącego się w każdej ocenie estetycznej, wyłącznie treścią tego, co dana jednostka dotychczas spostrzegała lub czego zaznała, ale wchodzi z konieczności w grę drugi czynnik: organizacya psychiczna istoty ludzkiej, spragnionej bez względu na osobiste pożytki za oglądaniem nieograniczonych postępów w kierunku prawdy, dobra, w kierunku jak największej zgodności we współdziałaniu sił żywotnych a zarazem ich jak największego spotęgowania. Człowiekowi potrzeba koniecznie dla zadowolenia duchowego, jak to już widzieliśmy z dowodów Dessoira, jakichś wielkości bezwzględnych. Wprawdzie tylko na tle zjawisk powszednich i w kontraście do nich może się w doświadczeniu naszem zarysowywać jasno wszelka wybitność zalet w wyglądzie rzeczy, jak w ich treści: siła, bogactwo, ścisłe dostrojenie się cech, czyli ta tak dobrze znana z dziejów estetyki jedność w rozmaitości. Ale przypisywać jakikolwiek walor tym składnikom piękności, przyznawać im wartość, wogóle traktować je jako „zalety“ może człowiek tylko dzięki temu, iż jego organizacyi duchowej jest właściwy pęd ku temu, co istność duchową rozszerza i podnosi a zarazem pogłębia i skupia otwieraniem widnokręgów w dal i wzwyż przy równoczesnem w nim

umacnianiu poczucia wewnętrznej jedności, a to przez spostrzeganie lub wyobrażanie sobie przedmiotów, zdarzeń, czynności, które czy w biegu swych konturów, czy w grze świateł i barw, czy w następstwie rytmów i melodyi, czy wreszcie w rozwijaniu się psychicznej i ideowej treści objawiają pokrewieństwa z dążeniami duchowemi i wywołują też te analogiczne z niemi poruszenia naszego wnętrza, jeśli tylko ich kontemplacyi całkiem się oddamy. Fakt, iż u różnych ludów, nawet cywilizowanych, urabiają się bardzo odmienne konkretne ideały estetyczne, i przekształcanie się tych ideałów w następstwie epok, nietylko nie dowodzi, żeby ideał piękna wogóle, jako taki, był czemś dowolnem, względnem, przypadkowem, ale przeciwnie wskazuje, że każde cokolwiek rozwinięte życie duchowe ludzkie pociąga za sobą wytworzenie jakiegoś ideału piękności, który będzie zawsze tem bogatszy i jednolitszy, im pełniejsze i silniej skoncentrowane około pewnych przejrzystych zasad przewodnich, jest owo życie t. j. jeżeli tętni w niem przynajmniej energiczna reakcya przeciw wszelkiej jednostronnej ciasnocie i rozłamom między teoryą a praktyką.

Bardzo subtelne analizy psychiczne Poreny prowadzą go do stanowczego odróżnienia piękna wyrazu (*bello dell'espressione*) nietylko od piękna bezpośredniego zmysłowego i typicznego — ale także od piękna wewnętrznego, które mu jest identycznem z pięknem treści (*bello del contenuto*) i rozciąga się między innymi do piękna moralnego. Taka klasyfikacya uwydatniająca odrębne cechy poszczególnych czynników i składników, może być bardzo pożyteczną jak w każdej innej nauce, byle nie rozrywała faktycznej łączności zjawisk występujących zawsze razem. Otóż jest rzeczą zgoła problematyczną, czy istnieje — poza najprostszemi chyba jakościami barw i tonów — forma dla nas piękna, któraby niczego nam nie wyrażała, nie kojarzyła się z naszemi własnemi przejściami i nie potrącała o nie — a na odwrót czy może być pięknym wyraz jakichś stanów psychicznych

bez względu na swoje stosunki formalne, na większą lub mniejszą łatwość ujęcia ich przez nasze funkcye spostrzegawcze. Podobnież „piękno treści“ musi uchodzić za termin niewłaściwy, o ile się do niego nie doda w myśl zastrzeżeń, że ta treść, aby była piękną, winna się wyjawić, podziałać w odpowiedniej formie na nas, jako na podmiot spostrzeżeń lub wyobrażeń.

Wyróżnia też Porena dynamizm wyrazu t. j. jego wartość estetyczną, polegającą na sile, od sympatyczności, czyli od jego zdolności zjednania nas sobie: przyznaje jednak sam, iż ten przedział jest mniej radykalnym od innych, bo w bardzo znacznej liczbie wypadków obie te wartości idą ze sobą w parze. Wszystkie zaś owe wyróżnienia spełniają w jego estetyce tę głównie rolę, iż dopomagać mają tłómaczeniu wielorakich antagonizmów: ścierań się i współzawodnictw między poszczególnymi rodzajami piękna, jak między (stylizowanem) pięknem geometrycznych figur a pięknem typów, między tem ostatniem a charakterystycznem pięknem wyrazów, wreszcie między etyczną pięknością treści a zaletami prawdopodobieństwa w oddaniu czynów i charakterów. Zaznacza wszakże sam, iż te przeciwieństwa łączą się z ogólniejszym kontrastem piękna w naturze i w sztuce, z tem, iż formy dowolnie tworzone oceniamy inaczej, aniżeli znajdowane w przyrodzie i przykładamy do nich miarę nietylko intencyi, jaka ich użyciu towarzyszyła, ale przedewszystkiem udania się zamysłów i odsłonionej w tem siły twórczej i kształtującej, a to stosownie do odrębnej natury sztuk albo tworzącej zupełnie swobodnie albo usiłującej osiągnąć podobieństwa do form w naturze („ideomimetycznej“), albo wreszcie w sztuce słowa wybierającej z całości zaznanych stanów, z odczuwań i wyobrażeń „analizą intuicyjną“ takie strony, które pewnymi wyrazami i ich połączeniami dają się scharakteryzować najdosadniej, a oświetlają jedność przebiegu psychicznego i wyobrażonych w nim przedmiotów, przejść, zdarzeń, czynów. To też rozciągane przez Po-

renę do całej dziedziny piękna antagonizmy między pięknością typu a wyrazu, względnie treści etycznej lub umysłowej, rozgrywają się istotnie tylko w obrębie piękna artystycznego, gdzie (ma się rozumieć w oczach znawcy) typ objektywnie piękny ale niepogłębiony w widzeniu twórczem, nieprzetopiony indywidualnie, oddany nieudolnie, nie przedstawia żadnej wartości jako dzieło sztuki, gdzie też i treść, chcćby najszczytniejsza, ale niemająca w swym wyrazie piętna osobowości, z którejby wytrysła, zbanalizowana w sposobie swego wypowiedzenia się, traci urok nawet, gdy uznania zupełnej słuszności nikt jej nie odmawia, wogóle wszędzie tam, gdzie czujemy, że artysta nie dorósł swemu przedmiotowi, nie przeniknął się z nim i nie utożsamił, nie ożywił go i nie rozszerzył tchnieniem swego ducha. Z tych powodów dalej sięga — głoszony przez Porenę bez niezbędnych zastrzeżeń — relatywizm objawów estetycznych w pięknie sztuki, aniżeli w pięknie naturalnem, bo gdy w tem ostatniem nakłada jednostkowej samowoli granice gatunkowa wspólność psychicznej organizacyi ludzkiej, piękno artystyczne musimy zawsze oceniać z uwzględnieniem kulturalnego środowiska twórcy: społeczeństwa i epoki, w której żyje. N. p. te właściwości techniki malarskiej, którychbyśmy nie wybaczyli dzisiejszemu trzeciorzędnemu malarzowi, nietylko nie szkodzą naszemu podziwowi dla madonn Cimabuego, ale nawet skojarzyły się ściśle w naszych wyobrażeniach z jego głównemi zaletami. Ale nie zdaje się mieć racyi estetyk włoski, gdy twierdzi, że wszelki bardziej wyrobiony smak w ocenie dzieł sztuki zmierza ku naturalizmowi, ku kontrolowaniu prawdopodobieństw w sposobie oddawania typowych form naturalnych i ku analizie psychologicznej więcej lub mniej misternego sposobu tworzenia, zaś ideały piękności zachowują tylko urok dla ludzi bardziej naiwnie patrzących na dzieło sztuki, mianowicie tak, jak gdyby było wytworem natury. Na to należy zauważyć, że i w myśl dowodzeń samego Poreny t. zw. idealnie piękne formy nie są bynajmniej całokształtami cech zamkniętych w sobie, raz na zawsze zrealizowanych i wyczerpująco określić się dających, że nie są to przeciętne

okazy typów gatunkowych, ale przeciwnie takie, które ponad zwyczajną miarę się rozwinęły. Otóż, gdy nie można wytyczyć nieprzekraczalnych granic w postępie ku spotęgowaniu i sharmonizowaniu pewnych znamion, zwłaszcza w postaci ludzkiej wyrażających inteligencyę, siłę woli, bogactwo i delikatność uczuć, ta nieograniczona możność doskonalenia się form i żyjącej w nich treści, z zachowaniem prawdopodobieństwa, o wiele pełniej i silniej ujawnia się w widzeniach i dziełach twórczej, artystycznej wyobraźni, aniżeli na przedmiotach spostrzeganych w naturze, zawsze mniej lub więcej dotkliwie przypominających swoje zacieśnienie warunkami otoczenia. Nawet wyraźny ślad konkretnego modelu, na którego tle artysta wysnuł swój pomysł, nabiera dla nas wielokrotnej ceny swej piękności, gdy widzimy, jak zapładniająco działała ona na ducha, jakie rysy nadały mu się na motyw przewodni, co z nich zdołał wydobyć, jaki stąd uzyskał przyrost wartości wyrazowej. Dla znawcy jednakże, t. j. człowieka o wyrobionym smaku, to echo piękna naturalnego w dziele sztuki jest tylko substratem, idealnie piękną może mu być jedynie całość, wyrażająca się przez zespół czynny ducha twórczego z przedmiotami jego widzeń, przez takie ich opanowanie i rozświecenie ognisk promieniejącej z nich energii na odpowiednich punktach, że to, co od wielkiej piękności zdaje się być nieodłącznem, niespożyta żywotność, pęd ku nieskończonemu rozwojowi przy równoczesnem umacnianiu się wewnętrznej organicznej jedności, odsłania się zarówno w przedmiocie, dziele sztuki, jak przez jego pryzmat w twórczym podmiocie, i naodwrót dzieło urasta w oczach naszych przez wyrytą na niem osobistość sprawcy. Nie jest więc owa idealna piękność w sztuce takim niższorzędnym, mało skomplikowanym objawem, żeby, jak to twierdzi Porena, wybredniejszego smaku nie mógł zadowolnić i tylko maluczkim duchowo, naiwnie wrażliwym, gotował żywsze uciechy.

Do zasług autora zaliczyć należy — oprócz szczęśliwie uchwyconego przeciwieństwa między pięknem a przeciętnością —

także staranne i trafne zdaniem piszącego wyświecenie pewnych kwestyi szczegółowych, jak stosunku między muzyką a słowem oraz między mową (n. b. artystyczną) a pomysłami. Zbija gruntownie pogląd Spencerowski, wedle którego miałaby melodya wytworzyć się z odcieniowań w intonacyi wyrazów pod wpływem modulacyi uczuć towarzyszących ich wygłoszeniu i na wielu przykładach celniejszych utworów muzycznych, zwłaszcza oper, dowodzi detailicznie niezależności melodyi. Również śmiało ściera się z zakorzenionem od dość dawna zapatrywaniem, iż niema myśli bez (wyobrażonych przynajmniej) symbolów słownych, bez mowy głoszonej lub pisanej. Uzasadnia swoje przeciwne stanowisko tem, że przed scharakteryzowaniem rzeczy i zdarzeń zapomocą mowy musi rozpocząć swą czynność analiza intuicyjna, wyjmująca z całości wyobrażenia momenty uważane za najgłówniejsze i za zdolne reprezentować tę całość, oświetlić ją i zaprzątnąć dla niej i dla nich nasze uczucia estetyczne — a to już jest rodzaj rozmyślania artystycznego. Obok tej analizy przed właściwą funkcyą wysłowienia (*elocutiva, verbale*) przyjmuje jeszcze funkcyę konstrukcyjną, t. j. zestawienia dobranych elementów, tudzież funkcyę ideologiczną, t. j. sprowadzania nowych elementów konkretnych do odpowiednich istniejących już oderwanych, dawnych, bo dopiero potem nastąpić może użycie zrozumiałego dla innych wyrazu. Na podstawie tego wyróżnienia funkcyi wykazuje dalej, iż pierwszym warunkiem estetycznej wartości połączeń wyrazów w mowie jest, aby analiza sięgała głębiej, czyli, aby nie wybierała całkiem oczywistych i każdemu narzucających się stron przedmiotu, ale bardziej ukryte a przecież uderzające trafnością i siłą charakterystyki. W dalszym toku tej pracy psychicznej wieńczącej się ostatecznie artystycznem wysłowieniem mają jeszcze według Poreny funkcye konstrukcyjna i ideologiczna spełniać zadanie hierarchicznego układu elementów, t. j. takiego, w którym przez należyte podporządkowanie jednych drugim osiąga się przejrzystość a zarazem wrażenie, iż wiernie odtworzono stosunki przedmiotów, czyli

tak, jak się one nasunęły świadomości mówiącego czy to w jego spostrzeżeniach czy w wyobraźni. W samej wreszcie funkcyi wysłowienia podnosi Porena jako momenty decydujące o estetycznej wartości mowy, zdolność poruszenia uczuć odpowiednio dobranymi wyrazami i celowość obmyśleń ku wywołaniu zamierzonych nastrojów (to ostatnie zwłaszcza w wymowie). Szczegółowo także zajmuje się różnemi formami przenośni, w których widzi osobliwie skuteczny środek pobudzenia i wzbogacenia biegu wyobrażeń zapomocą poddawanych podobieństw i różnic, ułatwiający skupienia zjawisk pokrewnych łącznie z eliminacyą ich składników niepotrzebnych i nieodpowiednich danemu celowi. Widzimy z tego przeglądu, iż autor daje poważnie przemyślane linie wytyczne dla dalszych badań psychicznej genezy sztuki słowa, jakoteż warunków, od których zależy jej dodatnia ocena przez rozwinięty smak.

Niezależne od autora tych uwag powody zniewoliły go do ograniczenia się w tym przeglądzie nowszych teoryi estetycznych, nakazały mu poprzestać na razie na omówieniu pięciu pisarzy obcych, jakkolwiek w ostatnich czasach pojawiło się znacznie więcej publikacyi, zasługujących na szczegółowy rozbiór i ocenę — aby wymienić tylko z pośród naszych prace przedwcześnie zmarłego, nieodżałowanego ś. p. prof. Władysława Pilata, Zenona Przesmyckiego imponujący głębokością, siłą, wytrawnością i znawstwem cykl *Pro arte*, Wł. Heinricha *Psychologię uczuć*, dzieła K. F. Wizego, Segała, Ady Silberstein, Sobeskiego i innych.

Do niektórych konkluzyi uprawniają jednak już rozstrząśnięte tu dzieła. Są one świadectwem bardzo żywo rozbudzonego ruchu umysłowego w kierunku zbudowania systemu estetyki niezależnie od założeń z góry na podstawie naukowej, doświadczalnej, dostarczonej z jednej strony przez psychologię indywidualną, z drugiej przez dzieje sztuki i kultury estetycznej. Pozostaje zawsze jeszcze otwartą kwestya metody; jaki jest najodpowiedniejszy i najracyonalniejszy sposób skombinowania

tych dwóch obfitych kopalni materyału faktycznego, aby się one wzajemnie oświetlały i ażeby wedle jakiejś jednolitej zasady przy uwzględnieniu zachodzących między naturą jednego a drugiego materyału różnic były spożytkowywane. Jakkolwiekbądź się ta sprawa wyjaśni, widocznem jest, że rzeczone zagadnienia estetyki współczesnej obracają się głównie około kwestyi, czem jest zachowanie się i wrażenie estetyczne, jakim stosunkom między formą spostrzeżeń i wyobrażeń, a wyrażającą się w niej i bezpośrednio t. j. bez pomocy rozumowań, dochodzącą do świadomości treścią i z jakich przyczyn przyznać należy zdolność wywoływania takich stanów uczuciowych, w których nasze „ja" czuje się spotęgowanem, ożywionem i pogłębionem, mimo, że nie odnosimy żadnych praktycznych korzyści ani nawet nasza wiedza o objektywnych związkach rzeczywistości się nie rozszerza i nie rozjaśnia, ale samym aktem oglądania jesteśmy uszczęśliwieni, antycypując niejako i obejmując z góry różne cele duchowe i dobra, osiągalne realnie tylko z mozołem w dążeniach umysłowych i etycznych. Jak widzieliśmy, Lipps usiłuje wszystko wytłómaczyć wczuwaniem się — ale skutkiem tego urasta w jego przedstawieniu nadmiernie czysto subjektywny moment odczucia piękności, tak, jak gdyby ono polegało jedynie na poczuciu własnej wzmożonej czynności spostrzegania i wyobrażania. Toteż pożądanem dopełnieniem braków tej teoryi przedstawia się stanowisko Witaska, który nie przecząc faktów wczuwania się, wprowadza w grę jeszcze inne czynniki, jak uczucia współudziału, przyjemność połączoną z oglądaniem form jako takich, tudzież ze ziszczeniem się typu normalnego, a nadto uważa wogóle uczucia estetyczne za wywoływane raczej treścią (n. b. w ścisłem odniesieniu do ujmującej ją formy) aniżeli samym aktem spostrzeżenia, wreszcie wykazywaniem przewagi uczuć fantazyjnych w zachowaniu się estetycznem zachwiewa pogląd Lippsa o instynktownym, bezwiednym, naiwnie

realistycznym charakterze wczuwań się. Ujemną wszakże stronę tego stanowiska stanowi taka różnoraka wielość punktów widzenia, iż nie sposób dojrzeć drogi, którąby wiodła do podporządkowania ich jednemu prawu. Mimo swego w zasadzie zdeklarowanego pluralizmu bardziej już jednolitym jest Dessoir. Przyjmując bowiem we wrażeniu estetycznem pewną ciągłość i stałość następstwa czasowego od przyjemności zmysłowych poprzez zadowolenia płynące z form ku uciechom, sprawianym przez wyrażenie treści, zdaje się uznawać jako istotę prawidłową całego przebiegu psychicznego zachowania się wobec piękna dążność do wniknięcia w idealny przedmiot, podniesienia się ku niemu i utożsamienia z nim. „Ja“ konkretne rozszerza się w myśl tej teoryi stopniowo w „ja“ wieczyste, bezwzględne na opanowującym jego widzenia przedmiocie dzięki temu, iż budowa tego przedmiotu symbolizuje jakiś nieograniczony postęp, że wyraża jakąś niewyczerpaną żywotność i pobudza temsamem nasze bezkresne tęsknoty. Coś analogicznego mimo chybionego usiłowania, by stworzyć czysto normatywną estetykę — znajdujemy u Cohna w jego rozumowaniach o potrzebie harmonii między formą a wyrazem i w poszukiwaniach bezwzględnych wartości. Porena wreszcie dziwnym zbiegiem, jakby niezamierzonej ironii, z tak gorąco walczącego przez jego usta relatywizmu wysnuwa analizą psychologiczną pojęcie zalet niezwykłych, wyjątkowej wyborności przedmiotu, potrzebnej do uznania go za piękny — i na całkiem niezależnej od tamtych estetyków drodze potwierdza wynik uzyskany przez nich.

Estetyka dzisiejsza oddana badaniu i zużytkowywaniu coraz bardziej rosnącego materyału doświadczeń — t. j. niemniej pochodzącego z eksperymentów jak z wiedzy historycznej — nie objawia bynajmniej skłonności do tego, by wbrew przestrogom Fechnera porzucić drogę od dołu i zanurzyć się napowrót w spekulacyach metafizycznych. Właśnie

jednak jako kierująca się zasadami ściśle przedmiotowego empiryzmu, liczyć musi z tem, że człowiek jest istotą bardzo wielostronną w swych reakcyach uczuciowych także wobec form zjawisk i że pod powłoką upodobań w pięknie miarowem, harmonijnem, w powtarzających motywach symetryi i rytmów, które umacniają wrażenie zamkniętości kształtu i jego niezależności od otoczenia, kryje się u niego nieugaszony pęd ku wielkościom bezwzględnym, ku orkanom wstrząśnień i szczytom doskonałości ginących w chmurach nad zawrotnemi otchłaniami i że najwyższych upojeń dostarczają mu dopiero takie wizye, w których przez formę nieraz najmniej wyszukaną, ale zawsze szczerą, świeżą, niezużytą, przeziera, przemawia i chwyta nas dreszcz przed nieskończonością duchowej, zaświatowej i światowej zarazem Potęgi, bliskiej naszemu uczuciu, ale dalekiej naszemu umysłowi i naszej woli, choćby najgoręcej usiłowały do Niej dotrzeć i z Nią się upodobnić.

Dr. Witold Rubczyński.

Prądy słowianofilskie wśród Emigracyi Wielkiej 1830—1863.

Panslawizm polski jest naszą chwałą w przeszłości, a misyą i prawem w przyszłości.

Zygmunt Krasiński.

Gdy promienie krwawo świecącej łuny nocy listopadowej gasły, w duszy narodu toczyła się śmiertelna walka, albowiem nękało ją chwilowo beznadziejne zwątpienie, energia zaś nie pozwalała upadać, a czynny umysł kazał szukać ratunku. Nieśmiertelni bojownicy za ideę wolności, nie chcąc okować ducha niepodległego w obrożę niewoli, opuścili ze łzami ziemię ucisku i niedoli i pociągnęli w kluczach żurawich na zachód po wolność, by jak ptaki przelotne wrócić z nią na wiosnę do kraju rodzinnego. Ze strasznym bólem szły tłumy wygnańców: poeci, żołnierze, politycy na pielgrzymkę tułaczą, pełni jednakże wiary niezłomnej i nadziei, że w krótkim czasie w szeregach zwycięskich wśród powszechnej wojny ludów o wolność „przejdą Wisłę, przejdą Wartę, będą Polakami" i przyniosą Ojczyźnie oswobodzenie. Ciągnęli zaś głównie do Francyi, bo spodziewali się, że z niej wyjdzie iskra zapalna rewolucyi europejskiej, która po wyzwoleniu Polski wraz z innymi ludami ujarzmionymi zaprowadzi na ziemi królestwo Boże. Istni to lazaroni ducha niepodległego, którzy krocząc na czele bojowników wolności, otrębywali przed

światem pobudkę sprawiedliwości Boskiej, jakby zwiastuni wiosenni wielkiego ruchu wolnościowego. Wszystkim im przyświecał w połysku brylantowym jeden ideał niepodległości, który oparty na silnem uczuciu miłości ojczyzny, nie pozwalał upaść na duchu i wyrzec się świętych celów powstania.

Opuszczeni przez rządy i rozgoryczeni niechęcią jawną, okazywaną im przez gabinety europejskie, widzieli teraz emigranci jedyne zbawienie dla sprawy narodowej w ścisłym sojuszu z ludami uciśnionymi, w braterstwie z tymi, co wolności nie posiadali, a dobijać się jej pragnęli. Tę nową wiarę polityczną, której zarodki jeszcze w kraju zakiełkowały w sercach wiarusów, kiedy to hasło „za waszą i naszą wolność" wypisano na chorągwiach listopadowych, spotęgowało owacyjne przyjęcie emigrantów przez ludy europejskie, gorąca ich sympatya i współczucie dla sprawy polskiej, słowem powszechny głos ludów wieszczący, że sprawa polska jest sprawą wolności powszechnej i wszystkich ludów Europy. Ten głos podnoszony zwłaszcza w Niemczech, gdzie naród cały dyszał pragnieniem wolności i jedności, ale nie czuł mocy ducha, potrzebnej do ich zdobycia — natchnął ufnością zbolałe serca tułaczów i napełnił je przekonaniem, że wygnaniec polski ma wielkie do spełnienia dzieło, że jest czynnikiem odrodzenia narodowego, pobudką bojową, głoszącą chwilę świtu i nadzieję dnia wolności, że przez ludzkość droga do Polski, bo każdy tryumf wolności w Europie zbliża wyzwolenie Polski.

Wtenczas to po raz pierwszy uczuliśmy, czem jesteśmy — mówił potem Wiktor Heltman.[1] I zrozumieliśmy, że misyą naszą jest: przewodniczyć ludom w ich walce przeciw ujarzmieniu. I byliśmy gotowi przelać krew naszą za każdą wolności sprawę.

Z temi ogólno-ludzkiemi hasłami wolności łączyli a nawet utożsamiali emigranci ideę słowiańską i za nią przedewszystkiem gotowi byli położyć życie, albowiem do ludów słowiańskich, jako najwięcej uciśnionych, czuli najsilniejszą sympatyę. Wierzyli także święcie, że w bratnim związku z nimi dzięki wspólności wielu interesów dojdą najprędzej do Polski i dlatego po-

[1] W mowie na obchodzie listopadowym 1838 r. Zob. dzieło jego „Demokracya polska na emigracyi", 1866, na str. 56.

stanowili nieść w Słowiańszczyznę ideę niepodległościową i wraz ze swoją ojczyzną cały szczep Słowian dźwignąć z niedoli i ciężkiego upadku. Niezmiernie silną zachętą i podnietą była dla nich ta okoliczność, że po Słowiańszczyźnie szerzyło się teraz potężne uczucie braterstwa i tchnienie swobody, niby wiosenny deszcz odrodzenia, ruch umysłowy postępował nieprzerwanie i budził się duch w przeróżnych dziedzinach nauki i życia politycznego, a ludy słowiańskie, stęsknione za światłem, zaczęły wyprężać strudzone ramiona ku świtającej jutrzni nowego życia, wrzały już w tych latach gorączką rewolucyjną, spiskowały przeciwko gniotącym je rządom i pokładały swe nadzieje w szeroko powiewającej chorągwi demokracyi polskiej.

Wolność — głosili emigranci[1] — Polskę obrała za posłanniczkę, żeby Słowianom przypomnieć związek dawnego braterstwa i jedności i wyrwać ich ze stanu długiego ucisku i niedoli.

Zarodki tej misyi wynieśli już z ojczyzny pielgrzymi-tułacze, gdzie pod wpływem romantyzmu nabrali wiary wielkiej w przyszłość Słowiańszczyzny. Teraz zaś umocniła ich w tem poezya wieszcza, przeniknęła wielką a świętą żądzą i tęsknotą za królestwem Bożem i filozofia narodowa. Prorokowała ona, że narodom pogardzonym niebawem przypadną w udziale klucze świata, a najprędzej posiędą je ludy słowiańskie, które najwięcej ucierpiały i doznały niesprawiedliwości, a najgłębiej odczuły konieczność braterstwa i sprawiedliwości na ziemi. Głosem wieszczym przepowiadała także, że w urzeczywistnieniu tych idei polega ich posłannictwo opatrznościowe, a spełnią je za pośrednictwem Polski, która zmartwychwstanie w pełni szczęścia i potęgi i stanie się pochodnią światła dla ludzkości, Chrystusem-Mesyaszem, niosącym uciskanym i poniewieranym apostolstwo miłości z przykazaniami wolności i równouprawnienia. Nowy ten kierunek myśli, zwany mesyanizmem, wynikał siłą konieczności z duchowego nastroju narodu. Zbolała bowiem jego dusza szukała ratunku i ukojenia a znajdowała je w idei wyższego posłannictwa Polski między ludami słowiańskimi. Krzepiła ona ujarzmio-

[1] Mierosławski na obchodzie listopadowym 1841. Zob. *Sławianin* 1841, III, str. 106.

ny naród w jego ciężkiej doli, była surmą bojową przyszłości świetlanej, a w skołatanych duszach pielgrzymów, nękanych tęsknotą za krajem i szukających nowych dróg, krzepiła moc wewnętrzną. Powołały zaś ją do życia i wykołysały — nie pycha narodowa, lecz cierpienia, nieszczęścia, straszne gromy i miłość ojczyzny.

Z proroctwem tej idei i z hasłem odrodzenia i ożywienia ludzkości duchem Chrystusowym przez Polskę i Słowiańszczyznę szli przed narodem filozofowie-myśliciele, którzy, odczuwając gorąco tętno życia narodowego, pragnęli zrozumieć treść dziejów i istotę bytu naszego i wskazać drogi, jakiemi naród ma spełniać posłannictwo wobec siebie i człowieczeństwa. Wszyscy oni: Hoene Wroński, Trentowski, Libelt, Cieszkowski, Królikowski, Bukaty, Tyszyński jednozgodnie z francuskimi Saint-Simonistami marzą o zbawieniu świata, spodziewają się wiarą nową świat stary odmłodzić, a w nadziei i przeczuciu, że coś wielkiego ma nadejść — głoszą z serc natężonych, że rodowi słowiańskiemu wypadło posłannictwo wprowadzenia zasad chrześcijańskich do polityki.[1]

Wodzem ich jest Hoene-Wroński, autor dzieła Messianisme (r. 1831). Zapowiada on przyjście epoki Ducha świętego, w której zaświta czas uszlachetnienia ludzkości i zbudzi się tęsknota za cnotą bezwzględną. Przyspieszyć zaś tę chwilę może unia mesyanistyczna, utworzona z Francyi, Niemiec i Rosyi, które otrzymały posłannictwo doprowadzić rodzaj ludzki do ostatecznego przeznaczenia i zaszczepić mesyanizm na ziemi, usuwając z niej biedę i niedolę. W tej epoce ożywi ludzkość i świat zbawi siła twórcza, parakletyzm, który wyjdzie ze Słowiańszczyzny, gdyż ludy słowiańskie są nowym narodem Bożym i do nich należy sternictwo ludzkości. Najwięcej podatny grunt pod zasiew parakletyzmu znajdował Wroński w kościele greckim bardziej postępowym w jego mniemaniu od łacińskiego i dającym większą swobodę myśli i rozwoju. Z tego też powodu przyznawał Rosyi bardzo ważne posłannictwo i wyznaczał jej przewodnictwo w bractwie

[1] *Garfein Garski*: Zagadnienia polskiej filozofii narodowej. Biblioteka warsz. 1910, II, 332—49.

Ducha świętego, które zawiązując się i pozostając pod protekcyą Rosyi, stworzy nową religię i Kościół. Wzywał też, by Rosya tą drogą dokonała zjednoczenia Słowiańszczyzny, skupiła obok siebie wszystkie narody słowiańskie i obdarzyła je wolnością zupełną.[1]

Przepomniał więc Wroński własną ojczyznę, cieniem ją zasłonił i umieścił w rzędzie maluczkich, oczekujących w pokorze zrządzeń losu z ręki wielkich. Marzył bowiem o zbawieniu całego społeczeństwa i dlatego zapatrzony w ten wielki cel zdjął gloryę z własnej ojczyzny a przyoblekł nią Rosyę panslawistyczną. Jednakże panslawizm jego w idealnych błyskach szlachetności pojęty nie wypływał z zatraty i wyziębienia uczuć patryotycznych, lecz był tylko wynikiem jego utopijności, która — pragnąc jak najszybszego spełnienia swej nauki, mało realnej, bo nie wysnutej rozumem trzeźwym z życia, jeno fantazyą bujną z głębin ducha mistycznego — uważała Rosyę, jako najsilniejsze państwo słowiańskie, za najodpowiedniejszą do ziszczenia swych snów społecznych.

Odmiennie zapatrywali się na stanowisko Polski w Słowiańszczyźnie i nie podzielali z Wrońskim sympatyi dla Rosyi inni filozofowie, trzeźwiejsi z ducha, przyznający szczepowi słowiańskiemu, który nie brał dotąd wybitnego i wpływowego udziału w losach świata, wielkie znaczenie w przyszłości.

Trentowski,[2] wypowiadając swoje poglądy historyozoficzne w dziele *Chowanna*, uważa Słowian za wcielenie kultury przyszłości. Szczepowi słowiańskiemu — według niego — przypadło przeznaczenie oglądania oblicza świata nowego i zgłębienie mądrości ludzkiej przez pogodzenie sprzeczności istniejących i zbudowanie syntezy, tak w filozofii, jak i w innych dziedzinach twórczości duchowej i w życiu. Propagując ideę słowiańską, wywyższa Trentowski w posłannictwie słowiańskiem Polskę, niezłomnie dobijającą się wolności od tych „pobratymczych nie-

[1] *Czesław Pieniążek*: Mesyanizm a Towiańszczyzna. Lwów 1877.

[2] *Zieleńczyk*: Historyografia Trentowskiego. Biblioteka warsz. 1910. I, 353—73.

Artykuł w czasopiśmie emigracyjnem „Trzeci Maj" 1845, s. 143, 159.

wolników, którzy zawsze walczą za niewolę i zagrażają swobodzie Europy" i naród polski nazywa królem szczepu słowiańskiego. Przestrzega również przed zaślepieniem i poleca hołdować nie „rosyjskiej idei panslawizmu", ani „austryackiej idei wschodnio-południowego państwa słowiańskiego ze stolicą w Carogrodzie", lecz jedynie polskiej „idei rzeszy wszechsłowiańskiej", przyrzekającej każdemu ludowi „nietykalność imienia i wszech narodowości, tudzież osobną do miejsca i obyczaju zastosowaną konstytucyę".[1]

Uzupełnieniem historyozofii Wrońskiego i Trentowskiego jest nauka Cieszkowskiego, przeniknięta silną wiarą w odrodzenie ludzkości na zasadzie ewangelicznej.[2] Wierzy on w blizkość nastania ery Ducha świętego, która będzie świadkiem zbratania narodów i zastosowania zasad prawdziwego chrystyanizmu nie tylko w życiu jednostek, ale i we wzajemnych stosunkach między narodami. Będzie to epoka królestwa Bożego, jednakże sama ze siebie ona nie nastąpi. Musi się ją stworzyć przez czyn i zdobyć przez zasługę, a do tego trzeba „nowego ludów pokolenia, nowego szczepu, który jest w pogotowiu, ogromny, rozległy, silny, a ponad podziw poniewierany i poniżony". Są nim właśnie Słowianie, którym dotychczasowe cierpienia, będące zarazem zasługą, nadają prawo do tej misyi. Oni to rozszerzą w Europie wolność, a podnosząc się z niewoli ku szczytom niepodległości, przeszczepią miłość chrześcijańską z życia prywatnego w publiczne.

Systematy tych trzech myślicieli stanowią główne wytyczne cechy filozofii mesyanistycznej. Bez ich uwzględnienia niezrozumiałą byłaby ideologia czasopism słowianofilskich na emigracyi. Nie byli oni wprawdzie jedyni, boć obok nich występowali i inni nie bez wpływu i znaczenia, jednakże ci zasadniczo nic nowego lub mało co dorzucili do struktury duszy emigracyjnej. Wszyscy zaś wogóle są wiernymi apostołami Hegla, chcć nie niewolniczymi. Promienie bowiem jego nauki o powołaniu, jakie spełnić ma

[1] „Chowanna". Poznań, wyd. 2-gie, 1845—46. t. II, str. 472.

[2] Zapatrywania historyozoficzne, naszkicowane w początkowych rozprawkach, rozwinął szeroko w dziele „Ojcze nasz" 1848, t. I.

w swem istnieniu każdy naród, załamali w pryzmacie duszy polskiej i zdobyli się na oryginalność, przyznając rolę dziejową Słowianom. Mesyanizm ich tkwi w wierze w posłannictwo Słowiańszczyzny, mającej odrodzić ludzkość zestarzałą, rozwinąć swoje przyrodzone narodowe siły i stanąć na czele kultury wszechświatowej — oraz w tem przekonaniu, że właśnie Polska, cierniem koronowana królowa Słowian, jest tym mesyaszem, który cierpieniami swemi ma odkupić przewinienia ludzkości całej i dokonać moralnego a na gruncie chrześcijańskim opartego odrodzenia zmaterjalizowanej zepsutej Europy.

Słowa ich padały w chwilę odpowiednią, gdyż ze strony polskiej wyczekiwano w tęsknocie na ziemi obcej jakiejś zapowiedzi zdarzeń na rozciągłej linii widnokręgu europejskiego, któreby zleczyły cierpienia tułaczów skołatanych i pozwoliły wrócić ich duszom utęsknionym nad brzegi ojczyste Wisły, Niemna lub Dniepru. Zwrot też ku działalności reformatorskiej, społecznej i politycznej był wówczas powszechny. Wszędzie marzono o uchrześcijanieniu człowieczeństwa, o przyszłej z Bogiem zjednoczonej ludzkości i pragniono pogrążyć w otchłani wiekuistego zatracenia złość i zawiść, a na grobie ich zaszczepić miłość, któraby w niepokalanym majestacie i blasku świeciła po wszystkie wieki wieków. Donośnie rozbrzmiewały wtedy hasła rewolucyi europejskiej: *égalité, liberté, fraternité* (w znaczeniu braterstwa ludów) i stawały się marzeniem poetów i jednym z głównych dogmatów wiary politycznej. Również we Francyi, której życie oddziaływało na emigracyę naszą, przeróżne sekty i cały obóz katolicki z Montalembertem i Lamennais'em na czele, wierzył w związek święty ludów, w blizki koniec despotyzmu i materyalizmu europejskiego, w zwycięstwo idei wiary, poświęcenia i wolności. Rozchodził się też wtenczas po szerokich ugorach duch polski, nadzwyczaj płodny w dziedzinie myśli społecznej i politycznej. Nie odgradzano się bowiem na emigracyi od życia, od jego wymagań realnych a trudnych, lecz nawiązywano sprawę polską do objawów myśli i czynu w Europie, szukając wszędzie dla niej środków ratunku. Wierzono, że naród nawet bez bytu państwowego, mający jeno przeszłość kulturalną,

może odegrać rolę polityczną i podjęto trud śmiały, żeby życie współczesne na szlakach ideowych nawiązać do tradycyi z okresu świetności narodowej, roztworzyć dla myśli polskiej horyzonty rozległe i wskazać dumie i sile narodowej olbrzymie pole działania.

Wkrótce i nasi poeci uderzyli w harfę proroczą i na jej strunach z wielką siłą wierzących serc zapowiadali, że Polska będzie wodzem, królem-duchem, Chrystusem narodów, który zmartwychwstanie, aby miłością spajać w jedno ludy. Poezya ich skarżyła się łzami uciskanych i poniewieranych, jęczała zgrzytem ich kajdan, śpiewała hymn zapału i męstwa, wołała na bój w imię wielkiej misyi słowiańskiej. Mickiewicz życiem swem wskazywał Polsce ten cel wyraźny, Krasiński w Psalmie miłości przepowiadał jej: „Wstaniesz królową słowiańskich pól"; [1] Słowacki nauczał, że Polska i wogóle rasa słowiańska to wybrana, albowiem stworzy formę życia najdoskonalszą, opartą na wolności i braterstwie; przypominał również, że Polska ma szczególną misyę,[2] którą spełni przez zjednoczenie Słowiańszczyzny słowem miłości. Także i inni poeci wierzyli w blizki sojusz ludów słowiańskich i chcieli skierować dążenia narodu ku szczytnym celom i unieść go w idealną krainę miłości i poświęceń.

Usiłowania myślicieli i poetów rychło opromieniły się bujnym plonem, gdyż zarodki ich myśli kiełkowały w duszach wszystkich, zasiane w nich po utracie niepodległości boleścią nieskończoną i niezmierną miłością ojczyzny. Wszak łatwiej wypieścić przyjęte już kwiecie, niż nowe przywołać do życia. Szybko więc przejmowała się rzesza emigrantów ideami romantyzmu: wiarą, nadzieją i miłością, a pod wpływem utworów łzami i krwią pisanych, pełnych potęgi, grozy i natchnienia zaczęli nawet politycy wierzyć poetom, że nie jest przeznaczonem narodowi polskiemu pełzanie wieczne po nizinach materyalizmu, lecz los wskazuje mu życie wyższe przez ideę słowiańską. Zrozumieli jednakże, że nie znaczy to wcale przypiąć sobie skrzydła ikarowe

[1] Pisma Zygm. Krasińskiego, wyd. Piniego. Lwów 1904, t. II. na str. 280.

[2] Śni o niej Aniela w Beniowskim. Zob. Dzieła Słowackiego. Lwów 1909. t. III, str. 292, wiersz 266.

i puścić się w krainę nieuchwytnych fantazyi i postanowili wymarzoną przez filozofów i poetów ideę ściągnąć z niebios na ziemię. Oparli ją przeto nie tylko na uczuciu, ale i na podstawach realnych, trzeźwo wyrozumowanych, utożsamiając z nią ideę niepodległościową.

Już w r. 1834 zawiązało się Towarzystwo Słowiańskie w Paryżu, mające na celu nawiązanie stosunków z pobratymczymi narodami Polski. Do pierwszych jego założycieli należeli: Adam Mickiewicz, Bohdan Zaleski, Wojciech Kazimirski, Stan. Ropeleski, Eust. Januszkiewicz, K. E. Wodzyński.[1]

Od pierwszych chwil pobytu na ziemi obcej nie pomijali emigranci żadnej sposobności, zwłaszcza w czasie obchodów rocznicy listopadowej, do wywieszenia sztandaru słowiańskiego, który wyraźnie zarysował szerokie szlaki ideowe. Zaznajamiali tułacze Zachód z życiem Słowian ustnie na zebraniach i pismem w dziennikach, czasopismach, encyklopedyach francuskich. Niektóre „gminy" ochrzciły się nazwą „Słowiańszczyzna", a im dalej rozpraszali się pielgrzymi, tem szerzej i coraz silniej promieniowała idea słowiańska. Im bowiem większe były nieszczęścia ludów słowiańskich, im bardziej były opuszczone i poniżone między ostatnimi, tem wyżej stawiali je bojownicy polscy i gorliwiej starali się skupić pod godłem odrodzenia narodowego. Zdolną do tego w owych czasach była tylko dusza polska, oskrzydlona promiennością nadziei i tragizmem klęsk, łącząca nierozdzielnie patryotyzm swojski ideą posłannictwa ze sprawą powszechnej miłości ludów. Ten idealizm szczytny uzacniał dusze różnych przekonań politycznych, tak ze stronnictwa „demokratycznego", jak i „arystokratycznego", na które to dwa wielkie obozy dzieliła się emigracya.

Demokraci głosili przymierze z ludami i od nich wyczekiwali zbawienia, wierzyli w świętą walkę o wolność, bliską chwilę wybawienia, w wielką wojnę europejską, zmieniającą kształt świata i wyzwalającą Polskę, a w tej przyszłej rewolucyi przepowiadali dla siebie rolę decydującą. Cele swoje polityczne wypowie-

[1] Wiadomość o tem podaje na str. 86. Kalendarz pielgrzymstwa polskiego na rok 1838. Paryż 1838, str. 129.

dzieli w Manifeście[1] Towarzystwa Demokratycznego ogłoszonym dnia 4 grudnia r. 1836. Podnosił on myśl połączenia wszystkich narodów słowiańskich na podstawie idei demokratycznej. Wszelkie nieszczęścia i sam upadek ojczyzny przypisywał lekkomyślnemu porzuceniu własnej, narodowej, polskiej myśli i „demokratycznej idei słowiańskiej". Za główny cel w dążeniu do wywalczenia Polski niepodległej wskazywał — spełnianie posłannictwa: „demokratyczną ideę wśród Słowian, dziś za narzędzie ujarzmienia służących, rozszerzyć, tą ideą ich złączyć, a przez cnoty swoje, przez czystość i siłę ducha swojego powszechnemu nawet usamowolnieniu europejskich ludów dać początkowanie".

Na przeciwległym krańcu stał obóz arystokratyczny, który starał się nieść w Słowiańszczyznę ideę monarchii oświeconej i konstytucyjnej. I on także, oddając się nadziejom związanym z sympatyami okazywanemi przez ludy, wierzył w wojnę powszechną i skarbił pomoc narodów słowiańskich, lecz starał się ją złączyć z pomocą rządów i przeciwny był hasłom republikańskim i gwałtownym środkom rewolucyjnym. Wywieszając sztandar monarchiczno-insurekcyjny, wyczekiwał ulżenia doli kraju, wygnańców i ludów słowiańskich głównie od następstw, mających wypłynąć z wojen międzynarodowych, ze zmian w mapie Europy. To właśnie różniło go głównie od stronnictwa demokratycznego, które więcej ufało ludom podległym, niż rządom, liczyło na starcia zbrojne obu tych czynników: rewolucyę, i marzyło o republice słowiańskiej. Nie można zapominać, że myśl polska szła wówczas w równej parze z europejską. Był to bowiem okres tworzenia się we wszystkich ziemiach dzięki Mazziniemu licznych organizacyi „węglarzy", które propagowały ideał konfederacyi republikańskiej ludów europejskich, urządzonej na podstawie narodowej w imię braterstwa powszechnego.

Dla rozwijania teoryi politycznych w myśl haseł epoki, rozpowszechnienia i obrony programów, oraz w celu szerzenia idei głoszonych, stwarzają stronnictwa czasopisma. Zogniskowane głównie we Francyi i w Paryżu, rozpadały się one na obozy

[1] *Heltman*: Demokracya polska na emigracyi. Lipsk 1866, na str. 54.

według podziału emigracyi na główne partye. Każde bowiem stronnictwo i towarzystwo miało coś do drukowania i chciało mieć swój organ, w którymby mogło hasło swe uzasadniać z punktu widzenia narodowego i wszczepiać je w społeczeństwo jako jedynie zbawienne. Były więc poświęcone przeważnie polityce i dlatego to z powodu wielkiego zróżniczkowania burzliwego żywiołu emigracyjnego trwały bardzo krótko, podobne do ptactwa ulotnego, które po zakrążeniu paru wzlotów opada na siłach i ginie. W przeciwieństwie do ówczesnych pism krajowych, tłumionych i mówiących tylko o rzeczach obojętnych, rozprawiają pisemka emigracyjne o wszystkich sprawach i zamiarach polskich i barwnie odzwierciedlają gwarne i ruchliwe życie emigracyjne. Pozornie rozczepiają się bezładnie w różnych kierunkach, kroczą własnemi, wązkiemi ścieżkami i używają rozmaitej broni, ale w istocie pomimo silnego rozstrzelenia, rozmaitości odcieni i swarów wzajemnych, szeregują się w wyciągniętą linię bojową i ławą ruszają do walki o Polskę. Czynnikiem zaś, łączącym je silnie w zwartą grupę, była (poza pragnieniem wolności) idea słowiańska. Głosiły ją jedne więcej, drugie mniej śmiało, jasno, wszechstronnie, ale prawie wszystkie z nielicznym wyjątkiem. Pism, któreby ją zupełnie przemilczały i nie wypowiadały się ani *pro* ani *contra*, było stosunkowo mało.

Mamże na nowo dowodzić, — odzywała się *Sybilla tułactwa polskiego* [1] — że zbutwiała budowa społeczności europejskiej runąć musi; że słońce królów już nad zachodem; że pierwszym wypadkiem powszechnego wstrząśnienia musi być wymiar sprawiedliwości uciśnionym — a zatem Polsce; że nas czeka świetny na północy zawód przodkowania ludom słowiańskim w wielkiem dziele społecznego przeobrażenia się.

Postęp (w r. 1834) wskazywał środki do oswobodzenia ludu polskiego i Słowiańszczyzny.

Naród Polski [2] określał stanowisko i rolę Polski i Rosyi w Słowiańszczyźnie i przepowiadał apostolstwo Polski wśród

[1] 1833, str. 64.

[2] Paryż 1836. Znajduje się w bibliotece Akademii w Krakowie w „Tece emigracyjnej“ za rok 1836.

Słowian: „Przyjdzie czas, kiedy ludy słowiańskie siłą myśli i chęci wyrobią w sobie ruch i powstaną; natenczas zawołają: „wolność, Polska", a Polska zajmie miejsce tak dobrze zasłużone czynami swojemi. Potrafiła przechować wyobrażenia narodowe Słowiańszczyzny, potrafi przewodniczyć Słowianom na drodze uzyskania niepodległości, wolności i równości".

Towarzystwo demokratyczne, podnoszące myśl połączenia wszystkich narodów słowiańskich na podstawie idei demokratycznej, wydawało dla propagowania swych zasad *Pismo Tow. Dem. Polskiego* (w Poitiers 1837 — 1841) i *Demokratę Polskiego*, w których pomieszczało czasem rozprawy treści historycznej i politycznej o Słowianach.

Braterstwo, określając swą barwę, zapowiadało w programie:[1] Do okręgu wielkiego koła, jakie sobie *Braterstwo* zakreśla, mają wchodzić i bez wyjątku należeć wszystkie ludy zjednoczone całej, przyszłej, potężnej Słowiańszczyzny... Ta jedność, to połączenie w jedno polityczne ciało wszystkich sprzymierzonych ludów słowiańskich, da się właściwie uskutecznić przez demokratyzm, a nie przez despotyzm i powinno nastąpić przez Polskę, a nie przez Rosyę.

Szeroko rozwijał program słowiański *Polak*,[2] wychodzący zrazu pod redakcyą Jana Czyńskiego, później przez pewien czas krótki pod kierunkiem Ferdynanda Rogińskiego, Czesława Pieniążka, Michała Chodźki i Franciszka Zawadzkiego. Pierwszy jego numer ukazał się w Paryżu, w dniu 3-go maja roku 1837.

Za jeden z najpierwszych celów swego zadania uważał on „dopomódz w sposób energiczny uorganizowaniu się emigracyi, wyszukiwać i wyjaśniać, gdzie spoczywają potęgi narodu, zjednoczyć wszystkie żywioły polskie w jedną siłę moralną i ku Polsce ją skierować, aby podać dłoń potężną naszym braciom w dziele wspólnem usamowolnienia lubej ojczyzny".[3] Dlatego wzywał

[1] Wiadomość o dążeniach i celu tego pisma, zapowiedzianego, ale nie doszłego do skutku, ogłosił „Republikanin". Londyn 1837, nr. 2 i 7.

[2] Wychodził trzy razy na miesiąc, w terminach nieoznaczonych do końca września r. 1838; wszystkie zeszyty razem liczą str. 232 formatu 8° większej.

[3] Str. 2, nr. 1.

„ludzi postępu, ludzi radykalnych", żeby na zwaliskach arystokracyi wznieśli „świątynię demokracyi polskiej, całem światłem XIX w. promieniejącą" i domagał się dla przyszłej Polski rządu republikańsko-demokratycznego.

Na takiem podłożu rozsnuwał *Polak* kanwę swych myśli politycznych. Wierzył gorąco w przyszłość wielką narodów słowiańskich i określając swą wiarę polityczną,[1] wskazywał Polsce posłannictwo słowiańskie.

Przyszła Polska — powiadał — winna być „jedna i nierozdzielna. Od Odry aż do Dniepru, po Euksyn od Bałtyku, oto granice jej mocarstwa. Taka Polska odpowie godnie swemu powołaniu i spełni wysokie w Słowianii posłannictwo. Od Elby aż do Donu, od Newy do Adryatyku mieszkają liczne plemiona jednego, silnego szczepu Słowian: 55 milionów. Słowiańskie pokolenia gościnne, braterskie, pełne poświęcenia, młode, jędrne, energiczną duszą natchnione, do wielkich przeznaczone są czynów: im nadobna przyszłość należy. Słowianie odrodzą Europę, jak tyle razy Wschód odradzał egoistyczny, handlarski Zachód. Słowianie połączą Europę z Azyą. Aby tak wielkiego mogli dokonać dzieła, muszą się scentralizować. Polska, jako przodkująca im oświatą, zespolenie to uskuteczni. Polska opowie słowiańskim ludom, swym braciom, demokratyczne słowo i na ich czele usamowolnienie Europie poniesie".

Skoro tylko Polska — wykazywał *Polak* — byt polityczny odzyska, naraz potęga Rosyi, Prus, Austryi ogromnie zmaleje, gdyż „Morawia, Czechy, Dalmacya, Illirya, Kroacya, Slawonia, Bośnia, szczepy mnogiego Słowian rodu wkrótce pewnie po wyjarzmieniu Polski[2] wspólność rodu sobie przypomną i niegodne zerwą pęta.

...„Polska więc ze szczęśliwego, jakby umyślnie wolą przychylnych nam losów wybranego położenia, sercem jest Słowianii i środkiem Europy".

„Posłannictwem więc Polski jest połączenie i scentralizowanie wszystkich słowiańskich plemion, nie przemocą siły zwierzęcej,

[1] Nr. 1, str. 9.
[2] Nr. 3, str. 30.

nie propagandą ognia i miecza, jaką moskiewski despotyzm centralizować zamierza, ale przyciąganiem spółśrodkowych dążeń, tożsamością rodu, obyczajów i wymagalności, czyli propagandą usamowolenia, odrodzenia społecznego i cywilizacyi, której Polska była i będzie niewzruszonem Słowianii ogniskiem. Posłannictwo to nie jest nieprawnem przywłaszczeniem, zgwałceniem praw pojedynczych plemion słowiańskich, jakby się komu pozornie wydawać mogło. Jest ono wypływem nieodbitej konieczności, nieodzownych potrzeb tych plemion; nie będzie przeto wymuszonem. W imieniu tych potrzeb, w imieniu przyszłości słowiańskiego rodu, wezwaną jest Polska do spełnienia tego wiekuistego centralizacyi dzieła. Ono jej się z prawa należy, ono przez nią tylko uskutecznionem być może"...[1]

„Tak więc usamowolona, odrodzona Polska stanie na czele narodowego, słowiańskiego ruchu; pierwsza da hasło powszechnego wyzwolenia, pierwsza swe młodsze siostry do walki prowadzić będzie, pierwsza iść na drodze reformy społecznej i cywilizacyi, a na swem łonie spajając odwieczne węzły pobratymczych plemion, szablą najeźdzców chwilowo przecięte, stawi zdziwionemu światu zachwycający obraz pomyślności i szczęścia, którego dopóty używać nie będzie miała prawa, póki gwałt i morderstwo na Polsce zmazanem nie zostanie".

Z tym samym ogniem, zapałem i wiarą, co *Polak*, pisały i inne czasopisma, ale w nawale najrozmaitszych kwestyi zajmowały się sprawą słowiańską ubocznie niejako. Silny zaś prąd słowianofilski, porywający za sobą ludzi wszelkich odcieni, domagał się organu, któryby wszechstronnie i wyłącznie oddał się na jego usługi.

Pierwszym zarysem takiego pisma była *Revue Slave, ouvrage non periodique*, Paryż 1839 r.[2] Redaktor jej Hieronim Napoleon Bońkowski,[3] tłumacz dzieła Szafarzyka o starożytnościach sło-

---

[1] Str. 31.

[2] Wyszedł tylko numer 1, 8-ka mała, str. 80.

[3] Estreicher w Bibliografii błędnie podaje za redaktora Bronikowskiego na podstawie inicyałów X. B., umieszczonych pod artykułem wstępnym na str. 6. Ten sam błąd popełnia *L. Gadon*: Z życia Polaków we Francyi, str. 44.

wiańskich,[1] współzawodnik Mickiewicza do katedry w Collège de France,[2] brał czynny udział w powstaniu r. 1830 jako ułan.

Wydawnictwa podjął się z pomocą kilku przyjaciół, ażeby wykorzenić błędne pojęcia zagranicy o Słowianach i informować Europę w kwestyach słowiańskich. Nawet Francya — pisał we wstępie — w której koncentruje się ruch wolnościowy wogóle wszystkich narodów, ignoruje historyę narodów słowiańskich. Naszem więc zadaniem wywołać zainteresowanie dla świata słowiańskiego, otworzyć jej oczy na politykę względem nas, co może wpłynąć na państwa zaborcze, gnębiące ludy słowiańskie. Z drugiej strony pragniemy, by *Revue Slave* była organem uczonych i literatów słowiańskich, placówką ich myśli, życzeń i nadziei, miejscem dyskusyi naukowej i politycznej, gdyż w ten sposób pismo „ułatwi narodom słowiańskim środki porozumienia się, poznania swych sił i sił nieprzyjacielskich". *Revue Slave* propaguje ideę, która dotychczas tliła w piersiach młodej generacyi słowiańskiej, głosi ideę wolności każdego z narodów słowiańskich — wbrew interesom cudzoziemskim, barbarzyństwa i despotyzmu.

Głosiło więc pismo ideę oswobodzenia ludów słowiańskich, obierając za punkt oparcia wyzwoloną i niepodległą Polskę.

Tę samą polityczną myśl poruszał i drugi artykuł o dążności słowiańskiej (*la tendance slave*),[3] skierowanej przeciw despotyzmowi Austryi, Rosyi, Prus i Turcyi, a którą Francuzi stanowczo powinni popierać, gdyż „idea przymierza słowiańskiego w imię wolności i cywilizacyi nie przyniesie szkody żadnemu narodowi".

Resztę zeszytu zapełniły dwa artykuły naukowe pióra redaktora, jeden o dziejach Wandalów, (*Sur l' origine et l' histoire des Wandales*) udowadniający, że byli oni pochodzenia słowiańskiego; drugi, zatytułowany *Les lanques de nations slaves* mówił ogólnie o ludach słowiańskich, o ich krajach, mitologii, języku,

---

[1] Wyjątki przekładu ogłosił „Trzeci Maj" 1840, t. I. str. 157, 161, 166, 181.
[2] Zob. notatkę Pilata w Pamiętniku Tow. Mickiewicza, t. III, str. 192.
[3] Str. 7—16.

literaturze, historyi, uwydatniając silnie budzenie się uczucia narodowego na każdem polu.

Autorem wszystkich rzeczy, pomieszczonych w numerze pierwszym, był sam Bońkowski. W razie rozwoju pisma i powodzenia nie zdołałby on licznym ciężarom redakcyjnym podołać i dlatego zawczasu starał się pozyskać współpracowników we wszystkich krajach słowiańskich. Pisał w tym celu do Szafarzyka, do pioniera myśli narodowej wśród Chorwatów, Ludevita Gaja, z prośbą o zachęcenie swych rodaków do przysyłania redakcyi artykułów i książek, na których zakupno Bońkowski, jako prywatny nauczyciel nie miał środków odpowiednich.[1]

To także było powodem, że *Revue Slave*, wydana kosztem zasobów jednostki niezamożnej, na pierwszym zeszycie żywot skończyła. Emigranci nie mogli poprzeć funduszami, bo w przeważnej części byli biedni, nadto żyli w rozprószeniu, że trudno było rozszerzyć czasopismo między wszystkimi. Również w krajach słowiańskich nie mogło się rozszerzać, bo przecież kordony broniły dostępu każdej myśli wolniejszej i nie przepuszczały żadnej książki, wydanej zwłaszcza na emigracyi. Nawet w ówczesnej prasie polskiej głucho o dążności *Revue Slave*; z pism niemieckich *Gazeta Augsburska* przychylnie omówiła jej kierunek, zaznaczając, że pismo może mieć wpływ w interesie sprawy polskiej.

Sam Bońkowski pomieścił w jednem z poważniejszych pism emigracyjnych autoreferat.[2] Charakteryzuje on dosadnie cele i zamiary wydawcy, dlatego warto się z nim zapoznać, choćby w skróceniu:

Naszem zdaniem zajmować się Słowiańszczyzną jest to pod wielu względami służyć najkorzystniej naszej sprawie, a tem samem niweczyć plany carów, obliczone na zagładę wolności naszej i naszych pobratymców. A zatem zajmować się

[1] List Bońkowskiego do Gaja, z dnia 12 grudnia 1839 mieści się w książce: Pisma pisana dr. Ludevitu Gaju (1828—1850), wydał dr. Velimir Deželič. Zagrzeb 1909, na str. 27.

[2] Trzeci Maj 1840, str. 46.

Słowiaństwem i jego sprawami jest to pod nową zupełnie postacią wpływać na obudzenie się Polski. Jawnym tego celem jest wspierać usiłowania Słowian zachodnich, którzy pod cisnącem jarzmem Austryi, Prus i Turcyi jęczą, a których chytry rząd moskiewski w widokach despotymu przynęcić usiłuje. Zasadnicza polityczna myśl wydawcy, to połączenie wszystkich plemion słowiańskich pod przewodem przywróconej Polski. *Revue Slave* może rozbierać główniejsze zadania polityki bieżącej na korzyść Słowian i w związku z naszą sprawą, nie pomijając rozpraw historycznych, literackich, religijnych, zwłaszcza w dzisiejszym stanie i statystycznych, słowem wszystkiego, co się tyczy tej wielkiej rodziny, o której tu na zachodzie najmniejszego nie mają wyobrażenia. Albowiem kiedy wszystkie dzienniki dowodzą, iż tylko przez powstanie odzyskać mamy niepodległość naszej Ojczyzny, co jest także moją wiarą polityczną, róbmyż więc sobie zawczasu stronników, sojuszników, a takimi są niezawodnie Słowianie, nasi pobratymcy. Wspierać i zachęcać usiłowania narodowe Słowian, do których ich nasze powstanie popchnęło, gromić tych, którzy się poważą niweczyć ich zapał narodowy, jest to zdaniem naszem skarbić sobie na przyszłość ich przyjaźń, a gdy czas pomyślny nadejdzie, nawet i bratnie przymierze.

Treścią i formą była *Revue Slave* nowością, bo typ pisma naukowo-politycznego był przedtem u nas nieznany. Zamierzała badaniom naukowym poświęcać wiele miejsca, uważając znajomość naukową Słowiańszczyzny za podstawę słowianofilstwa politycznego. Uznawała jednakże, iż literatura i nauka nie wystarczą do należytego poznania się Słowian między sobą, że zbadanie i zrozumienie stosunków polityczno-społecznych i dążności narodowych jest ważniejszym i wprost niezbędnym warunkiem do wzajemnego zbliżenia się Słowian.

Z temi zapatrywaniami solidaryzowało się inne czasopismo słowianofilskie *Sławianin*,[1] wychodzące w Paryżu w latach 1841—1843. Można uważać to pisemko za entuzyastyczny po-

[1] Wyszło zeszytów 4, formatu 16-tki małej podobne do książeczki do nabożeństwa, str. 124, 126, 127, 128.

ryw, jaki budziła na emigracyi idea słowiańska. Wydawał je nakładem własnym Antoni Alfons Starzyński, kapitan wojska polskiego.[1] Na karcie tytułowej każdego numeru była rycina, przedstawiająca kosyniera polskiego z kosą w lewej ręce, a chorągwią w prawej, na której wypisane były promieniami gwiazdy oświecone słowa: „Za naszą i waszą wolność". Pod jego stopami leżały zerwane pęta, półksiężyc i wąż.

Wydawca zapowiadał, że *Sławianin* zawierać będzie „historyczne, wojskowe i polityczne przedmioty, tyczące się Sławianii, a szczególniej Polski, stosowne widokom jej przyszłego wyswobodzenia" i spodziewał się obudzić zainteresowanie wśród Słowian, jako jedno z tych pism, „co im niosą myśl swobody i podają sposoby jednoczasowego usamowolnienia się".

Starzyński głęboko był przekonany, że „Ojczyzna nasza, wywiesiwszy sztandar zjednoczenia i wolności dla oswobadzających się Słowian, ujrzy się znowu niepodległą, wolną i szczęśliwą".[2] Albowiem „służąc wiernie Polsce, interesowi i wolności całej Sławianii służymy. Przyjdzie zaś ten moment, iż ona nas zrozumie i wtedy przyzwoicie oceni wielkość naszych trudów i poświęceń",[3] gdyż „wzrok całej Sławianii zwrócony jest na Polskę, a kamień grobowy, który ją przywalił, cięży i na jej sercu".[4]

We wszystkich artykułach politycznych, pisanych z podniosłym patosem, podkreślał wyraźnie tem związek ścisły sprawy słowiańskiej z Polską. Tak n. p. w artykule *Centralizacya Słowian*[5] wykazywał, że „pozyskanie sobie wsparcia Sławian będzie dla nas bardzo łatwe, jeśli wcześnie pożyteczne i zbawcze nasiona moralności i poświęcenia zechcemy u siebie głębiej zaszczepić i z ust i pism przenieść do serc i zamienić w działalną siłę i żeby snadniej w wielkie czyny urosły. Ile że do pokonania naszych

[1] Smolikowski w dziele „Historya zgromadzenia Zmartwychwstańców" w tomie IV, str. 34, podaje, że Starzyński wydawał po r. 1842 „Słowiańszczyznę". Wiadomość ta jednakże jest mylna i powstała zapewne wskutek przekręcenia tytułu „Sławianina".

[2] Zeszyt III, str. 24.

[3] Zeszyt I, str. 3.

[4] Zeszyt I, str. 111.

[5] Zeszyt I, str. 13.

wrogów nie obcej pomocy, lecz przyjaźni Słowian nam potrzeba. Po większej części mamy niepodejrzaną życzliwość i przychylne serca, lecz żeby skutecznie rozporządzić ich siłą, wpierw się porozumieć, a później jednoczasowie połączyć należy... Chwile bowiem wspólnego i skutecznego działania wcześnie poprzedzić powinna myśl moralnego zjednoczenia". Na emigrantach zaś polskich leży obowiązek poczynić stanowcze kroki „do zcentralizowania Sławian, dla uratowania ich własnej narodowości,[1] gdyż Sławianie wyższych uczuć i pojęć dawno już to czują, że im pod chorągwią wolności, przez Polskę wywieszoną, koncentrować się wypada. I Sławianie czystego rodu, co się łatwo między sobą poznają po namiętnem zamiłowaniu wolności, w jedną całość i ogromne państwo scentralizowani, bez wielu trudów na łonie braterstwa będą mogli dojść do wielkości i jeszcze za życia znaleść raj na kuli ziemskiej".

W innym artykule *Pomysły łatwego wyjarzmienia się Sławian przez Polskę*[2] wypowiedział tę myśl, że „Polska nie pragnie nic wyłącznie dla siebie, lecz swojem bohaterstwem i poświęceniem i wyższą edukacyą polityczną, zająwszy pierwszeństwo w familii słowiańskiej, chce utrzymać własną i wszystkich Słowian godność i uratować z przepaści ich starodawną, wspólnie ubóstwianą wolność". Polacy — mówi dalej — przelewając krew w obronie własnej ojczyzny, również „chcą zbawić wszystkich Sławian", którym „za życzliwość i braterską usługę niosą wolność". Zresztą „dla Polaków i dla wszystkich Sławian tam najwłaściwsze miejsce zjednoczenia, tam prawdziwy sztandar honoru i wierności, gdzie najprzód kolory narodowe zbrojną ręką wolności zostaną wywieszone... Przeciw naszej niepodległości, przeciw wyswobodzeniu całego rodu Słowian i ich szczęściu i wielkości jest każdy, kto za najpierwszą dogodną okolicznością szczerze nie weźmie się do oręża i dobrowolnie nie uzbroi tem dla nieprzyjacielskiego ucha piorunującem hasłem: Wolność i Braterstwo polskiemu ludowi! Śmierć wrogom, najeźdzcom Sławian i ciemiężcom Polski".

[1] Zeszyt I, str. 16.
[2] Zeszyt II, str. 38.

Dla dokładnego poznania zasad głoszonych w *Sławianinie* warto jeszcze przytoczyć słowa następujące:[1] „Myśl wskrzeszenia Sławianii i nowem życiem odmłodnioną — wprowadzenia na scenę polityczną i do znajomego jej przybytku wolności — tak mocno jest zespoloną ze sprawą Polski, iż trudno jest przypuścić, żeby każdy Sławianin, w którym się najmniejsze tchnienie dawnych swobód utrzymało, tego nie czuł, że byt Polski, wolnej, potężnej i niepodległej jest jak najmocniej związany z dalszych, najodleglejszych części Sławianii bytem... Bez Polski ziemia słowiańska jest to grób ciemny pod władzą cudzoziemczyzny, gdzie zamieszka wieczna niewola... Wywołując i popierając sprawę pobratymczych z nami Sławian i wzywając ich do wspólnego wyswobodzenia i wolności, mniemam, że dopełniam sumiennie wielkiego względem własnej ojczyzny obowiązku, która zawsze swą pomyślność i wielkość zakładała na nieograniczonej swobodzie i dźwignięciu drugich z przykrej doli i ucisku".

Spełnienia idei przez siebie głoszonej spodziewał się Starzyński od młodego pokolenia, które wzywał do zawiązania blizkich stosunków z pobratymcami. Wierzył on, że „Sławianie przekonawszy się, iż Polska jest tarczą wolności ludów słowiańskich"[2] staną licznie do wspólnej walki pod chorągwie listopadowe, a „nasz orzeł biały samem zjawieniem się odwróci obłąkane własne syny i na nowo w swoim bystrym locie całemu rodowi Sławian przedstawi ich, jako wybawicieli i braci, pod których przewodnictwem po pomyślnie za niepodległość stoczonym boju, braterstwo, swoboda i szczęście znowu na ziemi ich zakwitną".

Obok artykułów treści politycznej umieszczał Starzyński w każdym zeszycie stosunkowo w ilości większej rozprawki o sztuce wojennej, nauczające i przygotowujące czytelników do czynnego udziału w walce zbrojnej.

Pismo nie cieszyło się rozgłosem wielkim i liczyło tylko około dziewięćdziesięciu prenumeratorów stałych. W ich liczbie

---

[1] Str. 123.

[2] Zeszyt IV, str. 13.

był Leonard Chodźko, Seweryn Goszczyński, Hieronim Kajsiewicz, Franciszek Zap z Czech. Głównie zaś rozchodziło się między oficerami i wojskowymi. Upadek jego wytłómaczyć można jedynie ówczesnymi stosunkami, gdyż wśród niespokojnej, niemal koczowniczej i materyalnie biednej emigracyi nie mogło się trwale rozwinąć czasopiśmiennictwo. Innych powodów trudno się dopatrywać, albowiem lata, w których *Sławianin* wychodził, to czas najbujniejszego rozkwitu słowianofilstwa polskiego i wpływu jego na ludy pobratymcze, z pośród których nawet Rosyanie, rewolucyjnie, usposobieni, zaczęli wierzyć, że dzieło zjednoczenia Słowiańszczyzny tylko przez Polaków zainicyowane być może.

Wtedy to Mickiewicz, idąc za ogólnym prądem, głosił z ogniem niezwykłym z katedry w Collége de France (od 22 listopada 1841) słowo o rosnącem znaczeniu Słowiańszczyzny i ściągał nietylko tłumy rodaków, ale i Słowian wszystkich przebywających podówczas w Paryżu. Niektórzy Słowianie umyślnie przybywali do Paryża w jedynym prawie celu słuchania jego lekcyi.[1] Dzięki temu wpływ Mickiewicza na świat słowiański, zwłaszcza na młodsze pokolenia, rwące się ku szlachetniejszej i piękniejszej przyszłości, stawał się olbrzymi.[2] W świetnych obrazach ukazywał wieszcz przyszłą Słowiańszczyznę, połączoną w związku federacyjnym, jako wolni z wolnymi, równi z równymi, a w słowach prelekcyi wstępnej kursu czwartego (22 grudnia 1843): „to miejsce uznałem za emblematyczną arkę przyszłego zjednoczenia się ludów słowiańskich“ określił swoje stanowisko, bardziej polityczne, niż naukowe. Tak samo zapatrywała się na cel jego działalności emigracya, a w wy-

[1] *Limanowski:* Historya demokracyi polskiej w epoce porozbiorowej. 1901, na str. 306.

[2] J. F. Frič, emigrant czeski, który żył z tułaczami polskimi w stosunkach zażyłych, tak pisze w swych wspomnieniach, skreślonych w latach późniejszych: „Obecna generacya nie ma o tem pojęcia, jak wtedy wzruszyła i wzmocniła świadomość czeskich kół wieść radosna, że w wysokich szkołach paryskich została założona pierwsza katedra języków i literatur słowiańskich, z której wykładać będzie zupełnie wolnem słowem szerszemu ogółowi przeszłość i cierpienia „białych niewolników Europy“ sam Mickiewicz, z początkiem lat czterdziestych najwięcej do tego powołany“, Narodni Listy 1890, nr. 182.

mownych słowach wypowiedział to z okazyi pierwszej prelekcyi arystokratyczny *Trzeci Maj*:[1] „Nie idzie tu tylko o to, aby inne narody obeznać ze słowiańskim geniuszem, ale co nierównie ważniejsza, aby samymże narodom słowiańskim wykazać stosunki moralne, które ich łączą lub łączyć na przyszłość mogą; która gałąź jest gałęzią pniową, główną, gdzie jest serce słowiańskie, skąd krew się rozbiega, utrzymuje i rozwija życie według odwiecznej miąyi rasowej".

Wierny obraz ducha owych czasów i wymowne świadectwo pozostawił jeden z emigrantów, Stefan Witwicki w „*Wieczorach pielgrzyma*:[2] „Od lat kilku o niczem prawie z takim zapałem nie mówią (Polacy), jak o Słowiańszczyźnie; o Słowiańszczyźnie więcej nieledwie jak o Polsce; niemasz polskiego literata, coby o czemkolwiek bądź zacząwszy, nie zawadził natychmiast jakimś sposobem o Słowiańszczyznę i jej nie wspomniał".

(Dok. nast.).

Edmund Kołodziejczyk.

---

[1] Rocznik 1840/41, str. 202.

[2] W tomie 2-gim, który wyszedł w r. 1842, wedle wydania Brockhausa z r. 1866, t. II, str. 190—201.

Z cyklu: „Opowieści Chrystusowe".

O tych, którzy czekali...

Zawsze gdy przechodził przez podwórza świątnicy, na jego ostrem, starczem obliczu odbijał się żywy ból, przygasłe oczy z bezmiarem cierpienia patrzyły na panujący dokoła ruch.

— Woły! woły na ofiarę... woły, których jarzmo nie dotknęło jeszcze! — wywoływał rozgłośnie przekupień.

— Cielęta pierworodne, bez skazy!

— Kozły ku ofiarze za grzechy!

Ryki zwierząt zegnanych przepełniały przysionki świątyni. Wstrząsnął Symeon osiwiałą głową... nie były to zwierzęta, jakich wymagało prawo ofiary, niejednokrotnie widział stworzenia chore, ułomne, spracowane, podsuwane ku ofiarze... daremnie zwracał uwagę arcykapłanów.

I duszą Symeona wstrząsał wstręt i lęk... wstręt przed ludzkością, która i tu nawet oszukać pragnęła i lęk przed gniewem obrażonego Boga.

Cała niegdyś cicha a cudna świątynia zmieniła się w targowisko, nietylko w przysionkach, ale w głównej świątyni stały stoły lichwiarzy pożyczających i zmieniających pieniądze... a nawet do Najświętszego wdzierał się gwar tłumu tam, gdzie niegdyś panowała uroczysta, niczem niezakłócona cisza.

Z trudem przeciskała się wysoka postać starca-kapłana, przez tłum krzyczący, targujący, rozgłośny.

Przystawał czasem, by posłuchać publicznego wykładu uczonych w Piśmie i faryzeuszów. I smutek głębszy odbijał się w jego cichej, jasnej twarzy... w potoku frazesów brakowało zrozumienia Boga, zewnętrznem ustawodastwem chciano upozorować grzech i nadać mu, w pewnych wypadkach cechy prawa...

— A dusze wasze będą jako naczynia piękne a puste, do których napróżno lgną usta spragnione... i czerpią tylko oschłość, bo oschłość jest w was... Świątynią będą wasze serca zdobną a pustą, bo w niej nie zamieszkał Bóg... — myślał Symeon i kurczowo splatały się starcze dłonie... Panie naród do przepaści dąży, do zaguby... o miej miłosierdzie! miej miłosierdzie!

W młodości jeszcze, gdy Symeon równie silnie odczuwał to dążenie do zguby, oddalanie się od Boga świątyni i narodu, ślubował Panu, że dusze swoje ustrzeże od grzechu, a wszystkie rozkosze życia odda, byle czystą duszą, sercem i czystemi dłońmi spełniać za naród ofiarę podnoszenia.

I dotrzymał...

Płomienne pożądania natury zgłuszył, nigdy ramię jego nie objęło kobiety, nigdy usta nie przylgnęły do ust...

Surową linią woli młodzieńcze zwarły się wargi... zamknęły oczy na wszelkie uroki świata, w dobrowolnem wyrzeczeniu zamarły tęsknoty wszystkie, zostało tylko pragnienie Boga. I to pragnienie było szczęściem jego młodości, światłem lat męskich, ufnością jego starości, gorącą i wielką.

I była przy świątyni niewiasta, Anna Fanuelowa z pokolenia Aser. Niegdyś po krótkiem jak baśń, jak sen... szczęściu kobiety żony, pozostałą Anna, jako wdowa kapłana nadal przy Jerozolimskiej świątnicy, kojąc ból duszy opuszczonej modlitwą.

A serce jej przejmował zawsze mimowolny skurcz bólu, współczucia, gdy widziała bladozłote postacie kapłanów, błysk wyostrzonej stali i cichy przejmujący ryk, jednem pchnięciem zarzynanej ofiary... Krew bluzgająca z otwartych żył, ciepła,

żywa plamiła niepokalaną biel szat kapłańskich i kamienne płyty stołów.

Gdybyż jak dawniej, krew ta płynęła na przebłaganie grzechów, była wyrazem pokuty, poprawy...

Ale nic... bogaci rzucali Bogu życie stworzeń jako haracz, należny za możność grzechu, a kapłani przez palce spoglądali na zepsucie przenikające naród...

I rosła w skarby świątynia, jedwabie drogie, kosztowne szaty stroiły kapłanów... a świat coraz silniej mackami swemi ogarniał polip grzechu.

Co dnia ciepła krew spływała z upierścieniowanych rąk kapłanów na złoto głównego ołtarza, farbowała się od niej przejrzysta woda miedzianych wanien basenu.

Wtedy z zamierającej lękiem duszy Anny, rwało się pytanie:

— Panie wszakże tak składana ofiara winą musi być wobec Ciebie, nie hołdem.

I gięła się jej smukła postać ku malachitowej posadzce, a dusza błagała za naród cały. Szeroko rozwarte jej źrenice błądziły po ścianach świątnicy i spotykały wszędzie złote, smukłe postacie Cherubinów, które ręka Chyzama z. Abi obdarzyła podwójną twarzą człowieka i lwa.... kontrast tych dwóch głów, wdzierał się niemal fizycznym bólem w głąb serca Anny Fanuelowej.

I raz gdy przytulona do słupów cedrowych spoglądała z miejsca przeznaczonego dla kobiet na całopalenie, gdy opalowe najpierw, a później czarne kłęby dymu wznosiły się z ołtarzy i swędem spalonego mięsa i tłuszczu napełniały świątnice, gdy dźwięki trąb, cymbałów, harf i cytr zagłuszały pienia kapłanów i wrzawę ludu, dusza jej dziwną rozgorzała tęsknotą... za zjawą Boga, o którym śniła jej dusza, do którego psalmami swomi tęsknił Dawid.

Boga miłości... Boga miłosierdzia.

Nagle, zdawało się jej, że mgła zasnuła wnętrze świątnicy.

Zniknęły postacie kapłanów, zcichnęła wrzawa. Przed jej szeroko rozwartemi oczyma zjawiły się olbrzymie postacie Che-

rubinów, strzegących tablic Mojżesza... tajemnic wiary. A na błękitno-opalowem tle zwieszającej się z ich skrzydeł hyacentowej zasłony zarysowała się przed zdumionemi oczyma Anny Fanuelowej wysmukła, młodzieńcza postać... Boga miłości... Boga miłosierdzia.

I widziała głębie oczu tęsknych, litościwych, słodkich, pogodnych.

Dreszcz przeczucia nią wstrząsnął, a dusza rozmawiała z młodzieńczą zjawą Boga bez słów.

— Gdy przyjdziesz... w świątnicy twojej nie będzie słychać jęku ofiar... nie będzie krwi?

— Ja sam będę ofiarą...

— Gdy przyjdziesz, nie będzie w religii twojej słów „oko za oko", „ząb za ząb"...

Bezmiarem miłości, głębią miłosierdzia patrzyły ku niej błękitne źrenice.

— Gdy przyjdziesz... świątnica twoja... w każdej duszy będzie... w sercu każdem!

— Gdy przyjdziesz — rwało się z głębi piersi kobiety jak hymn radości — miłosierdzie pójdzie twoim śladem, litość, miłość. Ucichną okrzyki nienawiści... Ty wywiedziesz ludzkość z jej nędzy, z jej upodlenia... Ty?!

— Ja... jedyną krwawą ofiarą za grzechy całej ludzkości.

— Wszak zrozumiałam Cię Panie?

I równocześnie fala tęsknoty szarpnęła jej sercem, ból żywy całą istotę przejął.

— Czy ja cię ujrzę wtedy między nami... czy ja cię ujrzę?...

Ujrzysz!...

Mgła zniknęła, szeroko rozwarte źrenice Anny Fanuelowej widziały znowu tylko rzeźby Cherubinów o podwójnej twarzy. Wysoka postać o błękitnych jak niebo źrenicach zniknęła.

I tylko przez dźwięk trąb rozgłośny, przez chór śpiewaków wstrząsający murami świątnicy, przez ofiar zarzynanych jęk i krzyki ludu targującego się w przysionkach, dźwięczał jej w uszach łagodny, niski głos obietnicą:

Ujrzysz...

Od tego czasu życie Anny Fanuelowej jednem oczekiwaniem było, jedną tęsknotą i jedną wiarą.

Co dnia, gdy promień słońca wpadał do nędznej izdebki, witały go jej oczy ufności pełne, świeże, najpierw, a potem zwiędłe usta z jednakową pytały wiarą.

— Czy dziś?... Czy dziś nareszcie?...

A gdy purpurowa łuna zachodu igrała na murach świątnicy, w płynne złoto zamienia wody Cedronu i konała w fioletowych zwałach chmur, Anna kładła się na tapczanie, a usta jej szept poruszał:

— Kiedy?... Kiedy Panie?...

I lata mijały... posiwiały cudne niegdyś warkocze, pochyliła się ku ziemi postać wysmukła, zwiędłe ręce na kiju wsparły.

Przestała posługiwać w świątnicy, zajmowała miejsce od wczesnego ranka na schodach bramy wschodniej i wpatrywała się szeroko rozwartemi oczyma, przygasłemi pod zwiędłemi powiekami na tłum wchodzących i wychodzących... pełna oczekiwania... niepokoju.

Dzieci pokazywały sobie palcami jej szarą postać.

— Anna Fanuelowa z pokolenia Aser czeka na Mesyasza.

Ironiczny półuśmiech igrał na ustach mijających ją młodzieńców... wszakże Mesyasza nie trzeba jak przechodnia wypatrywać w tłumie. Zbawcę Izraela poprzedzi przepych ziemskiej chwały.

Starzy z politowaniem kiwali głowami, nazywając ją „prorokinią", „szaloną".

Potem i to minęło; z zabobonnym lękiem patrzono na szarą postać przykuciętą na wspaniałych schodach świątnicy i na te oczy pełne oczekiwania, błądzące po twarzach przechodniów.

I tylko kapłan i prorok Symeon wierzył bladym, bezzębnym ustom prorokini, snującym baśń zjawy Boga.

Wierzył i czekał z nią razem.

O zmroku, gdy liliowe tony przepajały świat, siwa głowa Symeona bieliła się obok szaremi welonami spowitej głowy Anny.

Milczące cały dzień usta rozwierały się i szept biegł cichy,

jak rwąca się co chwila nić pajęcza, a dwie pary źrenic tęsknych i oczekujących spoglądało ku niknącej w mgłach wieczornych Jerozolimie.

— Wierzysz... że Go ujrzysz Anno?...

— Wierzę... Przez dźwięki trąb słyszałam głos niski o spiżowem brzmieniu, który obiecał mej duszy stęsknionej „ujrzysz"!

— I nie ogarnia cię lęk... zwątpienie?...

— Nie... Wiem, czuję, że Go zobaczę między nami, między tym ludem, za który modliłam się całe życie.

W ciszy pytał głos Symeona:

— Ile ty już masz lat Anno?...

— Osiemdziesiąt cztery Symeonie... osiemdziesiąt cztery... Niedługo, niedługo, a ujrzę Go... boć przecie żyć nie mogę wiecznie, a czuję, że Go zobaczę...

— Bóg zawsze dotrzymuje obietnic... A jak długo czekasz już Anno?...

— Czekaj... czekaj... pamięć moja osłabła... Dziewczątkiem, ledwo dojrzałam, Fanuelową żoną zostałam... po siedmiu latach szczęścia, które minęły jak sen... jak sen... wdową. A potem ból mną ciskał na tafle tej posadzki... taki czysto ludzki ból... taka rozpacz! Na ranę serca modlitwa spływała ukojeniem, pożądanie ciała głuszył post... A potem... Ach Symeonie! z pięćdziesiąt lat już czekam. A teraz... coraz większą radość mam w duszy, bo to już nie może trwać długo... a ujrzę Go.

— Zaprawdę... wiara twoja jest wielką Anno... nad ludzką miarę...

— O gdybyś był widział jak ja, tę smukłą postać Syna Bożego na zasłonie... gdybyś był słyszał „ujrzysz", jak ja słyszałam... niemniejszą wiarę miałbyś w duszy... Z wiarą taką nie dziesiątki... setki... tysiące lat czekać można.

Słaby głos Anny zadźwięczał silnym tonem, jakgdyby odnalazł dźwięk swej młodości minionej. Zwiędła dłoń na rękę Symeona opadła.

— Symeonie! Symeonie!... ujrzymy go... ja czuję... ja wiem! — głos do zniżonego szeptu opadł. Uważałeś jak przed kilkudziesięciu dniami... noc dziwną była... taka cicha, taka

grozy pełna i lęku... Zdawało mi się przez chwilę, że cała natura zastygła w bezruchu, jakgdyby wieści jakiejś czekając .. jakiegoś cudu... Lilie w moim ogródku, zda się, woń wstrzymały w łonach kielichów, urwały się słowicze pienia w pół tonu... nawet fale Cedronu przestały szumieć. I taka cisza była... taka cisza... Tętno ludzkiego serca zmilknęło i w mojej duszy lęk był oczekiwania... i w mojej piersi serce bić ustało na chwilę... A potem zda się podwójnem tętnem zaszumiało życie... radość płynęła ponad światem... Na niebie gwiazda weszła dziwnie jasna i duża... — głos Anny w szepcie zamierał. W taką noc może... Bóg... ten Bóg z gołębią duszą, a sercem pełnem miłości, którego ja przeczułam, widziałam... zeszedł na ziemię. Ach i dzisiaj przywlokłam się na próg świątyni, a w duszy radość mam nieskończoną... ujrzymy Go Symeonie.

— I ja?...

— Czyż nie posiwiałeś w oczekiwaniu na Jego przyjście wraz ze mną... czyż wiara twoja mniejszą była od mojej?...

— Prawda Anno... całe życie moje było czcią Boga... mającego świątnice w głębiach serca ludzkiego... marzyło o Nim...

— O Bogu biednych...

— Opuszczonych...

— Zgnębionych...

— I smutnych...

— Miłującym świat cały bezgranicznie!

— Bogu, dla którego nie poleje się krew ofiarna na złoto ołtarzy.

— On sam będzie ofiarą.

— Za nasze grzechy...

— Za nasze występki...

Dwa starcze głosy snuły w mroku litanię słów, odpowiadały sobie, dopełniały się.

A tęskne oczy, pełne wiary patrzyły ku wschodowi w oczekiwaniu.

I oto promień słoneczny jak co dnia zbudził Annę; z trudem podniosła się z ubogiego posłania i oglądnęła zdziwiona.

Wszystko dzisiaj wydawało się jej jakieś inne... mała izdebka rozświecona słonecznym promieniem wyglądała odświętnie.

Niebo, takie było głębokie, spokojne, błękitne.

Jak za młodych lat, przygasłe oczy Anny dostrzegały dziś z dawną bystrością wszystkie delikatne rzeźby złote, dłuta Chirama z Abi, na dachu świątnicy, liliowate zakończenie słupów miedzianych, a nawet widziała dziś łańcuszkowej siatki ogniwa. Dawno... dawno już starość spowiła je mgłą w oczach Anny... aż dzisiaj znowu... po tylu latach, zawidniało przed nią piękno świątnicy w całej okazałości.

Starannie myła zwiędłe ciało wodą kryniczną, z alabastrowego słoika, z którego niegdyś namaszczała swoje dziewczęce kształty w dniu ślubu, brała i dzisiaj drogą maść wonną.

Szara szata układała się na niej w przedziwne fałdy, blada, poorana zmarszczkami twarz tchnęła radosnym spokojem.

Jak co dnia od lat, zasiadła i dziś u wschodniej bramy świątnicy i zwróciła oczy na drogę wiodącą do Jerozolimy.

A dusza jej była jak dusza oblubienicy, czekającej oblubieńca.

Drżała w niej tęsknota i radość... oczekiwanie, niepokój.

Szeroko rozwarte oczy nie błądziły dziś niespokojnem, szukającem spojrzeniem.

Ona dziś nie oczekiwała, na coś, co przyjść może, ale na coś, co przyjść musi.

Więc nie było w niej trwogi, tylko radość sama a dziękczynienie.

Nagle Anna Fanuelowa podniosła się, wyprostowała w kabłąk wiekiem zgięte plecy, na kiju drżące wsparła dłonie, a serce jej przestało uderzać na chwilę.

Po szerokich schodach, w powodzi słonecznego światła, wstępowała zwolna powiewna postać dziewczęca, jedną ręką tuliła do piersi w fałd białej szaty spowitą dziecinę, w drugiej gołębi białych niosła parę.

Z pod lekko rzuconej zawijki, złote włosy świeciły aureolą, długie rzęsy cień rzucały na liliową twarzyczkę dziewicy... matki.

Cudne, błękitne oczy patrzyły wprost w źrenice staruszki z twarzy dziecka... te same oczy, które niegdyś obiecały Annie Fanuelowej „ujrzysz!"

Za matką i dziecięciem człowiek średnich lat wstępował zwolna.

Przed smukłą postacią młodej matki osunęła się na kolana szara postać kobiety, z piersi rwało się łkanie radosne.

— Przyszedłeś Panie! ujrzałam Cię... tyle lat czekałam... a dziś czułam, wiedziałam, że ujrzę Cię nareszcie...

Drżąca, zwiędła dłoń kobiety dotknęła różowego ciałka dziecięcia, na bezzębne usta wybiegł uśmiech nigdy dotąd nie odczutej macierzyńskiej miłości.

Błękitne oczy „Człowieczego Syna" patrzyły w szare, łez pełne źrenice kobiety.

A Anna Fanuelowa widziała w tej chwili całą przyszłość tej słodkiej Bożej Dzieciny, tak jasno, tak wyraźnie, jakgdyby rozgrywała się przed jej oczyma.

Widziała Go dzieckiem, młodzieńcem, mężczyzną.

Widziała krwawe wzgórze Golgoty i... ofiarę.

Słyszała szyderczy śmiech tłumu i nagłą ciszę... trwożną ciszę śmierci.

Widziała tę cudną dzieweczkę, która wpatruje się w nią teraz trwożliwą oczu głębią... upadającą z bólu u stóp krzyża... swego Syna... swego Boga!...

Dusza Anny Fanuelowej kostniała z trwogi. I dojrzała dalej grób i... Zmartwychwstanie... dojrzała, jak nauka Boga miłości zwolna, zwolna obejmowała, uszlachetniała całą ziemię.

— O Panie! dzięki Ci, że w progu świątnicy, poświęconej Ojcu Twemu, pozwoliłeś, by ujrzały Cię oczy moje i by usta moje pierwsze powitały w Tobie... Syna Bożego.

Usta jej rozjaśnił uśmiech tkliwości niezmiernej.

Pod portykiem świątyni ukazał się Symeon, w długiej, złotej szacie kapłańskiej, w której szedł na złożenie Panu porannej ofiary... zatrzymał się, serce zabiło mu żywo, przygasłe oczy młodzieńczym rozbłysły blaskiem.

— Syn Boży!

Surowe usta uśmiech rozchylił, dziecinnie dobrej, prostej duszy, gdy z rąk młodej Dziewicy-matki odbierał Dziecinę.

— O Panie! dzięki Ci... że mnie właśnie przypadło w udziale, w świątnicy Ojca Twojego, przedstawić Ci Dziecię Boże.

Wzniósł Dziecię w górę.

Drobne, różowe ciałko zabłysło we wzniesionych starczych dłoniach kapłana Starego Zakonu, który... kapłanem był całe życie.

W tej chwili czarne oczy starca spotkały błękit ócz Dziecięcia.

— Panie! — wołał kapłan, a głos jego miał w sobie pełń dziękczynienia i radości.

— Oto Syn Twój!... Światło całego świata, zbawienie wszystkich dusz! Potęga Twoja! chwała... i ofiara... Panie! oto pośrednik pomiędzy stworzeniem Twojem a Tobą... Syn Twój posłuszny Ci aż do śmierci, aż do jedynej, wielkiej, wspaniałej ofiary!

Po raz pierwszy, w świątyni Ojca, ofiarowywały kapłańskie dłonie Ciało i Krew Syna.

— I niebo przyjmowało ofiarę.

Przedarła się w głąb kościoła pełń słonecznego blasku i gloryą promieni otoczyła ciałko Dziecięcia i starcze ofiarniczo wzniesione dłonie.

Ciemne oczy Maryi zamgliły łzy... ze słów kapłana dźwięczał ponury ton przyszłej męki, chociaż i przyszłej chwały... a w tej chwili ona matką była jedynie i drżały jej drobne dłonie, gdy starzec-kapłan złożył w nie jej Dziecię.

Jakiś krwawy lęk nią szarpnął, olbrzymi ból owładnął duszą i przytuliła gorąco drobne ciałko Syna, jak skarb odzyskany a zagrożony.

— Błogosławionaś dziewico... i błogosławion owoc żywota twego... Oto zadania życia naszego spełnione... daliśmy świadectwo prawdzie... u zachodu rozbłysnęła nam zorza przyszłego światła... które wieki trwa...

Tak przeszłość witała i żegnała przyszłość w tajemniczej ciszy jeruzalemskiej świątyni... w przybytku objawień Boga.

Marya Czeska.

Ruch ludowy w Królestwie Polskiem.

(Dokończenie).

Jak przed pół wiekiem w pisarstwie ludowem, największą popularność u nas zdobyli: Janek z Bielca (Gregorowicz), oraz Kazimierz Góralczyk (Anczyc) — tak w okresie popowstaniowym największem uznaniem cieszyli się: Józef Grajnert, Kazimierz Promyk (Prószyński) i wreszcie Miłguj-Malinowski. Ten ostatni stał się najpopularniejszym w środowiskach wiejskich, nietyle może przez talent pisarski, ile przez osobiste przenikanie i stykanie się z ludem. Maksymilian Miłguj, dziecko niewiadomych rodziców, przygarnięty przez rodzinę włościańską wśród ludu się wychował, a następnie ukończywszy seminaryum nauczycielskie, był nauczycielem ludowym. Kilka artykulików przesłanych do „Zorzy", zwróciły uwagę jej redaktora Józefa Grajnerta na młodego nauczyciela, który się podpisywał jako Malinowski. Był to tylko pseudonim, który z czasem zespolił się z istotnem nazwiskiem pisarza i działacza ludowego. Bo młody nauczyciel każde wakacye, które w szkolnictwie wiejskiem w Królestwie trwają zwykle aż pół roku (okres wysyłania bydła na pastwiska) — spędzał na wycieczkach po kraju, które miały na celu zawiązywanie bliższych stosunków w środowiskach wiejskich. Do organizacyi „ludowców" z „Głosu" Malinowski nie należał. Działał na swoją rękę, zabiegając usilnie o bliższy kontakt z duchowieństwem. Układny, giętki i nadzwyczaj

taktowny, mile był widzianym gościem na wielu plebaniach i wikaryatkach, zwłaszcza tam, gdzie mimo ciężkich i trudnych warunków nie zaniedbywano, według sił i możności, pracy społeczno-oświatowej. Rzecz to powszechnie wiadoma, że nikt inny, tylko pewna grupa kapłanów wiejskich udzieliła Malinowskiemu pomocy finansowej dla objęcia „Zorzy", gdy tygodnik ten, poprzedni wydawca i redaktor Grajnert, zniewolony był odstąpić. I gdyby nie poparcie duchowieństwa, nie mógłby Malinowski wytrzymać ze swoją „Zorzą" konkurencyi z „Gazetą Świąteczną" Promyka, która zdobyła już dużą i utrwaloną poczytność. Takie to bowiem były czasy straszliwego wśród ludu analfabetyzmu, że tylko jedno pismo ludowe zapewniało byt swemu wydawcy. Drugie z trudnością musiało sobie zdobywać tylu przedpłatników, aby pokryć koszta wydawnictwa i dać utrzymanie wydawcy-redaktorowi. Że Malinowski ze swoją „Zorzą" przebrnął okres próbny, że wprowadził pismo pod te strzechy, gdzie wogóle mało lub nic przedtem nie czytano, zawdzięczał to wyrobionym, podczas poprzednich wycieczek, stosunkom, głównie zaś plebaniom, które się stały filiami przesyłającemi prenumeratę na gazetkę.

Sama znajomość ludu i spryt wrodzony nie wystarczały przy redagowaniu tygodnika. Zrozumiał to pisarz „Zorzy", począł więc wchodzić w bliższy kontakt z inteligencyą warszawską tego pokroju, która właśnie później utworzyła stronnictwo postępowo-demokratyczne. Niewątpliwie przez obcowanie z wielu członkami redakcyi „Prawdy" i „Przeglądu Tygodniowego" wchłonął w siebie Malinowski sporo surogatów wiedzy „postępowej" i nabrał politury umysłowej przy dorywczem samokształceniu się, lecz równocześnie popadł w indyferentyzm religijny. Gorzej jeszcze, bo w 1894 r. poczęły się ukazywać w „Zorzy" rażące dysonanse w traktowaniu różnych kwestyi oświetlonych zgoła inaczej, aniżeli tego wymagał dotychczasowy ściśle katolicki i narodowy charakter pisma. Kiedy zaś „Przegląd Katolicki" i „Rola" ujawniły, że „Zorza" weszła w jakieś kombinacye finansowo-wydawnicze z adwokatem Wajdlem, nietylko protestantem ale i „postępowcem" — liczba

przedpłatników prawie odrazu się przepołowiła. Gdyby wówczas miał szczerą odwagę przyznać się do zaszłej w nim duchowej ewolucyi — można byłoby żałować, że ten niewątpliwie fachowy już pisarz i działacz ludowy przechodzi do innego obozu, nie ciążyłby jednak na jego publicznej robocie zarzut obłudy i podstępu. Dalsza jednak działalność Malinowskiego *recte* Miłguja, aż nadto dobitnie wykazała, że ów „fachowiec" ludowy był i jest właściwie dwulicowym kondotierem, który ze świętej sprawy społecznictwa ludowego uczynił korzystną dla siebie aferę. Cały splot następnych faktów i wydarzeń ukaże w należytem oświetleniu tego wrzekomego trybuna ludu w obrębie Kongresówki, którego najniefortunniej ktoś nazwał „wtórym Stojałowskim". Nie myślę idealizować postaci ś. p. ks. Stojałowskiego, którego nieobliczalny temperament, wygórowana ambicya, niekiedy jaskrawe warcholstwo, prowadziły na manowce. Ale temu galicyjskiemu trybunowi mimo tylu zboczeń nikt nie mógł odmówić bezinteresownego ukochania ludu, w którym budził poczucie obywatelstwa. A Miłguj-Malinowski? Niech fakty, które poniżej zaregestruję, stwierdzą niemożliwość analogii *quaestionis*.

Nietyle rewelacye pism katolickich, ile ów ubytek przedpłatników „Zorzy" przeraził Malinowskiego. Puszcza się więc znów w objazd po plebaniach, przecząc stanowczo, jakoby czynił jakiś odwrót od zasad religijnych. Kombinacye wydawnicze „Zorzy" usprawiedliwia represyami cenzuralnemi, przyrzekając, że nie pozwoli w piśmie zamieścić nic takiego, coby mogło poddawać w podejrzenie jego prawowierność. Kilkunastu kapłanów, z którymi wszedł w zażyłą przyjaźń, znów agituje usilnie na rzecz „Zorzy" i jej redaktora. Ułatwia mu duchowieństwo bezpośrednie przenikanie, nietylko przez pismo, ale i osobiście do gromad włościańskich. Zapraszają Malinowskiego w różnych okolicach kraju do narad gromadzkich w pewnych sprawach oczywiście *incognito*, aby omylić argusową czujność policyi. Bywa na odpustach i uroczystościach ściśle rodzinnych zamożniejszych, bardziej wpływowych włościan. Zdobywa sobie mir i powagę, znajdując wszędzie posłuch. Mimo

to jednak prenumerata „Zorzy" szła bardzo kulawo, chociaż niewątpliwie pod względem staranności redakcyjnej pismo uczyniło znaczne postępy. Dlaczegóż więc większość dworów i plebanii decydujących zazwyczaj o wyborze pisma ludowego, oddawała pierwszeństwo „Gazecie Świątecznej"? Bo, mimo obfitości artykułów religijnych nadsyłanych przez przyjaciół-kapłanów wciąż się pojawiały w „Zorzy" jakieś zgrzyty, budzące nieufność do całokształtu informacyjno-oświatowej roboty pisma. Doszło w końcu do tego, że Malinowski znalazłszy lepsze oparcie dla swego bytu w komiwojażerstwie ludowem, zaniedbał zupełnie „Zorzę", która z czasem przeszła w inne ręce. W broszurce popularnej, wydanej w 1909 r. p..t. „Czem są zaraniarze i dokąd zmierzają" autor ukryty pod pseudonimem Starego Matusa, taką podaje charakterystykę Malinowskiego jako jeszcze pisarza „Zorzy".

„Co innego wobec księży mówił o wierze katolickiej, a co innego, gdy się znalazł w towarzystwie niedowiarków. Pierwszym w oczy basował, w mankiet całował, ale poza ich plecami, zwłaszcza gdy miał odpowiednich słuchaczów, suchej nitki na kapłanach nie zostawiał. Gdzie zaś tylko upatrzył takiego chłopa, któremu można przewrócić w głowie, pomaleńku przerabiał go na swe kopyto. Oddawna tumanił on kapłanów, prowadząc znaną podwójną grę „zapalania Panu Bogu świeczki, a dyabłu ogarka". Trwało to istotnie bardzo długo. Nawet wówczas, gdy dawniejszy pisarz „Zorzy" już się poddał komendzie żydowskiego postępu, chociaż się jeszcze jawnie do tego stronnictwa nie zapisał, wielu kapłanów, najniezawodniej w dobrej wierze, nie przestawało popierać wilka w owczej skórze. A przyszły pisarz „Zarania" przygotowywał sobie zawczasu po wielu wsiach popleczników i faktorów, aby gdy nadejdzie odpowiednia chwila, mógł zrzucić maskę".

Takim był ów „fachowiec" ludowy, którego pedecya uczyniła szefem nowej swej ekspozytury partyjnej. Oczywiście, że zarówno stronnictwo jak i Miłguj-Malinowski nigdy nie promulgowali zawartej między sobą umowy. Nawet później, gdy zostało ujawnionem, że Malinowski zasiada w radzie naczelnej

pedecyi i jest członkiem zarządu Tow. Kultury polskiej, zaprzeczano kategorycznie, jakoby akcya ludowa, którą kierował dawny pisarz „Zorzy", była właśnie ekspozyturą pedecyi. Wiele się na to składało przyczyn, że Malinowski przez dłuższy jeszcze przeciąg czasu uchodził w znacznym odłamie opinii społeczeństwa, nietylko za bezinteresownego, ideowego działacza ludowego, ale i doznawał poparcia ze strony takich czynników, które dziś już się wstydzą, że tak łatwo dały się w pole wyprowadzić. Dotyczy to przedewszystkiem pewnego zastępu księży, bez udziału których nigdyby Malinowski nie doprowadził do skutku organizacyi t. zw. Kółek rolniczych im. Staszica. Jest bowiem rzeczą niezawodną, że jeszcze przed sześciu laty było nie do pomyślenia wciągnąć włościan w danej parafii do jakiejkolwiek organizacyi, którejby się sprzeciwiał miejscowy proboszcz. Rozumiała to dobrze endecya, gdy zabiegała tak usilnie o kontakt z duchowieństwem, nie mówię już przy tworzeniu Macierzy, ale i przy organizowaniu Kółek rolniczych, spółek, kooperatyw włościańskich i t. p. placówek społeczno-ekonomicznych pod egidą Centralnego Tow. rolniczego. Bez poparcia, a przynajmniej biernej zgody plebanów, ten błogosławiony ruch ludowy nigdyby się nie dał urzeczywistnić. Pojmował to lepiej niż kto inny Miłguj-Malinowski, gdy w 1907 r., zakładając Kółka Staszicowskie, odbywał forsowną podróż po tych parafiach, których proboszczowie widzieli w nim wciąż ideowego działacza ludowego. Trafił zresztą na bardzo sprzyjającą chwilę pewnego rozgoryczenia wielu księży wobec kilku istotnie nietaktownych zboczeń endecyi w prowadzonej dotąd akcyi ludowej i stosunku jej do episkopatu naszego. Był to już początek rozkładu w stronnictwie, wywołany nieuleczalną chorobą twórcy i faktycznego wodza endecyi ś. p. Jana Popławskiego. Korzystając z tego stanu rzeczy, umiał Malinowski przekonać wielu sprzyjających mu osobiście księży, że nadeszła pora uniezależnić ruch oświatowo-społeczny od wpływów i opieki endecyi. Wogóle zaś nadać mu charakter bardziej samodzielny według wzoru poczerpniętego ze stosunków galicyjskich a po części wielkopolskich. Że w decydującej chwili większość księży,

którzy zrazu przyrzekli Malinowskiemu czynną pomoc, cofnęła się od tego przedsięwzięcia, dowodzi najlepiej fakt obecności tylko pięciu kapłanów na pierwszem zebraniu żalegalizowanej już instytucyi pod nazwą Kółek im. Staszica.

Ponieważ statut tych Kółek w niczem się nie różnił od doskonale już prosperującej organizacyi C. T. R., od razu więc było widocznem, że tworzywo Malinowskiego ma dążności jakiegoś separatyzmu od akcyi ludowej w duchu narodowym prowadzonej. Lecz w kilku dziennikach bezpartyjnych ukazała się niebawem odezwa członków-założycieli Kółek Staszicowskich, odpierająca z całą stanowczością pomówienie nowej organizacyi o przeciwstawianie się a tembardziej zwalczanie Kółek i spółek dotychczasowej formacyi. — „My tylko chcemy — brzmiała ta odezwa — pobudzić brać włościańską do większej samodzielności, do lepszego niż dotychczas myślenia i radzenia o sobie. Jesteśmy z uznaniem dla wszelkich poczynań posuwających naprzód oświatę i dobro ludu wiejskiego. Należy się jednak z tem zgodzić, że wyszedł on już chyba z powijaków niemowlęctwa, że ma niezaprzeczone prawo sam sobie radzić i sam sobą rządzić. Przysłowie powiada, że „kogo nie boli — temu powoli". Innemi słowy, zadaniem naszej organizacyi jest ześrodkowanie całego ruchu ludowego w rękach samych zainteresowanych czyli włościaństwa, które posiada już dużo wybitnych jednostek, mogących doskonale całą sprawą pokierować. Z nikim nie walcząc prócz z ciemnotą i lenistwem, pragniemy oprzeć organizacyę, ściśle naszą czyli włościańską, na zasadzie wzajemnej samopomocy pod hasłem: „Sami sobie".

Równocześnie z pojawieniem się organizacyi Kółek Staszicowskich (w 1907 r.) szef ekspozytury ludowej pedecyi zakłada w Kruszynku nieopodal Włocławka pierwszą szkołę gospodarczą dla dziewcząt wiejskich, kierowniczką której zostaje panna Dziubińska, bezwyznaniowa feministka warszawska. Wkrótce zorganizowano podobną szkołę dla parobków wiejskich w Sokołówce, później zaś drugą dla dziewcząt w Gołotczyznie. Założenie tych uczelni łącznie z internatami, oraz dalsze ich utrzymanie, wymagało dużego funduszu. Oczywiście, że jak na orga-

nizacyę Kółek Staszicowskich, tak i na owe szkoły „sami sobie“ czyli włościanie pieniędzy nie złożyli. Publiczna to dziś tajemnica, że semiccy plutokraci warszawscy, którzy finansowo podtrzymywali pedecyę i na tę jej ekspozyturę ludową nie poskąpili grosza. Tembardziej byli hojni, gdy okazała się nieuchronna potrzeba założenia własnego organu, któryby rozpoczęte dzieło posuwał naprzód i rozkrzewiał wśród ludu „nowy ład“ pod rozciągliwem hasłem: „sami sobie“. I w początkach 1908 r. wystąpił na widownię nowy tygodnik ludowy p. t. „Zaranie“, który z czasem tej akcyi ludowej nadał odpowiedni ton a nawet i nazwę samą. Bo od tytułu pisma, ów cały ruch zaczęto popularnie mianować zaraniarstwem, a jego rzeczników i uczestników: zaraniarzami.

Słuszność nakazuje wyznać, że „Zaranie“ jako pismo ludowe pod względem techniki redakcyjnej zostało odrazu doskonale postawione. Obok niezwykle starannie dobranej i urozmaiconej treści, cechowała nowe pismo baczna planowość w każdym dziale i harmonijne ustosunkowanie rozrywki z nauką, poważnej informacyi z zaciekawiającą senzacyą. Umiarkowany dydaktyzm i unikanie naiwnego sentymentalizmu, którym przeważnie grzeszą nasze pisma ludowe, wybitnie wskazywały, że to nielada majster redaguje „Zaranie“. Juścić, że znający bliżej zaszłą oddawna ewolucyę duchową w Miłguju-Malinowskim sceptycznie przyjmowali wstawiane tu i ówdzie, w różnych artykułach „Zarania“ (zwłaszcza w pierwszem półroczu wydawnictwa) frazesy o miłości Chrystusowej, o tradycyjnem przywiązaniu do Kościoła św., no i o różnicy zachodzącej między prawdziwą religijnością a fałszywem nabożeństwem i bigoteryą. Była to tylko zręczna przygrywka, zanim zaczęła stopniowo rozbrzmiewać melodya zaczerpnięta z dobrze znanego „czerwonego“ tematu, jako.... religia jest rzeczą prywatną. Jęło więc „Zaranie“ pisać o „złych księżach“. Były to niekiedy fakty prawdziwe, ale najczęściej robienie „z igły — widły“. Rozmyślnie od czasu do czasu dla jaskrawszego kontrastu pochwalono działalność społeczną jakiegoś kapłana, aż wreszcie pewną pamfletową korespondencyę o ujemnych czynach pro-

boszcza opatrzyła redakcya takim własnym komentarzem: „My się temu wcale nie dziwimy, bo oni wszyscy tacy — jednacy". Zaraz zaś w następnym numerze ukazał się przewrotny artykuł, w stylu maryawickich kapłanów-odstępców skreślony, że „Zaranie" stoi na straży nietylko społecznych ale i religijnych interesów ludu wyzyskiwanego i ogłupianego przez księży przeciwnych prawdziwej oświacie, aby dla widoków swoich jak i obszarników, w duchowej „niewoli pańszczyźnianej włościaństwo najdłużej utrzymać". I odtąd przy każdej sposobności powtarza się ta „niewola pańszczyźniana" oraz drugie hasłowe wyrażenie: „nie dajmy się wodzić na księżym i pańskim pasku". Dobrane grono współpracowników „Zarania" nadzwyczaj sprytnie rzucało posiew nietylko indyferentyzmu religijnego ale i zupełnej niewiary. Toż obok popularyzowania różnych paszkwilów o Inkwizycyi hiszpańskiej, transponowano w artykułach i rozprawkach naukowych, teoryę ewolucyi Darwina i monizm Haeckla. Dla zamaskowania zaś tej propagandy wprost ateistycznej, przeplatano te artykuły naukowe parafrazą Ewangelii, od czego byli specyalistami: S. Poraj (Stefania Bojarska eks-honoratka) i osławiony Antoni Szech zakonnik-apostata. Największe zaś majsterstwo w zjednywaniu dla siebie zwolenników, uwydatniało „Zaranie" w prowadzonej istotnie doskonale rubryce „odpowiedzi od redakcyi". Trudno o lepsze zadzierżgnięcie węzła sympatycznego między pismem a jego czytelnikami, jak to czynił Malinowski w owej rubryce. Nietylko bowiem odpowiadał na listy i zapytania prawdziwe, ale tworzył fikcyjne odpowiedzi w formie zaciekawiającej ogół czytelniczy, zawsze, rozumie się, planowo na rzecz swoistej propagandy. Te fikcyjne kwestye z różnych dziedzin bytu wiejskiego zachęcały niejednego zwrócić się także do redakcyi w jakiejś sprawie, przez co stopniowo zacieśniał się kontakt między redakcyą a czytelnikami. A Malinowski począł zdobywać sobie coraz większy zastęp ideowych kolporterów „Zarania" popularnie odtąd nazywanych zaraniarzami. I cały ten ruch skupiony w Kółkach rolniczych im. Staszica, w trzech uczelniach gospodarstwa wiejskiego, wreszcie w samem „Zaraniu"

otrzymuje miano: zaraniarstwa, które się zasadniczo odcina od całokształtu akcyi ludowej w Królestwie prowadzonej. Zaraniarstwo więc przygotowywane i organizowane przez pedecyę, w latach 1906 i 1907, występuje na widownię publiczną jako faktyczna, chociaż nie ogłoszona jawnie, ekspozytura stronnictwa w początkach 1908 r.

Jakkolwiek ruch zaraniarski w samym zaczątku swej ekspanzyi został w kilku organach prasy katolickiej poddany surowej ocenie zwłaszcza przez ś. p. Jana Jeleńskiego w „Roli" — ogół społeczeństwa długo się nie oryentował, skąd się wyłoniła i do czego istotnie zmierza ta nowej formacyi akcya ludowa. Tej dezoryentacyi sprzyjała w znacznym stopniu bierność stronnictwa, które w dobie rozpoczynającej się reakcyi politycznej kurczyło swoją działalność we wszystkich dziedzinach życia narodowego. Był to niewątpliwie duży atut dla ruchu zaraniarskiego, gdy endecya po zamknięciu Macierzy stopniowo zlikwidowała swoje tak świetnie zorganizowane placówki oświatowo-społeczne w środowiskach włościańskich. Niebawem zaś zdobyli zaraniarze, jeszcze jeden poważny atut dla swojej propagandy. To zbrodnia na Jasnej Górze i wszystkie towarzyszące jej okoliczności. Od tej pory frazes „Zarania" o księżach: „oni wszyscy tacy — jednacy" począł rozbrzmiewać już pełną gamą, budząc w wielu parafiach coraz chętniejszy posłuch i zaciekawienie. Pod koniec 1910 r. nakład „Zarania" podwoił się, to znaczy, że puszczano w obieg około ośmiu tysięcy egzemplarzy, które były chciwie po wsiach czytane. Faktycznych przedpłatników miało pismo niespełna 2.000. Reszta, to sztuczny agitacyjny kolportaż, który oczywiście wymagał znacznej subwencyi. A tej pedecya dla swej ekspozytury ludowej nigdy nie szczędziła. Oprócz bowiem, nieujawnionych oczywiście, sum płynących z zasobnej kasy stronnictwa, w takich organach pedeckich jak: „Nowa Gazeta", „Kuryer Poranny" i „Prawda", stale figurowała rubryka ofiar na uczelnie zaraniarskie. Wśród ofiarodawców zaś, składających nierzadko kilkuset rublowe datki, znajdowali się wyłącznie finansiści żydowscy, a z Polaków publicznie znani rzecznicy i wyznawcy „wolnej myśli".

Zresztą ukrywana dość długo kanwa, na której się tworzył haft zaraniarski, stała się w 1910 r. „sekretem Poliszynela" gdy na walnem zebraniu Kółek Staszicowskich przemawiali: A. Świętochowski, A. Niemojewski i Iza Moszczeńska, a w lokalu Tow. Kultury urządzono bankiet dla włościan-zaraniarzy z wygłoszeniem tak wyjaskrawionych toastów radykalno-bezwyznaniowych, że kilku włościan opuściło nietylko bankiet, lecz i samą organizacyę staszicowską. Rozumie się, że „Zaranie" potraktowało tych rozważnych włościan-obywateli epitetem „dusz pańszczyźnianych". Bo w słownictwie zaraniarskiem, to wyrażenie stale stosowano do każdego chłopa, chociażby najbardziej oświeconego i uspołecznionego, jeżeli się tylko krytycznie odnosił do propagandy ludowej „nowego ładu".

Tak jest, „nowego ładu" według terminologii „czerwonego" programu, zastąpionej tylko obłudnie hasłem: „sami sobie". Nie ulega bowiem wątpliwości, że do ruchu zaraniarskiego przymknęli jako czynni działacze i radykalni panowie. Zadaniem ich jest na tle akcyi ludowej, którą się prowadzi pod znakiem waśni stanowej i dechrystyanizacyi, przygotować grunt pod przyszły posiew marksizmu w masach wiejskich, które dotychczas w przeciwstawieniu do warstw robotniczych okazały się tak odpornemi na wszelkie nowinki „nowego ładu". Zaraniarstwo jako ruch ludowy w dotychczasowych swych objawach i skutkach to nic innego, tylko przedplon socyalizmu. Nie chciano długo podzielać tych obaw zarówno w katolickich jak i narodowych sferach społecznych. Ostrzegawcze głosy krytyczniejszych obserwatorów ruchu zaraniarskiego uważano za fałszywe a przynajmniej mocno przesadzone alarmy. Dzięki tej dezoryentacyi, pobłażliwości, a niekiedy dziwnej nawet sympatyi okazywanej zaraniarstwu przez tych, którzy się właściwie rozmijali z jego ideologią, bałamutny a szkodliwy ruch, podobnie jak poprzednio sekciarstwo maryawickie, rozpleniał się w tych wsiach lub całych parafiach, gdzie mu odrazu nie stawiano tamy, lub gdzie istotnie dwór i plebania pozostawały w rozdźwięku z gromadą włościańską.

Nie omylimy się bardzo, tworząc, według zestawień zaczerpniętych z samego „Zarania", taką statystykę zaraniarstwa, w fazie największego jego rozkwitu, czyli w drugiej połowie 1911 r. Zarejestrowanych prawnie Kółek rolniczych im. Staszica, było w całej Kongresówce 138, a liczba uczestników wynosiła około 10.000. Uczelni zaraniarskich było pięć, w których znajdowało się około 400 młodzieży wiejskiej obojga płci. Podług wiadomości zebranych z innego źródła, takich parafii, w których zaraniarstwo przybrało rozmiary terroru względem tych włościan, którzy do niego nie chcieli przystać, znajdowało się w całym kraju 28. Natomiast aż w 270 parafiach w mniejszym lub większym stopniu był zorganizowany kolportaż „Zarania", rozsyłanego dla propagandy bezpłatnie, gdyż zaledwie czwarta część nakładu rozchodziła się w drodze płatnej prenumeraty. Jak widzimy trzyletni plon tej wysilonej, no i kosztownej akcyi ludowej demagogiczno-radykalnej nie był znów tak bardzo obfity w stosunku do całokształtu parafialnych środowisk wiejskich. Ale niewątpliwie tworzyły się już szczerby poważne, zapalały ogniska, które z czasem mogły spowodować wielki pożar, trudny do ugaszenia. Ocenił pierwszy możliwość przyszłego niebezpieczeństwa biskup kielecki ks. Augustyn Łoziński, w którego dyecezyi organizacya zaraniarska najwcześniej uwiła sobie kilka spoistych gniazd „nowego ładu".

Zaraz po objęciu stolicy biskupiej (w lipcu 1910 r.) arcypasterz kielecki bacznie i wszechstronnie zapoznawał się z ruchem zaraniarskim, przeciw któremu postanowił wystąpić jak najbardziej stanowczo. I to z pobudek zarówno religijnych jak i narodowych. Trafnie oceniwszy bezskuteczność przedsiębranych dotychczas politycznych środków przeciw obłudnej i przewrotnej propagandzie pod płaszczykiem szczytnej ideowej akcyi ludowej, użył oręża duchownego, który, jak się wyraziło nasze domorosłe wolnomyślicielstwo, został wydobyty „z arsenału fanatycznego średniowiecza". A był to poprostu list pasterski zabraniający wiernym pod skutkami ekskomuniki prenumerować i czytać „Zaranie". Podobne dekrety wydali i inni biskupi, w których dyecezyach uwydatniła się propaganda

zaraniarska. Jaką ten stanowczy krok tutejszego episkopatu wywołał straszliwą burzę w obozie radykalno-postępowym, a nawet wśród narodowych indyferentów religijnych — nie będę się bliżej rozszerzał. Stwierdzam tylko, że istna orgia wściekłości faktycznych twórców i patronów zaraniarstwa świadczyła dobitnie o trafnem użyciu oręża duchownego. Kładł on bowiem raz na zawsze kres nie samej propagandzie, lecz jej podstępnym metodom przenikania do religijnych dusz ludu. Dekret biskupów zawrócił z bałamutnej drogi kilka tysięcy połowicznych zaraniarzy. A co ważniejsza utrudnił, w wielu zaś parafiach zupełnie uniemożliwił kolportaż przewrotnego organu. Od 1912 r. nastąpił zasadniczy przełom w ruchu zaraniarskim, który wprawdzie bardzo powoli, lecz w czteroletnim okresie swego rozwoju wciąż stale naprzód postępował. Zobaczymy poniżej przy sumarycznem zobrazowaniu współczesnej akcyi ludowej w naszej dzielnicy, jak ta ekspozytura żydowsko-bezwyznaniowego postępu, obecnie się przedstawia.

III.

Stan obecny.

Nieubłaganie z roku na rok postępująca reakcya, zwężając stopniowo pola działalności społeczno-narodowej i oświatową akcyę ludową mocno skurczyła. Nietylko bowiem po zamknięciu Macierzy ustała możność tworzenia z inicyatywy społecznej prawidłowego szkolnictwa ludowego, lecz wskrzeszono zaniedbany przez lat kilka aparat administracyjno-policyjny przeciw t. zw. „tajnemu nauczaniu". Został on skierowany zarówno przeciw wszelkim wykładom usystematyzowanym w środowiskach miejskich, jak i przeciw najzwyklejszej nauce czytania i pisania, poza obrębem rządowych izb szkolnych. Wszak nawet w ochronkach wiejskich znalezienie elementarza, stanowi dziś dostateczny powód do zamknięcia ochrony. Wogóle zaś powrócono do dawnego systemu ograniczania ingerencyi społeczeństwa w oświacie ludowej, którą czynniki oficyalne pragnęłyby w swych rękach zmonopolizować. A jednak mimo tych wszystkich ujem-

nych stron byłoby przesadnym pesymizmem utrzymywać, że obecny stan rzeczy jest gorszy, aniżeli przed ośmiu laty. Z resztek utraconych już zdobyczy t. zw. „doby wolnościowej" ocalała nam możność organizowania legalnych zrzeszeń, z dążnością ekonomiczno-gospodarczą. Dzięki temu dla społecznej akcyi ludowej jest po dotąd poważne ujście. Prowadzi się też ona, oczywiście *mutatis mutandis* według wzoru niezapomnianego ś. p. ks. Wawrzyniaka w Wielkopolsce. Skupia się zaś przedewszystkiem w instytucyi ziemiańskiej, noszącej pełny tytuł: Centralne Towarzystwo Rolnicze.

Doniosła ta, pod względem gospodarczym i społecznym, instytucya, z pewnością dlatego ocalała w momencie kasowania tylu polskich zrzeszeń, ponieważ sternicy jej pilnie baczyli, aby Towarzystwo nigdy nie wykraczało poza ramy nietylko bezpartyjności ale i roztropnej legalności. Dzięki temu przy C. T. R. istnieje od 1907 r. autonomiczny Wydział Kółek rolniczych, które tworzą spoistą organizacyę akcyi ludowej w duchu narodowym, czyli wszechstanowym prowadzonej. Bo te wszystkie Kółka rolnicze, spółki i przeróżne kooperatywy włościańskie, skupione w jedną organizacyę, mają wybitnie charakter bezpartyjny, apolityczny, i wreszcie bezstanowy. Podstawową ideę tej organizacyi stanowi: harmonijne łączenie się wszystkich żywiołów narodowych w środowisku wiejskiem dla wspólnego dobra, a przedewszystkiem najliczniejszej grupy tych środowisk, czyli samego włościaństwa. I w pierwszym zaraz roku założenia Wydziału (1907 r.) liczył on w całym kraju 571 Kółek. Liczba ta w ciągu ubiegłego pięciolecia prawie się podwoiła. Rozumie się, że niektóre z tych Kółek przez nieumiejętne lub niedbałe kierownictwo zaledwie wegetowały, inne znów, tam gdzie był podatny grunt dla ruchu zaraniarskiego zupełnie zanikły. W każdym razie, wszystkich Kółek i kooperatyw włościańskich rzeczywiście istniejących i rozwijających się pod patronatem Centr. Tow. rolniczego jest obecnie 850 z liczbą uczestników co najmniej 150.000. Działalność ich ujawnia się prawie wyłącznie w zakresie ekonomiczno-gospodarczym. Więc pod egidą Kółek rolniczych tworzą się kooperatywy mleczne, tu i ówdzie

zbożowe, spożywcze i wogóle handlowo-przemysłowe. Nie można powiedzieć, aby ta organizacya była pozbawioną wszelkiego wpływu i w zakresie uspołeczniającym a nawet oświatowym. Bo jakkolwiek nie wolno jej w obecnych warunkach zakładać szkółek czy kursów ogólnie kształcących, ma wszelkie prawo otwierać uczelnie gospodarstwa wiejskiego i prowadzić w pewnych odstępach czasu kursy specyalne, po kilka tygodni zazwyczaj trwające, podczas których fachowi instruktorzy prowadzą wykłady z dziedziny rolnictwa, ogrodnictwa, pszczelarstwa, gospodarstwa hodowlanego, mleczarstwa i t. p. Świeżo nawet udzieloną została koncesya na otwarcie jednorocznej szkoły handlowej ściśle włościańskiej, w Szymanowie nieopodal Warszawy. Stałych instruktorów rolniczych, ogrodniczych i hodowlanych organizacya Kółek liczy już 112 w całym kraju. Prócz prowadzenia wykładów na kursach peryodycznych, miewają oni pogadanki na dość często urządzanych zebraniach kółkowych. Pogadanki te obejmują nierzadko tematy przyrodnicze i społeczno-ekonomiczne, a nader często są urozmaicone pokazami świetlnymi na ekranie.

W dobie wolnościowej dało się utworzyć jeszcze jedną organizacyę, która w akcyi ludowej mogła była odegrać wybitną rolę. To Związek Katolicki, który dla swej działalności zakreślił bardzo szerokie ramy. Nie mógł w nie jednak nigdy wtłoczyć pozytywnej roboty. Raz dlatego, że był zawzięcie zwalczany przez wszystkie stronnictwa polityczne, nie wyłączając nawet konserwatywnych realistów, powtóre zaś wśród założycieli Związku, prócz kilku zaledwie ruchliwszych jednostek, zbywało na talentach oryentacyjnych i agitacyjnych. Zresztą gdy zaledwie po trzech latach od zalegalizowania ustawy, Związek Katolicki zdążył się prawnie ukonstytuować, poczęto stopniowo obcinać jego statut. I to właśnie w tych punktach najważniejszych, które dotyczyły ludowej akcyi społeczno-oświatowej w poszczególnych Związkach parafialnych. Istnieje dotąd tych Związków parafialnych około trzysta, ale przeważnie tylko... na papierze. W rzeczywistości takich, które zaznaczyły intenzywniejszą w pewnym kierunku działalność,

było wszystkiego 60. Było, bo dziś z wszelkiej akcyi oświatowej w najskromniejszym nawet zakresie musiały skwitować. Po wykreśleniu ze statutu Związku Katolickiego punktu o zakładaniu szkół parafialnych, nastąpiło z kolei zamknięcie bibliotek parafialnych, ostatnio zaś, przed niespełna miesiącem, zabroniono prowadzenia ochron związkowych. Pokasowano również domy ludowe, które zresztą były prawie bezczynne, z wielkiemi bowiem utrudnieniami uzyskiwano każdorazowo pozwolenia na urządzanie w nich pogadanek pouczających, lub teatrów amatorskich. Słowem Związek Katolicki przyrównywany i dawniej, kiedy jeszcze mógł coś zdziałać do „śpiącego Szymona", stanowi obecnie w całokształcie swym instytucyę martwą, a w ruchu ludowym odegrał bardzo znikomą rolę.

Istnieje natomiast jeszcze inna organizacya, która na społeczną akcyę ludową wywiera wielki wpływ, powiedzmy z góry, bardzo dodatni. To Koło Ziemianek, instytucya niewieścia, skupiająca w sobie około 8,000 kobiet, tworzących 206 autonomicznych Kółek, rozrzuconych po całym kraju, z centralą w Warszawie. „Ziemianki" w przeciwstawieniu do dwóch innych zrzeszeń niewieścich radykalno-feministycznych, ściśle mówiąc żydowsko-bezwyznaniowych, to instytucya hołdująca zasadzie usamodzielnienia kobiety owarunkowanej wszakże obowiązkami rodzinnymi na fundamencie religijnym. Koło Ziemianek w całokształcie swej pracy kulturalnej jest, jakby wskrzeszeniem tego grona inteligentnych Polek-obywatelek, które przed powstaniem styczniowem zwano u nas „entuzyastkami", a którym hetmaniła poetka Gabryela (Narcyza Żmichowska). Za przykładem swoich prababek i babek i współczesne entuzyastki uważają za święty obowiązek nieść przed narodem „kaganiec oświaty". Oprócz kilku szkół gospodarskich dla dziewcząt wiejskich, doskonale prowadzonych, założyły „Ziemianki" kilkaset warsztatów tkackich, koszykarskich, hafciarskich, krawieckich, kilimkarskich i guzikarskich. Nadto w 386 różnego typu kooperatywach wiejskich, powołanych do życia przez Koło, lwia część udziałów jest w rękach włościanek, które się zaprawiają do wspólnej pracy społeczno-obywatelskiej. Na zebra-

niach poszczególnych Kół, a często i w „Świetlicy" centrali warszawskiej, można już spotkać kobiety wiejskie, biorące żywy udział w prowadzonej dyskusyi, interesujące się nietylko kwestyami gospodarczemi, ale i ogólnie społecznemi. To wielka, niepożyta zasługa zrzeszonych „Ziemianek", które w obecnym ruchu ludowym stanowią nader ważki czynnik.

Nie wspominałem dotychczas o prasie i wogóle o piśmiennictwie ludowem, które od 1905 r. bujnie się u nas rozwinęło. Z nastaniem t. zw. doby wolnościowej pojawiła się moc gazetek ludowych, partyjnych i bezpartyjnych, zakładanych z pobudek ideowych lub dla spekulacyi wydawniczej. Ale ilości nie odpowiadała jakość. Większość tych efemeryd, coś około dwóch tuzinów, krótki wiodła żywot. Obecnie istniejące pisma ludowe prócz „Gazety Świątecznej" posiadającej około 30.000 przedpłatników, nie przynoszą żadnego dochodu swym wydawcom, którymi są poszczególni ideowcy lub pewne grupy społeczne.

Wychodzą teraz następujące tygodniki ludowe: „Mazur" (w Płocku) i „Posiew" redagowane przez kapłanów, „Zorza", „Praca Zbożna" i „Gazeta włościańska", bezpartyjne „Ognisko" endeckie, i „Lud Polski" organ lewicy demokracyi narodowej. Była próba wydawania pism codziennych dla ludu. Ale zarówno „Polak-Katolik" księdza Kłopotowskiego jak i „Naród" (organ endecki) nie poparte przez czytelników włościańskich, przerodziły się obecnie w dzienniki wprawdzie ideowe i popularne, ale nie specyalnie ludowe.

Wszystkie tu wymienione czasopisma, z różnym oczywiście talentem prowadzone, mimo odmiennych niekiedy poglądów na wiele spraw społecznych, stoją przy wspólnej zasadzie: jedności narodowej. Znaczy to, że oddziaływują na lud w sensie zgody wszystkich stanów przy warsztacie obywatelskiej pracy narodowej. Nawet organ radykalnej lewicy narodowej demokracyi „Lud Polski", chociaż przesadnie wybija niekiedy dawną formułę ludowców z przed ćwierćwiecza „o podporządkowywaniu wszystkiego interesom ludu" — karci stanowczo wszelkie zachcianki separatyzmu stanowego. Żadne zaś z tych pism ludowych nie poważa się nawet napomknąć o możliwości zerwania tra-

dycyjnej nici, zespalającej gromadę wiejską z plebanią. Nawet indyferenci religijni i bezpartyjni wolnomyśliciele, z pobudek narodowych, o czemś podobnem nie myślą. Istnieje tylko jeden odosobniony organ w całej prasie ludowej, który z całą konsekwencyą prowadzi propagandę: dechrystyanizacyi i waśni stanowej w środowisku włościańskiem. To „Zaranie" poprzednio dostatecznie scharakteryzowane, jak i cały ruch ludowy zaraniarskim zwany. Wiadomy dekret episkopatu tutejszego okazał się dla akcyi zaraniarskiej potężnym ciosem. Pozowanie „Zarania" na niesprawiedliwie prześladowaną ofiarę, potwarze, inwektywy, groźby miotane w prasie bezwyznaniowej i na wiecach pedeckich pod adresem biskupów, wreszcie przechwałki, że teraz właśnie zaraniarstwo rozkwitnie wśród ludu jak nigdy przedtem — wszystko to było przysłowiowem *faire bonne mine au mauvais jeu*. W rzeczywistości bowiem od tego momentu, ruch zaraniarski, mówiąc gwarą ludową, „skapiał". Jakiś trzytysięczny co najwyżej zastęp zradykalizowanych już zupełnie zaraniarzy, oczywiście zareagował na dekret biskupów szyderczym śmiechem i zaciętością w trwaniu przy antynarodowym radykalizmie. Ale kilka tysięcy dusz stojących na rozdrożu odwróciło się od zaraniarstwa wobec stanowczego dylematu: albo z Kościołem, albo z nimi. Rozumowanie tej inteligencyi, która się słabo oryentuje w rzeczach katolickich, że „owoc zakazany" tembardziej zwiększy czytelnictwo „Zarania" — okazało się zawodnem. Jak już wspominaliśmy, pismo to było drukowane w czwórnasób większej liczbie egzemplarzy niż wynosiła ilość przedpłatników. Oczywiście dla bezpłatnego kolportażu, który teraz zeszedł do zera. Wiem z najlepszego źródła, że nakład „Zarania" zmniejszył się w tym roku w porównaniu z zeszłym, blizko o 2.000, gdyż i prenumeratorów ubyło i ciekawość do „owocu zakazanego" mimo darmochy, ogromnie zmalała.

Nie można się łudzić, żeby ruch zaraniarski miał rychło zniknąć. Ale to rzecz pewna, iż tak, jak poprzednio, rozwijać się już nie może. Dekret biskupów położył kres podstępnej agitacyi wilka w „owczej skórze". Musi on teraz zdobywać

prozelitów z otwartą przyłbicą bez tych obłudnych zapewnień, że walczy nie przeciw Kościołowi, ale tylko przeciw „złym księżom". Zresztą ruch zaraniarski jest teraz w poważnym ambarasie wobec żywiołowo rosnącego ruchu ekonomiczno-społecznego pod hasłem: „swój do swego". Przełomowy zwrot w stosunkach polsko-żydowskich wprowadził do pedeckiej ekspozytury ludowej niemały zamęt. Możeby szef tej ekspozytury Miłguj-Malinowski, poszedł za przykładem Świętochowskich, Niemojewskich *e tutti quanti* wolnomyślicieli, przerabiających się z dnia na dzień na neoantysemitów — aby dążyć z prądem ogólnym. Ale w takim razie, kto zastąpi semickich „podskarbich" zaraniarstwa? I oto pół roku już trwa ten wielki, ogólnie narodowy ruch wszechstronnego odżydzania się, a w „Zaraniu" jest on najzupełniej ignorowany. Milczy ono przezornie o tylu uchwałach gromadzkich co do wysiedlenia żydów ze wsi. Kiedy na walnem zebraniu delegatów Kółek Staszicowskich (w marcu r. b.) niektórzy włościanie chcieli poruszyć tyle żywotną dziś kwestyę żydowską, przewodniczący odbierał im głos wrzekomo dlatego, że ta sprawa nie figuruje na porządku dziennym obrad. Po takiej interpretacyi pięciu delegatów złożyło swe mandaty i wogóle opuściło szeregi zaraniarskie. Po wsiach już idzie pomruk, że zaraniarze z żydami „za pān brat" trzymają, a to w obecnem położeniu rzeczy jeszcze bardziej utrudnia agitacyę faktorów zaraniarskich, których sobie wyszkolił Miłguj-Malinowski. Cały wogóle ten ruch ludowy typu radykalnego skurczył się znacznie i nie przedstawia się już tak niebezpiecznie, jak się na to zanosiło jeszcze przed półtora rokiem. Do walki z nim występują już sami włościanie bardziej oświeceni, a stąd wpływowi, w których tkwi poczucie obywatelstwa nie stanowego ale narodowego. Byłem niedawno na zebraniu pewnej kooperatywy włościańskiej pod Warszawą, gdzie się uwijało kilku faktorów zaraniarskich. Dał im doskonałą odprawę jakiś włościanin, który przed dwoma laty był ideowym zaraniarzem. Poddawszy rzeczowej krytyce cały program tego ruchu ludowego, rzekł w końcu dobitnie:

— Pięknie to brzmi: „sami sobie", ale wówczas tylko,

kiedy tak mówią wszyscy Polacy. Jeśli jednak szlachta powie: „sami sobie", mieszczaństwo także „sami sobie", to co z tego dla sprawy całego narodu wyjdzie? Nic, jeno wielka uciecha dla wszystkich wrogów imienia polskiego. Więc jako polski chłop wolę rzec, nie „sami sobie" ale „naród sobie".

Takich włościan-obywateli mamy już dzięki Bogu spory zastęp. Większość z nich doskonale się oryentuje w obecnych warunkach naszego bytu narodowego. Są więc oni przeciwni wszelkiemu politykowaniu i rozłamom zarówno stanowym jak i partyjnym. A ruch ludowy chcą skierować tylko do zadań kulturalno-oświatowych. Na ogół biorąc, ci najpotrzebniejsi „ludowcy" z ludu rozwijają coraz większy wpływ na samowiedzę swej braci włościańskiej. I chociaż wszyscy dla „dworów" życzliwie są usposobieni, a względem „plebanii" zachowują należny szacunek, niemniej w pewnych wypadkach nie dają się prowadzić na „pańskim" pasku. Podobna samodzielność ludowa w wielu okolicznościach musi być uznawaną, skoro upragnieniem jest naszem, aby lud stał się narodem. I mimo różniczkujących się u nas pojęć co do metod stosowanych w ruchu ludowym, zmierzającym ku wszechstronnemu rozbudzeniu tak długo „marzącego w śnie olbrzyma", w całem bez wyjątku społeczeństwie tutejszem tkwi niezłomne przeświadczenie, że... „bez chłopa Polski niema".

Warszawa w maju.

Antoni Werytus-Skrzynecki.

Wyjazd ze Stannicy.

Zimne popołudnie listopadowe. Mamusia siedzi w karecie z Jankiem, Stankiem i Mareczkiem. Deszcz drobny pada — drobny, wytrwały, jednostajny. Zimne kropelki, małe, bezindywidualne, z jakąś zmorowatą jednostajnością padają. Niema w tym deszczu nagłości ulewy wiosennej, gdzie każda kropla pełna, krągła żyje. Niema gwałtowności nawałnicy, nadlatującej z szumem i grozą gradowej klęski — jest beznadziejna, zimna, obojętna ciągłość.

Chłód przenikliwy. Wiatr skądeś wieje jednostajny — z dali zasnutej szarością, w dal drugą, w równej ginącą szarości: poprostu pustynia zimnej mgły nieprzeniknietej, tępej, głuchej.

W bezmiarze tym czwórka koni obmokłych i kareta, jak mały punkt czarny, jak łupina łodzi na szarem, bezmiernem morzu zgubiona. Zdaje się być mimo ruchu przykutą do szmatu tej ścierni zrudziałej i kawałka drogi błotnistej. Darmo konie spokojnie, równo i cierpliwie przebierają nogami mrużąc oczy, darmo woźnica zbudzi się od czasu do czasu z hypnotyzującej nieruchomości do wiecznego „wi hej! malutkie!“ nic się nie zmienia: ten sam zawsze mały, spłowiały szmat ścierni wychylający się z zachłannej, chłonącej go szarości. Jakaś zmora zda się, jak w złym śnie, w miejscu ich unieruchamia na tym samym kawałku drogi błotnej — ani się horyzont rozszerza, ani się cokolwiek zmienia, ten sam zawsze chlupot jednostajny rzadkiego błota pod kopytami, ten sam we wiązaniach żelaznych pudła powozowego jednostajny pisk jękliwy.

Nawet i chłopców zmogła owa jednostajność. Z początku, podnieceni podróżą, rzucali się, jak kiełbie w siatce, od jednego okna karety ku drugiemu. Póki jechali przez wieś, nie brakło przedmiotów pobudzających ich ciekawość — i jeszcze gdy minęli kołowrót i zwrócili na trakt, jeszcze się zdarzył jaki pastuszek wracający wobec deszczu, który już stanowczo postanowił na dobre padać. Szedł w obmokłej świteczce, narzuconej na głowę, z bosemi po kolana nóżętami, a przed nim stadko gęsi, które stanąwszy wyciąga z sykiem szyje w stronę jadącego powozu, gniewne widać na hałas i ruch. To znów jakiś pies obmokły, ze zwieszoną potulnie głową, jakby kto go zbił, wlokąc za sobą ogon przekrada się chyłkiem pod ulewą, do sieni suchej w gospodarskiej chacie.

Ale gdy poczęła się jednostajność szara, zwolna głosy milkły, oczka gasły, ruchy stawały się rzadsze, zmęczenie zwyciężyło, dzieci się uspokajały. Pierwszy Mareczek zapadać począł w osowiałość i senność. Ciepły, gruby paltocik, na czapce barankowej baszłyk, kamasze i kalósze czyniły go zbyt ciężkim na jego siły, zbyt szerokim na jego wysokość: trudno główką ruszyć, trudno rączkę podnieść. Przygnębiony ociężałością własną a jednostajnością drogi, siedział cichutko w kącie karety, aż go to do cna rozebrało i usnął.

Teraz na trzeciej mili drogi, nawet Janek przestał wyglądać na konię i oświadczać, że napewno będzie furmanem — od czasu do czasu piąstką przecierał oczy i milczał. Stanek patrzył nieruchomo na szybę i widział kropelki deszczu siekące szkło. Strącane ruchem powozu zbiegały jedna w drugą i zatrzymując się przy każdej nowej, stawały się coraz większe, gdy stały się zbyt ciężkie, staczały się już szybko na dół, jak łzy z pod zbyt pełnej powieki.

I mamusia po całej przedwyjazdowej krętaninie ma czas być zmęczoną. Patrzy przed siebie, gdzie przez szybę okna widać kawałek burki szorstkiej, bronzowej: to tatuś tam siedzi przy furmanie. Woli tam siedzieć, z kozła dalej widać i w razie czego swobodniejsze ruchy. Odruchowo przyciska czasem rękę do piersi, sprawdzając, że rewolwer na miejscu. Różnie bo się

w tych czasach zdarzało — ot stąd właśnie niedaleko, a dziesięć minut drogi od stacyi, zabili człowieka niedawno. Na drodze tej przed dwoma tygodniami sąsiad Dziewoński poduszkami powozowemi, jak tarczą, zasłaniać się musiał przed kulami rewolwerowemi jakiegoś amatora cudzej własności. Tatuś pewniejszy siebie niż starego Kościa, kozaka, który zwykle towarzyszył pani. Dwóch ludzi jedzie na furze z rzeczami, kazał im się blisko trzymać. Oglądnął się poza siebie — coś ich nie widać.

— Petro, a baczysz ty ich?

— Ni Pane, szoś ne wydno.

— To stoj.

Dzwonek ostatni raz zadzwonił i umilkł. W uszy poczęła się wlewać cisza szumiąca, jak daleka rzeka. Za nimi szarość nieprzenikniona szarugi, przed nimi ciemna plama niedalekiej ławy lasu. Czasem koń otrząsnął się z wilgoci, czasem chlupnęło błoto pod kopytem konia, czasem rozległo się krótkie „prr...“ woźnicy.

Nasłuchiwali — nic, cisza.

A w ciszy tej i w szarudze mrok wczesny zwolna zapadać poczynał. Zdawał się być rozpuszczonym w jednostajnym tumanie deszczu, który czynił się coraz mętniejszy, coraz więcej szary. Mętniało w oczach, duszę skołataną oprzędzała apatya, znużenie, odrętwienie.

Wreszcie gdzieś z daleka w mętni szarej ozwał się niewyraźny szmer — przebijał się gęstwą ulewy, to tonął w niej i ginął.

— Jidut?

— Zdajetsia, Pane.

Dobra chwila upłynęła nim z mroku się wybiło dudnienie przygłuszone miękkością gruntu i chlupot, a potem wynurzył się z niego i wóz i zakapturzone postacie; zrównał się z jadącymi.

— A pośpiszajże, nerano, a lis pered nami znajesz.

Parobek za całą odpowiedź podrapał się w głowę.

— No z Bohom! ruszaj!

Powoli w mgle szarugi, nasiąkającej mrokiem, rośnie przed nimi ława drzew, wychodzą krągłe ich grupy, wyodrębniają się —

poczynają być swojskiemi, zamyślonemi sylwetami dawno znanego, opuszczonego parku.

Andrzej wie i w tej świadomości patrzy... Oto tu żył przyjaciel i druh dziada w długich włóczęgach jego po świecie. Tak dziada, a wkrótce wiek mija — długie to były pokolenia! Dziada kapitana wojsk napoleońskich — młodzi obaj jeszcze byli, gdy się skończyło to wszystko, do Lipska doszli, do końca.

Tu żył ów druh i umarł w pełni lat, małoletnimi synami opiekował się dziad. Małoletni z kolei w swoim czasie poszli, i nie wrócili już, obaj na Sybir zaszli, majątek skonfiskowano. Teraz właściciel, Rosyanin, mieszka w Petersburgu — a ogród opuszczony, pod strażą wierzb olbrzymich i białodrzewów dożywa wieku swego. Wierzbom już niedługo — spróchniałe, niektóre korą już tylko żyją, choć koroną wyniosłe, a sylwetą potężne, poważne, dum pełne, w zamyśleniu zaklęte.

Nieraz tędy do szkół jeździł. W czasie upałów zatrzymywali się tu, by postój dać koniom.

Wraca z wakacyi późnej wielkiej nocy. Wrażenie nagłego ustania ruchu i turkotu bryczki i wrażenie dojmujące świeżej, zielonej ciszy ranka majowego. Wiszą nieruchomo lśniące nowymi listeczkami warkocze zielone brzóz — złoty pasek zórz przebłyskuje przez młodą świąteczną ich zieleń... zapach wiosny. Cisza. W tę ciszę rzucane urywki rosą wilgotne, słowiczej pieśni... słowik kończy nocną pieśń swoją. A pod tem wszystkiem tajemniczość wielka miejsc tych, tajemniczość powagą swoją słodka... pamięta poczucie tajemnicy swej. Ale poczucie to było jedną z rzeczy, do których przyzwyczaił się od dzieciństwa tak, że nie odróżniał ich od siebie samego.

Szarość, cisza zmroku, chłupot jednostajny błota... półświadomie, automatycznie obrazami i wrażeniami myśl idzie — i nagle wstrząśnienie, ocknięcie, spojrzenie objektywne jak na coś odrębnego od siebie. Tak, to jest życie — jak na kole rozpędowem podnosi nas ono, by zaraz nas z sobą w dół porwać, a człowiek raz tylko na szczycie, na mgnienie oka się znajduje, potem w dół... nie wiedział czy to gdzie czytał, ale mu duszę przeszyło niespodziewanym grotem dotykalnej rzeczywistości,

o której przecie jednak dawno wiedział... tamci przeszli, ziemia ich spiła jak parę kropli krwi serdecznej... a oni? Ziemia została, zmieniają się warty... A drzewa w oczach rosną, olbrzymieją zamyślone, nieme pod mgłą i zmrokiem ogołocone z liści, nieruchome.

Petro zgarnął lejce, ujął je mocniej w garść, oglądnął się na wóz z rzeczami, który krok w krok za nimi szedł i zawinął batem nad końmi. Znać w nim pewne zaabsorbowanie, nawet bez upodobania zwinął po mistrzowsku paruarszynowy bat, chwytając go w powietrzu na biczysko. — Wjeżdżali w cień wierzb. Z drugiej strony zarośla, ogród — pustkowie bezpośrednio łączy się ze sporym szmatem lasu, a do wsi parę wiorst.

— A teraz — myślał Andrzej — teraz w tym właśnie ogrodzie może... i oczy jego chwytały w locie przesuwające się kolejno pnie milczących olbrzymów.

Nagła szczerba — rząd się przerywał, wzrok ześlizgnął się w głąb, mignęło smętne oko sadzawki półzarosłej. Żółkłe, zmięte szuwary, a w głębi z nad gęstwy krzewów, w głębi majaczy kilka topoli w mroku. Tam stał dwór. Tam dotąd jeszcze szczątki jednej ściany, której sąsiedzi-chłopi nie dokradli. Zresztą do kogóż to należy?

— Ej takij to pan! — mawia chłop o panu, co „po pańsku" nie gada.

Konie wzięły rozpęd, rwąc chwilami w galop, którego Petro choć dobry furman nie hamował nawet. Niebezpieczneż to miejsce, przecie tu właśnie niedawno człowieka zabili zbóje. Pochylony naprzód, wytężając oczy w mrok, czuwał nad końmi w pędzie.

— A teraz uciekamy stąd... od tego, co pomarło, bo nam umarłych rzeczy strach i śmierci strach — myślał Andrzej z marsem na czole i naprężeniem w duszy, ściskając rewolwer w pięści. Przecie tam żona i dzieci — czuł w sobie rysi wzrok badający ciemność i rysią siłę.

— A co to biedactwo drogie myśli sobie? Kochane, biedne moje... Dzieci pewno śpią.

A „biedactwo" tymczasem ze stanowczo złożonemi rękami

i wzrokiem nieruchomym mówiło po prostu sercem mocnem „Pod Twoją obronę“ i czuło się tak spokojnem, jak dziecię w kolebce pod ręką matki.

Zostały stojące nieruchomo wierzby, całun mgły i mroku zasunął się nad nimi, znów tylko mrok i chlupot błota i senność jakaś zmory — już nawet tego szmatu ścierni nie widać, wsiąkła w mrok, a mrok ją nawzajem przeniknął. Ucho z ulgą chwyta chlupot wozu z rzeczami — jakaś druga jednostka w tej mgle i pustce i zatraceniu...

Dymy chat... w błocie rozbitem poczyna długą smugą migać się i łamać światełko... Wieś. Z pod strzech świecą okienka, z pod strzech nisko nasuniętych, jak się wciska mocno na oczy czapkę w dzień słotny... pachnie świeżo pieczony chleb.

A oni jadą i mijają chatę po chacie i swoją jadą drogą, daleką drogą, w świat ciemny i zimny i obcy.

Szczęśliwość cicha i bezpieczna tych, co zostają, szczęśliwość codziennego rodzinnego życia... usypiają tam dzieci, gotują strawę i pójdą spokojnie spać, by jutro wstać do roboty. A oni jadą jakby swojej nie mieli zagrody, jadą stąd... czasem pies wypadnie z pod zamkniętych wrot i szczeka na nich zajadle.

. . . . . .

Stuk po nierównym bruku obudził dzieci. Stacya. Stanek wprawdzie nie spał, ale wyrwany nagle z pół sennej nieokreślonej kontemplacyi ciemności za oknem karety, przeciera narówni z Jankiem oczy... przykry blask latarni w oczy... stanęli. Drzwiczki otwarte, prąd powietrza. Obok twarzy tatusia jakieś obce twarze.

Ale Mareczek niekontent: Mareczek się obudził, Mareczek chce spać, Mareczek się maże. A jak ten się mazać zacznie to koniec! nawet mamusia nie poradzi, chyba sam tatuś.

Wynoszą pakunki z powozu i narówni z nimi wynosi tatuś Mareczka. Mareczek czuje mocne ramię trzymające go, jest dziwnie blisko tatusiowych wąsów i tatusiowych szkieł. Chwycił je więc w rączkę i jest prawie kontent.

— Proszę bardzo, Mareczek! Co to ma się znaczyć? Oddaj

zaraz! Tatuś może być zagniewany doprawdy. Nie chwila po temu. Mareczek dziwnie prędko włożył szkła na miejsce.

— Jak będziesz duży, będziesz miał swoje — kończy tatuś. Nie będzie się przecie gniewał na tę kochaną odrobinę, z którą się rozstać musi za chwil parę. Stoi z Mareczkiem na górze schodków, prowadzących do stacyi. Tatuś wydaje rozkazy, Mareczek uprzejmie, jeszcze ze łzami na rzęsach, przygląda się ze swej wieży koniom, z których para unosi się kłębami w świetle latarni i odkrytej głowie Petra, żegnającego się z panią i temu dużemu kacapowi, wynoszącemu z Hryciem kufry z wozu, wszystko niewyraźne i jakieś inne między ciemnością nocy i żółtem światłem latarni.

Więc i Mareczek ze swojej wieży poczyna się kiwać ku Petrowi, a Petro zdejmuje czapkę i osobno się mu kłania, doprawdy osobno! Mareczek się śmieje z uciechy i kiwa się i kiwa.

Ze świeżego powietrza i nocy szerokiej obejmuje ich atmosfera ścieśniona, żółtem światłem przejęta brudnej izby małej stacyi. Zapach kopcącej lampy zmieszany z wonią chłopskiej mahorki. Grupa żydów w przyciszonej a zapalczywej rozmowie — czasem się wyrwie z niej jakiś frazes z nieodłącznem au, który znów zapada w stłumiony szwargot. Oczy oglądają się trwożnie i prędko, rzucą przebiegły błysk — nad grupą tą rozgorączkowanie jakieś, spowodowane początkiem zapowiadającym wielkie zmiany, ale przygłuszone surdiną strasznych wypadków dni ostatnich. Tydzień temu zabili tu naczelnika stacyi, w ostatnich dniach rozbili kasę na stacyi węzłowej, a grabieże i napady ze wszystkich stron dochodzą prywatnemi drogami potężnego zrzeszenia.

Na wadze „bagażowej“ w białym fartuchu z numerem na ramieniu drzemie „bagażny“ na łokciu o własne kolano wsparty.

U drzwi wchodowych dwóch policyantów z bagnetami nałożonymi, dwóch przy wyjściu na peron, dwóch jeszcze przy okienku kasowem. Przybywającym się zdaje, że wpadli w jakąś pułapkę i czują się już nieledwie przestępcami politycznymi.

W drugiej pustej prawie sali przy bufecie, do którego rzadki

gość czasem opieszale się zbliży, siedzi zaspana i wiecznie z niewywczasu przemarznięta panna, otulając się z dreszczem w gruby szal. Na ławie drewnianej z burką pod głową, a czapką do pół twarzy spuszczoną, śpi jakiś niefrasobliwy.

Trzecie drzwi się otwierają: „damska". To samo powietrze, w którem pachnie lampa naftowa z dodatkiem zapachu ceraty. Kanapa, fotele dwa, cztery krzesła, wszystko wyszczególnione na tablicy przybitej do ściany, obite czarną niegościnnie śliską ceratą. Biedny Mareczek posadzony na jednem z krzeseł ciągle się zsuwa.

Przez okno wpadnie czasem urywek rosyjskiej rozmowy przechodzących po platformie urzędników, czasem skrzypną jakieś dalekie drzwi, czasem dojdzie chrapnięcie „pasażera" na ławce drewnianej w izbie obok.

I tak zawsze i tak codzień: zmieniają się żydzi gadający, zmienia się indywiduum chrapiące, zmieniają się „pasażerowie", w „damskiej" zmieniają się może nawet, choć to wątpliwsze, śledzie i ser na bufecie, ale tak samo zawsze rozlega się szwargot żydowski, chrapanie zdrowego osobnika. Tak samo nad nim na ścianie w martwem, nieruchomem świetle błyszczą martwo jaskrawe dziewoje i świetnie pomalowane kosiarki na reklamowych tablicach Mack Cornic'a, noszących na sobie ślady wielu pokoleń muszych, lat wielu po sobie idących.

Tak samo o dziesiątej zaspana panna bufetowa drzemie za bufetem nad butterbrotami, śledziami, serem i wędliną, by je dwadzieścia minut po dziesiątej sennym, automatycznym ruchem schować, szafę zamknąć i otulając się w szal, odejść przedrzemać się gdzieś do przyszłego pociągu o dwunastej dziesięć.

Nad wszystkiem zapach lampy za mało podkręconej i nuda, nuda, nuda miejsc, do których nie uczepił się nigdy strzępek uczucia serca człowieczego: przywiązania, własności, jakiegoś połączenia z życiem — na dnie rozdzierający smutek miejsca, gdzie wszyscy przechodzą i nikt się nie zatrzyma. Przyjdą, rzucą swe tobołki na ławę i wzdychają: „Prędzej, prędzej! żeby się stąd wyrwać".

— Prędzej, prędzej — wołało i w Annie — żeby się to już raz skończyło!

Andrzej odprowadzając, tylko na chwilę spojrzał, jak im tu będzie i poszedł. Zostać tu naturalnie nie mógł, boć to „damska". Przeszkodą zresztą ku temu stały i remanentowy prawie, jak te fotele, typ „damskiej" „badinie", w długim, różowym fularze na głowie (kapelusz ma w pudełku). Bez ceremonii, twarzą do ściany zwrócona, spoczywa na kanapie, na dwóch poduszkach w białych powłoczkach z ażurem szydełkowym na czerwonym spodzie.

Stanek i Janek klęczą na krzesełkach oparci łokciami o blat okna i wpatrują się w ciemność, rozświeconą słabo latarniami. Nie widać wprawdzie nic za spotniałemi szybami, prócz jakiego cienia posługacza. lub zielonego światełka, z którem się przesunie konduktor, ale mają oni mocne przekonanie, że podróż to najrozkoszniejsza rzecz i tego się stanowczo trzymają, starając się każdą jej chwilę wyzyskać.

Mareczek siedział czas jakiś osowiały na swem krzesełku, poczem zsunął się z niego i stanął przy braciach. Nosek jednak jego sięga ledwo blata i nie jest z swej pozycyi zadowolony, więc też zwróciwszy się do matki pyta przeciągle, wysunąwszy usteczka:

— Mamusiu, kiedy my pojedziemy? Kiedy my pojedziemy?

Na mamusię przyszedł kryzys męki. Fala smutku i żałości podchodzi w sercu coraz wyżej i wyżej — ocknęła się świadomość ostra z nieprzemożonym krzykiem: „nie chcę!"

Jechała do matki. Za odmętem więc ciemności i samotności, który przebyć musiała z tym drogim drobiazgiem, był punkt jasny, ognisko ciepłe i bezpieczne, ale z tej strony zostawał mąż.

Andrzej, pocieszając ją, mówił:

— Myśl o matce! przecie do matki jedziesz! Nie trzeba za siebie się oglądać, trzeba naprzód patrzeć.

— Ale ty?

— Ja? a mnie co pomoże, że ty się trapić będziesz? — mówił z pewną irytacyą w głosie — przecie obowiązkiem naszym być

odpornymi, nie poddawać się bólowi. Myśl o matce. powiadam ci! ja sobie dam radę! — i nagle gniew go porwał, zacisnął zęby i wyszedł z pokoju.

Ale to wydawało się jej wprost potwornem. Miałaby sama uciekać od bólu dlatego, że to boli? czy to racya dostateczna? Czy ten instynkt samozachowawczy może być nazwanym dzielnością? obowiązkiem? Toć czysty egoizm! Dlatego nie chciała opierać się myśli o powitaniu, o matce, a wolała trwać przy mężu, więc przy myśli o pożegnaniu. Zdawało jej się, że to przynajmniej jest mu winną.

W tej chwili więc przy pytaniu dziecka wrócił jej błyskawicznie cały ten łańcuch myśli i do bólu dołączyło się dziecinna prawie rozżalenie. On, Andrzej, jej w tem nie rozumiał, nie zdoła mu tego wytłomaczyć — postawi zaraz argumenta swoje, pozornie silniejsze od jedynego argumentu: poczucia serca. Mężczyźni inaczej rzeczy te rozumieją...

A dalej... Co innego czuć się materyalnie daleką — myślała — ale ta różnica zapatrywań rozłącza ich moralnie... Wyobraźnia rozgorączkowana wyolbrzymiając fakty, rozżalała coraz bardziej uczucie: jest sama, sama, sama! — z temi dziećmi rzucona w morze ciemności i pustki, w które ją porwie zaraz ślepa siła pociągu...

Ale tu się zjawił Ten, który widzi. Nie trzeba mu nic tłomaczyć, bo On rozumie i męskie serce i niewieście i silnego i słabego. Nie trzeba iść daleko do Niego, bo oto jak mgnienie oka tak krótką droga z serca ludzkiego do serca Bożego. Nie trzeba Go błagać o zlitowanie, bo oto On czeka na pierwsze spojrzenie, by się ulitować mógł... Z rozrzewnieniem małego dzieciątka, tulącego się w ramionach matki, by być najmniejszem i najbliższem serca macierzyńskiego, skupiła się w ufności do Boga swego.

Ale oto inny głos, poważny i bliższy jeszcze prawdy powstał w niej: „Oto zawierzyć mi nie chciałaś. Oto mnie, Stworzycielowi swemu i Zbawcy swojemu nie ufasz. Oto szarpiesz się pod tą ręką gwoździmi przebitą za Ciebie! Otom Ci mówił w godzinach jasnych — „ufaj mi!“ jak to słońce w godzinach złotych

zachodu mówi kwiatom „ufajcie i miłujcie!" i jak te kwiaty, paląc się w zorzy zachodu cichego, mówiłaś — „ufam i miłuję!" — a ledwom na chwilę krótką zakrył oblicze przed Tobą już ufać przestajesz! Otom wziął cię za rękę i wiodłem cię za rękę przez ciemność, a ty, zamiast zawisnąć ufnością, jak dziecię w ciemności na ręce matki zawisa ufnością, ty mi się rwiesz i oglądasz się w ciemności wołając „ja sama! ja sama" — i te najgłębiej sięgające słowa: „Oto ja daję samotność na ludzi, by zamknąwszy drzwi samotnością i bólem i bezradnością zostać sam na sam z duszą, zostać jedyną jej siłą i światłem i miłością... o tyś nie chciała..."

I osunęła mu się do nóg — rozżalenie znikło i pamięć na siebie znikła, natomiast wstał żal do siebie samej o niewdzięczność, o nieufność, o słabość w wierze.

— Moja wina Panie! moja wina!

— A jakom ja jest tobie światłem i pokojem i zaufaniem, tak chcę byś innym była światłem, pokojem, siłą i przystanią zaufania... Serce macierzyńskie dałem ci — dla męża dałem ci je i dla dzieci, i dla wszystkich, którzy do Ciebie przyjdą. Masz dawać komu trzeba i bądź silną, bom ja twój Bóg, ja wszechmocny!"

— Mamusiu kiedy my pojedziemy? — powtórzył znów po długiej chwili milczenia stojący przy niej Mareczek — a usteczka poczynały mu drżeć do płaczu, za długo czekał na odpowiedź. Mając oczy pełne jeszcze łez, a serce drżące wdzięcznością, podniosła go z ziemi i wziąwszy go na kolana poczęła mu opowiadać ukochaną bajeczkę o czerwonym kapturku. Jak za każdym razem oczka Mareczka robiły się promienne na myśl o ślicznym, zielonym lesie, w którym dziewczynka rwała czerwone błyszczące w słońcu poziomeczki dla babci i pełne grozy, gdy przyszła straszna historya o wilku. Za każdym razem, gdy opowiadała mamusia, wypływał jakiś nowy szczegół, jakiś waryant... ale tym razem stało się coś zupełnie nowego: wilk nie zjadł wcale dziewczynki, bo babunia wróciła na czas... wilk uciekł, a babunia wzięła płaczące przerażone dzieciątko na ręce i tak tuliła, tuliła... jak mamusia tuli swego Mareczka.

— Ale czemu, mamusiu teraz wilk nie zjadł dziewczynki? czemu?

— Bo Bozia powiedział serduszkowi babuni, żeby prędko, prędko szła do domu.

Zdziwione oczy Mareczka zamknął pocałunek. Janek oparty o kolana matki stał już chwilę, słuchając, a teraz tulił twarzyczkę do jej ręki, przyciszonym głosem patrząc poważnie stwierdził:

— Mamusia jest dobra.

Na peronie wiatr miota płomieniem latarni. Deszcz pada ciągle. Andrzej nie mający wstępu do „damskiej" wyszedł odetchnąć świeżem powietrzem. U nóg mu szarpie się cień jego w miotającym się płomieniu latarni. Stoi na brzegu platformy instyktowo, opierając się na wrażeniu wyczuwania stopą okraju ostrego, patrzy tępo na słaby błysk, który na relsach mokrych skupiał się naprzeciw latarni — patrzy na światło, bo już tak oko ludzkie stworzone, że je każde światło pociąga. Jeden błysk, drugi, trzeci, piąty. Błyski leżały jeden za drugim coraz słabsze, chwiejąc się za chwiejnym płomieniem na wietrze, na trzech parach relsów, jak na wąziutkich strugach idących w ciemność.

Obok Andrzeja stał mały, chudy człeczyna i opowiadał mu coś jednostajnym głosem. W ciemności widać było tylko obok Andrzeja w tęgiej grubej burce, sylwetę nikłą i fartuch biały, szarpany zrywającym się powiewem i zalatywał specyficzny zapach kacapskich butów. Ale Andrzej znał tę fizyonomię: szczupła piegowata twarz z kośćmi policzkowemi mocno wystającemi, rudy zarost i rzadka ruda bródka — oczy spłowiałe błękitne, jakby wypłakane. Od lat dwudziestu był tu „nosilszczykiem", Andrzej go pamiętał tak dawno jak siebie samego i zdawało mu się, że się od lat dwudziestu nie zmienił wcale. Lubił czasem wypić — wtedy mu na policzki występowały małe krągłe rumieńce, przysiadał, gdzie się dało i z brodą na łokciu wspartą, zawodził kacapską monotonną i bardzo smutną pieśń. Zdawało

się wtedy, że w nim półświadoma dusza wyła z tęsknoty, nie wiedząc sama czemu, jak ten pies do księżyca.

— Ot, z tych drzwi wypadł on, jak ja wracał z obiadu — gonił tych przeklętych zbójów i wołał, by ich łapać. Dobiegł ot tam, do latarni i tam prost i upadł i po nim...

— Bo to oni — podjął po chwili — przysłali jeszcze pismo, żeby to on dał diengi, co ma w kasie, a nie, to jego ubiją... Ale on głupi nie chciał... i co mu z tego przyszło? Czy te diengi jego byli? Kazionne byli! Ot durak! a życie jego było! a ot, nie dał kazionnych diengów, to oni wzięli jego życie! Ot polaczok durak! — śpiewnie dokończył. Widocznie był trochę pociągnął i rozrzewnienie go brało.

— My tu już zaglądali i pierw... i w nocy nie dospali, bo on kazał pilnować. Ale ot, południe przyszło, poszlimy na obiad... toż biały dzień był! a oni taki go znaleźli! Właśnie był w kasie, chciał odsyłać pieniądze. Kiedy ja poczuł strzały — sukinsyny dwa razy strzelili, a on też, bo liworwer my naszli wystrzelony, a u niego dwie kule — to ja zaraz biegł... tu nosem parę razy pociągnął i umilkł.

— Bo i jak tu upilnować? Mało tu całe lato takich brodiągów? U jednego paszportu nima, a u drugiego dwa paszporty — u tego czoło rozbite, a tego ręka przewiązana... Gdyby tak wszystkich przyszło zatrzymywać... co się tu włóczyli... i znów się zamyślił.

— A to i bywało, że napadną, a jakże! Raz to nam mówi naczelnik pokojny: „Chłopcy, a weźcieno się w kupę i ze mną, bo tam do magazynów coś się dobierają!"

— My myśleli, że to czestni ludzie! więc my wzięli tylko pałki, a te łajdaki z liworwerem do nas! Podumajtie z liworwerem! A ot dwie nedile nazad...

Ale w tej chwili w ciszy rozległo się sygnalizujące, miarowe uderzenie dzwonka. Andrzej zwrócił się nagle ku drzwiom stacyi.

Stoi tatuś z Mareczkiem na ręku i mamusia, Stanka trzyma za rękę i Janek i mały, rudy nosilszczyk, obładowany ręcznymi pakunkami.

Janek włożył obie łapki głęboko w kieszenie i z marsem na czole czeka. Gniecie go w serduszku, bo mu żal bardzo tatusia, że tatuś nie zobaczy Krakowa, a wróci sam jeden do pustych Warów. I Stanek też milczy — jego ściska w gardle, gdy pomyśli o tatusiu, ale ciąży mu też wstyd, zażenowanie, które odczuwa na myśl o wzruszeniu, choć to przecie nic złego — a zgorączkowany długiem czekaniem, ściska rękę mamusi i choć pociągu nie widać jeszcze, powtarza pocichutku, tak, że tylko czasem przebija się szept w dźwięk płaczliwy:

— Spóźnimy się, mamusiu! spóźnimy się! Mareczek ma szeroko i nieruchomo otwarte oczy, jak to z zaspanemi oczkami bywa, gdy spać nie można.

Czekają.

Jankowi się zdaje, że słyszy daleko, daleko głuche dudnienie — lecz znów cisza tylko... powiew silniejszy i znów się wynurza dźwięk ów daleki... Janek postąpił krok naprzód i wpatrzył się w ciemność. Daleko, daleko światełko... nie, dwa światełka nieruchome. Lecz nie, one idą, zwiększają się... tak, to pociąg.

Przekonawszy się o tem konstatuje półgłosem:

— Pociąg idzie.

— Mamusiu, mamusiu! spóźnimy się! — jęczy Stanek.

— Stanek! nie waryjuj! — rzuca, trochę za ostro tatuś.

Światełka suną z jakąś dziwną nieruchomością linii, nie drgną, ani zboczą na włos. Tętent, huk, sapanie. Lokomotywa wynurza się z cienia i sunie ogromna, ciężka, aż ziemia drży. Miarowo, z matematyczną jednostajnością i precyzyą wysuwają się i cofają żelazne ramiona. Coś dziwnie brutalnego i obojętnego w tem jest; coś, co naprężone nerwy Andrzeja buntuje w tej chwili w głupi, bezsilny gniew.

Mareczek postawiony we drzwiach wagonu, Stanek impetycznie i wskutek zażenowania przełamanego, trochę nienaturalnie, rzuca się na szyję ojcu. Janek zrazu trochę sztywny, poczyna potem nachyloną twarz głaskać czule rączkami.

— Mój tatuś... mój!... mówi cichutko.

— Siadać chłopcy! czasu niema! Proszę cię moja droga wsiadaj — i szybko, trochę szorstko pomaga żonie wsiąść i sam wskakuje do wagonu.

— No, do widzenia — a piszcie — a matce ręce ucałuj odemnie — a bądźcie zdrowi. Tu mu się miękka ręka położyła na ramieniu. Przycisnął ją do siebie, pocałunek długi złożył na jasnem zawsze czole o tej kochanej linii zarostu. Pocałunek to był zarazem ojcowski, uszanowania pełen.

— Moja ty, bądź zdrowa.

Drżąca ręka położyła mu na czole mały krzyżyk.

— Bóg z tobą Andrzeju, Bóg z tobą. Ty wiesz, że ja nie mogę — złamał jej się głos.

— Będę odważna, Bóg z tobą.

Przed stojącym na peronie Andrzejem zaczęły powoli przesuwać się okna wagonów jedno za drugiem. On stał — wreszcie westchnął, czapkę wcisnął i odszedł wolnym krokiem, a w duszy echem zbudziły się słowa, któremi zdawna żegnano się w tych krajach „Z Bohom"!

— „Ostawajte z Bohom" brzmiała odpowiedź.

Dzieci śpią — kołysze je łagodnie pulmanowski wagon. Żółtawe światło przysłonionej latarni, jednostajny cichy chód kół. Za oknem ciemność. Pod ciemnością wielkie puste równe przestrzenie. Pustka, noc nieprzenikniona, bezmierne obszary pustki, a w nich ten pociąg zgubiony, biegnący przed siebie. Długi, nieskończenie smutny gwizd, tęsknoty jakiejś rozdzierającej pełen, spity nocą i pustką i milczeniem.

Anna myśli o tem co przeżyła i z wdzięcznością wraca ku chwili życiodawczej, która była jej światłem i mocą niezależną, od niczego nawet od niego, nawet od jej Andrzeja.

Niezależnie od niczego Panie, Twoją jestem i Tyś jest zemną niezależnie od niczego!... i to oderwanie w głębi jej radość sprawiało. „A dałem Ci serce macierzyńskie dla wszystkich, którzy się zbliżą do Ciebie". I oto czuje to serce matki dane jej. Serce czułe i mocne i rozumiejące i pragnące dawać i dawać! Przyszły

jej na usta słowa Eliasza, wyrzeczone w ogłodzonej ziemi do biednej wdowy z Sarepty, w której domu uczynił Bóg cud przez rękę sługi swego: „Garniec mąki nie ustanie, ani bańki oliwy nie ubędzie".

— Panie Tyś wielki jest, a jesteś Bogiem moim.

Krystyna Saryusz Zaleska.

Z pracowni mikrotechnika.

Niezmierny rozwój nauk biologicznych i medycznych, jaki się dokonuje w ciągu minionego i obecnego stulecia, związany jest ściśle z dziejami przyrządu skromnego na pozór i prostego, którego jednak doniosły wpływ na cywilizacyę ludzkości bez przesady porównać można z wpływem maszyny parowej lub broni palnej. Przyrządem tym, to mikroskop. Jest on dzisiaj tem w pracowni przyrodnika, czem karabin w nowożytnej armii, czem motor w fabryce. I nawet czemś więcej jeszcze. Bo gdy ostatecznie, przy wielkiem wytężeniu pracy ludzkiej można pracę maszyny zastąpić poniekąd pracą ludzką, a dawnymi czasy i bez prochu i kul umiano już doskonale zabijać i niszczyć, to żadne wytężenie sił ludzkich, żaden zespół wysiłków nie zastąpi człowiekowi mikroskopu. On bowiem jedynie otwiera przed nami nowe światy, dla oka nieuzbrojonego na zawsze zamknięte.

Jak zjawiska fizyczne i chemiczne, które zwracają naszą uwagę, są wynikiem i sumą niejako niesłychanie małych oddziaływań, bo drobinowych i atomowych, tak i w krainie życia, objawy życiowe, chociaż kierowane wewnętrzną celowością, zwaną formą życiową, są jednak zawsze wypadkową biologicznych funkcyi istot lub tworów drobnoustrojowych, dla oka niedostrzegalnych. Toteż ażeby wydrzeć przyrodzie choć cząstkę małą tej największej z jej mysteriów, tajemnicy życia, trzeba koniecznie wedrzeć się w te tkanki i komórki, które są niejako organami życia, przypatrzyć się i zbadać zwyczaje i prawa

życiowe owych zgoła dla oka niedostępnych istot, bakteryi, które ze wszystkich istot żywych, mimo swej znikomej postaci, najpotężniejszy stanowczo na życie człowieka wpływ wywierają. Do tych badań oko nasze jest za mało czułe, trzeba je udoskonalić i siłę jego znacznie zwiększyć. Uczynić to zdołano wyłącznie dzięki mikroskopowi i w ten sposób powstały owe wspaniałe nauki, które tak bardzo zmieniły nasze poglądy i nawet zwyczaje. Wtedy bowiem dopiero bakteryologia pouczyła nas, czem są choroby zakaźne i jak ich unikać, wtedy histologia, badając tkanki i komórki, dała zrozumienie głębsze budowy czyli anatomii organizmu i jego funkcyi fizyologicznych, wtedy wglądnąć zdołała nauka głębiej w ów najważniejszy objaw życiowy, będący kluczem wszystkich innych, to jest objaw rozwoju poszczególnego organizmu, tworząc dział nowy, niesłychanie i dla biologii ważny, tak zwaną embryologią. A wszystko to zawdzięcza się mikroskopowi i bez niego byłoby zupełnie niemożliwe. Nic też dziwnego, że postęp nauk przyrodniczych idzie zupełnie równolegle z dziejami udoskonalenia mikroskopu.

Mikroskop pojawia się w historyi nauki już przy końcu wieku szesnastego, bo zbudowanie pierwszego mikroskopu przypisuje się powszechnie braciom Janowi i Zacharyaszowi Jenssen i kładzie się je na rok 1590. Chociaż już pierwsze mikroskopy wywierają wpływ istotny na nauki przyrodnicze, to przecież przez cały wiek następny jeden i drugi, biologia ani części nie zdobywa tego, czego dokonała w wieku dziewiętnastym. Gdy mianowicie od chwili zbudowania poraz pierwszy (w r. 1830) objektywu achromatycznego, następnie w r. 1840 Amici wprowadził tak zwaną immersyę wodną, Abbe w r. 1878 u Zeissa immersyę olejkową (homogenalną), w r. 1886 tenże Abbe wyrachował najdoskonalsze i chyba nigdy nie dające się obecnymi środkami prześcignąć objektywy apochromatyczne, wreszcie w ostatnich dziesiątkach lat zjawiają się mikroskopy pozafiołkowe, gdzie fotografuje się przedmioty przy użyciu promieni pozafiołkowych i ultramikroskopy Siednetopffa.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że ten rozwój niezaprze-

czalny, gwałtowny rozwój nauki opiera się wyłącznie na mikroskopie. Tak, mikroskop jest środkiem niezbędnym, ale nie jedynym. Trzeba bowiem było nietylko posiąść ten środek, ale nauczyć się należycie go wyzyskać, trzeba było jednem słowem stworzyć metodę posługiwania się mikroskopem. Bo mikroskopowanie czyli badanie przy pomocy mikroskopu nie jest wcale rzeczą prostą i łatwą, jakby się zdawało komuś, który pod kierownictwem jakiegoś przyrodnika miał sposobność przypatrywania się rozmaitym przedmiotom pod mikroskopem. Ażeby z pożytkiem przedmioty ujrzeć, a cóż dopiero, by je najdokładniej naukowo i ściśle zbadać, potrzeba do tego zabiegów i metod, które subtelnością przewyższają wszystko, na co wogóle człowiek się zdobył. Metody te, zwane w języku naukowym techniką mikroskopową, tworzyły się od chwili, gdy pierwszy raz zaczęto używać mikroskopu do badań poważnych, lecz dopiero w drugiej połowie minionego wieku kształtują się w systematyczną naukę, nieprzechodzącą wyłącznie tradycyjnie od jednego badacza do drugiego, lecz spisaną w dziełach obszernych, mającą na swe usługi osobne czasopisma. Zapoznanie się z temi metodami jest nietylko interesujące z powodu ich genialności lub dlatego, że są one wytworem, skarbem duchowym, na który składały się wysiłki wiekowe najdzielniejszych umysłów, ale znajomość przynajmniej głównych ich zarysów potrzebna jest każdemu, kto pragnie krytycznie zdać sobie sprawę i ocenić wartość rezultatów, do jakich, temi metodami posługując się, przyrodnicy w swych badaniach doszli. Wreszcie *last but non least* i na to, by uznać i ocenić tę niezmierną pracę, jakiej do badań mikroskopowych trzeba użyć. Mikroskopowanie bowiem zdaniem ludzi doświadczeńszych, jest najintenzywniejszą pracą umysłową, pracą tem cięższą, że wymaga nietylko sił umysłu, lecz napręża nerwy, wytęża i męczy niesłychanie wzrok.

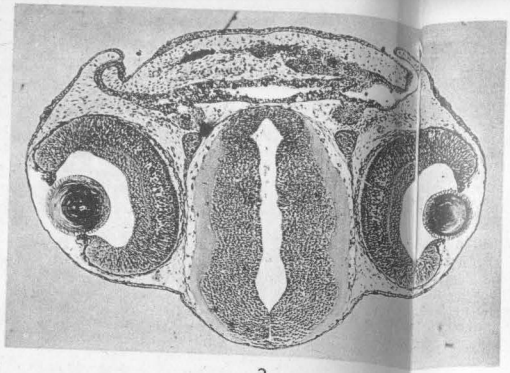
By zaś streszczenie tych metod było jaśniejsze i więcej przedstawiało interesu, podaję w dwóch tablicach jako ilustracyą szereg zdjęć mikrofotograficznych,[1] które umyślnie

[1] Wszystkie te zdjęcia wykonałem przyrządem mikrofotograficznym Zeissa, zapomocą wspomnianych już objektywów apochromatycznych, między nimi i objektywem immersyjnym (apochr. Zeissa num. ap. 1,30 i 1,40).

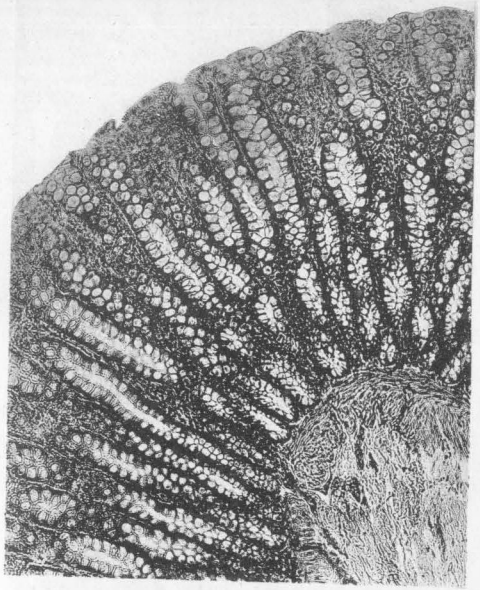
w tym celu wykonałem, a które w ciągu tego streszczenia będą objaśnione.

Mikroskop, jak sama nazwa jego wskazuje, służy do rozpatrywania tylko przedmiotów bardzo małych. By z jego pomocą przypatrzeć się można budowie przedmiotów większych, trzeba je pokrajać odpowiednio na cienkie skrawki i uczynić je przeźroczystymi, czyli trzeba zrobić tak zwany preparat mikroskopiczny. Do cięcia przyskrawków czyto z rośliny czy z ciała zwierzęcia, używano dawniej brzytwy, którą starsi, a żyjący jeszcze badacze, posługiwać się umieją w sposób zadziwiający, tnąc równe skrawki o grubości dwudziestej części milimetra. Dzisiaj do tego celu zbudowano już odpowiednie przyrządy, rozmaitych typów i kształtów, tak zwane mikrotomy (od μικρός mały i τέμνω tnę), przy pomocy których można ciąć skrawki o grubości jednej tysiącznej części milimetra, to znaczy kawałeczek preparatu, długi na jeden milimetr, pociąć można na tysiąc plasterków. Oczywiście grubość takiego skrawka jest dla oka zupełnie niedostrzegalną, przedstawiają one doskonały obraz tego, co w matematyce nazywamy powierzchnią. Dla naszych zmysłów jestto utwór mający dwa wymiary.

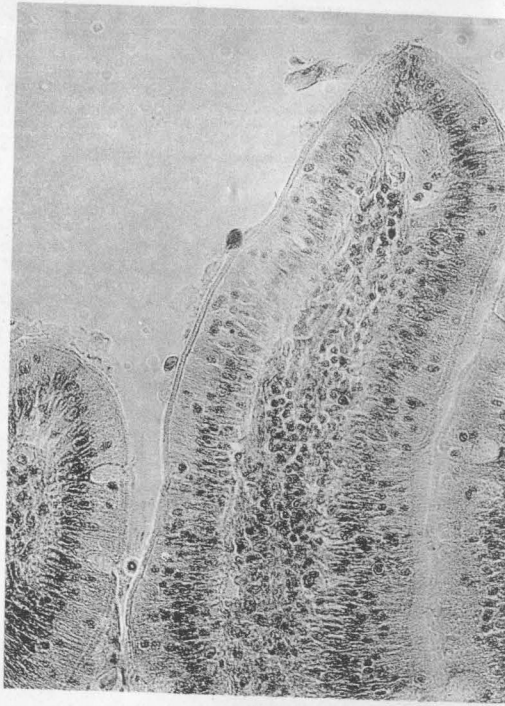
Rzeczą jest oczywistą, że na takie skrawki nie można ciąć tkanki, wziętej wprost z przyrody, lecz trzeba ją pierwej w sposób odpowiedni przygotować. Wiemy z codziennego doświadczenia, że przedmiotów miękkich nie da się pokrajać na cienkie kawałki; świeży całkiem chleb podzielić można tylko na grube kromki. Gdy chodzi o robienie skrawków niezbyt cienkich i z preparatów świeżych, wystarcza nieraz tylko zamrozić preparat przez rozpylanie nań energiczne eteru siarczanego. Metody tej, jako grubszej, używa się tylko w niektórych wypadkach, przy badaniach naukowych, zwyczajnie zaś tkankę, z której chcemy zrobić preparat mikroskopiczny, utrwala się, czyli zabija i czyni ją twardą zapomocą specyalnych odczynników chemicznych, takich jak alkohol, formalina i kwasy. Oczywiście rzeczą jest pierwszorzędnej wagi, by przy takiem utrwalaniu tkanki nie niszczyć jej struktury, bo inaczej cała dalsza praca byłaby bezcelowa; na poznaniu bowiem tej struktury,



3.



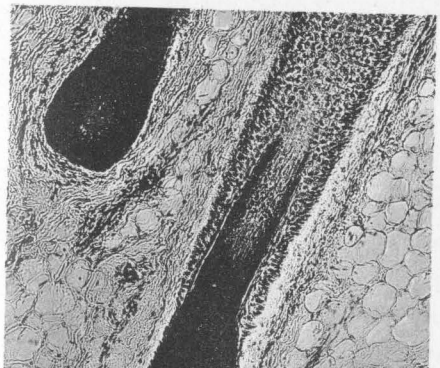
4.



5.



7.





jak ona znachodzi się w organizmie żywym, właśnie nam zależy. I nie trzeba sądzić, że nauka doszła już w tym tak ważnym punkcie do ideału. Owszem, porównując budowę drobnoustrojową tkanki żywej z utrwaloną, widzi się zawsze prawie różnice i trzeba się zadowolić utrwalaczami specyalnymi, z których każdy nie burzy a utrwali należycie pewien tylko rodzaj tkanki lub drobnoustrojów. Gdy przyrodnik zbadać pragnie pod mikroskopem przedmiot jakiś ile możności wszechstronnie, pociąć go musi na większą liczbę kawałków, z których każdy utrwala inną metodą i dopiero z obrazów pod mikroskopem widzianych przez syntezę, wyrabia sobie pojęcie o tych stosunkach, jakie w budowie badanego organizmu panują za życia.

Ale i tak utrwalonej tkanki jeszcze wprost pod nóż mikrotomu wziąść nie można, bo jest jeszcze za mało odporną na działania mechaniczne. Trzeba ją ująć w jakąś oprawę. Najczęściej robi się to w ten sposób, że się przedmiot badany zatapia poprostu w parafinie, która, zapomocą odpowiednich metod i działań ciepła w tak zwanych termostatach przepoiwszy całą tkankę, tworzy wraz z nią po ostygnięciu twardy kawałek, mieszczący w swem wnętrzu preparat. Kawałek taki tkanki zatopionej w parafinie, przykleja się do odpowiedniego trzymadła i zaczyna się krajanie.

Obecnie używa się w laboratoryach przeważnie automatycznie działających mikrotomów, gdzie zwykle preparat jest w spoczynku, a brzytwa zapomocą mechanizmu spada na preparat, jak gilotyna i za każdym razem posuwa się automatycznie naprzód o pewną grubość, na którą nastawić można bardzo dokładnie, zapomocą śrub mikrometrycznych. Lecz i to automatyczne krajanie wcale nie jest tak łatwem, jakby się z opisu wydawać mogło. Wymaga ono wprawy niemałej, a jest też równocześnie probierzem, czy preparat zatopiono w parafinie należycie. Przytem niekażdy preparat wogóle da się ciąć na dowolnie cienkie skrawki, najczęściej preparaty histologiczne kraje się na grubość 5 do 20 μ, gdzie μ oznacza tysiączną część milimetra.

Czasem wystarcza jeden lub drugi skrawek do zbadania

tkanki danej. Często jednak zachodzi potrzeba przepatrzenia całego przedmiotu. Wtedy postępuje się w ten sposób, że zapomocą mikrotomu sporządza się tak zwane serye skrawków. Mianowicie przy odpowiedniem nastawieniu jeden skrawek przylepia się automatycznie do drugiego, a z pod mikrotomu wysuwa się wstęga, utworzona z dokładnie po sobie następujących skrawków. Wstęgę taką nalepia się następnie kawałkami ostrożnie na szkiełko i powstaje w ten sposób taki preparat, jaki w wielkości naturalnej widzimy na figurze 1 i fig. 2. Fig. 1 przedstawia obraz preparatu, na którym znajduje się cała bardzo młoda, dopiero co z jaja wykłóta kijanka żaby, pocięta na 150 skrawków, każdy o grubości 20 μ czyli 50-tej części milimetra. Fig. 2 (preparat prof. Hoyera, użyczony mi łaskawie do zdjęcia mikrofotograficznego) mieści na sobie pocięte na kawałki całe oko zarodka salamandry; fig. 3 przedstawia zdjęcie mikrofotograficzne z jednego skrawka, które podaję w tym celu, by dać czytelnikowi wyobrażenie o tego rodzaju badaniach. Przyrodnik sumienny musi przestudyować pod mikroskopem dokładnie wszystkie takie skrawki kolejno i wytworzyć w ten sposób obraz całości. A takich skrawków nieraz z jednego przedmiotu jest bardzo wiele — dość powiedzieć, że celem zbadania rdzenia kręgowego potrzeba go było pociąć na przeszło 30 tysięcy skrawków i każdy z osobna przejrzeć dokładnie pod mikroskopem. Nic też dziwnego, że na przestudyowanie małego zakątka nauk przyrodniczych, bo cząstki jakiegoś organizmu, trzeba nieraz kilka lat pracy jednego badacza, a pracy niesłychanie wytężającej tak fizycznie jak umysłowo. Żadna hafciarka nie wytęża tak wzroku, jak uczony, ślęczący nad mikroskopem, gdzie zdradliwe refleksy od powierzchni soczewek przyczyniają się jeszcze do znużenia wzroku.

Nieraz z jakiegoś organizmu, którego budowę poznaliśmy przy pomocy seryi mikroskopowych dokładnie, robi się modele mikroskopiczne, to znaczy tak wielkie, by można szczegóły ich budowy rozpatrywać wygodnie gołem okiem. Dokonywa się tego w ten sposób, że każdy skrawek rysuje się pod mikroskopem przy użyciu tego samego powiększenia n. p. 200 razy

i każdy rysunek wykrawa się następnie na płytce woskowej, której grubość jest również 200 razy większą od grubości skrawka. Zestawiając następnie te płytki woskowe ze sobą, ma się dokładny obraz czyli model budowy organizmu, którego powiększenie wzdłuż i wszerz jest takie same.

Ale mówiąc o tem wszystkiem, przerwaliśmy właściwie systematyczny opis robienia preparatu. Bo pociąwszy preparat na skrawki, nie wystarczy nalepić je na szkiełko, gdyż preparat przepojony jest cały parafiną, stąd pod mikroskopem nic jeszcze prawie z budowy jego dostrzedz nie można. Trzeba więc najpierw usunąć z preparatu parafinę, a następnie obraz, który z powodu swej znikomej grubości jest bardzo słabo dostrzegalny nawet pod mikroskopem, uczynić widocznym zapomocą zabarwienia. Parafinę usuwa się w sposób prosty przez zanużenie preparatu na kilka minut do substancyi, zwanej ksylolem,[1] która ma własność rozpuszczania parafiny. Daleko więcej zachodów wymaga zabarwienie preparatu. Jestto sprawa niezmiernej doniosłości i śmiało powiedzieć można, że po mikroskopie technika barwienia największe w badaniach przyrodniczych oddała usługi. Barwików w mikroskopowej technice używanych jest cały legion, o rozmaitych własnościach chemicznych, więc barwiki kwaśne, neutralne i zasadowe i o przeróżnych kolorach, od czarnych, jakie napotykamy w złoceniu i w metodzie Heidenhaina, fioletowe, niebieskie, zielone, żółte, pomarańczowe, aż do jasno i ciemno czerwonych. Niekiedy używa się nawet do tego samego preparatu więcej barwików, a czasami też ten sam barwik rozmaite miejsca preparatu w odmiennych przedstawia kolorach. Bo wiedzieć należy, że często działanie barwików jest selekcyjne, to znaczy barwik, jakgdyby tworzył z tkanką połączenie chemiczne i odnośnie do natury tkanki łączył się z jedną łatwiej, niż z inną, jednej nadając taki odcień, drugiej inny. W ten sposób barwik nietylko uwidacznia tkankę zabarwioną, ale rozróżnia w niej niejako i nam przez to roz-

[1] Xylol jest też z tego powodu znakomitym środkiem do usuwania plam tłustych, z farb pokostowych, z stearyny itp. Xylol jest tani i dostać go można w aptekach.

różnić pozwala twory, które inaczej uszłyby zupełnie naszej uwagi. Znaczenie i zakres tego działania selekcyjnego barwików, niektórzy badacze czasem przeceniają, upatrując połączenie chemiczne tkanki z barwikiem tam, gdzie prawdopodobnie istnieje tylko połączenie czysto mechaniczne, lecz nie ulega wątpliwości, że w całym szeregu wypadków istotnie taki chemiczny związek i, co zatem idzie, wyróżnienie warstw chemicznie różnych istotnie nieraz występuje.

W rozprawach i dziełach naukowych badacze zwykle swe preparaty odrysowują, gdyż w ten sposób więcej uwydatnić można wiele szczegółów preparatu. Mikrofotografią posługują się rzadziej, bo ona nieraz nie chce oddać wszystkiego, co jest w preparacie, a tembardziej tego, coby badacz pragnął nieraz tam widzieć. Zato ma ona tę wyższość, że jest dokumentem niezbicie prawdziwym istnienia preparatu i zawartych w nim szczegółów, zastąpić go też może najautentyczniej. Dlatego też jako ilustracyę uwag powyższych o technice mikroskopowej podaję szereg takich zdjęć, wziętych z rozmaitych dziedzin mikroskopowych badań. I tak na fig. 4 widzimy odfotografowany preparat z przekroju jelita człowieka. Jak dostrzedz z łatwością na fotografii można, wewnętrzna ściana jelita składa się z kosmków, zbudowanych z komórek, pomiędzy któremi widać komórki przeźroczyste, które za życia organizmu wypełnione były śluzem. Fig. 5 przedstawia w znacznem powiększeniu (ok. 250 razy) jeden z kosmków jelita człowieka, na którym komórki są bardzo widoczne, zaś fig. 6 podaje przekrój poprzeczny przez szereg kosmków jelita w nieco słabszem powiększeniu.

Preparat odfotografowany na fig. 7 jestto przekrój przez skórę z włosami, dokonany poprzecznie przez włosy, przedstawiające się więc na preparacie jakby koła, w których osi jest substancya rdzenna włosa. Gdy ta wypadnie, włos staje się siwym. Na fig. następnej (fig. 8) mamy również przekrój włosów, ale podłużny, tak, że widoczna jest u nasady włosa jego cebulka, z której włos wyrasta. Fig. 9 przedstawia nam przekrój przez płuco ludzkie. Widać tu tkankę bardzo wiotką,

wśród której uderzają dwa otwory: jeden całkiem okrągły, jestto przekrój poprzeczny przez naczynie krwionośne, drugi zaś o brzegach palczastych, stanowi przekrój poprzeczny przez gałąź drobną tchawicy.

Błona śluzowa górnych części dróg oddechowych, zwłaszcza jamy nosowej, wysłana jest nabłonkiem tak zwanym migawkowym, bo jest on utworzony z szeregu komórek nabłonkowych, które noszą na sobie bardzo małe, ruchome twory, zwane migawkami. Nabłonek ten, niezmiernie ciekawy, odwzorowuje fig. 10, zdjęcie dokonane w bardzo silnem powiększeniu (ok. 1000 razy), gdzie rozróżnić można dokładnie płytkę zbudowaną z pojedynczych komórek, jakby z cegieł, zakończonych nie gładko, lecz frędzlami. Te frędzle to są właśnie owe migawki. Ich cel w organizmie jest równie ważny, jak interesujący. Są one w ciągłym ruchu, który przedstawia się jak ruch kłosów na łanie, muskanych wiatrem, a ruch ten idąc w kierunku zewnątrz organizmu, ma za zadanie wydalanie z dróg oddechowych drobnych pyłków, jakie tam z powietrzem się dostają. Oczywiście gdy tych pyłków za wiele, jak u palaczy tytoniu lub ludzi przebywających w powietrzu przepełnionem pyłem, migawki nie zdołają zapobiedz złemu, a pył, raz na płucach osiadłszy, wgryza się w głąb tkanki płucnej i pozostaje tam na zawsze, tworząc czarne złogi.

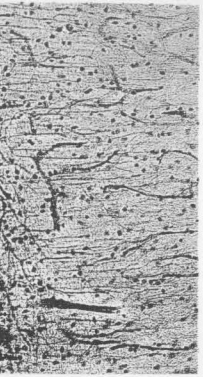
W rycinie fig. 11 i fig. 12 widzimy przed sobą już nie skrawki, lecz całe szkieleciki przepięknych jednokomórkowych roślinek, zaledwo jako pyłki drobne dla oka dostrzegalnych, tak zwanych okrzemek. Tak jedna, jak druga rycina przedstawia jedną taką okrzemkę, na której pod wielkiem, jak tu powiększeniem (ok. 800 razy), widać prześliczną, umiarową strukturę. Tak im głębiej wdzieramy się w tajniki przyrody, tem silniej dostrzegamy panujące tam ślady piękna celowości, będące niezbitem świadectwem, że świat ten cały jest dziełem istoty nieskończenie mądrej i nieskończenie potężnej. Okrzemków takich, chociaż każdy z nich jest tylko pojedynczą komórką, znamy już dzisiaj przeszło 4 tysiące, każda zaś z nich nosi na sobie szaty o innych wzorach, mogących stanowić nieprzebrany skarbiec ornamentyki.

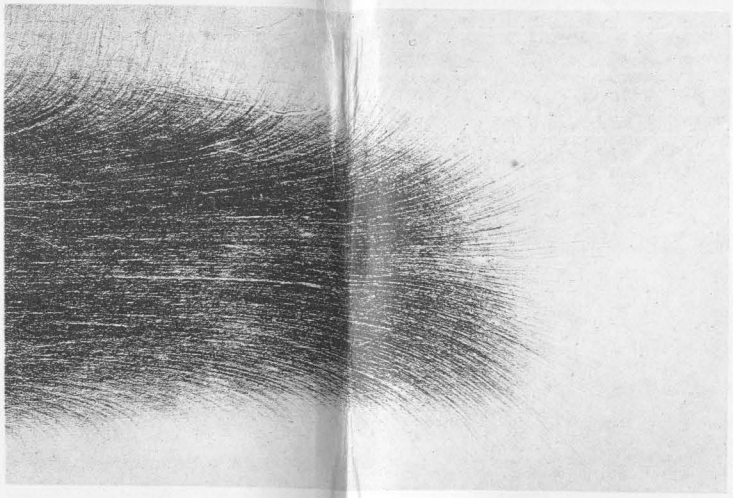
Rycina następna (fig. 13) sięga w inną dziedzinę istot jednokomórkowych. Widzimy tu pod bardzo silnem powiększeniem (ok. 1800 razy)[1] bakterye powodujące chorobę bardzo niebezpieczną zwaną mikrodoemą. Widzimy, że twory te straszne opatrzone są witkami, wyrastającemi z ich ciał w różnych kierunkach. By pokazać, jak drobną jest taka bakterya, podaję obok w następnej rycinie (fig. 14) mikrofotografię krwinek, czyli czerwonych ciałek krwi ludzkiej, dokonaną w tych samych warunkach i przy tem samem powiększeniu, co powyższe bakterye. Widzimy, że już powierzchnia ciałka jest kilkadziesiąt razy większą od bakteryi, a więc objętość jest większą kilkaset do paru tysięcy razy, a pamiętać trzeba, że krwinki są tak małe, że w jednym milimetrze sześciennym krwi, to znaczy w kropli tej wielkości, co główka od szpilki, znajduje się ich pięć milionów, a zmieściłby się mogło, gdyby nie było otocza krwi, lecz tylko same krwinki, drugie tyle. A te bakterye zaś, które tu są odfotografowane, wcale nie należą do najmniejszych. I gdy sobie przedstawimy, jak silne jest działanie tych drobnoustrojów na organizmy wielkie, jak na nasz i nawet na całe miliony takich organizmów, wtedy nabrać możemy pojęcia o mnogości tych bakteryi, a także i o potędze działania wspólnego wogóle.

Na tablicy drugiej zebrane są mikrofotografie wyłącznie tych tkanek i komórek, które w zjawiskach życiowych grają rolę pierwszorzędną, które decydują poprostu, dlaczego organizm ludzki, wzięty jako organizm przewyższa swą doskonałością wszystkie inne organizmy na ziemi. Są to mianowicie komórki i tkanki nerwowe.

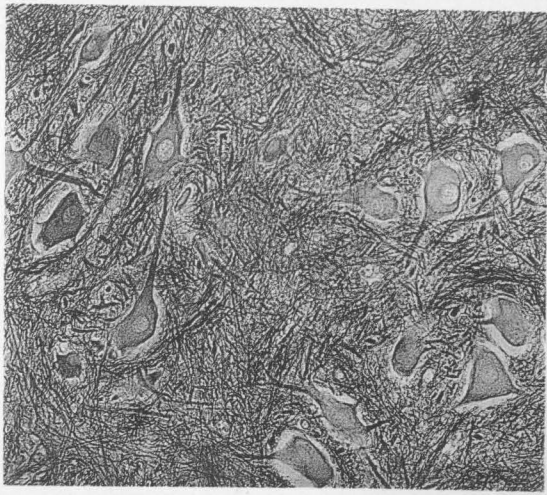
System nasz nerwowy składa się, jak wiadomo, z dwóch wielkich grup, różniących się wybitnie swoją funkcyą. Mamy mianowicie najpierw system nerwowy środkowy, który kieruje funkcyami od woli jednostki zależnymi i system nerwów sympatycznych, rządzących zjawiskami biologicznemi, na które wola wpływu bezpośrednio nie wywiera jak n. p. ruch ro-

[1] Zdjęcie to fotografowałem zapomocą objektywu immersyjnego apochromatycznego Zeissa, przy użyciu okularu kompensacyjnego 6.



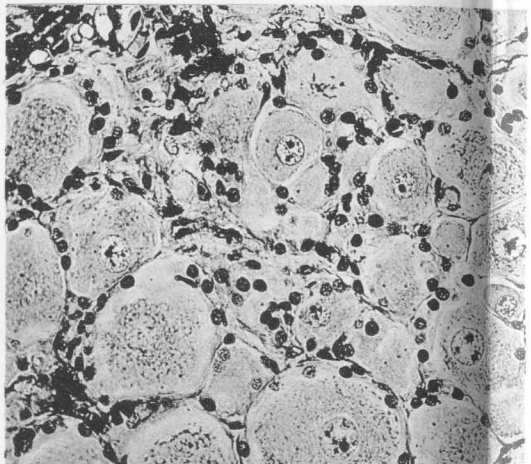


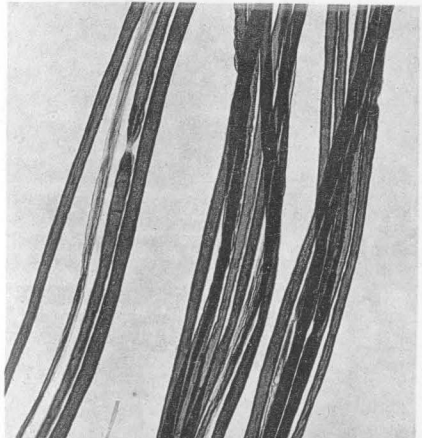
16.

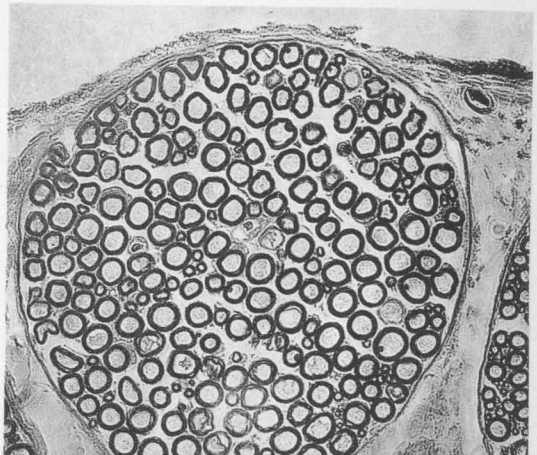


17.









baczkowy jelit, skurcze serca i t. d. System nerwowy środkowy ugrupował się w dwóch wielkich centrach, zwanych mózgiem i rdzeniem. Tak mózg, jako i rdzeń, składa się, jak wiadomo, z dwóch warstw, z substancyi szarej i białej. W pierwszej obok tkanki podstawowej przeważają komórki nerwowe, w drugiej natomiast wypustki idące z tych komórek czyli tak zwane nerwowe włókna. W tablicy naszej zobaczyć możemy takie komórki nerwowe tak w mózgu, jak i w rdzeniu. Fig. 15 daje mianowicie przekrój mózgu, w którym widać komórki nerwowe, jako czarne trójkąciki, wypuszczające ze siebie włókna. Te właśnie komórki, zdaniem fizyologów, są podłożem i organami najwyższych funkcyi życiowych organizmu, bo funkcyi psychicznych. Zwyczajnie w histologii nie można pokazać wszystkich szczegółów budowy danej tkanki na tym samym preparacie, lecz trzeba używać do sporządzania preparatów coraz to innych metod, z których jedne pokażą twory, na innej drodze zupełnie prawie niedostrzegalne. Doskonały tego przykład dają właśnie fig. 15 i 16. Obie przedstawiają przekrój mózgu, tylko, że gdy na fig. 15 uwidocznione są przedewszystkiem komórki nerwowe, to na fig. 16 komórek tych całkiem nie widać, a zato bardzo pięknie występują nerwowe włókna, które, jak widzimy, rozchodzą się w wiązkach równoległych.

Daleko piękniej komórki nerwowe przedstawiają się na preparacie fig. 17. Jestto przekrój przez rdzeń (powiększenie ok. 300 razy), barwiony w sposób odpowiedni, by pokazać komórki nerwowe rdzeniowe. Widać je też tu wyjątkowo dobrze; są to twory podłużne, opatrzone licznymi wypustkami, wpośrodku zaś komórki odżyna się bardzo wyraźnie jądro komórkowe. Komórki te wypustkami swymi, zwanemi dendrytami, komunikują, czy może nawet, jak chcą niektórzy, substancyalnie się łączą, z innemi komórkami nerwowemi. Jedna z tych wypustek biegnie aż do kończyn organizmu, nadając w ten sposób komórce nerwowej może długość około metra. Inne natomiast bądź oplatają sąsiednie komórki rdzenia, bądź wznoszą się pionowo aż do wypustków komórek mózgowych. Ponieważ te komórki nerwowe rdzeniowe, na które w fig. 17 patrzymy,

są, jak sądzą przyrodnicy, komórkami nerwów ruchowych, więc budujemy sobie taki obraz funkcyi ruchowych świadomych w naszym organizmie: Rozkaz czyli pobudka do ruchu wyszedłszy z komórki nerwowej mózgowej, przez jej wypustki udziela się komórkom rdzeniowym, które znów przez swój dendryt podają go dalej, aż do kończyn, organizmu, tam, gdzie znajdują się mięśnie, oplecione kończynami włókien nerwowych, wychodzących z nerwowej komórki rdzenia. Tu przy kończynach odbywa się ta nieprzedartą tajemnicą otoczona przemiana czynności komórki nerwowej na stan czynny mięśnia, czyli na skurcz, ruch mięśnia.

Działając na rdzeń odpowiedniemi metodami, można zmacerować czyli wygnoić w nim wszystko inne, a pozostawić tylko komórki nerwowe, których kształt wtedy przedstawi się jeszcze wyraźniej. Bardzo dobry przykład wykonanego w ten sposób preparatu przedstawia fotografia fig. 18, gdzie taka komórka nerwowa[1] wyosobniona z rdzenia wraz ze swymi wypustkami przedstawia widok wcale interesujący. Oczywiście na preparacie i wodzie dojrzeć można śmiecie w kształcie odosobnionych pręcików lub kawałeczków, których naturalnie usunąć nie można, bo cała komórka okiem prawie zupełnie niedostrzegalna.

Fotografia fig. 17 przedstawia nam komórki nerwowe ruchowe, wiemy jednak, że prócz nich organizm posiada jeszcze komórki nerwowe czuciowe. Nie znajdują się one jednak, wedle panujących obecnie teoryi, w rdzeniu, lecz w tak zwanych ganglionach spinalnych, tworach węzłowatych, rozłożonych parzysto wzdłuż obu boków rdzenia pacierzowego. Gangliony te złożone są z komórek nerwowych czuciowych, wysyłających ze siebie po jednej wypustce, która rozszczepia się wkrótce na dwie gałęzie. Jedna z nich idzie do rdzenia, gdzie komunikuje z komórkami czuciowemi, druga jako włókno nerwowe dośrodkowe, biegnie aż do kończyn organizmu, by tam stać na jego straży i wszelkie ataki obce depeszować jako wrażenia czucia. Przekrój takiego ganglionu komórki nerwowej czuciowej widzimy na fig. 19. Dostrzedz tu można wielkie stosunkowo

[1] Preparat prof. Hoyera.

twory okrągłe, z jądrami wśrodku, są to komórki nerwowe czuciowe. Tu i owdzie widać w pewnych miejscach preparatu czarne paski — to włókna nerwowe, wychodzące z komórek.

Włókna te, czyto idące z rdzenia, czy z ganglionu, łączą się razem w sznury nerwowe, które otoczone tkanką łączną, przedstawiają dla oka rzeczywiście wygląd białawego sznuru. Przekrój poprzeczny takiego sznura nerwowego widzimy na fig. 21, gdzie maleńkie owe kółeczka stanowią przekrój pojedynczego włókna, wychodzącego z jednej komórki, a osłonionego otocznią. Gdy nerw rozskubie się zapomocą igiełek, wtedy otrzymać można obraz przedstawiony na fig. 20, gdzie widać pojedyncze włókna nerwowe podłużnie. Na włóknach takich dostrzedz można od czasu do czasu przewężenia (na fig. 20. widoczne jest na włóknie w środku). Są to tak zwane przewężenia Renviera i są one wytworem osłonki nerwowej.

Oddziaływanie świata zewnętrznego odbieramy zapomocą zakończeń nerwowych. Zakończenia te albo są poprostu rozgałęzieniami włókna nerwowego, który rozszczepia się na niezmiernie cienkie niteczki, kończące się swobodnie, alboteż są to osobne twory lub nawet tkanki, jak to widzimy w organach zmysłowych. Fig. 22 przedstawia mikrofotograficzne zdjęcie (pow. około 250 razy) przekroju poprzecznego jednego takiego ciałka końcowego nerwowego, zwanego ciałkiem Vater-Paciniego. Ciałko takie jest tworem podłużnym, o kolistym przekroju, długiem na dwa do pięciu milimetrów, grubem zaś na jeden do dwóch milimetrów. Składa się ono, jak widać na mikrofotografii, z warstw utworzonych z tkanki łącznej. Owe punkty ułożone w kołach współśrodkowych są to jądra komórek tkanki łącznej, przegradzanych błonkami, wyszłemi z otoczek włókna nerwowego.

Inny rodzaj zakończenia nerwów stanowią, jak wspomnieliśmy, organa zmysłowe. Każdy z takich organów ma budowę swoistą i inaczej zupełnie wygląda narząd słuchu, czyli organ Cortiego, a inaczej oko. Ale pominąwszy urządzenia boczne, istotną część każdego narządu zmysłowego tworzy tak zwana tkanka zmysłowa, złożona z komórek podstawowych i komórek

zmysłowych, w których kończą się włókna nerwowe, odbierające wrażenie swoiste zmysłowi. W tablicy naszej podajemy dwa przykłady tkanki zmysłowej. W fig. 23 widzimy w silnem powiększeniu (ok. 500 razy) przekrój powierzchni języka, mianowicie dwie brodawki. Pod powierzchnią jednej dostrzedz można kuliste twory, złożone z przylegających wzdłużnie do siebie komórek, zakończonych ku powierzchni wypustkami. Są to tak zwane kubki smakowe, organa, którymi dochodzą do nas wrażenia zmysłu smaku. Wreszcie fig. 24 przedstawia tkankę nerwową najznakomitszego zmysłu, bo zmysłu wzroku. Jestto mikrofotografia wyjątkowo dobrego preparatu[1] siatkówki oka. Widać na nim, licząc od góry, wszystkie dziesięć warstw siatkówki, poczem idzie smuga czarna, naczyniówka, a poza nią rogówka. Warstwa leżąca tuż nad czarnym szerokiem pasem, to jest naczyniówką, jest ową sławną warstwą czopków i pręcików, stanowiącą zakończenie nerwu wzrokowego, a więc jestto miejsce, gdzie odbieramy wrażenia optyczne. Grubość całego tego preparatu, a więc wszystkich dziesięciu warstw siatkówki i naczyniówki wraz z rogówką, wynosi około dziesiątą część milimetra.

Ks. F. Hortyński.

[1] Preparat prof. Maziarskiego.

Polityka bałkańska Austro-Węgier.

(Dokończenie.)

W czasie wojny krymskiej, w r. 1854 Francya i Anglia starały się skłonić Austryę do zbrojnego wystąpienia przeciw Rosyi. Podobno ofiarowały jej Rumunię w zamian za odstąpienie posiadłości włoskich, które Napoleon III chciał przyłączyć do Piemontu w zamiarze zjednoczenia Włoch. Austrya nie podjęła wojny z Rosyą. Rumunii nie wzięła. Piemont przyszedł w pomoc Francuzom i Anglikom, wysyłając 15 tysięcy żołnierzy do Krymu. W pięć lat później Napoleon III pod Magentą i Solferino zmusił Austryę do ustępstw na rzecz Włoch. Podczas wojny krymskiej Austrya wystawiła liczne zastępy wojska w Galicyi, skutkiem czego Rosyi trudno było wysłać znaczną część wielkiej armii, rozłożonej w Królestwie na półwysep Krymski, gdzie prawdopodobnie byłaby przeważyła szalę wypadków wojennych na jej korzyść. Nie mogła jednak ogałacać Królestwa z załóg wojskowych, ponieważ musiała się liczyć z możliwością powstania polskiego, a przedewszystkiem z wkroczeniem Austryi. Cesarz Franciszek Józef I. nie ograniczył się do tych zarządzeń. Jego wojska w porozumieniu z Turcyą zajęły dzisiejszą Rumunię po opróżnieniu jej przez rosyjskie korpusy, które musiały na półwyspie Krymskim stawiać czoło najazdowi francusko-angielskiemu. Austrya nie wykorzystała wojny krymskiej celem stałego opanowania ujścia Dunaju i zapewnienia sobie dobrych stosunków z Francyą. Zadowolniła

się tem, że Rosya musiała się wyrzec zdobyczy, której już niemal dokonała. Ujścia Dunaju przypadły w udziale nowoutworzonemu państwu rumuńskiemu. W r. 1854 Austrya popierała utworzenie Rumunii celem pozbawienia Rosyi dostępu do Dunaju. W r. 1912 występuje w obronie niezawisłej Albanii, chcąc wykluczyć opanowanie wybrzeży adryatyckich przez Serbię. Nie uległy zasadniczej zmianie ani ostateczne cele, ani środki działania.

Austrya od dawien dawna zajmowała się gorliwie losami Albanii północnej. Zwłaszcza w Skutari i w najbliższej okolicy umiała zapewnić sobie wybitne stanowisko. Ludność tamtejsza jest w znacznej mierze wyznania katolickiego. Austrya jeszcze w XVIII-ym wieku objęła protektorat nad katolikami albańskimi. Po dziś dzień duchowni Malissorów, Mirdytów i innych albańskich szczepów górskich kształcą się w seminaryach duchownych austryackich. Rząd austro-węgierski wypłaca proboszczom rocznie drobne zasiłki celem powiększenia ich szczupłego wyposażenia materyalnego. Przyczynia się także niewielkiemi kwotami do pokrycia kosztów szkolnictwa albańskiego. Utrzymuje stosunkowo liczne konsulaty, które spełniają zadania polityczne i gospodarcze. Utrwalają i pogłębiają łączność z Austryą przez starania o ożywienie stosunków handlowych między obu krajami. Dbają o ułatwienie przywozu do Albanii austryackich towarów, które w znacznej mierze są dowożone na austryackich okrętach. Statki Lloydu austryackiego są częstymi gośćmi w albańskich przystaniach. Austryackie pieniądze są rozpowszechnione. W ciągu zatargów młodo-tureckich z Albańczykami w latach 1909—1912 Austrya wobec rządu tureckiego broniła życzeń ludności albańskiej i zalecała ugodowe załatwienie zatargu. Najlepsze mapy Albanii wydał wojskowy instytut geograficzny we Wiedniu. Nie przewidywano, że posługiwać się nimi będą oficerowie serbscy, wkraczając na czele swych żołnierzy do Albanii — *sic vos non vobis mellificatis apes, sic vos non vobis fertis aratra boves.* Rząd austryacki sprzeciwił się skutecznie stałemu objęciu w posiadanie Albanii przez Serbię.

Sprzymierzone państwa bałkańskie rozpoczęły wojnę z Turcyą w połowie października 1912 roku. Pokój z nią podpisały

30 maja 1913 roku w Londynie. A jednak nie bez powodu nazwano tę wojnę — trzydziestodniową. Po upływie miesiąca Bułgarzy dotarli niemal do bram Konstantynopola. Wojska tureckie, pobite pod Lüle Burgas obsadziły szańce Czataldży, oddalone o 40 km. od Stambułu. Bułgarzy próbowali je zdobyć 17-go listopada. Zostali odparci, ale Turcy nie byli w stanie wyjść poza swe szańce. Nie mogli ruszyć na odsiecz oblężonego Adryanopola. W ciągu tych trzydziestu dni wojska ich wszędzie musiały szukać schronienia poza okopami twierdz. Grecy zajęli Salonikę niemal bez bitwy. Nieliczne wojska tureckie, z któremi mieli do czynienia nie stawiały wielkiego oporu. Ich postępy w Epirze były wolniejsze. Oblęgali Janinę. Na północy zaraz z początku wojny Serbowie wraz z Bułgarami odnieśli walne zwycięstwo pod Kumanową. Opanowali znaczną część sandżaku Novi-Bazar, Macedonii i Albanii. Wraz z Czarnogórcami oblęgali Skutari. Jeszcze gorzej przedstawiała się sprawa turecka na morzu. Flota grecka owładnęła niem bez bitwy. Turcy posiadali okręty małe, przeważnie powolne i dawniejszego typu. Wobec przeważających sił greckich okręty tureckie ograniczyły się do strzeżenia Dardanel. Grecy zadowolnili się przeszkodzeniem okrętom tureckim w wyjeździe z Dardanel, ale nie próbowali ścigać ich w cieśninie dardanelskiej, bronionej silnymi fortami. Flota turecka, zamknięta w Dardanelach, nie mogła przeszkadzać Grekom w obsadzaniu wysp egejskich. Turcy nie mogli przewozić swych wojsk azyatyckich morzem Egejskiem. Musieli posługiwać się dalszą drogą przez morze Marmara lub Bosfor.

Po bitwie pod Czataldżą strony wojujące rozpoczęły rokowania o zawieszenie broni, które doszło do skutku z początkiem grudnia, ale bez współudziału Grecyi. Grecy postanowili wziąść udział w układach pokojowych, wdrożonych podczas zawieszenia broni, ale wiedli dalej wojnę z Turcyą. Ich sprzymierzeńcy podjęli ją ponownie z końcem stycznia 1913 roku, ponieważ układy pokojowe na razie nie doprowadziły do porozumienia. Turcy próbowali bez powodzenia ruszyć na odsiecz Adryanopola. Sprzymierzeńcy zdobyli kolejno Janinę,

Skutari i Adryanopol. Także i Stambułu Turcy prawdopodobnie nie byliby w stanie obronić, gdyby Bułgarzy, lepiej przygotowani i uzbrojeni w więcej dział ciężkiego kalibru, uderzyli ponownie na Czataldżę. Bułgarzy wyrzekli się tryumfalnego wkroczenia do Stambułu, wiedzieli bowiem, że trudnoby im było pozostać w nim.

Już po upływie pierwszego miesiąca wojny było rzeczą widoczną, że Turcya europejska poza obrębem Konstantynopola i jego najbliższej okolicy przestała istnieć, chyba że doznałaby pomocy z zewnątrz. Na dni kilka przed rozpoczęciem walki Austrya chciała powstrzymać sprzymierzeńców od wypowiedzenia wojny groźbą niedopuszczenia do zmiany terytoryalnego *status quo*. Jej mężowie stanu prawdopodobnie zajęliby inne stanowisko, gdyby przewidywali równie stanowczy i szybki pogrom Turcyi. Z chwilą, gdy Turcya okazała się mało odporną, Austrya uznała fakt dokonany. Nie stanęła w obronie dalszego istnienia Turcyi europejskiej. Zadowolniła się pokojowem wywalczeniem albańskiej samoistności.

Przebieg wojny albańskiej był dla Austryi niekorzystnym głównie z powodu wzmożenia się Serbii i jej zetknięcia się z Czarnogórą. Najsilniejszym i najpewniej wiodącym do celu środkiem przeciwdziałania wypadkom było wkroczenie do sandżaku Novi-Bazar i wywołanie tym sposobem wojny ze Serbią. Podobno układ serbsko-bułgarski, zawarty w pierwszych miesiącach 1912 roku gwoli wspólnej wojny z Turcyą przewidywał wkroczenie Austryi do sandżaku. Bułgarya zobowiązała się na ten wypadek dostarczyć Serbom pomocy orężnej przeciw Austryi. Tekst układu, ogłoszony przez dzienniki francuskie, zawiera postanowienie tej treści, niewiadomo jednak, czy jest autentyczny. Serbskie pisma potwierdzają wiadomość francuskich, bułgarskie przeczą, ale niewyraźnie. Austrya nie wkroczyła do sandżaku. Jeżeli więc chciała uniknąć wojny ze Serbią, czy nie powinna była z nią szukać porozumienia? Gdyby można było zawrzeć trwałą unię ze Serbią, kto wie, czy wówczas nie opłaciłoby się popierać Serbii w jej usiłowaniach poczynienia jaknajwiększych zdobyczy terytoryalnych? To rozwiązanie pro-

blemu nie zależało wyłącznie od Austryi. Nie doszło doń. Austrya nie doprowadziła ani do wojny ze Serbią, ani do naprawy stosunków z nią. Raczej pogorszyły się. Przybył bowiem nowy powód do żalów ze strony Serbii z powodu pozbawienia jej przez Austryę dostępu do Adryatyku na korzyść Albanii. Byłoby zapewne lepiej, gdyby Austrya wybrała jednę z tych dwóch wprost przeciwnych ewentualności. Poszła drogą pośrednią zwalczania Serbii bez wojny, w obronie której można i należy stwierdzić, że byłoby jeszcze gorzej, gdyby była zajęła zupełnie bierne stanowisko wobec wyników wojny bałkańskiej. Albania w ręku Serbii byłaby nadmiernem rozszerzeniem granic i siły wojskowej królestwa serbskiego. Serbia wybierałaby w Albanii rekruta, którego kto wie, czy nie zechciałaby użyć w odpowiedniej chwili przeciw Austryi? Albania niezawisła nie prędko będzie w stanie powołać pod broń armię, odpowiadającą nowożytnym wymaganiom, ale w każdym razie prawdopodobnie będzie niewygodnym sąsiadem w razie, gdyby Serbia i Czarnogóra chciały się zwrócić przeciw Austryi. Albania przedstawiałaby dla Austryi oczywiście daleko większą wartość w razie zajęcia przez nią sandżaku, wówczas bowiem jej granice i albańskie stykałyby się ze sobą. Obecnie tej łączności brak. Także i bez niej niezawisłość Albanii jest zjawiskiem dla Austryi korzystnem, głównie z powodu pozbawienia Serbii tym sposobem możności utworzenia przystani wojennej na wybrzeżach Adryatyku. Port serbski mógłby się stać łatwo oparciem dla floty innego państwa wobec Austryi nieprzyjaźnie usposobionego. W razie gdyby przeciwległe wybrzeża adryatyckie były w ręku jedne Włoch, drugie Serbii, flota austryacka mogłaby być łatwo wzięta we dwa ognie. Włączenie San Giovanii di Medua, Durazzo i Valony do niezawisłej Albanii, zabezpiecza lepiej, niż inne kombinacye, Austryę wobec niebezpieczeństw, które jej z tej strony grożą.

Po wybuchu wojny bałkańskiej, ówczesny francuski minister spraw zewnętrznych, p. Poincaré występuje z wnioskiem współdziałania sześciu wielkich mocarstw na zasadzie *d' un dés nteressement absolue*. Austrya odmawia. Wyrzeka się z góry

wszelkich zdobyczy terytoryalnych. Zgadza się na rozbiór Turcyi europejskiej, aczkolwiek groziła, że wynik wojny nie zmieni terytoryalnego *status quo* na Bałkanie, ale nie zrzeka się wpływu na podział łupów. P. Poincaré zmienia swój wniosek. Domaga się on ponownie porozumienia i współdziałania sześciu wielkich mocarstw, ale już tylko na zasadzie *d' un désinteressement territorial*. Austrya nie pragnie zdobyczy terytoryalnych, ale współdziałać może z innemi wielkiemi mocarstwami tylko wtedy, jeżeli zgodzą się na utworzenie niezawisłej Albanii. Terytoryalny *status quo ante* zginął na polu bitwy śmiercią niezbyt zaszczytną. Zastąpiła go Austrya hasłem: „Bałkan dla ludów bałkańskich", a więc Albania dla Albańczyków. Austrya nie może się zgodzić na jej stałe opanowanie przez Serbów i Czarnogórców. Żądania Austryi popierają Włochy. Rosya i Francya uzależniają swą zgodę od przyznania Serbii dostępu handlowego do jednego z portów albańskich, do San Giovanni di Medua lub do Durazzo. Austrya przyjęła ten warunek.

Na tej podstawie doszło do skutku porozumienie sześciu wielkich mocarstw. Każde z nich zobowiązało się nie przedsiębrać żadnej samoistnej działalności.

Sześć wielkich mocarstw postanowiło utworzyć Albanię. Serbia i Czarnogóra ustąpiły wobec żądań koncertu europejskiego a nie Austro-Węgier. Austro-Węgry dały sobie związać ręce rzekomo gwoli zapobieżenia wojnie między wielkiemi mocarstwami, w rzeczywistości przedewszystkiem na korzyść trójporozumienia. Gdyby były zachowały swobodę działania, byłyby prawdopodobnie skuteczniej występywały w obronie swoich żywotnych interesów. Prawdopodobnie także i w tym wypadku byłyby uniknęły wojny z Rosyą. Gdyby Rosya istotnie chciała wojny, mogła ją była wywołać mimo początkowo osiągniętego porozumienia.

Austrya zrzekła się wyrażania swoich życzeń w sprawie albańskiej i w innych sprawach, złączonych z toczącą się wojną, wprost wobec państw wojujących. Przedkładała swoje wnioski zastępcom sześciu mocarstw, a dopiero gdy wnioski stały się ich jednomyślną uchwałą, przedstawiano je stronom wojującym.

Z początkiem grudnia 1912 roku rozpoczęła w Londynie obrady „Konferencya ambasadorów", w której wzięli udział posłowie Francyi, Rosyi, Niemiec, Włoch i Austryi, pod przewodnictwem Sir Edward Greya. Pierwsza jej uchwała była stwierdzeniem poprzednio dokonanego porozumienia. Konferencya ambasadorów postanowiła, że Albania ma być niezawisłą i zastrzegła Serbii dostęp handlowy do morza Adryatyckiego. W traktacie pokojowym z 30-go maja 1913 roku, zawartym w Londynie między związkiem państw bałkańskich, a Turcyą, strony wojujące przyjęły bez zastrzeżeń uchwałę konferencyi ambasadorów. Orzekły zgodnie, że rozstrzygnięcie o losach Albani pozostawiają carowi, prezydentowi rzeczypospolitej francuskiej, cesarzowi Austryi, cesarzowi Niemiec, królowi Włoch i królowi angielskiemu.

Po wojnie rosyjsko-tureckiej w latach 1877 i 1878 doszedł do skutku pokój w San Stefano, zawarty między stronami wojującemi, poczem zebrał się w Berlinie kongres przedstawicieli sześciu wielkich mocarstw celem dokonania rewizyi układu pokojowego, podpisanego w San Stefano, ostatecznego uporządkowania i rozstrzygnięcia wszelkich spraw, złączonych z ówczesną wojną. Współczesny tok rokowań jest odmienny także i pod względem formalnym. W grudniu rozpoczęły się w Londynie rokowania pokojowe między Turcyą i sprzymierzeńcami bałkańskimi, oraz wielkich mocarstw, które obesłały konferencyę ambasadorów. Oba zgromadzenia obradowały odrębnie po części nad temi samemi sprawami, ale nie nad ogółem problemów, które wyłoniły się w ciągu wojny. Pierwszy spór rumuńsko-bułgarski, zakończony odstąpieniem Silistryi przez Bułgaryę na rzecz Rumunii, został rozstrzygnięty orzeczeniem konferencyi ambasadorów w Petersburgu, w której wzięli udział przedstawiciele pięciu wielkich mocarstw w Petersburgu pod przewodnictwem Sazonowa. Pokój londyński z 30-go maja 1913 roku obejmuje tylko kilka zasadniczych punktów, wymagających niezbędnie uzupełnienia w szczegółach. Ogół kwestyi finansowych, złączonych z wojną ma być przedmiotem obrad i uchwał konferencyi finansowej w Paryżu, (Francya jest głównym

wierzycielem państw bałkańskich), w której biorą udział wysłańcy sześciu wielkich mocarstw, oraz pięciu państw wojujących. Każdemu z tych państw przyznano jeden głos i postanowiono, że prawomocność uchwał także i w tym wypadku zależy od ich jednomyślności. Siedzibą obrad jest znowu stolica jednego z państw, należących do trójporozumienia. Nie toczą się narady w stolicach państw trójprzymierza. Pokój londyński wymaga uzupełnienia nietylko w kierunku finansowym. Inne sprawy jeszcze nie rozstrzygnięte mają być przedmiotem dalszych rokowań Turcyi z każdym sprzymierzeńcem bałkańskim zosobna, podczas gdy pokój londyński doszedł do skutku między Turcyą, a związkiem państw bałkańskich. Turcya odstąpiła swe posiadłości związkowi państw bałkańskich. O podział zdobyczy toczą się rokowania między sprzymierzeńcami.

Powołano do życia szereg organów, obradujących odrębnie, pozbawionych łącznika, co oczywiście utrudnia rozstrzygnięcie licznych spraw, przebiegiem wojny postawionych na porządku dziennym. Byłaby je ułatwiła przemiana londyńskiej konferencyi ambasadorów na kongres europejski, któryby zajął się rozważeniem i ostatecznem rozstrzygnięciem wszystkich spraw spornych, któryby zastąpił postanowienia berlińskie z roku 1878 nowemi, uwzględniającemi zmianę stosunków. Na tej drodze łatwiejby było uzyskać rozwiązanie trudności, wykluczające dalsze zawikłania wojenne. Atoli aneksya i wojna bałkańska nagromadziły zbyt wiele wzajemnej nieufności między Austryą i Rosyą. Nie można było doprowadzić do skutku zwołania kongresu. Trzeba było zadowolnić się szeregiem odrębnych rokowań, które z powodu ich rozbicia, oraz stanowczej sprzeczności interesów, właściwie dotąd nie doprowadziły ani do rozstrzygnięcia kwestyi albańskiej, ani żadnej innej mimo tego, że już toczą się od dłuższego czasu.

Uchwała londyńskiej konferencyi ambasadorów o utworzeniu samoistnej Albanii w chwili, gdy piszę te słowa (czerwiec 1913 r.) nie weszła całkowicie w życie mimo formalnego poddania się jej ze strony państw bałkańskich. Wojska serbskie i czarnogórskie podobno jeszcze nie całkiem opróżniły miejsco-

wości, które mają stanowić część niezawisłej Albanii. Gdy wybuchła wojna włosko-turecka o Tripolis, Austrya uzyskała od Włoch przyrzeczenie zaniechania kroków wojennych w Albanii, którego Włochy dotrzymały. Niestety Austrya nie zdołała zmusić Serbii i Czarnogóry do uszanowania tej zasady w czasie wojny bałkańskiej. Serbowie obsadzili Durazzo, a Czarnogórcy zajęli Skutari mimo sprzeciwu rządu austryackiego w nadziei, że przecie może potrafią utrzymać się w zajętych miastach. Ostatecznie Serbia i Czarnogóra przyrzekły wycofać wojska z Albanii, ale nie spieszą się z wykonaniem przyrzeczenia. Opanowanie Albanii północnej przez Serbów i Czarnogórców doprowadziło do starć, w ciągu których Albańczycy ponieśli straty w ludziach i do gospodarczego wyniszczenia kraju. Ucierpiały powaga i znaczenie Austryi w Albanii i poza nią. Z początkiem grudnia 1912 roku mocarstwa zgodziły się na niezawisłość Albanii, ale Austrya nie uzyskała wówczas ani zapewnienia, że Serbowie i Czarnogórcy zaniechają działań wojennych w Albanii, ani oznaczenia granic przyszłej, niezawisłej Albanii. Mimo uchwały konferencyi ambasadorów Serbowie i Czarnogórcy posuwali się coraz dalej w głąb Albanii, a Austrya prowadziła przewlekłe rokowania o oznaczenie granic północnej Albanii.

Mocarstwa trójporozumienia domagały się przyznania Serbii i Czarnogórze miast Skutari, Prizrend, Dibra, Ipek i Diakowa. Austrya obstawała najbardziej przy wcielenu do Albanii Diakowy i Skutari. Ostatecznie zadowolniła się uzyskaniem dla Albanii Skutari i zgodziła się na przyznanie Serbii, względnie Czarnogórze innych miast, nie wyłączając Diakowy. Byłaby może więcej wytargowała na rzecz Albanii, gdyby ją Niemcy silniej popierały. Z powodu braku zgody między mocarstwami co do granic Albanii, oraz z powodu ponownego wybuchu wojny z Turcyą konferencya ambasadorów przerwała swe obrady w grudniu. Podjęła je na nowo dopiero w trzy miesiące później, gdy doszło do zgody między Austryą a Rosyą na podstawie wyłączenia z Albanii miast Prizrend, Dibra, Ipek i Diakowa, a przyznania jej Skutari. Po zawarciu tej umowy Austrya i Rosya cofnęły część przygotowań wojennych, zarządzonych

w jesieni w krajach pogranicznych, w Galicyi i w Królestwie Polskiem. Austrya wówczas nie cofnęła zarządzeń wojskowych na granicy serbskiej i czarnogórskiej, przez co chciała zaznaczyć, że ma zamiar działać orężnie na wypadek, gdyby Serbia i Czarnogóra dobrowolnie nie wycofały się z Albanii.

Znacznemi ustępstwami, które Austrya uczyniła, nie okupiła ostatecznego oznaczenia granic przyszłej Albanii. Zająć się niem ma na miejscu międzynarodowa komisya, wobec której Serbowie chcą wystąpić przeciwko pociągnięciu granicy zbyt blisko miast Prizrend, Dibry, Ipek i Diakowy, przyznanych Serbom i Czarnogórcom, aczkolwiek ich ludność jest dziś przeważnie albańską. Serbia pragnie odsunięcia granicy, a więc znowu uszczuplenia Albanii na swą korzyść. Jeszcze większe trudności są do zwalczenia, o ile chodzi o oznaczenie granic między Grecyą a Albanią południową, ponieważ co do nich nawet w zasadzie jeszcze nie nastąpiło porozumienie. Tutaj zachodzi sprzeczność interesów między Włochami z jednej strony, popieranymi przez Niemcy i Austryę, a z drugiej strony Grecyą. W jej obronie występuje trójporozumienie, a zwłaszcza Francya. Włochy życzyłyby sobie utworzenia wielkiej Albanii, a przynajmniej możliwie największej, a więc obstają przy rozszerzeniu jej granic, podczas gdy Grecya w zamiarze sięgnięcia jak najdalej ku północy, chciałaby je ścieśnić na swą korzyść. Nie żąda Valony, która ma przypaść Albanii, ale chciałaby być jej możliwie najbliższą. Chce opanować wybrzeże przeciwległe wyspie Korfu, która już jest w ręku greckim, czemu sprzeciwiają się Włochy ze względów strategicznych. Wedle ostatnich wiadomości Grecya okazuje gotowość zastosowania się w pewnej mierze do życzeń włoskich, ale pod warunkiem otrzymania niemal wszystkich wysp egejskich. W londyńskim traktacie pokojowym Turcya zrzekła się wszelkich praw do Krety na rzecz Grecyi, a los reszty wysp egejskich złożyła w ręce Europy. Część ich chwilowo jest w rękach włoskich. Grecya pragnie przekazania jej także i tych wysp. W zamian za życzliwość Włoch wobec tego życzenia gotowa jest do ustępstw w sprawie albańskiej.

Albania nie posiada ani ustalonych granic, ani rządu, uzna-

nego w całym kraju, który już teraz bezspornie do Albanii należy. W Valonie istnieje tymczasowy rząd pod przewodnictwem Ismael Kemal beja, popierany, a nawet niemal urzędownie uznany przez Włochy i Austryę. W mieście Tirana, w mało dostępnych górach, dość oddalonych od wybrzeży rządzi *de facto* nie wiadomo na czyj, na swój, czy na cudzy rachunek — Essad pasza, ongi naczelny dowódca w Skutari oblężonem przez Serbów i Czarnogórców po zamordowaniu Hassana Rizy (w styczniu 1913 r.). Podobno obecnie nastąpiło porozumienie między Essadem, a rządem tymczasowym w Valonie. Z końcem kwietnia Essad poddał miasto Czarnogórcom, prawdopodobnie przyciśnięty głodem. Jego żołnierze opuścili je z bronią w ręku, nawet zabrali ze sobą artyleryę polową. Czarnogórcy niedługo cieszyli się posiadaniem Skutari. Ustąpili wobec życzenia wielkich mocarstw. Dziś w Skutari znajduje się 1000 marynarzy, wysadzonych na ląd z okrętów pięciu wielkich mocarstw (Rosya nie posłała żadnego ze swych statków wojennych na wody czarnogórskie) pod dowództwem wiceadmirała angielskiego, jako najstarszego rangą z pośród oficerów. Trójporozumienie chciałoby ten stan rzeczy przedłużyć i rozszerzyć. Zdaniem francuskich dyplomatów byłoby najbardziej wskazanem powierzyć rządy Albanii międzynarodowej komisyi, złożonej z przedstawicieli sześciu wielkich mocarstw. Dopiero po ustaleniu granic, po uspokojeniu się ludności, po lepszem zbadaniu kraju należałoby pomyśleć o powołaniu władcy na podstawie porozumienia się wielkich mocarstw. Rosya podobno początkowo żądała, ażeby formalnie utrzymać zwierzchnictwo sułtana, któryby mianował walego (gubernatora) dla Albanii, nieodwołalnego przez dłuższy czas, obdarzonego znaczną władzą, zależnego raczej od mocarstw, niż od sułtana. Dziś podobno Rosya godzi się na mianowanie zupełnie niezawisłego, dziedzicznego księcia Albanii, ale chce tę chwilę odwlec.

Trójporozumienie obawia się, że ów „niezawisły“ książę Albanii stanie się narzędziem w ręku Austryi i Włoch. Pragnie oddania rządów Albanii w ręce międzynarodowej komisyi, ażeby przeciwdziałać rozwojowi wypadków w tym kierunku.

Jego interesom odpowiada Albania neutralna w polityce europejskiej, któraby nie była wzmożeniem sił trójprzymierza. Austrya i Włochy chcą jaknajrychlejszego ustalenia zasad organizacyjnych przyszłego państwa albańskiego i powołania księcia na jego tron. Kto wie, czy Austrya powinna nadal zwalczać oddanie Albanii — przynajmniej na razie — w ręce międzynarodowej komisyi?

Kilka lat temu redaktor polityczny dwutygodnika *Oesterreichische Rundschau*, bar. Leopold Chlumecky, wydał książkę o stosunku Włoch do Austro-Węgier, w której przedewszystkiem zajął się problemem albańskim.[1] Zwracał uwagę na jego pierwszorzędną doniosłość dla Austryi, na konieczność zapewnienia Austryi przeważającego wpływu w całej Albanii, na niebezpieczeństwa propagandy włcskiej, sięgającej nawet do Skutari, do właściwego ogniska zabiegów austro-węgierskich. Dowodził konieczności skłonienia Włoch do wycofania się ze współudziału w rozwiązywaniu sprawy bałkańskiej wzamian za udzielenie im przez Austryę i Niemcy stanowczego poparcia w opanowaniu Tripolisu. Włochy pod koniec 1911 roku opanowały Tripolis bez pomocy Austryi. Wkrótce po rozpoczęciu wojny włosko-tureckiej ustąpił szef austryackiego sztabu jeneralnego, bar. Conrad von Hötzendorf. Pod jego kierunkiem Austrya czyniła wielkie przygotowania wojskowe w Tyrolu na granicy włoskiej. Podczas aneksyi Włochy zachowywały się nader nieprzyjaźnie wobec Austryi. Było rzeczą aż nadto widoczną, że wszelkie próby czynniejszego wystąpienia Austryi na Bałkanach są wielce utrudnione z powodu stanowiska Włoch. Wojna trypolitańska nastręczała sposobność zabezpieczenia sobie na przyszłość wolnej ręki w sprawach bałkańskich ze strony Włoch, zawikłanych w wojnę z Turcyą. Wzmocnienie ich stanowiska na morzu Śródziemnem nie podobało się ani Francyi, ani Anglii. Można więc było żądać wzamian za neutralność w wojnie z Turcyą uznania całej Albanii za sferę interesów austryackich, ale oczywiście trzeba było być gotowym do poparcia tego żądania z bronią w ręku. Toteż szef sztabu jeneralnego czynił przygotowania wojskowe w Tyrolu.

[1] „Österreich- Ungarn u. Italien" Leipzig 1907.

Austrya zadowolniła się odnowieniem dawnych układów włosko-austryackich o Albanię, wedle których oba państwa wyrzekały się zamiaru jej opanowania w tej, czy w innej formie, a szef sztabu jeneralnego austryackiego ustąpił.[1] Nie wiem, czy nie można było przed wybuchem wojny bałkańskiej naprawić ówczesnego zaniedbania? Nie wiem, czy nie było rzeczą możliwą w chwili, gdy wybuchła wojna bałkańska, przyrzec Włochom pomoc Austryi w stałem usadowieniu się na Rodos i innych wyspach egejskich, tymczasowo zajętych, a z których opuszczeniem Włochy się nie spieszą, wzamian za przyznanie Austryi rozstrzygającego wpływu w całej Albanii? Stało się inaczej. Austrya z góry zrzekła się dążenia do wyłącznej przewagi w Albanii.

W chwili wybuchu wojny stanowisko polityczne Austryi było, jak wiemy, trudne głównie z powodu małego poparcia ze strony Niemiec. Austrya postanowiła znacznemi ofiarami okupić sobie pomoc Włoch. Już samo niewkroczenie do sandżaku było Włochom na rękę, obawiającym się, czy Austrya nie zechce rozszerzyć swych granic przy sposobności wojny bałkańskiej? Same zajęły codopiero Tripolis, ale niechętnem okiem patrzałyby na wzmożenie się terytoryalne na Bałkanach Austryi, której chcą w razie sprzyjających okoliczności odebrać Trentino. Jednym z powodów niewkroczenia do sandżaku była prawdopodobnie obawa, że w takim razie Włochy zechcą zająć całą lub część Albanii. Austrya nietylko nie wkroczyła do sandżaku, ale zrzekła się także załatwienia sprawy albańskiej na wyłączną swą korzyść. Postanowiła bronić niezawisłości albańskiej w porozumieniu z Włochami. Wyobrażano sobie w Wiedniu i w Rzymie, że w Albanii po jej utworzeniu Włochy i Austrya będą wykonywać faktycznie rodzaj cichego protektoratu, przyczem wpływ Austryi będzie czynnym głównie w Albanii północnej, Włoch w południowej. Włochy bardzo chętnie zgodziłyby się

[1] Po rozpoczęciu wojny bałkańskiej bar. von Hötzendorff objął ponownie obowiązki szefa sztabu jeneralnego. Dzienniki wiedeńskie donosiły: austryackie ministerstwo spraw zagranicznych poufnie zapewniło rząd włoski, że mianowanie bar. von Hötzendorffa nie oznacza nieprzyjaznego zwrotu w stosunku do Włoch.

na przekształcenie owego podziału wpływów w rozbiór Albanii między Austryę i Włochy. Ale z austryackiego punktu widzenia Albania jest politycznie niepodzielną. Austrya nie może zabrać Albanii północnej wraz ze Skutari i Durazzo, a pozwolić Włochom na opanowanie Valony. Valona jest najlepszą, naturalną przystanią albańską. W tem miejscu (t. zw. kanał Otranto — nazwa ufortyfikowanej miejscowości włoskiej najbardziej ku Albanii wysuniętej), morze Adryatyckie jest najwęższe, (70 km.), wybrzeża włoskie najbliższe albańskich. Valona w ręku włoskim jest zamknięciem floty austryackiej na morzu Adryatyckiem, a więc nie może być żadną miarą wynagrodzeniem Włoch za opanowanie przez Austryę Durazzo i Skutari. Niema mowy o podziale Albanii. *Condominium* austryacko-włoskie w formie cichego protektoratu może łatwo doprowadzić do starć. Prawdziwa niezawisłość Albanii jest na razie trudną do przeprowadzenia z powodu niedojrzałości politycznej jej mieszkańców. Gdy więc Austrya sama nie może odegrać przeważającej roli w Albanii, kto wie, czy powierzenie rządów międzynarodowej komisyi nie przedstawiałoby możności uniknięcia niebezpieczeństw, związanych z rywalizacyą austryacko-włoską o rozstrzygające wpływy w tym kraju.

Utworzenia Albanii domagała się Austrya w myśli choćby częściowego zrównoważenia tym sposobem ujemnych dla niej następstw wojny bałkańskiej. Czy i o ile te nadzieje się ziszczą, zależeć będzie od dalszej zapobiegliwości Austryi. Na razie zapewniła sobie możność osiągnięcia tym sposobem pewnych korzyści. Musi dbać o to, ażeby inni nie wyzyskali utworzenia Albanii dla swoich celów. Na tym terenie Austrya musi się liczyć nietylko z interesami włoskimi. Serbia i Czarnogóra, popierane przez Rosyę i Francyę, będą zwalczać wpływy austryackie. Słowem sprawa albańska dziś zawiera w sobie więcej niż dawniej zarodków trudności, brzemiennych niebezpieczeństwami wojny.

Nowoutworzona niezawisła Albania nie obejmie wszystkich zamieszkałych w Turcyi katolickich Albańczyków, nad którymi Austrya sprawuje protektorat. Część ich przejdzie pod pano-

wanie serbskie. Zdaniem Austryi jej protektorat nie wygasł z powodu wojny. Chce go nadal wykonywać także i nad Albańczykami, obecnie przynależnymi do Serbii. Serbowie odmawiają jej wszelkich specyalnych praw z tego tytułu. Niewiadomo, jak ta sprawa będzie ostatecznie rozstrzygniętą? Prawdopodobnie Austrya nie będzie obstawać przy swoich żądaniach. Mało odporna Turcya, nie posiadająca należycie zorganizowanej administracyi wewnętrznej, pozwalała sobie narzucać tego rodzaju ograniczenia swej niezawisłości. Serbowie nie chcą wstępywać w ślady tureckie.

Austrya, domagając się skutecznie utworzenia niezawisłej Albanii, chciała przeszkodzić rozszerzeniu granic państwa serbskiego ku wybrzeżom adryatyckim. Serbom chodziło o dotarcie do Adryatyku, gwoli zdobycia korzyści gospodarczych. Skarżą się, że obecnie są od Austryi ekonomicznie zbyt zawiśli. Trzy czwarte towarów, które sprzedają zagranicy muszą wywozić do Austro-Węgier, wobec czego Austrya może wywierać wielki nacisk nietylko gospodarczy, ale i ekonomiczny, grożąc podniesieniem lub obostrzeniem przepisów weterynaryjnych, szczególnie niebezpiecznem dla wywozu serbskiego, którego najważniejszą część stanowią świnie. Serbowie chcieli opanować Durazzo lub San Giovanni di Medua w myśli kolejowego połączenia tych portów ze Serbią. Wówczas byliby od Austryi gospodarczo mniej zależni, mogliby bowiem próbować rozwinąć wywóz swoich płodów do innych państw, korzystając z nowej kolei i z taniej komunikacyi wodnej na morzu Adryatyckiem i Śródziemnem. Serbowie nie dotarli politycznie do Adryatyku, ale dotarli doń gospodarczo. Austrya zgodziła się na zadosyćuczynienie ich życzeniom. Przyrzeczono im budowę kolei, łączącej Serbię z Durazzo lub z San Giovanni di Medua, oraz możność swobodnego korzystania z niej na dogodnych warunkach.

Austrya dobrze zrobiła, godząc się na życzenia Serbii. Zachodzi jednak pytanie, czy dając Serbii dostęp handlowy do morza Adryatyckiego, czy nie powinna była żądać dla siebie dostępu handlowego do morza Egejskiego, do Saloniki? Zrzekła się owładnięcia ujściami Wardaru. Nie zapomniała w zupełności

o ułatwieniu zbytu swoich towarów na drodze kolejowej Nisz—Skoplje (Ueskub — obecnie główna kwatera armii serbskiej, gotującej się do wojny z Bułgaryą) — Sałonika, która biegnie brzegami Wardaru z północy ku południowemu-wschodowi i której odnogę stanowi linia Skoplje-Mitrowica. Właścicielem jej jest towarzystwo akcyjne. Przed wybuchem wojny bałkańskiej akcye znajdowały się przeważnie w rękach poddanych szwajcarskich i niemieckich. Z początkiem 1913 r. zgodnie z życzeniem rządu austryackiego banki austryackie nabyły większość akcyi. Tym sposobem prawno-prywatna własność kolei przeszła w ręce poddanych austro-węgierskich. Podobno istnieje zamiar uzupełnienia tej sieci kolejowej jej przedłużeniem z Mitrowicy do Uvac, stacyi kolei bośniacko-hercegowińskich, na budowę którego Turcya zgodziła się w r. 1908. Austrya, czyniąc zadosyć życzeniom serbskim w sprawie połączenia kolejowego z Adryatykiem, powinna była wymówić sobie conajmniej nie przeszkadzanie przez Serbów budowie kolei Mitrowica—Uvac. Jej jaknajrychlejsze przeprowadzenie ma pierwszorzędne znaczenie dla Austryi. Należało zapewnić sobie wogóle przez układ ze Serbią możność odpowiedniego handlowego wyzyskania całej tej sieci kolejowej.

Spodziewano się, że z powodu wojny nastąpi porozumienie gospodarcze ze Serbią w sprawach kolejowych, celnych i innych. Przed wybuchem wojny hr. Berchtold w delegacyach z wielkim naciskiem zaznaczył, że Austrya będzie bronić stanowczo wszelkimi środkami swych żywotnych interesów. Ale na czem polegają żywotne interesa austryackie, tego niestety urzędownie wyraźnie nie powiedziano. Półurzędownie wysunięto naprzód sprawę albańską, a obok niej stosunek gospodarczy i polityczny do Serbii. Austryi nieprzyjaźń serbska dała się wielce we znaki — także i finansowo — podczas aneksyi, ostatnio w czasie wojny bałkańskiej. Austrya przecie nie może być narażoną, co lat kilka, na częściową mobilizacyę i na wszelkie jej ujemne następstwa polityczne oraz gospodarcze z powodu zatargów ze Serbią. Wojna bałkańska nie dała powodu do wojny austryacko-serbskiej dzięki wstrzemięźliwości Austryi, która nie stawiała

przeszkód usadowieniu się Serbów w sandżaku. Nadszedł więc czas nawiązania stałych przyjaznych stosunków politycznych ze Serbią na tle porozumienia gospodarczego w sprawach kolejowych, celnych i innych. Istotnie wyniki wojny bałkańskiej wysunęły naprzód sprawę rewizyi stosunków celnych Austryi ze Serbią. Po wojnie nastąpiły zmiany na niekorzyść Austryi. Jak wiemy, Turcya pobierała cła niskie i nie miała prawa podwyższania ich bez zgody Austryi. Serbowie w zdobytych obszarach tureckich zaprowadzili wysokie cła serbskie. Austrya powinna była żądać rekompensat celnych za tę stratę. Ani układy kolejowe, ani celne dotąd nie doszły do skutku. Niema ani porozumienia gospodarczego, ani politycznego ze Serbią. Serbowie nie poczuwają się do żadnej wdzięczności za nieprzeszkadzanie przez Austryę ich usadowieniu się w sandżaku, natomiast odczuwają żal z powodu utworzenia Albanii. Stosunki polityczne z Serbią nie poprawiły się całkiem. Usiłowania austryackie nie zostały uwieńczone powodzeniem. Austrya, jak dotąd, musi się liczyć z wrogiem usposobieniem Serbii.

Po wybuchu wojny Austrya wzmocniła swe załogi wojenne na granicy serbskiej i rosyjskiej. Po dziś dzień zarządzeń tych nie cofnęła w zupełności. Nie miałem wrażenia, że opinia publiczna w Austryi należycie zrozumiała i odczuła konieczność obrony przez państwo żywotnych interesów austro-węgierskich, zagrożonych przebiegiem wojny i konieczność stanowczego poparcia państwa przez całe społeczeństwo. Nie można mówić o zupełnym zawodzie w tym kierunku, ale silniejsze i zgodniejsze poparcie usiłowań dyplomacyi austro-węgierskiej ze strony opinii publicznej w jej dążeniu utworzenia samoistnej Albanii byłoby wielce pożądane. Przeważnie uznawano za dobre cele dyplomacyi austro-węgierskiej, natomiast często krytykowano środki, którymi się posługiwała, a zwłaszcza wzmocnienie załóg wojskowych na granicy galicyjskiej i rosyjskiej. Przygotowania wojenne stały się wielkim ciężarem dla skarbu państwowego, już przedtem niestety znajdującego się w warunkach niekorzystnych. Gorsze w skutkach było oddziaływanie przygotowań wojennych na stan gospodarstw prywatnych. Pod wpływem

obawy wojny ludzie wycofywali wkładki z kas oszczędności, depozyta z banków gwoli przechowywania gotówki w domu, wychodzili bowiem z założenia, że po wybuchu wojny kasy oszczędności i banki nie będą mogły zadosyćuczynić swym zobowiązaniom. Banki, ogołocone z gotówki, ograniczyły udzielanie pożyczek. Zaniechano zakładania nowych i rozszerzania stniejących przedsiębiorstw. Niektóre słabsze z nich upadły. Słowem nastał zastój gospodarczy, wywołany w znacznej mierze obawą wojny, któraby była nie ogarnęła społeczeństwa, gdyby rząd nie robił jawnie przygotowań wojennych. Skromne żądania dyplomacyi austryackiej można było przeprowadzić bez gróźb wojennych.

Były niepotrzebne, bo inne państwa nie bardzo wierzyły w przejście od pogróżek do ich urzeczywistnienia. Europejska opinia publiczna sądziła nie bez powodu, że Austrya, wybitnie pokojowo usposobiona, tylko w ostateczności chwyci za broń. W ciągu XIX-go wieku Austrya z powodu spraw bałkańskich kilkakrotnie czyniła przygotowania wojenne, a przecie — i to w warunkach znacznie korzystniejszych, (rok 1854) — wojny nie podjęła. Wierzono, że i teraz do niej nie dopuści. Pogróżki wojenne, nie poparte silną wolą urzeczywistnienia ich, oczywiście nie są w stanie przestraszyć wroga. Co gorsza — ośmielają go do stawiania oporu, ponieważ wywołują w nim wrażenie, że ma do czynienia z przeciwnikiem słabym, który nie czuje w sobie sił, potrzebnych do poparcia z bronią w ręku swych interesów. Przygotowania wojenne były nietylko zbyteczne, ale nawet politycznie szkodliwe. Że gospodarczo były szkodliwe, każdy uznaje, ale to jeszcze nie wystarcza do ich znacznie trudniejszego, politycznego osądzenia.

Po dziś dzień niewiadomo, wątpię, czy kiedykolwiek będzie wyjaśnionem pytanie, kto pierwszy rozpoczął przygotowania wojenne? Prasa rosyjska twierdzi, że Rosya musiała się zbroić wobec przygotowań austryackich, prasa tutejsza często przedstawia przebieg wypadków wprost odwrotnie. Widzi w zbrojeniach austryackich krok, wywołany rosyjskiemi. Jeżeli istotnie tak było, trudno dziwić się zbytnio austryackim przygotowa-

niom wojennym. Można nie bez powodu żałować, że nie skończyły się wkroczeniem do sandżaku. Trudno jednak na podstawie wyrzeczenia się przez Austryę tego celu uprawdopodobnić, że były zgoła zbędne zwłaszcza, jeżeli uznaje się żądanie utworzenia Albanii za uzasadnione.

Przygotowania wojenne Austryi odbiły się głośnem echem w społeczeństwie polskiem w Galicyi. Niemcy nie poczyniły żadnych nadzwyczajnych zarządzeń. Rosyjskie były mniej ostentacyjne, niż austryackie. W Poznańskiem i w Królestwie nie wierzono w wybuch wojny. Polacy zamieszkali w zaborze pruskim i rosyjskim zachowywali się na ogół obojętniej, niż Polacy w Galicyi, do czego w pewnej mierze przyczyniło się także stanowisko rządów tamtejszych, które byłyby wystąpiły wrogo wobec ruchów narodowych. Polacy, zamieszkali w Galicyi, jasno zrozumieli i silnie odczuli znaczną zbieżność ich interesów narodowych i państwowych austryackich. Polacy w zaborze austryackim mają daleko większą możność swobodnego rozwoju kultury i odrębności narodowej, niż w innych zaborach, która jest jedną z najważniejszych przyczyn nieprzyjaźni rosyjskiej wobec Austryi. Dobre stosunki Rosyi z Niemcami w znacznej mierze polegają na wspólności w prześladowaniu żywiołu polskiego. Źródłem jej złych stosunków z Austryą są przeciwieństwa nietylko w sprawach bałkańskich, ale także w polskiej i ruskiej. Opór narodowy Polaków i Rusinów w Rosyi doznaje, zdaniem rządu rosyjskiego, pośrednio poparcia skutkiem rozwoju ich kultury w sąsiedniej Galicyi. Nic dziwnego, że Rosya żywi zamiary zaborcze wobec Galicyi, rozgłaszane zupełnie jawnie w jej prasie. Przed wybuchem wojny bałkańskiej polskie społeczeństwo nie uprzytomniało sobie niebezpieczeństwa. W czasie wojny zrozumiało je. Pojęło, że Rosya jest dziś dla Austryi nieprzyjacielem groźniejszym, niż kiedykolwiek przedtem. Pojęło, że koszta przegranej walki ponieśliby przedewszystkiem Polacy. Wielkość i bliskość niebezpieczeństwa wywołały odruch, objawiający się w tworzeniu oddziałów strzeleckich, odbywających ćwiczenia w używaniu broni palnej i w innych działaniach

wojennych na wzór podobnych związków, istniejących oddawna w Tyrolu i w innych państwach.

W tym ruchu cele sportowe odgrywały znaczną rolę. Obok nich także i polityczne. Chodziło przedewszystkiem o dobitne zaznaczenie na zewnątrz, że Polacy gotowi są poprzeć w chwili niebezpieczeństwa monarchię, która okazała się dla nich życzliwszą, niż inne państwa zaborcze. Bronić jej chcą przed najazdem rosyjskim nietylko powołani przez rząd austryacki do służby wojskowej, ale i ochotnicy. Przywódcy tego ruchu przekonani, że niebezpieczeństwo bliskiej wojny Austryi z Rosyą istnieje nadal z powodu wzmożenia się zaborczych dążności w Rosyi pod wpływem wojny bałkańskiej, mają zamiar wytrwać w pracy. Nie chcą być bezczynnymi świadkami wojny austryacko-rosyjskiej na ziemiach polskich, w ciągu której nasze najważniejsze interesa narodowe byłyby w grze. Chcą współdziałać w obronie Galicyi przed najazdem rosyjskim. Rozpatrując dotychczasowe wyniki wojen bałkańskich, trudno zaprzeczyć, że oprócz kwestyi albańskiej wyłonił się cały szereg innych problemów, z których ani albański, ani żaden inny nie jest załatwionym. Każdy z nich zawiera w sobie zarzewie wielkich trudności, a więc poważną możliwość starć orężnych między wielkiemi mocarstwami, nie wyłączając Austryi, które bieg wypadków narzucić może nawet wbrew woli czynników zazwyczaj rozstrzygających.

Adam Krzyżanowski.

Z niedrukowanych wierszy Maryi Bartusówny.[1]

MODLITWA.

O Maryo, niebios Królowo!
O Matko wielkiej litości,
Opieki Twojej na nowo
Wzywamy z nieszczęść ciemności!

Straż weź nad polską krainą,
Spójrz na Twe dzieci cierpiące,
Co ufność mają jedyną
W Polski Najświętszej Patronce.

Bo Polska czy łzy roniła,
Czy szczęsne kwitły jej wieki,
Ciebie wielbiła i czciła,
Twojej wzywała opieki.

[1] Zbierając utwory i przygotowując dla lwowskiej „Macierzy polskiej“ wydanie zbiorowe, zupełne „Pism wieszem i prozą“ przedwcześnie zmarłej poetki Maryi Bartusówny (1854—1885) odpisuję z rękopisu tych kilka niedrukowanych wierszy poetki, odznaczających się szczerą religijnością. Jak daty pod wierszami wskazują poetka liczyła wówczas zaledwie lat kilkanaście, co zupełnie usprawiedliwia ich względną niedokładność literacką.

Adam Stodor.

Na szablach Twoich rycerzy
Twe, Matko, Imię błyszczało,
Co więcej od ich pancerzy
Przed wrogiem pierś ochraniało.

O szczęsne były to lata,
Gdy nasze ongi pradziady
Stwarzały wzory dla świata,
Cnoty i męstwa przykłady.

Dziś gorzki plon dają niwy,
Znikł złotej odblask nam doli,
A naród niegdyś szczęśliwy
Jęczy w kajdanach niewoli!

Czyż jakie czyny zbrodnicze
Przyćmiły jego zasługi,
Że Bóg Swe gniewne oblicze,
Odwrócił na czas tak długi?

Dziś nasza jaśnieje chwała
Li z męczeńskiego ołtarza,
A cała Polska wspaniała
Ciszą przeraża cmentarza.

Gdzie góry, gdzie morskie wody
Wszędzie dziś znajdzie krew laszą,
A mroźne Sybiru lody
Wrzącej rozpaczy nie zgaszą.

Lecz jedno za moich ziomków
O Maryo, Twoje westchnienie,
Może nam szczęściem potomków
Nagrodzić nasze cierpienie!

O niech się nad nami łzami
Twe serce, Matko, użali,
Niech Bóg ma litość nad nami
I rozpacz od nas oddali.

Niech od największej nas kary
Zachowa, od tej zakały,
By naszej wytrwałość wiary
Szyderstwa wrogów zachwiały.

Niech karę Boga surową
Krwią przebłagamy i łzami.
Polski Patronko, Królowo,
O Maryo! — wstaw się za nami!

1868

MODLITWA.

O wielki Boże, wszechświatów Panie,
W Tobie mą ufność pokładam,
Choć we łzach tonie życia zaranie,
Bezpiecznie w czarne patrzę otchłanie,
Mą przyszłość w Twe ręce składam!

Tyś mą nadzieją, wszechmocny Boże!
Tyś mą ucieczką jedyną!
Wszak mnie Twa dobroć zawsze wspomoże,
Gdy korne modły szlę Ci w pokorze,
A łzy boleści z ócz płyną!

Dziś ból dokoła, dziś łzy dokoła,
Smętne me oko dostrzega,
Smutek obciążył kochanych czoła —
Czyż nas opieka Stróża-Anioła,
Czy Twoja litość odbiega?

Ojcze nasz, Boże! — miej zmiłowanie,
Miej miłosierdzie nad nami!
Lub gdy za grzechy szlesz nam karanie,
Niech się Twa wola najświętsza stanie,
Mnie obarcz smutkiem i łzami!

Ale zachowaj w szczęściu, spokoju,
Tych, co mi drożsi nad życie!
A wdzięczność moja za dobroć Twoją,
Świecić Ci będzie w łez moich zdroju,
Jak gwiazda na wód błękicie!

1869

MODLITWA
do płaczącego Anioła.

Duchu niebiański! — o moja światłości!
Co mnie drogami wiedziesz cierniowemi,
A duszę tulisz skrzydły łabędziemi,
Jakby ujęciem miłości, —
Ty, co mnie w wiecznej krainę radości
Przez najsmutniejszą wiedziesz błoń tej ziemi,
By dusza łzami obmyta świętemi
Była liliją czystości!

O nie wypuszczaj mnie z Swojej opieki,
Wiedź mnie wciąż dalej płaczący Aniele!
Za moją boleść, za cierpień tak wiele,
Cześć Ci i chwała na wieki!
O wiedź mnie dalej, kres jeszcze daleki,
Wiedź mnie przed ołtarz w ofiarnym kościele,
Niechaj obaczę wśród płomienia rzeki
Wszystkie nadzieje w popiele!

Z najpierwszym bytu dniem na tym padole,
Tobie w opiekę zostałam oddana,
I chrztem najpierwszym była na mem czole
Łza Twoja jasna, świetlana!
Widna mi dotąd Twa postać spłakana,
Twoja skroń blada, strojna w aureolę,
Gdy zasypiałam przez Cię kołysana,
Nà życia przyszłego bóle!

Najpierwsze dziecka powiodłeś Ty kroki
Przed obraz straszny! — Po ojca utracie,
Gdzie jego święte spoczywały zwłoki,
W kirem obitej komnacie!
Patrzyłam, stojąc w mej sierocej szacie,
I sercem dziecka targnął ból głęboki,
Tyś mnie podówczas, wskazując obłoki,
Pocieszał: Tam się spotkacie!

Odtąd tłem wszystkich późniejszych wydarzeń
Była ta kirem okryta komnata,
Tęsknej sierocie ziębionej tchem świata,
Była tłem uczuć i marzeń;
I żadne, żadne z późniejszych wydarzeń,
Tak ostrym cierniem w serce się nie wplata,
Choć przy mnie ciągle, wśród życia i marzeń,
Płaczący Anioł ulata!

I po niejednej już depcząc mogile
O wiedź mnie dalej, Aniele, do końca, —
O nieraz, nieraz upadam w bezsile,
W drodze bez rosy i słońca!
Ale mnie wspiera mój Święty Obrońca,
Modlitwa w nowej umacnia mnie sile,
I czoło moje ochładza przez chwilę,
Łez Jego rosa rzeźwiąca!

O wiedź mnie dalej, podążę za Tobą
Gdzie tylko zechcesz, w najsroższych mąk żary,
Na wszystkie, wszystkie gotowe ofiary
Serce okryte żałobą!
O wiedź mnie dalej, ja pójdę za Tobą,
Kroplę ostatnią spić z goryczy czary,
Niech tylko promień miłości i wiary,
Będzie mi życia ozdobą!

Może ubłagam przez tych cierpień groty,
I życia mego ścieżynę ciernistą,
Że w szczęściu drogie obaczę osoby,
I moją ziemię ojczystą!
Wówczas, nim wwiedziesz mnie mój zbawco złoty,
W krainę wieczności mglistą,
Niech będzie całe to życie sieroty,
Jedną łzą... gorzką — lecz czystą!

1871.

O Skardze „największym wichrzycielu Rzeczypospolitej".

I.

Nienawiść różnowierców do Skargi.

Zapatrywania dzisiejsze na działalność królewskiego kaznodziei nie różnią się zasadniczo od oceny działalności Skargi przez ludzi, żyjących w początkach XVII. wieku. Obóz katolicki uważa go po dawnemu za ozdobę katolickiego Kościoła w Polsce, epigonowie dawniejszych dysydentów widzą w Skardze szkodnika narodowego.

Katolicy cenią w nim dodatnią działalność na dworze królewskim, tak jak ją oceniał np. przyjaciel Skargi, ks. Reszka, gdy wspominał o staraniach Zygmunta III., żeby dostać na swój dwór ks. Skargę, jako wybitną siłę w słowie i czynie: „ut ad aulae suae comitatum Petrum Scargam verbo et opere potentem adiungeret". (Spongia, B_4).

Nie brak i dziś takich, którzy piszą się na wyrazy uwielbienia, jakimi inny przyjaciel Skargi, ks. Kasper Cichocki, kanonik i proboszcz sandomierski, sławił jeszcze za życia królewskiego kaznodzieję, uważając go za zesłańca bożego dla Polski: „Hominem certe divinitus huic Regno datum, cui anteacta saecula paucos tulere pares"; a broniąc go w czasach rokoszowych przed atakami wrogów, podnosił jego cnoty i dar kazno-

dziejski: „sive pietatem et gravitatem illius spectes, sive illam disertam et rarae facundiae linguam, sive animum ad humanitatem et affabilitatem propensum, utpote Petri illius summi, cui Dominus pascendas commisit oves, cognominem et immitatorem“.

Nie pominął oczywiście wpływu Skargi na dwór królewski, wpływu na duchownych i na czytelników różnych pism Skargi: „Multum illi tribuit aula, multum clerus universus et caeteri omnes, quotquot scripta eius disertissima manibus terunt, ac per ea in lege et animarum suarum profectu erudiri sese plurimum sentiunt“.

Podnosił wreszcie zalety literackie Skargi i zasługi około wyrobienia i czystości polskiego języka: „Sed et politicis ipsis, si modo fateri volunt verum, non parum contulit eloquentia illius ad comparandum tersioris et politioris linguae usum, cum nemo aptius asperiora verba ad suaviorem deflexit sonum, nemo puriorem loquendi normam ex genuina Sclavorum lingua petitam, in nostras hasce oras invexerit“.[1]

Te same wartości podnosił nad trumną Skargi ks. Birkowski, chwaląc imię Pańskie „za danie dobrego robotnika do winnice Kościoła św.“ i żałując, „że odszedł od nas kapłan prześwietny, który czasów swoich podstawił mocne ramiona swoje pod te filary wielkie Kościoła Pańskiego“.

Sławił go zato między innemi zasługami, że „przed królem naszym nosił pochodnię słowa Bożego lat dwadzieścia y cztery“ .. że „ośmnaście sejmów walnych oświecał kazaniami swemi,

[1] „Anatomia consilii editi de stabilienda pace Regni Poloniae Jesuitis pulsis“. Articulus XXI. Autorem tego dziełka nie jest ks. Sawicki, jak przypuszczają niektórzy. Co najwięcej, Sawicki mógł dostarczyć części materyału Cichockiemu, który wyraźnie swoje autorstwo podkreśla, powołując się na studya w akademii krakowskiej, we Wilnie i Rzymie (st. 110) i pisze o sobie to, czegoby ks. Sawicki pisać nie mógł — np. o działalności swojej jako proboszcza sandomierskiego (str. 57 — 59), o swym stosunku do Hieronima Gostomskiego (60), o sześcioletnim pobycie na dworze Uchańskiego i o swoich z nim rozmowach (85), o pobycie na dworze Stefana Batorego (106), o swej przyjaźni z Piotrem Gorczyńskim (106) itd. Wielki przyjaciel Skargi uczcił także pamięć jego mową pogrzebową w czasie żałobnego nabożeństwa wobec licznych tłumów w Sandomierzu. Rostowski: Lithuanicarum Societ. Jesu Historiarum libri... 234.

które bogatey wymowy, gorącego dobra pospolitego pragnienia pełne bywały" — zato, że „prawom niezbożnym, które od niektórych, Machiawelem abo Bodynem podszytych, wnoszone bywały na Sejmy, jako chorągwiom rozboyniczym szedł na czoło, ukazując to, iż nie prawa są, ale rozboye", że „Senatory, aby na swoię godność y przysięgę pamiętali, upominał; bracią młodszą tey korony, aby starszych słuchali,... zalecał zgodę i miłość zobopólną wszytkim, posłuszeństwo Bogu, królowi, prawu..."

Za tę działalność cenił Skargę wielki król Stefan i wielki jego kanclerz Zamoyski, cenił Zygmunt III. i papież Klemens VIII., który go poznał w Polsce, gdzie jako legat czas jakiś bawił, cenili biskupi i świecki senat, cenili gorliwi katolicy i oczywiście jego bracia zakonni „vir tota Polonia celeberrimus et Societatis nostrae optimus ac fidelissimus alumnus" jak pisze Wielewicki. Script. Rer. Pol. XIV. 72.

Zdarzało się wprawdzie, że i niektórzy katolicy czasami przeciw Skardze występowali, zwłaszcza z powodu kazań sejmowych, ale „trochę poszemrawszy, prawdzie ustępowali" — na ogół „wszyscy przyimowali y dziękowali, co się z Boga y życzliwości ku oyczyźnie... mówiło: okrom heretyków" (Kazania Przygodne. Kraków, 1610, str. 514).

Nie brakło jednakże i takich, którzy za przymówki kaznodziei „gorętsze niż owe pieszczone niektórych uszy znieść mogą", urażali się bardzo — jak świadczy Birkowski, albo nawet podobnie, jak dysydenci, nazywali go wichrzycielem Rzeczypospolitej, biorąc do siebie to, na co Skarga w kazaniach uderzał: „Plurimi male conscii, dum vitia in concionibus perstringeret, contra se dicta affirmantes, eum turbatorem Regni ac in negotia Reipublicae sese ingerentem, asseverabant" (Wielew. XIV. 84).

Znalazł się nawet jeden z dygnitarzy kościelnych, biskup nominat kijowski, Jakób Woroniecki, który oburzony na Skargę za to, że nie popierał pretensyi arcyksięcia Maksymiliana do korony polskiej, nazywał go wichrzycielem, podżegaczem do buntów, niewdzięcznikiem: „scripsit litteras minaces et insul-

sissimas ad P. Scargam, quod populum irritet contra Maximilianum, quod sit oblitus professionis suae, quod ingratus beneficiorum, quae Austriaca domus Societati praestitit ac praestat". (Ks. Sygański, Listy, str. 250).

W obozie różnowierców Skarga miał tylko samych wrogów, bo słowem i pismem do końca życia walkę z nimi prowadził i o wielkie straty ich przyprawił.

W ich oczach był Skarga złoczyńcą, łotrem, uwodzicielem dobrych ludzi, jak go w roku 1574 wyzywał sługa Mikołaja Radziwiłła, „heretyk zapamiętały, gdy w ulicy iedney koniem, na którym siedział, przytarł na X. Skargę y policzek mu wyciął" „sceleste, Jesuita, latro, seductor bonorum hominum" — za to, że był Jezuitą i katolikiem „non alia ex causa, quam quod Jesuita sim et catholicam fidem profiteor" (Listy 68).

Według Andrzeja Wolana, którego naukę zwalczał, był Skarga „głupim, zuchwałym, kumańskim osłem, ostatnim szaleńcem, zwierzęciem, łajdakiem, bezbożnikiem, złośliwcem, hersztem rozbójników". (Dzieduszycki. Skarga I. 373).

Marcin Broniewski w Apokrisis nazywał go także „głupim, wszetecznym i jadowitym, wyszpocicielem, fałszerzem, szczekarzem" (Józef Tretiak, „P. Skarga w dziejach i literaturze unii brzeskiej" str. 192).

Melecy Smotrycki nazywał go „prześmierdłą głową" i „Esawitskiey roty wodzem i hetmanem niepoślednim" (tamże 310), która to nominacya przypomina przezwiska dawane mu przez dysydentów „turbatorum antesignanus" przodownik wichrzycieli (Breve elogium. Listy 293).

Przyczyną dysydenckich wyzwisk i potwarzy, rozpuszczanych w Polsce i za granicą, jako też czynnych zniewag były kazania i pisma Skargi, wyjątkowo może jakaś uraza osobista, oparta na podejrzeniu, jak np. napad nieznanego bliżej magnata na wychodzącego ze zamku Skargę: „Semel descendentem ex aula, unus ex Regni Proceribus obvium habens publice ingentibus calumniis onerabat, ad quas nullum verbum respondit" (XIV. 84) albo napad Porudyńskiego, podkoniuszego królewskiego: „equo insidens impetum in eos fecit, et variis ma-

ledictis obruit". (VII. 155). Wszystkie inne napady różnowierców na Skargę, słowne i czynne, były tylko objawem nienawiści wyznaniowej i zemstą za kazania i pisma jak n. p. w Wilnie w r. 1577, gdy za kazania, które miewał w czasie zjazdu różnowierców, z większą niż zwykle gorącością „ferventius solito" słali na niego skargi do biskupa, grozili i przeklinali „in me minas plurimas et maledicta egesserunt". (Listy 90).

Skarga tych pogróżek nie bardzo się obawiał, może dlatego, że nie brał ich na seryo „non habent tantum animi, nec ego tantum sanctitatis, ut et mihi nocere ausint" (tamże) a może z „fanatyzmu" pragnął coś więcej dla Chrystusa ucierpieć — jak możnaby wnosić z jego wyznania, gdy wspomina o śmierci męczeńskiej Marcina Laterny: „któregom za morze, aby za mnie u Króla kazanie odprawował, gdy mi onego pływania morskiego starość moia broniła, wyprawił. Ale aby za mię dla prawdy od heretyków umierać miał: tegom mu nie poruczył. Bo to y na on czas y teraz sam odprawić mogę. O Boże, abym był tego godny... Młodszy, który za mną trzy lata zegarek na kazanie nosił, uprzedził mię. A ia iako grzechy moie okupię: Nie tak iadowici Polacy moi, którzy do takiey korony popychaią, ale nie docierają".[1]

Polskich dysydentów pod tym względem korzystniej wyróżnił, innych nie wspomniał, bo n. p. w czasie pobytu w Rydze zapoznał się z dotkliwszą nietolerancyą. Sam pisze w r. 1582, że go jakiś różnowierca omal w kościele nie przebił „parum abfuit, quin ego in templo a quodam confossus fuerim",[2] podczas, gdy obrzucanie kamieniami na ulicach uważał za rzecz zwyczajną: „crebris lapidum ictibus petebamur, nunquam tamen (quod doleo) ad sanguinem". (Listy 196).

Gdy po jakimś czasie luteranie w Rydze przyzwyczaili się do widoku Jezuitów i tylko obelgami słownemi ich obrzucali, Skarga poszedł nawet na kazanie ministra Pleina i przy-

[1] „Próba zakonu Societ. Jesu". w Kazaniach Przygodnych. Kraków 1610 str. 552. Cytaty ze Skargi do tego wydania będą się odnosić, o ile inne miejsce nie będzie wskazane.

[2] „tantum non confossus in ipsa aede a facinoroso Lutherano" Rostowski l. c. 104.

słuchiwał się wywodom jego, jako Jezuici są wcielonymi dyabłami (cacodaemones), co taki zapał wywołało w słuchaczach, że z gwizdaniem i wyzwiskami towarzyszyli Skardze do drzwi kościoła, a przed kościołem kamieniami go obrzucili. (Listy 198). I to jednak Skargi nie zraziło, bo był ciekawy, o czem mówią ministrowie, żeby ich potem na dysputę wezwać i żeby przypatrzywszy się ich nabożeństwu wykazać im niekonsekwencye, iż pewnych fragmentów liturgicznych katolickich się trzymają, a naukę kościoła odrzucili — co wykazywał istotnie ministrowi Pleinowi i Hainerowi, po nabożeństwie na Boże Narodzenie, przyczem dysydenci musieli się zachować spokojnie i Skargi nie poturbowali, skoro tego ministrom nie wyrzuca. (Listy 200).

Z polskich dysydentów uraził się bardzo na Skargę jakiś szlachcic Marcinowski za kazanie w Wiślicy w r. 1591, gdy Skarga przeciw zjazdowi radomskiemu przemawiał. Ta uraza mogła być dla Skargi bolesną, bo ów szlachcic nosił łuk ze strzałami, a w czasie kazania, nie uważając na obecność króla, nie tylko głośno zadał kłam Skardze, ale „nie mogąc tego dłużej słuchać“ pogroziwszy mu łukiem, wyszedł z kościoła, żeby później Skargę „upomnieć“. Jakoż szukał sposobności do tego i odgrażał się „spotkam li się z tym księdzem, nie uszanuję go“, a szukał tej sposobności tak natarczywie, że mimo rozkazu marszałka nie chciał opuścić Wiślicy i dopiero po powtórnem napomnieniu: „aby wyjechał, nie chce li bez głowy być, widząc, że nie żarty“, wyjechał prosto do Radomia i tam na zjeździe przygodę swą opowiedział.[1]

O jakimś planowanym zamachu kalwinistów litewskich na Skargę w roku 1611, z zemsty za stracenie bluźniercy Franka, w czem dysydenci współwinę Skargi upatrywali, wspomina Wielewicki i dodaje, że go o tem przestrzegł jakiś życzliwy Polak. (XIV. 84).

Do tej nienawiści różnowierców ku Skardze przyczyniała się w znacznej mierze opinia, jaką mu wyrabiali dysydenccy polemiści w sferach oświeconych różnowierców, a wśród tłumów

[1] Prof. W. Zakrzewski „Daryusz zjazdu protestantów w Radomiu 1591 r.“ Archiwum komisyi histor. IX. 512.

dysydenckich predykanci i ministrowie, rozpowszechniający poprzekręcane zwroty z jego kazań, albo osławiający go w pismach ulotnych, jak n. p. w jakimś świstku, o którym wspomina Birkowski, podnosząc cierpliwość Skargi, którą pokazał „gdy za nawrócenie heretyków, którzy byli o nim bardzo uszczypliwe wiersze w druk podali, P. Boga gorąco prosił".

Do oszczerstw, które miały osławić Skargę za granicą, dały okazyę głównie dwa jego kazania: jedno wygłoszone w Wilnie 1580 r., drugie znane p. n. „Wsiadane na woynę kazanie" w roku 1601. W pierwszem przemawiał przeciw koligaceniu się z herezyarchami, zwłaszcza z ministrami kalwińskimi, za których szlachta litewska córki dosyć często wydawała, przyczem prócz tekstów z Pisma św. i Doktorów użył nie bardzo szczęśliwego wyrażenia (sam to zaznacza „nescio quam prudenter usus eram"), żeby spotkawszy się z herezyarchą, minąć go szybko, jak się mija spluwając rzeczy cuchnące, spotykane na drodze.

Po tem kazaniu rozeszła się po Wilnie pogłoska, że Skarga nawoływał słuchaczy do plucia w twarz napotkanym heretykom. To oszczerstwo, nie pierwsze ani ostatnie, — jak już wówczas pisał Skarga „calumnia, quae non erat prima nec ultima" — bo wiele podobnych wymyślali i wymyślają: „multa similia de me meaque doctrina confinxerant et confingunt" — wydrukowano w roku 1582 w Spirze. Wydrukował je mianowicie kalwinista Łasicki w dziele „De Russorum et Moschorum et Tatarorum religione", omawiając dzieło Skargi „O jedności kościoła Bożego". W dodatku opowiadał historyę kazania 1580 r. i ubarwił je fikcyą, że gdy Skarga napotkawszy ministra ewangielickiego, dla przykładu w twarz mu plunął, jakiś świadek tej zniewagi przyskoczył do przeklętego Skargi i dał mu policzek: „Cum ipsemet obvius concionatori Evangelico factus, exemplum edit aliis imitandum (audita refero) contusum os, ex quo sputum exierat, manu cuiusdam id spectantis pii nobilis, homo maledicus domum retulit". To samo przedrukowano w 1584 r. we Frankfurcie nad Menem. (Listy 225)[1].

[1] Wspomina o tej kalumnii także ks. Reszka w Spongii C_4. „Faciliusego tibi ostendam edisse Petrum Skargam pugnos evangelicos cuiusdam Oczucz

„Wsiadane na woynę kazanie“ przerobił odpowiednio kaznodzieja nadworny księcia pomorskiego, profesor Daniel Kramer, p. t. „Eine erschreckliche, blutdürftige Jezuiter Predigt, so P. Skarga, ein vornehmer Jesuiter Münch, den 9. September 1601. gehalten“ i dla większego efektu dołączył do sfałszowanego kazania opowiadanie o 10.000 Jezuitów, którzy z Francyi do Polski uciekli, o 20 milionach Indyan, przez Jezuitów wymordowanych i o różnych innych okropnościach. (Duhr. Geschichte der Jesuiten in den Ländern deutscher Zunge. Tom II, cz. 2. 1913, str. 660).

Pośrednio mogło się do Skargi odnosić także podanie, rozpowszechnione w Niemczech przez profesora z Heidelbergu, Dawida Pereusa, że Jezuici krakowscy w r. 1604 kazali katolikom w celu uzyskania odpustu jubileuszowego mordować dysydentów, a zwłaszcza ministrów protestanckich (Duhr. l. c. 652), bo Skarga nie tylko mieszkał wówczas w Krakowie, ale i kazania jubileuszowe miewał.

Najwięcej oszczerstw posypało się na Skargę w czasach rokoszowych, w których musiał i monarchii i zakonu swego bronić. Wtedy to „politykowie“, którzy nawoływania kaznodziejskie do poprawy „turbami i tumultami“ zwali, rzucili się wraz z dysydentami na Skargę, jako najwybitniejszego z Jezuitów, których już od czasu pierwszego bezkrólewia wichrzycielami królestwa „turbatores regni“ nazywali (Załęski: Jezuici w Polsce I. 206), uznając go za głównego wichrzyciela. „Rokoszani... ipsi turbatores, eum praecipuum turbatorem statuebant“ (XIV. 84), albo jak się wyraża autor krótkiego nekrologu — nazywali go przodownikiem wichrzycieli: „turbatorum antesignanum nuncupabant“. (Listy 293).

Uznanie Skargi za przodownika wichrzycieli przez rokoszan, którym przewodzili tacy anarchiści i zdrajcy ojczyzny, jak Dyabeł Stadnicki, Janusz Radziwiłł czy Szczęsny Herburt, było bądź co bądź bardzo charakterystyczne. Skardze to oczywiście ujmy przynieść nie mogło; było raczej momentem podno-

novii, nec satis hoc. Calumniis etiam appetitum probabo, quasi pro concione docuerit omnes obvios in faciem conspuendos“.

szącym zasługi jego około Rzeczypospolitej i dlatego to w nekrologach szczegół ten powtarzano za głoszącym chwałę Skargi Birkowskim: „Dobra głowa X. Skargi, która one trzaski i wrzaski wytrwała, która nie wiele się oglądała na te Achaby, którzy go turbatorem nazywali".

W trzysta lat po owej mowie pogrzebowej ks. Birkowskiego dowiedzieli się o tem przezwisku czytelnicy różnych organów „Wolnej Myśli" i jako spadkobiercy idei dawniejszych dysydentów uczepili się tej nazwy, żeby mieć jakiś konkretny powód do protestu przeciw kultowi Skargi.

Sama oklepanka o fanatyzmie i nietolerancyi Skargi nie wystarczałaby do protestu przeciw temu kultowi, jako zbyt zużyta i nie licująca z zawołaniem „Wolnej Myśli", w imię której narzucić chcą własną myśl ludziom innych przekonań i z właściwem sobie fanatyzmem występują przeciw wolności przekonań, zwłaszcza katolickich.

Protestują więc przeciw kultowi Skargi nie tylko dlatego, że Skarga był katolikiem, księdzem i Jezuitą, ale i dlatego, że miał być wichrzycielem Rzeczypospolitej, przyczem dla większego efektu nie pomijają dawnych oszczerstw, rzucanych na Skargę przez dysydentów.

Tak np. „Myśl Niepodległa" „pod żadnym pozorem nie może się zgodzić na to, aby szczepiono kult człowieka, którego idea jest tak fatalna i tak niestety aktualna". W Skardze nie może widzieć charakteru czystego jak łza „ale księdza przewrotnego postrzega, który mając słodkie słowa ewangielii na ustach, kazał heretyków bić w gębę i pogromy nazywał zesłanemi przez Pana Boga". Nie może go uważać za jednego z największych patryotów polskich, „albowiem człowiek ten fatalny mistrzem był dla posła upickiego i innych w zrywaniu sejmów".

Redakcyi „Prawdy" nie pozwala na kult Skargi „żałoba jego czarnego jezuickiego habitu" i „terroryzm bezrozumu", jaki ma cechować zwolenników idei skargowskich.

Równie energiczne „veto" przeciw kultowi Skargi podnosi Iza Moszczeńska i dlatego, „że ideową sukcesyę Skargi dzierżą w naszym kraju potężne, wpływami obdarzone jednostki, stron-

nictwa, instytucye"; i dlatego, że „złowróżbne widmo kaznodziei sejmowego nie przestało być groźnem", stąd „przeciw jednomyślnemu kultowi naczelnego wichrzyciela Rzeczypospolitej protestować należy"[1].

Podnosi więc „Wolna Myśl" dawne z przed 300 lat obelgi przeciw Skardze i tylko w zmienionej nieco formie powtarza wyzwiska dysydentów: „sceleste, Jesuita, latro, seductor bonorum hominum".

Nie dziw też, że takie zboczenia wolnej myśli oburzają prawidłowo i spokojnie myślących ludzi uczciwych, jak to między innymi zaznaczył Prus w poglądzie na Skargę,

„Pisał i kazał przeciw różnowiercom może nieco łagodniej, aniżeli dzisiejsi wolnomyśliciele przeciw katolicyzmowi".

Człowieka, którego „każdy naród zaliczyłby do najpierwszych swoich obywateli; dopiero nasze rodzime wolnomyślicielstwo pakuje między szkodników, warchołów, nieledwie intrygantów i bandytów". (Tygodnik illustr. 1912, str. 98).

II.

Skarga w opowieściach prof. Sobieskiego.

Nowością w zarzutach „Wolnej Myśli" przeciw Skardze jest pomawianie go o ojcowstwo duchowe Sicińskiego i innych zrywaczy sejmów.

Tego rodzaju zarzutu nie czynili mu najwięksi wrogowie w czasach rokoszowych, mimo, że starali się wszystko, co mogłoby przeciw Skardze świadczyć, wyciągnąć na światło dzienne, a Dyabeł Stadnicki i kilku dysydentów nawet na kazania jego chodzili, żeby go na czemś podchwycić, przekręcić słowa jego i jako argumentów przeciw Skardze użyć.

O zerwaniu sejmu przez Skargę nikt z dysydentów nie mówił, bo nikt o tem nie wiedział, nie tylko wówczas, ale i przez trzy następne stulecia. Wiadomość o tem przejęła „Wolna Myśl" od prof. Sobieskiego, który ogłosił ją światu w roku 1902

[1] Chrzanowski Ignacy. Kult Skargi. Pamiętnik literacki. IX. str. 529.

w książce: „Nienawiść wyznaniowa tłumów za rządów Zygmunta III“ w rozdziale VII, noszącym tytuł „Noc Jezuitów“.

Opowiada w niej autor na podstawie jezuickiego źródła — „Dyaryusza domu św. Barbary“, napisanego przez ks. Wielewickiego, jakto Skarga otrzymawszy od króla do przejrzenia, ułożony w przeddzień ukończenia sejmu, skrypt z projektem ugody między dysydentami a katolikami, odkrył w nim podstęp dysydentów, domagających się nie tylko jakiegoś pokoju religijnego, ale i zobowiązania katolików do obrony herezyi. Wskutek tego odkrycia i król, który sam po odczytaniu uważnem skryptu nabrał wątpliwości, czy z czystem sumieniem może go potwierdzić — potwierdzenia tego nie dał i duchowni, którzy się zrazu nie zoryentowali i podstępu nie dostrzegli, sprzeciwili się nazajutrz jego przyjęciu.

Sam fakt opisany przez Wielewickiego nie był sekretem dla rozumiejących język łaciński od roku 1886, w którym drugą część Dyaryusza wydała Akademia Umiejętności — dla nieznających języka łacińskiego mógł być znanym z pierwszego tomu dzieła „Jezuici w Polsce“ ks. Załęskiego, wydanego w roku 1900 gdzie na str. 546 jest o nim mowa.

Nowością była tylko konstrukcya historyczna p. Sobieskiego, który z tego faktu wyciągnął wniosek, że Skarga przyczynił się do zerwania sejmu 1606 r.

Wniosek taki jest wyłączną własnością p. S., bo Wielewicki, który wiedział, że sejm ów był bardzo burzliwy (X. 129) o zerwaniu jego nie wiedział i nie mógł oczywiście wskutek tego podejrzywać Skargi o jego zerwanie. Nie domyślali się tego dotychczas także ci, którzy Wielewickiego czytali.

Do wyciągnięcia wniosku, że Skarga był przyczyną zerwania sejmu 1606 r. potrzeba było nie tylko bardzo bujnej wyobraźni, którą autor „Nienawiści wyznaniowej“ istotnie w bardzo wysokim stopniu posiada, ale i niemałego wysiłku rozumu, a przedewszystkiem bardzo silnej woli, nie zrażającej się trudnościami, jakie pod tym względem przedstawiają źródła historyczne, no i odpowiedniego literackiego sprytu, żeby się z temi trudnościami jakoś uporać.

Treścią „Nienawiści wyznaniowej tłumów“ są różne napady gminu miejskiego i studentów na zbory dysydenckie w czasach, kiedy to „Europa rozćwiartowana na obozy przez takich organizatorów, jak Luter, Zwingli, Loyola, Kalwin, Knoks, Łaski, popada w jakąś zarazę psychiczną, jakieś obłąkanie wyznaniowe“ (str 7).

W takich to czasach pisał Kronikę zborów ewangielickich Wojciech Węgierski, długoletni kaznodzieja przy zborze w Krakowie, a z początkiem XX. wieku na tej podstawie przeważnie (str. 24) prof. Sobieski przedstawiał gwałty, jakich względem dysydentów dopuszczał się gmin miejski. Wskutek tego książka musi razić stronniczością i pomijać dosyć dyskretnie gwałty, jakich się dopuszczali dysydenci wobec katolików, o czem ex professo tylko na dwóch stronicach jest mowa (71—72); przyczem autor zaznacza, że słynny policzek, jaki Skarga za kazanie otrzymał od kalwinisty, albo oplucie Jezuity Grodzickiego przez luterskiego podrostka, nie może świadczyć o nietolerancyi ewangielików!

Przy ekscesach katolickich tłumów nie bierze p. S. pod uwagę prowokacyi ze strony protestantów, a chociaż tu i ówdzie o niej wspomina, nie uwzględnia jej, jako okoliczności łagodzących i wpływających na nastrój psychiczny mas ludowych.

Na Jezuitów zapatruje się pod kątem widzenia Węgierskiego i prawie we wszystkich tumultach widzi ich rękę.

Nawet przy tumultach w Krakowie, gdzie Jezuici szkół nie mieli, gdzie więc chyba profesorów Akademii należałoby uważać za podżegaczy zaburzeń — „flabella seditionum“ — jak to już Reszka (Spongia C_4) w obronie Jezuitów argumentował, autor wietrzy intrygę jezuicką. Tak n. p. przy zaburzeniach w 1587 r. podkreśla, że żacy wybrali się na zbór „po 40-godzinnem nabożeństwie w kościele jezuickim“ (czy aby odprawionem na intencyę pomyślnego napadu?), co oczywiście daje wiele do myślenia, zwłaszcza, że dysydenci rozpuszczali wieści, jakoby Jezuici przebrani za chłopów i wmieszani w tłum, akcyą burzycieli kierowali (str. 41, 44)!

Innym razem, przy tumulcie 1611 r., znać było rękę Jezu-

itów w tem, że między ofiarami tumultu, („padło cnotliwych studentów i hultajstwa około 20 osób") było dwu ex-sodalisów maryańskich!

O fakcie tym dowiedział się autor od Wielewickiego, który go przytacza jako przykład zejścia na złą drogę dobrych dawniej studentów po wystąpieniu z Kongregacyi: „gregalibus non minus improbis aggregati" i jako przykład miłosierdzia bożego nad jednym z nich, który przynajmniej kilka razy do roku wraz z kongregacyą spowiadał się.

Podczas gdy młodszy jego kolega, który dawniej nawet o przyjęcie do zakonu prosił, zginął bez spowiedzi i bez żadnych oznak żalu, drugi pobożniejszy, za przyczyną Matki Boskiej umarł bardzo przykładnie, bo nie tylko wyspowiadał się przed ks. Prefektem kongregacyi, ale cierpiąc wiele przed śmiercią, ofiarował te boleści, jako pokutę za dawne przekroczenia i umierając często powtarzał znane słowa św. Augustyna: „Hic ure, hic seca, ut in aeternum parcas" — Tu pal, tu siecz, bylebyś przebaczył na wieki (XIV. 44).

Otóż ten wypadek posłużył p. S. za dowód i roboty jezuickiej przy tumultach i za dowód fanatyzmu studentów. „Nastrój tych żaków najlepiej uwydatnia się w słowach umierającego z ran, otrzymanych w tym tumulcie, akademika, byłego „sodalisa maryańskiego", który wyspowiadany przez Jezuitów (ilu?!), konając, powtarzał słowa św. Augustyna: Tu pal, tu siecz, abyś tam na wieczność sobie zasłużył" (tak str. 140), co niby ma być dowodem, że ów eks-sodalis z fanatyzmu palił i siekł dysydentów, żeby sobie przez to zbawienie wysłużył!!

Przykład to bardzo charakterystyczny i dla metody autora przy interpretacyi tekstów i dla rozbujałej jego wyobraźni, nie pozwalającej nawet na zaglądnięcie do słownika, co znaczą słowa „ut in aeternum parcas".

Tu i ówdzie starą się jednakże p. S. przynajmniej o pozory bezstronności. Uważą n. p. za „przesadne" podejrzenie, rzucane na Jezuitów w czasie zjazdu toruńskiego 1595 r., że „Jezuitowie plebany po wsiach naprawiali a pewnie napra-

wiają, aby poddane i sługi na pany ewangielickie podburzali i żeby mordowali, ślubując sługom wolność, dobra, nawet żony, gdzieby który swego zabił (78)“.

Podaje także za Wielewickim fakt interwencyi Jezuitów u biskupa Tylickiego w r. 1615, gdy tłum opadł dom kalwinisty złotnika. Biskup, uwiadomiony o tem przez Jezuitów, swą milicyą tłumy rozpędził, a „Jezuici namawiali tych, którzy pokradli drogocenne przedmioty złotnikowi, aby je zwrócili... Tolerancyą tą osiągnęli Jezuici swój cel, bo rozczulony nią złotnik nawrócił się na wiarę katolicką“ (147).

Z obawy, żeby się jaki czytelnik tą tolerancyą nie rozczulił, podkreśla p. S. wyższą jeszcze tolerancyę biskupa Tylickiego, a dla większego efektu poprawia nawet źródło, które tę wiadomość podaje.

„Pod hasłem tolerancyi miał stanąć sam biskup i — o dziwo! — strzelać do „cnotliwych“ tłumów katolickich w czasie tumultu“ (146).

Dziwo tem większe, że według Wielewickiego biskup Tylicki nietylko sam „do cnotliwych tłumów“ nie strzelał, ale nawet z całego gardła krzyczał na swych ludzi, by nie strzelali: „se in illo tumultu exclamasse, ne sui exploderent“. (XIV. 156).

* * *

Gonitwa za senzacyą nie pozwoliła autorowi na bezstronne traktowanie Skargi, który w „Nienawiści“ bardzo nieszczególnie się przedstawia.

Przy opisie tumultów nie bierze autor pod rozwagę tego, co Skarga o nich podaje, chociażby dla skontrolowania, czy Węgierski, czy Skarga przesadza. Widocznie więc wątpi w prawdomówność Skargi, mimo że relacye skargowskie mają bardzo wyraźne cechy prawdopodobieństwa i nadawały się do kontroli opowiadań Węgierskiego.

Tak n. p. przy opisie tumultu krakowskiego z 1591 r. przytacza ze Skargi kilka wyrażeń dla okrasy stylowej w tonie, zakrawającym na kpiny (56), a pomija milczeniem i potępienie przez Skargę zmiatania łotra „wedle dawnego a jeszcze nie-

oduczonego zwyczaju" (405) i krzywdę wielką, wyrządzoną katolikom, którą jako okoliczność łagodzącą przy późniejszym zburzeniu Brogu Skarga przytacza.

Że kilku tysiącom ludu, który się „z wielkiego kościoła Bogarodzice po Nieszporze znagła wysypał", nikt tak rychło zakazać nie mógł, aby dziwować się „y na dziecinne igrzysko patrzyć nie bieżeli", to chyba jest jasne!

Że ten różnorodny tłum „żadney broni w ręku nie maiąc, nie do boiu" wyszedł, ale wracając do domu „postawał" i gapił się na żaków, to także dosyć zrozumiałe, „bo tyle tysięcy ludzi, by się byli na obalenie zboru zeszli, nie uciekaliby przed kilkadziesiąt heretyków, którzy goniąc lud od ulice św. Jana aż do Sienney nasiekali, nabili y krwi po rynku narozlewali, tak, iż do dwu set rannych naliczonych było".

Że wszyscy katolicy w mieście „do wielkiey żałości a sprawiedliwego gniewu y serdeczney cięszkości przywiedzeni mogłić zaraz krew za krew nie mieszkaiąc oddać, na tak drobną liczbę y okrutne zuchwalswo" dysydentów patrząc, to nie tylko „w czasach poćwiartowanej Europy przez Zwinglego, Loyolę, Kalwina", w czasach zarazy psychicznej, było możliwe.

A jednak skończyło się wszystko tylko zburzeniem Brogu, czego Skarga nie pochwala — ale tłumaczy zrozumiałem rozdrażnieniem ludności katolickiej, zwłaszcza że jak pisze „zebrało się ludzi nieznacznych, głupszych y niecierpliwszych, y nie udali się do krwie rozlania, jako bracia waszy..., gniew i żarliwość swoię na mury i drzewo, ludzkiemu y braterskiemu zdrowiu zgadzaiąc, obrócili" i za to ich imieniem prosi o darowanie „słusznemu żalu katholickiemu, za tę krew i morderstwa, które bez przyrownania daleko więcey stoią niżli mury" (406).

Jeżeli kto, to autor, mający pretensye do znajomości psychologii tłumów, powinienby relacyę Skargi zestawić z relacyą Węgierskiego, zamiast kpić „z cnotliwych" tłumów i przez jakieś inne kryteryum wykazać, czy Skarga fałszywie rzecz przedstawia, czy n. p. „do dwu set rannych" naliczono, czy było ich tylko około 70[1].

[1] Na podstawie relacyi Sobieskiego prof. Grabowski zarzuca Skardze niesłychaną przesadę i pomawia go o dwustu zabitych. P. Skarga str. 374.

O współczesnym pożarze zboru wileńskiego, o co „posądzano Jezuitów" (str. 58), Skarga pisze inaczej. „Już wszytka korona wie, iż z przygody abo z niedbalstwa ministrów bez tumultu żadnego wileński zbór zgorzał", a mówił to po przeprowadzeniu procesu, przy którym dysydenci „o trzy tysiące ludzi katholickich do przysięgi przymusili, iako do tego zgorzenia żaden z nich przyczyny nie dał, ani o tym, kto to uczynił, wiedział" (411).

Proces, przy którym około 3.000 ludzi zmuszono do przysięgi i dzisiaj byłby niemałą senzacyą, a dla nienawiści wyznaniowej i „tolerancyi" ze strony dysydentów byłby bardzo wymowną illustracyą, a jednak p. S. tego szczegółu nie tknął, bo go zapewne w źródłach dysydenckich nie znalazł.

O innych tumultach mówił Skarga w kazaniu wiślickiem, gdy rokoszanie ułożyli już byli artykuł o wypędzeniu Jezuitów. Zbijając zarzut, iż „Jezuitowie tumulty czynią", wspominał i o świeżym tumulcie w Poznaniu, o którym to tumulcie mówiono, „że dopuściło się tej napaści 300 uczniów jezuickich", których „wskutek przebrania" straż zborowa poznać nie mogła, i rzekomo dlatego sąd ustanowiony przez króla dla zbadania sprawy „oczywiście nie znalazł żadnego winowajcy... z wyjątkiem jednego, który dostał chłostę za to, że się... gapił na pożar" (115).

Skarga zarzuty o tumultach uważał za „próżne słowa i szczerą pomowę bez żadnego dowodu". Do tumultów „Jezuitowie nie radzili, ani pobudzali, y słowa jednego na kazaniu y w szkołach do tego nie przykładali, owszem studentom swoim, pilnie pod karaniem zakazowali zawżdy, y zakazuią takiego wszeteczeństwa". Na dowód tego przytacza właśnie proces o tumult poznański.

„Starali się z wielką pilnością Zborownicy, aby czego takiego na nas dowieść urzędownie mogli: ale y żadnego studenta naszego w tym przekonać nie było podobno" (str. 515), co nawet przy nadzwyczajnej wyrozumiałości sądu biskupiego byłoby chyba niemożliwe, bo 300 przebranych studentów, uzbrojonych w rusznice, musiało zwracać na siebie uwagę, skoro nagle z ziemi nie wyrośli.

Także twierdzenie Skargi, że Jezuici na kazaniach do tumultów nie zachęcali, byłoby w czasie rokoszu bardzo... śmiałem i łatwo spotkałoby się z energicznem zaprzeczeniem, gdyby prawdą było, co p. Sobieski za Węgierskim powtarza, że niedawno, bo przed rokiem, Jezuita Piasecki w Poznaniu publicznie w katedrze zachęcał lud do spalenia zboru: „Nie chce magistrat, nie chce rada miejska, ty tedy, ktokolwiek jesteś z ludu, puść z dymem i w popiół zamień wszystkie bóżnice heretyków“ (str. 109. Za Sobieskim powtarza to Grabowski l. c. str. 549).

Takie „wszeteczeństwo“ gdyby było prawdziwe, podnieśliby niechybnie przynajmniej dysydenccy rokoszanie w Sandomierzu, zwłaszcza Dyabeł Stadnicki i zadaliby kłam Skardze, ale jakoś o ks. Piaseckim zapomnieli.

Prof. Sobieski w „Nienawiści“ nie tylko podejrzywa Skargę o mijanie się z prawdą, ale zarzuca mu dzikość wobec protestantów i utrzymuje także, że uczył króla, iż nie ma dotrzymywać przysięgi różnowiercom.

„Za ś. Chryzostomem powtarza Skarga prośbę do słuchaczów, żeby, słysząc kogo, że Bogą chrześcijańskiego bluźni, w gębę go bili“ (str. 93).

Przypomina to bardzo wyraźnie oszczerstwo, rozpowszechnione w Niemczech przez Łasickiego, jakoby Skarga kazał pluć i sam pluł w twarz protestantom; a pochodzi, jeżeli nie ze złej woli i gonienia za efektownym frazesem, to z niezrozumienia tekstu Skargi, który przeprowadza retoryczną antytezę między obowiązkiem ochrony bluźniercy, jakiego się domagała konferencya warszawska, a dawniejszemi karami na bluźnierców. Powołuje się przytem na pismo św., na św. Chryzostoma i na św. Ludwika.

„Chryzostom św. w kazaniu swoim przeciw bluźnierstwu prosi słuchaczów swoich, aby za ono iego kazanie tę mu zapłatę dali: żeby słysząc kogo, a on Boga chrześcijańskiego bluźni, w gębę go bili, pokazuiąc miłość swoię ku Bogu swemu... A Confederacya takiego broni, czcić każe, y wszystkie mu urzędy y dostoieństwa daie. Chwalże ją, katholiku“ (416).

Z równą perfidyą, a z większym efektem możnaby na podstawie takiego rozumowania powiedzieć, że Skarga wzywał słu-

chaczów „aby kosternemu bluźniercy usta piątnować" jak to kazał Ludwik św., albo że kazał wyprowadzić bluźniercę przed obóz i tam „niech go kamieńmi zabiie lud wszystek", bo także ten tekst Pisma św. Skarga przytoczył.

Zarzut, iż Skarga dowodził, że król nie ma różnowiercom przysięgi dotrzymywać („Pamiętny sejm" str. 212. odsyłacz do Nienawiści) przypomina „poszpecone" ministra Kramera „Straszliwe i krwie pragnące Piotra Skargi Jezuity kazanie, na to pytanie: „Jeśli się wiara heretykom dotrzymywać ma?" (468), co tak oburzyło Skargę, że w tonie podrażnionym i niezwykłym u niego odpowiada: „Nigdym cię nie znał, nigdym o tobie nie słychał, potwarzy pierwey y kłamstwa twoie do mnie doszły, niźli o dobrych uczynkach twoich sława. Swarzyć się z tobą nie będę, twemi złorzeczeństwy rad pogardzam... Trochę tylko przypomnię, iakoś głupi, iakoś złośliwy, iakoś kłamliwy, w tym twoim przeciw mnie pisaniu, abyś się upamiętał" (477).

Największą senzacyę w pewnych kołach wywołało „odkrycie" prof. Sobieskiego, że Skarga na sejmie 1606. r. sprzeniewierzył się swemu posłannictwu, że „ten sławny kaznodzieja tak wspaniale rzucając gromy na bezrząd Rzeczypospolitej, tu pobudzał do „veta", do protestu przeciw rzeczy już umówionej dnia poprzedniego, narażając cały sejm w chwili tak niebezpiecznej na rozerwanie". (122).

Na Skargę zato właśnie „powstawało coraz większe oburzenie śród coraz liczniejszych kół rokoszowych. Szlachta zaczęła obdarzać przydomkiem „praecipuus turbator Reipublicae", — „główny wichrzyciel Rzeczypospolitej" — tego, którego dzisiejsze wieki za jego nieznużoną pracę nad wzrostem i umocnieniem katolicyzmu w Polsce otoczyły aureolą niemal świętości i proroctwa (str. 123).

Refleksye takie mogły istotnie budzić senzacyę i wywołać przykre zdziwienie u tych wielbicieli Skargi, którzy o „epizodzie skargowskim" nie czytali relacyi Wielewickiego, a nie znając historyi sejmu 1606. r. uwierzyli p. S., że w przeddzień zakończenia sejmu, „za obopólną zgodą ułożono ostatecznie konstytucyę obostrzoną przeciw tumultom" i to tak umiarkowaną, że

nawet biskupi „niczego się w niej grzesznego nie dopatrywali". (119).

Nie tylko zdziwienie, ale i oburzenie przeciw Skardze mogli odczuwać ci, co nie wiedząc, przeciw czemu on protestował, i czy mógł nie protestować i jaki skutek miała ta jego protestacya, podzielali naiwną hypotezę p. S., że gdyby nie Skarga, udałoby się „zażegnać ów wielki, zbliżający się tumult wojny domowej — rokoszu. Innowiercy pogodzą się z tronem, odstąpią Zebrzydowskiego, który zostanie na lodzie... Jutro sejm szczęśliwie się zawrze" i t. d. (119).

Tymczasem wszystko to — jak mawiał Skarga — „próżne słowa, szczera pomowa", bo p. S. nie znając skryptu (str. 120), jaki król przesłał Skardze do przejrzenia, ani nie mógł utrzymywać na pewno, że to była tylko obostrzona konstytucya przeciw tumultom, ani nie powinien był twierdzić, że się „ostatecznie" na nią zgodzono, skoro wiedział, że bardzo ważne punkty, jak juryzdykcya duchowna i sprawa zniesienia apelacyi do Rzymu, musiały być na drugi dzień odłożone, i że wówczas zupełnie nowych rzeczy dysydenci poczęli się domagać, na które biskupi katoliccy absolutnie zgodzić się nie mogli. Nie powinien był też poprawiać tekstu Wielewickiego, który wcale nie napisał, jakoby biskupi w skrypcie owym niczego grzesznego się nie dopatrzyli, bo słowa: „iam iamque decreto publico iis confirmanda esset pax quaedam et concordia generalis, *qua plura* concedebantur, *quam conscientia integra concedi posset, sed ita occulte*, ut ne ecclesiastici quidam... *id satis initio adverterent*" — co innego znaczą.

Fantazye na temat szczęśliwości, jakie oczekiwały Polskę, gdyby przeszła „konstytucya obostrzona przeciw tumultom", byłyby sobie zwykłą naiwnością, gdyby nie fakt — o którym może prof. Sobieski pisząc „Nienawiść wyznaniową" jeszcze nie wiedział — że u granic Polski stała już wówczas wielka armia Dymitra Samozwańca, który nie tylko z Januszem Radziwiłłem i Dyabłem Stadnickim, ale i z Zebrzydowskim był w porozumieniu, i miał po złożeniu z tronu Zygmunta zostać królem polskim. Wobec tego Janusz Radziwiłł nie mógł zostawić Zebrzydowskiego „na lodzie" — a chociażby nawet niewtajemniczeni różnowiercy od-

stąpili Zebrzydowskiego, nie zmieniłoby to sytuacyi, bo Zebrzydowski na małą siłę militarną dysydentów nie potrzebował się wiele oglądać, a konfederacyi warszawskiej, procesowi na nią i różnym konstytucyom o tumultach był sam z zasady przeciwny.

Wywody prof. Sobieskiego przekonały nietylko jednak Izę Moszczeńską, „Myśl Niepodległą“ i „Prawdę“, ale i prof. Chrzanowskiego, który utrzymuje, iż „Sobieski wykazując niezbicie, że Skarga przyczynił się nietolerancyą swoją do zerwania sejmu r. 1606, zburzył tem samem — w oczach nieuprzedzonych — legendę zarówno o tolerancyi Skargi, jak i jego dodatniej działalności politycznej, dowiódł, że niestety, nie bez słusznej podstawy nazywano go *turbator Rei publicae*“. Pamiętnik liter. XI. 532.

Na słabych stronach argumentacyi pana S. poznali się inni. Trzeba się było bronić przeciw zarzutom lekkomyślności, i tej to okoliczności zawdzięczamy szkic polemiczny: „Czy Skarga był „turbatorem“ ojczyzny?“ (Studya historyczne 193—225) wymierzony przeciw „ks. Jezuicie Pawelskiemu“, który podał do wiadomości p. S., że istnieje drukowany „Uniwersał poborowy uchwalony na sejmie warszawskim 1606“ i utrzymywał, że sejm ten nie został zerwany, i że sprawy wyznaniowe nie były na nim dominujące. P. S. uraził się, że za „wyświetlenie epizodu z życia Skargi“ spotkał go „bardzo ostry zarzut“ mianowicie, że Jezuita ks. Pawelski zarzucił fałsz faktom przez niego podanym i pomówił go „o dziwną lekkomyślność“ w dziejopisarskiej pracy i oświadczył, iż pisze „fantasmogorye“ (194).[1]

---

[1] Na podobny zarzut naraził się p. S. zaraz w początkach pracy dziejopisarskiej za artykuł „św. Stanisław a św. Piotr“ w Ateneum z. r. 1899. t. II., który był rezultatem „szczęśliwych domysłów“, na jakie wpadł (w marcu) p. S. a które mu, jak sądził, „pozwoliły ostatecznie rozświetlić całą dotąd zagadkową „zdradę św. Stanisława“ (51.) Rozświetlał ją mnóstwem pomysłów tak... fantastycznych, że trudno o nazwę dla nich, a tak je cenił, że wyraźnie zaznaczył „tych kilka przedstawionych „wynalazków“ historycznych — pochlebiam sobie — zmieni pod niejednym względem pogląd na czasy Piastowskie“ (76). Historyografia polska nie uważała jednak tych „wynalazków“ za nabytek naukowy, a sama Redakcya Ateneum podkreśliwszy fakt „nie ~~dodawaliśmy~~ z naszej strony żadnych zastrzeżeń, przy najbardziej nawet hypotetycznych pomysłach autora“ obaliła zaraz mimochodem hypotezę o opacie-wojewodzie Sieciechu „dodając sprostowanie faktyczne: Wyraz „Sechen“ nie oznacza Siecieche, lecz jest nazwą miesiąca, w danym razie — lutego...“ (79).

W szkicu tym p. S. do „Nocy Jezuitów“ nic nowego nie dodał; nie skorzystał nawet z drugiego jej opisu u Wielewickiego w nekrologu Skargi, z którym się widocznie zapoznał, skoro go cytuje (str. 219 dopisek 2.) ale za to w ciągu dziesięcioletnich studyów zapoznał się dokładnie ze sprawą Dymitra Samozwańca i z materyałem do historyi sejmu 1606. r. — z materyałem aż nadto wystarczającym do zmiany poglądów na epizod Skargowski z „Nienawiści“.

Tym to zapewne studyum przypisyć należy, że w szkicu: „Czy Skarga był turbatorem ojczyzny?“ znać pewną modyfikacyę dawniejszych poglądów i sąd spokojniejszy o Skardze. Przyznaje np. p. S., że ci, co Skargę nazywają „procursorem Sicińskiego, czynią to w zacietrzewieniu i zapominają, że przecież Skarga posłem ziemskim nie był“ — że do zerwania sejmu daleko więcej przyczynił się Zebrzydowski, którego Skarga upominał, by nie przykładał ręki ad perturbandam Rempublicam.

Przyznaje wreszcie, że Skarga działał, jak mu kazało sumienie i dlatego pomimo epizodu z „Nocy Jezuitów“ czci w nim „wielki hart i niezłomny charakter człowieka idei“; czci go „bo był największym krasomówcą, jakiego dotąd Polska wydała“ i „że ze wszystkich Jezuitów, jacy kiedykolwiek byli na ziemi polskiej, był najwięcej i całkowicie naszym i Polskę kochał z nich najgoręcej i najżarliwiej“ (224).

W porównaniu z charakterystyką Skargi w „Nienawiści wyznaniowej“ jest to pewna rehabilitacya „turbatora“, a byłoby przyszło i do całkowitej rehabilitacyi, gdyby P. S. zechciał być konsekwentnym i zapoznawszy się z nowemi źródłami historycznemi, logiczniejsze wyciągnął z nich wnioski, co pracy jego dziejopisarskiej bynajmniej ujmy by nie przyniosło. Ale p. S. widocznie inne ma pod tym względem przekonania, bo podkreśla, że w sprawie „epizodu“ nie odstępuje „ani na jotę“ od zdania wyrażonego przed 10 laty“ (225) — chociaż tę jotę przynajmniej inaczej pisze, bo pomawia Skargę o protest przeciw „obwarowaniu konfederacyi“ (196), podczas gdy w „Nienawiści“ była mowa o proteście przeciw „obostrzonej konstytucyi o tumultach“ (119).

Nie zmienił także zdania co do skutków wystąpienia Skargi

przeciw „skryptowi wyznaniowemu“, i podtrzymuje nadal hypotezę, że zgoda króla na ów skrypt, — który nawiasem mówiąc całkiem bezpodstawnie przyrównywa do edyktu nantejskiego, — umożliwiłaby „przeprowadzenie zbawiennych reform sejmu i państwa“. (199).

Upieranie się przy tem przypuszczeniu, które w roku 1902. grzeszyło tylko naiwnością, teraz grzeszy grubą niekonsekwencyą, skoro w tychże samych „Studyach historycznych“, w których pomieścił szkic o Skardze, zamieścił także dłuższą rozprawę: „Dymitr Samozwaniec a Polska“ (str. 61 — 166), gdzie przedstawił związki rokoszan ze Samozwańcem, datujące się jeszcze z czasu przed sejmem 1606. związki, do których niektórzy senatorowie robią nawet wyraźną aluzyę w wotach sejmowych, przyczem wspominają także o pogróżkach niektórych ludzi, że ten sejm rozerwą, — o co nawet sam szkic nieśmiało potrąca (str. 205).

Jeżeli prawdą jest, że rokoszanie chcieli mieć królem Dymitra, stanowisko opozycyi sejmowej musiało być z góry przesądzone, a epizod Skargowski nie wiele tu znaczył, bo naczelnicy opozycyi musieli w tym wypadku prowadzić celową obstrukcyę, wytoczyć rozmaite „urazy“ przeciw królowi, zarzucać mu niedotrzymanie paktów konwentów, dążenie do absolutum dominium i żądać ustępstw niemożliwych do przyjęcia, żeby w ten sposób zyskać pozory do wypowiedzenia posłuszeństwa — jak to istotnie, niedługo po sejmie warszawskim Dyabeł Stadnicki uczynił na zjeździe lubelskim.

W tych „urazach“ musiała się oczywiście znaleźć i sprawa konfederacyi warszawskiej, bo chociaż Zebrzydowski był jej przeciwny, to jego wspólnicy, zagorzali dysydenci, nie mieli powodu i tej drażliwej dla króla sprawy na sejmie nie wytoczyć.

Ponieważ zaś krzyczeli najgłośniej, dlatego i w zapiskach sejmowych, zwłaszcza w zapiskach dysydentów, o sprawach konfederacyi najwięcej jest wzmianek, z czego jednakże wcale nie wynika, że sprawa wyznaniowa była dla historyi sejmu 1606. decydująca, jak usiłuje wykazać p. Sobieski, byle tylko fatalny

wpływ „epizodu Skargowskiego“ wbrew dokumentom, którymi się sam posługuje, przemocą podtrzymać.

Takim np. bardzo silnie przeciągniętym argumentem, że sprawa wyznaniowa dominowała na sejmie, jest podkreślenie szczegółu, że dnia 14. kwietnia w czasie sporu o jurysdykcyę duchowną i zniesienie apelacyi do Rzymu, duchowni „omal nie pobili się ze szlachtą“ (197); bo jeżeli z tego epizodu chciałoby się wyprowadzić logiczny wniosek dla charakterystyki całego sejmu, to jakiż wniosek należałoby wyciągnąć z faktycznej bójki, do której przyszło istotnie dnia 20. marca, kiedy to marszałek, Myszkowski, osobisty wróg Janusza Radziwiłła, nie tylko sam kilkakrotnie uderzył jego dworzanina Zienowicza, ale go jeszcze hajdukom kazał obić a potem do więzienia odprowadzić?

Niedomagania podobnych argumentacyi wyczuwał sam p. S. i dlatego tłumaczy się na końcu rozprawy, że „w ramach tak krótkiego szkicu nie można jasno uwypuklić różnych zawiłych starć w czasie tego zagadkowego... sejmu“ i dlatego jego historyę przedstawi w osobnem dziełku, gdzie będzie mógł „szczegółowiej wyświetlić — niemal dzień po dniu — całą genezę tej tragedyi sejmowej i rokoszowej“ (225).

Jakoż dziełko p. t. „Pamiętny sejm (1606)“ niedługo po tej zapowiedzi wyszło — ale niestety zamiast „różnych zawiłych starć“ mówi ono przeważnie o sprawach wyznaniowych na tym sejmie, które jednak całej genezy tragedyi sejmowej i rokoszowej wcale nie wyświetlają. To, że autor, „bardzo ciekawą sprawę na tym sejmie tj. sprawę kurateli pruskiej“ — wyłącza z obrębu badań, „nadaje się ona bowiem do osobnego studyum“ (3) — szkodzi wprawdzie historyi „Pamiętnego sejmu“, ale z genezą rokoszu mniej ma związku. Zato pominięcie sprawy o wiele ciekawszej, a dla poznania „całej genezy tej tragedyi sejmowej i rokoszowej“ nadzwyczaj ważnej, sprawy Dymitra Samozwańca, musiało się przyczynić do fałszywego przedstawienia historyi tego sejmu. Natomiast zamiar przedstawienia spraw wyznaniowych jako dominujących na sejmie, zupełnie się udał, zwłaszcza, że p. S. do przedstawienia sprawy wyznaniowej posługuje się

głównie Dyaryuszem gdańskim, w którym notowano wszystko, co z tą sprawą miało styczność, jako dla miast pruskich bardzo aktualną i bardziej Gdańszczan interesującą, aniżeli sprawa *absoluti dominii*, praktyk rakuskich, rozdawnictwa wakansów i innych spraw polską szlachtę głównie obchodzących.

Przyczynił się także do tego wadliwy układ książki. Dla wywołania bowiem silniejszych wrażeń wyłączył autor z „urazów“ sprawę wyznaniową do osobnego rozdziału (XVI), i przez to wyrwanie jej z kontekstu utrudnił oryentacyę; powtóre dlatego, że najszerzej rozwodzi się nad historyą tych kilku dni, w których o sprawy wyznaniowe istotnie najwięcej było sporów.

Udało się także p. S. uwypuklić jednostronnie sprawę wyznaniową, bo nie uwzględniał należycie późniejszych aktów rokoszowych, które wiele światła rzucają na jej znaczenie dla sejmu 1606. r., jako też przez to, że oparł się bardzo silnie na źródłach gdańskich, a świadectwa niezgodne z relacyą Gdańszczan uważa tem samem za podejrzane lub nieprawdziwe.

W źródłach gdańskich widzi tylko czasami skracania, przestawiania, mylne podawanie nazwisk, ale nie kwestyonuje ich relacyi w sprawie wyznaniowej na sejmie. Zapomina widocznie, że dysydentom miast pruskich zarzucali katolicy, a zwłaszcza Skarga, nie tylko grubą nietolerancyę, ale i niezachowanie tego artykułu konfederacyi warszawskiej, który zostawiał królowi „iura patronatus“ w miastach królewskich. (Skarga l. c. 428, 447). Miasta pruskie uważały za krzywdę to, że za sprawą Hozyusza udało się jeden drugi kościół katolikom odzyskać, a broniły się wszystkiemi siłami przed dopuszczeniem Jezitów.

Elbląg np., w którym Hozyusz w 1567 r. dwu jezuickich misyonarzy osadził, próbował wszystkich środków najdzikszej brutalności, by się ich pozbyć. W czasie nabożeństwa wpadały tłumy do kościoła, i wyciem, gwizdaniem, krzykiem przeszkadzały kazaniom; a raz taki grad kamieni posypał się na ambonę, że kaznodzieja osłoniwszy się płaszczem gotował się na śmierć. Przeszkadzali także odprawianiu mszy św., obrzucając kamieniami księdza przy ołtarzu; pozwalali sobie także bezkarnie na najwstrę-

tniejsze formy obrazy religii,[1] aż doczekawszy się pierwszego bezkrólewia, obu Jezuitów z miasta wyrzucili.

Gdańsk musiał przyjąć misyę jezuicką w 1582. r., ale oparł się skutecznie otwarciu w mieście kolegium, które też wystawiono na przedmieściu poza murami. Toruń przyjął trzech Jezuitów, wprowadzonych 1593. r. przez biskupa Tylickiego, ale otwarciu szkół opierał się do roku 1605., a gdy je wreszcie w tym roku otwarto, starał się obmierzić pobyt studentom w mieście, bo odmawiał im pomieszkania, wybijał okna i w szkołach i w kolegium, nie pozwalał robotnikom poprawiać budynku, przeszkodził procesyi Bożego Ciała, pozamykawszy ulice łańcuchami i obsadziwszy je zbrojnymi ludźmi; a w czasie sejmu 1606. r. przygotowywał się do wyrzucenia Jezuitów i studentów z miasta. (X. 224).

Pomimo takiego pogwałcenia zastrzeżonego w konfederacyi warszawskiej prawa patronatu królewskiego, miasta pruskie wysyłały na sejmy (1601, 1603, 1605) swoje gravamina na Jezuitów, a że je puszczano w reces, posłowie pruscy na sejmie 1606. r. nie zaniedbywali oczywiście swoich spraw połączeni z opozycyą, i dlatego nie należeli wcale do świadków bezstronnych, jak to akcentuje p. Sobieski (218), a stąd ich relacye należało traktować przynajmniej z takiem samem niedowierzaniem, z jakiem autor traktuje przedstawienia regalistów.

W sprawie „epizodu skargowskiego", który p. Sobieski opisuje tym razem tylko na dwu stronicach pod tytułem mniej awanturniczym „Noc przełomowa", wyrywa mu się bardzo charakterystyczna uwaga, że Skarga gani skrypt wyznaniowy za to samo, przeciw czemu już publicznie na sejmie biskupi w swoim skrypcie protestowali (str. 212).

Szkoda tylko, że z tego znamiennego faktu wniosku logicznego nie wysnuł i niepotrzebnie sam epizod znowu więcej niż o jotę zmienił, bo raz każe Skardze „nad samym ranem" obchodzić kolejno biskupów, a nieco niżej pyta się: „Cóż na to wszystko

[1] W czasie podniesienia, jak pisze Reszka (w Vita Hosii, księga II. str. 200 — wydanie z 1690 r.) „ausus est homo quidam turpissimus, depositis in medio templo caligis (o mores Lutheri Cacangelio dignissimos) obscoenissimas corporis sui partes altare versus exponere".

biskupi, których w nocy przygotował Skarga“? (216) podejrzywając go bezpodstawnie, że reguł zakonnych nie przestrzegał, skoro przed świtem opuścił furtę klasztorną, dobijał się po nocy do mieszkań posłów katolickich, a potem wraz z nimi budził biskupów, żeby ich przekonywać o tem, o czem już sami byli dostatecznie przekonani.

Następnie, po bardzo bałamutnym i niejasnym wywodzie o przedmiocie wyznaniowych sporów w ostatnim dniu sejmu, oskarża biskupów i Skargę o rozdarcie zgody sejmowej protestem „przeciw wolności sumienia“! (217), a z całego „Pamiętnego Sejmu“ wyciąga ostatecznie arcydziwaczną konkluzyę, że król przez ustępstwa w sprawach wyznaniowych nie tylko przejednałby innowierców, ale nawet, że „z największych anarchistów mogli stać się najwierniejszymi podporami tronu“. (252).

W pobudki wystąpienia Skargi przeciw „skryptowi wyznaniowemu“ p. S. niewiele się wdaje; nie zadaje sobie pytania, przeciw czemu właściwie Skarga protestował, i czy jako kapłan katolicki mógł inaczej postąpić.

Zadowala się pustym ogólnikiem, że Skarga protestował „przeciw wolności sumienia“, bo uważa frazes ten za efektowny dla pewnych kół czytelników, którzy z obawy, żeby ich własna wolność sumienia na czem nie ucierpiała, do pism Skargi nigdy nie zaglądali, salwując swą inteligencyę powtarzaniem oklepanki o fanatyzmie i nietolerancyi Skargi.

Onego czasu żalił się Skarga, że u nas „y ksiąg y pism do naprawy duszney, rzadkie czytanie... bo lenistwo do nauk y pamięci zbawiennych y zabawa ladaiaka od czytania odwodzi“. Dziś pod tym względem niewiele się zmieniło. Pism Skargi n. p. o sprawach wyznaniowych nie czytają dokładnie nawet ci, co jako fachowcy powinniby je poznać, zanim wyrok potępiający na Skargę wydali, zwłaszcza, że Skarga o sprawach wyznaniowych mówił i pisał bardzo wiele. Do poznania jego w tym względzie zapatrywań wystarczy jednakże przeczytać choćby tylko te pisma, w których wyłącznie temi sprawami się zajmuje, t. j. Upominanie do Ewangelików, Proces na Confederacyą i Diskurs na

Confederacyą. Bez znajomości tych pism ani katolickiej działalności Skargi, ani jego walk z różnowierstwem, a tem mniej epizodu skargowskiego na sejmie 1606. r. ocenić należycie nie można.

(C. d. n.)

Ks. Józef Sas

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Zagadnienia narodowej polityki. *Józef Milewski.* Wydanie drugie, uzupełnione.

Jako dyrektor Banku krajowego, a poseł do Sejmu ma profesor Milewski sposobność sprowadzać naukę ekonomii na grunt kwestyi realnych, a objawy życia badać naukowo. Temu połączeniu teoryi z praktyką zawdzięczamy książkę, która szukając problemu polityki narodowej układa naukę tej polityki nie w sposób oderwany, ale na tle żywych kwestyi naszego społecznego życia.

Teza Milewskiego jest ta: Jest zadaniem nauki znaleźć problem polityki narodowej.

Dotąd uważano państwo jako przedmiot polityki. Mianowicie uważają Niemcy państwo jako najwyższą formę organizacyi ludzkiej; za pomocą tej formy ma ludzkość, a w szczególe naród, jako jedność polityczna, najważniejsze cele swoje ująć i spełnić. W ten sposób powstała w Niemczech, a mianowicie Prusach idea *Staatssocialismus*. Milewski zwraca uwagę, że równolegle z rozwojem społeczeństwa pojęcie to bankrutować musi. Każda gałąź administracyi z takiego pnia czerpiąc usycha. Francuzi siłą się od dawna, aby polityce państwowej przeciwstawić narodową i reakcya przeciw ciasnocie dotychczasowego pojęcia robi tam znaczne postępy.

Benoist (*La politique*) przedstawia politykę jako naukę o życiu społeczeństwa (*de la vie*). Szersze pojęcie dali polityce Milewski i Czerkawski w swej *Polityce ekonomicznej*. Philippowich we Wiedniu pojął także szerzej mianowicie politykę ekonomiczną. Polska, która dzisiaj

państwa nie tworzy, z natury rzeczy tylko narodową politykę prowadzić może, przyczem pozostać może w łączności z przeszłością, w której pierwiastek narodowy tak często nad państwowym w polityce przeważał. Milewski pragnie tej polityce narodu dać gruntowną naukową podstawę i założył szeroko obławę, aby znaleźć jej zagadnienie.

Tytuł książki twierdzi, że zagadnienie takie istnieje. Trzeba tego dowieść, trzeba mianowicie wykazać, że narodowa polityka ma swoje cele, mniej lub więcej ściśle określić się dające i że tak samo określić można środki, które do urzeczywistnienia celów prowadzą. W tem leży zarazem rozwiązanie zagadnienia, do którego autor dochodzi w końcu swej pracy, w rozdziałach piątym i szóstym. Poprzednio trzeba zrozumieć istotę narodu (rozdział czwarty). Wziąwszy książkę do ręki i znajdując w pierwszym zaraz rozdziale charakterystykę naszego położenia, gotowym się jest przypuścić, że owa zwięzła ocena najróżniejszych kwestyi społecznego życia naszego zawiera już właściwą treść rzeczy, mianowicie, zanim się zoryentowało, że autorowi nie o zagadnienia, ale o zagadnienie, o znalezienie i wykazanie problemu narodowej polityki chodzi. Nie, ów pierwszy rozdział: „Nasze położenie", to dopiero przygotowanie czytelnika. Cele trzeba bowiem wysnuć z politycznego położenia rzeczy, oprzeć na bilansie sił, tak dodatnich jak niedomagań. Ten, kto położenie rzeczy trafnie zrozumiał, nie zawsze dobrze uchwyci cele i stosownych użyje do nich środków. Należy poważnie zbadać, starać się zrozumieć zadanie polityki i wielkie obowiązki tego, co się do politycznego działania zabiera, starać się posiąść kulturę polityki i jej sztukę. (Rozdział drugi). Wówczas jest się dopiero zdolnym do dobrego politycznego czynu. (Rozdział trzeci). Tak stawiając swą tezę, skupia Milewski ducha rozdzielonej ojczyzny i nawiązuje bezpośrednio do wielkich tradycyi umysłowości polskiej z epoki pierwszej połowy dziewiętnastego wieku. Wówczas — czy to Kraśiński czy Libelt, Cieszkowski czy Supiński — wszyscy widzieli i uznawali jedną kwestyę polską ponad codzienne dzielnicowe zagadnienia. I później, im wyższy duch, tem większy obszar polityczny i z wyższego stanowiska obejmował. Tak stwierdził Szujski w odczycie o Długoszu, że „po epoce poezyi przedewszystkiem przyszło nauce wogóle, nauce historyi w szczególności, brać się do połączenia rozbitych, rozdzielonych, nieszczęśliwych, a przecież jeszcze w nieśmiertelnej czujących się jedności".

* * *

Położenia naszego nie przedstawia Milewski w różowych kolorach. Jednakowoż „ludność nasza wzrasta, pogłębienie narodowej świadomości rozszerza się, patryotyzm przestał być objawem pewnych tylko warstw i tracimy cechę wyłącznie agrarnego typu". I dusza nasza podniosła się, bo już często „nienawidzimy błędy nie zaś ludzi". Niestety bilans nasz wykazuje znaczne saldo *debet*. Dobrze jest przyjrzeć się pojedynczym pozycyom bilansu. Przyzwyczajeni czytać oceny z zabarwieniem partyjnem, z przyjemnością widzimy, jak prosto ocenia wartości umysł uczony a kochający prawdę, jak wstawia każdą bez kompromisów i wahań w rubrykę, do jakiej należy. Te krótkie wyjaśnienia i oceny kwestyi, wśród których żyjemy, nad któremi namyśla się każdy inteligentny pracownik społeczny, są ozdobą dzieła. Krótkie są, bo stanowią tylko konieczną charakterystykę tła, na którem autor poszukiwania swe opiera. Rozumna dyspozycya wymagała, aby gruntownością opracowania szczegółów nie obciążać i nie zacieśniać wątku myśli; autor zadawalnia się zatem podaniem wszędzie kwintesencyi naukowej i praktycznej w niewielu słowach. Szkoda, że czasem podaje tylko tytuł a nie charakteryzuje wcale. Brak społeczeństwu n. p. charakterystyki jego „rozstrojów i ekscentryczności, gonitwy na efekt". Ale stwierdza przynajmniej „rozstrój umysłowy i moralny, adorujący tylko to, co obce i dziwne, puszczający w niepamięć lub poniewierkę, co swoje i swojskie, hołdujący wszystkiemu, co nowe". Powstają u nas organizacye i obozy wprost nieuznające narodowych celów i ideałów. Nowe te formacye są dotkliwem osłabieniem naszej siły i spoistości. I kiedy „praca polityczna z jednej strony budziła narodową świadomość wśród warstw dawniej uśpionych, równocześnie inna ujemna dokonywała się praca, różna od narodowej, nie w środkach tylko, lecz i celach, propagująca inne cele, inne ideały, inne organizacye".

Do ujemnych objawów w dziedzinie społeczno-gospodarczej zalicza Milewski przedewszystkiem wzrastającą w ostatnich latach tłumną emigracyę ludu. Bo „nasza emigracya nie jest kolonizacyą, ona idzie zdobywać jedynie chleb dla siebie, nie rozszerzać ojczyznę i stąd przeważnie jest czasową, podjętą z myślą powrotu do kraju".

W tym exporcie ludzi upatruje wielką szkodę dla nas i niebezpieczeństwo. „Komunikacye nowożytne i coraz doskonalsza technika produkcyjna wytwarzają wszechświatowe gospodarstwo". „Przemiana ta rokuje jednym wzrost zarobku, drugim grozi stratami. Zastosowanie się do wyzyskania położenia wziął w rękę rząd niemiecki.

Warunkiem zwycięskiej konkurencyi przemysłowej na targu świata jest taniość produkcyi, tej zaś najważniejszą pozycyą płaca robotnika. Niemiecki przemysł mógł taniego robotnika mieć tylko, skoro krajowe rolnictwo nie wystąpi do współzawodniczej walki o podaż robotnika; trzeba więc było umożliwić przejście znacznych zastępów robotniczych z rolnictwa do górnictwa i przemysłu, z równoczesnem zapewnieniem rolnictwu robotnika na okres wielkiej jego potrzeby. I tu geneza tolerowania naszych sezonowych robotników w Niemczech. Wpuszczają ich tylko na okres pilnej potrzeby, wydalają na zimę, aby rolnictwu oszczędzić ciężaru całorocznego utrzymania robotnika. W ten sposób zapewniły sobie Niemcy względną taniość robotnika, tak w przemyśle jak w rolnictwie, wytworzyły sobie doniosły warunek dla zwycięskiego, przemysłowego rozwoju. I w tem właśnie tkwią dla nas owe szkody i niebezpieczeństwa. „Przedewszystkiem ubytek coroczny kroci tysięcy robotnika powstrzymuje naszą reorganizacyę i rozwój produkcyi i to zarówno rolniczej jak i przemysłowej. Dalej, ułatwiając zwycięski rozwój niemieckiego przemysłu utrudniamy uniezależnienie nasze ekonomiczne od kieszeni. Boję się, że my dziś nie dość widzimy i oceniamy te nowe niebezpieczeństwa exportu naszych ludzi, naszej pracy, boję się, że coraz potężniejący, naszą pracą dźwigany stan i byt niemieckiego przemysłu gotów kiedyś żelazną przewagą zaciężyć na naszej ekonomicznej odradzającej pracy, zgnieść jej ogniska".

Ale proces wynarodowienia odnosi się u nas nietylko do ludzi. Ulega jej i ziemia i różne dziedziny produkcyi.

Milewski upatruje „w rozmiarze i pośpiechu parcelacyi naszej niebezpieczeństwo społeczne, gospodarcze i kulturne". Zatem nie jest, jak twierdzono w ostatnim czasie we Lwowie, zasadniczym przeciwnikiem parcelacyi, ale zarzuca tylko jej rozmiar i pośpiech. Co prawda, odpowiada pośpiech tylko rozmiarowi podaży, która jest ogromna i robi wrażenie, jakoby właściciele folwarków uważali, że przy obecnym stanie rzeczy utrzymać się nie potrafią. Z jakich racyi — nie pora o tem na tem miejscu się rozwodzić. Inni krytykują znowu sposób parcelowania i jej skutek, który zaznacza się we wschodniej Galicyi przez przechodzenie ziemi parcelowanej w ręce ruskich chłopów. Milewski nie zatrzymuje się nad temi kwestyami, stwierdza tylko „przechodzenie ziemi w cudze ręce" (str. 27). Na kolonizacyę przemysłową obcą między nami zgadza się, jeżeli stawia przykład i gotowa zrosnąć się z krajem, nie, gdy trwale zostaje w an-

tytezie do kraju i czuje się solidarną z ręką, co (jak niemiecka w Królestwie) „kiedyś chce politycznie opanować", a tymczasem już gospodarczo kolonizuje, nabytki ziemi, kopalń, zakłady, stosunki handlowe, stanowiska ludzi jako swe forpoczty i posterunki uważa" (28). Te i następne uwagi o niedostatecznej u nas kapitalizacyi w ogólnem pogorszeniu naszego położenia, w stosunku naszym do niepolskich czysto narodowości w granicach dawnej Rzeczypospolitej, na Litwie i Rusi, są cenne tak samo, jak krótkie uwagi o rozwoju kwestyi żydowskiej u nas (str. 29—41). Zaznacza on rozwój żydów *in pejus* przez liczebne przeładowanie i z powodu działania naszej kooperatywy wszelkich typów. Na podłożu takiej przemiany rozwija się socyalizm żydowski, jako organizacyá nienarodowa, a wreszcie w wyraźnej już antytezie do nas, mocą współczesnego ducha kollektywizmu, syonizm, jako idea koncentracyi żydowskiej. I w stosunkach licznych kolonii niemieckich, wiejskich i miejskich, na całym obszarze dawnej Rzeczypospolitej ujawnia się „zastój i zanik naszej siły asymilacyjnej". A na samym końcu tego przeglądu naszych strat, trudności, ryzyk i ubytków wspomina Milewski „o bolesnem jeszcze psychicznym ubytku". „Mieliśmy już w epoce Stanisława Augusta ludzi, którzy pod wpływem strachu przed imperatorową zatracili zupełnie zmysł polityczny i wolę do czynu... Minęło z góry sto lat, a niestety do dziś spotykamy podobne typy. Nie ich ostrożność raziła, bo ta w sprawach publicznych zaletą i zasługą, lecz zupełny brak wiary i brak programu. Boć programem żadnym nie jest oglądanie się na cudzą rolę". „Drugim i pokrewnym błędem to znów pewna konfuzya w pojęciach i uczuciach, istotne niezrozumienie realnej polityki. Biorąc system za ideał, chwilowe za przyszłe, obniżali (odnośni ludzie) polot swej myśli, swych aspiracyi, przez to obniżali i program swych praw, ścieśniali zakres obowiązków. Obniżka myśli i pracy musi wytwarzać obniżkę rezultatów. Rzekomo trzeźwy realizm, co odrzucał Mickiewiczowskie hasło: „mierz siłę na zamiary", obniżając zamiary, obniżył i siły, zawinia deficyt rozwoju". Godzę się tylko na pierwszą, nie zaś na końcową część tych uwag. Krótkość apostrofy co do Mickiewiczowskiej sentencyi, o której tyle już u nas pisano, nie pozwala mi zbadać, czy autor nie staje w niezgodzie z własnemi rozumnemi uwagami o błędnej gotowości do powstańczej ruchawki, jaka się znowu w ostatnich miesiącach u nas objawiła. Mojem zdaniem należy przy sentencyi Mickiewicza odróżniać zamiar, jako ideał, od zamiaru, jako zadania realnego. Ostatni może być rozsądnie

zawsze tylko wedle sił obliczony, czemu bynajmniej nie przeszkadza zaliczyć do obrębu sił niewątpliwe dzieła entuzyazmu i poświęcenia. Bułgarzy i Serbowie n. p. mogli liczyć słusznie, że ich ataku na bagnety nie wytrzymają kadry tureckie, ale Czarnogórcy nie mieli racyi, idąc z bagnetami na skały i ukryte w nich wojsko tureckie pod Skodrą. Skutki obu rodzajów ataków okazały słuszność rozróżnienia. Trzeba było Czarnogórcom potracić niepotrzebnie ogromną część wojska, aby zamiar i siły rozumnie dostosować, sprowadzić lepsze armaty i pomocy serbskiej doczekać, zanim ataki ze skutkiem powtórzyli.

W drugiem wydaniu dodaje Milewski do obrazu położenia naszego charakterystykę neoiredentyzmu polskiego i prowincyonalizmu w polityce. Neoiredentyzm, zwany u nas kierunkiem niepodległościowym, pisze i mówi wprost o konieczności spisku, „przyczem nie liczy na zdobycie niepodległości. Nie potrzeba słów tracić nad powierzchownością, szkodliwością i niebezpieczeństwem takich poczynań. A niestety nie brak wskazówek, że obca ręka znów chciałaby nas mieć w pogotowiu i to znów bez żadnych gwarancyi korzyści dla sprawy polskiej".

Z ostrem potępieniem prowincyonalnej polityki wystąpił Szujski, kiedy w r. 1860 zaczęto prowadzić w Galicyi politykę z zewnętrzną cechą prowincyonalizmu, pisząc, że „byłoby to zerwaniem z ojczyzną". Milewski uważa, że ta polityka Szujskiego i jego grupy, polityka uznania Austryi i stanięcia przy Austryi, która miała dwa cele: 1) ujęcia rządu kraju w swe ręce, 2) wpływu na Austryę w wewnętrznej i zagranicznej polityce w kierunku potrzeb i celów polskiej narodowej polityki, zgodnej, jak uznawano, w wielu zasadniczych punktach zagranicznych i wewnętrznych zagadnień z polityką austryacką — że polityka ta wymaga obecnie rewizyi. Bo „nadzieje, które były przesłanką tego programu, okazały się niezisczalnemi". Stwierdza, że na międzynarodowe konflikty — Milewski pisał swe uzupełnienie przed wybuchem wojny bałkańskiej — jesteśmy nieprzygotowani i domaga się czujności, przygotowania, abyśmy przez wypadki nie byli zaskoczeni, żebyśmy nie pominęli sposobności poprawy naszego położenia lub pasywnością swą, brakiem oryentacyi i organizacyi idei, nie byli narażeni na stanowcze pogorszenie naszego położenia". „Może więc nadejść chwila, gdzie trzeba będzie zaznaczyć istnienie kwestyi polskiej, czynnie stanąć w jej obronie i na tę epokę potrzeba wyrobionej, jednolitej opinii, jednolitego programu". „Warunkiem znów tego jest: wzajemne

znanie się, wzajemne znanie spraw i położenia każdej dzielnicy, to bowiem dawać dopiero może pełną świadomość narodową i polityczną, uchronić od wad i szkód prowincyonalizmu, rozbieżnego działania. A troska o to jest koniecznością w miarę demokratyzacyi społeczeństwa, gdy coraz większy wpływ zyskują warstwy i ludzie zrośli tylko z lokalnymi stosunkami, którym warunki życia narzuciły *a priori* tylko prowincyonalny horyzont" (str. 53). Jak wielką miał autor słuszność, przyznać możemy wszyscy, którzy od 1 października 1912 r., t. j. od mobilizacyi wojsk bałkańskich patrzymy z boleścią na brak oryentacyi, rozbieżność idei i jakoby już zanik siły porozumienia się trzech zaborów. Dopiero w przedmowie do drugiego wydania swej książki mógł Milewski w grudniu 1912 r. napisać: „Wypadki bałkańskie i grożąca ewentualność wielkiego europejskiego zatargu poruszyły żywo umysły, dały pochop do przeróżnych manifestacyi. Ze smutkiem stwierdzam wspólną cechę wielu tych objawów: wybitny prowincyonalizm nie umiejący objąć i rozważyć całości narodowego interesu, nie rozważający dostatecznie szansy zysku i ryzyka szkody dla całego narodu, dla całości i przyszłości naszych zagadnień. Prowincyonalizm ten szedł tak daleko, że jedna część decydować chciała za całość... I nie brakło głosów, w których silniejszą była społeczna i polityczna nienawiść niż miłość Ojczyzny, nie brakło i głosów, w których nieświadomie stawiano się w służbę innych celów" .. Równie słusznie kończy uwagą, że „ujawniona w tych manifestacyach i „oryentacyach" rozterka myśli, roli dążeń, stwierdza najlepiej doniosłość i konieczność poważnego rozważania zagadnienia naszej narodowej polityki".

* * *

Tę naukę polityki traktuje autor zasadniczo, tłómacząc z wszystkich stron jej właściwe znaczenie, pojedyńcze teorye, oraz ich niedomagania. Ale przedewszystkiem pragnie naszkicować ramy zagadnień, istniejących dla nauki narodowej polityki, tak teoretyczne jak praktyczne. „W. A. Dunning w swej historyi teoryi politycznych stwierdza, że po upadku Grecyi milknąć poczyna ich filozofia polityczna. Duch czasu był mało przychylny filozofowaniu o rządzie. Myślące umysły odwróciły się od rozważania form konstytucyjnych, gdyż te zagadnienia już nie były realne. Może podobne i u nas wpłynęły czynniki na niewyrobienie się dotąd naszej nauki polityki".

Samo historyczne zbadanie dawniejszego rozwoju społeczeństw

i środków *ad hoc* ujętych nie da nam tak samo rozwiązania politycznych zagadnień, jak analiza prawa politycznego i rezultaty porównawczej nauki. Idealiści datujący się od Platona powiadają już więcej, bo nie tylko, co zrobiono, ale i co zrobić należy. „A polityka, mająca przecież być czynem społeczeństwa, wiedzieć powinna dokąd ma dążyć. Praktyczni Rzymianie nazywali ją *civilis providentia*. Milewski powiada, że i ten kierunek nie wystarcza, bo trzeba jeszcze wiedzieć, jak robić. Wyradza się z niego „także aprioristyczny dogmatyzm, który stawia wymagania bez uwzględnienia realnych warunków".

Sentencya *civilis providentia* była zapewnie najdoskonalszą formułą na określenie zadania polityki obywatela kraju w państwie rzymskiem, państwie prawa. W pojęciu *civilis* obejmowała także ramy i granice działania obywatela, przyczem uprawnienie do gwałtów wobec *barbari* bynajmniej poza te ramy nie wychodziło. Swoją drogą mógł traktat naukowy jakiego Papiniana te ramy szczegółowo wypełnić. Ale dzisiejsza kultura razem z milionami ustawowych przepisów prawnych a chaosem pojęć etycznych i zadań społecznych zarzuciła wszelkie ramy i obok szerokich obszarów możliwości stawiła naród i każdego osobnika przed nieznane wyżyny i głębie. Dziś formuła *civilis providentia* nie odpowiada już na pytanie, jak robić, — odpowiedzieć na nie musi raczej specyalna nauka polityki. Słusznie dodaje Milewski: „A im niższą polityczna kultura w danym kraju, tem także programy (scil. klasowe lub partyjne), hasłami tylko będące, większą i trwałą szkodę mogą wywołać, bo bałamucą umysły i dążności szerokich kół, mogą w zgubnym jednostronnym kierunku popchnąć nawet czyny społeczeństwa". „Kto jedynie ideały wskazuje, a nie poda sposobów ich urzeczywistnienia, ten ryzykuje, że sprowadzi naród na manowce, bo manowcem politycznym jest skierowywanie umysłów i usiłowań ku celom nieziszczalnym, ku niedoścignionym ideałom; on zasługuje dalej na słuszny zarzut, że umie jedynie postawić zagadnienie, nie umie dać jego rozwiązania" (str. 68).

Razem z socyologią czyli nauką o życiu społeczeństwa poczyna rozwijać się w 19-tym wieku nowa realistyczna nauka polityki, jako nauka o celowem życiu społeczeństw. Pomimo rozbieżności w szczegółach mają teorye tej nowej nauki politycznej jeden rys wspólny: „ograniczenie zakresu polityki do działania państwa, rozważanie wyłączne lub przeważne tylko początków państwa, jego rodzajów, zadań, funkcyi i struktury. O działalności społeczeństwa w dziełach

tych mówi się prawie tylko przy ustaleniu granic dla słusznego wymiaru państwowej t. j. przymusowej organizacyi i inicyatywy"- I powiedzieliśmy już na wstępie naszych uwag, że zasługą Milewskiego jest wykazanie niedostateczności ograniczania nauki polityki do państwowego działania. Rzecz prosta, że właśnie nasz naród wytworzył teoryę, która rozpatruje nie państwo, a naród, jako podmiot polityki. Życzyć należy, aby nauka ta, coraz pogłębiana i rozwijana przez swego inicyatora, przyjęła się nietylko w naszym narodzie. Prawdziwszą ona jest i realniej chwyta wszechludzkie dążenia w usiłowaniach narodów niż Mickiewiczowski mesyanizm, który apoteozując jeden naród, psuć musiał tę łączność z innymi narodami, którą nasza dzielność wojenna za napoleońskich czasów i wszechludzkie starania nasze („za naszą i waszą wolność") wytwarzały.

* * *

Wykład, jakim powinien być czyn polityczny, na nauce polityki oparty, podaje znowu w krótkich słowach tylko rezultaty myślenia autora. Pod formą jasną i prostą ukrywa się rozległość i głębia myślenia, którą czytelnik nie od razu poznaje, przejęty szczerością i prawdą wywodów. I rzeczywiście, dobry czyn polityczny nie harmonizuje ze stosunkami, jakie nas otaczają, w których często „władzy nie pojmuje się jako najwyższy obowiązek, czem jest istotnie, i czem być powinna, lecz jako najwyższe prawo, i to prawo odsuwania innych, a zapewnienia sobie i swym stronnikom najwyższego udziału w korzyściach zdobyczy". Dobry czyn polityczny jest świadomem działaniem powiększającem siły narodu. Brudne drogi sił nie powiększają. Machiawelego teza zatruła życie polityczne uprawnieniem złej wiary, oszustwa, podstępu, kłamstwa i zbrodni, byle wiodły do celu. Ale co jest środkiem chwilowych sukcesów, jest źródłem trwałej demoralizacyi (126). „Machiawelizm jest wprost antyspołeczną i antycywilizacyjną praktyką i doktryną". Sądzę z mej strony, że obok kościoła tylko nauka polityki, idąca z narodu, tę prawdę światu wykazać jest zdolna. Obok Polski wzrasta reakcya przeciw niskiemu i brudnemu pojęciu polityki w Anglii i Francyi, gdzie polityka najbardziej jest narodowa. I w całej wielkiej literaturze polityki odzywają się obecnie głosy zgodne z prawdziwemi zasadami chrześcijaństwa. We Francyi nikt mniejszy jak dzisiejszy prezydent republiki Poincaré jest przeciwnikiem wszelkiego obniżania ideału.

Wedle wykładu Milewskiego obejmuje polityka pracę całego

społeczeństwa. Mianowicie u nas jest czynem politycznym „wszystko, co utrzymuje i pogłębia naszą indywidualność, co utrwala istotę narodu, co podnosi siłę narodu, ulepsza jego warunki bytu (str. 139)". A jakkolwiek w tej naszej pracy każda jednostka, każda rodzina swem postępowaniem wpływa na byt i siłę narodu, nie mniej jest polityka „sztuką trudną, a wielką i szlachetną, sztuką rządzenia ludźmi, skierowania ich woli, pragnień, czynów, zasobów w kierunku dodatnim" (str. 96). W przeciwieństwie do tej sztuki przedstawia autor „obniżenie się jej poziomu, wydostanie się na arenę polityczną, na wpływowe stanowiska nie mężów stanu, lecz kondotierów, politycznych spekulantów. Nie troska o społeczeństwo lecz o własny zysk, rozgłos, karyerę, jest ich sprężyną działania (str. 100)". O tem pisał już autor w pierwszem wydaniu swej książki; w drugiej dodał wykład, co jest mąż stanu i jak potrzebną jest nauka i kultura polityczna. Dołącza także myśli o szeregowaniu ludzi i o dowództwie w życiu i działaniu politycznem.

* * *

Stosownie do swej tezy musi Milewski zbadać zagadnienie istoty narodu, a że to czyni pierwszy w literaturze polityki, pokonywać musi rozliczne trudności językowe, rzeczowe, odmienności historycznego rozwoju pojęcia „naród". Poszukując genezy narodowego zagadnienia, zestawia pojęcia obcych i naszych pisarzy dawniejszej i dzisiejszej doby. Wyliczając prace polskie, omija dobrą pracę dra Skarzyńskiego ze Spławia w Wielkopolsce pod tytułem *Nasza sprawa*, która byłaby dlań zapewnie tem ciekawszą, ile że zawiera historyczny rozwój pojęcia narodu w Polsce, którego nierównomierny rozwój u nas Milewski na wstępie tego rozdziału zaznacza. Mamy ładne prace w tym zakresie: I. Smitko dał *Zarys pojęć o narodzie*, Dr. Skarzyński rozwój tego pojęcia w Polsce, Rymarkiewicz znów metodę nauki (*Ethnologia czyli Nauka o narodowości w zarysach* w r. 1849). Do tych prac dołącza teraz Milewski swe cenne poszukiwania istoty narodu. Łącznie z poważnemi pracami Libelta, Cieszkowskiego i Supińskiego jest u nas materyał dobrze przygotowany, aby zagadnienie „istoty narodu" ująć i opanować samodzielnie ku wszystkim stronom w jednej pracy. Byłoby to dzieło, jakiego inne narody nie mają, mieć też prawie nie mogą, a które uzasadniałoby spójnię naszą z usiłowaniami kulturalnemi narodów, kompletując i ich dążenia w sposób zasadniczy. Znajdzie taka praca uznanie nie w Niemczech, ale znaj-

dzie je w Anglii i w obecnej Francyi, dziś za rządów Poincarégo, który pokrewne swe poglądy złożył nie tylko w książkach, za które przyjęty został na członka Akademii, ale składa je obecnie w stosunku swym do młodzieży i w występach publicznych, w ramach wskazanych przez dyplomacyę i stosunki państwowe.

Cennym jest także w rozdziale o istocie narodu ustęp końcowy o trzech żywiołach, które składają się na pojęcie narodu: świadomość narodowa, ludność i kraj. Świadomość spełnia funkcyę moralnego rządu i bez niej „nie wystąpi wogóle celowe działanie zbiorowe". „Mała garstka ludzi, rozsiana wśród obcego żywiołu, może mieć wielkie i żywe poczucie swej wspólności, może czas pewien opanować swą organizacyą, rozumem, kapitałem te obce żywioły, ale nie posiada trwałych warunków narodowego ustroju. Na to potrzeba i znaczniejszej liczby ludzi i własnego kraju. Stąd też wśród syonistów odzywało się uzasadnione dążenie ponownego narodowego owładnięcia Palestyny, aby mieć podstawę terytoryalną swego bytu narodowego".

Zgadzam się na tezę, iż nie wystarcza świadomość narodowa, że potrzebną jest raczej narodowi i ziemia, aby miał prawo zwać się narodem, bo takie pojęcie zgadza się tak z historycznym rozwojem pojęcia „naród", jak z ogólnem i z odwiecznie polskiem pojmowaniem istoty narodu. Póki mieliśmy i mamy ziemię, każdy słuszność tej tezy odczuwał i wyznaje. Ale w zaborze pruskim zanosi się na praktyczne jej zastosowanie i dla tej części narodu staje się ta kwestya piekącą. Tam rozszerza się już między inteligencyą pojmowanie mem zdaniem fałszywe: i bez ziemi będziemy narodem. Tak nie jest. Naród polski będzie miał w danym razie tam braci, którzy należeć będą do narodu polskiego, ale będą jego składową częścią już niekompletnie żywą, połączoną przez świadomość narodową z temi dwiema szczęśliwszemi częściami, które mają ziemię. Łudzą się oni dziś, pocieszają, ale dopiero jako ludzie prawie bezdomni odczują to dobrze i sami skarżyć się będą: nie jesteśmy już pełnym narodem. Wówczas narodową ich duszę ratować będzie w przeważnej mierze świadomość narodowa, która ważniejszym jest składnikiem narodu niż ziemia. Pierwszeństwo to zaznacza trafnie Milewski w słowach: „Nasz byt zależy przedewszystkiem od samej świadomości". Ale za daleko mem zdaniem idzie, gdy dodaje: „Dokąd ona sięga i gdzie trwa, tam źródła naszej siły, żywioły naszej pracy, tam nasze granice" (str. 211). Bo i ziemia jest źródłem siły, żywiołem pracy i zakreśla granice.

Bystrą i wobec ogólnego prawie patryotycznego rozczulenia naszego nad każdą właściwością i cechą naszą narodową potrzebną jest uwaga Milewskiego, że „nie każdy produkt narodowego rozwoju i nie każda właściwość zasługuje na szacunek i pielęgnowanie. Owszem wyrwać trzeba z ustroju i idei, co błędnem, złem, zabójczem, pielęgnować tylko, co dobrem, co siłą". „Montesqieu słusznie podnosi, że zaletą Rzymian było, iż umieli przyswajać sobie i wprowadzać wszystko dobre, co u innych narodów zauważyli, a Schäffle włącza wprost w definicyę pojęcia ludu zdolność rozwoju (*Entwickelungsfähigkeit*), dodając, że lud ginie, skoro się nie rozwija". Otóż to wielkie szczęście nasze, że lud się rozwija i ma silne pragnienie rozwoju. „Ale wprowadzać trzeba nie co obce, co nowe, ale co dobre". Uwagi te i następne dlatego uważam za pożądane, ile że prześladowanie narodowości miewa zawsze ten skutek, iż wzbudza miłość gorącą i troskę bezkrytyczną do wszelkiej narodowej właściwości i tem samem, zaciemniając wzrok na konieczne potrzeby wewnętrznej reformy, tamuje postęp w rozwoju duszy.

Jakie są cele narodowej polityki wogóle, a jakie szczegółowo polskiej, jaką jest sfera działania społeczeństwa, a jaka państwa? Tu mówi już autor o samem zagadnieniu narodowej polityki. Najprzód trzeba jasno rozróżniać między pojęciami. Istnieje socyalizm jako gromadne parcie z dołu i socyalizm państwowy, który pragnie wszystko opanować dla państwa. Oświecony absolutyzm dba o rozwój kraju dla potęgi państwa, a pragnie być nietylko mózgiem i rozumem społeczeństwa (w Prusach *beschraenkter Untertanenverstand*), ale nawet jego sumieniem (*cujus regio illius religio*). W przeciwieństwie do tego absolutyzmu, który w Prusach do dziś jeszcze istnieje w nieustannych aspiracyach rządu i uniżonej służbie administracyi, staje skrajny indywidualizm.

Następnie istnieje poczucie narodowości, które idzie w parze z demokratyzacyą społeczeństwa i łączy ludzi do zbiorowego działania; ale jest także pojęcie narodowego państwa, które poczuciu narodowości bywa przeciwne. Za pomocą administracyi swej przeprowadza państwo narodowe program narodowego zniszczenia, jeżeli z celami państwa według zamysłów rządu się poczucie narodowości nie zgadza. „Prof. Bernhard kończy swą książkę o nas uwagą, że dotychczasowe wyniki i czyny i ustawy rządu pruskiego nie zdołały nas złamać — rozszerzyćby i pogłębić trzeba te badania, a zyskałoby się na podstawie naszych porozbiorowych doświadczeń ważne wy-

niki dla teoryi polityki, dla analizowania granic wpływu państwa i analizę sił, rozstrzygających o życiu i bycie narodów. W każdym razie wyniki te byłyby ujemne dla doktryny omnipotencyi państwa". Równouprawnienie narodowe nie jest bynajmniej negacyą ni osłabieniem uczuć narodowych. Własny rozwój nie jest warunkowanym zniszczeniem czy osłabieniem drugiego. Jak w ekonomicznej dziedzinie zrozumiano, że podstawą ustroju jest dobra kooperacya, a nie wyuzdana konkurencya, tak i w polityczno-narodowej dziedzinie do zrozumienia tego dojść się musi i powinno. Zrozumieniu stoi na przeszkodzie wyłączne pojmowanie polityki jako problematu siły, nie jako problematu prawa, uznawanie moralności jedynie za normę prywatnego życia a nie normę politycznych stosunków. A przecież złą jest zasada, że państwu wszystko wolno, złą etycznie i politycznie. Uczył św. Tomasz z Akwinu, że ponad ludzkiem prawem jest prawo boskie, pracowała filozofia polityczna nad zagadnieniem nienaruszalnych praw człowieka, starano się to ująć w niektóre konstytucye, n. p. Stanów Zjednoczonych, Francyi, a niedostateczne wyniki tych prac i usiłowań nie są bynajmniej zaprzeczeniem istnienia zagadnienia, ale nadają każdej ustawie istotny charakter prawa" (str. 228). „Działało, działa i działać powinno państwo w ogólnym interesie, ale obok tej działalności była, jest i być powinna szeroka działalność swobodna społeczeństwa, ogólne dobro, a nie własne tylko interesa połączonych w działaniu jednostek mająca na oku. Wystarczy tu przypomnieć działanie Kościoła, który w dziedzinie etyki, oświaty, nauki, sztuki, charytatywnej troski o nędzę, chorobę, nawet i materyalnej pracy, tyle kart dziejów zaszczytnie zapisał, dalej korporacye, fundacye, assocyacye przeróżne, a wreszcie liczne jednostki, które swą pracą, myślą, czasem, groszem, przykładem bezinteresownie służą sprawie bliźnich, sprawie publicznej" (str. 230). „Zarówno dawny absolutyzm jak rewolucya parły do zatomizowania społeczeństwa, do przedstawienia państwa jako jedynej zorganizowanej siły społecznej, jedynej zdolnej do skutecznego działania. Przyłączyły się tu zarówno programy socyalistyczne, pragnące uspołecznienia czy upaństwowienia produkcyi, ewentualnie i konsumcyi, jak dążenia nowożytnego imperializmu, chcącego ugruntować swą władzę na wzrastającej zależności ludzi". Przeciwko rozszerzeniu ekonomicznej działalności państwa poczyna się stanowcza opozycya mianowicie we Francyi, która żąda „powrotu państwa do

jego funkcyi naturalnej, aby było kontrolą a nie kierownikiem życia społecznego (str. 231).

Nasze położenie narodowe wskazuje nam jasno, jakie w tej spornej kwestyi rozgraniczenia swobodnej sfery działania społeczeństwa, jednostek a działalności państwa my stanowisko zajmować mamy. „Wszelkie rozszerzenie kompetencyi państwa, jako takiego, grozi nam, że powiększymy liczbę placówek i narzędzi zwracających się lub mogących się zwrócić przeciw nam". Z faktu, że każdej instytucyi używa się przeciw nam lub użyć można w epoce prześladowczego szowinizmu, wynika dla nas smutna i trudna konsekwencya położenia, że sami wytwarzać musimy instytucye, które gdzieindziej rząd wytwarza. Milewski trafną tu robi uwagę: „Stąd też dla oznaczenia celów naszego działania nie jest rozstrzygającym wynik teoryi abstrakcyjnej o słusznem rozgraniczeniu sfery państwowego a społecznego działania, lecz winniśmy uważać całość życia za zakres naszych celów, jak najbardziej oprzeć się o własne instytucye, coraz szerzej i pełniej na urzeczywistnieniu samopomocy społecznej (str. 233).

I oto cel narodowej polityki, cel ogromny, do którego społeczeństwo nasze z wytężeniem sił już dąży. Milewski uzasadnia go bliżej. „Cele nie są dowolnym wytworem umysłu, lecz wynikają z realnych potrzeb społecznego życia", a „potrzeby należy dzielić nietylko podług kategoryi, lecz uwzględnić w każdej kategoryi stopień napięcia potrzeby". „Tak jak siłę łańcucha ocenia się po sile najsłabszego ogniwa, a rdza przegryzająca jedno ogniwo niszczy siłę i spoistość całości, tak i siła narodu zależy od siły, spoistości, czystości wszystkich jego ogniw, wszystkich składników".

Zależy także na rozumnym wyborze między zadaniami. Nie chodzi o kulturę na pokaz. „Prawdziwą kulturę domu ocenia się nie po salonie lecz po kuchni i sypialnym pokoju". Chodzi o politykę na dłuższą metę. „Nie wszystkie też zadania dają się podjąć równocześnie. Od przeszło stu lat nie było wielkiej wojny w Europie,... zawieruchy, gdzieby „nie biegli i nie ginęli Polacy, złudzeni nadzieją, że może z tego co dobrego dla Polski wyniknie. Dwa te momenta złożyły się na deficyt ludzi i zasobów". „Dysproporcya potrzeb i środków jest czynnikiem osłabienia i niezadowolenia, czynnikiem powiększania zadań a utrudnienia pracy. Ale tem więcej też potrzebnym jest u nas jasny program co do kolejności podejmowania zadań".

Pierwszem zadaniem narodowej pracy to utrzymanie tego, co stanowi istotę narodu. Dalej wykazuje autor potrzebę dostatku ludzi,

a „stąd liczne ludnościowe zadania, jako pośrednie cele narodowej polityki". Następuje dziedzina gospodarcza jako „podstawa, warunek i czynnik wszechstronnego rozwoju narodu". W Anglii i Francyi są nietylko ziemia, domy, kopalnie, fabryki własnością krajowców, lecz są też wierzytelności i przedsiębiorstwa zagraniczne. U nas coroczna produkcya ma pokryć przedewszystkiem procenta od zagranicznych długów i t. d. A prócz tego „trwa smutny proces gospodarczy uszczuplenia obszaru ziemi na rzecz obcych żywiołów". Zatem „poprawa gospodarczego położenia jest konieczną". „Historya gospodarczego rozwoju stwierdza, że wszędzie był on wynikiem świadomej myśli i współdziałania społeczeństwa". Po rozpatrzeniu ekonomicznej doniosłości własności ziemskiej następują uwagi o kwestyi robotniczej, którą Milewski opracował dopiero teraz dla drugiego wydania. Świetne uwagi robi wreszcie o oświacie, o potrzebie u nas specyalistów w naukach, o złych skutkach natłoku młodzieży do gimnazyów klasycznych, o niewystarczaniu kultury literackiej, o religii, prawie i historyi, jako środkach narodowej oświaty, a wreszcie o posłannictwie narodu.

O metodzie i teoryi środków działania, aby cele polityczne skutecznie zrealizować, istnieje ogromna literatura. W tej książce niema czego dyskutować o ustroju państwa i władzy, o skomplikowanej naturze organów czynnej polityki, o władzy ustawodawczej, o exekutywie, bo te kwestye należą do ogólnej nauki polityki. Szkoda jednakże, że Milewski nie odgranicza sfery tej ogólnej polityki od nauki polityki narodowej. Wymaga tylko dla ostatniej, „aby teorya ustroju nie ścieśniała zasadniczo swobody i sfery akcyi społecznej". Akcya nasza powinna zachowywać pewną miarę, którą stosunki wskazują. Oświadcza się przedewszystkiem za legalnością i jawnością jako „zasadniczemi podstawami działania". Z takiego określenia wnioskować należy, że autor w każdem położeniu rzeczy nielegalność i tajność działania wyklucza. Nie podaje wszakże uzasadnienia takiego poglądu. Tłómaczy zasadę raczej rozumowo, racyonalnie. Mem zdaniem nie dość wyraźnie zwracano dotąd uwagę, że nasze *liberum conspiro*, które zresztą nie należy bynajmniej do historyi, wynika, tak samo jak konfederacya w państwowem ustroju dawnej Polski, ze struktury psychiki polskiej. Poparcia udzielają słabość czynnika rozumowego a obfitość fantazyjnego w umysłowości polskiej. Uznania godne są te uwagi Milewskiego, które dowodzą, że nielegalność nasza z kulturą i rozsądkiem się nie zgadza. Że „posłuszeństwo

zwłaszcza jest pierwszą lekcyą kultury", że „przyuczenie się do szanowania przepisów ustaw to ważny krok na drodze wytwarzania psychicznych elementów skutecznego politycznego działania", że „wybujała osobnicza swawola rozpoczęła się w naszej przeszłości, rozszerzyła się, zdemokratyzowała, siedzi gdzieś na dnie duszy nie w jednej tylko, lecz we wszystkich warstwach narodu" i t. d. To wszystko niewątpliwa prawda. I to trafne, że „prześladowanie nas grozi utrwaleniem wśród nas wady anarchiczności, samowoli, utrudnienia rozwoju zmysłu legalności, karności, tych pierwszorzędnych cnót politycznych", że „konspiracya była psuciem i zaporą realnej odradzającej pracy, że była tem z istoty swej, nie licząc się z realnymi stosunkami, ignorując stan faktyczny".

To tylko „w pierwotnych stosunkach ludzie szli z gołemi rękoma do celu, do źródła wody, aby się napić". „To też słusznie można w naszych warunkach wszelką spiskową robotę za przeżytą formę bezpośredniego a nieskutecznego systemu uważać, a każdą pracę, co mnoży siły narodu, uznać za nowożytną metodę zaspokojenia potrzeb przez pośrednią produkcyę, za prawdziwe budowanie lepszej przyszłości narodu". (*Produktion auf Umwegen*) (str. 303). „Trwały pożytek, prawdziwy przybytek sił przyniosły nam tylko prace i instytucye, podjęte i utrzymane w granicach legalnych. Nie improwizuje się uspołecznienia, uświadomienia ni dobrobytu narodu" (str. 304) To wszystko podpisuję. Jednakowoż ani naukowo, ani moralnie uzasadnić nie można, że legalność i jawność jest absolutnym postulatem polityki. A w nauce narodowej polityki tej kwestyi ominąć nie podobna, mianowicie, gdy stwierdza Milewski, że w dwóch zaborach są ustawy „często wprost przeciw nam wydane i zwracane" i że nie bywają „wyrazem prawa lecz jedynie w paragrafy ujętym wyrazem siły, zwracającym się przeciw nam z ideą prześladowania i tępienia". Że wobec takiego sposobu działania przeciwnej strony bądź nauka bądź etyka od strony prześladowanej legalności i jawności politycznego działania absolutnie wymagają, wykazać byłoby trudno. Okazuje się, że chociaż autor w „Spisie rzeczy" traktować zamyśla o „legalności i jawności, jako zasadniczych podstawach i metodzie działania", dowodzi następnie w książce samej tylko rozumowej ich słuszności w dotychczasowym rozwoju stosunków. I sądzę, że dla przyszłego rozwoju polityki naszej narodowej polskiej zupełnie wystarcza wykazywać najprzód, że polityka powstaniowa odpowiada przedewszystkiem przyrodzonym inklinacyom usposobienia, podjudzanym przez

niesprawiedliwość ucisku, a następnie, że nie zgadza się z rozumem i rozsądkiem ogromne rzeczy przedsiębrać (jak dotąd w powstaniach zawsze) bez gruntownie opracowanych planów, a tylko rzucać się z motyką na słońce. Ale to też trzeba głosić śmiele i często. Właśnie ekonomista ma tu wdzięczne a łatwe zadanie, bo wszakże to samo społeczeństwo już postąpiło tak dalece w kulturze ekonomicznej, że z każdego szafowania mieniem instytucyi publicznej żąda ścisłego obrachunku i poddaje je krytyce, czy wydatek lub sposób ujęcia był rozumnie obmyślany. Z wzrostem kultury chyba to, co bezsensowe, powoli upadnie. Co pisze Milewski następnie o metodach politycznego działania u nas, o przeceniani naszej zewnętrznej, niedocenianiu naszej wewnętrznej polityki, o trzech fazach dyplomatycznej polityki, przez jakie przechodziliśmy z różnorodnem na nie poglądem, o naszej polityce parlamentarnej w trzech zaborach, o zasadzie solidarności w naszych kołach poselskich, wszystko to jasno i przekonująco wyłożone. Jakkolwiek stosownie do programu swego Milewski tylko szkicowo te sprawy traktuje, rysując ramy i torując drogę rozumną wśród pojęć, życzyć należałoby, aby w trzeciem wydaniu wycieniować zechciał tę właśnie część nieco szczegółowiej. W drugiem wydaniu pomnożył ją uwagami o Radzie narodowej, przyczem ma na myśli tylko Radę narodową Galicyi, jej funkcye i jej organizacyę z ominięciem zaboru pruskiego, który właśnie teraz dopiero, gdy dzieło Milewskiego było w druku, swej Radzie narodowej nadał statut, mem zdaniem ułożony rozumnie. Następnie pomnożony jest ostatni rozdział książki Milewskiego uwagami o Kole, o kraju, o stosunku posła do wyborców i o ponadpartyjnej instancyi. W tej końcowej części pracy, która właściwy problem narodowej polityki omawia w środkach do celu wiodących, ma Milewski sposobność złożyć całą bogatą swą wiedzę jako ekonomista i jeden z najwybitniejszych posłów Sejmu krajowego. Jako taki bowiem sprowadza naukę na pole realnej polityki, a co polityczne życie wytwarza i z dołu poddaje, oczyszczać za pomocą nauki i pogłębiać ma ustawiczną sposobność. Kto tak prawdziwie i jasno rzeczy tak ważne chwytać i przedstawiać potrafi, powinien je mniej szkicowo omówić. Są ogółem dwa sposoby opracowywania tematów: niemiecki, gruntowny i systematyczny i dlatego w regule bardzo obszerny — i podający w swobodnej formie tylko rezultaty myślenia — system francuski. Milewski używa drugiego sposobu, a w formie tak potoczystej, że przystępny jest szerszym kołom.

W przedmowie do drugiego wydania broni się Milewski przeciwko zarzutowi partyjności, jaki spotkał jego książkę w kilku dziennikach. Zarzut oczywiście zupełnie fałszywy. Milewski zanadto jest kapłanem swej nauki, aby miał ją partyjnością poniżać. Rzec można, każde zdanie jego książki zdradza gorące pragnienie autora, dotrzeć do jądra prawdy i tylko prawdy. Natomiast mógł był Milewski przy charakterystyce pojęć i stosunków, w jakich polityka nasza narodowa bytuje, zaznaczyć tę siłę partyjnego zacietrzewienia naszego, że wystarcza, aby wypowiedział ktoś zdanie, które się z ideami danego stronnictwa nie zgadza, aby policzonym został nieodzownie między wrogi stronnicze. Nie uratowała też Milewskiego swoboda w wyborze cytatów bez względu na polityczne przekonania autorów. A powołuje się na prace lub uwagi tak Szujskiego i Popiela, jak Dmowskiego i Grabskiego. To jest właśnie jedną z zalet tej książki, że wśród ogólnego rozgorzenia stronniczej dyskusyi podnosi się raz przecież głos spokojny i prosty, nie skażony walkami, jakie wrą koło niego. Czytelnik rad jest z tego i z przyjemnością odnajduje w tym głosie uzasadnienie rozumne i prawe tego, co myślał i nad czem pracował, a nieraz tylko przypuszczał lub przeczuwał lub wreszcie — wyjaśnienie może błędów, jakie kiedyś popełniał, — każdy stosownie do swej umysłowości. Ale bez korzyści nikt tej książki nie odłoży, do jakiegobądź stronnictwa by należał.

J. M. Palędzki.

O Łapownictwie. Studyum społeczno-etyczne. *Wiktor Skibniewski.* Warszawa 1913. Nakładem księgarni Wende i Spółka. Łódź: Ludwik Fischer — Lwów: H. Altenberg.

Bezwątpienia myśli poruszone w tej broszurce nadzwyczaj są na czasie, zwłaszcza dla Rosyi, której stosunki pod tym względem tak bardzo domagają się sanacyi. Mimo bardzo wielu jednak dobrych rzeczy nie na wszystko możnaby się zgodzić, co autor podaje. Zgodzić się nie można przedewszystkiem na twierdzenie, na str. 26, iż „żaden z poglądów na moralność nie daje nam norm dla rozróżnienia dobra i zła". Ma to być wynik roztrząsań filozoficznych dość krótkich, zawartych w tej broszurce. Gdybyśmy chcieli przejść wszystkie nieraz bardzo ważne punkta i zagadnienia, poruszane przez autora, toby recenzya dłuższą była od pracy. Niektórych jednak pominąć nie można. Mówiąc o etyce chrześcijańskiej i religii, tak się wyraża, iż odnosi się wrażenie, że lepiej zna systemy filozoficzne, niż uza-

sadnienia prawd wiary i apologetykę, choćby w najogólniejszych zarysach. Także n. p. twierdzenie na str. 11, iż „przepisy naszej religii... bardzo często dla sformułowania sądu o postępkach ludzi we wzajemnych stosunkach między sobą wystarczającymi nie są", zdaje się świadczyć, iż nie wie, że w kościele katolickim, prócz teologii dogmatycznej jest jeszcze teologia moralna, mająca bardzo obszerną literaturę, której jedynym celem jest sformułowanie owego sądu o postępkach ludzi we wszystkich możliwych położeniach i wypadkach. Dalej (na str. 19 i 20) zdaje się, że autor z zewnętrznego postępowania i czynów, chce wyciągać wniosek o braku zupełnego pojęcia tego co dobre i złe, sposobem świadczącym o nieznajomości metody etnologii porównawczej. Wypadałoby tu cytować nie Spencera, lecz takich uczonych fachowych jak n. p. Westermarcka. Wtedyby i sąd inaczej wypadł. Dalej nie uwzględnia autor zupełnie, iż z tego, że n. p. poczucie różnicy między dobrem a złem, wskutek złego życia i występków, się zaciemni, nie wynika, iż go niema. Wreszcie trzeba zwrócić uwagę, iż nie jest konsekwentny w zastosowaniu definicyi łapówki jako „nielegalnego wynagrodzenia" w przykładach podanych na końcu (str. 28 i 29), gdyż wynagrodzenia dawane tam przez prywatnych bynajmniej nielegalnemi (*contra legem*) nie są. Godne wszelkiego uznania jest szczere dążenie i pragnienie autora do usunięcia łapownictwa i wogóle traktowanie kwestyi z punktu widzenia etycznego. Pomimo tego jednak powinien autor przy tak wielkiej znajomości i oczytaniu w różnych systemach filozoficznych, przecież bardziej zaznajomić się z obszerną literaturą filozofii, etyki i apologetyki chrześcijańskiej,[1] zwłaszcza jeśli o tem wspomina i sądy wydaje. Niestety jestto charakterystyczne, iż nieraz ludzie, zresztą bardzo wykształceni, piszą i mówią o religii i filozofii chrześcijańskiej w sposób świadczący, iż najmniejszego o niej pojęcia nie mają. Pewne pod tym względem wspomniane braki w tej broszurce dałaby się z łatwością przy dobrej woli usunąć. Zresztą należy zaznaczyć, iż ogromne pole do pracy, jakie się przedstawia porównując naszą literaturę naukową z obcemi, czyni, iż każdy, choćby najmniejszy przyczynek wielką jest zasługą, byle tylko był

[1] Dwa dzieła byłyby tu szczególnie polecenia godne: *Wilmers*: „Lehrbuch der Religion" w 4 tomach; (Münster in W. 1909) dla prawd teologicznych i *Esser u. Mausbach*: „Religion, Christenthum, Kirche" Rösel, München 1911 w 3 tomach uwzględniające najnowsze prądy naukowe z punktu widzenia apologetycznego.

krokiem naprzód i stopniem w rozwoju nauki. Iż takim rzeczywiście jest wspomniana praca, dowodzi to już samo, iż jeśli nie jest jedyną, to w każdym razie, jest u nas jedną z najpierwszych prac w tym rodzaju. Wobec innych zasług, jakie położył autor dla podniesienia nauki polskiej (zwłaszcza w Królestwie), należałoby sobie życzyć, by i w kierunku literatury naukowej z powodzeniem i pożytkiem dalej pracował. *Ks. M. Skibniewski.*

Z piśmiennictw obcych.

Život starých Slovanu. *L. Niederle.* Dilu I svazek 1. Praha. Nakladem Bursika a Kohouta. 1912. 8-ka wielka; str. 389, kt. nlb. 1., z 17 tablicami ilustracyjnemi i 28 rycinami w tekscie.

Po dwudziestoletniej z górą pracy, kontynuującej, a raczej odtwarzającej z współczesnego punktu widzenia „Starożytności słowiańskie" Szafarzyka, przystąpił prof. Niederle do wydania pierwszego tomu, traktującego o słowiańskich przeżytkach kulturalnych. Nowością to jest pierwszorzędną w słowianoznawstwie. To bowiem, co w tym kierunku wyszło z pod piór: Kotlarewskiego, Archangielskiego, Smirnowa, Krcka i innych, było nie tylko fragmentaryczne bardzo, ale w dodatku, bardzo powierzchowne. Zamierzył tedy prof. Niederle nie byle co, zamierzenie zaś to powiodło się najzupełniej, przedstawić zarys kultury słowiańskiej z drugiej połowy I. tysiąclecia po Chr., kiedy to Słowianie wystąpili na arenę dziejową, t. j. dać obraz życia słowiańskiego ze schyłku doby pogańskiej, zarazem zaś wyświetlić, co było w tem życiu rdzennie słowiańskiego, co było obcą naleciałością, skoro, jak okazuje się, Słowianie podlegali w onej dobie wpływom: rzymsko-bizantyńskiemu, północnemu i wschodniemu. Zarówno stwierdzają to badania archeologiczne, jak nie mniej filologiczne i folklorystyczne. W tem wszystkiem wszelako wyznać się — to trud nielada jaki!

Bo żeby odtworzyć obraz prasłowiańskiej kultury, nie wystarczy sama jedynie znajomość historyi. W tej mierze nie pomocniczemi, ale równorzędnemi naukami są: lingwistyka, etnografia i archeologia. Historya bowiem daje tylko podstawę, wykazując, jakie były granice rozsiedlenia Słowian. Ma się z nią atoli niemało kłopotu, skoro w świadectwach historycznych nie brak wskazówek niewiarygodnych lub bałamutnych, zwłaszcza o ile chodzi o źródła arabskie. Co się tyczy filologii — prof. Niederle zasłania się poniekąd niekompe-

tencyą. Daj Boże jednakowoż jak najwięcej tak niekompetentnych filologów, zwłaszcza, skoro pomocni byli tak znakomicie uczeni, jak prof. dr. Polivka i Zubaty. Dzięki własnej ostrożności i poradzie wymienionych kolegów trzymał się prof. Niederle zdaleka od ryzykownych analogii językowych, które niejednego już zawiodły na manowce, a na ich punkcie nawet sami filologowie nie są w zgodzie ze sobą. W folklorze natomiast wbrew zastrzeżeniu, zawartemu w słowie wstępnem do całego dzieła, jest prof. Niederle specyalistą. Wszakże i dla specyalisty piętrzyć się mogą przeszkody, o ile chodzi o wyciągnięcie z folklorystyki współczesnej tego, co przetrwało z doby pogańskiej. Że w folklorze dni dzisiejszych jest jakaś odrobina z przed lat tysiąca, to niewątpliwe. Ale też nadzwyczajnością byłoby określenie ścisłe owej odrobiny, zwłaszcza wobec braku prac podstawowych, które wykazałyby, co w folklorystyce słowiańskiej jest współczesne, co jest naleciałością obcą, a co jest rdzennie prasłowiańskiego pochodzenia? Nie tak to dawno przecież jeszcze, kiedy w baśniach i wierzeniach oraz przysłowiach chciano dopatrywać się pierwiastków mitologicznych, a które to fantazye rozbili w puch prof. Polivka i Tille, w serbskiej epice zaś prof. T. Maretić. (*Nasza narodna epika*, Zagrzeb 1909). Posługiwał się tedy autor omawianego dzieła tylko o tyle folklorem, o ile wierzenia i obyczaje n. p. pogrzebowe współczesne wykazywały zgodność z takiemiż z zamierzchłej przeszłości, których słowiańskość była stwierdzona niezbicie.

Obecnie bowiem znacznie więcej, a raczej najwięcej, wskazówek daje, oprócz historyi, archeologia, jako że rozkłada przed badaczem bardzo bogaty materyał, który ma wszelako tę wadę, że nie zawsze da się udowodnić jego pochodzenie słowiańskie. Prof. Niederle oparł się zatem na materyale, którego słowiańskość jest niezaprzeczalna, czego świadectwem najwymowniejszem jest, że odrzucił *a limine* kulturę z grobów ciałopalnych łużycko-serbskich, jakkolwiek sam uznaje ich pochodzenie słowiańskie, jednakowoż nie w takiej mierze znaleziska z nich za wiarygodne, iżby na ich podstawie można było wysnuwać takie wnioski, jakie dadzą się wyprowadzić z mogił, pochodzących z VII—XI stuleci z okolic, o których wiadomo nam z historyi, że w nich zamieszkiwali Słowianie.

Dzieła omawianego całość zakrojona jest na rozmiary bardzo szerokie, zawarta bowiem będzie aż w trzech tomach kilkusetstronnicowych.

Na razie przystąpimy do rozpatrzenia tego, co daje tom pierwszy.

W rozdziale pierwszym opisuje autor terytoryum wraz z fauną, florą i klimatem, na którem w wędrówce swojej mieli osiedlić się Słowianie. I tu zaraz na samym początku, z polemiki z Geiskerem uwidacznia się, jak błędne było twierdzenie, jakoby kolebką Słowian był basen Prypeci, od Brześcia na wschód, dorzecze górnego Niemna i dolnego biegu Berezyny, gdzie miał się dokonać rozłam wśród Słowian, utrata świadomości wspólności narodowej, jakoby tutaj powstała pogańska wiara ludowa kultu przodków. Stan nauki współczesnej nie jest taki, iżby na jego podstawie można było hipotezę Geiskera przeistoczyć w pewnik, o ile chodzi o pierwotną kolebkę Słowian. Znacznie bliższe prawdy jest przypuszczenie prof. Niederlego, że owa kolebka pierwotna była gdzieś na Zakarpaciu, za Wisłą, jakkolwiek do ściślejszego oznaczenia miejsca pierwotnego osiedlenia brak ostatecznych danych. Przypuszczenie bowiem, jakie uczynił Geisker na podstawie wywodów botanicznych Rostafińskiego, jest prostem nieprawdopodobieństwem wobec faktu, że Polesie było naonczas jeziorem, a chyba na jeziorze niemożliwe było osiedlenie się narodu tak wybitnie rolniczego, jak Słowianie?!...

Już w samych warunkach przyrodniczych i klimatycznych obszaru, na którym osiedlili się Słowianie, leżą przyczyny, które mogły mieć, a nawet miały wpływ na różnorodny rozwój kultury słowiańskiej. Inaczej żyło się plemionom, osiadłym w piaskach połabskich i w późniejszej Wielkopolsce, inaczej plemionom we właściwem, nieurodzajnem i pełnem wody Polesiu, zupełnie zaś inaczej plemionom, które rozsiadły się na żyznych, półstepowych łanach Podola, Wołynia i Ukrainy. Terytoryum, zajęte przez Słowian, miało jeszcze w innym kierunku wpływ na rozwój kulturalny. W ziemie słowiańskie docierały obce prądy kulturalne, przynoszące mnóstwo różnorodnych pierwiastków, które wszelako nie rozpowszechniły się na całem terytoryum słowiańskiem. Przestrzeń, zajęta przez Słowian, była wcale obszerna, skutkiem czego poszczególne części narodu żyły nie utrzymując z sobą bliższych związków, w zupełnej rozłące. Słynne błota pińskie odcinały wprost osiadłych tam Słowian od braci z nad Dniepru i Wisły; pasmo lasów znowu i jezior pojezierza bałtyckiego przeszkadzało utrzymaniu łączności kulturalnej Słowian bałtyckich z sąsiadami, Karpaty wreszcie odgradzały również sporą ilość narodu od braci północnych. To też kiedy do jednej gałęzi szła kultura rzymska, do drugich przeniknąć zdołała tylko bizantyńszczyzna, wiadomo bowiem chyba każdemu archeologowi, że do Słowian pro-

wadziły dwie drogi: jedna zachodnia wzdłuż Odry i Wisły i druga wschodnia wzdłuż Dniepru i Bugu. Że zaś o mięszaniu się tych obu wpływów kulturalnych nie może być mowy, stąd też nie można myśleć o pewnej jednolitości w kulturze słowiańskiej. W każdym zakresie życia słowiańskiego i zarówno w mitologii, ubiorze, obrzędach, jak i w sztuce wojennej lub gospodarstwie można zobaczyć różnice ogromne, zachodzące pomiędzy Słowiańszczyzną zachodnią a wschodnią. Już pod koniec doby pogańskiej nie istniała jednolitość w kulturze słowiańskiej, choć kultura ta nie odznaczała się bogactwem i zostawała w tyle poza takąż kulturą germańską, irańską i turkotatarską, co potwierdzają w całej pełni wykopaliska archeologiczne, ubogie aż nadto. Mieli nawet samopoczucie tej swojej niższości, o czem świadczą słowa księcia morawskiego Rościsława z wieku IX po Chr.: „Мы Словяне — проста чадь".

Prosta ta wszelako „czad" była silna i zdrowa, znosząca niedostatek i mróz, o ile przeciwstawi się ją zniewieściałemu Rzymowi owych czasów. Mówią o tem zgodnie wszyscy kronikarze, począwszy od VI stulecia, a zatem Prokopios, Ibrahim ibu Jakób, Adam bremski i inni: Theofylaktos, Widukind, Kardizi, Rosteh i Dimeszki.

Urodziny dziecka, poród sam, były u Słowian, jak u wszystkich narodów, stojących na pierwszym szczeblu kultury, złączone z szeregiem aktów, zarówno czysto profilaktycznych, hygienicznych, a nie mniej wchodzących w grupę przesądów. Nawet w współczesnych nam czynnościach, towarzyszących porodowi u ludu, przechowały się liczne przeżytki obrzędów pogańskich. Wszelako o pierwszej dobie żywota dziecięcego nie wiadomo nam nic aż do obrzędu postrzyżyn, praktykowanego przez wszystkich Słowian bez wyjątku. Postrzygano wszelako jedynie chłopców.

O obrzędach towarzyszących chwili przejścia młodzieńca czy dziewczyny w okres dojrzałości, nie mamy żadnych świadectw kronikarskich. Tak samo wiadomości o formie wesela starosłowiańskiego przechowało się aż nadto skąpo. W tej mierze da się coś niecoś skonstruować drogą analogii, choć czasby był już na studyum specyalne, którego zadaniem byłoby wykazanie, co w dzisiejszych obrzędach weselnych jest pierwotnego pochodzenia, co pogańskiego, co zostało przyjęte z chrześcijaństwa, co nakoniec jest rdzennie słowiańskie, a co obcą naleciałością?

Początkową formą małżeństwa słowiańskiego był, jak u innych narodów, wykup lub porwanie oblubienicy. Widzimy obie te formy

pod koniec okresu pogańskiego i na początku chrześcijańskiego. W Polsce n. p. znany jest wykup w formie darów weselnych, składanych ojcu małżonki, jeszcze w X stuleciu, ale że porwanie było u nas praktykowane, to widać z homiliarza opatowieckiego i z późniejszych pomników piśmiennictwa religijnego, a nadto stąd, że w Polsce, zarówno jak na Rusi, zachował się potąd cały szereg tradycyi i zwyczajów weselnych, przypominających żywo formę porwania. Wśród Słowian bałkańskich forma porwania utrzymała się po dni dzisiejsze. Również wiele jest śladów kupna żon. Która z tych dwu form jest starsza, o tem nie można dowiedzieć się nic ani z historyi, ani z filologii. Pieśni polskie ludowe wspominają jeszcze wysłużanie sobie żony przez parobczaka za pracę kilkuletnią.

O obrzędach zaślubinowych prawie nic nie wiadomo również. Tyle tylko da się wycisnąć pewnego ze źródeł, iż w dobie owej zamierzchłej akt przedślubny i ślubny rozpadał się na części następujące: staranie się o żonę, umowa z rodzicami, zaręczyny, oczepiny, częstowanie nowożeńców płodami jadalnymi, wreszcie posadzenie pannie młodej dziecka na kolana i pokładziny uroczyste młodej pary do łoża małżeńskiego. Wesela odbywały się zazwyczaj z motywów gospodarczej natury w jesieni lub pod koniec zimy. Że nie obywały się bez muzyki, to pewne również. Ceremoniał wymieniony z doby pogańskiej przeszedł do chrześcijańskiej, przyczem pod wpływem kościoła pewne obrzędy zostały zmienione lub całkiem zniesione. O dawności tego ceremoniału ślubnego świadczy też wymownie akt, iż lud nie uważa za zupełny ślubu kościelnego bez ceremoniału domowego. Toż samo stwierdzają dokumenty kościelnych dygnitarzy począwszy od XII aż do XVII wieku.

Z dokumentów kościelnych widać również, że po przyjęciu chrześcijaństwa istniała u Słowian poligamia obok jednożeństwa, a więc u: Pomorzan i Lutyków, Radymiczów, Wiatyków, Rusinów, Czechów, Serbów i Bułgarów. Dość wspomnieć, że Mieczysław I. przed ożenieniem się z Dąbrówką miał siedm żon, a wojewoda pomorzański, według świadectwa biskupa Ottona bamberskiego, miał kilka żon i 24 nałożnic, ruski Włodzimierz zaś tak był kochliwy, że oprócz pięciu żon prawych miał 800 nałożnic, a nadto kazał wodzić do siebie co ładniejsze żony i dziewczęta z ludu. O poliandryi braterskiej dowiadujemy się z ustawy cerkiewnej Jarosława, tak samo stąd o „mochaczestwie“, mającem początek w dobach zamierzchłej przeszłości. Wierność małżeńska była przez kobiety przestrzegana surowo. Roz-

luźnienie się jej zauważyć daje się dopiero z przyjęciem przez Słowian chrześcijaństwa, ale bynajmniej nie skutkiem chrześcijaństwa, tylko kultywowania obrządków pogańskich, żeby przypomnieć tylko świątkowanie Kupały na Rusi, kiedy to element erotyczny nie znał granic rozpasania, lub czeskie *connubia communia*, wspomniane przez Kosmę praskiego. Przypuszczać należy, iż tradycya starodawna uświęcała te wykroczenia erotyczne, jako część integralną obrzędów, czyli, że u Słowian istniała w czasie owych uroczystości rytualna prostytucya kobiet, z jaką spotykamy się w starożytności u tak kulturalnych narodów, jak Grecy i Rzymianie. Natomiast mężczyzna, który w normalnem życiu małżeńskiem zgrzeszył z żoną innego, podlegał karze chłosty i śmierci. Nie przeszkadzało to na Rusi miewać książętom po kilkadziesiąt kochanek...

O czystość ciała dbali Słowianie niewiele, tak samo też skromnie używali środków kosmetycznych, czego dowodzą wykopaliska archeologiczne. O tatuowaniu zaś ciała pojęcia nie mieli. Na punkcie jadła niewybredni, kontentowali się małem, żyjąc więcej jarzynami i nabiałem, aniżeli mięsem. Głównym napojem był miód i piwo. Wino znano wówczas tylko w południowej Rusi. Pijaństwo zaś Słowian być musiało tęgie, skoro jeszcze w XI wieku odzywa się Teodozy Peczerskij słowami: *Hore prebywajuszczym w pijaństwie!*

Najwięcej jeszcze stosunkowo wiadomości doszło nas o pogrzebach. Obok spalania ciała praktykowano też grzebanie. Autor bardzo obszernie i drobiazgowo rozpatrzył przebieg obydwu ceremoniałów, zabijanie żon i drużyny, zwierząt ulubionych wreszcie, pogrzeby w łódkach, saniach i wozach, stypę, palenie świateł na grobach, oraz konstrukcye grobów i rozwój form mogił. W dodatku podano w przekładzie opis pogrzebu ruskiego z r. 922 Ahmeda ibu Fadlana.

Niepodobna wreszcie pominąć milczeniem strony ilustracyjnej, która przedstawia się tutaj wprost imponująco, a to zarówno pod względem wyboru materyału, jak też pod względem wykonania technicznego.

Dzieło prof. Niederlego, którego dalszego ciągu wszyscy, zajmujący się slawistyką, oczekiwać będą z nieudawaną niecierpliwością i zaciekawieniem, należy do rodzaju tych, bez których obejść się nie jest w stanie nietylko żadna biblioteka publiczna, ale nawet księgozbiór podręczny poważniejszego badacza. Przedsięwzięcie całe zostało zakrojone na szersze rozmiary, stąd też autor wyraża w przedmowie wątpliwość, czy uda się mu dobiedz do końca.

Daj Boże! — przypuszczam, iż mówię nie w swojem imieniu tylko — iżby praca ta dobiegła do końca i po niej nastąpił szereg publikacyi równie znamienitych, których od uczonego tej miary, co prof. Niederle, wyczekuje słowianoznawstwo.

I jeszcze słówko podzięki osobistej za chwile rozkoszne, spędzone podczas czytania tego dzieła, które dały podpisanemu sporo tematów do refleksyi, a może nawet do prac samodzielnych w kwestyach, uważanych przez aż nazbyt skromnego autora za nierozstrzygnięte. Kończę życzeniem, którego wypowiedzenie publiczne poczytuję za potrzebę serca: oby dzieło to natchnęło młodych badaczy do dalszych studyów, przynajmniej w zakresie spraw spornych i niewyświetlonych jeszcze ostatecznie. Przypuścić śmiem, iż spełnienie się życzenia powyższego stanowiłoby dla szanownego autora szczyt zadowolenia. *Dr. Stanisław Zdziarski.*

Lužice a Lužičti Srbové. *Černý Adolf.* (Česka knihovna zábavy a poučeni; vydava Ustředni spolek českých professoru. Svazek 28). Praha. 1912. Nakladatel J. Otto. 8-ka mn. str. 240 z mapą i 29 ilustracyami w tekscie.

Nikt chyba więcej nie był powołany do napisania obszernej monografii o Łużycach od znakomitego badacza mitologii tej odrośli słowiańskiej, którego *Mythiske bytośce*, znane są też z polskiego przekładu. Nie powinny być też dla nas obojętne Łużyce bodajby z tego tylko względu, że za pierwszych Piastowiczów przez czas pewien należały do Polski.

W skład książki tej weszły dawniej po czasopismach peryodycznych drukowane, bądź w encyklopedyi Otty (*Slovnik naučny* XXIII, str. 926 i nast.) rozprawy, naturalnie ponownie przeglądnięte, przerobione i uzupełnione znacznie, dające czytelnikowi bogactwo całe wiadomości z zakresu krajoznawstwa, etnografii, historyi, filologii, literatury, umiejętności, muzyki, życia społecznego i szkolnictwa obojga Łużyc.

Napisanie takiej książki było poniekąd nawet obowiązkiem Czecha. Z pomiędzy wszystkich bowiem narodów słowiańskich (z wyjątkiem Polaków) najbliżsi są Czechom Serbowie łużyccy, zarówno pod względem językowym, jak i historycznym. Wszystkiego 15 kilometrowa odległość rozgranicza ich od siebie. Język Serbów łużyckich zbliżony jest znacznie więcej do czeszczyzny, niźli do języka pol-

skiego. Wypadki zaś dziejowe połączyły Łużyce z Czechami bardzo ściśle, jako że Łużyce przez parę stuleci należały do korony czeskiej, formalnie zaś zaliczają się do niej i po dni dzisiejsze wobec tego, że cesarz austryacki ma wśród swoich godności tytuł margrabiego górno i dolno-łużyckiego. Wreszcie i ten wzgląd nie może pozostać obojętnym, jako że Łużyczanie posiadają w Pradze na Małej Stronie własne seminaryum duchowne.

Sama nazwa Łużyc powstała najprawdopodobniej od wyrazu „łuża" (bagno, jezioro), Łużyce bowiem były w odległej przeszłości pełne bagnisk, jezior i jezierzysk, jak o tem świadczy nawet nomenklatura miejscowa.

Pod względem politycznym przynależą Łużyce do Saksonii i do Prus jeszcze od kongresu wiedeńskiego. Obszar ich wynosi 12.702 km. kw., z czego na Górne Łużyce przypada 5.863 km², na Dolne zaś 6.839 km². Ilość zaludnienia obojga Łużyc wynosi 1,240.862, z czego w Łużycach Górnych przypada 172·7 na 1 km², w pruskich Łużycach 93·6, a w dolnych 72·5. Większość ludności zalicza się do narodowości niemieckiej. Pod względem wyznaniowym przeważa luteranizm. Serbów łużyckich katolików jest zaledwie około 15.000. Stolica Górnych Łużyc Budyszyn ma według ostatniego spisu ludności 26.024 mieszkańców, w tem zaś tylko $^1/_5$ Serbów łużyckich.

Kiedy właściwie w Łużycach osiadły plemiona słowiańskie? — w tej mierze braknie dokładniejszych wiadomości. Według prof. Niederlego Łużyce zostały zajęte przez Słowian już w pierwszym wieku po Chr. Świadczą o tem prastare nazwy topograficzne. Podług Bogusławskiego *Lugii* Strabona są właśnie słowiańskimi Łużyczanami. Dopiero od VI stulecia rozporządzamy pewniejszemi wiadomościami, kiedy to Frankowie i Sasi rozszerzyli swoje granice aż do rzeki Sali. I odtąd rozpoczyna się 400-letni okres bojów o niepodległość, począwszy od zbrojnych starć z wojskami Karola Wielkiego, kiedy to zdobyty i spalony został Budyszyn. Za Ludwika Niemca oddali się Łużyczanie pod opiekę rzeszy wielkomorawskiej i na ten czas przypada wydatniejsze krzewienie się chrześcijaństwa wśród Łużyczan. Spójnia ta jednakowoż nie trwała długo. Po upadku państwa wielkomorawskiego Łużyczanie musieli bronić się sami przed sąsiadami zachodnimi, zwłaszcza, gdy Henryk Ptasznik zaczął przetrzebiać terytorya, przez nich zamieszkałe. Za jego następcy Ottona I. wpadł znany margrabia Gero do Łużyc wobec tego, że Łużyce odpadły wówczas do Mieszka I. Jest to pierwszy ślad za-

biegów polskich o Łużyce, które wszelako zostały natychmiast zmarnowane, a panowanie niemieckie nad Łużycami i Miśnią utwierdzone, wobec rywalizacyi Bolesława I. czeskiego z Mieszkiem I. W r. 1002 wtargnął do Łużyc Bolesław Chrobry, a zdobywszy Budyszyn, dotarł aż do Miśnii. Otrzymawszy od Henryka II. uznanie swoich praw do Łużyc i do Miśnii, wkroczył do Czech, skutkiem czego musiał stoczyć trzy wojny o Łużyce, a to w latach: 1003—1005, 1007—1013 i 1015—1018, zakończone na jego korzyść pokojem budyszyńskim. Po śmierci Bolesława Chrobrego panował na Łużycach Mieszko II, kiedy jednakowoż Konrad II podjął dwie wyprawy przeciw Mieszkowi II, przy Polsce pozostał najbardziej na północ wysunięty cypl Łużyc, kraj Lubuszanów, aż do XIII stulecia. Pamięć o panowaniu polskiem przetrwała długo wśród Łużyczan: dzisiaj jeszcze starodawne pieśni wspominają o królu polskim. Za czasów polskich wojen o Łużyce powstał tu osobny stan wojskowy, t. zw. „wićazové".

W XII stuleciu Łużyce przechodziły z rąk do rąk. Za panowania Konrada II. wtargnął do Dolnych Łużyc Władysław Laskonogi, na co Konrad odpowiedział napadem na ziemię lubuską, należącą do Polski. Ale pomimo klęski, poniesionej przez Władysława, ziemia lubuska pozostała przy Polsce. W tymże czasie (1210—1235) dostał się do władzy w Łużycach Dolnych książę śląski Henryk Brodaty. Po krótkiem panowaniu czeskiem dostały się Łużyce Górne i Dolne Niemcom i zostają przy nich do chwili obecnej.

Z kolei opisuje Černý dzieje narodowości. Między Serbami łużyckimi nie było żywiołu niemieckiego aż do VI stulecia; żyli oni samodzielnie na modłę starosłowiańską. Od Niemców przyjmowali chrześcijaństwo z niechęcią tak, że dopiero za czasów św. Cyryla i Metodego zaczęło ono wśród nich zapuszczać głębiej korzenie. Ale jeszcze długo potem częste rokosze świadczyły o żywotności kultu pogańskiego i o próbach zrzucenia obcego jarzma. Widząc niepowodzenia księży niemieckich, założył Otton I. w Magdeburgu szkołę, w której duchowni niemieccy mieli uczyć się po słowiańsku. Ze znacznie lepszym skutkiem kazali ewangelię księża polscy za panowania Bolesława Chrobrego i Mieczysława II. na Łużycach. Dopiero pod wpływem duchowieństwa niemieckiego oraz świeckich niemieckich warstw wyższych zaczęli się zamożniejsi ziemianie łużyccy wynaradawiać. Zarazem Niemcy zaczęli w nowozałożonych, jak też prastarych miastach serbskich wyzuwać tubylców z wszelkich praw. Między Łużyczanami a Niemcami rozwinęła się taka nienawiść, że

w kodeksie „Sachsen-Spiegel" z wieku XIII postanowiono, iż „Łużyczanin przeciw Niemcowi nie może przed sądem świadczyć". Aż do XIII stul. mieli Łużyczanie w sądzie tłumacza, póki i tego nie pozbawiono ich. Następnie odebrano im prawo piastowania jakichkolwiek urzędów. Stąd też zaczęli powoli zapominać swego języka, posługując się jakąś mięszaniną serbszczyzny z niemczyzną i rzedli bez przerwy.

Dopiero reformacya podźwignęła ich język rodzimy. Duchowni protestanccy zaczęli starać się o przekłady pisma św. i katechizmu na język łużycko-serbski i tu mamy początki literatury łuż.-serbskiej. Najdawniejszym zabytkiem jest dolnołużyckie tłómaczenie Nowego Testamentu z r. 1548. Po kilkunastu drukach z końca XVI i początku XVII wieku następuje przerwa aż do początku XVIII stul. Była to doba upadku narodowego, kiedy wszyscy wyczekiwali rychłego jego wynarodowienia się. Jakkolwiek bowiem reformacya wywołała pierwsze początki piśmiennictwa, przecież tem skuteczniej przyspieszyła germanizacyę: brak duchowieństwa rodzimego doprowadził do nabożeństw dodatkowych nawet w języku niemieckim, skutkiem czego zaczęto niemczyznę uważać za coś lepszego od języka ojczystego. Skutkiem tego do połowy XVII w. zniemczyło się 22 osad a do połowy XVIII z górą 50.

W Łużycach dolnych w połowie XVII wieku napisał Jan Chojnan obszerne dzieło językowo-słownikarskie o narzeczu dolno-łużyckiem oraz parę utworów nabożnych, ale nic z tego nie ukazało się w druku. Dowodem straszliwego upadku Serbów dolnołużyckich jest fakt, że rodowity Niemiec Bogumił Fabricius zaczął wydawać z początkiem XVIII stul. dolnołużyckie utwory nabożne, między innymi zaś przekład Nowego Testamentu.

Widząc w braku księży łużyckich największe niebezpieczeństwo dla narodu, dwaj bracia Szimonowie założyli w Pradze serbskie seminaryum dla młodzieży gimnazyalnej, pragnącej poświęcić się duszpasterstwu, z którego do dzisiaj wychodzą księża dla Łużyczan-katolików. Takież samo znaczenie dla ewangelickich Górnołużyczan miało utworzenie „Górnołużyckiego towarzystwa kaznodziejskiego przy uniwersytecie w Lipsku (1716), oraz analogicznego stowarzyszenia w Wittemberdze (1749). Ostatnie przestało istnieć z zamknięciem wszechnicy w r. 1814.

Świt przebudzenia się Górnych Łużyc przypada dopiero na początek XIX w. Prosty człowiek z ludu, cieśla Jan Dejka zaczyna

w r. 1809 wydawać pierwsze czasopismo łużyckie *Serbski powědar a kurěr*, w którem przemówił do ludu w sposób, w jaki do niego nikt dotąd nie odezwał się. W tymże czasie Lubieński wydaje w Lipsku rozmaite broszury ludowe, Zejler zaś czyni pierwsze próby na polu literatury nadobnej. Pod wpływem czeskiego odrodzenia literackiego przygotowuje w Pradze J. P. Jordan młodzież łużycką do pracy, w Budyszynie znowu Sunder kształci gimnazyalistów łużyckich w duchu narodowym, tamże też powstaje w r. 1839 *Societas slavica Budissina*, w Wrocławiu zaś stowarzyszenie studentów łużyckich. Około tego też czasu zaczynają Łużycami zajmować się inni Słowianie, jak: Szafarzyk, Kollar, Sztur, Maciejowski, Zmorski, Hilferding i Srezniewskij. Oprócz wpływów słowiańskich głównym nauczycielem młodego pokolenia był sam lud. Młodzież zaczyna zajmować się spisywaniem pieśni i opowiadań ludowych. W r. 1841 Smoler wydaje swój monumentalny zbiór pieśni ludowych. W r. 1835 wreszcie na skutek starań dra Adolfa Klina weszło do ustawy szkolnej saskiej postanowienie, mocą którego pozwolono Serbom łużyckim na używanie języka ojczystego podczas nauki czytania i religii w szkołach początkowych. W r. 1845 powstaje hymn narodowy, napisany przez Zejlera, do którego muzykę ułożył Karol Kocor, w r. 1846 wychowankowie seminaryum praskiego zakładają stowarzyszenie „Serbowka". Szczytem dążeń odrodzeniowych było ukonstytuowanie się „Maticy Srbskej" w r. 1847, której cele dadzą się określić następującemi zadaniami: udoskonalenie, ustalenie i rozpowszechnienie prawidłowej pisowni serbskiej, dbałość o czystość i uszlachetnienie języka, wydawanie książek ludowych, czasopisma naukowego, serbsko-niemieckiego i niemiecko-serbskiego słownika, oraz innych publikacyi naukowych. Matica stała się odrazu ogniskiem, szerzącem świadomość narodową do najdalszych krańców terytoryum łużycko-serbskiego, walne zgromadzenie zaś jej stało się dorocznem świętem narodowem.

Powszechny ruch z r. 1848 nie pozostał też bez wpływu na Serbów łużyckich. Ruch demokratyczny w Niemczech i słowiański w Austryi dotarły do Łużyc, gdzie pozostawiły ślady wyraźne. Jordan brał udział w zjeździe słowiańskim w Pradze i w manifeście swoim do ludów europejskich ujął się dzielnie za Serbami łużyckimi, protestując przeciwko niemczeniu ich. Powróciwszy zaś do kraju, zaczął redagować sam *Tyd. Noviny*, czyniąc z nich dobre pismo polityczne. Demokraci niemieccy byli przekonani, że pociągną Serbów łużyckich

ku sobie. Nie powiodło się to, gdyż Łużyczanie stali wiernie przy tronie królewskim. Dnia 26 czerwca 1848 podała deputacya łużycka prezesowi saskiego ministerstwa pamiętną petycyę, opatrzoną 5.000 podpisów, w której domagali się równouprawnienia swojego języka ojczystego z niemieckim w szkołach, kościołach, urzędach i sądownictwie. Wypadki z 28 sierpnia 1849 r, zawiodły znacznie nadzieje, żywione przez Serbów łużyckich, ale przecież dały im niektóre zdobycze, n. p., że w szkołach początkowych zaprowadza się dla dzieci łużyckich obowiązkową naukę czytania i religii w języku ojczystym, że dla Serbów łużyckich w okolicy Drażdżan mają się odbywać cztery razy w roku nabożeństwa serbskie, że przy sądach i urzędach mają w razie potrzeby fungować tłómacze przysięgli, że dalej język łużycki ma być zaprowadzony jako przedmiot nadobowiązkowy w gimnazyum budyszyńskiem oraz w ewangielickiem i katolickiem seminaryach nauczycielskich.

Wszystko to podniosło świadomość narodową Serbów łużyckich do tego stopnia, że nawet reakcya polityczna lat pięćdziesiątych nie była w stanie powstrzymać rozwoju odrodzenia łużyckiego. Serbscy duchowni i nauczyciele, o ile to było możliwe w granicach ustaw saskich i pruskich, stali na straży praw językowych łużyckich, stowarzyszenia łużyckie, czasopisma i książki podtrzymywały świadomość narodową ludu. Do Maticy przyłączyły się od r. 1863 dwa stowarzyszenia literackie, które przejęły na siebie część jej zadań: „Serbske lutherske knihowne towarstwo“ i katolickie „Towarstwo swjateju Cyrilla a Methoda“, wydające książki do nabożeństwa i czasopisma. Zjednoczone usiłowania powyższe stały się możliwe do uskutecznienia jedynie dzięki tej szczęśliwej okoliczności, że J. A. Smoler zapoczątkował działalność wydawniczą, a nadto przejął po Jordanie *Slavische Jahrbücher*, a po ich niedługim upadku ogłaszał *Zeitschrift für slavische Litteratur Kunst und Wissenschaft* tak, że Budyszyn stał się jednem z ognisk wzajemności słowiańskiej.

W dziejach „Maticy Srbskiej“ nastaje nowa doba dopiero od zakupienia własnego domu (1873 r.). Godzi się też podnieść, że z inicyatywy Polaka p. Alfonsa Parczewskiego powstaje „Tow. pomocy dla uczących się Serbów“ i to, że Kraszewski ufundował dla nich stypendyum „za najlepsze postępy w serbszczyźnie łużyckiej“. Teraz to ukazuje się nieoceniona „Statystyka Serbów“ prof. Muki, parę tomików poezyi Jakóba Ciszyńskiego, Czernego *Mythiske bytośce*, ale teraz też Łużyce ponoszą niepowetowaną stratę przez zgon Hór-

nika, po którym cały ciężar pracy przyjmuje na swoje barki prof. Ernest Muka, który odtąd redaguje *Časopis Mać. Serbs.* Z jego inicyatywy wzięto udział w wystawie w Drażdżanach w r. 1896, łużycko-serbski zaś jej pawilon stał się podstawą „Ludoznawczego i historycznego muzeum łużycko-serbskiego", otworzonego w r. 1900. W r. 1904 wreszcie ukończono budowę „Serbskiego domu" w Budyszynie, w którym znalazły pomieszczenie: drukarnia, księgarnia, bogata biblioteka „Maticy", muzeum oraz sala na zgromadzenia, mogąca też służyć na koncerty i przedstawienia.

Na nieszczęście pole pracy kobiecej leży w Łużycach odłogiem. Przedewszystkiem brak tu kobiet inteligentnych. Przyrodzonemi obronicielkami świadomości narodowościowej są kobiety z ludu, podczas gdy nie można tego powiedzieć o kobietach z inteligencyi. Uświadomione narodowo Łużyczanki możnaby policzyć na palcach. Wiele w tem winy jest po stronie mężczyzn, którzy chętnie żenią się z Niemkami, skutkiem czego często dzieci inteligentów łużyckich wyrastają na Niemców. Niebezpieczeństwo poważne spoczywa w takim stanie rzeczy!

W Łużycach dolnych był zawsze większy ucisk, aniżeli w górnych. W szkołach uczono stale po niemiecku, kazania łużyckie zamieniano stopniowo niemieckiemi. Winą było to poniekąd młodzieży, która z Lipska, Halli i Berlina powracała w strony rodzinne przepojona duchem niemieckim.

Dopiero około r. 1880 zaczęło się w dolnych Łużycach budzić nowe życie, kiedy Jordan zaczął tu zbierać materyały etnograficzne. Dopiero jednakowoż wówczas, gdy Polak mec. Parczewski zainicyował założenie „Wydziału dolnołużyckiego Macierzy Serbskiej", zaczyna się dawać zauważyć pewien postęp. Również młodzież stała się nowym czynnikiem w życiu narodowem. „Zvěstk" (związek) jej, założony w r. 1891, nawiązał stosunki z kolegami górno-łużyckimi, wpływ zaś tego zbliżenia się młodzieży obu gałęzi łużyckich okazał się wielce dobroczynny. Dolno-łużyccy gimnazyaliści w Chociebużu i seminarzyści w Starej Darbni pielęgnowali pieczołowicie język swój ojczysty, gdy naukę nadobowiązkową łużyczyzny zniesiono w r. 1888. Od r. 1893 zaczęto urządzać po wszystkich wsiach łużyckich serbskie wieczorki muzykalno-wokalne. Z tej młodej generacyi wyszedł nowy mąż czynu G. Šwěla. Niestety! niedługo dozwolone było mu tutaj działać, gdyż przeniesiono go do pruskich Górnych Łużyc. Najgorsze

to, że nie potrafiono z Chociebuża uczynić takiego ogniska życia dolno-łużyckiego, jakiem jest Budyszyn w Górnych Łużycach.

A teraz nieco statystyki: według obliczeń, dokonanych przez prof. Mukę, na terytoryum etnograficznem serbskiem i serbsko-niemieckiem mieszkało w saskich Górnych Łużycach 56.354 Serbów łużyckich, w pruskich G. Łużycach 37.303, w Dolnych Łużycach 72.410, czyli razem 166.067 Serbów łużyckich. Pozatem naliczono w Niemczech, Ameryce i w Australii 7402 Serbów górnołużyckich i 3500 dolnołużyckich, czyli razem 10.902. Ogółem tedy było w roku 1880 podług statystyki prof. Muki wszystkich Serbów górnołużyckich 101.059, dolnołużyckich 75.910, wszystkich ogółem 176.969. Wobec tego wszelako, że od ukazania się obliczenia prof. Muki ubyło około 20.000 Serbów łużyckich, można tedy ogół ich przyjąć za 156.000 głów.

Język łużycko-serbski należy do gałęzi języków zachodnio-słowiańskich i zbliża się więcej do czeszczyzny, niźli do polszczyzny. Dzieli się na dwa narzecza, które oba stały się językami literackimi: na serbszczyznę górnołużycką, bliższą języka czeskiego i dolnołużycką bliższą języka polskiego. Rozdział ten widoczny jest już w najdawniejszych zabytkach piśmiennych, chociaż wtedy obie serbszczyzny łużyckie bliższe były siebie, aniżeli dzisiaj.

Najstarszym zabytkiem piśmiennym serbszczyzny łużyckiej jest górnołużycka formułka przysięgi serbskich mieszczan budyszyńskich z drugiej połowy XV w., przechowywana w muzeum miejskiem w Budyszynie. Pierwszy literacki zabytek rękopiśmienny jest pochodzenia dolnołużyckiego: jest to przekład Nowego Testamentu, ukończony w r. 1548 przez M. Jakubica, przechowuje się w król. bibliotece w Berlinie. Również najstarszy znany druk jest dolnołużycki, a mianowicie śpiewnik i katechizm Albina Mollera, drukowany w r. 1574 w Budyszynie i zachowany w jedynym egzemplarzu. Pierwszym drukiem górnołużyckim jest przekład małego katechizmu Lutra, dokonany przez Wacława Warichia z r. 1597.

Literatura łużycko-serbska powstała pod wpływem reformacyi religijnej niemieckiej. Mamy wprawdzie wiadomość o katechizmie z końca XV wieku, wydanym z rozporządzenia biskupa miśnieńskiego Jana VI. ze Salhausen, ale nie zachował się on ani w jednym egzemplarzu. Przyczynę tego, że ówcześni księża nie zostawili po sobie przekładów modlitw kościelnych, należy upatrywać w niewielkich różnicach, jakie zachodziły pomiędzy ówczesnym językiem łużycko-

serbskim a staroczeskim. Księża zaś używali do potrzeb kościelnych książek czeskich, których teksty czytali podczas nabożeństwa odrazu po łużycku. Cała literatura zresztą do końca XVIII wieku jest prawie wyłącznie religijna. Dopiero w okresie romantyzmu zaczyna się prawdziwa literatura piękna Andrzejem Zejlerem. Głównymi motywami poezyi jego: ogromne ukochanie ludu i jego życia, umiłowanie przyrody ziemi ojczystej, choć nie brak w liryce tej humoru i satyry. Zejler był lirykiem *par excellence*, toteż liryzm góruje nawet w jego opowieściach poetyckich i próbach dramatycznych. O znaczeniu Smolera wspominaliśmy wyżej, jak nie mniej o ruchu czasopiśmienniczym z połowy XIX wieku, jak wreszcie o pracach Pfula i Radyserba-Wjeli. Osobne znaczenie ma Jan Čěsla, bardzo płodny poeta w latach 1862—1872, którego znaczenie spoczywa w epice, a mianowicie w powieści historycznej p. n. *Kral Přibysław*. Z pomiędzy poetów doby najnowszych wymienić należy J. Barta-Ćišińskiego, któremu *Księga sonetów* zjednała naczelne miejsce w poezyi łużycko-serbskiej, a dramat wierszowany *Na Hradźišku* jest jedyną dotychczas próbą dramatyczną łużycką, posiadającą wartość artystyczną.

O początkach literatury dolno-łużyckiej wspominaliśmy wyżej. Jedynym godnym jej przedstawicielem w XIX stul. jest M. Kosyk, którego idylla *Serbska swaźba w Błotach* nie jest pozbawiona wartości, oraz opowieść historyczno-epiczna *Pśerada markgrofy Gera*.

Sztuki piękne, muzyka i teatr są u obu plemion serbsko-łużyckich dotąd jeszcze w stanie niemowlęctwa.

Co się tyczy stowarzyszeń liczą ich Łużyczanie 66; z tych 4 literackie, w tem 2 religijne, 1 pedagogiczne, 1 o celach oświatowych, 1 polityczne, 7 studenckich, 24 zabawowych, 16 gospodarczych, reszta finansowych.

Z kolei następuje bardzo obszerny obraz etnograficzny Łużyc (str. 158—210), który, powodowani brakiem miejsca, postaramy się streścić w najważniejszych zarysach. Serbowie łużyccy są ludem zdrowym, wzrostu wysokiego o ile chodzi o Górnołużyczan, podczas gdy Dolnołużyczanie są postawą niżsi, natomiast kobiety ich, zwłaszcza w „Błotach" odznaczają się uderzającą pięknością. Włosy po większej części mają ciemne, oczy piwne. Mężczyźni golą wąsy prawie bez wyjątku. Pod względem psychicznym cechuje ich przedewszystkiem nieufność do Niemców, którzy sami przyznają, że rys ów charakteru łużyckiego spowodowany został odwiecznym uciskiem niemieckim. Serb łużycki jest prosty, nie zna fałszu ani udawania. Zwierzchności

duchownej i świeckiej oddany jest najzupełniej; lojalność jego jest znana. Będąc konserwatystami w całem życiu są takimiż w życiu politycznem. Żołnierze serbscy stanowili w r. 1849 podporę tronu, wyborcy serbscy są zawsze podporą sfer zachowawczych. Konserwatyzm ludu jest również jedną z przyczyn dotychczas istniejących różnic pisowni górnołużyckiej. Są nabożni aż do bigotyzmu, wyznaniu swem wierni niezłomnie, zmianę zaś wyznania lub małżeństwo mieszane poczytują za największe nieszczęście. Pomimo to oba wyznania żyją obok siebie w zgodzie; przezwisk na innowierców w języku swoim nie znają. Na punkcie obu płci Łużyczanie są o wiele liberalniejsi, niżby tego można spodziewać się po ich nabożności. Ilość dzieci, dziewcząt niezamężność jest wcale pokaźna, natomiast zdrada małżeńska jest wprost nieznana. Żebraków też wśród Serbów łużyckich niema. Lud jest wesoły, towarzyski, lubi śpiew, muzykę i taniec, ma humor i dowcip. Chętnie uczęszcza do karczmy, ale pijaków wśród niego brak.

Z kolei opisuje Černy szczegółowo: wieś, zabudowania gospodarcze, stroje (ilustrowane mnóstwem rycin), zajęcia, potrawy, zwyczaje i obyczaje domowe i rodzinne, wierzenia i przesądy doroczne, świat nadprzyrodzony, fantastyczny, hafty, tkactwo, garncarstwo, kończąc ten rozdział charakterystyką ogólną baśni, pieśni i muzyki.

Lud ten zasługuje najzupełniej na nazwę bohaterskiego. Bo jeżeli Czarnogórcy bronili się siłą fizyczną przeciwko przemocy fizycznej w swoich naturalnych twierdzach, to Łużyczanie stawili czoło w otwartem polu przeważającej nawale nieprzyjaciół, i to nie przez miesiąc, nie przez rok, lecz nieustannie staczali bitwy wczoraj, dzisiaj, jutro przez życia całego szeregu pokoleń.

Serbowie łużyccy wiedzą dzisiaj, że przedewszystkiem sami, własnemi siłami mogą sobie dopomódz, że skoroby siły tej im zabrakło, żadna siła w świecie nie jest w stanie ich ocalić; a ta świadomość jest najcenniejszym zyskiem pracy działaczy narodowych ostatnich kilku dziesiątków lat. *Dr. Stanisław Zdziarski.*

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Żytia światych na każdyj deń. Piśla najlipszych żereł zładił o. *Epifanij Teodorowycz*, Tom I, Żowkwa 1912, peczatnia OO. Wasyłyan, str. 681.

Ojcowie Bazylianie, których żółkiewskie wydawnictwa zyskają chlubną kartę w historyi religijnej oświaty ludu ruskiego, podjęli obszerne ilustrowane wydanie Żywotów Świętych, stanowiących wszędzie, jak wiadomo, jeden z najbardziej popularnych rodzajów lektury duchownej. Pracą o. Teo-

dorowicza wyszedł tymczasem pierwszy tom tego wydawnictwa, zawierający Żywoty Świętych na styczeń i luty w porządku kalendarza wschodniego. Jest to zatem dopiero jeden z sześciu zamierzonych tomów. O pierwszym tomie trzeba powiedzieć, że się przedstawia nader sympatycznie: język opowiadania łatwy, popularny, wolny od sztucznego namaszczenia, a zwłaszcza od archaizmów cerkiewnej słowiańszczyzny, dodającej wprawdzie pewnej powagi, ale mało zrozumiałej dla prostego ludu, — ilustracye wprost artystyczne, stylowe, druk i papier wytworny, może zbyt drogi, jak na wydawnictwo obliczone na szersze koła czytelników. Co się tyczy samej treści opowiadań, to autor nie rości sobie pretensyi do samodzielnych badań hagiograficznych, lecz kompiluje ze znanych powszechnie źródeł: z Bollandystów, ze Skargi, z Dymitra Rostowskiego i innych. Oczywiście od wydawcy żywotów popularnych nie można wymagać samodzielnych badań naukowych; byłoby jednak do życzenia, żeby uwzględniał więcej krytyczne badania innych i w interesie prawdy opuszczał te szczegóły, które choć się znajdują w poprzednich zbiorach i kompilacyach żywotów świętych, nie wytrzymują jednak krytyki naukowej lub są mocno wątpliwe. Za przykład weźmy opowiadanie o ochrzczeniu cesarza Konstantyna przez papieża Sylwestra i wiele innych podobnych podań. Zachodzi tylko nieporozumienie co do Bollandystów. W ich *Acta Sanctorum* upatruje się czasem dokumenty co do wiarogodności nie podlegające watpieniu. Tymczasem sami Bollandyści niejednokrotnie zastrzegli się przeciwko takiemu pojmowaniu ich wydawnictwa. *Acta Sanctorum* jest to zbiór wszystkich dokumentów, odnoszących się do hagiografii, sądzić zaś o ich wartości wewnętrznej ma historyczna krytyka w każdym poszczególnym wypadku i tę krytykę uprawiają Bollandyści już to w rozmaitych wstępach i przypisach w samych *A. S.*, jużto i to przeważnie w peryodycznem swem piśmie *Analecta Bollandiana*. Oprócz życzenia, by w następnych tomach autor więcej się liczył z naukową krytyką, co może spowoduje wyrzucenie niejednego szczegółu, ośmielam się wyrazić i życzenie drugie, by rozszerzył swe wydawnictwo, dając w nim miejsce i dla świętych łacińskiego Kościoła, jacy żyli w wiekach późniejszych. Sądzę, że ze stanowiska obrządku grecko-katolickiego nic nie będzie można rozumnie zarzucić przeciwko uwzględnieniu takich Świętych jak św. Franciszek Salezy, Wincenty à Paulo i td., jeśli się opowiada o łacińskich Świętych z pierwszych kilku stuleci. Przytem historya nowszych Świętych jest lepiej zbadana, a cnoty ich może więcej, niż cnoty i cuda Świętych starożytnych, przemówią do współczesnych dusz i bardziej zachęcą do naśladownia.

J. U.

Enzyklopädie der theologischen Wissenschaften nebst Methodenlehre von *Dr. Cornelius Krieg*. 2 Aufl. Freiburg. Herder.

Encyklopedya teologiczna ma za cel podać w syntezie całokształt nauk teologicznych, by teolog mógł w nich się zoryentować. Początkujący łatwo się gubi, ale gubi się i specyalista, jeżeli nie zważa na całość i związek poszczególnych gałęzi teologii. Wiemy n. p., jak fatalnem jest dla dogmatysty ignorowanie historyi kościelnej, a szczególnie historycznego rozwoju dogmatów wiary; ale również zgubnem jest dla historyka zapomnieć o dogmatycznych podstawach Kościoła, zwłaszcza, że ma on niejedną sposobność spotkać się z ludzką, często aż nadto ludzką, słabością w członkach a nawet u głowy Kościoła.

Po dłuższym wstępie o historyi tej nauki przystępuje autor w pierwszej części do określenia przedmiotu i metod teologii w ogólności; następnie kreśli wspaniały obraz ideału teologa w jego życiu naukowem, ascetycznem, i towarzyskiem. W drugiej części przechodzi poszczególne działy teologiczne: teologię historyczną (z biblistyką i historyą kościelną), teologię systematyczną (z apologetyką, z dogmatyką i teologią moralną), i teologię praktyczną (z pastoralną i prawem kanonicznem). Przy każdej z osobna podaje przedmiot i granice jego, tudzież metody i szkic całego traktatu.

Tak szeroko pojęta synteza ma bezsprzecznie swoją wielką wartość dla każdego teologa, szczególnie jeżeli jest skreślona z taką gruntowną znajomością rzeczy, z taką jasnością a przedewszystkiem z takim entuzyazmem, jak niniejsza encyklopedya Kriega.

Dziwnem jednak się wydaje, że podręcznik przedstawiający jakby program wykształcenia przyszłego księdza w XX. wieku wcale nic nie wspomina o konieczności studyum kwestyi socyalnej; to brak i brak pożałowania godny, który koniecznie należałoby w przyszłości uzupełnić.

Inna uwaga nasuwa się jeszcze referentowi, mianowicie ta, że obraz całokształtu teologii będzie dopiero wtedy kompletny, jeżeli przedstawi jasno nietylko to, co się już pewnego na każdem polu osiągnęło, ale i problemy, które jeszcze pozostały do obrobienia. Jest ich jeszcze bardzo wiele, a ich uwzględnienie dałoby niejednemu bodźca i zachęciło do badań, do prac samodzielnych nad ich wyświetleniem. *O. B.*

Einleitung in die hlg. Schrift des Alten und Neuen Testamentes von *Franz Kaulen*. Erster Teil. 5 Aufl. neu bearbeitet von *Gottfried Hoberg*. Freiburg i. Br. Herder 1911. (Kor. 4·80).

Lat temu 20 był Kaulen, profesor z Bonn, uważany za księcia katolickich egzegetów; był też wydawcą wielkiej Encyklopedyi kościelnej Wetzera i Weltego, w której liczne artykuły biblistyczne pochodzą z pod jego pióra.

Najsławniejszym jednak stał się przez swoją „Einleitung in die hlg. Schrift", zawierającą w 3 tomach niewielkich ogólną i specyalną introdukcyę do całego Pisma św.

Dzieło to wyszło u Herdera po raz pierwszy w r. 1876 i odznaczało się niezwykłą przejrzystością układu, gruntownością doktryny, wielkiem bogactwem dokładnych szczegółów i dokładną bibliografią. Choć po nim w. r. 1884 ukazała się obszerna introdukcya Ojca Cornely'ego w 3 tomach, to jednak stary „Kaulen" nic a nic nie utracił na wziętości; jeszcze za życia autora wyszło 4. wydanie w r. 1899; piątem wydaniem zajął się Hoberg biblista w uniwersytecie fryburskim. Pierwsza część, która zawiera ogólny wstęp do całego Pisma św. — znacznie została powiększoną, o prawie 80-siąt stronic; co do treści nic nie utraciła ze swoich zalet dawniejszych, a wiele zyskała nowych pod doświadczoną ręką Hoberga. Powierzchowne porównanie tej edycyi z poprzednią wykazuje, że niema ani jednego paragrafu, któryby nie został poprawionym lub uzupełnionym. Wstęp ogólny do Pisma św. zajmuje się według przyjętej metody dwiema kwestyami: historyą Kanonu Pisma św. i historyą tekstu ksiąg świętych w ogólności. Wobec nadzwyczajnych postępów językoznawstwa semickiego i greckiego, musiał nowy wydawca zwłaszcza części o językach biblijnych gruntownie przerobić. Uczynił to dodając nawet niektóre wzory pisma starohebrajskiego i greckiego. Bardzo mało zmienił paragrafy o historyi ksiąg św. Nowego Testamentu i tak n. p. nic nie wspomina o krytycznych pracach Sodena, podaje tylko je-

go nową nomenklaturę kodeksów. Obszernie i gruntownie opracowane są tłumaczenia syryjskie Pisma św. ale zato znowu po macoszemu traktowane tłumaczenie polskie, gdzie nawet nazwiska Wujka nie wymienił.

Dodajmy, że bibiografia w każdej dysertacyi do najnowszych czasów jest doprowadzoną. Jednem słowem: Kaulen'a introdukcya biblijna będzie jeszcze na długie lata najpraktyczniejszą, no i najtańszą. *O. R.*

Hermeneutica biblica, quam concinnavit *Ern. C. Gřiwnacky* O. s. B. Brunae 1911. (Kor. 2·30).

Uczony benedyktyn sam tłómaczy wydanie swojego dziełka tem, że zajmuje miejsce pośrednie pomiędzy podręcznikami mniejszymi Doeller'a, Zapletal'a i innych i większem Szekely'ego; i ma w tem słuszność. Na setce stronic przedstawił o wiele gruntowniej od innych cały materyał hermeneutyki biblijnej.

Czem się różni od innych? Zasadniczo przedewszystkiem, że zasady *specyalne* tak nazwane katolickie (definicye Kościoła, tradycya Ojców i analogia dogmatyczna) kładzie na pierwszem miejscu (§ 14—17), a następnie dopiero (§ 18—82) wyłuszcza zasady czysto naukowe. Zdaje się, że ta metoda nie znajdzie u wszystkich uznania. Terminologia, a zwłaszcza podział na *sensus litteralis et realis*, nie są jednolicie używane jak u innych. Wiele pożytku przyniosą uczniom liczne i praktyczne przykłady, niektóre nawet obszerniej rozwinięte. Najlepiej obrobione są drugi i trzeci rozdział o kontekscie i o konkretnych warunkach autora dokumentu.

Jednak żałować trzeba, że i ta najnowsza hermeneutyka nie ma jeszcze osobnego paragrafu o rodzajach literackich używanych w Piśmie św. Wobec dekretu komisyi bibl. z dnia 23 czewca 1905, niezmiernie doniosłego dla biblisty, którego niestety autor nigdzie nie zacytował, powinien był o nich nietylko wspomnieć, ale i osobny im rozdział poświęcić. *O. R.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Położenie Kościoła w Portugalii.

Rzadkie tylko wiadomości z Portugalii przedostają się do nas. Nie dziw, że rzadkie u nas, bo zbyt daleko jesteśmy od niej, ale rzadkie są one i w krajach bliżej położonych, a przedewszystkiem są one tego rodzaju, że niewiele mówią. Lakoniczne telegramy z obcobrzmiącem nazwiskiem i mało zrozumiałym faktem uchodzą uwagi przeciętnego czytelnika — a baczny tylko może się czegoś domyślać i pod obsłoną pozornego spokoju przeczuć ciężkie przejścia i krytyczne chwile, które przebywa nowo utworzona Rzeczpospolita.

Zapewne, że zmiana rządu z monarchicznego na republikański musiała za sobą pociągnąć wstrząśnienia w społeczeństwie, ale te nie powinnyby trwać tak długo; kraj po usunięciu nadużyć poprzedniego rządu powinienby wrócić do normalnego stanu. Tak należało oczekiwać, gdyby rewolucya miała zawsze tylko na celu usunięcie nadużyć — ale zwyczajnie rewolucye wywołane i oparte na najniższych uczuciach ludzkich zdolne są tylko do burzenia a nie potrafią wznosić zdrowej budowy dla nowego społeczeństwa. Rewolucya w Portugalii, która zniosła tron królewski i obaliła monarchię, poszła śladami innych i jak dotychczas, pozostawia zgliszcza i ruinę, jako owoc swej działalności. Rząd, który po usunięciu króla ujął władzę

w swe ręce, nietylko nie dorósł do swych zadań, ale wprost nie objawia nawet chęci ratowania kraju, przyprowadzonego nad brzeg przepaści — a za całe swe zadanie uważa tępić czynniki, którym nie ufa, a przedewszystkiem przeprowadzić dechrystyanizacyę państwa i kraju.

To położenie kraju tak określał i uzasadniał Magalhâes Lima, jeden z reprezentantów masoneryi portugalskiej na monachijskim kongresie wolnej myśli, przed redaktorem brukselskiej gazety *Patriote* (1 września 1912): „Nie rzeczpospolita przygotowała w Portugalii tryumf wolnej myśli, ale wolna myśl wprowadziła do Portugalii rzeczpospolitą. Mając ten fakt zasadniczy przed oczyma, łatwo zrozumieć, że rzeczpospolita zupełnie nie spełniłaby swego obowiązku, zupełnie rozminęłaby się ze swym programem, gdyby ponad wszystko nie była wolnomyślną i antyklerykalną".

W tych słowach wolnomularza mieści się jędrna i zupełna charakterystyka obecnego rządu i jego programu. Jest wolnomyślnym i antyklerykalnym, t. j. dorwawszy się do władzy i mając na swe usługi siłę, chce z niej skorzystać, aby dogodzić swym popędom burzycielskim i zgubić i wyniszczyć, co jest podstawą wszelkiego ładu, porządku i sprawiedliwości, t. j. religię.

Rewolucya październikowa w r. 1910 odrazu okazała się wrogą kościołowi. Podczas jej wybuchu prowadzili menerzy wzburzony motłoch nie tylko przeciw królewskiemu wojsku, ale wiedli go też przeciw klasztorom, urządzając obławy na zakonników i księży. Jeszcze nie opadły dymy po walce, już rząd republikański, na prędce sklecony, spieszy się zamanifestować kierunek przyszłej działalności Republiki i w trzy dni po wybuchu, (8 października 1910 r.) ogłasza dekret rozwiązujący wszystkie klasztory i kongregacye religijne, a posiadłości ich poddaje konfiskacie. Jezuitów spotyka odszczególnienie. Nietylko ich ograbiono ze wszystkiego, ale nadto wszystkich członków tego zakonu wywołano z kraju. Po zdjęciu z nich, jako z typowych zbrodniarzy pomiarów antropometrycznych,

z więzień odrazu odstawiono do granicy, domagając się jeszcze od ograbionych zapłacenia kosztów transportu.

Ale to były tylko preludya do akcyi, która na daleko szerszą skalę miała być przeprowadzona w przyszłości i która trwa aż do obecnej chwili. Zamknięcie klasztorów i rozprószenie zakonów równało się tylko rozgromieniu wojska kościelnego; pozostała jeszcze kościołowi cała organizacya i administracya, która kościół spaja i daje mu życie i jedność społeczną. Trzeba było obmyśleć coś na jej rozbicie i — w parę miesięcy 20-go kwietnia 1911 r. pojawia się prawo o rozdziale kościoła od państwa.

Jestto główne, zasadnicze prawo, *magna charta* ustawodawstwa Republiki portugalskiej: prawo, około którego będą grupować się dodatki, wyjaśnienia, rozporządzenia na niem oparte i do niego się odnoszące, niezmieniające w niczem jego ducha, chyba na gorsze. Nazwa jego jednak nie odpowiada treści; swym eufemizmem przykrywa i łagodzi faktyczny stan rzeczy. Gdyby nazwa miała być odpowiednim wyrazem treści, należałoby je nazwać prawem zupełnego ujarzmienia kościoła przez państwo. Ono nie przeprowadza rozdziału, ale jest zbiorem przepisów brutalnie kościół krępujących i poddających go w najzupełniejszą zależność od rządu, a to w celu jego deorganizacyi. Gdyby rząd zabrał się do rzeczy mniej brutalnie, z większem umiarkowaniem, kto wie, możeby zdołał wprowadzić w błąd i uśpić sumienia przyzwyczajonego do uległości kleru, może doprowadziłby do jakichś niebacznych kompromisów, które na razie nie groźne, w następstwach okazałyby się fatalne. Ale tendencya wroga prawodawców tak jaskrawo się objawiła, że wykluczała wszelki kompromis. Trzeba było odrazu zerwać związki z Kościołem katolickim, aby się dostosować do tego prawa. Więc walka stała się nieunikniona. Ofiarą jej padli na pierwszem miejscu biskupi.

Już poprzednio w przewidywaniu zamiarów rządu informowali oni swe dyecezye o stanowisku, jakie należy zająć wobec niebezpieczeństw zagrażających kościołowi — teraz po ogłoszeniu prawa wydali wspólny list pasterski z protestem prze-

ciw zamachom rządu na prawa Kościoła. To posłużyło rządowi za powód do akcyi przeciw ich osobom. Początkowo zdawał się on ignorować protest wspólny i oczekiwać, żeby każdy biskup z osobna wyjawił swe zdanie. Przypuszczano, że w odosobnieniu nie każdy zdobędzie się na odwagę protestowania, wskutek czego ujawnią się u nich różnice w poglądach, a wtedy tem łatwiej będzie można przeciw poszczególnym wystąpić, że wobec rozbitej jednomyślności zdeoryentowana opinia publiczna nie będzie mogła za nimi się opowiedzieć. Przewidywania się nie spełniły, biskupi chlubnie wytrwali na zajętem stanowisku — jeden po drugim wnosili zgodne protesty i jeden po drugim ulegali przemocy. Za Don Sebastyanem Leite de Vasconcellos, biskupem z Beja i Mgr. de Sousa Barroso, biskupem z Oporto, których rząd już przedtem wyrzucił z dyecezyi za opór, musieli pójść i los ich dzielić najpierw patryarcha Lizbony Don Antonio I. i biskup Guardy Mgr. Vieira de Mattos, potem zaś reszta biskupów portugalskich.

I los kleru świeckiego nie pozostał lepszy. Z początku starano się go wygrywać przeciw biskupom i Kuryi Rzymskiej. Kiedy sekciarskie gazety związane z rządem z bezwzględną zaciętością występowały przeciw biskupom, o klerze niższym wyrażały się z uznaniem, chwaliły jego patryotyzm w przeciwstawieniu do zdrady prałatów, pochlebstwem starały go sobie zjednać i wywołać opór przeciw rozporządzeniom biskupów. Gra się nie udała. Ogół kleru wytrwał przy swym obowiązku, okazując solidarność ze swymi biskupami, a ci, co poszli po myśli rządu, stanęli odrazu w tak jaskrawej sprzeczności z całą hierarchią i ogółem duchowieństwa, że nie mogło ulegać wątpliwości, że już do kościoła nie należą. Chodziło przedewszystkiem o stowarzyszenia kultu, które przepisywało prawo o separacyi.

Czem są te stowarzyszenia? Są przedewszystkiem środkiem obmyślanym przez rząd, aby rozbić hierarchię i organizacyę kościelną, a cały zarząd kościołem i kultem religijnym zupełnie uczynić zależnym od siebie. Prawo nakazuje organizować stowarzyszenia, czy to będą bractwa czy inne jakie stowa-

rzyszenia, ale niezależne od władzy kościelnej, którym zwierza opiekę nad całym kultem, czyniąc je oczywiście odpowiedzialnemi za wszystko co się do kultu odnosi. W ten sposób proboszcz-kapłan zostaje wyzuty z wszelkiej władzy do rządzenia kościołem i wiernymi, zostaje na boku jako sługa religijny stowarzyszenia, zależny od stowarzyszenia i od niego odbierający rozkazy, z którem zapewne przyjdzie do nieporozumień i scysyi, a rząd znów jest jedynym panem sytuacyi, rozjemcą ostatecznym, od którego zależy wszystko.

Otóż stowarzyszenia te, którym rząd przyznaje prawo gospodarowania w kościele niezależnie od władz kościelnych, już w innych państwach projektowane, spotykały się zawsze ze zrozumiałem potępieniem Stolicy Apostolskiej. Potępiła je ona i dla Portugalii, biskupi zakazali księżom wszelkiego zajęcia się i styczności z takiemi stowarzyszeniami, a kler ich zrozumiał, usłuchał i nie przyłożył ręki do dzieła obmyślanego na zgubę kościoła. I za to spotkało go prześladowanie.

Ale nietylko za to.

Dokoła prawa o rozdziale, które oczywiście mieści w sobie zasadniczą tendencyę rządową, grupują się inne prawa, dekrety i przepisy wydane bądźto wcześniej przed jego ogłoszeniem, bądź później dodane, jako wyjaśnienie, rozszerzenie lub uzupełnienie jego zawartości. Celem ich usunięcie wszelkich cech religijnych z życia społecznego. Więc z formuły przysięgi wyrzuca się wzmiankę o Bogu, aby sądownictwo uwolnić od cechy wyznaniowości. Zakazuje się obchodów kościelnych i kasuje się święta katolickie, bo one przypominałyby kult religijny, którego państwo nie zna. Ze sakramentalnego związku małżeńskiego, którego następstwem jest dozgonna nierozerwalność, robi się czysty kontrakt, który przy zachowaniu pewnych formalności tak dobrze może być rozwiązany, jak był zawarty. Ustanawia się przepisy normujące w zrozumiałym duchu odprawianie nabożeństw, a przekraczający je mają być pociągani do odpowiedzialności. Jak daleko i szeroko rozciągają się te przepisy może dać wyobrażenie zakaz noszenia sutanny poza kościołem. Nawet dzieci uszczęśliwia się wyzwo-

leniem z kajdan dogmatycznych. Ministeryum spraw wewnętrznych wydaje okólnik zabraniający nauki religii we wszystkich szkołach. Więc znosi się nietylko na uniwersytecie fakultet teologiczny, ale i ze szkół średnich i niższych, z kollegiów i wszelkich instytutów naukowych usuwa się nauczanie religii. Zakaz ten dotyczy także instytucyi prywatnych, które powinny być „wolne od wszelkiej preokupacyi religijnej". Oczywiście wszystkich tych przepisów trzeba dopilnować, a odpowiednie organa mają surowe polecenia pod tym względem.

Cały ten prawodawczy arsenał, do którego wciąga się jeszcze stare, pyłem całego wieku przykryte rozporządzenia Pombala, jest już olbrzymi. Stanowi on szerokie pole, na którem zaciekłość masońska może dowoli się nahasać, ścigając opornych. Czujne oko władz wszędzie dostrzega nieposłuszeństwo względem ustaw republikańskich i nie waha się pociągać do odpowiedzialności winnych, stosując do nich procedurę, urągającą wszelkiemu poczuciu ludzkości.

Więzienia portugalskie i procedura karna mają już obecnie ustaloną sławę. Zawdzięczają ją nie prasie krajowej, bo ta ma usta zamknięte przez cenzurę. Jest wprawdzie prawo, że „każdemu wolno wyjawiać swą myśl przed innymi tak, jak się mu podoba bez pytania się o jakiekolwiek uprzednie pozwolenie", ale to prawo pozostaje tylko na papierze. Rząd, który je sformułował, tak przykładnie przestrzega jego zachowania, że nawet prywatną korespondencyę kontroluje i przetrząsa, aby nie dopuścić poza granice kraju prawdziwych informacyi. Tylko, że zamiar ukrycia prawdy w dzisiejszych czasach wykonać się nie da. Wiadomości przedarły się przez granicę mimo cenzury rządowej i dostały się nawet na łamy prasy międzynarodowej. Angielski *Times*, niepodejrzany o klerykalizm, tak te stosunki opisuje w jednym ze wstępnych artykułów kwietniowych: „Tajne stowarzyszenia, które doprowadziły Portugalię do republiki usiłują umocnić i zabezpieczyć swe dzieło podejmując walkę eksterminacyjną przeciw wszystkiemu, co tylko przebujałej ich wyobraźni wydaje się podejrzanem o jakiekolwiek sympatye

rojalistyczne. Setki takich osób aresztowano na podstawie najbardziej błahych pozorów, często jedynie na jakiś lichy donos i powrzucano je bez żadnego względu na wiek, godność i stan do zwyczajnych więzień, żeby tam w towarzystwie najpodlejszych zbrodniarzy tygodniami, miesiącami, a nawet latami całemi oczekiwały, aż kiedyś spodoba się władzom przeprowadzić nad niemi śledztwo. Ale i wtedy czynniki, którym zależało na aresztowaniu, potrafią przekonać też o winie i sprowadzić wyrok, skazujący na 6 lat przymusowych robót, a potem na zupełne wygnanie z kraju. Swobodnie praktykowana metoda zastraszeń i fałszywych świadectw rzadko zawodzi. Cała ta procedura dobrze obmyślana na to, aby stopniowo pousuwać wszystkie elementa, któreby jakikolwiek opór mogły stawić sekciarskiej tyranii".

Times miał na względzie tylko moment polityczny, nie dotyka tu momentu religijnego, który w postępowaniu rządu bodaj czy nie gra jeszcze ważniejszej roli niż polityczny.

Charakterystyczne szczegóły przytacza też w swoim opisie księżna Adeline Bedford, dla której rząd okazał tyle względów, że jej pozwolił zwiedzić parę więzień. Oczywiście rządowi zależało na tem, aby księżnie pokazać wzorowe kaźnie — a siebie w jak najlepszem przedstawić świetle. Zwiedziła tedy księżna więzienia Limoeiro, Aljubę i Penitencyaryę i rezultat swych badań podała do wiadomości publicznej w Anglii.

Wśród uwięzionych zbrodniarzy w Limoeiro znalazła lekarzy, dziennikarzy, kupców, szlachtę i księży. Wszyscy tworzyli jedno towarzystwo, przebywali razem. Za jakież to zbrodnie nieszczęśliwi ci ponosili karę? Oto przypadkowe słowo u golarza wystarczyło do aresztowania znanego i cenionego lekarza; próżność podoficera, który gdzieś miał się chlubić, że służył pod trzema królami, przyprawiła go o życie; niedołężny starowina proboszcz nawet bez upozorowanego oskarżenia został wywleczony ze swej chudobnej plebanii wraz z kościelnym i musi teraz przebywać wśród zbrodniarzy. Jedni z nich czekali już od dwóch lat na śledztwo, inni mieli wyrok skazujący ich na Penitencyaryę przez 6 lub 7 lat, a potem na deportacyę do kolonii bez pozwolenia powrotu. W Aljuba widziała księżna między

kobietami zbrodniarkami 7 politycznych przestępczyń. Z tych 5 były to poczciwe kobieciny z wysp Azorskich, które chciały uprzedzić plądrowanie swego kościoła parafialnego, na jakie go rząd przeznaczał i pochować niektóre naczynia kościelne. Porwano je za to na okręt i bez śledztwa skazano do Aljuby. W Penitencyaryi znów spotkały między innymi wśród złoczyńców także Markiza Belmonte i Don Josego de Mascaregnas. Nie brali oni udziału w niczem, ale karbonariusze aresztowali ich, bo podejrzywano ich o sympatye rojalistyczne. W śledztwie okazało się, że zeznania były fałszywe, ale sędziowie otrzymali zawiadomienie, że jeżeli wydadzą wyrok uwalniający, to razem z uwolnionymi spotka ich kula przy wyjściu ze sali.

Oczywiście, że wobec takich stosunków i takiej procedury wszystkie więzienia są przepełnione. Zapełniają je elementa konserwatywne i duchowni. Liberalny rząd, wyrosły na podstawie wolnej myśli, całkiem liberalnie szafuje wolnością osobistą a nawet i życiem tych, którzy mu są nie na rękę i nie myśli się w tem krępować jakimiś tam względami uczciwości, sprawiedliwości lub jakiejś choćby prymitywnej ludzkości. Kultura wolnej myśli wzniosła się ponad te przesądy trącące średniowieczem.

P. Alfonso Costa, prezydent obecnego gabinetu miał na jednem zgromadzeniu loży w Lizbonie wypowiedzieć te prorocze słowa: „Nasz ideał zrealizuje się wkrótce: dwa pokolenia nie przejdą, a katolicyzm zniknie z Portugalii".

Nie wiedzieć, jakim p. Costa jest prorokiem, ale to pewna, że lichym jest politykiem i marnym człowiekiem. Jako kierownik państwa powinien był z historyi się tego nauczyć, że bardzo źle wychodzą państwa na wojnach z religią katolicką, a politycy, co ją wszczynali, mimo całego sprytu, zdolności, obrachowań, musieli się cofać i niejednego z nich widziano w Kanosie. To fakt, że pod rządami P. Costy *et Comp.* Portugalia gwałtownie upada. Stosunki stają się nie do wytrzymania. Prócz terroru rządowego, który szaleje w kraju, odjął społeczeństwu zupełne poczucie spokoju i bezpieczeństwa, ruina finansową coraz bardziej daje się we znaki i zagraża widmo głodu. Olbrzymie podatki nietylko przyprowadzają do bankructwa

klasy majętniejsze, choć przeciw nim skierowane jest niesprawiedliwa ustawa *Inquilinato* (prawo wynajmu), ale też dają się we znaki nawet biedniejszym właścicielom, na których nałożono podatki gruntowe, wyższe we wielu wypadkach od całorocznego dochodu. Daremnie stowarzyszenia rolnicze próbowały protestować, — prawo uchwalono, bo rząd chciał. Wobec tego nie dziw, że emigracya wzrasta zastraszająco. Z kraju o pięciu milionach mieszkańców wyjechało w 1911 roku 80.000 emigrantów, a w roku zeszłym cyfra ta dorosła do 120.000. W „piekle portugalskiem", jak nazwano obecny stan w kraju, nie można wytrzymać. Już nawet organ postępowców *Republika* skarży się i wyznaje: „Prawdą jest, że krajowi już wreszcie ta historya obmierzła. Tęskni się za porządkiem, a znajduje się nieporządek; pragnie się sprawiedliwości i prawa, a widzi się swawolę i partyjność. Zamiast ludzi zdolnych widzi się analfabetów. Człowiek chciałby otwarcie coś powiedzieć, cóż, kiedy chwytają go za gardło, chciałby być wolnym, a czuje się w kajdanach. Krajowi już się to wszystko sprzykrzyło, a przedewszystkiem kłamstwa i komedya, którą graliśmy przed nim. Patrzy na kierowników Rzeczypospolitej, którzy najdowolniej nakładają podatki, samowolnie zarządzają aresztowania, swawolnie prześladują osoby niemiłe, swawolnie sprawują rządy — i zapytuje nas teraz, dlaczegośmy nie dochowali przyrzeczeń składanych wtedy, kiedyśmy obwoływali świętą wojnę za wolność? A my rzeczywiście nie wiemy, co na to odpowiedzieć!" Doszły więc rzeczy do tego, że nawet zwolennikom tego rządu zaczyna być duszno przy takiej gospodarce. Może w gorącu tego piekła nastąpi wreszcie jakieś opamiętanie.

Na tem tle rozpętanej swawoli rządu, który wydał kraj na łup sekciarskiej nienawiści żywiołów wolnomyślnych, masońskich i doprowadził go nad brzeg zupełnej ruiny, jakże wygląda sam obóz katolicki? jakiż jego stan wewnętrzny?

Jeśli kto, to przedewszystkiem katolicy najwięcej ucierpieli w tych stosunkach, bo ostrze prawa w nich przedewszystkiem godziło. A jednak nie! — Kościół się nie uląkł, nie cofa się, nie kapituluje i nie zniża, by prosić o warunki bez-

nadziejnego pokoju. Prawda, setki klasztorów mu rozbito, setki kościołów zamknięto i ograbiono; całe wielkie szeregi jego obrońców, kapłanów, dziennikarzy katolickich i zwolenników zdziesiątkowano. Choć głos mu zduszono, aby się nie mógł odezwać, a straż pewną postawiono, żeby ani jednego ruchu swobodnego nie mógł uczynić, jednak on nie stracił ducha, zdeptany woła: Żyję i żyć będę, ale poddać się nie mogę i nie poddam się.

Trzeba czytać ostatni list pasterski biskupów portugalskich, trzeba odczuć tę siłę, samowiedzę, hart i moc ducha, jaka z niego tryska i porywa za sobą, aby zrozumieć stanowisko katolicyzmu w Portugalii. Ciekawy to list. Jest pisany pod adresem Prezydenta Rzeczypospolitej, ale ton jego, sposób ujmowania i przedstawienia spraw każe się domyślać, że ma jeszcze kogo innego na względzie. Biskupi zwracając się do przedstawiciela rządu, użyli tego sposobu, aby módz zetknąć się ze swymi wiernymi i dać im ze stanowiska katolickiego autentyczne wyjaśnienie sytuacyi, która się w Portugalii wytworzyła. Wydając wprost list do ludu, naraziliby go na konfiskatę — siebie i innych na smutne następstwa. W liście tym dotknęli wszystkich zasadniczych momentów walki przeciw kościołowi; omówili swój i swojego kleru stosunek do rządu, oraz zasadniczo wyjaśnili kwestye w obecnem położeniu aktualne, z których doskonale powinni sobie zdawać sprawę wszyscy katolicy. Wszystko to uczynili godnie z powagą, jasno a stanowczo. Uważają za obowiązek swój protestować przeciw zamachom rządu, więc protestują; winni są wiernym pouczenia i zachęty do spełnienia obowiązków, więc swą powinność uiszczają.

Na wstępie sumarycznie wyliczają różne ataki rządu na Kościół i jego instytucye. Protesty przeciw nim wnosili już nieraz, ale bezskuteczne. Na te protesty, które nam nakazywał najprymitywniejszy obowiązek, — za to, żeśmy pouczali lud o jego obowiązkach katolickich, rząd odpowiadał prześladowaniem; wypędzano nas z naszych stolic biskupich, rząd zagarnął dochody na utrzymanie nasze przeznaczone, włóczono nas po trybunałach, a wytaczane procesy są jeszcze w toku. „Jakikolwiek wyrok wypadnie, prawa i nauka kato-

licka pozostaje nienaruszalną i my ją mimo wszystko głosić będziemy. Być może, że dla przyczyn od nas niezależnych będziemy mieli odebrany głos jako biskupi portugalscy, ale nie damy sobie go zdusić jako biskupi katoliccy".

Następnie wykazują bezpodstawność i nadużycie rządu, który zabrania ogłaszania wyroku Stolicy Apostolskiej w sprawie stowarzyszeń kultu, a motywuje to koniecznością poprzedniego rządowego *placet* na ich publikowanie. Wyroki Stolicy Świętej dotyczą li tylko katolików a nie rządu, należą do spraw sumienia, a nie odwołują się do przymusu karnego (*brachium saeculare*), więc nie mając nic z rządem wspólnego, rządowego *exsequatur* nie potrzebują. A już absurdem jest wspominać nawet o jakiemś *placet* na rozporządzenie kościelne z chwilą, gdy państwo z Kościołem zerwało. Przez nie pogwałci się prawa republikańskie dozwalające każdemu wyjawiać swe myśli jak chce — bez oglądania się na jakieś pozwolenie rządowe; jest zresztą bezcelowem chcieć zabraniać ogłaszania rozporządzeń Stolicy Świętej i wychwytywać egzemplarze *Acta S. Sedis* — dziś przy dzisiejszych środkach komunikacyi takie rzeczy w tajemnicy utrzymać się nie dadzą.

Szeroko też omawiają i uzasadniają potrzebę nauczania religii w szkołach, uznaną nawet przez pedagogów wolnomyślnych. Kościół ma prawo nauczania religii dane mu przez Założyciela, a rodzice katoliccy mają też prawo, aby szkoły utrzymywane za ich pieniądze, nie psuły im ich dzieci. Szkoła neutralna właśnie je znieprawia, „bo szkoła bez Boga jest szkołą przeciw Bogu, szkoła bezreligijna zwraca się przeciw religii". Niepodobna rządowi powoływać się na „wolność sumienia", która nakazuje uszanować różne przekonania religijne. Bo jakież dzieci są w Portugalii? Dzieci katolickie. Na 5 milionów katolików w Portugalii wszystkie inne wyznania, wraz z wyznawcami liberalizmu zmieszczą się w niewielu tysiącach; i dlatego, że w szkole znajdzie się parę dzieci rodziców niewierzących, mają wszystkie dzieci katolickie być pozbawione religii? Wychodząc z tej zasady, należałoby zakazać w szkole, gdzie znajdzie się syn fatalisty, mówić

o wolnej woli, o obowiązkach iznieść wszelką odpowiedzialność. Nie. Religia i jej nauka nie sprzeciwia się wolności sumienia, ale daje podstawę całej kulturze człowieka. Bez niej szkoła prowadzi do wyrafinowanego barbarzyństwa.

Zabierają też jeszcze raz głos w sprawie stowarzyszeń kultu — oraz stanowiska i położenia księży względem tych stowarzyszeń. Wykładają zasadniczo naukę katolicką o ustroju kościoła, żeby z niej pokazać, że kapłan współpracujący z niemi znajduje się poza obrębem kościoła. Przypominają kary kościelne, na jakie narażają się bądźto księża, bądź świeccy, którzy do tych stowarzyszeń w jakiś sposób rękę przykładają.

Wyjaśniwszy tak bez ogródek i stanowczo najważniejsze kwestye kościelne, jasno też określają swoje stanowisko wobec postępowania rządowego. „Oświadczamy uroczyście, że jesteśmy na zawsze zdecydowani słuchać i uszanować wolę Najwyższego Pasterza, w jakikolwiek sposób dojdzie do naszej wiadomości i nic nas nie wstrzyma od ogłoszenia jego rozkazów naszemu klerowi, wiernym. Gdybyśmy inaczej postąpili, nie warci bylibyśmy zwać się katolikami i Portugalczykami".

W sprawie nauczania religii: „Na walkę, którą nam wydano w prawie, musimy odpowiedzieć obroną prawną. Jako biskupi katoliccy nie możemy posługiwać się środkami gwałtownymi, ani ich doradzać; nie nawołujemy do broni, ale radzimy i polecamy wszystkim prawym katolikom, aby usunęli kwestye drugorzędne na bok, zapomnieli o rozbieżności politycznej, a stanęli zjednoczeni po to jedno, by odzyskać dla naszych dzieci katolickich wolność nauki religii we wszystkich szkołach tak w prywatnych jak i publicznych i wolność pociągania do odpowiedzialności nauczyciela, któryby pod osłoną neutralności śmiał w umysły młodociane rzucać ziarno niewiary i bezbożności — jak się to niestety obecnie praktykuje".

Oświadczają, że żaden z kleru katolickiego do stowarzyszeń kultu mieszać się nie będzie, nawet choćby mu brakło środków utrzymania. „Jałmużna i ofiarność katolików portugalskich ich utrzyma, a gdyby nawet w dawaniu nam jałmużny rząd czynił

tak nieludzkie przeszkody jak dotąd, będziemy zmuszeni odwołać się do współczucia katolików całego świata".[1]

W sprawie prześladowania prawowitego kleru i katolickiego ludu oświadczają: „Jeżeli te prześladowania nie ustaną, będziemy zmuszeni chwycić się środków, które jakkolwiek wydają się ciężkie, zawsze pozostaną w granicach ładu i uszanowania winnego ustanowionej władzy, której Pan jesteś przedstawicielem, ale zadecydują jasno, kto jest odpowiedzialny za to opłakane postępowanie".

Taka jest zawartość listu, który podpisało 10 biskupów portugalskich. Śmiałe to i zdecydowane stawianie kwestyi wszystkich — ta jednomyślność w całej akcyi, ta postawa godna, która wobec prześladowcy potrafi przeciwstawić spokojne *non possumus*, zaiste nie oznacza cofania się katolicyzmu. Ono oznacza świadomość swej siły. Oznacza wewnętrzną duchową moc, która może rokować jak najlepsze nadzieje, bo siła w tej walce, która się toczy, nie leży w przewadze fizycznych środków, ale we wnętrznej świadomości, w zwartości i tężyźnie przekonań, w głębokości wiary. A tę wiarę, te głębokie przekonania posiadają biskupi portugalscy i wspaniałe jej dowody złożyli w swym liście.

A to należy podkreślić i zaznaczyć, bo tak nie było zawsze. Trzeba sobie uprzytomnić, że Kościół w Portugalii cierpiał oddawna na niedomagania wnętrzne. Tradycye regalizmu były tam silnie wkorzenione i uległość dla rządu była w krwi i kościach. Pewne ustępstwa, jakaś wygórowana powolność względem władzy królewskiej za jej przychylność dla Kościoła, zrozumiała i nieszkodliwa w czasach, gdy państwem kierują osobistości katolickie, — jeśli nie oddane Kościołowi, to przynajmniej nie wrogie, — tak się zakorzeniła w kraju i w klerze, że aż wyrodziła się w serwilizm. Jeszcze bardziej wzmocnił i spotęgował ten serwilizm wszechwładny minister króla Józefa I. Pombal. Z biskupów katolickich

[1] Rzeczywiście wobec zupełnego ogołocenia ze środków materyalnych episkopatu portugalskiego Ojciec święty pospieszył im z pomocą jałmużny a niedawno temu (28 lipca) przesłał im też kardynał Aguirreyy Garzia, arcyb. z Toledo na ręce patryarchy Lizbony 28.739 fr. jałmużny z Hiszpanii.

umiał sobie zrobić powolne narzędzia, milczące woły, które z wozem jego polityki szły nawet wtedy gdy tenże najeżdżał i druzgotał najświętsze prawa Kościoła. Z nieznacznymi chlubnymi wyjątkami poddali się oni jego hypokryzyi wolteryańskiej zupełnie. Od tego czasu duch katolicki w kościele portugalskim upada coraz bardziej, a rzeczy doszły tak daleko, że wysocy prałaci, między nimi i kardynał-patryarcha Lizbony należał do loży. Gdy r. 1845 nawet seminarya duchowne, ich administracya i nauka przeszły w ręce rządu, równało się to zupełnej laicyzacyi kościoła. Toteż zanik ducha kapłańskiego, upadek i demoralizacya kleru ówczesnego była tak powszechną, że lud się przyzwyczaił do niej i nie raziła już nikogo. Z katolicyzmu portugalskiego pozostały tylko zewnętrzne pozory. Zabrakło ducha i świadomości, a tylko lud utrzymywał w sobie tlejącą iskrę jakiegoś nieświadomego poczucia katolickiego tłumionego przez szalejącą propagandę antyreligijną.

Wobec tego, jeżeli dziś stoi kler portugalski pod dowództwem takich biskupów, jak piszący wzmiankowany okólnik, to żadną miarą mówić nie można o upadku katolicyzmu. Owszem musi się skonstatować stanowczy przyrost jego siły. A burza, która nad Portugalią przeciąga, jakkolwiek przyniosła mu materyalne szkody, może nawet oderwie jakąś część ludności słabo wkorzenionej w kościele, ale umocni i spotęguje jego siły wnętrzne. I dlatego nawet po ludzku mówiąc, przewidywania p. Costy są bardzo nierozsądne. Z godnego, zdecydowanego stanowiska episkopatu portugalskiego, które podziwia cały świat katolicki, wyciągnąć należy wróżbę o lepszej i pomyślniejszej przyszłości kościoła w Portugalii. *X. L. Rudnicki.*

O zachowanie śródmieścia Krakowa.

II. Charakter rynku. Gotycyzm Krakowa. Fasady domów w Rynku. Szkarpowatość murów. Krzysztofory.

Dużo się mówi o średniowiecznym charakterze Rynku. To określenie przylgnęło do jego powierzchni; stało się nawet jedną z tarcz

obrony przeciw dzisiejszym inowacyom. Tymczasem kwestya ta przedstawia się w rzeczywistości nieco inaczej. Przedewszystkiem trzeba zaznaczyć, że fizyognomia Rynku ma wcale niejednolity charakter. Czy go można nazwać gotyckim — trudno się zdecydować. Gotyckimi są kościół Maryacki i wieża Ratuszowa.

Dalej środek placu przecinają okazałe Sukiennice, przerobione przez Prylińskiego, właściwie gotycko-renesansowe i w końcu mały, zgrabny kościółek barokowy św. Wojciecha. Oto cztery budowle, zajmujące częściowo powierzchnię placu. Poza tem cztery linie domów zamykają boki Rynku. O domach tych — względnie o ich fasadach — można wszystko powiedzieć, tylko nie trzeba ich zaciągać pod sztandar średniowiecza.

Domów z fasadami gotyckiemi Rynek krakowski nie posiada. Chcąc być całkiem dokładnym, trzeba jeszcze tu wspomnieć o domu przy Linii A—B Nr. 45, gdzie mieszkał Tadeusz Kościuszko. Jednak jest to nowa właściwie fasada gotycka, zrobiona rzekomo na wzór zachowanych fragmentów w murze. Mimoto wszystkie niemal domy Rynku wątkiem swych murów, a często nawet całem rozplanowaniem wnętrza należą do średniowiecza. Wiek czternasty i piętnasty, czasy największego rozkwitu i dobrobytu miasta, musiały — rzecz prosta — wycisnąć dominujące piętno na charakterze świeckiego Krakowa. Dzisiejszy stary Kraków — to miasto powstałe głównie w okresie tych dwóch wieków, tak dalece, że kiedy z nastaniem XVI w. ogromny napływ Włochów przynosi ze sobą nowy styl odrodzenia, zastaje potrzeby miasta w zakresie architektury w przeważnej części już zaspokojone i dlatego udział renesansu w roli budowniczego miasta jest znacznie mniejszy, niż gotyku.

Wnętrza domów w Rynku są pełne jeszcze gotyckich reminiscencyi, bądźto w postaci pięknych portali i bram podwórzowych, bądź opraw okiennych i przepięknych sklepień żebrowanych gotyckich z herbami, jakich przykłady mamy w domach pod nr. 8, 17, 22, w Szarej kamienicy, pałacu pod Baranami i innych. Tu także trzeba zaliczyć piękne stropy belkowe, które choć czasem powstania wybiegają niekiedy poza średniowiecze, jednak formami należą doń bezsprzecznie.

Co do fasad, to te przedstawiają całą gamę różnych stylów i odcieni rozmaitych czasów od XVI w. począwszy. Właściwie nawet z XVI w. nie posiada Rynek fasady zachowanej bez zmian. Możnaby za taką uważać dom włoskiej rodziny Montelupich del Mare pod l. 7. Dom ten posiada jeden z najpiękniejszych portali renesansowych

miasta, pełen powagi i wyniosłości, z charakterystycznym napisem *Tecum habita*. Dom ten posiada na fasadzie obok herbu ówczesnych właścicieli, także herb budowniczego Galeotta Guiciardiniego z Florencyi, jego pomocnika Tomasa Ferrovore i datę budowy 1556—1561. Późniejszą fasadę z XVII w. ma Szara kamienica: okna ujęte w kamienne oprawy, duży portal barokowy i typową attykę. Pod koniec ośmnastego wieku dom ten odnowiono i dodano mu podział na pilastry. Do XVIII w. należy fasada Pałacu Spiskiego, dalej fasada hotelu Drezdeńskiego, poważna i okazała, trzyokienne fronty domów pod l. 33 i 37. Powyżej wyliczone domy noszą cechy stylu barokowego.

Z końca XVIII w. pochodzi przepiękna fasada pałacu XX. Jabłonowskich. Jest ona jednym z najpiękniejszych przykładów stylu Ludwika XVI w Krakowie. Obecny właściciel domu Franciszek hr. Potocki, oceniając wyjątkowe piękno tego zabytku, przeprowadził jego gruntowną restauracyę. Dokonali tego architekci Wyczyński i Wojtyczko. Wypadła ona pod każdym względem świetnie. Zwłaszcza dziedziniec i apartamenty pierwszego piętra odzyskały dawną okazałość. Także w nowo dobudowanej klatce schodowej umieli się architekci wybornie dostosować do charakteru całości.

Pomimo że przeważna część fasad w rynku należy dopiero do minionego stulecia (początek i pierwsza połowa XIX w.) rynek krakowski na pierwszy rzut oka robi wrażenie czegoś starożytnego. Pochodzi to z pochyłości murów. Ta pochyłość czy szkarpowatość miasta jest najtypowszą cechą Krakowa. I dlatego chociaż fasada domu nie ma czasem nawet setki lat, to przecież dom uderza odrazu swą starożytnością. Jużto młodych murów nie podpierają, każdy sam zaraz pozna. A Rynek krakowski pod tym względem jest bardzo wymownym przykładem. Naturalnie, że ta pochyłość występuje najlepiej w narożnikach i bokach domów. Rzućmy okiem na Szarą kamienicę. Narożnik sam ujmuje olbrzymia szkarpa, sięgająca aż pod trzecie piętro. Od ulicy Siennej cała powierzchnia domu ma typowo-pochyłą linię. Tak samo narożniki ulicy Brackiej, Wiślnej i św. Anny (pałac pod Baranami), św. Jana i ulicy Floryańskiej.

Najokazalej pod tym względem przedstawiają się Krzysztofory. Sam narożnik, a następnie bok od ulicy Szczepańskiej podpierają cztery olbrzymie szkarpy. Coś imponującego i niespożytego tkwi w tych murach. Są one podobnie jak Szara kamienica symbolem niejako starego Krakowa. Mają podobnie, jak tamta fasadę — choć późniejszą — jednak pełną powagi. Wartość jej leży właśnie w cha-

rakterystycznej prostocie, wolnej od wszelkich ornamentów i dekoracyi. Domy tak starożytne — jak te oba — nie potrzebują się stroić, ani dekorować. Ich ozdobą — to ich przeszłość i historya, to niespożyta siła tych murów. W takich domach uosabia się najlepiej pierwiastek monumentalny miasta.

Nie miejsce tu i czas rozpisywać się nad ich historyą czy wartością. Charakterystycznym był jednak moment, jaki miasto przeżywało przed rokiem. Krzysztofory właśnie po długich targach i zabiegach zostały w końcu sprzedane. Wtedy gruchnęła wieść po całem mieście, że będą je burzyć. I tę wiadomość powtarzał cały Kraków, a jednak nikt w to nie chciał uwierzyć, aż w końcu nowonabywca p. Bazes sam tej pogłosce wobec oficyalnych czynników zaprzeczył. I to jest całkiem naturalnem. Krzysztofory można przerobić, to i owo zmienić, nawet nadbudować, ale nigdy burzyć. A zresztą po co? Chcąc je wykorzystać najlepiej, wystarczy wezwać zdolnego architekta do pracy. Że stary dom można pod każdym względem doskonale wyzyskać, tego najlepszym dowodem jest Szara kamienica, która mimo swej rentowności, zachowała zabytkowy charakter. Podobnie również postąpić należy z Krzysztoforami. Dom ten ma przytem takie położenie, że tam każda ubikacya musi dawać znaczny dochód, choćby nawet sklep mieścił się w piwnicy. A przytem można go przywrócić do dawnej świetności. Jakże okazale będzie wyglądać piękny krużganek na podwójnych kolumnach, wydobytych spodem z pod ziemi — albo loggia pierwszego piętra. Dom ten prosi się rzeczywiście o racyonalną pełną pietyzmu renowacyę. Szeregi wspaniałych portali barokowych, opraw okiennych, stropów belkowych, kominków marmurowych, wreszcie przepiękne stiuki plafonów pierwszego piętra, wyszłe z pod dłuta Baltazara Fontany zasługują na to.

Miejmy nadzieję, że dom z tyluwiekową i tak świetną przeszłością, uświęcony kilkakrotnie odwiedzinami królów polskich, że dom ten, tak ciekawy zabytek dawnego budownictwa nie ucierpi zupełnie w rękach obecnych właścicieli. *Fr. Klein.*

Christliche Kunst.

Monachium, czerwiec 1913.

W malarstwie wybór tematu, rozkład figur lub przedmiotów, światłocień i stopniowanie wypukłości, która daje ogólną modelacyę

obrazowi — są to niewątpliwie rzeczy niezmiernie ważne. Ale układ wartości — *des valeurs* — to, co nazywamy kompozycyą kolorytu, jest niemniej rzeczą również ogromnie ważną.

Jednakże niema nic bardziej nieokreślonego i niepewnego, jak harmonia kolorytu. Jeżeli oko znajduje silną rozkosz w przeciwieństwie barw dopełniających, które potęgują siłę wzrokową, to odczuwa ono równą niemal przyjemność w łagodności i niepewności, wynikającej z zestawienia barw prawie podobnych. Jeżeli oko nie nuży się kombinacyą barw Rubensa, to mniej jeszcze może nuży się rozmaitą szarością Velasqueza.

Harmonia więc kolorytu powinna być głównie taką, by cały obraz wydawał się jakby jedną masą, ogólnie zjednoczoną, w której za pomocą tonów, refleksów, stopniowań, powiązane między sobą są wszystkie części, zlewając się dla oka w szereg postępowy zgodnych i podporządkowanych wrażeń, pochodzących z kolorytu.

Z punktu widzenia jednak idei, tematu, kompozycya koloru nieraz daje ogólnemu wrażeniu dzieła nowe znaczenie, znaczenie, które może, jak to zobaczymy u Rubensa, sięgać aż do zmiany logicznego znaczenia akcyi — pod wpływem wrażeń moralnych.

Gdy patrzymy na wspaniały obraz „Wejście na Kalwaryę", wydaje się on nam tak krzyczącym w kolorycie, jak jakaś fanfara i dziwimy się narazie ogromnie, że Rubens, ten mistrz życia, ruchu i kolorytu, użył tak silnego promieniowania barw, że nam się wydaje stosowniejszem do jakiejś sceny tryumfalnej, ale nie do tak bolesnej.

Niewątpliwie inaczej pojąłby tę scenę Orcagna, Caravaggio, Ribera. Czyż więc mamy oskarżać Rubensa o brak logiki? Nie! Mistrz chciał, byśmy zapomnieli o męczarni i daje nam największą ideę — tryumfu! Możnaby powiedzieć, że scenę pojęto naopak, że jest ona melodramatyczna, bez powagi, bez majestatu, bez świętości, prawie teatralna. A jednak, malowniczość, która mogłaby tę scenę zgubić, przeciwnie — ratuje ją. Fantazya nią owłada i podnosi. Błyskawica prawdziwej wrażliwości przebiega ją i — uszlachetnia. Coś, niby rys wymowy, która podnosi styl. W końcu, jakaś werwa szczęśliwa, jakieś natchnienie, które robią z tej sceny to, że jest obrazem śmierci pospolitej i — apoteozy. Śmierci pospolitej ze względu na temat, apoteozy — przez świetny blask kolorytu, który jest — chwałą i odgłosem trąb!

Podobneż wrażenie mamy, patrząc na „Męczeństwo świętego Leonarda". Gra barw szarych, żółtawych, czerwonych, lazurowych,

srebrzystych, złocistych, jasnych i ciemnych dają nam wrażenie świetnej harmonii, najbardziej może zachwycającej i najbardziej nieoczekiwanej, jakiej użył kiedykolwiek Rubens, aby wyrazić, właściwiej, aby uniewinnić — scenę zgrozy.

Kontrasty te leżą w naturze kolorystów. Gdy wybierają przedmiot, można być pewnym, że uderzył on ich wyobraźnię kolorytem, to też kolorytem ratują oni to, co nieraz im jest niesympatycznem w temacie.

Jednakże właściwym kolorystą, jest to malarz, umiejący w kolorach swej gamy, bogatej czy nie, przerywanej czy nie, złożonej czy prostej, zachowywać ich zasadę, ich właściwość, ich odpowiedniość zawsze i wszędzie — w cieniu, w półświetle i w najżywszem oświetleniu. Tem się właśnie głównie wyróżniają epoki, kraje, szkoły i ludzie. Od Rubensa do Giorgiona, od Velasqueza do Veronesa istnieją odmiany, dowodzące niezmiernej giętkości sztuki malarskiej i zadziwiającej swobody, z jaką geniusz może zmienić środki, nie zmieniając celu.

Jednakże w jednem posiadają wszyscy wspólne prawo i zachowują wszędzie — czy to w Wenecyi, czy w Parmie, czy w Madrycie, czy w Antwerpii lub w Harlemie, mianowicie — kolorystyczne powinowactwo cienia ze światłem i tożsamość tonu lokalnego we wszystkich wypadkach oświetlenia.

Zdawałoby się, że to prawidło nie ma wyjątku. Otóż nie. Istnieje malarz, bodaj największy, niewątpliwie jeden z największych, który zrywa ze zwyczajem i tradycyą wszystkich kolorystów, który depcze nogami szanowne prawo i rozzuchwalony zamiast łączyć kolor ze światłem, on je — dzieli! To Rembrandt! W światłach wszystko robi białawe, w cieniach — wszystko brunatne. Zważa najbardziej w tonie na siłę — poświęca bezustannie kolor!...

Już w naszych czasach, jeden z najlepszych, analizujących malarzy, którego oko najsubtelniej i najpewniej widzi najmniejsze, najniedostrzegalniejsze tajniki gry cienia i światła — Meissonier, nie lęka się pod tym względem pójść w ślady Rembrandta. W światłach żywych znosi on stanowczo ton lokalny, jakby go pożarł promień słoneczny...

Wiedziano już, że żywe światło łagodzi koloryt, lecz nie śmiano iść aż do zupełnego odbarwienia tonów, pod wpływem bezpośredniego słońca. Jak światło, rozłożone przez pryzmat wytwarza cały szereg barw, tak też i przeciwnie, pod bezpośredniem promieniem słońca, barwy te, w pewnych warunkach, mogą być doprowadzone do jedności

pierwotnej i zlewać się w jedną wypadkową, która jest białawem światłem. To spostrzeżenie uszło uwagi malarzy, przyzwyczajonych do mniej lub więcej sztucznego światła pracowni, uderzyło jednak ostatecznie — pracujących na otwartem powietrzu, na słońcu. Stąd powstała szkoła *plain-air*'u, szukająca prawdy we wszystkiem, dotyczącem kolorytu i światła.

Że Józef Huber-Feldkirch przedstawia artystyczną indywidualność pełnej siły i właściwości, potężnych idei i prawie nieograniczoną wielostronność swego talentu, tośmy wiedzieli i nieraz podziwialiśmy go, patrząc na jego płótno, fresk czy witraż. Wszędzie panuje jego silne, artystyczne „ja". Niejednemu z malarzy zarzucalibyśmy nieraz zuchwałość porywania się na takie temata, jak „Śmierć", „Piekło", „Niebo". Feldkirch — może sobie na wszystko pozwolić. Jego, jemu właściwa artystyczna nuta, tak w nim jest silną, że oparta na poważnych studyach starych mistrzów, przegłusza jednocześnie brzmiące inne akordy i dzieła swego ducha łączy w jedną harmonijną całość. Jego fantazya i zdolność wypowiedzenia swych myśli — nigdy go nie opuszczają. On nie maluje obrazów, on maluje — myśli.

Wystawiony obecnie obraz jego w Kunstvereinie „Wskrzeszenie Łazarza", ma tyle głębokich myśli i tak jest nawskróś chrześcijańskim i katolickim, że z pewnością zechce go mieć, choć na krótko i *Christliche Kunst*, a przez to dłużej będziemy go mieć w Monachium, nim pójdzie na zawsze do muzeum w Berlinie.

Właśnie to jest jedna z chwil wielkich i doniosłych w chrystyanizmie. Chrystus, wśród rozwalonej skały, w której wykuto grób Łazarza — podnosi twórczy swój głos, jakby dla tego, aby zabrzmiał we wszechświecie. „Łazarzu, wynijdź z grobu!"... Łazarz — to cały ród ludzki zamarły, pochowany i już rozkładający się... Głos Chrystusa budzi go... To jest obraz zmartwychwstania ludzkości—stwierdzenie całego chrystyanizmu.

Jezus umarł, jako połączony z śmierci podległą ludzkością, ludzkość zmartwychwstanie, jako połączona w Nim z Bóstwem. Przyjął Chrystus śmierć naszą, nie przestając być „zmartwychwstaniem" — tym sposobem pozyskaliśmy zmartwychwstanie, a straciliśmy śmierć. Zniweczywszy w nas grzech, śmierć duszy, śmierć pierwszą, zniweczył on również śmierć drugą, cielesną. Ponieważ zaś przyczyną naszego zmartwychwstania — będzie zmartwychwstały Chrystusa, więc raz w Nim wskrzeszeni, zmartwychwstaniemy, jako i On, aby nie

umierać już nigdy. Zniknie śmierć — pożarta w zwycięstwie Odkupiciela!...

Łazarz, na głos Chrystusa, powstaje żywy z grobu; ale ręce i nogi jego są jeszcze związane, twarz — obwinięta chustą. Na znak Jezusa, spieszy święty Piotr do Łazarza, by mu porozwiązywać pęta śmiertelne. Chrystus wskrzesił, bo On to ożywia duszę — uczniowie rozwiązują, bo posługiwaniem kapłanów Chrystusowych rozgrzeszeni są ci, których On ożywił. Więc święty Piotr i Jego następcy rozwiązują węzły, mając moc z nieba do potępiania i do uwalniania, mając klucze do nieba.

A z jaką powagą, godnością Piotr święty to czyni! Czuć w całej jego postaci, że artysta, odtwarzając Piotra świętego, przejął się wielkiem posłannictwem księcia Apostołów. Patrząc na świętego Piotra, czuć, że ten człowiek, którego Chrystus wybrał na fundament Kościoła, z rozkazu swego Mistrza, rozpocznie jeden z najwięcej zdumiewających przewrotów, jaki świat widział i jaki umysł ludzki pojąć zdoła!... Czuć, że ta wspaniała postać jest uosobieniem tej siły moralnej, która rozpocznie bój, wywróci bogi i panowanie Rzymu!... On, ten Piotr, pomimo, że najniższy posługacz Nerona poprowadzi Go na miejsce kaźni, będzie prawodawcą, wielkim kapłanem i — protoplastą dynastyi jedynej, bo wiecznej!...

Artysta, w tym obrazie, chciał głównie zwrócić uwagę patrzącego na Mistrza i Jego ucznia, w których wlał całą siłę swego talentu, całą genialność swą w wyrazy dusz, odbijających się na twarzach. To nie są postacie, które mają coś przedstawiać, coś robić, to są postacie, które są światem z siebie i dla siebie.

Marya jeszcze płacząca i Marta już wierząca w zmartwychwstanie Łazarza, jak również inni apostołowie i różne typy żydów, to są więcej traktowane, jako akcessorya, choć równie mistrzowsko, równie wspaniale malowane i rysowane. Pejzaż zaś jest tak stimmungowy jak może nigdy Huber-Feldkirchowi to się nie udało. Tyle poezyi, tyle jakiegoś rozmarzenia w naturze, że rzadko spotyka się obraz, w którym pejzaż tak się zlewa z treścią i jeszcze podnosi fantazyę widza i zdolność odczucia myśli, które artysta wlał w swą kompozycyę. Co zaś do kolorów, to Feldkirch widocznie chciał nas zadziwić swojem mistrzowskiem panowaniem nad paletą. Jego farby, które można sprowadzić do dwóch głównych akkordów — błękitny, zielony, biały i błękitny, czerwony, biały — byłyby u drugiego za twarde, za rażące. U Feldkircha, przy pomocy różnych gam, miękkich mieszanin

przeróżnych kolorów i kolorków, kolorystyka obrazu przyciąga widza, zaciekawia go i owłada nim do tego stopnia, że tylko jeszcze potęguje ogólne wrażenie i nadaje obrazowi jakąś dziwną powagę i monumentalność. I to właśnie świadczy u tego malarza o jego olbrzymiej sile artystycznej indywidualności, o jego potędze ducha — *on sent la flamme secrete.*

W tejże sali są wystawione i obrazy Alfreda Ludkiego.

Ludkie jest malarzem i poetą jednocześnie. Wprawdzie oddawna pojęcie o malarzu i artyście było złączonem bezpośrednio z poetą, jednakże przyzwyczaiwszy się od paru mniejwięcej dziesiątków lat szukać w obrazie wartości czysto malarskich, ta kombinacya straciła ogromnie na popularności, na kredycie. Cały prąd dzisiejszej sztuki uważa wszystko w obrazach za podrzędne, co się nie da ocenić, jako czysto malarskie jakości. W tym ruchu żyjemy dziś jeszcze i z tego powodu prace Ludkiego na wystawie ogromnie zadziwiają i zwracają uwagę.

Ludkie dąży kompletnie świadomie dać w obrazach artystyczny wyraz swych poglądów liryczno-kontemplacyjnych na świat. On maluje tylko pejzaże. Ale w największych pracach jemu nie chodzi o oddanie kawałka natury, tylko o pośredniczenie w nastroju duszy, albo — pełnej uczucia myśli. Kompletnie się zgadzam na ten artystyczny jego cel. Tylko, według mnie, przecenia Ludkie właśnie w swoich obrazach, pełnych zagadnień duchowych, możliwość filozoficzno-lirycznego wrażenia tylko siłą zmysłową krajobrazu.

Pejzaże jak „Golgotha" albo „Gottes Auge über allen" są tendencyjnymi, fantastycznymi obrazami, którym brakuje jasnego, wyraźnego znaczenia. Symboliczność ich dopiero występuje pod wpływem procesu myślenia, że się tak wyrażę, uboczną drogą i tylko za pomocą komentarza, choćby tytułu obrazu, może być zrozumiałą.

Według mego osobistego odczuwania poezyi, Ludkie największe wrażenie robi temi pracami, które się same tłumaczą. Jego wspaniały „Lied vom Sommer", wzniosłe „Adagio", wstrząsający „Toter Wald" mają olbrzymią suggestywną siłę. W nich daje artysta nastroje, które w jego sposobie oddawania stają się poprostu — poematami. Czuć w nich miłość jego do pojedynczych rzeczy, spokój w przedstawieniu szczegółów, ale też i siłę do utrzymania w stylu całości. Wogóle Ludkie robi swoimi obrazami silne wrażenie i przykuwa do siebie widza, a dla miłośników sztuki gotuje jeszcze i tę miłą

niespodziankę, że spotykają artystę, który samodzielnie idzie swojemi własnemi drogami.

W tych dniach otwarło towarzystwo „Christliche Kunst" imponującą wystawę obrazów i szkiców szeroko znanego prof. Fritz Kunza.

Jest się trocha przyzwyczajonym, oceniając dzisiejsze dzieła sztuki, które występują z marką „chrześcijańskich", przykładać do nich mimowolnie miarę o wiele mniejszą, jak do innych obrazów, tłómacząc tem, że artysta musi się stosować do wymagań pracodawcy i to tak konserwatywnego, jak kościół katolicki i z tego powodu nieraz czysto malarskie wartości muszą schodzić na drugi plan.

Podwójnie więc jest miłem powitać takiego artystę, który, malując obraz treści religijnej, oswobodził się od wszystkich, wniesionych do tej sztuki słodkości koloru i formy bez najmniejszego narażenia godności przedstawianego tematu i powagi, z jaką ten temat pojął.

Wszystkie prace Fritz Kunza w wysokim stopniu są artystyczne i dekoratywne, choć nieraz sposób malowania robi trochę ciężkie wrażenie, jednakże to nie przeszkadza odczuwać, jak z jego obrazów wieje zawsze subtelna poezya.

Najwięcej popularnymi są jego obrazy z życia i legend św. Franciszka z Assyżu. I dziś, między innymi, pokazuje nam bodaj czy nie najwdzięczniejszy ze wszystkich obrazów tego świętego. Przedstawia nam świętego Franciszka, siedzącego na kamieniu, przy zachodzie słońca w zacisznym, górskim pejzażu. Zewsząd zlatują się ku świętemu różne ptaki, słuchając z namaszczeniem jego głosu, jego nauki. Postać zaś świętego taka pełna powagi, a taka miła, taka pociągająca i tak świetnie pasująca do tego rozmarzającego nastroju w pejzażu, w którym czuć górskie powietrze, jak rzadko w Kunza obrazach widzimy. Do tego, jak świetnie malowana przestrzeń, kąpiąca się w ostatnich blaskach zachodzącego słońca i ile tam powietrza i to — jakiego! To nie sosami malowane, tylko rzucane śmiało plamy, pełnym farby, szerokim pędzlem. Widać, że Fritz Kunz z rozkoszą malował tę kompozycyę i delektował się poezyą, bijącą z tego obrazu.

Nadzwyczaj charakterystycznem dla kierunku wrażliwości i uczuć tego artysty jest to, że prócz do św. Franciszka, też zapala się jeszcze i entuzyazmuje delikatnością uczuć i głębią duszy Fra Angelica da Fiesole. Przedstawia nam, bodaj czy nie w najpiękniejszym

swoim obrazie na tej wystawie, tego szlachetnego mistrza chrześcijańskiej sztuki w chwili nadziemskiego widzenia.

Fra Angelico, osunąwszy się na kolana, wpatruje się z zachwytem w Madonnę, która otoczona niebieskiemi chmurkami, pełnemi aniołków, w towarzystwie tłumu świętych, idzie naprzeciw swemu, ulubionemu malarzowi. Święty mistrz trzyma paletę i pędzle, którymi w tej chwili widziane zjawisko uwieczni w nieśmiertelnem dziele.

Poetyczność kompozycyi, malowniczość i wszystkie bez liku piękności czysto artystyczno-malarskie — godne podziwu, a ta miękkość farb, które przy tem mają siłę i soczystość, u niejednego artysty zazdrość wzbudzić może.

Do rzędu lirycznych dzieł należy i Kunza — „Św. Cecylia", utrzymane w jasnym, przeźroczystym, prawie złotawo-świecącym kolorycie i traktowane szerokiemi plamami, tak u Kunza charakterystycznemi.

W ciemno-błękitnej szacie, uwieńczona różami, siedzi święta przy organkach, ale nie w kościele, lub jakiej izbie, tylko w cudnym gaiku, gdzie wszystko kwitnie i promienieje, a żółte i czerwone tulipany wytryskują z ziemi. Otaczający zaś świętą mistrzynię aniołkowie śpiewają chętnie i wesoło, plotąc wianuszki, którymi już niektóre zostały uwieńczone za swój melodyjny śpiew.

W tym obrazie ciemno-błękitny strój św. Cecylii wspaniale harmonizuje z jasno-zielonym kolorytem gaju, od którego jest oddzielony, bardzo umiejętnie, biało ubranymi aniołkami. Fatalnej zaś słodkawości aniołków, która się zawsze czepia w przedstawieniu tych postaci, z taktem i sprytem artysta uniknął, za co mu się należy ogromna wdzięczność.

Tuż wisi mały obrazek, również subtelny i pełen poezyi, przypominający ogromnie ilustracye naszego Stachiewicza — Madonna, krocząca w ogrodzie przy świetle księżyca.

Na przeciwnej ścianie panuje niepodzielnie tryptyk, pełen powagi i majestatu — *Redemptor mundi*.

Pośrodku Chrystus na krzyżu, otoczony światłością — już skonał. Przy nim po bokach dwóch Cherubinów stoi na straży z rozpostartemi skrzydłami, sięgając niemi aż do bocznych części tryptyku. W lewej części — para protoplastów rodu ludzkiego, przez których grzech rozprzestrzenił się na ziemi, ze spuszczonemi głowami, w prawej — Jan Chrzciciel wskazuje na Zbawiciela, który ten grzech zwyciężył.

Wszystkie figury są wspaniałe i ogromnie się przyczyniają do

nadania temu tryptykowi monumentalnego, pełnego powagi wrażenia i świątecznego nastroju. Rozrzewniająca zaś poezya wypełnia całe to dzieło w każdym calu płótna. Przytoczę tylko jedno: gdy krople krwi, sączące z rany Zbawiciela, dotkną się tylko ziemi, wnet się przeistaczają w czerwone, cudne kwiaty i prawie cała ziemia u stóp krzyża usiana już nimi. Ta myśl jest tak rozrzewniającą i piękną, do tego wykonanie tych kwiatów jest tak mistrzowskie i wspaniałe, że kogoby inne piękności w tym obrazie nie uderzyły, to w każdym razie na toby zwrócił uwagę i o Fritzu Kunzu, jako o subtelnych uczuć artyście, pamiętał.

Dużo różnych jeszcze mniejszych i większych obrazów i studyów widzimy, jednak o wszystkich nie sposób mówić, chyba wspomnę jeszcze o świetnie modelowanym akcie, przedstawiającym Abla. W samotności, na wzgórzu między niebem a ziemią wznosi się postać. Dziwnie niewinny, z niemą skargą podnosi Abel marząco swe ramiona do nieba, jak gdyby przeczuwał, że jest przeznaczonym zostać pierwszą ofiarą zbrodni na ziemi i koniec życia się zbliża. Ta cisza w pejzażu, ta jakaś pustka naokoło mimowoli robi wrażenie, że zbój już czyha na swą ofiarę i lada chwila może się rzuci, przyczajony za krzakiem. Niebo posępne, jak dusza Abła, nigdzie promyka jaśniejszego na tych ołowianych chmurach i patrząc na ten obraz, chciałoby się tego biedaka jakoś ochronić i nie zostawić samego na pastwę...

Kończąc na tymobrazie o wystawie Fritz a Kunza, muszę skonstatować, że ten artysta świetnie dowiódł, że wszystkie modernistyczne i techniczne zdobycze sztuki dzisiejszej, przy większym talencie dadzą się kompletnie połączyć z duchem chrześcijańskim i katolickim — o obrazach zaś samych muszę powiedzieć z Mussetem: *C' est un régal non seulement pour les yeux, mais en même temps pour l' âme.*

Maryan Strzembosz.

Towarzystwa naukowe i literackie w r. ub.

Kraków: Akademia Umiejętności. — Tow. filozoficzne. — Tow. miłośników historyi i zabytków m. Krakowa. — Tow. numizmatyczne. Grono konserwatorów dla Galicyi zachodniej. — Tow. opieki nad zabytkami polskimi sztuki i kultury. — Tow. tatrzańskie. — Polska sztuka stosowana. — Tow. pielęgnowania nauk społecznych. — Tow.

prawniczo-ekonomiczne. — Tow. lekarskie. — Tow. okulistyczne. Tow. stomatologów polskich. — Tow. popierania nauk rolniczych. Tow. techniczne. — Koło artystyczno-literackie. — Klub słowiański.

Lwów: Tow. popierania nauki polskiej. — Tow. przyrodników polskich im. Kopernika. — Polskie tow. filozoficzne. — Tow. historyczne. — Tow. heraldyczne. — Tow. miłośników historyi Lwowa. — Koło konserwatorów dla Galicyi wschodniej. — Tow. ludoznawcze. — Tow. literackie im. Mickiewicza. — Tow. filologiczne. — Tow. nauczycieli szkół wyższych. — Polskie tow. pedagogiczne. — Tow. pedologiczne. — Związek rodzicielski. — Tow. prawnicze. — Tow. lekarzy galicyjskich. — Tow. ginekologiczne. — Tow. hygieniczne. — Tow. weterynarskie. — Polskie tow. politechniczne. — Związek naukowo-literacki. — Koło literacko-artystyczne. — Klub społeczno-naukowy. — Koło dramatyczne. — Koło muzyczne. — Klub polsko-węgierski. — Czytelnia katolicka. — Powszechne wykłady uniwersyteckie.

Prowincya: Związek naukowo-literacki im. Słowackiego w Stanisławowie. — Tow. przyjaciół nauk w Przemyślu.

Śląsk austryacki: Polskie tow. pedagogiczne. — Polskie tow. ludoznawcze. — Beskid.

Królestwo polskie. Warszawa: Kasa im. dra J. Mianowskiego. — Tow. naukowe. — Polskie tow. psychologiczne. — Tow. kultury polskiej. — Tow. miłośników zabytków Warszawy. — Tow. krajoznawcze. — Stow. nauczycielstwa polskiego. — Polskie tow. badań nad dziećmi. — Tow. prawnicze. — Tow. lekarskie. — Tow. hygieniczne. — Tow. odontologiczne. — Polskie towarzystwo okulistyczne. — Stow. techników.

Prowincya: Tow. lekarskie: w Łodzi, Zagłębiu dąbrowskiem, Częstochowie i Radomiu. — Tow. naukowe w Płocku.

Wilno: Tow. przyjaciół nauk. — Tow. lekarskie. Kijów: Ogniwo. — Polskie tow. lekarskie.

Zabór pruski: Tow. przyjaciół nauk poznańskie. — Tow. ludoznawcze. — Tow. naukowe toruńskie.

Obczyzna: Związek polskich lekarzy i przyrodników w Petersburgu. — Tow. lekarskie polskie w Detroit i Chicago.[1]

---

[1] Egzemplarze drukowane otrzymanych sprawozdań oddałem Bibliotece Ossolińskich we Lwowie. Za łaskawe zaś udzielenie mi do zużytkowania w niniejszym Przeglądzie sprawozdań, nieogłoszonych drukiem, raczą przy-

Przystępując znowu do opracowania tej rubryki, której w r. ub. nie pozwoliła mi wypełnić długotrwała choroba, muszę *a priori* stwierdzić, że pod względem ilościowym stan naszych zrzeszeń naukowych pozostał prawie bez zmiany. Nie upadł żaden z dotychczas zajętych posterunków pracy, przyrost ich zaś przedstawia się skromnie, bo tylko w liczbie pięciu nowych współtowarzyszy.

Fakt ostatni jest właśnie znamienny i pocieszający, w porównaniu z latami dawniejszemi, przynajmniej o tyle, że z nowicyuszami nie mamy do czynienia w Galicyi, gdzie i tak istnieje już nadmiar stowarzyszeń naukowo-literackich, skutkiem którego chromają, z nielicznymi wyjątkami, na punkcie finansowym, co jest *nervus rerum*, nie tylko doczesnych, ale i wiecznych, a taką „rzeczą" jest też nauka, i co za tem idzie, na punkcie wydatności pracy, zniechęcając zbyt powolnym rozwojem lub, co gorsza, niedorozwojem jednostki, nawet najbardziej ochocze, do pracy żmudnej, jak administracyjna, choć bez sprężystego jej fungowania, cały aparat musiałby stanąć. Że nie jest bynajmniej przesadą to, co powiedziałem o nadmiarze zrzeszeń naukowych w Galicyi, tego dowodzi najlepiej zestawienie z Królestwem Polskiem. Mógłby mi kto zarzucić błąd zasadniczy w takiem zestawieniu spraw, jako że przecież w Królestwie stoją na przeszkodzie rozwojowi wszelkiej myśli polskiej trudności w legalizacyi stowarzyszeń, oraz brak sił, odpowiednio przygotowanych do pracy.

Obydwa te zarzuty, przy bliższem ich rozpatrzeniu, nie wytrzymują najlżejszej krytyki. Niema bowiem tak wielkich trudności, jakich przy odrobinie wytrwałości nie dałoby się przezwyciężyć. Co się zaś tyczy drugiego zarzutu, — sił, ukwalifikowanych odpowiednio, posiada Król. Polskie odpowiednią ilość, skoro w ciągu ostatnich lat kilku powołano stamtąd na katedry uniwersyteckie do Galicyi nie jednego, ani nie dwu uczonych . . .

Zimna, trzeźwa rachuba tylko uchroniła Król. Polskie od takiego przeładowania zrzeszeniami naukowo-literackiemi, jakie oglądamy u nas. Rachuba zaś prosta nakazywała stworzyć jedynie 19 (nie, jak u nas aż 48!) stowarzyszeń, zajmujących się najważniejszemi zagadnieniami wiedzy. W ten bowiem sposób towarzystwa w Król.

---

jąć szczerą podziękę pp.: prof. dr. St. Ciechanowski, prof. dr. L. Caro, dr. K. Kaczmarczyk, prof. dr. W. Łepkowski i prok. państwa K. Marowski w Krakowie, ks. St. Kujot w Grzybnie (Prusy zach.), dr. Bodnar, W. Brzeziński, dr. A. Czołowski, dr. A. Fischer, dr. W. Hahn, dr. Wł. Kożicki, dr. R. Łaba i redaktor Z. Wasilewski we Lwowie i dr. E. Farnik w Bobrku ad Cieszyn.

Polskiem mogą pracować znacznie intenzywniej od naszych, skoro nieznana im jest choroba chroniczna stowarzyszeń galicyjskich, w których, z małemi zmianami pracują ciż sami ludzie, skutkiem czego praca cała spoczywa na barkach kilkunastu jednostek. A kiedy często jednej z nich zabraknie, — jedno lub więcej stowarzyszeń cierpi na paraliż częściowy aż do czasu, gdy los litościwy ześle odpowiedniego następcę. Wszelako zanim ów następca zoryentuje się w sytuacyi i pozna dokładnie agendy oraz sposób ich załatwienia danego towarzystwa, — upływa miesiąc po miesiącu i stowarzyszenie jest dalej nieczynne, albo o tyle tylko coś robi, *ut aliquid fecisse videatur* . . .

Nie miejsce tu na rozważanie, jakie skuteczne remedyum znaleźć przeciwko powyższemu, wielce niepożądanemu objawowi? Skrępowani szczupłością miejsca, musimy ograniczyć się samem skonstatowaniem nagiego faktu. Bo chyba nikt nie jest w prawie żądać od jednostek, zajętych pracą bezinteresowną w kilku stowarzyszeniach naukowych równocześnie, — heroizmu! . . . Bohaterowie nie rodzą się zresztą codziennie, na kamieniu bodaj! . . .

KRAKÓW.

A jednak! . . . Bezprzykładnie bohaterską była praca pramacierzy wszystkich towarzystw naukowych polskich, która pomimo szczupłych środków materyalnych dokonywała istnych cudów na punkcie wydatności pracy. Toć przecież uposażona najskromniej w porównaniu ze swojemi siostrzycami europejskiemi, plonem naukowem dorównać im zdołała w każdym kierunku *Akademia Umiejętności*, świadcząc tem samem o niepożytej sile ducha polskiego, dławionego brutalnie z trzech stron przez lat sto z okładem. Aleć — powiada pewne mądre przysłowie, że „silniejszy Pan Bóg, niż pan Rymsza!“ . . .

Idźmy jednak po porządku! Przyznano tedy następujące nagrody: z fundacyi ś. p. P. Barczewskiego koron 1200 drowi Juliuszowi Kleinerowi za dwutomowe dzieło p. t. *Zygmunt Krasiński*; *dzieje myśli*; z fundacyi ś. p. Wł. Spasowicza koron 2000 prof. dr. Kazimierzowi Morawskiemu za trzytomowe dzieło p. t. *Historya literatury rzymskiej za Rzeczypospolitej*; zaś 1000 kor. dr. Wł. Biegańskiemu za *Teoryę logiki*. Nagrody z fundacyi ks. Lubomirskich prof. dr. Napoleonowi Cybulskiemu za *Prądy elektryczne w mięśniach*

K. 3000 oraz w tej samej wysokości prof. dr. Karolowi Olszewskiemu za *Skraplanie wodoru przy uchyleniu strat zimna.* Nagrodę z fundacyi Lindego 675 rubli otrzymał prof. dr. Józef Rostafiński za dzieło *Polskie nazwy roślin*; imienia Niemcewicza 1200 kor. dr. Ludwik Kolankowski za pracę *Zygmunt August, w. ks. litewski do roku* 1548; imienia A. Szajkiewicza rubli 600 ś. p. prof. dr. August Witkowski za trzeci tom *Zasad fizyki* i takąż sumę prof. dr. Stanisław Zaremba za dzieło *Arytmetyka teoretyczna*; wreszcie nagrodę Konstantego Simona kor. 900 przyznano prof. Wacławowi Sierpińskiemu za *Zarys teoryi mnogości.*

Dział wydawnictw oddzielnych (poza normalnemi) przedstawia się arcybogato. A zatem: z funduszu na wydawnictwo podręczników przyrodniczych — prof. Zaremby wymienione co dopiero dzieło i prof. M. P. Rudzkiego *Astronomię teoretyczną.* Praca przygotowawcza do 2-go tomu *Anatomii człowieka* prof. A. Bochenka postąpiła o tyle naprzód, że rozpoczęcie druku nastąpi wnet. — Komitet funduszu Mikołaja Reya postanowił wydać *Zwierciadło* w edycyi popularnej w dwu tomach staraniem prof. Chrzanowskiego, Czubka i Łosia; druk tomu pierwszego jest już ukończony; z fundacyi imienia W. Osławskiego ogłoszono rozprawę prof. dra J. Łukasiewicza *Die logischen Grundlagen der Warscheinlichkeitsrechnung;* — komitet dla dziejów Polski porozbiorowej ma w druku *Instrukcye i depesze rezydentów francuskich z epoki księstwa warszawskiego* w opracowaniu dra M. Handelsmana; — postępują też naprzód przygotowania do wydawnictwa: *Pomników prawa publicznego Rzpltej krakowskiej*; 1815—1818; pod kierunkiem prof. dra W. Tokarza, *Z papierów Lubeckiego* w opracowaniu prof. Stan. Smolki, *Protokołów i uchwał komisyi rządzącej z r.* 1807, powierzonych prof. dr. M. Roztworowskiemu i *Aktów, dotyczących wypadków z r.* 1861—1863 *ze szczególnem uwzględnieniem działalności margr. Wielopolskiego* (wyd. prof. dr. Sz. *Askenazego*). — *Encyklopedyi polskiej* wyszły dwa tomy i rozpoczęty został druk dwu dalszych. — Komisya dla wydawnictwa greckich O.O. Kościoła z IV wieku uzupełniała materyały rękopiśmienne do edycyi św. Grzegorza z Nazyanzu. *Meletemata patristica* są już w druku.

Wydział filologiczny wydał w r. ub. dwa tomy *Rozpraw*, prócz tego osobno monografie: prof. dra J. Tretiaka *Piotr Skarga w dziejach i literaturze Unii Brzeskiej*, i prof. dra T. Grabowskiego

Piotr Skarga na tle dziejów katolickiej literatury religijnej w Polsce wieku XVI, a dalej prof. dra K. Morawskiego część III *Historyi literatury rzymskiej za Rzeczypospolitej* i prof. dra P. Bieńkowskiego *De speculis etruscis et cista in Museo principum Czartoryski asservatis*. Z wydawnictw Komisyi wydano tom VIII *Sprawozdań kom. hist. sztuki w Polsce*, nr. 43 *Biblioteki pisarzów polskich* i jeden tom *Bibliografii polskiej Estreichera*.

Na posiedzeniach przedstawiono między innemi prace następujące: z zakresu językoznawstwa A. Śmieszek *O nowoodkrytych napisach elamickich*; z filologii klasycznej prace pp. G. Przychockiego i J. Sajdaka *o Grzegorzu Nazyanzeńskim*; z archeologii: prof. dra K. Hadaczka *Sprawozdanie z wykop alisk austryackiej ekspedycyi w Egipcie i Osada przemysłowa w Koszyłowcach z epoki neolitu*; z historyi literatury i oświaty: prof. dra M. Zdziechowskiego *Pessymizm a chrześcijaństwo*, dra M. Szyjkowskiego *Ossyan w Polsce na tle ewolucyi polskiego romantyzmu*, prof. dra J. Tretiaka *Pieśni serbskie Bohdana Zaleskiego*, prof. Ign. Chrzanowskiego *Uwagi nad Vita et mores Gregorii Sanocei Kallimacha*, dra Wł. Günthera *Historya krytyki francuskiej w XVII w.*, prof. dra T. Grabowskiego *Początki krytyki literackiej w Polsce*, wreszcie dra Szyjkowskiego *Stosunki Jana Jakóba Rousseau z Polską*; z historyi muzyki: dra Z. Jachimeckiego *Kollekcya pieśni i psalmów polskich z XVI w. w Bibliotece ord. Zamoyskich;* z historyi malarstwa: prof. dra J. Bołoza-Antoniewicza *Freski Ł. Signorellego w katedrze w Orvieto i ich geneza ideowa*.

Komisya do badania historyi sztuki zajmowała się materyałami następującymi: z działu architektury pracą p. Z. Hendla p. t. *Zamek w Lesku i jego dzieje*, dra St. Komornickiego dalszym ustępem o dawnych dworach murowanych i warownych w Polsce; do historyi rzeźby odnoszą się prace: prof. Antoniewicza *O rzeźbie figuralnej kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu* i dra St. Turczyńskiego *O sklepieniu włoskiej kaplicy kościoła Franciszkanów w Krakowie*; do historyi polskiego malarstwa cechowego: śp. K. Stępowskiej *O trzech tryptykach w kościołach w Lipnicy Murowanej, Dębnie i Przydonicy*; do dziejów włoskiego malarstwa referat dra Turczyńskiego *O portrecie Cecylii Gallerani Leonarda da Vinci w Muzeum ks. Czartoryskich*; z zakresu przemysłu artystycznego przedłożył p. M. Morelowski pracę *Gobelin z kościoła św. Katarzyny w Krakowie*. — Z inicyatywy Komisyi przygotowuje się wydawnictwo dzieła o architekturze dawnych do-

mów mieszkalnych śródmieścia krakowskiego, do którego przygotował p. Szyszko-Bohusz szereg tablic, opracowania zaś tekstu historyczno-opisowego podjął się dr. A. Chmiel. Zeszyt pierwszy tej publikacyi ukaże się w ciągu b. r.

Komisya językowa kończy druk VI-go tomu *Materyałów i prac*, rozpoczęła zaś druk obszernego zbioru *Tekstów pomorskich*, mających poza dyalektologiczną wielką wartość dla ludoznawstwa. Przystąpiono nadto do wydawnictwa *Materyałów do języka i folkloru Cyganów polskich* z teki pośmiertnej prof. I. Kopernickiego. — Subwencyonowanego przez Komisyę cennego *Rocznika slawistycznego* wyszedł tom V. — Praca nad *Słownikiem staropolskim*, prowadzona pod kierunkiem prof. J. Łosia, trwa nieustannie i materyał słownikowy wzrasta ciągle.

Komisya literacka miała program wydawnictw ustalony przez drukujących się kilka prac. Do druku przygotowuje się wydawnictwo dzieła Ad. Bućkiewicza, opracowane przez dra L. Janowskiego. Ponadto przyjęto prace: p. M. Wicherkiewiczowej o architekcie królewskim Antonim Hoene, tudzież p. M. Dynowskiej p. t. *Jan Franciszek Loredano i polski tłumacz-anonim Dyanei*. W tomie XIV-tym *Archiwum do dziejów oświaty i literatury w Polsce* wyszła obszerna korespondencya literacka K. Koźmiana z Fr. Wężykiem z lat 1845 1857, wydana przez dra St. Tomkowicza. — Z osobnych wydawnictw posuwa się naprzód krytyczna bibliografia dzieł Skargi w opracowaniu ks. K. Otwinowskiego T. J. Rozpoczął się również druk katalogu inkunabułów Mogilskich i Szczerzeckich pióra ks. G. Kowalskiego. Wydawnictwo *Archiwum Filomatów wileńskich* jest również na ukończeniu.

Wydział historyczno-filozoficzny ogłosił w r. ub. nowy tom swoich *Rozpraw* oraz publikacye osobne: Wł. Horodyskiego *Bronisław Trentowski*, R. Rybarskiego *Nauka o podmiocie gospodarstwa społecznego* i St. Zachorowskiego *Rozwój i ustrój kapituł polskich w wiekach średnich*; a nadto z funduszu śp. N. Bucewicza A. Jabłonowskiego *Historyę Rusi południowej do upadku Rzeczypospolitej*, p. Z. Kirkor-Kiedroniowej *Włościanie i ich sprawa w dobie organizacyjnej i konstytucyjnej Królestwa Polskiego* i M. Skibińskiego *Europa a Polska w dobie wojny o sukcesyę austryacką*.

W druku znajdują się: prof. dra L. Finkla *Bibliografia historyi polskiej, I dodatek*, M. Handelsmana *Rezydenci napoleońscy w Warszawie, Sprawozdanie ekspedycyi szwedzkiej* prof. Łosia, Birkenma-

jera i Barwińskiego, Fr. Gawełka *Bibliografia ludoznawstwa*, H. Merczynga *Szymon Budny* i J. Pełeńskiego *Architektura Halicza*. Z pomiędzy rozpraw, czytanych na posiedzeniach wydziału wymieniamy następujące: Wł. Gieleckiego *Pojęcia czasu i wieczności w filozofii greckiej przed Sokratesem*, dra M. Sobeskiego *Psychologia twórczości artystycznej*, A. Żółtowskiego *O antynomiach Kanta ze szczególnem uwzględnieniem drugiej*, prof. dra A. Szelągowskiego *Wici i Topory;* studya nad genezą i znaczeniem godeł polskich i zawołań, R. Grodeckiego *Dzieje klasztoru premonstrateńskiego w Busku w wiekach średnich*, dra St. Kętrzyńskiego *O elementach chronologicznych dokumentów Kazimierza Wielkiego*, O. Górki *Nieznany opis wschodniej Europy z r.* 1308, dra K. M. Morawskiego *Do charakterystyki okresu Rady Nieustającej i genezy przymierza polsko-pruskiego*, prof. dra P. Dąbrowskiego *Prawo łaziebne*, studyum z historyi prawa polskiego, wreszcie Z. Lisowskiego *Studya nad sposobami nabycia własności w rzymskim Egipcie*.

Komisya historyczna. Wśród jej wydawnictw podnieść i zaznaczyć przedewszystkiem należy, że z ukazaniem się dwu pierszych tomów *Monumenta Poloniae Vaticana* rozpoczął się nowy dział publikacyi, zawierający w sobie część wyników poszukiwań wieloletnich t. zw. *Ekspedycyi rzymskiej*, dokonanych we włoskich archiwach i bibliotekach, przedewszystkiem zaś w Archiwum watykańskiem. Rzeczone tomy mieszczą *Akty skarbowe Stolicy Apostolskiej* w opracowaniu dra J. Ptaśnika. Tomu III tekst, wydrukowany już także w zupełności, ukaże się po ukończeniu indeksów. Ponadto wydano tom XI *Archiwum K. H.*, ukończono druk dwu tomów *Aktów rządu narodowego z czasów powstania Kościuszki* i poczyniono prace przygotowawcze około wydania tomu trzeciego; przygotowywanego od dawna wydawnictwa prof. dra St. Kutrzeby *Laudów Krakowskich* druk rozpoczęto; prace przygotowawcze prof. Finkla i Bąkowskiego około wydawnictwa *Korespondencyi panów polskich z ks. pruskim Albrechtem* posuwają się zwolna; o wiele natomiast raźniej postępuje praca nad nowem wydaniem *Roczników polskich średniowiecznych* przez dra Wł. Semkowicza, który odbył w r. ub. podróż do Petersburga, gdzie w Bibliotece publicznej zbadał szereg kodeksów z rocznikami i skolacyonował ich teksty. Poszukiwania te dały sposobność do zinwentaryzowania pewnej liczby rękopisów, z których sprawozdanie opracuje później. Bardzo znacznie posunęły się też naprzód prace

przygotowawcze do wydawnictwa *Instruktorzy gospodarczych polskich*, którem zajmuje się prof. dr. St. Pawlik.

Komisya prawnicza wydała przedewszystkiem tom IX swego *Archiwum*. Druk wydawnictwa *Regestra thelonei aquatici Vladislaviensis saeculi XVI* przekroczył już połowę całości. Prace przygotowawcze do *Pomników prawa niemieckiego w Polsce*, prowadzone przez prof. dra *St. Estreichera* są bliskie końca, tak że druk ich rozpocznie się w najbliższej przyszłości.

Komisya do badania historyi filozofii w Polsce zorganizowała pod kierownictwem prof. dra W. Rubczyńskiego pracę około inwentaryzacyi rękopisów filozoficznych Biblioteki Jagiellońskiej. Równolegle z tem idą czynności w dobieraniu w wypisach całkowitych i częściowych tych traktatów filozoficznych ze schyłku średniowiecza i początków odrodzenia w Polsce, któreby się nadawały do ogłoszenia w zbiorowem *spicilegium* na tej podstawie, że tworzą niezbędne źródła do odtworzenia sobie ważnych ogniw rozwoju filozofii na ziemiach polskich. Wreszcie wdrożono kroki przedwstępne, zmierzające do wyczerpującego zbadania, uporządkowania i opracowania bogatej spuścizny po Hoene-Wrońskim.

Wydział matematyczno przyrodniczy ogłosił po dwa tomy *Rozpraw* polskich i francuskich; na posiedzeniach rozpatrywał ogółem 114 rozpraw i komunikatów, w tem z zakresu analizy matematycznej i geometryi 16, z fizyki 11, z astronomii 1, z historyi nauki 2, z chemii 9, z mineralogii i petrografii 5, z geologii i nauk geograficznych 10, z paleontologii 3, z botaniki 9, z zoologii wraz z antropologią 43. Wreszcie przyznano zapomogę w kwocie 1000 kor. drowi W. Lampemu na badania naukowe.

Komisya fizyograficzna wydała 46-ty tom *Sprawozdań* i pierwszą część zeszytu 22-go *Atlasu geologicznego Galicyi*. Wszystkie sekcye jej pracowały wytrwale i wydatnie.

Komisya antropologiczna: w dziale czysto antropologicznym prof. dr. J. Talko Hryncewicz przedstawił sprawę odkrycia w Czechach kości, uważanych za szczątki Żyżki i rozbierał kwestyę ich autentyczności z punktu widzenia antropologicznego, dalej zdał sprawę ze zjazdu czeskich archeologów i antropologów w Pradze, wreszcie przedstawił sprawę wydania nowej instrukcyi dla badań antropologicznych na ziemiach polskich i przedłożył sprawozdanie ze swoich dalszych badań antropologicznych nad góralszczyzną polską. — W dziale archeologicznym przedstawiono pracę p. St. J.

Czarnowskiego o poszukiwaniach archeologicznych, dokonanych koło Ojcowa; dr. W. Kuźniar złożył sprawozdanie ze swoich poszukiwań we wsi Jaksicach nad Wisłą; prof. dr. Wł. Demetrykiewicz z badań na cmentarzysku ciałopalnem z epoki bronzowej w Mydlnikach koło Krakowa. — W dziale etnograficznym p. S. Udziela przedstawił wyniki badań nad grupą górali, zwanych „Kliszczakami".

Komisya bibliograficzna nauk matematyczno-przyrodniczych wydawała w dalszym ciągu *Katalog literatury naukowej polskiej*; komisya historyi nauk mat. i przyr. otrzymała następujące komunikaty: prof. dr. A. Wrzosek przedstawił rękopis nieznanej pracy botanicznej dra T. Chałubińskiego, napisany w r. 1845 p. n. *Zur Entwicklungsgeschichte der Spaltoeffnungen*, ks. K. Czaykowski T. J. przedstawił rzecz p. t. *Z historyi omyłek i kontrowersyi w dziedzinie chronologii*, prof. L. Birkenmajer podał *Wiadomość o mapie geograficznej Litwy Tomasza Makowskiego z r.* 1613, oraz *Wiadomość historyczną o pierwszej lunecie w Polsce*, używanej w r. 1613 w Kolegium Jezuitów w Kaliszu, zakomunikował wreszcie, że już w najbliższych miesiącach będzie rozpoczęty druk traktatu o reformie kalendarza rzymskiego z r. 1515, pióra Marcina Biema z Olkusza.

Biblioteka Akademii liczy obecnie 43.199 dzieł (t. j. przybyło 194), zbiór rękopisów 1817 numerów, 4 depozyty w 24 n-rach i 330 dyplomatów.

Stacya naukowa w Paryżu święciła w r. ub. 20-tolecie należenia do Akademii. Dzięki nagromadzonym w niej zbiorom stała się ona poważnem ogniskiem pracy naukowej dla badaczy dziejów emigracyi przedewszystkiem. Dość powiedzieć, że biblioteka jej była otwarta w r. ub. dni 230 i wykazała frekwencyę 5527 osób. Inwentarz biblioteczny powiększył się o 692 pozycyi. Czasopism bieżących otrzymywano 59. Muzeum Mickiewiczowskie zostało znacznie rozszerzone i pozyskało parę nowych nabytków. Zwiedziło je 334 osób. — Z odczytów, cieszących się wielką frekwencyą, wymieniamy następujące: dr. Wł. Konopczyńskiego „O pierwszej emigracyi polskiej", dra Wł. Günthera „O twórczości Aleksandra Fredry", dra J. Ujejskiego „O mesyanizmie polskim", dra St. Kota „O głównych znamionach kultury polskiej wieku XVI", dra J. Nowaka „O dziejach poglądów na budowę Karpat", dra F. Wałka „O Egipcie w czasie piramid" i prof. I. Chrzanowskiego przemówienie okolicznościowe z okazyi setnej rocznicy urodzin Krasińskiego.

Ruch naukowy tedy ma Stacya zapewniony, wobec przybywających rok rocznie nad Sekwanę młodych uczonych polskich dla badań źródłowych lub uzupełnienia studyów specyalnych w uczelniach paryskich. To też, bodaj ci, którzy ze zbiorów jej korzystali powinni pamiętać o tem ognisku pracy naukowej polskiej, hen, na dalekiej, na francuskiej ziemi! . . .

* * *

Działalność Towarzystwa filozoficznego rozwijała się trwale, jak w latach dawniejszych i była równie pomyślna co do odczytów, dyskusyi, wydawnictw, przyrostu liczby członków i udziału w ogólnym ruchu naukowym, a pod względem kasowym nawet nieco korzystniejsza. Posiedzenia naukowe odbywały się zwłaszcza w sezonie zimowym bardzo często, z zazwyczaj nader ożywioną po nich dyskusyą. Z pomiędzy tych odczytów wymienimy: ks. prof. dra Stefana Pawlickiego „Spinoza i dzisiejszy monizm", prof. dra M. Straszewskiego „Zapomniany myśliciel polski: Marcin Nikuta", „Nieznane prace Józefa Gołuchowskiego" oraz „Schelling i Gołuchowski na podstawie nieznanych i nieogłoszonych dokumentów", prof. dra T. Grabowskiego „Skarga a św. Augustyn", dr. Władysława Horodyskiego „Panteizm Trentowskiego", dra Józefa Zanietowskiego „Z pogranicza neurologii i psychofizyologii", prof. dra Jana Śleszyńskiego „Pojęcie dowodu w matematyce", dra Adama Żółtowskiego „O równoległości trzech krytyk Kanta" oraz „O pierwszej antinomii Kanta", prof. dra Wł. L. Jaworskiego „Ideologia chłopska", prof. dra T. Garbowskiego „Do filozoficznej charakterystyki Nietzschego", wreszcie dr. J. Korczyńskiej „Geneza moralności". — Oprócz wymienionych posiedzeń zwyczajnych odbyto posiedzenie uroczyste ku czci ś. p. prof. dra H. Struvego z odczytem prof. dra Witolda Rubczyńskiego o działalności naukowej Struvego, oraz urządzono uroczystą akademię na uczczenie 100-nej rocznicy śmierci Hugona Kołłątaja, na której przemawiali: prof. dr. M. Straszewski, prof. dr. Rubczyński, dr. M. Sobeski, dr. W. Dziewulski, prof. dr. B. Wicherkiewicz, Czesław Pieniążek, dr. J. Zanietowski, następnie zaś p. H. Radlińska wypowiedziała odczyt p. t. „Kołłątaj jako pedagog", a prof. Straszewski „Kołłątaj jako filozof". Wszystkie te przemówienia zostały wydane osobno w książce p. t. *Pamięci Hugona Kołłątaja.* Ponadto wydano rozprawę ks. dra Stef. Pawlickiego *Spinoza i dzisiejszy monizm.*

W r. ub. zakończył zarząd pierwszą kadencyę Tow., kiedy trzeba było kłaść podwaliny pod Tow., zdobywać mu popularność, a nadto operować aż nadto oszczędnie szczupłymi dochodami, które wynosiły w r. ub. zaledwie 859 kor., z czego wydatkowano 684 kor., a pomimo to saldo zostało obciążone nadal długiem w kwocie, stosunkowo wcale poważnej, 745 kor. Ale, nie należy zapominać, że miano razem aż 64 członków, cyfrę, jak na ilość krakowskich doktorów filozofii wprost nieproporcyonalnie niską. Na tem większą wdzięczność zasłużyli rzetelnie ci, których trudami osobistymi stoi Towarzystwo. A ludzie to pochłonięci pracą i na innych też polach, bo i gdzież nie słyszy się o: prof. Straszewskim, Zdziechowskim, Rubczyńskim czy drze Kazimierzu Lubeckim?! . . . Nagminny to wszelako błąd u nas w Galicyi, że wszelki trud spychany bywa przeważnie na barki jednych i tych samych jednostek! . . .

* * *

Towarzystwo miłośników historyi i zabytków Krakowa pracą wydatną na wszelkich polach swojej działalności zbierało w r. ub. zasłużone wawrzyny. Przedmiotem szczególniejszej troski były wydawnictwa, z których wymienić należy okazały XV tom *Rocznika krakowskiego*, nr. 45 *Biblioteki krakowskiej*, zawierający pracę p. St. Stetkiewicza „Rzeczpospolita krakowska w dobie powstania listopadowego". Ponadto oddano pod prasę prace: o kościele N. P. Maryi dra K. Bąkowskiego i o udziale młodzieży krakowskiej w powstaniu 1863 roku prof. dra W. Tokarza. Wreszcie wydano dzięki subwencyi Ministerstwa robót publicznych, monografię angielską o Krakowie p. t. *Cracov the royal capital of ancient Poland: Its history and antiquities by Leonard Lepszy . . . translated by R. Dyboski* (8-ka; str. XV, 210) i album fotografii ołtarza Maryackiego, celem ułatwienia badań nad twórcą ołtarza Stwoszem. Dzieło to, odbite tylko w dziesięciu egzemplarzach, ze względu na wysokie koszta sprzedawane po 200 koron, ukazało się p. t. *Wita Stwosza wielki ołtarz w kościele Najśw. P. Maryi w Krakowie*; XXXV tablic z 61 zdjęciami fotograficznemi i wstępem (po polsku i po francusku) prof. dra F. Kopery.

Sprawie zachowania śródmieścia Krakowa poświęca Tow. baczną uwagę, a pragnąc zaznajomić szerszy ogół z tą kwestyą, zamierza jej poświęcić w najbliższym czasie osobny *Rocznik*. — Wspólnie z Arcy-

bractwem Miłosierdzia, które ofiarowało 290 koron, umieściło Tow. tablicę z okazyi trzechsetnej rocznicy zgonu Skargi na domu przy ul. Siennej l. 15; w domu nadto przy ul. Sławkowskiej nr. 1 tablicę bronzową z napisem, iż tam mieszkał Goethe w r. 1790. (Trzeba było zaczekać, póki Niemcy nie ufundują analogicznej tablicy dla Mickiewicza w Weimarze!) Dawno powstały zamiar położenia tablicy pamiątkowej Witowi Stwoszowi odłożono aż do ustalenia domu, który był siedzibą artysty.

W kwestyi gospodarki pieniężnej funduszami Tow. postanowiono, obok części funduszów, zarezerwowanych już na projektowane wydawnictwa, konserwacye, badania i tp. stworzyć pewnego rodzaju kapitał żelazny na nieprzewidziane wypadki i na stworzenie stałej podstawy finansowej Tow. Na ten cel odłożono w r. ub. 2500 kor. Gospodarka w Tow. była bez zarzutu, mogąc służyć innym, mniej zamożnym stowarzyszeniom za przykład, godny naśladowania. A na poparcie słów powyższych przytoczymy parę dat statystycznych, suchych, lecz, mimo to, mówiących bardzo wiele. Zatem: gdy w r. 1897 przy 176 członkach było dochodu 1.364 kor., pozostałość zaś kasowa z końcem roku onego wynosiła 426 kor., to w r. ub. przy 680 członkach dochody dały 16.681 kor., z czego wydatkowano 14.625 kor., tak że rachunki zamknięto saldem w wysokości 2.056 kor.

I jeszcze cyfr parę z r. ub.: w dochodach pozycyę główną stanowią: wkładki członków z kwotą 4848 kor., ze sprzedaży wydawnictw uzyskano 2931 kor., ze sprzedaży albumu Stwosza 1.106 kor., wreszcie subwencye przyniosły 6.690 kor. W wydatkach zaś uwzględnić należy: koszta druku wydawnictw 6.003 kor., dotacyę funduszu źródeł historycznych 700 kor., wreszcie 2500 kor., przelanych do funduszu żelaznego oraz 2250 do funduszu rezerwowego. Skutkiem tak ekonomicznej, a rozumnej i na pełne uznanie zasługującej gospodarki saldo z końcem ub. r. funduszu rezerwowego wynosiło 4220 kor., żelaznego 2500 kor., wreszcie funduszu źródeł historycznych 1991 koron. Jakżeż śmiesznie i marnie wyglądałoby zestawienie funduszów i prac analogicznego stowarzyszenia „mieszczańskiego“ Lwowa z wymienionemi cyframi bratniej instytucyi krakowskiej?! ... Z umysłu zaniechaliśmy myśli o tego rodzaju zestawieniu, byle nie posądzono nas o złośliwość, bynajmniej nierozmyślną.

Na numizmatykę potrzeba mecenasów, o których w naszej biednej Polsce marzyć byłoby, co najmniej, niedorzecznością. Stąd też *Towa-*

rzystwo numizmatyczne poza wydawanemi *Wiadomościami numizmat.-archeologicznemi* nie objawiło żywszej działalności w żadnym innym kierunku jego. Liczba członków i budżet były aż nadto skromne.

(C. d. n.).

Dr. St. Zdziarski.

Druk ukończono 8 sierpnia 1913 roku.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Strona
Edykt Medyolański. W 1600-letnią rocznicę. Przez *Prof. dr. Władysława Abrahama*	1
Ruch ludowy w Królestwie Polskiem. Przez *Antoniego Werytus-Skrzyneckiego*	32 259
Niemieckie czytelnictwo ludowe na Górnym Śląsku. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.*	44
Główne zasady etyki Kanta a etyka chrześcijańska. (Dokoń.). Przez *ks. dr. M. Sieniatyckiego* . .	54
Polityka bałkańska Austro-Węgier. Przez *dra Adama Krzyżanowskiego*	66 308
Z cyklu „Opowieści Chrystusowe“ Hołd. Przez *Maryę Czeską*	86
Polska Szkoła Nauk Politycznych w Krakowie. Przez *dra Romana Rybarskiego*.	147
Ozanam jako teoretyk i działacz społeczny. W setną rocznicę urodzin. Przez *ks. Antoniego Szymańskiego*.	178
Biblia i nieomylność Sykstusa 5-go w świetle źródeł najnowszych. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.*	199
Poglądy estetyczne Manfrediego Poreny. Przez *dra Witolda Rubczyńskiego*	213
Prądy słowianofilskie wśród Emigracyi Wielkiej 1830—1863. Przez *Edmunda Kołodziejczyka* . .	227
Z cyklu „Opowieści Chrystusowe“ O tych, którzy czekali... Przez *Maryę Czeską*	249
Wyjazd ze Stannicy. Przez *Krystynę Saryusz Zaleską*	278

Strona

Z PRACOWNI MIKROTECHNIKA. Przez *ks. F. Hortyńskiego T. J.* 294
Z NIEDRUKOWANYCH WIERSZY MARYI BARTUSÓWNY. Przepisał *Adam Stodor* 328
O SKARDZE „NAJWIĘKSZYM WICHRZYCIELU RZECZYPOSPOLITEJ". Przez *ks. Józefa Sasa T. J.* 334

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

DZIENNIK MĘŻA STANU. Stanisław Smolka. *(Stanisław Sołtys Kozaryn)* . . 97
KSIĘGA PAMIĄTKOWA KU UCZCZENIU 250-TEJ ROCZNICY ZAŁOŻENIA UNIWERSYTETU LWOWSKIEGO PRZEZ KRÓLA JANA KAZIMIERZA R. 1661. Wydana przez członków uniwersytetu. *(Dr. Stanisław Zdziarski)* 103
KWESTYA ROLNA W GALICYI. Zdzisław Ludkiewicz. *(Dr. A. Bielecki)* . . . 110
ZAGADNIENIA NARODOWEJ POLITYKI. Józef Milewski. *(J. M. Palędzki)* . . 361
O ŁAFOWNICTWIE. Wiktor Skibniewski. *(Ks. M. Skibniewski T. J.)* . . . 378

Z piśmiennictw obcych.

DIE GESCHICHTE DER SCHOLASTISCHEN METHODE. Grabmann dr. Martin. *(Ks. Ernest Matzel)* 114
DROGOWSKAZ ŻYCIA. Fr. W. Foerster. *(Ks. Ernest Matzel)* 116
ŽIVOT STARYCH SLOVANU, S. Niederle. *(Dr. Stanisław Zdziarski)* . . . 380
LUŽICE A LUŽIČTI SRBOVÉ. Černý Adolf. *(Dr. Stanisław Zdziarski)* . . . 386

Zapiski bibliograficzne.

ŚW. MONIKA. Ks. E. Bougaud. *(M. H.)* 118
ŁĄCZNOŚĆ WŚRÓD DUCHOWIEŃSTWA. Ks. dr. Stanisław Dutkiewicz. *(X.)* . . 120
ŻYWOT BŁ. KUNEGUNDY. Ks. Jan Pabis. *(G.)* 121
POLSKI ANTI-LUKRECYUSZ. Sinko Tadeusz. *(Z.)* 121
GŁUCHONIEMY WOBEC NAJNOWSZYCH BADAŃ NAUKI. Ks. Wilhelm Wagner. *(A. P.)* 122
›CO KAŻDA DORASTAJĄCA PANNA WIEDZIEĆ POWINNA‹. Dr. Maury Wood-Allen. *(K.)* 122
ŻYTIA ŚWIATYCH NA KAŻDYJ DEŃ. Epifanyj Teodorowycz. *(Y. U.)* . . . 395
ENZYKLOPÄDIE DER THEOLOGISCHEN WISSENSCHAFTEN SAMT METHODENLEHRE. Dr. Cornelius Krieg. *(O. R.)* 396
EINLEITUNG IN DIE HLG. SCHRIFT DES ALTEN UND NEUEN TESTAMENTS. Franz Kaulen. *(O. R.)* 397
HERMENEUTICA BIBLICA. Ern. C. Gřiwnacky. *(O. R.)* 398

Strona

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

LIPIEC.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Walka ze szkołami katolickiemi we Francyi. — Uroczystości Ozanama. Przez *ks. L. Rudnickiego T. J.* 123
ZE ŚWIATA NAUK I WYNALAZKÓW. Przez *ks. F. Hortyńskiego T. J.* . . . 136
O ZACHOWANIE ŚRÓDMIEŚCIA KRAKOWA. Przez *dr. Fr. Kleina* 142

SIERPIEŃ — WRZESIEŃ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Położenie Kościoła w Portugalii. Przez *ks. L. Rudnickiego T. J.* 399
O ZACHOWANIE ŚRÓDMIEŚCIA KRAKOWA. Przez *dr. Kleina* 412
CHRISTLICHE KUNST. Przez *Maryana Strzembosza* 415
TOWARZYSTWA NAUKOWE I LITERACKIE W R. UB. Przez *Dra Stanisława Zdziarskiego* 423